alastair reynolds

PRZESTRZEŃ OBJAWIENIA

Pierwsza wielka powieść science fiction nowego wieku

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Przestrzeń objawienia to ogromna, wspaniała space opera, która rozciąga się poza czas i miejsce… ku najbardziej przerażającym miejscom wszechświata. Stephen Baxter tak opisuje swoje wrażenia z lektury: „Wspaniała rzecz. Wciągnęła mnie od pierwszej strony. Wojny obcych, jakie toczyły się biliony lat temu, zabójcze inteligentne istoty i prawdopodobnie najoryginalniejsze i zapierające dech w piersi artefakty obcej rasy jakie pojawiły się w literaturze science fiction — a wszystko opisane przez naukowca. Niesamowicie inteligenta i porażająca zimną logiką książka — to naprawdę jest jak wyprawa w kosmos”.

- Alastair Reynolds
  - JEDEN
  - DWA
  - TRZY
  - CZTERY
  - PIĘĆ
  - SZEŚĆ
  - SIEDEM
  - OSIEM
  - DZIEWIĘĆ
  - DZIESIĘĆ
  - JEDENAŚCIE
  - DWANAŚCIE
  - TRZYNAŚCIE
  - CZTERNAŚCIE
  - PIĘTNAŚCIE
  - SZESNAŚCIE
  - SIEDEMNAŚCIE
  - OSIEMNAŚCIE
  - DZIEWIĘTNAŚCIE
  - DWADZIEŚCIA
  - DWADZIEŚCIA JEDEN
  - DWADZIEŚCIA DWA
  - DWADZIEŚCIA TRZY
  - DWADZEŚCIA CZTERY
  - DWADZIEŚCIA PIĘĆ
  - DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
  - DWADZIEŚCIA SIEDEM
  - DWADZIEŚCIA OSIEM
  - DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

- ○ TRZYDZIEŚCI
- ○ TRZYDZIEŚCI JEDEN
- ○ TRZYDZIEŚCI DWA
- ○ TRZYDZIEŚCI TRZY
- ○ TRZYDZIEŚCI CZTERY
- ○ TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
- ○ TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
- ○ TRZYDZIEŚCI SIEDEM
- ○ TRZYDZIEŚCI OSIEM
- ○ TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Alastair Reynolds
Przestrzeń Objawienia

JEDEN

Sektor Mantell, Północny Nekhebet, Resurgam, układ Delty Pawia, 2551

Nadciągała burza maczetowa.

Sylveste stał na skraju terenu wykopalisk i zastanawiał się, czy owoce jego trudów przetrwają tę noc. Odkrywka archeologiczna miała strukturę klasycznej kraty Wheelera: składała się z głębokich kwadratowych szybów, oddzielonych skibami wydobytej ziemi. Studnie, sięgające dziesiątki metrów w dół, wyłożono przezroczystym szalunkiem z hiperdiamentowego włókna. Odsłonięte warstwy wytrzymały nacisk milionów lat historii geologicznej, ale wystarczy jeden solidny opad pyłu, jedna porządna burza maczetowa, a studnie wypełnią się po brzegi.

— Potwierdzenie, proszę pana. — Jeden z członków zespołu wyłonił się ze spłaszczonego pierwszego pełzacza. Głos mężczyzny tłumiła maska do oddychania. — Przed chwilą Cuvier wydał ostrzeżenie meteorologiczne dla całego obszaru Północnego Nekhebetu. Radzą, by wszystkie zespoły pracujące na powierzchni wróciły do najbliższej bazy.

— To znaczy, że mamy się pakować i jechać z powrotem do Mantell?

— Zapowiadają naprawdę silną burzę, proszę pana. — Mężczyzna manipulował przy kołnierzu kurtki, usiłując ciaśniej zapiąć się pod szyją. — Mam nadać rozkaz ogólnej ewakuacji?

Sylveste spojrzał na kratę wykopaliska: boki każdej studni były rzęsiście oświetlone przez rozstawione nitefenie baterie reflektorów. Na tej szerokości geograficznej Delta nigdy nie wznosiła się wystarczająco wysoko, nie dostarczała dość światła. Teraz, gdy przesłonięta wielkimi kotarami pyłu obniżała się za horyzont, wyglądała jak rdzawa plama, na której jego wzrok nie potrafił się skupić. Wkrótce przez Stepy Ptero przybiegną w podskokach pyłowe diabły niczym zbyt mocno nakręcone żyroskopy-zabawki. Po nich nadciągnie główny atak burzy i uderzy jak czarny młot.

— Nie — odparł. — Nie musimy wyjeżdżać. Tu mamy dobre schronienie. Na pewno zauważyłeś, że na skałach prawie nie widać śladów erozji. Jeśli burza będzie bardzo silna, schowamy się w pełzaczach.

Mężczyzna spojrzał na skały i pokręcił głową, jakby nie wierzył własnym uszom.

— Proszę pana, Cuvier najwyżej dwa razy do roku wydaje tak stanowczy komunikat… dziś burza ma o rząd wielkości przewyższać wszystko, co dotychczas przeżyliśmy.

— Mów za siebie — powiedział Sylveste. Zauważył, jak mężczyzna mimowolnie na ułamek sekundy kieruje spojrzenie na jego oczy, a później zmieszany odwraca wzrok. — Słuchaj mnie. Nie możemy sobie pozwolić na porzucenie tej odkrywki.

Mężczyzna znów spojrzał na sieć szybów.

— To, co już odkopaliśmy, zabezpieczmy płachtami. Potem zakopiemy transpondery. Nawet jeśli pył pokryje wszystkie studnie, odnajdziemy to miejsce i wrócimy z pracami na obecny etap. — Za goglami przeciwpyłowymi rozbiegane oczy mężczyzny miały błagalny wyraz. — Gdy wrócimy, postawimy kopułę nad całym terenem. To chyba lepsze rozwiązanie, proszę pana, niż narażanie tutaj ludzi i sprzętu.

Sylveste postąpił krok ku mężczyźnie, tak że ten musiał się cofnąć w kierunku najbliższej studni wykopaliska.

— Rób to, co ci teraz powiem: poinformuj wszystkie zespoły archeologiczne, że mają pracować aż do odwołania i że zabraniam gadania o wycofaniy się do Mantell. Tymczasem niech na pokład pełzaczy wniosą tylko najbardziej wrażliwe przyrządy. Jasne?

— A co z ludźmi, proszę pana?

— Ludzie mają robić to, po co tu przyjechali: kopać.

Sylveste patrzył na swego rozmówcę z wyrzutem, niemal prowokując go, by zanegował rozkazy, ale po długiej chwili wahania mężczyzna odwrócił się na pięcie i pobiegł w labiryncie studni, z wielką wprawą pokonując szczyty skib. Wokół wykopów rozmieszczono delikatne grawitometry obrazujące; przypominały skierowane w dół działa. Teraz kołysały się lekko na silnym wietrze.

Sylveste poczekał chwilę, potem ruszył podobną drogą, a gdy przeszedł kilka oczek w głąb siatki, skręcił. W pobliżu centrum wykopalisk cztery szyby powiększono, robiąc jeden większy otwór o boku trzydziestu metrów i niemal takiej samej głębokości. Zszedł po drabinie w głąb szybu. W ciągu ostatnich tygodni tyle razy odbywał podróż w dół i do góry, że brak zawrotów głowy bardziej go niepokoił niż samo schodzenie. Poruszając się przy oszalowanej ścianie, mijał warstwy epok geologicznych. Dziewięćset tysięcy lat minęło od Wydarzenia. Większa część stratyfikacji stanowiła wieczną zmarzlinę, typową dla podbiegunowych obszarów Resurgamu. Wieczną zmarzlinę, która nigdy nie rozmarzała. Głębiej — blisko samego Wydarzenia — znajdowała się warstwa regolitu, powstała podczas impaktów, które nastąpiły po Wydarzeniu. Samo Wydarzenie zaznaczało się pojedynczą, cienką jak włos linią rozdzielającą — popiołem po spalonych lasach.

Dno wyrobiska nie było poziome — schodziło zwężającymi się tarasami na końcowy poziom czterdziestu metrów. W dole zainstalowano dodatkowe reflektory, by rozświetlić mrok. Tam, w ciasnym obszarze, roiło się jak w ulu. Szyb całkowicie chronił od wiatru. Kopiący pracowali niemal w kompletnej ciszy; klęczeli na matach i operowali narzędziami tak precyzyjnymi, że w innej epoce mogłyby służyć chirurgowi. Trzy osoby z zespołu — studenci z Cuvier — urodziły się na Resurgamie. Przy nich przyczaił się serwitor, czekając na rozkazy. Maszyny bardzo się przydawały na wczesnym etapie wykopalisk, jednak końcowych prac nie można było całkowicie im powierzyć. Przy grupie siedziała kobieta z kompnotesem, balansującym na udach, ukazującym drzewo rozwoju czaszek Amarantinów. Dopiero teraz zauważyła Sylveste'a — zszedł bardzo cicho — wstała gwałtownie i zatrzasnęła kompnotes. Czarnowłosa, nosiła prostą grzywkę. Na ramiona zarzuciła pelerynę.

— Miałeś rację — powiedziała. — Nie wiemy, co to jest, ale na pewno jest wielkie. I zadziwiająco dobrze zachowane.

— Proponujesz jakąś teorię, Pascale?

— To chyba twoje zadanie. Ja mam to tylko skomentować. — Pascale Dubois, młoda dziennikarka z Cuvier, opisywała wykopaliska od samego ich początku, choć często brudziła sobie ręce prawdziwym kopaniem, ucząc się fachowego żargonu. — Te ciała są straszne, prawda? Choć to obcy, niemal czujemy ich ból.

Przy ścianie szybu, gdzie dno zaczynało opadać, odkopali dwie wyłożone kamieniami komory grzebalne. Choć leżały tu przysypane ziemią przez co najmniej dziewięćset tysięcy lat, były niemal nienaruszone, a kości wewnątrz znajdowały się z grubsza w pozycji odpowiadającej ułożeniu anatomicznemu żywej istoty. Były to typowe szkielety Amarantinów. Na pierwszy rzut oka — jeśli ktoś akurat nie specjalizował się w antropologii — mogły uchodzić za szczątki ludzkie, gdyż należały do istot o wymiarach przeciętnego człowieka, mających cztery kończyny, dwunożnych, o pozornie podobnej budowie szkieletu. Objętość czaszki była mniej więcej taka jak u ludzi, a narządy zmysłów, oddechu i komunikacji znajdowały się w podobnych miejscach. Jednak czaszki obu Amarantinów miały wydłużony, ptasi kształt, z wydatną wypukłością czołową, rozciągającą się między głębokimi oczodołami i biegnącą aż do podobnej do dziobu górnej szczęki. Kości były pokryte gdzieniegdzie motkami wygarbowanej, suchej tkanki, która skręcała ciało, ściągając je — takie to sprawiało wrażenie — do pozycji wyrażającej ból. Nie były to skamieniałości w zwykłym sensie: nie zaszły w nich żadne procesy mineralizacji, a w komorach grzebalnych znajdowały się tylko kości i trochę technicznych artefaktów, z którymi pochowano ciała.

— Może chodziło o to, byśmy tak myśleli? — Sylveste dotknął

jednej z czaszek.

— Nie — odparła Pascale. — Gdy tkanka wyschła, pozycja ciała uległa zniekształceniu.

— Albo pochowano je właśnie w ten sposób.

Położył na czaszce dłonie w rękawiczkach, które przekazywały mu dane dotykowe do koniuszków palców. W tym momencie wspomniał żółty pokój wysoko w Chasm City, z akwatintami metanowych lodowych czap na ścianach; między gośćmi sunęły serwitory w liberiach, częstując słodyczami i alkoholem. Draperie z barwnej krepy przesłaniały pyszne sklepienie. W powietrzu jaśniały blade entoptyki — modne wówczas anioły, cherubiny, kolibry, czarodziejki. Pamiętał gości: większość z nich to były osoby związane z rodziną; ludzi tych albo ledwo znał, albo ich nie lubił, gdyż przyjaciół miał wtedy niewielu. Ojciec jak zwykle się spóźnił. Przyjęcie toczyło się w najlepsze, gdy Calvin raczył się pojawić. Ale to było normalne podczas ostatniego, największego przedsięwzięcia Calvina — jego realizacja sama w sobie była powolną śmiercią, w tym samym stopniu co samobójstwo, które miał popełnić w kulminacyjnej fazie projektu.

Sylveste wspomniał, jak ojciec podał mu szkatułkę inkrustowaną fragmentami splecionych spirali kwasów rybonukleinowych.

— Otwórz — polecił Calvin.

Sylveste pamiętał, jak wziął szkatułkę w dłonie, czuł, jaka jest lekka. Odchylił wieczko, zobaczył ptasie gniazdko z włók — niny do pakowania. W środku leżała cętkowana brązowa kopuła w takim samym kolorze co pudełko — górna część czaszki, najwyraźniej ludzkiej, z brakującą szczęką.

Wtedy w sali zapadła cisza.

— To wszystko? — spytał Sylveste na tyle głośno, by zebrani go usłyszeli. — Stara kość? Cóż, dziękuję, tato. Jestem doprawdy pod wrażeniem.

— Powinieneś być — odparł Calvin.

Problem polegał na tym, że — jak Sylveste niemal natychmiast się zorientował — Calvin miał rację. Czaszka przedstawiała niewiarygodną wartość: jak się wkrótce dowiedział, należała do kobiety z Atapuerca w Hiszpanii i miała dwieście tysięcy lat. Czas śmierci kobiety dało się łatwo oszacować na podstawie towarzyszących znalezisku obiektów, ale uczeni, którzy ją wydobyli, podali precyzyjną datę, używając najbardziej wyrafinowanych technik, jak: datowanie potasowo-argonowe skał w jaskini pochówku, datowanie szeregów uranowych w złożach trawertynu na ścianach, ślady rozpadu atomowego w szkliwie wulkanicznym, datowanie termoluminescencyjne spalonych odprysków krzemienia. Z tych samych technik — udoskonalonych jeśli chodzi o dokładność i zakres

zastosowań — korzystali archeolodzy na Resurgamie. Fizyka rozwinęła jedynie ograniczoną liczbę metod datowania obiektów. Sylveste powinien to wszystko natychmiast dostrzec i poznać, czym jest ta czaszka — najstarszym ludzkim obiektem na Yellowstone, przywiezionym wieki wcześniej do układu Epsilon Eridani, a potem zagubionym podczas niepokojów w kolonii. To, że Calvin ją odkopał, samo w sobie stanowiło cud.

A jednak powodem wstydu, jaki gwałtownie odczuł, mniej była okazana niewdzięczność niż to, że tak łatwo ujawnił własną ignorancję. Wszak bez trudu mógł ją ukryć. Postanowił, że na podobną słabość nigdy już sobie nie pozwoli. Lata później czaszka poleciała z nim na Resurgam jako przypomnienie o tym ślubie.

Nie mógł teraz zawieść.

— Jeśli jest tak, jak twierdzisz — powiedziała Pascale — to znaczy, że nie pochowano ich w ten sposób bez przyczyny.

— Może jako ostrzeżenie — odparł Sylveste i zszedł do trzech studentów.

— Obawiałam się, że coś takiego powiesz. — Pascale podążyła za nim. — A czego właściwie miałoby dotyczyć to straszne ostrzeżenie?

Sylveste doskonale wiedział, że pytała retorycznie. Dokładnie rozumiała jego poglądy na temat Amarantinów. Chyba lubiła to drążyć. Zmuszając go, by ciągle je powtarzał, mogłaby w końcu spowodować, że w jego rozumowaniu ujawni się jakiś błąd logiczny, który nawet on sam uzna za podważający całą teorię.

— Wydarzenie. — Mówiąc to, Sylveste przesunął palcem po cienkiej czarnej linii za szalunkiem.

— Wydarzenie przyszło do Amarantinów niespodziewanie — odparła Pascale. — Nie mieli na nie wpływu. A poza tym nastąpiło szybko. Nie było czasu na rozmyślanie, jak chować ciała, przekazując złowrogie ostrzeżenie. Nawet jeśli częściowo rozumieli, co się z nimi dzieje.

— Rozgniewali bogów — stwierdził Sylveste.

— Tak, chyba wszyscy zgadzamy się co do tego, że musieli interpretować Wydarzenie w ramach swego systemu religijnego jako dowód boskiego niezadowolenia. Nie pozostało jednak czasu na wyrażenie tej wiary w żadnej stałej formie nim wszyscy zginęli, a już na pewno nie na pochówek dla przyjemności przyszłych archeologów z odmiennych gatunków. — Nasunęła kaptur i zaciągnęła wiązania, ponieważ lekkie smużki pyłu zaczęły osiadać w szybie i powietrze nie było już tak spokojne, jak jeszcze kilka minut temu. — Ale ty sądzisz inaczej, prawda? — Nie czekając na odpowiedź, nasunęła na oczy solidne gogle, które na chwilę zakłóciły jej widzenie peryferyjne, i spojrzała na powoli odsłaniany obiekt.

Gogle Pascale pobierały dane z grawitometrów obrazujących

rozmieszczonych wokół siatki Wheelera i nakładały stereoskopowy obraz zakopanej masy na normalny widok. Sylveste uzyskiwał ten sam efekt, wydając polecenie swoim oczom. Podłoże stało się szkliste, niematerialne — brązowawa krata, w której leżał zakopany wielki obiekt. Był to obelisk — potężny blok wyrzeźbionej skały, włożony z kolei w kilka kamiennych sarkofagów. Miał dwadzieścia metrów wysokości. Wykopalisko odsłaniało zaledwie parę centymetrów z samej góry. Z jednej strony umieszczono jakiś napis w standardowym systemie znaków z późnej epoki kultury Amarantinów. Grawitometry obrazujące nie potrafiły jednak uzyskać rozdzielczości przestrzennej potrzebnej do odczytania tekstu. Żeby się czegokolwiek dowiedzieć, należało obelisk odkopać.

Sylveste kazał swoim oczom, by przywróciły mu normalne widzenie.

— Pracujcie szybciej — polecił studentom. — Nieszkodzi, jeśli na powierzchni powstaną drobne rysy. Dziś wieczór chcę mieć odsłonięty przynajmniej metr obelisku.

Jeden ze studentów, klęcząc, odwrócił się do niego.

— Proszę pana, słyszeliśmy, że trzeba porzucić wykopalisko.

— A czemuż to miałbym je porzucać?

— Z powodu burzy.

— Do diabła z burzą. — Dość oschle wyszarpnął się, gdy Pascale ujęła go za rękę.

— Dan, mają powody do niepokoju. — Mówiła cicho, tylko do niego. — Ja też słyszałam prognozę. Powinniśmy wracać do Mantell.

— I stracić to wszystko?

— Wrócimy tu.

— Może się okazać, że już nigdy nie odnajdziemy tego miejsca, nawet jeśli zakopiemy transponder. — Wiedział, że ma rację: lokalizacja wykopaliska była niepewna, mapy tego rejonu nie grzeszyły dokładnością. Zestawiono je w pośpiechu, gdy przed czterdziestu laty „Lorean” przyleciał z Yellowstone i okrążył planetę. Od czasu buntu, kiedy to zniszczono pas satelitów — a połowa kolonistów postanowiła ukraść statek i wracać do domu — nie istniał sposób dokładnego określenia położenia czegoś na Resurgamie. A wiele transponderów po prostu psuło się podczas burzy maczetowej.

— Mimo to nie warto ryzykować ludzkiego życia — stwierdziła Pascale.

— Może być warte znacznie więcej. — Pstryknął na studenta. — Szybciej. Jeśli trzeba, użyjcie serwitorów. Przed świtem chcę zobaczyć szczyt obelisku.

Sluka, jego doktorantka, mamrotała coś pod nosem.

— Jakiś komentarz? — spytał Sylveste.

Sluka wstała chyba po raz pierwszy od wielu godzin. Widział w

jej oczach zmęczenie. Z dłoni dziewczyny wysunęła się szpatułka i upadła przy butach ochronnych, które Sluka miała na nogach. Zerwała z twarzy maskę, oddychała kilka sekund resurgamskim powietrzem.

— Musimy porozmawiać.

— A o czym, Sluko?

Nim się odezwała, zaczerpnęła powietrza z maski.

— Igrasz z losem, doktorze Sylveste.

— A ty igrasz na skraju przepaści.

Wydawało się, że go nie dosłyszała.

— Zrozum, twoja praca jest dla nas ważna. Podzielamy twoje nadzieje. Dlatego zginamy tu karki. Ale nie powinieneś uważać, że tak będzie stale i że nie musisz o nas zabiegać. — Spojrzała na Pascale i jej oczy błysnęły białymi łukami. — Teraz potrzebujesz wszelkich sprzymierzeńców, doktorze.

— Czy mam to rozumieć jako groźbę?

— Stwierdzenie faktu. Jeśli zwracałbyś większą uwagę na to, co dzieje się w innych miejscach kolonii, wiedziałbyś, że Girardieau planuje ruch przeciw tobie. Krążą pogłoski, że ten ruch nastąpi szybciej, niż się spodziewasz.

Poczuł mrowienie na karku.

— O czym mówisz? Co to znaczy?

— A o czymże? O zamachu! — Sluka przepchnęła się obok niego, by wejść po drabinie przy ścianie studni. Gdy postawiła stopę na pierwszym szczeblu, odwróciła się i powiedziała do dwóch studentów w skupieniu odkopujących obelisk: — Pracujcie tak długo, jak chcecie, tylko nie mówcie potem, że nikt was nie ostrzegł. A jeśli macie wątpliwości, jak to jest, gdy zostanie się złapanym przez burzę maczetową, przyjrzyjcie się Sylveste'owi.

Jeden ze studentów podniósł nieśmiało wzrok.

— Dokąd idziesz, Sluko?

— Porozmawiać z innymi grupami. Może nie wszyscy wiedzą o tym ostrzeżeniu. Gdy je usłyszą, niewielu zechce tu pozostać.

Zaczęła się wspinać, ale Sylveste pochwycił ją za obcas. Spojrzała w dół. Założyła teraz maskę, ale mimo to Sylveste widział wyraz pogardy na jej twarzy.

— Jesteś skończona, Sluko.

— Nie. — W dalszym ciągu się wspinała. — Dopiero zaczynam. Na twoim miejscu martwiłabym się o siebie.

Sylveste przeanalizował stan swego ducha i przekonał się, że jest zupełnie spokojny. Tego najmniej się spodziewał. Był to jednak spokój, jaki panuje w oceanach metalicznego wodoru wielkich planet gazowych daleko od Delty — spokój utrzymywany tylko dzięki miażdżącemu ciśnieniu z dołu i z góry.

— Co teraz? — spytała Pascale.

— Muszę z kimś porozmawiać — odparł.

Sylveste wszedł po rampie do swojego pełzacza. Druga maszyna była zapchana pudłami ze sprzętem i pojemnikami z zebranym materiałem; hamaki studentów wciśnięto w małe nisze wolnej przestrzeni. Musieli spać na pokładzie pojazdów, ponieważ niektóre stanowiska archeologiczne w tym sektorze — podobnie jak to wykopalisko — znajdowały się w odległości dnia drogi od Mantell. Maszyna Sylveste'a była znacznie lepiej wyposażona: ponad jedną trzecią miejsca przeznaczono na jego pokój sztabowy i kwatery; resztę wnętrza zajmowały ładownie i parę skromniejszych kwater dla starszych współpracowników lub gości — w tej wyprawie dla Pascale i Sluki. Teraz jednak Sylveste miał cały pojazd dla siebie.

Wystrój pokoju miał maskować fakt, że pomieszczenie to znajduje się na pokładzie pełzacza. Ściany wyłożono czerwonym aksamitem, półki zapełniono modelami przyrządów naukowych i podróbkami artefaktów; powieszono również wielkie, wytwornie opisane mapy Resurgamu w odwzorowaniu Mercatora, z zaznaczonymi punktami najważniejszych znalezisk cywilizacji Amarantinów. W innych miejscach powierzchnię ścian pokrywały powoli aktualizujące się teksty: artykuły naukowe w przygotowaniu. Jego własna symulacja poziomu beta wykonywała obecnie większość rutynowej pracy nad artykułami; Sylveste wytrenował symulację do takiego stopnia, że potrafiła operować jego stylem dokładniej niż on sam, zwłaszcza że od pracy odciągały go bieżące zajęcia. Później, gdy czas pozwoli, miał sprawdzić te teksty, ale teraz tylko na nie zerkał, przechodząc do biurka. Ozdobny mebel był udekorowany marmurem i malachitem z japońskimi inkrustacjami przedstawiającymi wczesne podboje kosmiczne.

Sylveste otworzył szufladę i wyjął kartridż symulacji — nieoznaczony, szary prostopadłościan, przypominający płytkę ceramiczną. W górnej części biurka znajdował się otwór. Wystarczyło wsunąć kartridż, by wywołać Calvina. Jednak Sylveste się wahał. Przynajmniej miesiąc upłynął od poprzedniego wywołania Calvina z krainy zmarłych i to ostatnie spotkanie przebiegło wyjątkowo parszywie. Sylveste obiecał sobie wtedy, że ponownie przywoła ojca tylko w sytuacji kryzysowej. Ale czy teraz rzeczywiście miała miejsce taka sytuacja? To zależało od punktu widzenia. I czy była dostatecznie trudna, by usprawiedliwić wywołanie? Problem polegał na tym, że rady Calvina okazywały się skuteczne tylko w połowie przypadków.

Sylveste wcisnął kartridż do biurka.

Pośrodku pokoju siły wróżki wywołały postać Calvina rozpartego w przepastnym, majestatycznym fotelu. Wyglądał realniej niż jakikolwiek hologram — widoczne były nawet subtelne światłocienie — ponieważ obraz wygenerowano, manipulując

bezpośrednio polem widzenia Sylveste'a. Symulacja poziomu beta przedstawiała Calvina w jego najlepszych czasach, ze szczytowego okresu na Yellowstone, gdy miał zaledwie pięćdziesiątkę. To dziwne, ale wyglądał starzej od Sylveste'a, choć wizerunek Calvina był siedemdziesiąt lat młodszy w sensie fizjologicznym. Sylveste przekroczył dwieście osiem lat, ale kuracja długowieczności, jaką zaaplikowano mu na Yellowstone, była skuteczniejsza od wszelkich zabiegów dostępnych w czasach ojca.

Poza tym budowę i rysy twarzy mieli niemal identyczne, usta stale wygięte w figlarny łuk. Sylveste miał na sobie surowe ubranie poszukiwacza, natomiast Calvin nosił krótsze włosy, a jego strój cechowało wyrafinowanie belle epoque demarchistów: powiewna koszula i spodnie w elegancką kratę, wetknięte w cholewy pirackich butów; na jego palcach połyskiwały drogocenne kamienie i metal. Nienagannie przycięta broda tworzyła nieco ciemniejszą rudawą linię wzdłuż szczęki. Małe entoptyki otaczały siedzącą postać — symbole logiki boolowskiej i trójwartościowej oraz długie ciągi zero-jedynkowe. Jedna dłoń gładziła szczecinę podbródka, druga spoczywała na rzeźbionym ślimaku na oparciu fotela.

Przez projekcję prześlizgnęła się fala ożywienia, blade oczy rozbłysły zainteresowaniem.

Calvin uniósł palce w leniwym geście pozdrowienia.

— Tak. Za chwilę wszyscy zostaną obryzgani gównem.

— Sporo zakładasz.

— Mój drogi, niczego nie muszę zakładać. Podłączyłem się do sieci i dostałem do ostatnich kilku tysięcy wiadomości. — Wyciągnął szyję, by obejrzeć gabinet. — Niezłe gniazdko. A przy okazji, jak twoje oczy?

— Działają tak dobrze, jak można by tego po nich oczekiwać.

Calvin skinął głową.

— Rozdzielczość nie nadzwyczajna, ale nic lepszego nie mogłem osiągnąć za pomocą narzędzi, jakie miałem do dyspozycji. Prawdopodobnie podłączyłem na nowo tylko czterdzieści procent twoich optycznych kanałów nerwowych, dlatego wstawienie lepszych kamer byłoby bez sensu. Gdyby na tej planecie poniewierał się trochę lepszy sprzęt chirurgiczny, mógłbym spróbować czegoś więcej. Ale nie oczekujmy, że Michał Anioł szczoteczką do zębów wymalowałby wspaniałą Kaplicę Sykstyńską.

— Dobrze, wypominaj mi.

— Nawet bym nie śmiał — odparł Calvin z całkowicie niewinnym wyrazem twarzy. — Mówię tylko, że skoro już musia — łeś pozwolić Alicji zabrać „Lorean", mógłbyś przynajmniej namówić ją, by zostawiła nam trochę sprzętu medycznego.

Dwadzieścia lat temu jego żona przewodziła rebelii przeciw

niemu. Calvin ciągle mu o tym przypominał.

— Zatem złożyłem siebie w ofierze, i tyle. — Sylveste machnął ręką, by uciszyć obraz. — Wybacz, Cal, ale nie przywołałem cię tutaj na pogawędkę przy kominku.

— Wolałbym, żebyś zwracał się do mnie „ojcze".

Sylveste zignorował ten komentarz.

— Wiesz, gdzie jesteśmy?

— Przypuszczam, że na wykopalisku. — Calvin zamknął na chwilę oczy i palcami dotknął skroni, chcąc się skoncentrować. — Tak, popatrzmy. Dwa pełzacze ekspedycyjne z Mantell, w pobliżu Stepów Ptero… krata Wheelera… niezwykle dziwne! Ale przypuszczam, że dość dobrze służy twym celom. A tu co takiego? Sekcja grawitometrów wysokiej rozdzielczości… sejsmogramy… Rzeczywiście coś znalazłeś?

W tym momencie z biurka wyskoczyła wróżka stanu ogólnego i oznajmiła, że jest telefon z Mantell. Sylveste uniósł dłoń ku Calvinowi, zastanawiając się, czy przyjąć rozmowę. Osobą usiłującą się z nim skontaktować był Henry Janeąuin, specjalista od biologii awianów i jeden z niewielu otwartych sojuszników Sylveste'a. Janeąuin znal prawdziwego Calvina, ale Sylveste byl niemal pewien, że nigdy nie zetknął się z Calvinowskim beta-poziomem… a już na pewno nie podczas seansu, gdy syn zasięgał ojcowskiej rady. Przyznanie się do tego, że Sylveste potrzebował pomocy Cala, że w ogóle wpadł na pomysł, by w tym celu wywołać symulację, mogłoby zostać uznane za objaw słabości.

— Na co czekasz? — spytał Cal. — Odbierz.

— On nie wie o tobie… o nas.

Calvin pokręcił głową… i nagle Janeąuin pojawił się w pokoju. Sylveste usiłował zachować obojętność, choć zrozumiał, co się stało: Calvin znalazł sposób na wysłanie polecenia funkcjom prywatnego poziomu biurka.

Calvin był i pozostał przebiegłym draniem, pomyślał Sylveste. W końcu właśnie dlatego jest nadal użyteczny.

Sylwetka Janeąuina była nieco mniej wyraźna od postaci CaWina, gdyż obraz Janeąuina był przesyłany z Mantell przez dość dziurawą sieć satelitów. A kamery zbierające obraz pamiętały chyba lepsze czasy.

Jak większość sprzętu na Resurgamie, pomyślał Sylveste.

— Jesteś wreszcie — powiedział Janeąuin. W pierwszej chwili zauważył tylko Sylveste'a. — Przez ostatnią godzinę usiłowałem się z tobą skontaktować. Nie masz jakiegoś urządzenia, które dawałoby ci informacje o nadchodzących rozmowach, gdy jesteś na dole, w szybie?

— Mam — odparł Sylveste. — Ale je wyłączyłem. Zbyt mi przeszkadzało.

— Aha — mruknął Jeneąuin z ledwo zauważalnym rozdrażnieniem. — Naprawdę sprytne. Zwłaszcza u osoby na twoim stanowisku. Oczywiście wiesz, co mam na myśli. Zbierają się chmury, Dan, chyba większe niż… — Janeąuin dopiero teraz dostrzegł CaWina. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się postaci w fotelu. — Słowo daję, czy to ty?

Cal bez słowa skinął głową.

— Symulacja poziomu beta — oznajmił Sylveste. Ważne wyjaśnienie przed dalszą rozmową. Alfa i beta to zasadniczo odmienne symulacje i etykieta Stonerów bardzo drobiazgowo je rozróżniała. Sylveste popełniłby niewybaczalną gafe, dopuszczając, by Janeąuin myślał, że ma do czynienia z dawno utraconym nagraniem poziomu alfa. — Konsultowałem się z nim… z tym… — powiedział Sylveste.

Calvin zrobił znaczącą minę.

— W jakiej sprawie? — spytał Janeąuin. Był starym człowiekiem, najstarszym na Resurgamie. Z każdym rokiem jego powierzchowność stopniowo zbliżała się do jakiegoś małpiego ideału. Siwe włosy, wąsy i broda otaczały małą różową twarz niczym u egzotycznej uistiti. Na Yellowstone nie było bardziej utalentowanego eksperta w dziedzinie genetyki spoza Mixmasterów, a niektórzy cenili Janeąuina znacznie wyżej od członków tej sekty, za jego skromny geniusz, przejawiający się nie w błyskotliwych popisach, ale w wieloletniej systematycznej, znakomitej pracy. Znacznie przekroczył trzysetkę i nakładające się warstwy kuracji długowieczności zaczynały się w widoczny sposób ścierać. Sylveste sądził, że wkrótce Janeąuin zostanie pierwszą osobą na Resurgamie, która umrze ze starości. Myślał o tym ze smutkiem. Choć w wielu sprawach się nie zgadzali, to zawsze omawiali w cztery oczy wszystkie ważne rzeczy.

— On coś znalazł — powiedział Cal.

Oczy Janeąuina pojaśniały, radość z naukowego odkrycia odjęła mu lat.

— Naprawdę?

— Tak, ja… — Wtem nastąpiło coś dziwnego. Pokój nagle zniknął. Oni trzej stali na balkonie, wysoko ponad miastem — Sylveste natychmiast rozpoznał, że to Chasm City. Znowu robota Calvina. Biurko poszło za nimi jak posłuszny pies. Jeśli Cal może sięgnąć do funkcji poziomu prywatnego, pomyślał Sylveste, potrafi również zrobić taki trik, uruchamiając jedno ze standardowych środowisk biurka. A symulacja była naprawdę dobra: nawet wiatr owiewał twarz Sylveste'a, przynosząc ledwo uchwytny miejski zapach, trudny do określenia, ale jednak wyczuwalny, dzięki temu, że był nieobecny w tańszych symulacjach.

Miał przed oczami miasto ze swego dzieciństwa ze szczytowego

okresu belle epoque. Imponujące złote budowle odchodziły w dal jak rzeźbione obłoki kipiące powietrznym ruchem. Poniżej zachwycające tarasy parków i ogrodów schodziły ku zielonkawej mgle bujnej roślinności i światłu, kilometry pod balkonem, na którym stali.

— Czy to nie wspaniałe odwiedzić stare kąty? — powiedział Cal. — I myśleć, że mogły do nas należeć… w zasięgu naszego klanu… kto wie, jak by to wpłynęło na bieg wydarzeń, gdybyśmy rządzili miastem?

Janequin oparł się o barierkę.

— Pięknie, Calvin, ale ja tu nie przyszedłem na wycieczkę. Dan, co zamierzałeś mi powiedzieć, zanim…

— …tak niegrzecznie nam przerwano? — dokończył Sylveste. — Miałem powiedzieć Calowi, by wyciągnął dane grawitometryczne z biurka, ponieważ, jak widać, potrafił czytać moje prywatne pliki.

— Naprawdę nie ma w tym nic nadzwyczajnego dla osoby o mojej pozycji — stwierdził Cal. Przez chwilę pobierał brązowawy obraz zakopanego obiektu — przed nimi, za barierką tarasu, zawisnął obelisk chyba naturalnej wielkości.

— O, bardzo interesujące — zauważył Janequin. — Naprawdę, bardzo interesujące.

— Niezłe — potwierdził Cal.

— Niezłe? — Sylveste był zdziwiony. — Jest większy i lepiej zachowany od wszystkich szczątków, jakie dotychczas znaleźliśmy. I to o rząd wielkości. To dowód, że mamy do czynienia z bardziej zaawansowaną fazą techniki Amarantinów… może nawet fazą poprzedzającą pełną rewolucję przemysłową.

— Przypuszczam, że to bardzo znaczące znalezisko — powiedział Cal zrzędliwie. — A ty… masz zamiar to odkopać?

— Tak, jeszcze niedawno zamierzałem to zrobić. — Sylveste zamilkł na chwilę. — Ale właśnie coś się wydarzyło. Zostałem… dowiedziałem się, że Girardieau chyba planuje jakiś wrogi ruch, i to znacznie wcześniej, niż się obawiałem.

— Nie może cię ruszyć bez poparcia większości w radzie ekspedycji — stwierdził Cal.

— Nie, nie może — przyznał Janequin. — Jeśli zamierza to zrobić w ten sposób. Ale informacje Dana są prawdziwe. Zdaje się, że Girardieau planuje akcję bardziej bezpośrednią.

— To byłoby równoznaczne z… zamachem.

— Chyba tak to się dokładnie nazywa — powiedział Janequin.

— Jesteś pewien? — Calvin znów się skoncentrował. Na jego czole pojawiła się ciemna zmarszczka. — Tak, możesz mieć rację. Media wiele spekulowały na temat kolejnego posunięcia Girardieau oraz na temat tego, że Dan cały czas przebywa na wykopkach, podczas gdy kolonia przeżywa kryzys przywództwa. Znacznie zwiększyła się

ilość zaszyfrowanych komunikatów między osobami uważanymi za sprzymierzeńców Girardieau. Oczywiście, nie potrafię złamać kodu, ale z pewnością mogę snuć spekulacje na podstawie zwiększonej wymiany korespondencji.

— Coś rzeczywiście planują — stwierdził Sylveste. Sluka miała rację, pomyślał. Zatem oddała mu przysługę, choć zagroziła opuszczeniem wykopaliska. Gdyby nie jej ostrzeżenie, nigdy by się nie zdecydował na wywołanie Cala.

— Na to wygląda — przyznał Janeąuin. — Dlatego próbowałem się z tobą skontaktować. To, co Cal mówi o sympatykach Girardieau, potwierdza tylko moje obawy. — Mocniej zacisnął dłonie na barierce. Mankiet kurtki wiszącej na jegc chudym ciele miał wzorek w pawie oczka. — Sądzę, Dan, że nie ma sensu, bym tu pozostawał. Usiłowałem utrzymywać z tobą kontakt, nie wzbudzając podejrzeń, ale mam wszelkie podstawy przypuszczać, że nasza rozmowa jest podsłuchiwana. Nie powinienem już nic więcej mówić. — Odwrócił się tyłem do panoramy miasta. — Calvinie — powiedział do siedzącego — cieszę się, że po tak długim czasie mogłem cię znowu zobaczyć.

— Dbaj o siebie. — Cal uniósł dłoń ku Janeąuinowi. — I powodzenia z pawiami.

Janeąuin był najwyraźniej zdziwiony.

— Wiesz o moim projekciku?

Calvin tylko się uśmiechnął. Pytanie Janeąuina było przecież zbyteczne, pomyślał Sylveste.

Starzec machnął ręką — środowisko działało na pełną interakcję dotykową — i wyszedł z zasięgu swej komory obrazowania.

Na balkonie pozostali tylko oni dwaj.

— No i co? — spytał Cal.

— Nie mogę sobie pozwolić na utratę kontroli nad kolonią. — Sylveste nadal był nominalnym dowódcą całej ekspedycji na Resurgamie, nawet po ucieczce Alicji. Formalnie ci wszyscy, którzy nie wrócili z nią do domu, ale postanowili pozostać na planecie, powinni być jego sojusznikami, więc jego pozycja powinna się wzmocnić. Tak się jednak nie stało. Niektórzy zwolennicy poglądów Alicji nie zdołali dostać się na pokład „Lorean", nim statek opuścił orbitę. A wśród tych, co zostali, poprzednio sympatyzujących z Sylveste'em, wielu sądziło, że źle — a nawet zbrodniczo — postępował w kryzysowej sytuacji. Jego wrogowie twierdzili, że to, co Żonglerzy Wzorców zrobili mu z głową, jeszcze przed jego spotkaniem z Całunnikami, ujawnia się dopiero teraz. I są to patologie graniczące z szaleństwem. Nadal prowadzono badania nad Amarantinami, choć z coraz mniejszym zaangażowaniem, natomiast różnice i niechęci polityczne narastały i nie dawało się ich już zniwelować. Osoby ze

szczątkową lojalnością w stosunku do Alicji — główną postacią wśród nich był Girardieau — wtopiły się w Potopowców. Archeolodzy Sylveste'a gorzknieli i w grupie zapanowała atmosfera oblężonej twierdzy. Po obu stronach zdarzyły się zgony, które niełatwo było uznać za zwykłe wypadki. Teraz sytuacja osiągnęła stan wymagający działań i właśnie Sylveste musiał znaleźć wyjście z kryzysu. — Ale nie mogę również wypuścić z rąk tego… — Wskazał obelisk. — Potrzebuję twojej rady, Cal. I wydostanę ją, bo zależysz ode mnie całkowicie. Jesteś kruchy, pamiętaj o tym.

Calvin niespokojnie poruszył się na krześle.

— A więc wywierasz nacisk na swego starego ojca. Urocze.

— Nie — odparł Sylveste przez zaciśnięte zęby. — Mówię tylko, że jeśli nie udzielisz mi wskazówek, możesz wpaść w niewłaściwe ręce. Mówiąc trywialnie, jesteś jeszcze jednym członkiem naszego znamienitego klanu.

— Ale ty niezupełnie się z tym zgadzasz, prawda? Według ciebie jestem tylko programem, pojawieniem. Kiedy znów mi pozwolisz przejąć swoje ciało?

— Na twoim miejscu nie oczekiwałbym tego z zapartym tchem.

Calvin uniósł palec w geście upomnienia.

— Nie bądź złośliwy, synu. To ty mnie wywołałeś, a nie ja ciebie. Jeśli chcesz, schowaj mnie znów do lampy. Ja jestem zadowolony.

— Schowam, kiedy udzielisz mi rady.

Calvin pochylił się w krześle.

— Powiedz, co zrobiłeś z moją symulacją poziomu alfa, a niewykluczone, że rozważę twoją prośbę. — Uśmiechnął się szelmowsko. — Do diabła, mógłbym nawet opowiedzieć parę nieznanych ci historii o Osiemdziesięciu.

— Zmarło siedemdziesiąt dziewięć niewinnych osób — rzekł Sylveste. — Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Nie obarczam cię za to odpowiedzialnością. To tak, jakby oskarżać fotografa tyrana za przestępstwa wojenne.

— Dałem ci wzrok, ty niewdzięczny draniu. — Fotel okręcił się i tył solidnego oparcia był zwrócony teraz do Sylveste'a. — Przyznaję, że twoje oczy nie są najbardziej nowoczesne, ale czego mogłeś oczekiwać? — Fotel znów się okręcił. Calvin był ubrany tak jak teraz Sylveste, włosy miał ułożone w ten sam sposób, a jego twarz odznaczała się tą samą gładką karnacją. — Powiedz mi coś o Całunnikach. Powiedz mi, synu, o twych tajemnych winach. Powiedz, co się naprawdę wydarzyło w Całunie Lascaille'a. I nie chcę kłamstw, które rozsiewasz od swojego powrotu.

Sylveste podszedł do biurka, gotów wyjąć kartridż.

— Poczekaj — powiedział Calvin, unosząc nagle dłonie. — Chcesz mojej rady?

— No, nareszcie do czegoś dochodzimy — odrzekł Sylveste.

— Nie możesz pozwolić, by Girardieau zwyciężył. Jeśli grozi ci zamach, musisz wrócić do Cuvier. Tam możesz zmobilizować resztki swoich zwolenników.

Sylveste spojrzał przez okno pełzacza na kratę wykopaliska. Cienie kładły się na bruzdach — pracownicy opuszczali teren i w milczeniu szli schronić się do drugiego pełzacza.

— To może być najważniejsze znalezisko od naszego przybycia na tę planetę.

— I niewykluczone, że będziesz musiał je poświęcić. Jeśli utrzymasz Girardieau w ryzach, zostanie ci przynajmniej ten luksus, że będziesz mógł tu wrócić i podjąć poszukiwania. Ale jeśli Girardieau zwycięży, wszystkie twoje znaleziska będą figę warte.

— Wiem — odparł Sylveste. Przez chwilę nie było między nimi wrogości. Rozumowaniu Calvina nie mógł niczego zarzucić i udawanie, że jest inaczej, byłoby niskie.

— Zatem posłuchasz mojej rady?

Sięgnął po kartridż.

— Pomyślę o tym.

DWA

Na pokładzie światłowca, przestrzeń międzygwiezdna, 2543

Problem z umarłymi polega na tym, że nie mają pojęcia, kiedy się zamknąć, pomyślała Triumwir Ilia Volyova.

Wsiadła przed chwilą z mostka do windy, zmęczona po osiemnastu godzinach konsultacji z rozmaitymi symulacjami żyjących niegdyś postaci z odległej przeszłości statku. Usiłowała je na czymś przyłapać, z nadzieją, że któreś z nich ujawni jakieś ukryte fakty na temat pochodzenia kazamaty. Wyczerpująca praca, gdyż starsze osobowości poziomu beta nie potrafiły nawet mówić współczesnym norte, a software, który je obsługiwał, z jakiegoś powodu nie chciał dokonać tłumaczenia. Podczas całej sesji Volyova paliła papierosa za papierosem, brnąc przez gramatyczne zawiłości średniego norte. Teraz nadal napełniała sobie płuca dymem. Spięta po rozmowie, kark miała zesztywniały i bardzo był jej potrzebny papieros. Klimatyzacja windy niezbyt dobrze działała; po paru sekundach kabina wypełniła się dymem.

Volyova odsunęła mankiet swej obramowanej wełną skórzanej kurtki i mówiła do bransolety na kościstym nadgarstku.

— Poziom kapitański — zwróciła się do „Nostalgii za Nieskończonością", która z kolei miała przydzielić mikroskopijną cząstkę swej tożsamości do prymitywnego zadania sterowania windą. Po chwili podłoga ruszyła w dół.

— Czy życzysz sobie muzyki podczas tranzytu?

— Nie. Tysiąc razy przy podobnych okazjach musiałam ci przypominać, że chcę ciszy. Zamknij się i daj mi spokojnie pomyśleć.

Jechała pionem głównym — czterokilometrowym szybem, biegnącym wzdłuż całego statku. Wsiadła w pobliżu nominalnego szczytu szybu (miał co najmniej 1050 poziomów — o tylu wiedziała) i teraz opadała z prędkością dziesięciu pokładów na sekundę. Kabina windy była pudełkiem o szklanych ścianach, zawieszonym w polu; od czasu do czasu wykładzina bezszynowego szybu stawała się przezroczysta i Volyova bez sprawdzania wewnętrznej mapy windy mogła ocenić, gdzie się znajduje. Teraz zjeżdżała przez lasy: tarasowe ogrody roślinności planetarnej rosły dziko, zaniedbane marniały, gdyż lampy ultrafioletowe, dostarczające kiedyś światła słonecznego, były teraz w większości popsute i nikt nie zadawał sobie trudu, by je reperować. Poniżej lasów przemknęła jak duch przez osiemset pokładów — rozległe partie statku oddane do dyspozycji załodze, gdy

ta liczyła sobie wiele tysięcy osób. Poniżej poziomu 800 winda przejechała przez wielką, a teraz nieruchomą armaturę rozdzielającą obracalny habitat statku i nieobracalne sekcje techniczne, a potem opadła przez dwieście poziomów nisz przechowalni kriogenicznych; wystarczyłoby miejsca dla stu tysięcy śpiących — teraz nie było tu nikogo.

Volyova przejechała już ponad kilometr, ale środowiskowe ciśnienie statku pozostawało stałe; systemy podtrzymywania życia należały do nielicznych nadal poprawnie działających układów. Mimo to resztki instynktu podpowiadały jej, że wraz z przyśpieszonym spadaniem powinna czuć ucisk w uszach.

— Poziomy atrium — oznajmiła winda, czytając od dawna zbyteczny zapis zamierzchłego rozkładu statku. — Służą rozrywce i rekreacji.

— Strasznie zabawne.

— Przepraszam?

— Musisz mieć dość dziwną definicję rekreacji. Chyba że według ciebie wypoczynek polega na tym, by włożyć opancerzony kombinezon próżniowy i zażywać środki przeczyszczające podczas terapii antyradiacyjnej.

— Przepraszam?

— Dajmy spokój. — Volyova westchnęła.

Następny kilometr jechała przez rejony — tylko część z nich była napełniona powietrzem. Czuła, jak jej ciężar się zmniejsza, i wiedziała, że mija silniki umieszczone poza kadłubem statku na eleganckich dźwigarach. Z rozdziawionymi gębami wsysały maleńkie ilości międzygwiazdowego wodoru i poddawały swój plon jakimś procesom zgodnym z niewyobrażalnymi prawa fizyki. Nikt — nawet Volyova — nie udawał, że rozumie, jak działają silniki Hybrydowców. Ważne, że działały. I co równie ważne, wytwarzały stały ciepły żar promieniowania cząstek egz tycznych. Większość z nich zmywała powłoka statku, część jednak przedostawała się do środka. Dlatego winda gwałtownie przyspieszała przy silnikach, a potem zwalniała do swej zwykłej prędkości, gdy znalazła się już poza niebezpieczeństwem.

Volyova przebyła dwie trzecie drogi w dół. Ten rejon statku znała najlepiej spośród wszystkich członków załogi; Sajaki, Hegazi i inni rzadko zjeżdżali tak nisko, chyba że mieli jakiś szczególny powód. Któż mógłby mieć do nich pretensje? Im niżej dołu, tym bliżej kapitana. Ona była jedyną osobą, której nie przerażała myśl o jego bliskości.

Nie, zupełnie nie bała się tego królestwa i uczyniła zeń swe imperium. Na poziomie 612 mogła wysiąść, nawigować dc komory pajęczej i wyprowadzić ją na zewnątrz kadłuba, gdzie nasłuchiwała duchów, nawiedzających międzygwiezdną przestrzeń. Kuszące —

zawsze. Ale miała przed sobą zadanie, jechała w określonym celu, a duchy i tak tu znajdzie innym razem. Na poziomie 500 minęła centralę uzbrojenia, pomyślała o wszystkich związanych z nią problemach. Musiała oprzeć się pokusie, bo chciała tu przystanąć i przeprowadzić kilka nowych badań. Po chwili centrala została w górze i Volyova spadała przez komorę kazamaty jedną z kilku olbrzymich, nie wypełnionych powietrzem wnęk na statku.

Komora była olbrzymia, od krańca do krańca liczyła sobie prawie pół kilometra. Teraz jednak panowała w niej ciemność i Volyova musiała sobie wyobrazić czterdzieści spoczywających tam obiektów. Nigdy nie sprawiało jej to trudności. Nie wszystko wiedziała o działaniu i pochodzeniu tych obiektów, doskonale jednak znała ich kształty i wzajemne położenie, jakby znalazła się w metodycznie umeblowanej sypialni osoby niewidomej. Miała wrażenie, że nawet z windy mogłaby wyciągnąć rękę i pogłaskać stopową łuskę najbliższego przedmiotu, by się przekonać, czy ciągle jest na miejscu. Od kiedy weszła do Triumwiratu, poznawała te obiekty, poświęcając im większość czasu, ale nadal czuła się przy nich nieswojo. Zbliżała się do nich nerwowo jak nowa kochanka, świadoma, że informacje, które z mozołem dotychczas zdobyła, są powierzchowne i to, co leży głębiej, może zniszczyć wrażenie, jakie odniosła.

Kazamatę opuszczała zawsze bez większego żalu.

Na poziomie 450 pędziła przez inną armaturę, oddzielającą sekcję techniczną i zwężający się stożkowato ogon statku, który ciągnął się jeszcze przez kilometr. Znów przyśpieszenie, gdyż winda jechała przez strefę promieniowania, a potem długie hamowanie. Winda sunęła przez drugą warstwę poziomów pokładów kriogenicznych — dwieście pięćdziesiąt poziomów zdolnych przechować sto dwadzieścia tysięcy ludzi, ale teraz oczywiście przebywał tam tylko jeden śpiący — o ile stan kapitana można było miłosiernie nazwać snem. Teraz winda zwalniała. Pośrodku poziomów krio przystanęła i przyjaźnie oznajmiła, że dotarła do celu.

— Recepcja poziomu kriogenicznego dla pasażerów — informowała winda. — Spełnia twoje wymagania, dotyczące chłodnego snu podczas lotu. Dziękujemy za skorzystanie z tej usługi.

Drzwi się otworzyły, a Volyova przekroczyła próg i przez lukę spojrzała w dół zbiegających się oświetlonych ścian szybu. Przejechała niemal całą długość statku (lub jego wysokość — statek kojarzył się z niezwykle wysokim budynkiem), a mimo to wydawało się, że szyb opada jeszcze niżej w nieskończone głębie. Statek był tak wielki — idiotycznie wielki — że umysł nie ogarniał tych rozmiarów.

— Dobrze, dobrze. Teraz się odchrzań z łaski swojej.

— Przepraszam?

— Zjeżdżaj.

Oczywiście winda i tak by tego nie zrobiła, przynajmniej nie z jakiegoś rzeczywistego powodu, chyba tylko żeby Volyovą wprawić w lepszy humor. Musiała poczekać — nie miała nic innego do roboty. W ogóle tylko Volyova — jedyny rozbudzony człowiek na statku — miała powody, by korzystać z windy.

Od szybu do miejsca, gdzie znajdował się kapitan, musiała dość długo maszerować. Nie mogła iść najkrótszą drogą, gdyż całe sekcje statku były niedostępne, roiły się od wirusów powodujących rozległe zakłócenia w funkcjonowaniu statku. Niektóre rejony były zalane środkiem chłodzącym, inne poddane inwazji znarowionych szczurów-woźnych, jeszcze inne patrolowane przez boje obronne, które oszalały i lepiej było ich unikać, chyba że miało się ochotę na trochę sportu. Niektóre wypełniał gaz trujący lub próżnia, albo charakteryzowały się zbyt wysokim poziomem promieniowania. O innych mówiono, że nawiedzają je duchy.

Volyova nie wierzyła w duchy (choć oczywiście posiadała własne, do których miała dostęp przez komorę pajęczą), ale pozostałe czynniki traktowała naprawdę bardzo poważnie. Do niektórych części statku w ogóle nie wchodziła nieuzbrojona. Jednak otoczenie kapitana znała dość dobrze i nie były jej potrzebne dodatkowe środki ostrożności. Było zimno, Volyova postawiła kołnierz kurtki, mocniej naciągnęła kaptur, siateczkowa tkanina szorowała po szczecinie na jej czaszce. Volyova zapaliła następnego papierosa, zaciągnęła się, likwidując próżnię w głowie, zastępując ją dziarską żołnierską gotowością. Odpowiadała jej samotność. Cieszyła się na towarzystwo ludzi, ale bez wielkiego entuzjazmu. A już z pewnością nie wtedy, gdy chodziło o zajęcie się problemem Nagornego. Gdy dotrą do układu Yellowstone, zastanowi się nad obsadzeniem stanowiska zbrojmistrza kimś nowym.

Właśnie, w jaki sposób kłopot uciekł ze wszystkich partycji jej umysłu?

Teraz nie chodziło jej o Nagornego, lecz o kapitana. I oto on, a przynajmniej najbardziej zewnętrzne wypustki tego, czym stał się teraz. Volyova wzięła się w garść — potrzebowała opanowania. To, co miała teraz zbadać, zawsze przyprawiało ją o mdłości. Dla niej było to gorsze niż dla innych, jej wstręt był silniejszy. Była brezgati* — łatwo się brzydziła.

To cud, że chłodnia-spalnia, w której znajdował się Brannigan, nadal funkcjonowała. Konstrukcja była bardzo stara, solidna i ciągle usiłowała utrzymać jego komórki w równowadze, * Dialekt używany przez Volyovą różni się od dwudziestowiecznej ruszczyzny (przyp. tłum.). choć powłoka chłodni pokryła się wielkimi prehistorycznymi spęknięciami, a włókniste metalowe narośla wylewały się na zewnątrz, niczym grzyby wyrastały z wnętrza chłodni. To, co pozostało z Brannigana, znajdowało się w samym sercu urządzenia.

W pobliżu chłodni panowało dotkliwe zimno. Volyova zaczęła drżeć. Miała jednak zadanie do wykonania. Z kurtki wyjęła łyżkę chirurgiczną i pobrała drzazgi narośli do analizy. Po powrocie do laboratorium potraktuje je rozmaitymi broniami wirusowymi, z nadzieją, że któraś z nich uzyska przewagę nad naroślą. Volyova wiedziała z doświadczenia, że takie procedury są przeważnie jałowe — narośl posiadała fantastyczną zdolność niszczenia narzędzi molekularnych, wykorzystywanych przez Volyovą do badań. Specjalnego pośpiechu nie było — chłodnia utrzymywała Brannigana w temperaturze kilkuset milikelwinów powyżej zera bezwzględnego, co chyba stanowiło pewną przeszkodę w rozprzestrzenianiu się narośli. Z drugiej strony Volyova wiedziała, że żadna istota ludzka nie przeżyła ożywienia z takiego zimna. To akurat wydawało się nieistotne wobec kondycji kapitana.

— Otwórz mój plik dzienników na haśle „kapitan" i dołącz tę nową notatkę — powiedziała szeptem do bransolety.

Bransoleta zaćwierkała, sygnalizując gotowość.

— Trzecia kontrola kapitana Brannigana po moim przebudzeniu. Wydaje się, że zakres rozprzestrzeniania…

Zawahała się, świadoma, że złe sformułowanie mogłoby rozzłościć Triumwira Hegaziego, choć zbytnio się tym nie przejmowała. Czy odważyłaby się nazwać to „Parchową Zarazą" teraz, gdy Yellowstonersi nadali jej nazwę? Chyba nie byłoby to zbyt rozważne.

— …choroby pozostaje niezmienny od ostatniego zapisu. Posunęła się najwyżej kilka milimetrów. Jakimś cudem funkcje kriogeniczne nadal działają. Sądzę jednak, że powinniśmy liczyć się z tym, że w przyszłości nastąpi nieunikniona awaria jednostki chłodzącej.

A w duchu pomyślała, że jeśli awaria nastąpi, a oni zawczasu nie przeniosą kapitana do nowej chłodni (pytanie „w jaki sposób?" pozostawało bez odpowiedzi), wówczas ubędzie im jeden problem. Miała szczerą nadzieję, że zakończyłoby to również problemy kapitana.

— Zamknij dziennik — powiedziała do bransolety. Potem, ogromnie żałując, że nie może w tej chwili zaciągnąć się papierosem, dodała: — Ogrzej mózgowy rdzeń kapitana o pięćdziesiąt milikelwinów.

Doświadczenie podpowiadało jej, że było to minimalne niezbędne zwiększenie temperatury. Poniżej tej wartości mózg kapitana pozostawałby w stanie zmrożonego bezruchu, powyżej zaraza zaczęłaby go przekształcać zbyt szybko jak na gust Volyovej.

— Kapitanie? — powiedziała. — Słyszysz mnie? To ja, Ilia.

Sylveste wyszedł z pełzacza i ruszył na teren wykopaliska. Kiedy

rozmawiał z Calvinem, wiatr znacznie się wzmógł. Sylveste czuł, jak kłuje go w policzki. Pieczenie zdzieranej przez pył skóry było niczym pieszczota wiedźmy.

— Mam nadzieję, że pogawędka się przydała. — Pascale odsunęła maskę i ryknęła, przekrzykując wiatr. Wiedziała o Calvinie, choć nigdy nie rozmawiała z nim bezpośrednio. — Zgodziłeś się posłuchać głosu rozsądku?

— Daj mi Slukę.

Normalnie mogłaby nie posłuchać podobnego polecenia, teraz jednak, widząc, w jakim Sylveste jest nastroju, wróciła do drugiego pełzacza, a po chwili wyłoniła się stamtąd wraz ze Sluką i kilkoma innymi pracownikami.

— Zakładam, że jesteś gotów nas wysłuchać. — Sluka stała przed nim. Wiatr miotał jej włosami o gogle. Od czasu do czasu czerpała powietrze z maski, którą trzymała w dłoni. Drugą dłoń oparła na biodrze. — Jeśli tak, przekonasz się, że potrafimy być rozsądni. Wszyscy liczymy się z twoją reputacją. Po powrocie do Mantell nikt z nas nie wspomni o tej sprawie. Powiemy, że kazałeś się wycofać, gdy nadeszła prognoza. Zasługi pójdą na twoje konto.

— Sądzisz, że w dłuższej perspektywie ma to jakiekolwiek znaczenie?

Sluka parsknęła.

— A co tak cholernie ważnego może być w tym obelisku? I co tak cholernie ważnego jest w tych Amarantinach?

— Nigdy nie potrafiłaś spojrzeć z szerszej perspektywy.

Dyskretnie — ale nie na tyle, by tego nie dostrzegł — Pascale zaczęła filmować sprzeczkę z kamery wmontowanej w kompnotes.

— Niektórzy mogliby powiedzieć, że nigdy nie było szerszej perspektywy — stwierdziła Sluka. — Że rozdmuchałeś znaczenie Amarantinów, by przydać znaczenia archeologom.

— To twoje zdanie, prawda? Z drugiej strony, nigdy przecież nie byłaś jedną z nas.

— To znaczy?

— To znaczy, że gdyby Girardieau chciał umieścić wśród nas rozłamowca, byłabyś idealnym kandydatem.

Sluka odwróciła się do grupy, którą Sylveste coraz bardziej uważał za jej gang.

— Posłuchajcie tego biednego drania; już tkwi w teorii spiskowej. Mamy smak tego, co od lat widziała reszta kolonii. — Potem znów zwróciła się do niego. — Nie ma sensu z tobą rozmawiać. Wyjeżdżamy, jak tylko spakujemy sprzęt, a jeśli burza się nasili, nawet wcześniej. Możesz jechać z nami. — Odetchnęła przez maskę, jej twarz odzyskała barwę. — Albo możesz zostać i ryzykować. Wybór należy do ciebie.

Spojrzał na ludzi za jej plecami.

— Ruszajcie dalej. Nie pozwólcie się zatrzymać przez coś tak trywialnego jak lojalność. Chyba że ktoś z was ma odwagę, by zostać i dokończyć pracę, którą tu zaczął. — Patrzył po twarzach ludzi, ale widział tylko zakłopotane, odwrócone spojrzenia. Prawie nie znał ich nazwisk. Zaczął ich rozpoznawać dopiero ostatnio. Żadne z nich nie przyleciało na statku z Yellowstone. Z pewnością nikt z nich nie znał innego świata poza Resurgamem, gdzie nieliczne ludzkie osiedla były rozrzucone jak garstka rubinów na całkowitym pustkowiu. On sam musiał się im wydawać jakimś reliktem.

— Proszę pana — odezwał się jeden z nich, prawdopodobnie ten, który zaalarmował go o nadciągającym sztormie. — Nie chodzi o to, że pana nie szanujemy, ale musimy myśleć również o sobie. Czy pan tego nie rozumie? To, co tu zakopano, z pewnością nie jest warte ryzyka.

— I tu się mylicie — odparł Sylveste. — To jest warte większego ryzyka, niż sobie w ogóle wyobrażacie. Nie rozumiecie? Wydarzenie nie przydarzyło się Amarantinom — to oni je spowodowali. Oni je wywołali.

Sluka pokręciła głową.

— Wywołali wybuch swego słońca? Naprawdę w to wierzysz?

— Właśnie tak.

— A więc w swym szaleństwie zaszedłeś znacznie dalej, niż się obawiałam. — Sluka odwróciła się do niego plecami i patrzyła teraz na grupę ludzi. — Uruchomcie pełzacze. Wyjeżdżamy teraz.

— A sprzęt? — spytał Sylveste.

— Niech sobie tu zostanie i rdzewieje, nic mnie to nie obchodzi. — Tłum rozpierzchł się do dwóch zwalistych maszyn.

— Czekajcie! — krzyknął Sylveste. — Posłuchajcie mnie! Wystarczy wam jeden pełzacz. Jest w nim dość miejsca dla was wszystkich, skoro nie bierzecie sprzętu.

Sluka znów spojrzała na niego.

— A ty?

— Ja tu zostanę, skończę pracę sam, ewentualnie z tymi, którzy zechcą zostać.

Pokręciła głową, podniosła maskę i splunęła na ziemię, zniesmaczona. Odwróciła się, dogoniła pozostałych ludzi ze swej brygady i skierowała ich do najbliższego pełzacza. Drugą maszynę — tę z prywatnym apartamentem — zostawiła dla niego. Banda Sluki weszła do pojazdu, niektóre osoby niosły małe narzędzia lub pudełka z artefaktami albo kośćmi wyniesionymi z wykopaliska: instynkt naukowy dominował w nich nawet podczas buntu. Sylveste obserwował, jak składają się rampy i zamykają luki, po czym maszyna podnosi się na nogi, odwraca i rusza. Po niecałej minucie zupełnie

zniknęła z oczu, a wiatr całkowicie zagłuszył hałas silników.

Sylveste spojrzał wokół, by się przekonać, kto z nim został. Pascale — ale to przecież było prawie nieuniknione. Podejrzewał, że będzie go śledziła aż do grobu, jeśli wyczuje temat na artykuł. Paru studentów, którzy oparli się Sluce — wstyd, że nie znał ich nazwisk. Może kilku zostało jeszcze w kracie, jeśli ma szczęście.

Uspokoił się, strzelił palcami.

— Rozmontujcie grawitometry obrazujące — polecił dwojgu ludziom. — Nie będą nam już potrzebne. — Potem zwrócił się do następnej pary. — Zacznijcie od końca kraty i znieście wszystkie narzędzia po dezerterach Sluki. Zbierajcie też wszelkie zapiski i pudełka z artefaktami. Jak skończycie, spotkamy się na dnie wielkiego szybu.

— Co planujesz? — spytała Pascale. Wyłączyła kamerę, która błyskawicznie schowała się do kompnotesu.

— Sądziłem, że to oczywiste — odparł. — Zamierzam sprawdzić, co mówi napis na obelisku. Chasm City, Yellowstone, u Wad Epsilon Eridani, 2524

Ana Khouri myła zęby, gdy zadzwoniła konsola apartamentu. Wyszła z łazienki z pastą na wargach.

— Dzień dobry, Case.

Do pokoju wjechał ślizgiem hermetyk w podróżnym palankinie, ozdobionym cyzelunkiem, z ciemnym okienkiem z przodu. Kiedy światło padło pod odpowiednim kątem, zobaczyła śmiertelnie bladą twarz K.C. Nga, podskakującą za zielonym szkiełkiem trzycentymetrowej szerokości.

— Cześć, wyglądasz wspaniale — powiedział. Jego głos chrypiał z kratki głośnika. — Gdzie mógłbym dostać to, co cię tak podrajcowało?

— To kawa, Case. Za dużo tego świństwa wypiłam.

— Żartowałem — powiedział Ng. — Wyglądasz jak podgrzane gówno.

Przesunęła dłonią po ustach, usuwając pastę.

— Dopiero wstałam, ty draniu.

— Wybacz. — Ng powiedział to takim tonem, jakby budzenie się było staromodną czynnością fizjologiczną, dawno porzuconą-jak posiadanie wyrostka robaczkowego. Było to nawet prawdopodobne: Khouri nigdy dokładnie nie widziała mężczyzny wewnątrz pudełka. Hermetycy należeli do jednej z najbardziej dziwacznych kast, jakie wyłoniły się po zarazie. Nie chcąc wyzbyć się implantów, które mogłyby się okazać podatne na zarazę, i przekonani, że jej ślady nadal gdzieś się czają w stosunkowo czystym obszarze pod Baldachimem, nigdy nie opuszczali swoich pudeł, chyba że środowisko było hermetycznie odizolowane; w swoich wędrówkach ograniczali się do kilku orbitalnych karuzeli.

Głośnik znowu zachrypiał:

— Wybacz, ale, o ile się nie mylę, na dziś rano mamy zaplanowane zabójstwo. Pamiętasz tego Taraschiego, którego usiłowaliśmy zlikwidować przez ostatnie dwa miesiące? Świta ci coś? Ważne, żebyś to zrobiła, bo tak się składa, że jesteś osobą wyznaczoną do tego, żeby uwolnić go od trosk.

— Odczep się, Case.

— Trudne do wykonania, nawet gdybym chciał się jakoś przyczepić, droga Khouri. Ale mówiąc poważnie, namierzyliśmy prawdopodobne miejsce zabójstwa i szacowany czas zgonu. Zamieniasz się w słuch?

Khouri nalała sobie ostatni łyk kawy, a resztę zostawiła w podgrzewaczu, na potem, gdy wróci. Kawa była jej jedynym nałogiem, nabytym w dniach żołnierki na Skraju. Cała sztuka polegała na tym, by sobie wyostrzyć zmysły, ale nie nabuzować się tak, by drżała jej dłoń przy celowaniu z broni.

— Chyba zmniejszyłam stężenie krwi w moim układzie kofeinowym do akceptowalnego poziomu. O to ci chodzi?

— Porozmawiajmy o sprawach ostatecznych, przynajmniej jeśli chodzi o Taraschiego.

Ng zarzucił ją ostatnimi szczegółami operacji. Większość Khouri znała z planów, część sama wykoncypowała, korzystając z własnego doświadczenia z poprzednich akcji. Taraschi — piąte z rzędu zabójstwo. Zaczynała pojmować szersze tło tej gry. Choć nie zawsze było to oczywiste, gra miała zasady, sub telnie powtarzające się w wielkich kluczowych ruchach każdego zabójstwa. Zainteresowanie mediów rosło, jej nazwisko było coraz częściej wymieniane w kręgach Shadowplay, a Case najwyraźniej przygotowywał jakieś smakowite, wysoko postawione cele kilku najbliższych polowań. Khouri czulą, że staje się jedną z setki najlepszych zabójców na planecie — to było naprawdę elitarne towarzystwo.

— Jasne — powiedziała. — Pod pomnikiem, ósmy poziom biurowca, aneks zachodni, godzina pierwsza. Nic prostszego.

— Czy o czymś przypadkiem nie zapomniałaś?

— Jasne. Gdzie jest broń, Case?

Postać, w jakiej występował Ng, skinęła, pokazując miejsce za plecami Khouri.

— Tam, gdzie zostawiły ją wróżki, droga dziewczyno — odparł, po czym odwrócił pudełko i wycofał się z pokoju, zostawiając po sobie ledwo wyczuwalny zapach smaru.

Khouri, marszcząc brwi, powoli sięgnęła pod poduszkę, oczekując, że coś tam znajdzie, zgodnie z zapowiedzią Case'a. Kiedy szła spać, na pewno niczego tam nie było, ale takimi rzeczami obecnie prawie się już nie przejmowała. Firma zawsze zachowywała się

zagadkowo.

Wkrótce była gotowa.

Zawołała z dachu kolejkę linową i schowała broń pod płaszczem. Kolejka, wykrywszy broń oraz implanty w głowie Khouri, odmówiłaby transportu, gdyby Khouri nie pokazała swego identyfikatora Punktu Omega, zaszczepionego pod paznokciem palca wskazującego prawej dłoni — maleńki symbol holograficzny tarczy strzelniczej zdawał się tańczyć pod warstwą keratyny.

— Pomnik Osiemdziesiątki — powiedziała Khouri.

Sylveste zszedł z drabiny i przez opadające tarasami dno szybu pomaszerował w krąg światła wokół odsłoniętego szczytu obelisku. Sluka i archeolog opuścili go, ale jedyny pozostały pracownik zdołał za pomocą serwitora odsłonić niemal metr obiektu; zdzierając zagnieżdżone warstwy kamiennego sarkofagu, dostał się do masywnego obsydianowego bloku, mistrzowsko rzeźbionego, z wyrytymi w precyzyjnych liniach znakami amarantińskiego pisma. Większość z nich to napisy tekstowe — rzędy ideogramów. Archeolodzy znali podstawy języka Amarantinów, choć nie mieli do pomocy kamienia z Rosetty. Kultura Amarantinów to ósma z martwych, obcych kultur odkrytych przez ludzkość w promieniu pięćdziesięciu lat świetlnych od Ziemi; nie było jednak dowodu na to, że któreś z tych cywilizacji kontaktowały się ze sobą. Ani Żonglerzy Wzorców, ani Całunnicy nie pomogli: u żadnej z tych kultur nie odkryto języka pisanego. Sylveste, który kontaktował się zarówno z Żonglerami, jak i Całunnikami — a przynajmniej z techniką tych ostatnich — potrafił to ocenić najlepiej.

Język Amarantinów rozszyfrowały komputery. Zajęło to trzydzieści lat, wymagało zestawiania ze sobą milionów artefaktów, ale w końcu stworzono spójny system, wyjaśniający znaczenie większości napisów. Sprzyjającym faktem było to, że przynajmniej pod koniec swego panowania Amarantini mieli tylko jeden język, który zmieniał się bardzo powoli, więc ten sam model mógł interpretować napisy powstałe na przestrzeni dziesiątków tysięcy lat. Oczywiście zupełnie inną rzeczą były niuanse znaczeniowe — tu musiano już korzystać z ludzkiej intuicji i wyników teoretycznych.

Pismo Amarantinów różniło się jednak od wszystkiego, co znał człowiek. Ich teksty były stereoskopowe, składały się z przeplatających się linii, które w korze mózgowej czytającego miały się stapiać w jedność. Poprzednikami tego ludu były istoty ptasie — latające dinozaury o inteligencji lemurów. Na pewnym etapie rozwoju ich oczy znajdowały się po przeciwnych stronach czaszki i łączyły ze ściśle rozdzielonymi częściami mózgu. Każda półkula syntetyzowała własny model świata. Później stali się myśliwymi, a ewolucja doprowadziła do widzenia dwuocznego; połączenia w mózgu zachowały jednak

pewne cechy z poprzedniej fazy rozwoju gatunku. Artefakty Amarantinów odzwierciedlały przeważnie tę mentalną dwoistość o wyraźnej symetrii względem osi pionowej.

Obelisk nie należał do wyjątków.

Sylveste nie potrzebował specjalnych gogli, jakie stosowali jego współpracownicy do czytania znaków Amarantinów; umieszczony w jego oczach jeden z bardziej użytecznych algorytmów Calvina scalał je stereoskopowe Dość męczący proces czytania wymagał jednak nadzwyczajnej koncentracji.

— Dajcie mi tu trochę światła — poprosił. Jeden ze studentów odczepił przenośny reflektor i oświetlił bok obelisku. Gdzieś wysoko mignęła błyskawica — wyładowania elektryczne w burzy przebiegały między zasłonami pyłu.

— Potrafi pan to przeczytać?

— Próbuję — odparł Sylveste. — Nie jest to najłatwiejsza rzecz na świecie. Zwłaszcza gdy trzęsiesz lampą.

— Przepraszam. Staram się trzymać stabilnie. Ale zaczyna mocno wiać.

Miał rację. Nawet na dnie studni tworzyły się wiry powietrzne. Wkrótce zacznie tu porządnie wiać, pył się zagęści, w powietrzu powstaną nieprzezroczyste szare płachty. W takich warunkach nie da się zbyt długo pracować.

— Przepraszam. Bardzo cenię pańską pomoc — powiedział Sylveste i zaraz się zorientował, że musi coś dodać. — Jestem wdzięczny, że pan został ze mną i nie poszedł za Sluką.

— Wybór nie był trudny. Nie wszyscy podważają pańskie hipotezy.

Sylveste spojrzał na obelisk.

— Nawet te dziwaczne?

— Uważamy, że przynajmniej powinno sieje sprawdzić. Przecież zrozumienie tego, co tu zaszło, leży w interesie kolonii.

— Chodzi panu o Wydarzenie?

Student skinął głową.

— Jeśli rzeczywiście Amarantini to spowodowali… i jeśli rzeczywiście zbiegło się to u nich z pojawianiem się możliwości lotów kosmicznych… wówczas ma to znaczenie nie tylko czysto teoretyczne.

— Nie lubię określenia „czysto teoretyczne”. To tak jakby inne kategorie były automatycznie bardziej wartościowe. Ale ma pan rację. Musimy wiedzieć.

Pascale podeszła bliżej.

— Co mianowicie wiedzieć?

— Co takiego zrobili, że ich słońce ich zabiło. — Sylveste odwrócił się i spojrzał jej w twarz, przyszpilając ją ponadwymiarowymi srebrnymi fasetkami swych sztucznych oczu. —

Byśmy w końcu nie popełnili tego samego błędu.

— Sądzisz, że to byl wypadek?

— Podejrzenie, że zrobili to specjalnie, wydaje mi się wielce nieprawdopodobne.

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Traktował ją z góry. Wiedział, że tego nie znosiła. Sam siebie nie znosił za to, że tak postępował. — Wiem również, że obcy z epoki kamiennej nie mieli środków, by wpłynąć na zachowanie swej gwiazdy, czy przez przypadek, czy w inny sposób.

— Ta cywilizacja była na wyższym etapie rozwoju — stwierdził Sylveste. — Wiemy, że wynaleźli koło i proch, posiadali szczątkową wiedzę w dziedzinie optyki i interesowali się zastosowaniem astronomii w rolnictwie. Z podobnego etapu rozwoju ludzkość zaledwie w ciągu pięciu wieków doszła do ery lotów kosmicznych. Założenie, że inne gatunki nie potrafiłyby tego dokonać, świadczyłoby o uprzedzeniach rasowych.

— Ale gdzie są dowody? — Pascale wstała i strząsnęła z płaszcza strużki osiadającego pyłu. — Wiem, co powiesz: nie przetrwały żadne artefakty zaawansowanej techniki, ponieważ z natury były mniej trwałe od wcześniejszych wytworów. Ale nawet gdyby się znalazły materialne dowody, co by to zmieniło? Nawet Hybrydowcy nie majstrują w gwiazdach, a oni są znacznie bardziej zaawansowani niż reszta ludzkości, włącznie z nami.

— Wiem. Właśnie to mnie niepokoi.

— A co mówi ten napis?

Sylveste westchnął i znów spojrzał na inskrypcję. Miał nadzieję, że gdy oderwie wzrok od obelisku, umożliwi swej podświadomości pracę nad tekstem i w pewnej chwili jego znaczenie wyłoni się nagle przed nim w całej jasności, jak odpowiedź na jeden z tych psychologicznych problemów, które postawiono przed misją do Całunników. Ale olśnienie uparcie nie nadchodziło — znaki ciągle nie poddawały się interpretacji. A może moje oczekiwania są fałszywe? — pomyślał Sylveste. Liczył na nagłe objawienie, które potwierdzi jego idee, jakkolwiek były przerażające.

Lecz inskrypcja upamiętniała tylko wydarzenie, które zaszło w tym miejscu; być może miało ono wielkie znaczenie w historii Amarantinów, ale skonfrontowane z oczekiwaniami Sylveste'a było nadzwyczaj prowincjonalne. Dla całkowitej pewności należało jeszcze przeprowadzić pełną analizę komputerową, a poza tym odsłonięto zaledwie górny, metrowy fragment tekstu, Sylveste jednak już czuł przytłaczające rozczarowanie. Bez względu na to, co przedstawiał ten obelisk, dla Sylveste'a przestał być interesujący.

— Coś się tu wydarzyło — stwierdził Sylveste. — Może miała miejsce jakaś bitwa albo pojawił się bóg? A to jest tylko kamień, który

to miejsce zaznacza? Dowiemy się więcej, gdy odkopiemy go w całości i określimy datę warstwy kontekstowej. Możemy również zbadać wiek samego artefaktu.

— Nie tego szukałeś, prawda?

— Przez chwilę wydawało mi się, że to może to. — Sylveste spojrzał w dół na najniższy odsłonięty fragment obelisku. Napis kończył się kilkanaście centymetrów powyżej odsłoniętego poziomu, a poniżej zaczynało się coś i biegło w dół, znikając z oczu. Pewnego rodzaju diagram — Sylveste widział wyłaniające się łuki kilku koncentrycznych kręgów. I to wszystko. Co to było?

Sylveste nie mógł i nawet nie próbował zgadywać. Burza się nasilała. Zniknęły gwiazdy — przesłaniająca wszystko płachta pyłu łopotała w górze jak skrzydło wielkiego nietoperza. Kiedy wyjdą z szybu, znajdą się w piekle.

— Dajcie mi coś do kopania — powiedział.

I zaczął skrobać wieczną zmarzlinę wokół najwyższej warstwy sarkofagu niczym więzień, który do świtu chce wykopać tunel ze swojej celi. Po paru chwilach Pascale i student dołączyli do niego. Nad ich głowami wyła burza.

— Niewiele pamiętam — powiedział kapitan. — Ciągle jesteśmy w pobliżu Głąbiela?

— Nie. — Volyova usiłowała nie zdradzić się z tym, że mówiła mu to już kilkanaście razy, zawsze, gdy rozgrzewała jego mózg. — Opuściliśmy Kruger 60A kilka lat temu, gdy Hegazi wynegocjował dla nas potrzebny nam lód do tarczy.

— Aha. Więc gdzie jesteśmy?

— Lecimy w kierunku Yellowstone.

— Dlaczego? — Bas kapitana wydobywał się z głośników umieszczonych w pewnej odległości od jego ciała. Skomplikowane algorytmy skanowały mu mózg i przekazywały wynik w postaci mowy, klecąc odpowiedzi, gdy było to konieczne. Kapitan w ogóle nie miał rzeczywistego prawa być świadomym, cała neuronowa aktywność powinna była się zakończyć, gdy temperatura rdzenia spadła poniżej temperatury zamarzania. Ale jego mózg przenikała siatka maleńkich maszyn i w pewnym sensie te maszyny teraz myślały, choć robiły to w temperaturze mniejszej niż pół kelwina powyżej zera bezwzględnego.

— Słuszne pytanie — odparła. Jeszcze coś więcej ją teraz niepokoiło, nie tylko ta rozmowa. — Lecimy na Yellowstone, bo…

— Tak?

— Sajaki sądzi, że jest tam człowiek, który może ci pomóc.

Kapitan zastanawiał się. Volyova miała na bransolecie mapę jego mózgu, widziała na niej wijące się kolory niczym armie połączone na polu bitwy.

— Na pewno chodzi o Calvina Sylveste'a.

— Calvin Sylveste nie żyje.

— W takim razie ten drugi, Dan Sylveste. To jego szuka Sajaki?

— Nie wyobrażam sobie, żeby to był ktoś inny.

— Nie przyjdzie dobrowolnie. Ostatnio nie chciał się zgodzić. — Zapadła cisza. Kwantowe fluktuacje temperatury na pewien czas przesunęły kapitana z powrotem w stan poniżej świadomości. Wreszcie powiedział: — Sajaki musi zdawać sobie z tego sprawę.

— Jestem pewna, że rozważył wszystkie możliwości. — Volyova powiedziała to tonem sugerującym, że jest pewna wszystkiego, ale akurat tego nie. Powinna jednak wykazać ostrożność w wypowiedziach o innym Triumwirze. Sajaki zawsze był najbliższym asystentem kapitana. Przeszli razem długą drogę, dawno temu, zanim jeszcze Volyova stała się członkiem załogi. O ile wiedziała, nikt — z Sajakim włącznie — nigdy nie rozmawiał z kapitanem, nikt nawet nie wiedział, że jest taka możliwość. Podejmowanie ryzyka nie miało jednak sensu, nawet uwzględniając zawodną pamięć kapitana.

— Coś cię niepokoi, Ilio. Zawsze mogłaś powierzyć mi tajemnicę. Chodzi o Sylveste'a?

— O coś bardziej lokalnego.

— A więc coś na statku?

Volyova wiedziała, że nigdy całkowicie się do tego nie przyzwyczai, ale w ostatnich tygodniach odwiedziny u kapitana zaczęły nabierać posmaku normalności. Tak jakby odwiedzanie kriogenicznie schłodzonego ciała, zaatakowanego przez spowolnioną, lecz potencjalnie wszechogarniającą zarazę, było tylko jednym z nieprzyjemnych, choć koniecznych elementów życia. Coś, co od czasu do czasu każdy musi robić. Posunęła ich relacje o krok dalej, omal zapomniała o tym, że ryzykowne jest wyrażanie nieufności w stosunku do Sajakiego.

— Chodzi o centralę uzbrojenia — powiedziała. — Pamiętasz ją, prawda? Pomieszczenie, z którego można sterować bronią kazamatową?

— Chyba pamiętam. A o co chodzi?

— Szkoliłam rekruta na stanowisko zbrojmistrza. Miał zajmować fotel w centrali i przez implanty nerwowe komunikować się bezpośrednio z bronią kazamatową.

— Co to za rekrut?

— Nazywa się Borys Nagorny. Nie, nigdy go nie spotkałeś. Dopiero ostatnio znalazł się na statku i w miarę możliwości starałam się izolować go od innych. Z oczywistych powodów nigdy bym go tu nie przyprowadziła. — Chodziło mianowicie o to, że zakażenie kapitana mogłoby przenieść się na implanty Nagornego, gdyby obaj znaleźli się zbyt blisko siebie. Volyova westchnęła. Dochodziła teraz

do sedna swych zwierzeń. — Nagorny zawsze był trochę psychicznie niestabilny, kapitanie. Pod wieloma względami to niemal psychopata, był dla mnie bardziej użyteczny niż ktoś całkowicie zdrowy — przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Ale nie doceniłam stopnia psychozy Nagornego.

— Pogorszyło mu się?

— Zaczęło się to wkrótce po tym, jak wszczepiłam mu implanty i pozwoliłam na podłączenie się do centrali. Zaczął się skarżyć na koszmary nocne. Bardzo dokuczliwe.

— Nieszczęsny biedak.

Volyova zrozumiała. To, czego doświadczył kapitan — i nadal doświadczał — powodowało, że koszmary innych ludzi wydawały się naprawdę łagodnymi fantasmagoriami. Czy czuł ból, czy nie, tego nie dało się rozstrzygnąć. Cóż jednak znaczy ból w porównaniu ze świadomością, że zjada nas żywcem — a równocześnie transformuje — coś niesamowicie obcego?

— Nie wyobrażam sobie, na czym polegają te koszmary — odparła Volyova. — Wiem jedynie, że dla Nagomego, który już i tak miał dość szalejących koszmarów w głowie, to było za wiele.

— Więc co zrobiłaś?

— Wszystko zmieniłam, cały interfejs centrali, nawet implanty w jego głowie. Nic nie pomogło. Koszmary nadal trwały.

— Jesteś pewna, że mają coś wspólnego z centralą?

— Początkowo odrzuciłam tę myśl, ale wystąpiła wyraźna korelacja z sesjami, gdy siedział w fotelu. — Zapaliła kolejnego papierosa; pomarańczowy koniuszek — jedyna odrobinę ciepła rzecz w pobliżu kapitana. Wyłowienie nowej paczki papierosów zaliczała do nielicznych radosnych momentów w ciągu ostatnich tygodni. — Więc znowu zmieniłam system i znowu nic nie pomogło. Jeśli coś się zmieniło, to tylko na gorsze. — Urwała. — Wtedy powiedziałam Sajakiemu o swoich problemach.

— A co on na to?

— Że powinnam przerwać eksperymenty, przynajmniej do czasu przybycia w pobliże Yellowstone. Umieścić Nagornego na kilka lat w chłodnym śnie i przekonać się, czy to nie wyleczy jego psychozy. Mogłam nadal majstrować przy centrali, ale już więcej nie sadzać Nagornego w fotelu.

— Rada wydaje mi się bardzo rozsądna. Ale ty najwidoczniej się do niej nie zastosowałaś?

Skinęła głową — paradoksalnie poczuła ulgę, że kapitan odkrył jej przestępstwo i nie musiała przyznawać się sama.

— Obudziłam się rok wcześniej niż inni — powiedziała. — Aby mieć czas na nadzorowanie systemu i sprawdzanie, co się dzieje z tobą. Robiłam to przez kilka miesięcy. Aż postanowiłam obudzić

również Nagornego.

— Nowe eksperymenty?

— Tak. Do przedwczoraj. — Wysysała papierosa.

— Pytanie ciebie to jak rwanie zębów, Ilia. Więc co stało się wczoraj?

— Nagorny zniknął. — Wreszcie to powiedziała. — Miał wyjątkowo ostry nawrót i próbował mnie zaatakować. Broniłam się, ale uciekł. Jest gdzieś na statku. Nie mam pojęcia gdzie.

Kapitan rozważał to przez dłuższą chwilę. Volyova mogła się domyślić, jak rozumował. Na tym wielkim statku istniały całe rejony, w których niczego nie dało się wyśledzić, gdzie czujniki dawno przestały działać. A jeszcze trudniej było znaleźć kogoś, kto się tam ukrywa.

— Musisz go odszukać — stwierdził kapitan. — Nie może sobie swobodnie buszować, gdy Sajaki i inni się obudzą.

— A co potem?

— Prawdopodobnie będziesz musiała go zabić. Zrób to czysto, a potem włóż z powrotem jego ciało do chłodni i tak pomajstruj, by jednostka się zepsuła.

— Upozorować wypadek?

— Tak. — Jak zwykle twarz kapitana, oglądana przez trumienne okienko, była pozbawiona wyrazu. Rysy jego twarzy miały tę samą ruchliwość co rysy rzeźby.

Zaproponował dobre rozwiązanie — nie wpadła na to, zajęta sednem problemu. Do tej pory bała się wszelkiej konfrontacji z Nagornym, ponieważ mogła być zmuszona go zabić. Nieakceptowalny rozwój wypadków, ale jak zwykle wszystkie wypadki są do zaakceptowania, jeśli spojrzeć na nie w odpowiedni sposób.

— Dziękuję, kapitanie — rzekła. — Byłeś bardzo pomocny. Teraz, jeśli pozwolisz, znów cię zamrożę.

— Ale wrócisz? Ilia, tak bardzo lubię nasze rozmowy.

— Za nic w świecie bym ich nie opuściła — odparła, po czym kazała swej bransolecie obniżyć temperaturę jego mózgu o pięćdziesiąt milikelwinów, co zepchnie go do bezsennego, pozbawionego myśli zapomnienia. Przynajmniej miała taką nadzieję.

W ciszy wypaliła papierosa. Potem odwróciła wzrok od kapitana i spojrzała w ciemny zakręcający korytarz. Gdzieś tam, w zakamarkach statku czekał Nagorny, żywiąc do niej głęboką urazę. Sam był teraz chory — chory na głowę.

Jak pies, którego trzeba uśpić.

— Chyba wiem, co to jest — powiedział Sylveste, gdy ostatni kamienny blok został usunięty z osłony obelisku i ukazały się górne dwa metry obiektu.

— Co?

— To mapa układu Pawia.

— Coś mi mówi, że już przedtem się tego domyślałeś — rzekła Pascale. Mrużyła oczy, przyglądając się przez gogle skomplikowanemu motywowi: dwóm lekko zachodzącym na siebie grupom koncentrycznych okręgów. Połączone stereoskopowo, stawały się jedną grupą zawieszoną w pewnej odległości nad powierzchnią obsydianu. Były to orbity planet, bez wątpienia. Słońce Delty Pawia leżało w centrum, zaznaczone odpowiednim amarantińskim glifem, przypominającym wizerunek pięcioramiennej gwiazdy. Potem następowały orbity — z prawidłowo oddanymi wielkościami względnymi — głównych ciał układu; Resurgam zaznaczono amarantińskim symbolem świata. Jeśli ktoś by sądził, że to przypadkowy zbiór okręgów, wątpliwości rozwiewały starannie zaznaczone księżyce głównych planet.

— Podejrzewałem to — powiedział Sylveste. Był zmęczony, ale z pewnością opłaciły się całonocna praca i ryzyko. Wykopanie drugiego metra obelisku zajęło im znacznie więcej czasu niż wydobycie pierwszego. Burza przypominała czasami szwadron wrzeszczących zjaw tuż przed zadaniem śmierci. Ale — jak już zdarzało się wcześniej i zapewne będzie powtarzać w przyszłości — burza nie osiągnęła impetu, jaki przewidywał Cuvier. Minął już najgroźniejszy moment i choć smugi pyłu nadal powiewały na niebie jak ciemne sztandary, różowy świt stopniowo przepędzał noc. A więc mimo wszystko przeżyli.

— Ale to nic nie zmienia — stwierdziła Pascale. — Zawsze wiedz.ehśmy, że oni mieli astronomię. To tylko pokazuje, że na pewnym etapie odkryli system heliocentryczny.

— To znaczy coś więcej — powiedział Sylveste ostrożnie. — Nie wszystkie te planety są widzialne gołym okiem, nawet jeśli się uwzględni fizjologię Amarantinów.

— Zatem używali teleskopów.

— Nie tak dawno określiłaś ich jako obcych z epoki kamiennej. A teraz jesteś skłonna przyznać, że potrafili budować teleskopy.

Pomyślał, że chyba się uśmiechnęła, ale gdy miała na twarzy maskę do oddychania, trudno było stwierdzić to z całą pewnością. Spojrzała w niebo. Coś przemknęło nad belkami oszalowania — jasny deltoid sunął pod warstwą pyłu.

— Chyba ktoś tu jest — zauważyła Pascale.

Weszli szybko po drabinie, bez tchu dotarli na górę. Choć wiatr osłabł w porównaniu z siłą sprzed kilku godzin, nadal z trudnością się przedzierali. Wykopalisko było zniszczone, reflektory i grawitometry przewrócone i połamane, wszędzie walał się sprzęt.

W górze unosił się samolot, zmieniał kurs, szukając miejsca do lądowania. Sylveste natychmiast rozpoznał, że to jedna z maszyn z

Cuvier — Mantell nie dysponował samolotami. Na Resurgamie brakowało samolotów, jedynych środków transportu umożliwiających pokonanie odległości kilkuset kilometrów. Wszystkie istniejące teraz samoloty zostały wytworzone w pierwszych dniach istnienia kolonii przez serwitory, które korzystały z miejscowych surowców. Ale serwitory konstrukcyjne zostały zniszczone lub skradzione podczas buntu i w konsekwencji artefakty, które po sobie pozostawiły, były bezcenne dla kolonii. Po mniejszych wypadkach samoloty same się naprawiały, nigdy też nie wymagały konserwacji, ale mógł je zniszczyć sabotaż lub czyjaś nierozwaga. W ciągu minionych lat liczba latających maszyn wciąż się zmniejszała.

Deltoid raził w oczy — spodnia strona skrzydeł była pokryta tysiącami elementów cieplnych, które żarzyły się biało, generując wznoszenie termalne. Dla algorytmów Calvina kontrast był zbyt wielki.

— Kto to? — spytał student.

— Też chciałbym wiedzieć — odparł Sylveste. Nie wprawiał go w entuzjazm fakt, że samolot pochodził z Cuvier. Obserwował, jak maszyna opuszcza się, rzucając ostre cienie na ziemię, po czym promieniowanie elementów grzejnych osunęło się w dół widma i samolot osiadł na płozach. Po chwili wysunęła się rampa i z samolotu wyszła grupa postaci. Oczy Sylveste'a przerzuciły się na podczerwień — teraz wyraźnie widział, jak postacie poruszały się od samolotu w jego stronę. Mieli ciemne ubrania, na twarzach maski do oddychania, ponadto hełmy i przypinane pancerze z rozbłyskami insygniów Administracji, czyli najbliższego w kolonii odpowiednika zbrojnej milicji. I mieli coś w dłoniach: długie, groźnie wyglądające, oburęczne karabiny z reflektorem pod każdą lufą.

— Nie wygląda to dobrze — stwierdziła Pascale rzeczowo.

Oddział zatrzymał się kilka metrów od nich.

— Doktor Sylveste? — Usłyszał głos zagłuszony nieco przez dość silny wiatr. — Mam złe wiadomości, proszę pana.

Nic innego nie oczekiwał.

— Jakie?

— Chodzi o ten drugi pełzacz, który wyjechał wcześniej, wczoraj wieczorem.

— Co się z nim stało?

— Nie dotarł do Mantell. Znaleźliśmy go. Nad przepaścią zgromadził się pył i osunęła się ziemia. Nie mieli szans.

— A Sluka?

— Wszyscy zginęli, proszę pana. — Człowiek Administracji wyglądał w masce do oddychania jak bóg-słoń. — Współczuję. To szczęście, że nie wracaliście wszyscy równocześnie.

— To więcej niż szczęście — odparł Sylveste.

— Proszę pana, jeszcze jedno. — Strażnik mocniej zacisnął dłonie na karabinie, raczej zwracając uwagę na to, że ma broń, niż rzeczywiście celując. — Jest pan aresztowany.

Chrapliwy głos K.C. Nga wypełniał kokpit wagonika jak brzęczenie schwytanej w pudełko osy.

— Zasmakowała pani w tym? W naszym pięknym mieście?

— A ty skąd to możesz wiedzieć? — rzekła Khouri. — Kiedy po raz ostatni wyszedłeś z tego cholernego pudełka, Case? Żadna żywa istota tego nie pamięta.

Oczywiście nie było go tutaj, wszak w wagoniku nie wystarczyłoby miejsca dla palankinu. Wagonik, mały z konieczności, nie powinien przyciągać uwagi tuż przed kulminacyjną chwilą polowania. Zaparkowany, wyglądał jak helikopter bez ogona z częściowo złożonymi rotorami. Ramiona wagonika nie były spłaszczone, ale tworzyły wąskie teleskopowe wypustki — każda była zakończona zakrzywionym hakiem niczym pazur leniwca.

Khouri wsiadła do wagonika. Drzwi się zamknęły, odgradzając ją od deszczu i łoskotu miasta. Podała cel podróży: Pomnik ku czci Osiemdziesiątki, w dole, w głębokiej Mierzwie. Wagonik czekał przez chwilę, na pewno obliczał optymalną trasę na podstawie danych o ruchu i dość skomplikowanego układu dróg kablowych, które mogły doprowadzić na miejsce. Proces obliczeniowy trwał chwilę, gdyż mózg wagonikowego komputera nie był specjalnie bystry.

Khouri poczuła, jak środek ciężkości się nieco przemieszcza. Przez górne okno podnoszonych drzwi widziała, jak jedno z trzech ramion wysuwa się, zwiększając dwukrotnie swą długość, i zaczepia zakrzywionym końcem o jedną z lin przebiegających nad budynkiem. Drugie ramię również znalazło uchwyt na sąsiedniej linie i po nagłym przesunięciu wagonik znalazł się w powietrzu. Przez chwilę zjeżdżał po dwóch linach, ale po kilku sekundach druga lina skręciła i ramię wagonika nie mogło jej utrzymać; wówczas gładko ją puściło, lecz nim wagonik spadł na ziemię, trzecie ramię zrobiło zamach i pochwyciło inną linę, która przecinała ich drogę akurat w pobliżu. Znów jechali przez sekundę, potem znowu opadli, potem się wznieśli, a Khouri cały czas doznawała w żołądku znanych sobie sensacji. Na pewno nie pomagało jej to, że swój wahadłowy ruch wagonik odbywał w sposób zdawałoby się dowolny, jakby trajektorię wybierał podczas drogi, w miarę potrzeby szczęśliwie znajdując liny. Dla równowagi psychicznej Khouri robiła ćwiczenia oddechowe i nieustannie zaciskała palce w czarnej rękawiczce.

— Przyznaję, że od pewnego czasu nie wystawiałem się na zapachy miasta — powiedział Case. — Ale nie powinnaś narzekać. Powietrze nie jest tak brudne, jak się wydaje. Oczyszczacze należą do nielicznych urządzeń nadal funkcjonujących po zarazie.

Teraz wagonik wzniósł się ponad skupisko budynków dzielnicy, w której mieszkała Khouri, i powoli odsłaniał się znacznie szerszy widok Chasm City. Dziwne, że ten poskręcany las zniekształconych konstrukcji był kiedyś najbardziej dynamicznym miastem w historii ludzkości, miejscem, gdzie prawie przez dwa wieki wykuwały się artystyczne i naukowe innowacje. Teraz nawet mieszkańcy przyznawali, że miasto pamiętało lepsze czasy. Bez specjalnej ironii nazywali je „Miastem, które nigdy się nie budzi", gdyż wiele tysięcy jego niegdysiejszych bogaczy leżało teraz zamrożonych w kriokryptach, przeczekując wieki z nadzieją, że obecny okres to tylko chwilowa aberracja w dziejach miasta.

Granicę Chasm City stanowił naturalny otaczający miasto krater o średnicy sześćdziesięciu kilometrów. Wewnątrz krateru miasto miało kształt pierścienia, otaczającego centralną gardziel samej rozpadliny. Było schowane pod osiemnastoma wycinkami sfer, rozpiętych na ścianach krateru i sięgających do krawędzi rozpadliny. Połączone na brzegach, podparte w niektórych miejscach wzmacniającymi wieżami, wycinki przypominały zapadnięte pokrowce na meblach w domu niedawno zmarłej osoby. W miejscowej gwarze nazywano to Moskitierą, choć istniało również kilka innych określeń w kilku różnych językach. Osłony miały niezwykle istotne znaczenie dla miasta. W atmosferze Yellowstone — zimnej, niestabilnej mieszance azotu i metanu, usianej długołańcuchowymi węglowodorami — człowiek natychmiast by umarł. Na szczęście krater dawał miastu schronienie przed najsilniejszymi wiatrami, a powodzie płynnego metanu i rosół gorących gazów, wyrzucanych z rozpadliny, mogły być w gwałtownej reakcji dość tanio przetworzone na zdatne do oddychania powietrze. Na Yellowstone w kilku innych miejscach istniały osiedla znacznie mniejsze od Chasm City i, by utrzymać swoje biosfery, wszystkie musiały pokonywać znacznie większe trudności.

Khouri, gdy tylko przybyła na Yellowstone, pytała miejscowych, dlaczego ktoś w ogóle zadawał sobie trud zasiedlania planety tak niegościnnej. Na Skraju Nieba toczyły się wojny, ale przynajmniej można było tam żyć bez kopuł i systemów generujących atmosferę. Szybko się przekonała, że nie należy oczekiwać logicznych odpowiedzi, nawet jeśli zadanego pytania nie uznano za bezczelną ciekawość przybysza. Przynajmniej jedno było jasne, że rozpadlina przyciągnęła pierwszych poszukiwaczy i wokół niej wyrosła stała placówka, a potem coś na kształt pogranicznego miasteczka. Przybywali wariaci, ryzykanci i szaleni wizjonerzy, zwabieni mglistymi pogłoskami o bogactwach w głębinach rozpadliny. Niektórzy wrócili do domów, rozczarowani; niektórzy zginęli w gorących, trujących głębiach rozpadliny. Nieliczni jednak postanowili tu zostać, ponieważ coś im odpowiadało w niebezpiecznej lokalizacji

rodzącego się miasta. Po prawie dwustu latach to skupisko budowli stało się… właśnie czymś takim.

Wydawało się, że miasto ciągnie się w nieskończoność we wszystkich kierunkach, jak gęsty las sękatych, splątanych budowli, stopniowo ginących w mroku. Najstarsze konstrukcje pozostawały nadal w zasadzie nienaruszone — pudełkowate budynki, które zachowały swój kształt podczas zarazy, ponieważ nigdy nie posiadały żadnego systemu samonaprawczego czy modernizującego. Nowoczesne budowle natomiast przypominały teraz dziwne, przewrócone do góry nogami lub wysuszone, stare, wyrzucone przez morze drzewa w ostatnim stadium próchnienia. Kiedyś te drapacze chmur miały budowę prostą, symetryczną, ale zaraza spowodowała, że zaczęły rozrastać się dziko, wypuszczały bulwiaste wypustki i splątane, trądowe narośle. Wszystkie budynki były teraz martwe, zastygłe w kształtach, jakby zaprojektowanych, by niepokoić. Do ich murów przywarły slumsy, niższe poziomy były zagubione w rusztowaniach obskurnych dzielnic i rozklekotanych bazarów, oświetlonych otwartymi ogniskami. W slumsach poruszały się maleńkie postacie, szły lub jechały rykszami do pracy po drogach prowadzących wśród starych ruin. Bardzo mało pojazdów miało silniki, a te, które widziała Khouri, najprawdopodobniej działały na parę.

Slumsy nigdzie nie sięgały wyżej niż do dziesiątego piętra budynków — potem zapadały się pod własnym ciężarem, więc przez dalszych dwieście lub trzysta metrów budynki wznosiły się gładko, w zasadzie nietknięte przez chorobliwe transformacje. Środkowe piętra wydawały się niezamieszkane i dopiero przy samym szczycie było widać ślady ludzkiej obecności: wielowarstwowe struktury tkwiły jak gniazda żurawi wśród gałęzi zdeformowanych budynków. Te nadbudówki pyszniły się ostentacyjnym bogactwem i potęgą; jaśniały okna mieszkań i jarzyły się neony. Z okapów dachów omiatały dół reflektory, niekiedy oświetlały inne wagoniki, kursujące między dzielnicami. Wagoniki wybierały drogę w sieci delikatnych gałęzi, łączących budynki niczym wypustki synaptyczne. Miejscowi nazywali to miasto w mieście Baldachimem.

Khouri zauważyła, że nigdy tam nie panował prawdziwy dzień. Nigdy nie czuła się całkowicie rozbudzona, gdyż miała wrażenie, że w mieście króluje wieczny mrok.

— Case, kiedy zabiorą się do zeskrobywania tego nalotu z Moskitiery?

Ng parsknął śmiechem, co przypominało odgłos żwirku mieszanego w wiadrze.

— Prawdopodobnie nigdy. Chyba że ktoś wymyśli sposób, jak na tym zarobić.

— I kto tu teraz oczernia miasto?

— Możemy sobie na to pozwolić. Kiedy skończymy naszą sprawę, możemy pośpieszyć ku karuzeli razem ze wszystkimi innymi pięknymi ludźmi.

— W swych pudełkach. Wybacz, Case, nie licz na mnie na tym konkretnym przyjęciu. Podniecenie mogłoby mnie zabić. — Teraz widziała rozpadlinę, gdyż wagonik poruszał się skrajem skośnego wewnętrznego brzegu toroidalnej kopuły. Rozpadlina była głębokim żlebem w skale, o kruszejących ścianach zakrzywionych łagodnie, a potem opadających pionowo, z żyłami rur, sięgających w głąb, w wydobywające się wyziewy, i prowadzących do stacji uzdatniania atmosfery, zaopatrującej miasto w powietrze i ciepło. — A skoro już o tym mówimy… o zabijaniu… jaka jest umowa na temat broni?

— Sądzisz, że dasz sobie z tym radę?

— Zapłacisz, to sobie dam radę. Ale chciałabym wiedzieć, z czym mam do czynienia.

— Jeśli to dla ciebie problem, lepiej porozmawiaj z Taraschim.

— Wymienił tę rzecz?

— Dręcząc szczegółami.

Teraz wagonik znalazł się nad Pomnikiem Osiemdziesiątki. Khouri nigdy go jeszcze nie widziała pod takim kątem. Choć z poziomu ulicy prezentował się wspaniale, to z góry widziało się zniszczenia i pomnik wyglądał ponuro. Miał kształt czworościennej piramidy, wykończonej na zewnątrz tak, że przypominała tarasowatą świątynię. Jego dolne poziomy obrosły slumsami i podporami. W pobliżu szczytu, powyżej marmurowej okładziny, zaczynały się witraże, ale szkło było potłuczone lub przykryte metalowymi płytami; tych zniszczeń nigdy nie dostrzegało się z ulicy. Widocznie tu miało odbyć się zabójstwo. Kat nie znał na ogół miejsca kaźni, chyba że Taraschi wpisał je do warunków umowy. W Shadowplay kontrakt na zabójstwo zawierano zwykle wówczas, gdy klient oceniał, że w okresie wymienionym w kontrakcie ma spore szansę uniknąć prześladowcy. W ten sposób praktycznie nieśmiertelni bogacze odpędzali nudę, wytrącali życie z utartych kolein. Gdy przeżyli — a przeważnie tak się to kończyło — mieli się czym przechwalać.

Khouri mogła bardzo dokładnie określić moment swego przystąpienia do Shadowplay — nastąpiło to w dniu, gdy została ożywiona na orbicie Yellowstone w karuzeli administrowanej przez zakon Lodowych Żebraków. Choć w okolicach Skraju Nieba nie było żadnych Lodowych Żebraków, Khouri słyszała o nich i wiedziała coś o ich działalności. Tworzyli ochotniczą organizację religijną, nieśli pomoc tym, którzy, pokonując przestrzeń międzygwiezdną, doznali szoku, na przykład cierpieli na amnezję pożywieniową — powszechnie występujący efekt uboczny snu w chłodziarce.

Samo takie rozbudzenie stanowiło wiadomość bardzo złą. Może amnezja Khouri była tak poważna, że wymazała wiele lat jej poprzedniego życia, ale Khouri nie miała żadnych wspomnień nawet z początku podróży międzygwiezdnej. Jej ostatnie wspomnienia były dość konkretne: znajdowała się w namiocie medycznym na powierzchni Skraju Nieba, leżała na łóżku obok swego męża Fazila; oboje odnieśli rany w strzelaninie; rany — choć nie śmiertelne — najlepiej dałyby się wyleczyć w jednym ze szpitali orbitalnych. Sanitariusz robił obchód i przygotował ich na krótkie zanurzenie w zimny sen. Schłodzeni, mieli wylecieć promem na orbitę i przebywać w przechowalni kriogenicznej, aż zwolnią się szuflady chirurgiczne w szpitalu. Proces mógł trwać całe miesiące, ale — jak z uśmiechem zapewnił ich sanitariusz — wiele wskazywało na to, że wojna ciągle będzie się toczyć, gdy staną się znów zdolni do służby. Khouri i Fazil wierzyli sanitariuszowi. Mimo wszystko byli zawodowymi żołnierzami.

Potem została ożywiona. Ale nie obudziła się na oddziale rekonwalescencji w szpitalu orbitalnym — miała przed sobą Lodowych Żebraków. Nie, wyjaśnili jej yellowstońskim akcentem, nie ma amnezji. Nie doznała również żadnych urazów w chłodni. Spotkało ją coś znacznie gorszego.

Doszło do „pomyłki urzędniczej" — jak to określił naczelny Żebrak. Przy Skraju Nieba schrony kriogeniczne zostały trafione przez pocisk. Khouri i Fazil należeli do nielicznych, którzy ocaleli, ale atak zniszczył wszystkie dane schronu. Miejscowi robili wszystko, by zidentyfikować zamrożonych, ale nieuniknione były przy tym pomyłki. Khouri została wzięta za obserwatorkę Demarchistów, która przybyła na Skraj Nieba, by przyjrzeć się wojnie, i już gotowała się do powrotu na Yellowstone, kiedy padła ofiarą tego samego ataku co Khouri. Khouri szybko poddano zabiegowi chirurgicznemu i umieszczono na statku, który miał natychmiast odlecieć. Niestety, nie popełniono tego samego błędu w stosunku do Fazila. Gdy Khouri była uśpiona, pokonując dystans lat świetlnych do Epsilon Eridani, Fazil starzał się z prędkością jednego roku na rok jej lotu. Oczywiście szybko odkryto pomyłkę, ale za późno. Przez dziesięciolecia żaden statek nie miał lecieć tym kursem. I nawet gdyby Khouri natychmiast wyruszyła do Skraju Nieba — co też było niemożliwe, gdyż statki zacumowane teraz przy Yellowstone miały inne porty przeznaczenia — minęłoby prawie czterdzieści lat, nim spotkałaby Fazila. Przez ten czas Fazil w ogóle by nie wiedział, że ona wraca; korzystałby z życia, ponownie by się ożenił, miał dzieci, może nawet wnuki. Cóż by go powstrzymywało? Po swym powrocie byłaby dla niego jak duch z poprzedniego życia, od dawna niemal zapomniany. O ile oczywiście Fazil nie zginął wkrótce po powrocie do walk.

Dopiero teraz, gdy Lodowi Żebracy wyjaśnili jej wszystkie okoliczności, Khouri uświadomiła sobie, jak powolne jest światło. W kosmosie nic nie poruszało się prędzej… ale teraz zrozumiała, że to szybkość lodowca, w porównaniu z tą, która byłaby konieczna do podtrzymania ich wzajemnej miłości. W jednej okrutnej chwili pojęła z całą jasnością, że struktura wszechświata, jego prawa fizyczne, sprzysięgły się przeciw niej, spowodowały sytuację przerażającą i beznadziejną. Byłoby znacznie łatwiej, o wiele łatwiej, gdyby wiedziała, że Fazil nie żyje. A teraz dzieliła ich przepaść czasu i przestrzeni. Khouri czuła ostry gniew, który wymagał rozładowania, jeśli nie miał jej rozsadzić od wewnątrz.

Potem, tego samego dnia, gdy przyszedł do niej tamten człowiek i zaproponował pracę kontraktowego zabójcy, nadzwyczaj łatwo się zgodziła.

Nazywał się Tanner Mirabel; żołnierz ze Skraju, podobnie jak ona. Miał nosa — wyczuwał potencjalnych nowych zabójców. Gdy tylko Khouri została rozmrożona, jego podłączenia sieciowe przekazały mu informacje o jej przygotowaniu żołnierskim. Mirabel podał jej kontakt biznesowy: niejakie — go pana Ng, prominentnego hermetyka. Szybko odbyła się rozmowa z Ngiem, potem Khouri poddano testom psychometrycznym. Zabójcy — jak się okazało — musieli należeć do najzdrowszych psychicznie, do ludzi o najbardziej analitycznych umysłach. Musieli wiedzieć dokładnie, kiedy zabójstwo jest legalne, a kiedy przekracza rozmytą linię i staje się morderstwem, i gwałtownie zepchnąć akcje firmy w dół, do Mierzwy.

Z łatwością przeszła wszystkie testy.

Były również inne rodzaje testów. Zleceniodawcy życzyli sobie czasami przemyślnych sposobów zabójstwa, po cichu licząc na to, że w istocie nigdy do niego nie dojdzie, ponieważ wyobrażali sobie, że są na tyle sprytni i zaradni, że uda im się przechytrzyć zabójcę, choćby pościg trwał całe tygodnie lub miesiące. Khouri musiała osiągnąć naturalną wprawę we wszelkich rodzajach broni i okazało się, że ma do tego dryg. Takiego talentu nigdy u siebie wcześniej nawet nie podejrzewała.

Ale broni, jaką zostawiła pod poduszką wróżka, nigdy wcześniej nie widziała.

W ciągu zaledwie minuty zorientowała się, jak pasują do siebie precyzyjne części karabinu. Gdy się go złożyło, miał kształt karabinu snajperskiego z zabawnie grubą, perforowaną lufą. Magazynek zawierał kilka strzałkowych kul — to były czarne włóczniki. Przy ryju każdej z kul widniał mały symbol zagrożenia biologicznego — holograficzna trupia główka. Khouri zdziwiła się — nigdy przedtem nie używała toksyn do zabójstwa.

O co chodzi z tym Pomnikiem?

— Case, jeszcze jedno… — zaczęła Khouri.

W tym momencie wagonik łupnął o ulicę; rikszarze zaczęli gwałtownie pedałować, by uniknąć kolizji. Na siatkówce Khouri nagle wyskoczyła bramka. Khouri przesunęła mały palec po jej szczelinie kredytowej, obciążając bezpieczny rachunek w Baldachimie, który nie miał żadnych dających się wyśledzić powiązań z Punktem Omega — zasadnicza sprawa, gdyż każdy ustosunkowany cel łatwo mógł wytropić ruchy zabójcy, śledząc zmarszczki, jakie pozostawiał na postrzępionym systemie finansowym planety. Należało dbać o zasłony i żaluzje.

Khouri odchyliła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Jak zawsze na dole mżyło: deszcz wewnętrzny — tak to nazywano. Natychmiast zaatakował ją zapach Mierzwy — połączenie fetoru ścieków i potu, gotowanych przypraw, ozonu i dymu. I wszechobecny hałas. Nieustanny ruch riksz, dźwięk ich dzwonków i pisk klaksonów tworzyły stały łoskot, na tle którego wybijały się nawoływania przekupniów, krzyki zwierząt w klatkach, pieśni śpiewane na żywo i przemowy hologramów w językach tak różnych, jak współczesny norte i kanazjański.

Khouri włożyła fedorę o szerokim rondzie i podniosła kołnierz sięgającego jej do kolan płaszcza. Wagonik wzniósł się i pochwycił dyndające liny. Wkrótce zniknął wśród innych cętek, przesuwających się w brązowych otchłaniach zadaszonego nieba.

— No cóż, Case. Teraz ty prowadzisz przedstawienie — rzekła Khouri.

Jego głos brzmiał teraz w jej czaszce.

— Uwierz mi, co do tego faceta mam bardzo dobre przeczucia.

Rada kapitana jest doskonała, pomyślała Ilia Volyova. Zabicie Nagornego rzeczywiście było jedyną sensowną opcją. A Nagorny znacznie jej ułatwił zadanie: próbował wcześniej ją zabić i w ten sposób wspaniale usunął wszelkie moralne rozterki.

Wszystko to miało miejsce kilka miesięcy czasu statkowego temu, a ona długo nie brała się do postawionego zadania. Wkrótce jednak statek przybędzie w pobliże Yellowstone i inni wyjdą z zimnego snu. Wtedy jej opcje zostaną ograniczone, gdyż musi kłamać, że Nagorny zmarł podczas snu z powodu jakiejś wiarygodnej usterki kasety chłodniczej.

Teraz musiała się sprężyć do działania. Siedziała cicho w swoim laboratorium, zbierała siły do tego, co musiała zrobić. Według standardów „Nostalgii za Nieskończonością” apartamenty Volyovej nie były duże; gdyby chciała, mogła sobie przydzielić kilka pokoi. Ale po co? Gdy czuwała, prawie całą uwagę poświęcała uzbrojeniu. Gdy spała, śniła o uzbrojeniu. Pozwalała sobie na nieco luksusu, gdy na „używanie” zostawało jej trochę czasu, i jak na swoje potrzeby

przestrzeń miała wystarczającą — łóżko i parę sprzętów o praktycznej konstrukcji, choć statek mógłby jej dostarczyć mebli w dowolnym stylu. Przy kwaterze znajdował się mały aneks, gdzie urządziła laboratorium i tylko tu wyposażenie charakteryzowało się wielką dbałością o szczegóły. W laboratorium pracowała nad sposobami wyleczenia kapitana, zbyt jeszcze spekulatywnymi, by opowiedzieć o tym załodze; nie chciała w niej wzbudzać próżnej nadziei.

Tu też przechowywała głowę Nagornego, od czasu jego śmierci.

Zamrożoną, oczywiście, pochowaną w hełmie starego typu, który przyjął stan awaryjnej krioprezerwacji natychmiast, gdy tylko odkrył, że osoba wewnątrz już nie żyje. Volyova słyszała, że istnieją hełmy z ostrymi jak brzytwa przesłonami wbudowanymi w szyję, które w nagłych przypadkach szybko i czysto odłączają głowę od reszty ciała, ale ten hełm nie miał takiej cechy.

Nagorny jednak zmarł w interesujący sposób.

Volyova zbudziła kapitana i wyjaśniła mu sytuację Nagornego: jak zbrojmistrz stracił rozum przez jej eksperymenty. Opowiedziała kapitanowi o problemach, na jakie natknęła się po podłączeniu Nagornego do systemu centrali uzbrojenia za pośrednictwem implantów, które wszczepiła mu w głowę. Wspomniała nawet, że Nagornego dręczyły powracające koszmary; potem szybko przeszła do rzeczy zasadniczej: rekrut zaatakował ją i zniknął w czeluściach statku. Kapitan nie dopytywał się o koszmary i Volyova była z tego zadowolona, gdyż niechętnie by o nich mówiła, a już z pewnością nie chciałaby analizować ich treści.

Potem jednak doszła do wniosku, że trudno jej ignorować ten temat. Koszmary, choć niepokojące, nie były przypadkowe. Jak się zdołała zorientować, bardzo szczegółowe koszmary Nagornego powtarzały się z wielką regularnością. Przeważnie dotyczyły istoty zwanej Złodziejem Słońca. Jak się wydawało, Złodziej był osobistym dręczycielem Nagornego. Nie było jasne, w jaki sposób ukazywał się Nagornemu, ale bez wątpienia mara powodowała poczucie wszechogarniającego zła. Volyova miała próbkę tego w szkicach, które kiedyś znalazła w kwaterze Nagornego: gorączkowe rysunki ołówkiem ukazywały ohydne, ptakokształtne stworzenia, szkieletopodobne o pustych oczodołach. Jeśli to przedstawiało szaleństwo Nagornego, obraz był więcej niż adekwatny. Jak te urojenia odnosiły się do sesji w centrali? Jaki nieprzewidywalny kiks w nerwowym interfejsie Volyovej przepuszczał prąd do tej części umysłu, który produkował przerażenia? Gdy spojrzała na to wstecz, zrozumiała, że wszystko chciała za bardzo przyśpieszyć. Ale przecież wykonywała tylko rozkazy Sajakiego, by doprowadzić uzbrojenie do stanu pełnej gotowości.

Zatem Nagorny umknął, skrył się w niemonitorowanych

zakamarkach statku. Rada kapitana — wytropić i zabić Nagornego — współgrała z jej intuicją. Jednak wiele dni zabrało Volyovej rozmieszczenie sieci sensorycznych w licznych korytarzach i wysłuchiwanie swych szczurów w poszukiwaniu jakiegokolwiek dowodu obecności Nagornego. Sprawa stawała się beznadziejna. Wszystko wskazywało na to, że Nagorny nadal będzie buszował na wolności, gdy statek przyleci do układu Yellowstone i inni członkowie załogi zostaną obudzeni…

Ale wtedy Nagorny popełnił dwa błędy — ostatnie wykwity szaleństwa. Po pierwsze, wtargnął do kwater Volyovej i krwią z własnych arterii namazał na ścianie wiadomość. Bardzo prostą wiadomość. Wcześniej mogłaby się domyślić dwóch słów, które Nagorny postanowi! jej pozostawić.

ZŁODZIEJ SŁOŃCA

Potem, na krawędzi racjonalności, zwędził jej hełm kosmiczny, zostawiając resztę skafandra. Włamanie ściągnęło Volyovą do jej pieleszy i gdy skradała się ostrożnie, Nagornemu udało się złapać ją w pułapkę. Odebrał jej pistolet, który miała przy sobie, kazał założyć ręce na kark i maszerować długim korytarzem do najbliższej windy. Volyova usiłowała stawić opór, ale Nagorny dysponował siłą wariata i uścisk miał stalowy. Doszła jednak do wniosku, że pojawi się okazja do ucieczki, gdy nadjedzie winda.

Nagorny jednak nie miał zamiaru czekać na windę. Pistoletem Volyovej otworzył siłą drzwi, odsłaniając przepaść szybu windy. Bez ceregieli, nawet bez pożegnania, zepchnął ją w dziurę.

To był straszny błąd.

Szyb przebiegał przez statek z góry na dół: Volyova spadałaby parę kilometrów, nimby dotarła do dna. I przez kilka chwil, gdy serce jej zamarło, przypuszczała, że to właśnie się stanie: będzie leciała, aż ostatecznie rąbnie, i nie miało to znaczenia, czy spadanie trwałoby parę sekund, czy prawie minutę. Ściany szybu były gładkie, ruch w nich nie dawał tarcia, nie było żadnego sposobu, by się czegoś schwycić czy powstrzymać upadek.

Volyovą czekała śmierć.

Nagle z zimną krwią — co ją samą później zaszokowało — część jej umysłu jeszcze raz przeanalizowała problem: Volyova zobaczyła siebie nie spadającą przez statek, ale stabilnie unoszącą się w absolutnym spokoju w stosunku do gwiazd. Poruszał się natomiast statek — pędził w jej stronę. Ona wcale nie przyśpieszała, a jedynym sprawcą przyśpieszenia statku była jego siła ciągu, którą Volyova mogła sterować swą bransoletą.

Nie miała czasu, by zastanawiać się nad szczegółami. W jej umyśle wybuchł pomysł i wiedziała, że albo natychmiast wprowadzi go w czyn, albo podda się losowi. Mogła powstrzymać spadanie — pozorne spadanie — kierując ciąg statku w odwrotną stronę tak długo, jak potrzebne by to było do osiągnięcia pożądanego skutku. Nominalny ciąg wynosił jedno g, dlatego Nagorny tak łatwo uznał statek za coś w rodzaju wysokiego budynku. Volyova spadała przez jakieś dziesięć sekund, a jej umysł cały czas analizował sytuację. Więc jak to ustawić? Dziesięć sekund ciągu minus jedno g? Nie, to zbyt zachowawcze. Szyb nad nią mógłby okazać się za krótki. Lepiej na sekundę zwiększyć ciąg do dziesięciu g — wiedziała, że silniki są do tego zdolne. Manewr nie zaszkodziłby pozostałym członkom załogi, bezpiecznie spoczywającym w kokonach chłodni. Również ona, Volyova, nie dozna żadnego uszczerbku — zobaczy tylko, jak ściany szybu nagle wstrzymają swój gwałtowny pęd.

A tymczasem Nagorny nie miał tak dobrej ochrony.

W praktyce wszystko okazało się trudniejsze — pęd powietrza dusił jej głos, gdy wrzeszczała do bransolety stosowne instrukcje. Nastąpiły dręczące chwile, nim statek zareagował i posłusznie ruszył zgodnie z jej wolą.

Potem znalazła Nagornego. Dziesięć g ciągu utrzymane przez sekundę normalnie nie kończyło się śmiercią, ale Volyova nie zredukowała prędkości do zera w jednym posunięciu. Osiągnęła to metodą prób i błędów i przy każdym impulsie Nagorny był ciskany to o sufit, to o podłogę.

Ona sama została ranna. Uderzenie o ściany szybu złamało jej nogę, ale teraz już się to zaleczyło i ból został tylko mglistym wspomnieniem. Pamiętała, jak laserowym nożem chirurgicznym odcięła Nagornemu głowę; musiała ją otworzyć, by dostać się do specjalizowanych, zaszytych w jego mózgu implantów. Implanty były delikatne, a ponieważ powstały podczas żmudnego procesu stymulowanego wzrostu molekularnego, Volyova wolałaby nie powtarzać tej procedury.

Teraz nadszedł czas, by je usunąć.

Wyjęła głowę z hełmu, zanurzyła ją w kąpieli z ciekłego azotu. Potem wsunęła dłonie do dwóch par rękawic zawieszonych nad stołem laboratoryjnym w rusztowaniu tłoków. Maleńkie, świecące instrumenty medyczne zaszumiały i opadły nad czaszkę, gotowe do pocięcia jej na plastry, które potem z diabelską precyzją zostaną złożone z powrotem. Wcześniej jednak Volyova zamierzała włożyć imitację implantów, tak by — jeśli potem kiedykolwiek badano by głowę — nie wydało się, że Volyova coś z niej usunęła. Głowę trzeba będzie przyczepić do ciała, ale teraz Volyova się tym nie przejmowała. Gdy inni dowiedzą się, co się stało z Nagornym — czyli poznają

wersję, którą ona im przedstawi — nie rzucą się do szczegółowych badań. Oczywiście Sudjic będzie robić problemy — ona i Nagorny byli kochankami, póki Nagorny nie oszalał.

Ilia Volyova przekroczy ten most, gdy do niego dotrze, tak jak wielokrotnie czyniła to już poprzednio.

Tymczasem, grzebiąc głęboko w głowie Nagornego, już zaczynała planować, kim go zastąpi.

Z pewnością nikim z obecnych teraz na pokładzie statku.

Może w pobliżu Yellowstone znajdzie nowego rekruta.

— Case, czy już jest ciepło?

Głos wrócił, rozmazany i drżący, przez masę budynków ponad jej głową.

— Ciepło, ciepło, aż się żarzymy, moja droga. Trzymaj się i pilnuj, by nie tracić strzałek toksycznych.

— Właśnie, Case…

Khouri zanurkowała na bok, gdy w bliskiej odległości przemaszerowali trzej Nowi Komuso; głowy mieli osłonięte wiklinowymi hełmami w kształcie wiader. Ich shakuhachi — kije bambusowe — przecięły powietrze jak kije cheerleaderek, przeganiając w cień stado małpek kapucynek.

— Co się stanie — ciągnęła — jeśli wykończymy jakiegoś pomagiera Taraschiego?

— To wykluczone — stwierdził Ng. — Toksyny są ściśle dostosowane do biochemii Taraschiego. Jeśli trafisz inną osobę, odniesie ona tylko brzydką ranę kłutą.

— Nawet jeśli trafię klon Taraschiego?

— Sądzisz, że to możliwe?

— Tylko pytałam. — Zaskoczyło ją, że Case jest niezwykle nerwowy.

— W każdym razie, jeśli Taraschi miałby klon i przez pomyłkę byśmy go zabili, to jego problem, nie nasz. Wszystko jest napisane drobną czcionką. Powinnaś to kiedyś przeczytać.

— Mogę spróbować, gdy dopadnie mnie egzystencjalna nuda — odparła Khouri.

Zesztywniała, gdyż nagle sytuacja stała się inna. Ng zamilkł, miast jego głosu słyszała wyraźne pulsowanie, miękkie i złe, jak echolokacyjny puls drapieżnika. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy słyszała ten ton kilkanaście razy, zawsze sygnalizował bliskość celu. Oznaczał, że Taraschi znajdował się w odległości mniejszej niż pięćset metrów, sugerował wyraźnie, że ofiara była wewnątrz samego Pomnika.

Posunięcia gry stały się teraz ogólnodostępne. Taraschi powinien o tym wiedzieć, gdyż identyczne urządzenie implantowane mu w bezpiecznej klinice Baldachimu generowało podobne pulsowanie w

jego głowie. W Chasm City rozmaite sieci medialne, skoncentrowane na Shadowplay, nawet w tej chwili wysyłały zespoły reporterów na miejsce zabójstwa. Kilku szczęśliwców już mogło czatować w pobliżu.

Gdy Khouri szła dalej pod placem Pomnika, pulsowanie stało się nieco szybsze. Taraschi musiał być nad nią, w samym Pomniku, więc ich wzajemna odległość prawie się nie zmieniła.

Plac poniżej był potrzaskany — leżał niebezpiecznie blisko Rozpadliny i podłoże tąpnęło. Poprzednio pod budowlą znajdował się kompleks handlowy, ale teraz wkroczyła tam Mierzwa. Najniższe poziomy były zalane, zatopione chodniki wynurzały się z wody barwy karmelu. Czworościan Pomnika wznosił się wysoko ponad zalanym placem, wsparty na mniejszej odwróconej piramidzie wmontowanej głęboko w skaliste podłoże. Do budowli prowadziło tylko jedno wejście. A to znaczyło, że Taraschi jest już trupem, jeśli złapie go na osobności. W tym celu musiał przejść most nad placem, a wówczas człowiek wewnątrz dowie się, że nadchodzi. Zastanawiała się, jakie myśli przemykają teraz przez jego umysł. W snach często widziała się w jakimś półopuszczonym mieście, gdzie ściga ją bezlitosny myśliwy. Teraz Taraschi doświadczał takiego samego przerażenia w świecie rzeczywistym. Myśliwy ze snów nigdy nie musiał poruszać się szybko — to stanowiło część nieprzyjemności — wszak ona uciekała rozpaczliwie, jakby w zagęszczonym powietrzu, z obciążonymi nogami, a myśliwy sunął powoli, co wynikało z jego wielkiej cierpliwości i wiedzy.

Khouri przeszła przez most — pulsowanie się wzmogło. Wilgotny grunt pokrywał żwir. Od czasu do czasu pulsowanie zwalniało, a potem przyśpieszało — znak, że Taraschi poruszał się wewnątrz budowli. Teraz nie mógł umknąć. Mógł doprowadzić, do tego, że spotkanie odbyłoby się na dachu, ale gdyby wykorzystał transport powietrzny naruszyłby warunki kontraktu. Związana z tym hańba byłaby w salonach Baldachimu czymś strasznym — już lepiej dać się zabić.

Khouri przeszła do atrium w podtrzymującej Pomnik piramidzie. Wewnątrz było ciemno, oczy przyzwyczaiły się dopiero po kilku chwilach. Khouri wysunęła z płaszcza karabin toksynowy i spojrzała na wejście, sprawdzając, czy Taraschi nie zamierza umknąć. Nic dziwnego, że go tu nie ma; atrium było puste, ztupione. Deszcz bębnił o metal. Khouri spojrzała w górę — chmura przerdzewiałych, zniszczonych rzeźb zwisała z sufitu na miedzianych linach. Kilka rzeźb spadło na marmurowy taras, skrzydła metalowych ptaków wbiły się w podłoże. Miękko rysowały się w pyle, który jak zaprawa murarska wypełnił miejsca między lotkami.

Spojrzała na sufit.

— Taraschi?! — zawołała. — Słyszysz mnie? Nadchodzę.

Zastanowiła się przez chwilę, dlaczego jeszcze nie ma tu ludzi z telewizji. To dziwne; tak blisko zabójstwa, a oni nie wypatrują krwi, krążąc wokół niej, a wraz z nimi spontaniczny tłum, który nieodmiennie przyciągali.

Nie odpowiedział na jej wołanie. Wiedziała jednak, że jest gdzieś nad sufitem. Przemknęła przez atrium do kręconych schodów wiodących w górę. Szybko po nich weszła, rozejrzała się za dużymi przedmiotami, które mogłaby rozstawić, by zablokować Taraschiemu drogę ucieczki. Widziała tu wiele zrujnowanych eksponatów i mebli. Zaczęła ściągać je na stos na szczycie schodów, który raczej opóźnił Taraschiego, niż całkowicie uniemożliwił mu wyjście, ale to jej wystarczało.

Nim dotarła do połowy pracy, spociła się i zesztywniał jej grzbiet. Przez chwilę odzyskiwała siły, rozglądając się wokół; arpeggio w jej głowie stanowiło potwierdzenie, że Taraschi nadal jest w pobliżu.

Górna część piramidy zawierała indywidualne kapliczki Osiemdziesiątki. Małe pomniki umieszczone we wnękach imponujących ścian z czarnego marmuru, które wznosiły się niemal pod zawrotnie wysoki sufit, wspierane po bokach przez kolumny z kariatydami w sugestywnych pozach. Ściany, prześwietlone łukami, z każdej strony ograniczały widok do kilkudziesięciu metrów. Trzy trójkątne boki sklepienia były w niektórych miejscach przebite. Do środka wpadały smugi światła o barwie sepii. Przez większe szczeliny lał się deszcz. Khouri zauważyła, że sporo nisz było pustych — te kapliczki zostały albo złupione, albo rodziny członków Osiemdziesiątki postanowiły przenieść memoriały w bezpieczniejsze miejsce. Została może połowa. Mniej więcej dwie trzecie z nich reprezentowało ten sam styl: obrazy, biografie, pamiątki po zmarłym ustawione standardowo. Niektóre, bardziej wyszukane, miały hologramy lub rzeźby, a w paru z nich — dość upiorny pomysł — stały prawdziwe zabalsamowane ciała ludzi, bez wątpienia dzieło zręcznego wypychacza, któremu udało się zamaskować największe zniekształcenia dokonane przez procedurę, jaka zabiła daną osobę.

Khouri nie tknęła najlepiej zachowanych kapliczek, brała przedmioty tylko z tych najbardziej zdewastowanych, ale i tak czuła się nieswojo po takim akcie wandalizmu. Popiersia okazały się użyteczne — odpowiednich rozmiarów, tak że Khouri mogła je unieść, podkładając pod spód palce. Nie ustawiała ich na stosie na szczycie schodów — zrzucała je z góry. Większość z nich miała wydłubane oczy — niegdyś z drogocennych kamieni. Rzeźby naturalnej wielkości znacznie trudniej się przesuwało i Khouri udało się poruszyć tylko jedną.

Wkrótce barykada była gotowa. Piętrzyły się w niej obtłuczone głowy o twarzach pełnych godności, nieporuszonych tym, co im

wyrządzono. U stóp stosu leżały mniejsze graty: wazony, biblie i lojalne serwitory. Khouri wiedziała, że gdyby Taraschi zaczął rozbierać stos, chcąc dostać się na schody, usłyszy go i zdąży dobiec na czas. Nawet dobrze by było zabić go na tym stosie, bo przypominał nieco Golgotę.

Przez cały czas nasłuchiwała jego ostrożnych kroków, których odgłos dobiegał gdzieś zza czarnych, dzielących przestrzeń ścian.

— Taraschi! — zawołała. — Ułatwij sobie sprawę. Stąd nie ma ucieczki.

Jego odpowiedź zabrzmiała nadzwyczaj mocno i pewnie:

— Mylisz się, Ana. Właśnie z powodu ucieczki jesteśmy tutaj.

Cholera. Nie powinien znać jej imienia.

— Ucieczka to śmierć, tak?

— Coś w tym rodzaju — odparł, rozbawiony.

Nie po raz pierwszy spotkała u swych przeciwników taką brawurę za pięć dwunasta. Podziwiała ich nawet za to.

— Chcesz, żebym przyszła i cię znalazła, tak?

— Czemu nie, skoro zabrnęliśmy tak daleko.

— Rozumiem. Chcesz dostać to, za co zapłaciłeś. Kontrakt z tyloma klauzulami, jak w tym wypadku, nie mógł być tani.

— Klauzulami? — Pulsowanie w jej głowie przesunęło się nieznacznie, entuzjastycznie.

— Ta broń i fakt, że jesteśmy tu sami.

— Ach tak, to kosztowało — odparł Taraschi. — Ale chciałem, żeby to były sprawy osobiste. Kiedy dochodzi do sytuacji ostatecznych.

Khouri zaczynała się denerwować. Nigdy przedtem nie rozmawiała ze swoim celem. Zwykle było to niemożliwe w towarzystwie wyjącego, żądnego krwi tłumu, jaki gra przyciągała. Przygotowując karabin toksynowy, powoli szła przejściem.

— Po co ta klauzula prywatności? — spytała. Nie mogła przerwać tej rozmowy.

— Godność. Mogę grać w tę grę, ale nie muszę się plamić w czasie jej trwania.

— Jesteś bardzo blisko — powiedziała Khouri.

— Tak, bardzo blisko.

— Nie boisz się?

— Naturalnie, że się boję. Ale życia, nie śmierci. Całe miesiące zajęło mi osiągnięcie tego stanu. — Odgłos jego kroków ustał. — Co myślisz o tym miejscu, Ana?

— Należałoby trochę o nie zadbać.

— Zostało dobrze wybrane, musisz przyznać.

Skręciła w przejście przy ścianie. Jej cel stał przy jednej z kapliczek; wyglądał niesamowicie spokojnie, spokojniej od posągów,

które obserwowały to spotkanie. Jego baldachimski strój z tkaniny o barwie burgunda pociemniał, zmoczony deszczem, włosy nieestetycznie oblepiały czoło. Wyglądał najmłodziej ze wszystkich jej dotychczasowych ofiar — był albo rzeczywiście najmłodszy, albo na tyle bogaty, by pozwolić sobie na najlepszą kurację długowieczności. Khouri wyczuwała jednak, że to prawdziwa młodość.

— Chyba pamiętasz, po co tu jesteśmy? — spytał.

— Owszem, ale nie jestem pewna, czy mam na to ochotę.

— Mimo wszystko zrób to.

Smuga padającego z sufitu światła przesunęła się nad nim magicznie. Oświetliła go tylko przez krótką chwilkę, ale to wystarczyło: Khouri wycelowała z toksynowego karabinu.

Strzeliła.

— Dobra robota — powiedział Taraschi. W jego głosie nie było ani śladu bólu. Jedną dłonią oparł się o ścianę. Drugą ręką dotknął włócznika wystającego mu z piersi i szarpnął go, jakby odczepiał rzep od ubrania. Zakończona ostro łuska padła na podłogę, z jej końców wydobywało się pobłyskujące serum. Khouri znów podniosła toksynowy karabin, ale Taraschi powstrzymał ją gestem umazanej krwią dłoni.

— Nie poprawiaj — rzekł. — Jeden powinien wystarczyć.

Khouri czuła mdłości.

— Nie powinieneś umrzeć?

— Na razie nie. Dokładniej mówiąc, nie umrę przez najbliższe miesiące. Trucizna działa bardzo powoli. Mam wiele czasu, by to przemyśleć.

— Co przemyśleć?

Taraschi przeczesał mokre włosy, po czym strzepnął kurz i krew z rąk na nogawki spodni.

— Czy pójdę za nią.

Pulsowanie nagle ustało i jego brak sprawił, że Khouri poczuła zawroty głowy. Półprzytomna upadła na podłogę. Kontrakt został wypełniony. Ona wygrała — znowu. Ale Taraschi nadal żył.

— To była moja matka. — Wskazał najbliższą kapliczkę, jedną z niewielu dobrze zachowanych. Alabastrowe popiersie kobiety w ogóle nie było pokryte kurzem, jakby Taraschi wytarł je tuż przed tym spotkaniem. Jej skóra była niezepsuta, w oczach nadal tkwiły drogocenne kamienie, a arystokratyczne rysy zostały nieskażone przez wgniecenia i plamy. — Nadine Weng-da Silva Taraschi.

— Co się z nią stało?

— Umarła, oczywiście, podczas skanowania. To destrukcyjne mapowanie przebiegło tak szybko, że połowa jej mózgu nadal funkcjonowała normalnie, podczas gdy druga połowa została rozerwana na kawałki.

— Wiem, że poddała się temu dobrowolnie. Mimo to współczuję.

— Nie musisz. W zasadzie należała do nielicznych szczęśliwców. Znasz tę opowieść, Ano?

— Nie jestem stąd.

— Nie. Słyszałem właśnie… że byłaś kiedyś żołnierzem i przytrafiło ci się coś strasznego. No więc powiem ci tyle: skanowanie zakończyło się powodzeniem. Problem polegał na oprogramowaniu, które powinno wykorzystać skanowaną informację, pozwolić alfom na ewolucję i na doświadczanie świadomości, emocji i pamięci — tego co czyni z nas ludzi. Wszystko działało dość dobrze do chwili, gdy ostatni z Osiemdziesiątki nie został zeskanowany, w rok po pierwszym. Wtedy zaczęły się pojawiać dziwne patologie wśród wczesnych ochotników. Załamywali się bezpowrotnie lub wpadali w nieskończone pętle.

— Powiedziałeś, że ona miała szczęście.

— Kilkoro z Osiemdziesiątki nadal działa — rzekł Taraschi. — Udawało im się to przez półtora wieku. Nawet zaraza ich nie tknęła — zdążyli się przenieść do bezpiecznych komputerów w miejsce, które teraz nazywamy Pasem Złomu. — Zamilkł na chwilę. — Ale już od pewnego czasu nie mają bezpośredniego kontaktu ze światem rzeczywistym, ewoluują sami w coraz bardziej wyrafinowanym środowisku symulacyjnym.

— A twoja matka?

— Proponowała, żebym do niej dołączył. Technika skanowania jest teraz doskonalsza. Nawet nie muszą cię uśmiercać.

— Więc o co chodzi?

— To nie byłbym ja, prawda? Tylko kopia. I moja matka by o tym wiedziała. Natomiast teraz… — Dotknął palcami małej rany. — Natomiast teraz definitywnie umrę w świecie rzeczywistym i pozostanie po mnie tylko kopia. Wystarczy czasu, by mnie zeskanować, nim toksyna doprowadzi do mierzalnych zniszczeń w mojej strukturze nerwowej.

— Nie mogłeś sobie tego po prostu wstrzyknąć?

Taraschi uśmiechnął się.

— To byłoby zbyt kliniczne. Mimo wszystko popełniam samobójstwo — nikt takich rzeczy nie powinien brać zbyt lekko. Włączając cię do tego, przedłużyłem czas decyzji i wprowadziłem element przypadkowości. Mogłem wybrać życie i stawić ci opór, a mimo to mogłabyś wygrać.

— Rosyjska ruletka wypadłaby taniej.

— Za szybkie, za bardzo przypadkowe i nawet w części nie tak stylowe. — Zrobił krok w jej stronę i nim zdążyła się cofnąć, wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń jak ktoś wieńczący pomyślny interes. — Dziękuję ci, Ana.

— Dziękujesz?

Nie odpowiadając, minął ją i ruszył tam, skąd dobiegał hałas. Żałobny stos głów osunął się, rozległ się odgłos kroków na schodach. Kobaltowy wazon potłukł się, gdy barykada runęła. Khouri słyszała szept latających kamer, ale gdy pojawili się ludzie, zobaczyła osoby inne, niż się spodziewała: ubrane elegancko, ale nie ostentacyjnie, osoby z tradycyjnie zamożnych rodzin Baldachimu. Trzej starsi mężczyźni nosili poncza, fedory i szylkretowe, przekazujące obraz okulary, kamery wisiały nad nimi jak nadskakująca służba. Za ich plecami wyrosły dwa brązowe pałankiny, jeden wielkości dostosowanej do dziecka. Mężczyzna w śliwkowej kurtce matadora trzymał maleńką kamerę ręczne. Dwie nastolatki niosły parasole pomalowane w akwarelowe żurawie i chińskie hieroglify. Miedzy dziewczynami szła starsza od nich kobieta o twarzy niezwykle bladej — wyglądała jak naturalnej wielkości zabawka origami, poskładana, biała, gnietliwa. Padła na kolana przed Taraschim, cała we łzach. Khouri nigdy przedtem nie widziała tej kobiety, ale domyśliła się, że to żona Taraschiego i że ten mały napełniony toksyną włócznik zabrał jej męża.

Spojrzała na Khouri spokojnymi, szarymi jak dym oczyma.

— Mam nadzieję, że ci dobrze zapłacono — rzekła tonem pozbawionym gniewu.

— Wykonywałam po prostu swą pracę — odparła Khouri, ale ledwo udało jej się wydobyć słowa. Ludzie pomagali Taraschiemu przejść do schodów. Zeszli i zniknęli jej z oczu. Żona odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na nią z wyrzutem. Khouri słyszała echo kroków odchodzących, potem odgłos stąpania na tarasie. Minęły minuty — wiedziała, że jest zupełnie sama.

Nagle coś się za nią poruszyło. Odwróciła się, automatycznie unosząc karabin — w komorze znajdowała się następna strzałka.

Spomiędzy dwóch kapliczek wyłonił się palankin.

— Case? — Opuściła broń i tak już bezużyteczną, gdyż toksynę dostosowano dokładnie do biochemii Taraschiego.

Ale to nie byl palankin Case'a — był nieoznaczony, bez ozdób, czarny. I teraz się otworzył — Khouri nigdy nie widziała, by palankin to robił — i odsłonił mężczyznę, który bez strachu postąpił w jej stronę. Miał na sobie śliwkową kurtkę matadora, a nie hermetyczne odzienie, jakiego mogłaby się spodziewać po kimś, kto obawiał się zarazy. W jednej ręce trzymał modne akcesorium: małą kamerę.

— Casem się zajęto — oznajmił mężczyzna. — Od teraz nie musisz się nim martwić, Khouri.

— Kim jesteś? Jesteś związany z Taraschim?

— Nie… zaszedłem po prostu, by zobaczyć, czy jesteś tak skuteczna, jak sugeruje twoja reputacja. — Mężczyzna mówił z miękkim akcentem osoby nie pochodzącej stąd — nie z tego układu

ani nie ze Skraju. — Obawiam się, że rzeczywiście jesteś skuteczna. Co oznacza, że od teraz zatrudnia cię ten sam pracodawca, który zatrudnia mnie.

Zastanawiała się, czy ma mu wpakować strzałki w oko. To by go nie zabiło, ale ujęłoby mu nieco arogancji.

— Czyli dla kogo?

— Dla Mademoiselle — odparł mężczyzna.

— Nigdy o niej nie słyszałam.

Podniósł obiektyw swej kamery, który rozwarł się jak bardzo sprytne jajko Fabergeego, setki eleganckich fragmentów jadeitu wsunęły się na nowe miejsca. Nagle Khouri zorientowała się, że patrzy w lufę pistoletu.

— Ale ona o tobie słyszała.

TRZY

Cuvier, Resurgam, 2561

Obudziły go krzyki.

Sylveste sprawdził dotykowy zegar przy łóżku, wyczuwając położenie wskazówek. Miał umówione spotkanie za niecałą godzinę. Ruch na zewnątrz zaczął się kilka minut przed dzwonkiem zegarka. Zaciekawiony, odrzucił koc i przecisnął się do zasłoniętego okna. Z samego rana zawsze był półślepy, gdyż jego oczy jąkały się, sprawdzając po zbudzeniu system. Rzucały planarne zasłony barw podstawowych na otoczenie i Sylveste miał wrażenie, że w nocy pokój został urządzony na nowo przez zespół nadgorliwych kubistów.

Odsunął zasłonę. Sylveste był wysoki, ale nie mógł zobaczyć niczego interesującego, dopóki nie stanął na stosie książek — reprintów starych wydań — dobranych z półek. Nawet wówczas widok był niezbyt inspirujący. Cuvier zbudowano wewnątrz i wokół kopuły geodetycznej, i większość z niej zajmowały sześcio — lub siedmiopiętrowe prostopadłościenne budowle, wzniesione w pierwszych dniach misji — z zamierzenia miały być trwałe, choć niekoniecznie estetyczne. Nie było tu konstrukcji samonaprawczych i wymóg zabezpieczenia się przed awarią kopuły sprawił, że postawiono budynki, które nie tylko mogły przetrzymać burze maczetowe, ale też w razie konieczności samodzielnie utrzymywały ciśnienie atmosferyczne. Między szarymi budowlami o małych okienkach biegły drogi, po których zwykle sunęło kilka pojazdów elektrycznych.

Ale nie dzisiaj.

Calvin wyposażył oczy Dana w funkcje rejestracji obrazu i zoom, ale wykorzystanie tego wymagało koncentracji podobnej do tej, jaka jest potrzebna do odwrócenia jakiegoś złudzenia optycznego. Postacie z zapałek, skrócone, gdy patrzył pod kątem, stały się większe i teraz Sylveste widział je jako indywidualnie poruszające się osoby, a nie amorficzne elementy roju. Nie mógł czytać wyrazu ich twarzy ani nawet ich rozpoznać, ale dość dobrze identyfikował ludzi na ulicy na podstawie sposobu, w jaki się poruszały. Zasadnicza część tłumu przechodziła przez główną drogę Cuvier za barykadą tablic propagandowych i improwizowanych masztów z flagami. Osobnicy z tłumu nie wyrządzili większych szkód — pomazali tylko witryny sklepowe i wyrwali krzak kamelii — ale nie zauważyli oddziału milicji Girardieau, zbierającego się w odległym końcu mallu. Wysiedli

właśnie z furgonetki i przypinali pancerze kamuflujące, które przełączały tryby barw, aż w końcu wszyscy mieli na sobie uspokajający odcień chromowej żółci.

Umył się ciepłą wodą i gąbką, potem starannie przystrzygł brodę i podwiązał włosy. Włożył sztruksową koszulę i spodnie, a na to kimono ozdobione litografiami szkieletów Amarantinów. Zjadł śniadanie — gdy dzwonił budzik, jedzenie zawsze na niego czekało w niewielkiej wnęce — i ponownie sprawdził czas. Wkrótce miała tu przyjść. Posłał łóżko i odwrócił je tak, że stworzyło kanapę wyścielaną czerwoną, pikowaną skórą.

Pascale jak zwykle towarzyszyli ochroniarze-ludzie i parę uzbrojonych serwitorów; nie weszli jednak za nią do środka. Do pokoju wsunęła się natomiast mała brzęcząca plama, podobna do mechanicznej osy. Wyglądała niewinnie, ale Sylveste wiedział, że gdyby tylko puścił wiatry, zarobiłby dodatkowy otwór w głowie, w samym środku czoła.

— Dzień dobry — powitała go.

— Nie powiedziałbym. — Skinął głową w stronę okna. — Dziwię się nawet, że udało ci się tu dostać.

Usiadła na pluszowym podnóżku.

— Mam znajomości w bezpiece. Nie było trudności, mimo godziny policyjnej.

— A więc wprowadzono godzinę policyjną?

Głowę Pascale przykrywał toczek w kolorze fioletu Potopowców; wystająca spod niego prosta czarna grzywka podkreślała bladość twarzy pozbawionej wyrazu. Dziewczyna miała na sobie obcisłe ubranie, kurtkę w czerwono-czarne pasy i spodnie. Jako entoptyki wybrała krople rosy, koniki morskie i latające ryby w różowych i liliowych refleksach. Siedząc, złączyła stopy palcami, górną część ciała pochyliła nieco w stronę Sylveste'a — on też się ku niej nachylił.

— Czasy się zmieniły, doktorze. Ty najlepiej powinieneś to ocenić.

Istotnie. Od dziesięciu lat siedział w więzieniu w sercu Cuvier. Nowy reżim, który po zamachu zastąpił jego rządy, odwiecznym zwyczajem wszelkich rewolucji stał się równie niespójny co poprzedni. Choć pejzaż polityczny był jak zwykle wielobarwny, podstawowa struktura podziałów wyglądała odmiennie. Za jego czasów granice przebiegały między tymi, którzy chcieli badać Amarantinów, a zwolennikami terraformowania Resurgamu i stworzenia zdatnej do życia kolonii, a nie tymczasowej placówki badawczej. Nawet Potopowcowi terraformerzy przyznawali wtedy, że Amarantinów warto kiedyś studiować. Jednak w obecnych czasach partie polityczne, które przetrwały, różniły się tylko w ocenie, w jakim tempie należy terraformować — czy powoli, przez wieki, czy też zastosować

agresywną alchemię atmosferyczną, przy której należałoby ewakuować ludzi z powierzchni planety. Jedno było jasne: nawet najbardziej umiarkowane działania zniszczyłyby na zawsze wiele Amarantińskich tajemnic. Niewielu brało sobie tę sprawę do serca, a ci nieliczni przeważnie bali się zabierać głos. Obecnie prawie nikt nie przyznawał się do zainteresowania Amarantinami, poza dawną grupką zgorzkniałych, niedofinansowanych uczonych. W ciągu dziesięciu lat badania nad wymarłą rasą obcych zostały zepchnięte do intelektualnego skansenu.

I sprawy mogły się już tylko pogorszyć.

Przed pięciu laty przez układ przeleciał statek handlowy. Światłowiec zwinął swe pola zbierające i wszedł na orbitę wokół Resurgamu, stając się jasną, ruchomą nową gwiazdą na firmamancie. Dowódca statku, Remilliod, proponował kolonii bogactwo nowych cudów techniki: nowe produkty z innych układów i rzeczy, których tu nie widziano od czasów sprzed buntu. Kolonia nie mogła sobie jednak pozwolić na wszystko, co kapitan oferował. Toczono zażarte spory, czy należy kupić to, czy tamto — maszyny czy lekarstwa, samoloty czy narzędzia do terrformowania. Krążyły plotki o kontraktach pod stołem, o handlu bronią oraz nielegalnymi technologiami i choć ogólny poziom życia w kolonii był teraz wyższy niż w czasach Sylveste'a — o czym świadczyły serwitory i implanty, które Pascale uważała obecnie za coś oczywistego — między Potopowcami powstały podziały nie dające się zasypać.

— Girardieau musi być przerażony — powiedział Sylveste.

— Nie wiem — odparła trochę za szybko. — Dla mnie najważniejsze jest to, że mamy termin.

— A o czym chciałabyś dzisiaj mówić?

Pascale spojrzała na kompnotes, który trzymała na kolanach. W ciągu sześciu wieków komputery przybierały wszelkie możliwe kształty i architektury, ale prosta płaska tabliczka z wejściem pisakowym prawie nigdy nie wychodziła z mody.

— Chciałabym porozmawiać o tym, co stało się z twoim ojcem.

— Chodzi ci o Osiemdziesiątkę? Czy cała sprawa nie została już dostatecznie udokumentowana dla twoich potrzeb?

— Prawie. — Końcem pisaka Pascale dotknęła ciemnych, koszenilowych warg. — Oczywiście zbadałam wszystkie standardowe świadectwa. Znalazłam w nich odpowiedź na większość pytań. Pozostała jedna mała kwestia, której nie mogłam zadowalająco wyjaśnić.

— Mianowicie?

Musiał przyznać, że Pascale robiła to z maestrią — sposób, w jaki odpowiadała, bez cienia prawdziwego zainteresowania w głosie, jakby to była jakaś drobna niedokończona sprawa, która wymagała

wyjaśnienia, uśpił jego czujność.

— Chodzi o zapis poziomu alfa twojego ojca — odparła.

— Tak?

— Chciałabym wiedzieć, co się z nim naprawdę stało potem.

Padał wewnętrzny deszcz. Mężczyzna z przemyślnym pistoletem poprowadził Khouri do wagonika, który był nieoznaczony i, podobnie jak palankin porzucony przez mężczyznę w Pomniku, niczym się nie wyróżniał.

— Wsiadaj.

— Chwilę… — Gdy tylko otworzyła usta, mężczyzna dźgnął ją w krzyż lufą pistoletu. Zrobił to zdecydowanie, choć łagodnie, nic chcąc spowodować bólu, tylko przypomnieć, że ma broń. Coś jej mówiło, że to profesjonalista i że użyje pistoletu szybciej niż człowiek zachowujący się agresywnie. — W porządku, idę. A kto to jest ta Mademoiselle? Ktoś z konkurencyjnej firmy Shadowplayowej?

— Nie, już ci mówiłem. Nie myśl tak parafialnie.

Zrozumiała, że nie dowie się od niego nic użytecznego.

— A wobec tego, kim ty jesteś? — spytała, pewna, że i tak niewiele się dowie.

— Carlos Manoukhian.

To zmartwiło ją bardziej niż sposób, w jaki trzymał broń. Wymienił swe nazwisko zbyt otwarcie. Nie był to nawet pseudonim. Teraz, gdy poznała jego tożsamość — domyśliła się, że facet jest przestępcą — określenie godne śmiechu, zważywszy na ogólne bezprawie w Chasm City — a to oznaczało, że zamierza ją zabić.

Drzwi wagonika się zatrzasnęły. Manoukhian nacisnął guzik na konsoli, czyszcząc miejskie powietrze, które wystrzeliło dżetami pary z dołu wagonika, gdy ten podciągał się po linie.

— Czym się zajmujesz, Manoukhian?

— Pomagam Mademoiselle. — Jakby tego jeszcze nie wiedziała. — Łączą nas specjalne stosunki. Od bardzo dawna.

— A czego ona ode mnie oczekuje?

— Sądziłem, że teraz to dla ciebie oczywiste — odparł. Nadal przystawiał jej pistolet do pleców i równocześnie patrzył jednym okiem na konsolę nawigacyjną wagonika. — Chce, żebyś kogoś zabiła.

— Tym zarabiam na życie.

— Właśnie. — Uśmiechnął się. — Różnica polega na tym, że ten facet za to nie płaci.

Biografia — co oczywiste — nie była pomysłem Sylveste'a. Inicjatywa wyszła od człowieka, po którym Sylveste najmniej by się tego spodziewał. Stało się to pół roku temu, podczas jednej z niewielu okazji, gdy rozmawiał w cztery oczy z głównym strażnikiem swego więzienia. Nils Girardieau wysunął propozycję jakby od niechcenia; dziwiło go, że nikt dotychczas nie podjął się tego zadania. Przecież

pięćdziesiąt lat na Resurgamie to cała epoka życia i choć ten etap został zakończony tak haniebnie, pozwalał spojrzeć na wcześniejsze dokonania z perspektywy, której brakowało w latach Yellowstone.

— Problem polegał na tym, że twoi poprzedni biografowie stali zbyt blisko wydarzeń, byli zbyt ściśle związani ze środowiskiem, które próbowali analizować. Wszyscy znajdowali się pod urokiem twoim albo Cala, a w tej klaustrofobicznej kolonii nie było miejsca, by cofnąć się i spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy.

— Twierdzisz, że Resurgam mniej sprzyja klaustrofobii?

— No… oczywiście nie, ale przynajmniej mamy tu korzystny dystans zarówno w czasie, jak i przestrzeni. — Girardieau był przysadzistym, muskularnym mężczyzną z burzą rudych włosów. — Przyznaj, Dan, gdy myślisz wstecz o swoim życiu na Yellowstone, nie wydaje ci się, że wszystko przydarzyło się komuś innemu, w czasach bardzo odległych od naszych?

Sylveste już miał się zaśmiać, odrzucając te argumenty, ale nagle doszedł do wniosku, że musi mu przyznać całkowitą rację. Poczuł się nieswojo, jakby podstawowe zasady świata zostały naruszone.

— Mimo to nie rozumiem, dlaczego do tego zachęcasz. — Sylveste wskazał głową siedzącego tuż przy nich strażnika. — Spodziewasz się, że wyciągniesz z tego jakieś korzyści?

Girardieau skinął głową.

— To część sprawy… prawdę mówiąc, może nawet znaczna część. Prawdopodobnie nie uszło twojej uwagi, że dla zwykłych ludzi nadal jesteś obiektem fascynacji.

— Choć większość z nich z satysfakcją patrzyłaby, jak wiszę.

— Coś w tym jest. Ale prawdopodobnie nalegaliby, żeby najpierw uścisnąć twoją dłoń, a dopiero potem pomogliby ci wejść na szubienicę.

— Sądzisz, że mógłbyś wykorzystać te zainteresowania?

Girardieau wzruszył ramionami.

— Oczywiście nowy reżim określa, kto ma do ciebie dostęp… posiadamy też wszystkie twoje zapisy i materiały archiwalne. To nam daje przewagę. Mamy dostęp do dokumentów z lat Yellowston, o których istnieniu wie tylko twoja najbliższa rodzina. Oczywiście, przestrzegamy zasad dyskrecji, wykorzystując te materiały, ponieważ ignorując je, bylibyśmy głupcami.

— Rozumiem — odparł Sylveste, bo nagle wszystko stało się dla niego jasne. — Chcecie mnie zdyskredytować.

— Jeśli same fakty cię dyskredytują… — Uwaga Girardieau zawisła w powietrzu.

— Gdy mnie usunęliście… to wam nie wystarczyło?

— To było dziewięć lat temu.

— Więc co z tego?

— A to, że ludzie zdążyli zapomnieć. Teraz potrzebują subtelnego przypomnienia.

— Zwłaszcza że ostatnio szerzą się oznaki niezadowolenia.

Girardieau skrzywił się, jakby ta uwaga była szczególnym przykładem złego smaku.

— Możesz zapomnieć o Słusznej Drodze, zwłaszcza nie licz na to, że okażą się twoim wybawieniem. Nie zadowoliliby się jedynie wsadzeniem cię do więzienia.

— W porządku. — Sylveste był już znudzony. — A co ja z tego będę miał?

— Zakładasz, że musi być coś takiego?

— Ogólnie mówiąc, owszem. Bo po co byś sobie zawracał głowę, żeby mi o tym powiedzieć?

— Współpraca byłaby w twoim najlepszym interesie. Naturalnie moglibyśmy pracować z materiałem, który przejęliśmy, ale twój punkt widzenia byłby cenny. Zwłaszcza w niezbyt jasnych wypadkach.

— Pozwól, że powiem wprost: chcecie, bym autoryzował wasze oszczerstwa, nie tylko dal swoje błogosławieństwo, ale w istocie pomógł zabić swój wizerunek?

— Sprawię, że ci się to opłaci. — Girardieau wskazał głową pomieszczenie, w którym przetrzymywano Sylveste'a. — Popatrz, dałem wolność Janeqinowi, by kontynuował swe pawie hobby. Mógłbym być równie elastyczny w twoim przypadku, Dan. Dostęp do ostatnich materiałów na temat Amarantinów, umożliwienie łączności z kolegami po fachu, przekazywanie twoich opinii, może nawet okazyjne wycieczki poza ten budynek.

— Praca w terenie?

— Muszę się nad tym zastanowić. Coś równoważnego… — Sylveste nagle wyraźnie uświadomił sobie, że Girardieau gra. — Okres łaski mógłby być pożądany. Biografia jest teraz opracowywana, ale za kilka miesięcy będzie nam potrzebny twój wkład. Może za pół roku. Proponuję, byśmy poczekali, aż zaczniesz nam dawać to, czego potrzebujemy. Oczywiście będziesz pracował z autorką biografii i jeśli współpraca ułoży się pomyślnie — jeśli ona uzna ją za pomyślną — spróbujemy podjąć dyskusję na temat pracy w terenie. Zauważ: powiedziałem dyskusję, to nie obietnica.

— Postaram się powstrzymać entuzjazm.

— Cóż, odezwę się znowu. Masz jeszcze jakieś pytania?

— Tylko jedno. Wspomniałeś, że biografem ma być kobieta. Mógłbym wiedzieć, kto to taki?

— Ktoś, czyje iluzje niedługo prysną, jak sądzę.

Pewnego razu, gdy Volyova pracowała przy kazamacie, na jej ramię łagodnie wskoczył szczur-woźny.

— Towarzystwo — cicho przemówił jej do ucha.

Szczury należały do osobliwości „Nostalgii za Nieskończonością”, prawdopodobnie nie występowały na innych światłowcach. Tylko odrobinę bardziej inteligentne od swoich dzikich przodków, przestały być szkodnikami, a stały się użyteczne, dzięki biochemicznemu podłączeniu do macierzy poleceń statku. Każdy szczur miał specjalizowane feromonowe receptory i transmitery, które pozwalały mu odbierać komendy i przekazywać statkowi informacje, zakodowane w skomplikowanych molekułach wydzielanych przez gruczoły. Szczury poszukiwały odpadków i zjadały w zasadzie wszelką materię organiczną, o ile nie była przymocowana do pokładu i nie oddychała. Potem uruchamiały jakiś rudymentamy preproces w trzewiach, nim ruszyły w inne miejsce na statku, wydalając bobki do większego systemu recyklera. Niektóre z nich były wyposażone w skrzynki głosowe i małe, zintegrowane hardware’owo leksykony użytecznych wyrażeń, które ulegały wokalizacji, gdy bodźce zewnętrzne spełniały zaprogramowane biochemicznie warunki.

Volyova zaprogramowała szczury w ten sposób, by ostrzegały ją, gdy zaczynały przetwarzać ludzkie odpady — na przykład martwe komórki skóry — nie pochodzące z jej ciała. Dzięki temu uzyskiwała informację, kiedy budzili się inni członkowie załogi, nawet jeśli sama znajdowała się w oddalonym rejonie statku.

— Towarzystwo — pisnął ponownie szczur.

— Tak, słyszałam za pierwszym razem. — Opuściła małego gryzonia na pokład i zaklęła we wszystkich językach, jakie znała.

Obronna osa, towarzysząca Pascale, zabrzęczała nieco bliżej Sylveste’a, gdy wyczuła ostrzejsze tony w jego głosie.

— Chcesz wiedzieć o Osiemdziesiątce? Powiem ci. Nie mam najmniejszych wyrzutów sumienia z ich powodu. Wszyscy znali ryzyko. Ponadto ochotników było siedemdziesięciu dziewięciu, nie osiemdziesięciu. Ludzie wygodnie zapominają, że osiemdziesiątym był mój ojciec.

— Nie możesz ich winić.

— Nie mogę, jeśli się przyjmie, że głupota jest cechą dziedziczną. — Sylveste usiłował się odprężyć. Było to trudne. W pewnym momencie podczas ich rozmowy milicja zaczęła rozpylać na zewnątrz, w powietrzu pod kopułą, gaz straszący. Zabarwiał on czerwieniejące światło dnia prawie czernią. — Zrozum — powiedział obojętnie — gdy mnie aresztowano, rząd skonfiskował Calvina. Calvin sam jest w stanie uzasadnić swe działania.

— Nie o jego działania chcę cię zapytać.

Pascale zanotowała coś w swym kompnotesie.

— Chodzi o to, co się potem stało z nim, z jego symulacją poziomu alfa. Każda z alf zawiera około dziesięciu do potęgi osiemnastej bajtów informacji — powiedziała, zakreślając coś w

notatniku. — Zapiski z Yellowstone mają wiele dziur, ale trochę się dowiedziałam. Okazało się, że sześćdziesiąt sześć alf rezydowało w zasobach danych na orbitach wokół Yellowstone: w karuzelach, miastach-żyrandolach i rozmaitych przytuliskach Porywaczy i Ultrasów. Oczywiście większość padła, ale nikt nie zamierzał ich wymazywać. Kolejnych dziesięć wytropiłam w uszkodzonych archiwach planetarnych, zatem pozostały cztery. Z tego trzy to członkowie siedemdziesięciu dziewięciu, związani albo z bardzo biednymi, albo niemal wygasłymi rodami. Czwarty to symulacja alfa Calvina.

— No i co? — spytał takim tonem, jakby ta sprawa niezbyt go dotyczyła.

— Nie mogę się pogodzić z tym, że Calvin został utracony w taki sam sposób jak pozostali. To nie ma sensu. Instytut Sylveste'a nie potrzebował bankierów ani kuratorów, by pilnowali całości ich majątków. Była to jedna z najbogatszych organizacji na planecie, aż do samego momentu, gdy zaatakowała zaraza. Więc co się stało z CaMnem?

— Sądzisz, że przywiozłem go na Resurgam?

— Nie, dowody wskazują na to, że został już wcześniej zagubiony. Co więcej, ostatni raz, gdy na pewno był obecny w układzie, miał miejsce sto lat przed startem ekspedycji na Resurgam.

— Sądzę, że się mylisz — odparł Sylveste. — Dokładniej sprawdź zapisy, a przekonasz się, że alfa została przeniesiona do orbitalnego schowka danych pod koniec dwudziestego czwartego wieku. Instytut przenosił nieruchomości trzydzieści lat później, więc alfa została z pewnością wtedy przemieszczona. Potem w roku trzydziestym dziewiątym lub czterdziestym Instytut został zaatakowany przez Dom Reivich. Wymazali wszystkie dane z rdzenia.

— Nie — powiedziała Pascale. — Wykluczyłam te okoliczności. Wiem, że w 2390 około dziesięć do osiemnastej bajtów czegoś zostało przeniesione przez Instytut Sylveste'a na orbitę, a trzydzieści lat później przemieszczono tę samą ilość. Ale dziesięć do osiemnastej bajtów informacji nie musi być Calvinem. Równie dobrze może to być dziesięć do osiemnastej bajtów poezji metafizycznej.

— Co niczego nie dowodzi.

Podała mu kompnotes, jej otoczenie koników morskich i ryb rozproszyło się jak rój robaczków świętojańskch.

— Nie, ale z pewnością budzi podejrzenia. Dlaczego alfa zniknęła mniej więcej w tym samym czasie, gdy wyruszyłeś na spotkanie z Całunnikami, jeśli te wydarzenia nie mają związku ze sobą?

— Twierdzisz, że mam z tym coś wspólnego?

— Późniejsze przeniesienie danych mogło być sfabrykowane przez kogoś z organizacji Sylveste'a. Ty jesteś oczywistym

podejrzanym.

— Przydałby się tu jakiś motyw.

— Och, o to się nie martw — odparła, kładąc kompnotes na kolanach. — Jestem pewna, że zdołam znaleźć jakiś motyw.

Trzy dni potem, jak szczur-woźny ostrzegł ją, że załoganci się obudzili, Volyova uznała, że jest gotowa na spotkanie. Nigdy nie oczekiwała ich z jakąś szczególną radością; nie żeby nie lubiła ludzkiego towarzystwa, ale też bez trudu potrafiła przywyknąć do samotności. Nagorny nie żył i teraz wszyscy są o tym fakcie doskonale poinformowani.

Pomijając szczury i Nagornego, na statku było teraz sześciu członków załogi. Pięciu — jeśli nie liczyć kapitana. A czemu by go liczyć? Wszak — o ile wiedzieli pozostali członkowie załogi — był pozbawiony świadomości i nie mógł się komunikować. Wieźli go tylko dlatego, że mieli nadzieję, że go wyleczą. Pod wszelkimi innymi względami rzeczywista władza na statku należała teraz do Triumwiratu. Czyli do Yuuji Sajakiego, Abdula Hegaziego i naturalnie do Volyovej. Triumwirom podlegali obecnie dwaj członkowie załogi równej rangi: Kjarval i Sudjic, chimeryczki, które dopiero ostatnio dostały się na statek. Wreszcie najniższy stopniem zbrojmistrz — rolę tę peł — nił Nagomy. Teraz, gdy nie żył, stanowisko to wiązało się z pewnymi możliwościami, jak pusty tron.

Podczas czuwania pozostali członkowie załogi przebywali w ściśle określonych rejonach statku, resztę zostawiając Volyovej i jej maszynom. Teraz był ranek czasu statkowego; tutaj, na pokładach załogi, oświetlenie działało według dobowego, dwudziestoczterogodzinnego cyklu. Najpierw poszła do pomieszczenia chłodni. Pusto. Z wyjątkiem jednej, wszystkie kasety chłodni były otwarte. Ta jedna należała oczywiście do Nagornego. Wcześniej Volyova, przymocowawszy jego głowę do korpusu, umieściła całe ciało w kasecie i ją oziębiła. Potem zepsuła jednostkę chłodzącą i Nagorny się ogrzał. Był już wtedy martwy, ale stwierdzić ten fakt mógł tylko wytrawny patolog. Najwyraźniej nikt z załogi nie przejawił zbytniej ochoty do bliższego badania nieboszczyka.

Volyova znów pomyślała o Sudjic. Sudjic i Nagorny byli kiedyś sobie bliscy. Nie trzeba lekceważyć Sudjic.

Opuściła komorę chłodni, zajrzała do kilku prawdopodobnych miejsc spotkania, potem znalazła się przy wejściu do jednego z lasów, manewrowała w przepaścistym gąszczu umarłych roślin, aż doszła do wnęki, gdzie nadal świeciły lampy ultrafioletowe. Podeszła do polany, schodząc niepewnie po prymitywnych drewnianych schodach prowadzących w poszycie. Polana wyglądała idyllicznie, tym bardziej że pozostała część lasu była pozbawiona życia. Smugi żółtego słonecznego światła przedzierały się w górze przez listowie palm. W

dali wodospad zasilał wodną nieckę o pionowych ścianach. Małe papugi i ary przelatywały gdzieniegdzie między drzewami lub skrzeczały na swoich żerdziach.

Volyova zgrzytnęła zębami — nie znosiła tego sztucznego miejsca.

Czterej obudzeni członkowie załogi jedli śniadanie przy długim drewnianym stole, na którym leżały sterty chleba, owoców, plastry mięsa i sera, stały dzbany soku pomarańczowego i termosy z kawą. Po drugiej stronie polany potykali się dwaj holograficznie rzutowani rycerze, usiłując wypruć sobie nawzajem flaki.

— Dzień dobry — powiedziała. Opuściła schody i weszła na autentycznie wilgotną trawę. — Zostało może trochę kawy?

Spojrzeli na nią, niektórzy odwrócili się na stołkach, by ją powitać. Obserwowała ich reakcje, gdy dyskretnie odkładali sztućce, troje z nich cicho ją pozdrowiło. Sudjic w ogóle się nie odezwała. Tylko Sajaki powiedział głośniej:

— Miło cię widzieć, Ilia. — Podniósł misę ze stołu. — Chcesz kawałek grejpfruta?

— Dziękuję. Może wezmę.

Podeszła do nich i wzięła miskę od Sajakiego. Na owocach połyskiwał cukier. Specjalnie usiadła między dwiema kobietami — Sudjic i Kjarval. Obie były teraz czarnoskóre i łyse, tylko na czubkach głów wyrastały im dzikie dredy. Ultrasi traktowali dredloki symbolicznie: wskazywały one, ile razy dana osoba przebywała w chłodni, ile razy niemal otarła się o prędkość światła. Te dwie kobiety znalazły się na pokładzie, gdy załoga Volyovej zdobyła po piracku ich statek macierzysty. Ultrasi zmieniali lojalność równie łatwo, jak wodny lód, monopole magnetyczne i dane, których używali jako walutę. Obie kobiety były jawnymi chimeryczkami, choć ich transformacje wydawały się umiarkowane w porównaniu z Hegazim. Ramiona Sudjic znikały poniżej łokci w kunsztownie wygrawerowanych brązowych rękawicach, z tombakowymi oknami, w których pojawiały się zmienne hologramy, a diamentowe paznokcie wystawały z bardzo wąskich palców tych udawanych dłoni. Ciało Kjarval było w większej części organiczne, ale oczy miały kształt przeciętej jak u kota czerwonej elipsy, w płaskim nosie zamiast nozdrzy znajdowały się tylko gładkie długie szczelinki, jakby służące do oddychania w wodzie. Kjarval nie nosiła ubrań; tylko oczy, nozdrza, usta i uszy zakłócały gładkość skóry przypominającej jednolitą powłokę czarnego neoprenu. Piersi bez brodawek, subtelne palce bez paznokci, palce u nóg ledwo zaznaczone, jakby kobietę stworzył rzeźbiarz śpieszący się do innego zlecenia. Gdy Volyova usiadła, Kjarval obserwowała ją z obojętnością zbyt wystudiowaną, by była szczera.

— Dobrze, że z nami jesteś — powiedział Sajaki. — Miałaś dużo

pracy, gdy spaliśmy. Wydarzyło się coś ważnego?

— To i owo.

— Ciekawe — odparł z uśmiechem. — To i owo. Czy między „tym" a „owym" zauważyłaś coś, co mogłoby rzucić światło na śmierć Nagornego?

— Zastanawiałam się, gdzie jest Nagorny. Teraz odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Ale ty nie odpowiedziałaś na moje.

Volyova dziobała swego grejpfruta.

— Żył, gdy ostatni raz go widziałam. Nie mam pojęcia… a przy okazji, jak umarł?

— Jednostka chłodząca ogrzała go przedwcześnie. Nastąpiły rozmaite procesy bakteriologiczne. Chyba nie musimy wchodzić w szczegóły, prawda?

— Nie przy śniadaniu. — Najwyraźniej w ogóle nie przeprowadzili bliższych oględzin, bo inaczej dostrzegliby obrażenia Nagornego, choć wiele zrobiła, by je zamaskować. — Przepraszam — powiedziała, zerkając na Sudjic. — Nie chciałam okazać braku szacunku…

— Oczywiście — powiedział Sajaki, rozrywając na pół pajdę chleba. Utkwił w Sudjic swe wąsko osadzone, elipsoidalne oczy, jak ktoś wpatrujący się we wściekłego psa. Zeszły mu tatuaże, które sobie zrobił podczas infiltracji Głębieli Porywaczy, a w ich miejscu powstały białawe ślady, mimo cierpliwych zabiegów, jakim poddawano go w chłodni. Może Sajaki poinstruował medmaszyny, by pozostawiły mu te pamiątki po jego dokonaniach wśród Głąbielan — trofeum przypominające korzyści ekonomiczne, jakie z nich wydusił. — Jestem pewien, że uwolnimy Ilię od wszelkiej odpowiedzialności za śmierć Nagornego, prawda, Sudjic?

— Dlaczego miałabym ją obwiniać za ten wypadek? — powiedziała Sudjic.

— Właśnie. I na tym koniec sprawy.

— Niezupełnie — stwierdziła Volyova. — Może to nie najlepszy czas, by podnosić tę sprawę, ale… Zamierzałam powiedzieć, że chciałabym wyjąć implanty z jego głowy. Nawet jeśli uzyskam na to pozwolenie, prawdopodobnie i tak okażą się zniszczone.

— Możesz, zrobić nowe? — spytała Sajaki.

— Tak, jeśli wystarczy mi czasu. — Volyova westchnęła z rezygnacją. — Potrzebuję też nowego kandydata.

— Gdy zatrzymamy się przy Yellowstone, możesz tam kogoś poszukać — stwierdził Hegazi.

Rycerze po drugiej stronie polany nadal walczyli, ale nikt z załogi nie zwracał na nich zbytniej uwagi, choć jeden z walczących chyba miał trudności ze strzałą, która przebiła mu przyłbicę.

— Jestem pewna, że pojawi się ktoś odpowiedni — oznajmiła Volyova.

Khouri oddychała zimnym powietrzem w domu Mademoiselle — z tak czystym powietrzem nie spotkała się od czasu przybycia na Yellowstone. Niewiele to znaczyło — było czyste, ale nie pachnące. Bardziej przypominało wonie namiotu szpitalnego na Skraju Nieba — wtedy gdy ostatni raz widziała Fazila — z resztkami zapachu jodyny, kapusty i chloru.

Wagonik Manoukhiana jechał przez miasto, przez częściowo zalany podpowierzchniowy akwedukt. Przybyli do podziemnej jaskini. Tu Manoukhian poprowadził Khouri do windy, która wjeżdżała tak szybko, że aż zatykało uszy. Po chwili wyszli w ciemny pełen pogłosów hol. Khouri podejrzewała, że to raczej trik akustyczny, a nie prawdziwe echo, miała jednak wrażenie, że wkroczyła do olbrzymiego, nieoświetlonego mauzoleum. W górze unosiły się okna o delikatnym rysunku, lecz światło sączące się przez nie było blade, jak w środku nocy. Ponieważ na zewnątrz panował dzień, efekt był subtelnie niepokojący.

— Mademoiselle nie przepada za dziennym światłem — wyjaśnił Manoukhian.

— Co ty powiesz? — Oczy Khouri zaczynały się przyzwyczajać do mroku. Powoli rozróżniała wielkie przedmioty, stojące w sali. — Nie jesteś stąd, prawda Manoukhian?

— Więc mamy chyba ze sobą coś wspólnego.

— Ciebie również sprowadził na Yellowstone jakiś błąd urzędniczy?

— Niezupełnie — odparł. Domyśliła się, że Manoukhian rozważa, ile mógłby jej zdradzić. To jego słabość, pomyślała. Jak na zawodowego zabójcę, czy kim tam on był, lubił za dużo mówić. Przez dalszą drogę zabawiał ją przechwałkami o swych dokonaniach w Chasm City; gdyby nie pochodziły od tego twardziela z obcym akcentem i zmyłkowym pistoletem, puściłaby je mimo uszu. Teraz jednak niepokoiło ją, że część tych opowieści mogła być prawdziwa. — Nie. — Chęć wygadania się zatriumfowała w nim nad zawodowym instynktem ponuraka. — Nie, to nie błąd urzędnika, ale pomyłka… w każdym razie wypadek.

Khouri wszędzie widziała mnóstwo zwalistych przedmiotów, nie potrafiła dokładnie rozpoznać ich kształtów, wszystkie stały na smukłych palach wystających z czarnych cokołów. Niektóre przypominały fragmenty zgniecionych skorupek jaj, inne delikatne łuski korali mózgowych. Wszystkie miały metaliczny połysk i wydawały się bezbarwne w żółtawym świetle.

— Miałeś wypadek?

— Nie… nie ja. Ona miała wypadek. Mademoiselle. Tak się

spotkaliśmy. Była… nie powinienem ci tego opowiadać, Khouri. Jeśli się dowie, będę martwy. Nietrudno pozbyć się ciała w Mierzwie. Słuchaj, wiesz co tam ostatnio odkryłem? Nie uwierzysz, ale znalazłem cały cholerny…

Manoukhian nadal się chełpił. Khouri przesunęła palcami po jednej z rzeźb, poczuła zimną metalową fakturę. Krawędzie były bardzo ostre. Miała wrażenie, że ona i Manoukhian to dwoje miłośników sztuki, którzy pośród nocy włamali się do muzeum. Rzeźby czekały cierpliwie. Czekały na coś, ale ich zapas cierpliwości nie był nieograniczony.

To dziwne, ale Khouri była zadowolona z towarzystwa rewolwerowca.

— To jej dzieło? — spytała, przerywając potok słów Manoukhiana.

— Może — odparł. — Wtedy mogłabyś powiedzieć, że cierpiała za swą sztukę. — Zatrzymał się i dotknął jej ramienia. — Dobrze. Widzisz te schody?

— Chcesz, żebym po nich weszła?

— Domyślna jesteś.

Łagodnie dźgnął ją lufą w plecy. Dla przypomnienia, że wciąż ma pistolet.

Przez iluminator w ścianie obok kwatery zmarłego Volyova widziała gazowego giganta o barwie tangeriny. Zacieniony biegun południowy migał burzami zorzowymi. Znajdowali się teraz głęboko w układzie Epsilon Eridani; wchodzili pod ostrym kątem do ekliptyki. Od Yellowstone dzieliło ich zaledwie parę dni, mieli minuty świetlne do lokalnych środków transportu, które poruszały się po sieci komunikacyjnych torów optycznych łączących wszystkie ważniejsze habitaty i statki w układzie. Ich własny statek też się zmienił. Przez iluminator Volyova widziała czoło jednego z silników Hybrydowców. Silniki automatycznie zwijały pola zagarniające, gdy prędkość statku spadała poniżej prędkości naporowej, subtelnie modyfikowały swój kształt, przechodząc w tryb wewnątrzsystemowy, paszcza zagarniająca zamykała się jak kielich kwiatu o zmierzchu. Silniki nadal w jakiś sposób wytwarzały ciąg, ale źródło masy reakcyjnej czy energii do przyśpieszenia statku było kolejną zagadką techniki Hybrydowców. Przypuszczalnie napęd mógł działać w ten sposób tylko do pewnej granicy czasowej, inaczej przecież nigdy by nie potrzebował przesiewać kosmosu w poszukiwaniu paliwa podczas trybu jazdy międzygwiezdnej…

Umysł Volyovej wędrował, pragnąc skupić się na czymkolwiek, byle nie na bieżących problemach.

— Przypuszczam, że będą z nią kłopoty — powiedziała. — Poważne kłopoty.

— Nie sądzę, o ile dobrze ją rozumiem. — Triumwir Sajaki uśmiechnął się słabo. — Sudjic zbyt dobrze mnie zna. Wie, że gdyby wystąpiła przeciw komuś z Triumwiratu, nie zadam sobie trudu, by ostro ją ganić. Nie pozwolę jej też na luksus opuszczenia statku, gdy dotrzemy do Yellowstone. Po prostu ją zabiję.

— Nieco za surowo.

W jej ustach pobrzmiewało to słabością — pogardzała sobą z tego powodu — ale tak właśnie czuła.

— Nie znaczy to, że jej nie współczuję. Poza tym nie miała do mnie pretensji… aż do śmierci Nagornego. Jeśli coś zrobi, nie mógłbyś zastosować środków dyscyplinujących?

— Nie warto — odparł Sajaki. — Jeśli wpadnie jej do głowy, by ci coś zrobić, nie skończy się na drobnym dokuczaniu. Jeśli ją zdyscyplinuję i nie zrobię nic więcej, znajdzie sposób, by bezustannie cię krzywdzić. Zabicie jej to jedyne rozsądne wyjście. A tak. przy okazji… jestem zdziwiony, że patrzysz z jej punktu widzenia. Czy nie pomyślałaś, że niektóre problemy Nagornego mogły się na nią przenieść?

— Pytasz, czy według mnie jest zupełnie zdrowa na umyśle?

— To nie ma znaczenia. Nic ci nie zrobi… przyrzekam. — Zamilkł na chwilę. — A teraz, czy moglibyśmy z tym skończyć? Dotychczasowa porcja Nagornego wystarczy mi na całe życie.

— Doskonale rozumiem, co czujesz.

Od pierwszego spotkania z załogą upłynęło kilka dni. Stali na zewnątrz kwatery zmarłego na poziomie 821, przygotowując się do wejścia do środka. Od śmierci Nagornego nikt nie wchodził do tego zamkniętego pomieszczenia. Nawet Volyova tam nie wchodziła, w obawie przed ewentualnymi pułapkami.

Przemówiła do bransolety:

— Zablokować zakazy bezpieczeństwa w osobistych pomieszczeniach zbrojmistrza Borysa Nagornego, autoryzacja Volyova.

Drzwi się przed nimi otworzyły. Poczuli lekki powiew dość chłodnego powietrza.

— Niech wejdą do środka — powiedział Sajaki.

Przeczesanie pomieszczeń zajęło uzbrojonym serwitorom zaledwie kilka minut; potwierdziły, że nie ma tu wyraźnego niebezpieczeństwa. To zrozumiałe — wszak Nagorny przypuszczalnie nie planował swej śmierci akurat wtedy, gdy Volyova go załatwiła. Jednak po osobach jego pokroju wszystkiego można się było spodziewać.

Weszli do środka, gdzie serwitory zdążyły już zaktywizować oświetlenie.

Jak większość znanych Volyovej psychopatów, Nagorny wydawał

się całkowicie zadowolony ze szczupłej przestrzeni prywatnej. Jego kwatera była ciaśniejsza nawet od pomieszczeń pani Triumwir. Panowała tu wymyślna schludność, jakby działał w tym miejscu jakiś antypoltergeist. Większość z jego rzeczy — a nie miał ich wiele — była solidnie przytwierdzona, więc w stanie nienaruszonym przetrwała manewry statku, które zabiły Nagornego.

Sajaki skrzywił się i zakrył nos rękawem.

— Ale fetor.

— To barszcz. Chyba z buraków. Nagomy to uwielbiał.

— Przypomnij mi, żebym tego nie kosztował.

Sajaki zamknął drzwi od środka.

W pomieszczeniu wyczuwało się rezydualny chłód. Według wskazań termometrów panowała tam temperatura pokojowa, ale Volyova miała wrażenie, że cząsteczki powietrza pamiętały wielomiesięczny mróz. Surowy wystrój nie pomagał tego zniwelować. W porównaniu z tym miejscem kwatera Volyovej wydawała się zasobna i luksusowa. Nie chodziło o to, że Nagorny nie nadał swemu mieszkaniu osobistego charakteru — przeciwnie, starał się, ale jego wysiłki poniosły żałosną klęskę i przyczyniły się do czegoś zupełnie przeciwnego: pokój stał się jeszcze bardziej przygnębiający i ponury, niż gdyby był pusty.

Trumna na pewno nie rozpraszała tego nastroju.

Podłużna skrzynia była jedynym przedmiotem nie przymocowanym w chwili śmierci Nagornego. Nie została uszkodzona, ale Volyova wyczuwała, że przedtem trumna musiała stać pionowo, dominując nad pomieszczeniem swą złowieszczą wspaniałością. Była wielka i prawdopodobnie żelazna. Czarny metal pochłaniał światło jak powierzchnia otoczki Całunnika. Ściany pokrywał wklęsłoryt tak zawiły, że jednym spojrzeniem nie dało się odkryć wszystkich jego tajemnic. Volyova oglądała to w milczeniu. Czyżby Borys Nagorny mógł wykonać coś takiego? — pomyślała.

— Yuuji, to mi się nie podoba — powiedziała.

— Chyba cię rozumiem.

— Co za szaleniec robi dla siebie trumnę?

— Powiedziałbym: bardzo oddany swej sprawie. Ale mamy ten obiekt i jest to prawdopodobnie jedyny nasz wgląd w jego umysł. Co sądzisz o tych zdobieniach?

— To niewątpliwie projekcja jego psychozy, konkretyzacja. — Teraz, gdy Sajaki wymuszał spokój, popadła w uległość. — Powinnam zbadać rysunek. Uzyskałabym jakiś pogląd. — Po chwili milczenia dodała: — Żebyśmy po raz drugi nie popełnili tego samego błędu.

— To rozważne — rzekł Sajaki, klękając. Palcem w rękawiczce przesunął po wklęsłej, zawiłej rzeźbie. — Mieliśmy wielkie szczęście, że nie musiałaś go w końcu zabić.

— Tak. — Spojrzała na niego dziwnie. — Ale co myślisz o tych zdobieniach, Yuuji-san?

— Chciałbym wiedzieć, kto to taki lub co to takiego Złodziej Słońca — odparł. Pokazał jej te słowa wyryte cyrylicą na trumnie. — Rozumiesz to? W kontekście jego psychozy, naturalnie. Co to znaczyło dla Nagomego?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Pozwól, że wysunę hipotezę. W wyobraźni Nagomego Złodziej Słońca reprezentował kogoś z jego codziennego doświadczenia. Widzę tu dwie możliwości.

— On sam albo ja — powiedziała Volyova. Wiedziała, że Sajakiego niełatwo spławić. — Tak, to oczywiste… ale zupełnie nie jest pomocne.

— Jesteś pewna, że nigdy nie wspomniał o Złodzieju Słońca?

— Zapamiętałabym taką rzecz.

I rzeczywiście pamiętała: Nagorny napisał te słowa własną krwią na ścianie w jej kwaterze. Nic jej to nie mówiło, ale jednak zetknęła się z tym określeniem. Tuż przed przykrym końcem ich współpracy Nagomy mówił niemal wyłącznie o tym. Złodziej Słońca całkowicie wypełniał jego sny. Jak wszyscy paranoicy, Nagorny widział przejawy jego złośliwej działalności w codziennych kłopotach. Gdy zgasły światła na statku lub winda zajechała na zły poziom, twierdził, że to robota Złodzieja Słońca. Nie zwykła awaria, ale zawsze przejaw rozmyślnych zakulisowych machinacji kogoś, kogo tylko Nagorny potrafił wykryć. Volyova głupio ignorowała te sygnały. Miała nadzieję — a nawet doszła do tego, że niemal się o to modliła — że fantom wróci do piekła jego podświadomości. Ale Złodziej Słońca tkwił przy Nagornym do ostatnich chwil, o czym świadczyła trumna na podłodze.

Tak… takie rzeczy się pamięta.

— Na pewno byś zapamiętała — powiedział Sajaki z przekonaniem. Znów patrzył na ryty. — Musimy najpierw zrobić kopię tych znaków — stwierdził. — Mogą nam pomóc, ale ten cholerny efekt Braille'a niełatwo rozszyfrować okiem. Co to według ciebie jest? — Przesunął dłonią po promienistym wzorze. — Ptasie skrzydła? Promienie słońca świecącego z góry? Według mnie przypominają bardziej ptasie skrzydła. Dlaczego miał w umyśle ptasie skrzydła? I w jakim to ma być języku?

Volyova przyglądała się zawiłym napisom, zbyt skomplikowanym, by je pojąć. Pragnęła mieć ten obiekt wyłącznie dla siebie, a Sajakiego odsunąć jak najdalej. Wiele elementów wskazywało na to, że umysł Nagornego pogrążał się w bezdennej głębi.

— To zasługuje na uważniejsze studia — stwierdziła ostrożnie. — Powiedziałeś „najpierw". A co zamierzasz zrobić po wykonaniu kopii?

— To chyba oczywiste.

— Zniszczyć to cholerstwo?

Sajaki uśmiechnął się.

— Albo zniszczyć, albo oddać Sudjic. Osobiście optowałbym za zniszczeniem. Rozumiesz, trumny na statku to nic dobrego. Zwłaszcza te wykonane na miejscu.

Schody pięły się w nieskończoność. Przy drugiej setce Khouri straciła rachubę. Czuła, że kolana się pod nią uginają, gdy nagle schody się skończyły i pojawił się bardzo długi biały korytarz, z ciągiem cofniętych łuków po obu stronach. Wrażenie było takie, jakby stało się w portyku w świetle księżyca. Szła prostym korytarzem, aż dotarła do podwójnych drzwi na jego końcu, udekorowanych organicznym, czarnym cyzelunkiem z wstawkami z lekko przyciemnionego szkła. Z pomieszczenia za drzwiami sączyło się lawendowe światło.

Najwyraźniej dotarła do celu.

A może to pułapka, a wejście do pokoju to samobójstwo? Odwrót nie wchodził jednak w rachubę — uroczy Manoukhian nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości. Khouri nacisnęła klamkę i weszła. Jej nos wyłowił z powietrza coś przyjemnego: kwiatowy zapach kontrastujący ze sterylną atmosferą pozostałej części domu. Khouri poczuła się nieumyta, choć zaledwie kilka godzin minęło od chwili, gdy Ng ją obudził i kazał zabić Taraschiego. W tym czasie zebrała na sobie miesięczną porcję brudu z miejskiego deszczu, uzupełnioną jej własnym potem i strachem.

— Widzę, że zdołaliście przybyć bez szwanku — usłyszała kobiecy głos.

— Masz na myśli mnie czy jego?

— Oboje, moja droga — odparła niewidoczna osoba. — Macie równie znakomitą reputacje.

Za Khouri zatrzasnęły się drzwi. Rozejrzała się; orientacja w panującym tu dziwnym różowym świetle była trudna. Pomieszczenie, przypominające formą czajnik, miało dwa zasłonięte okna w kształcie oczu, osadzone we wklęsłej ścianie.

— Witam w miejscu mojego pobytu — powiedziała kobieta. — Proszę, czuj się swobodnie.

Khouri podeszła do zasłoniętych okiennicami okiei: Z jcu nej strony były wbudowane dwie kasety zimna, połyiL-jąct chromem jak srebrzyste rybki. Jedna z kaset była zamknięta i chłodziła, druga — otwarta, jak poczwarka gotowa zawrzeć motyla.

— Gdzie jestem?

Żaluzje odsłoniły się gwałtownie.

— Tam gdzie zawsze byłaś — odparła Mademoiselle.

Khouri ujrzała Chasm City. Nigdy jednak nie patrzyła na miasto z

tak wysoka. Znajdowała się powyżej Moskitiery, jakieś pięćdziesiąt metrów nad jej plamistą powierzchnią. Poniżej sieci rozciągało się miasto, jak kolczaste morskie zwierzę zakonserwowane w formaldehydzie. Khouri nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Domyślała się tylko, że jest w MOrymś z najwyższych budynków; jednym z tych, które ukazała!;v dyś za niezamieszkane.

— Nazywam to miejsce Chateau des Corbeaux — Dom Kruków — gdyż jest czarny. Na pewno go widziałaś.

— Czego chcesz? — spytała w końcu Khouri.

— Żebyś wykonała dla mnie zadanie.

— I po to ten cyrk? Musiałaś mnie porywać i zastraszyć, żeby zamówić robotę? Nie mogłaś skontaktować się zwykłymi kanałami?

— To nie jest zwykłe zadanie.

Khouri skinęła na otwartą kasetę.

— A to ma z zadaniem coś wspólnego?

— Nie mów mi, że to cię niepokoi. Przecież w czymś takim dotarłaś do naszego świata.

— Pytałam, co to znaczy.

— Wszystko we właściwym czasie. Proszę, odwróć się.

Khouri usłyszała za sobą cichy hałas spowodowany pracą maszyny, odgłos przypominający otwieranie szuflad komody.

Do pokoju wsunął się palankin hermetyka. A może cały czas się tu znajdował, ukryty za pomocą jakiegoś triku? Był kanciasty jak metronom, bez ozdób, czarny, zgrubnie pospawany. Nie.riiał odnóży ani żadnych widocznych sensorów, a mały monoki wizyjny osadzony z przodu był ciemny jak oko rekina.

— bez wątpienia spotkałaś już osoby mojego gatunku — dobiegł głos z palankinu. — Nie bądź zaniepokojona.

— Nie jestem — odparła Khouri.

Kłamała. Coś ją w tym pudełku niepokoiło; takiego odczucia nie miała w obecności Nga czy innych znanych jej hermetyków. Może to surowa konstrukcja palankinu albo podświadome wrażenie, że pudełko rzadko pozostaje puste. Ponadto okienko wizyjne było małe i wyobraźnia podpowiadała, że za cienkim nieprzezroczystym materiałem znajduje się jakaś szkarada.

— Nie mogę teraz odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania — rzekła Mademoiselle. — Ale oczywiście nie sprowadziłam cis po to, żebyś zobaczyła moje kłopotliwe położenie. O, może to ułatwi sprawę…

Obok palankinu zmaterializowała się postać, zobrazowana przez sam pokój.

Oczywiście była to kobieta, młoda, ale — co paradoksalne — ubrana w strój, jakiego nie noszono na Yellowstone od czasów zarazy, i otoczona wirującymi entoptykami. Czarne włosy miała sczesane ze

szlachetnego czoła, spięte klamrą przeplecioną światłem. Śmiały dekolt jaskrawoniebieskiej długiej sukni odsłaniał plecy. Przy ziemi suknia rozpływała się w nicość.

— Tak wyglądałam — powiedziała postać. — Przed zarazą.

— Nie możesz nadal pozostać w tej formie?

— Za duże jest ryzyko wyjścia z zamknięcia, nawet w sanktuariach hermetyków. Nie mam zaufania do ich środków ostrożności.

— Po coś mnie tu sprowadziła?

— Manoukhian nie powiedział ci wszystkiego?

— Nie, w zasadzie nie. Wyjaśnił tylko, że moje zdrowie ucierpi, jeśli z nim nie pójdę.

— Niedelikatnie, choć celnie, przyznaję. — Uśmiech zniekształcił bladą twarz kobiety. — A jak przypuszczasz, po co cię tu sprowadziłam?

Khouri wiedziała, że bez względu na to, co się tu jeszcze wydarzy, już i tak zobaczyła zbyt wiele, by powrócić do normalnego życia w mieście.

— Jestem zawodową zabójczynią. Manoukhian widział mnie przy pracy i stwierdził, że zasługuję na swą reputację. Właśnie… może wyciągam zbyt pochopne wnioski, ale podejrzewam, że chcesz, bym kogoś zabiła.

— Tak, bardzo dobrze. — Postać skinęła głową. — Ale czy Manoukhian ci powiedział, że to nie będzie zwykły kontrakt?

— Owszem, wspominał coś o istotnej różnicy.

— Czy to cię niepokoi? — Mademoiselle przyjrzała jej się uważnie. — Interesujące, prawda? Ci, co stanowią twój zwykły cel, wyrażają zgodę na zabójstwo, nim zaczynasz im deptać po piętach. Ale liczą na to, że prawdopodobnie umkną, przeżyją i będą mogli się chwalić, że cię przechytrzyli. Gdy ich potem rzeczywiście dopadasz, wątpię, czy wielu z nich odchodzi miło i spokojnie.

Khouri pomyślała o Taraschim.

— Zwykle nie. Zwykle błagają mnie, bym tego nie robiła, próbują przekupić, i tak dalej.

— I?

Khouri wzruszyła ramionami.

— Mimo to zabijam ich.

— Podejście prawdziwego profesjonalisty. Byłaś żołnierzem, Khouri?

— Kiedyś. — Nie chciała teraz o tym myśleć. — Znasz mój życiorys?

— Wystarczająco. Twój mąż też był żołnierzem, miał na imię Fazil, i oboje walczyliście na Skraju Nieba. I wtedy coś się wydarzyło. Błąd urzędnika. Wsadzono cię na statek zmierzający na Yellowstone.

Nikt nie zdawał sobie sprawy z pomyłki do chwili, gdy obudziłaś się tutaj, dwadzieścia lat później. Zbyt późno, by powrócić na Skraj, nawet gdybyś miała pewność, że Fazil nadal żyje. Po twoim powrocie byłby czterdzieści lat starszy.

— Teraz wiesz, dlaczego wykonywanie zawodu zabójcy nie spędza mi snu z powiek.

— Właśnie, wyobrażam sobie, co czułaś. Że nie masz długu wdzięczności ani wobec wszechświata, ani żyjących w nim ludzi.

Khouri przełknęła ślinę.

— Nie potrzebujesz byłego żołnierza do takiej pracy. Nawet ja nie jestem ci potrzebna. Nie wiem, kogo chcesz sprzątnąć, ale znajdziesz lepszych ode mnie. To znaczy, technicznie jestem dobra, pudłuję raz na dwadzieścia strzałów. Ale znam ludzi, którzy chybiają raz na pięćdziesiąt.

— Odpowiadasz mi pod innym względem. Potrzebuję kogoś, kto z ogromną chęcią opuściłby miasto. — Postać wskazała głową pustą kasetę. — Mam na myśli długą podróż.

— Poza układ?

— Tak. — Mademoiselle mówiła głosem cierpliwym, statecznym, jakby przedtem kilkanaście razy ćwiczyła fragmenty tej rozmowy. — Dokładniej mówiąc, dwadzieścia lat świetlnych. Tyle jest do Resurgamu.

— Przyznam, że o nim nie słyszałam.

— Zmartwiłabym się, gdybyś słyszała. — Mademoiselle wyciągnęła lewą rękę i kilkanaście centymetrów nad jej dłonią wyskoczyła kulka. Świat był śmiertelnie szary, bez oceanów, rzek, zieleni. Motek atmosfery widoczny jako cienki łuk nad horyzontem. Dwie brudnobiałe lodowe czapy. Wszystko świadczyło o tym, że to jakiś pozbawiony atmosfery księżyc. — Nie jest to nawet jedna z nowych kolonii, przynajmniej w naszym rozumieniu. Na całej planecie znajduje się zaledwie kilka maleńkich placówek badawczych. Do niedawna Resurgam nie miał żadnego znaczenia. Ale wszystko się zmieniło. — Mademoiselle zamilkła, jakby zbierała myśli. Może zastanawiała się, ile teraz faktów odsłonić. — Ktoś przybył na Resurgam. Niejaki Sylveste.

— Nie jest to zbyt często spotykane nazwisko.

— A zatem znasz pozycję jego kłanu na Yellowstone. Dobrze. To znacznie upraszcza sprawę. Bez trudności go znajdziesz.

— Chodzi o coś więcej, nie tylko o to, by go znaleźć, prawda?

— Tak — odparła Mademoiselle. Złapała kulkę i zgniotła ją w dłoni; spomiędzy palców wyciekły smużki pyłu. — O znacznie więcej.

CZTERY

Karuzela Nowa Brazylia, Yellowstone, Epsilon Eridani, 2546

Volyova wysiadła z promu światłowca i za Triumwirem Hegazim poszła tunelem wyjściowym. Przez skręcone uszczelki tunel zaprowadził ich do sferycznej sali tranzytowej położonej w rdzeniu, w centrum karuzeli. Panowała w niej nieważkość.

Były tu wszelkie odłamy rozszczepionej rasy ludzkiej. Oszałamiające, swobodne, wielobarwne, niczym rybki tropikalne podczas szaleńczego żerowania. Ultrasi, Porywacze, Hybrydowcy, Demarchiści, lokalni kupcy, pasażerowie wewnątrzukładowi, pieczeniarze, mechanicy, wszyscy poruszali się po trajektoriach absolutnie przypadkowych, ale nigdy się nie zderzali, choć podchodzili niebezpiecznie blisko. Ci, którym pozwalała na to budowa ciała, mieli przezroczyste skrzydła, przyszyte pod rękawami lub przyczepione bezpośrednio do skóry. Mniej skłonnym do przygód wystarczyły smukłe pakiety napędowe, a niektórych ciągnęły wypożyczone maleńkie holowniki. Prywatne serwitory latały w tłumie z bagażami i zwiniętymi skafandrami kosmicznymi, a skrzydlate kapucynki w liberiach zbierały śmieci i wkładały je do swych kangurzych toreb na brzuchu. Dzyndoliła chińska muzyka, która dla niewprawngo ucha Volyovej brzmiała jak odgłosy kurantów wietrznych, poruszanych bryzą, o szczególnym upodobaniu do dysonansów. Tysiące kilometrów poniżej leżało Yellowstone jak żółtobrązowa kurtyna, na tle której odbywała się ta cała działalność.

Sylveste i Hegazi dotarli do drugiego końca sfery tranzytowej i przez przepuszczalną dla materii membranę przeszli do obszaru celnego. Była to inna sfera bezgrawitacyjna o ścianach obwieszonych bronią automatyczną, śledząca każdego przybyłego. Przezroczyste bańki zajmowały centralną przestrzeń, każda z nich o średnicy trzech metrów, rozcięta na równiku. Wyczuwszy nowo przybyłych, dwie bańki poddryfowały i zakleszczyły się wokół każdego z nich.

Wewnątrz bańki Volyovej wisiał mały serwitor o kształcie japońskiego hełmu Kabuto, z rozmaitymi czujnikami i urządzeniami pomiarowymi, wystającymi spod brzegu. Poczuła neurałne mrowienie, gdy serwitor ją trałował — wrażenie jakby ktoś misternie układał kwiaty w jej głowie.

— Wykrywam rezydualne struktury lingwistyczne języka rosyjskiego, ale stwierdzam, że współczesny norte jest twoim językiem standardowym. Czy to wystarczy dla formalnej procedury?

— Wystarczy — odparła Volyova, zirytowana, że maszyna odkryła zaśniedziałość jej ojczystego języka.

— Zatem dalej będę porozumiewał się w norte. Poza systemami pośredniczącymi do zimnego snu nie odkryłem żadnych mózgowych implantów ani egzosomatycznych urządzeń perceptualnej modyfikacji. Czy prosisz o wypożyczenie implantu przed kontynuacją tej rozmowy?

— Po prostu daj mi tylko ekran i twarz.

— Dobrze.

Poniżej brzegu pojawiła się twarz. Kobieca, biała, o lekkich cechach mongoloidalnych, okolona krótkimi włosami. Volyova domyśliła się, że inspektor Hegaziego ma postać wąsatego mężczyzny o ciemnej skórze, bardzo chimerycznego, jak sam Hegazi.

— Podaj swą tożsamość.

Volyova się przedstawiła.

— Ostatni raz odwiedziłaś układ w… zaraz sprawdzę. — Twarz przez chwilę patrzyła w dół. — Osiemdziesiąt pięć lat temu. W 2461 roku. Zgadza się?

Wbrew swemu instynktowi Volyova pochyliła się bliżej ekranu.

— Oczywiście, że się zgadza. Jesteś symulacją poziomu gamma. Daruj sobie ten teatr i przejdźmy do rzeczy. Mamy towary na handel. Ty mnie tu przetrzymujesz, a my płacimy za każdą sekundę postoju statku przy tej waszej planetce z psiego gówna.

— Nieprzyjazna postawa zauważona — stwierdziła kobieta i coś chyba zapisała w niewidocznym na ekranie notesie. — Do twojej informacji: zapisy Yellowstone są pod wieloma względami niekompletne z powodu infekcji danych spowodowanej przez zarazę. Zadałam ci pytanie, bo chciałam uzyskać potwierdzenie niezweryfikowanych danych. — Umilkła na chwilę. — Nawiasem mówiąc, nazywam się Wawiłow. Siedzę w przeciągu, nad cuchnącą kawą, z ostatnim papierosem i jest to moja ósma godzina dziesięciogodzinnej zmiany. Mój szef uzna, że drzemałam, jeśli nie zawrócę dzisiaj przynajmniej dziesięciu osób, a do tej pory zaliczyłam ich pięć. Zostały mi tylko dwie godziny i zastanawiam się, jak wypełnić swój limit, więc proszę zastanów się, nim wybuchniesz po raz drugi. — Kobieta zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym w stronę Volyovej. — Możemy kontynuować?

— Przepraszam, myślałam… — Volyova przerwała. — Nie używacie do takich prac symulacji?

— Kiedyś to robiliśmy — odparła Wawiłow i ciężko westchnęła. — Ale kłopot z symulacjami polega na tym, że godzą się na zbyt wiele gówna.

Z rdzenia karuzeli Volyova i Hegazi pojechali windą wielkości domu w jednej z czterech szprych koła. Ich ciężar cały czas wzrastał, aż dotarli do obwodu. Tu grawitacja była taka jak na Yellowstone i

niewiele się różniła od standardowej ziemskiej stosowanej przez Ultrasów.

Karuzela Nowa Brazylia obiegała Yellowstone w cyklu czterogodzinnym po orbicie meandrującej, by uniknąć Pasa Złomu — pierścienia odpadów, który utworzył się po zarazie. Karuzela miała kształt obręczy — najpowszechniejszej konstrukcji karuzel — o średnicy dziesięciu kilometrów i szerokości tysiąca stu metrów. Cała działalność ludzi rozwijała się w trzydziestokilometrowyrn pasie wokół koła. Miejsca było dosyć do rozmieszczenia miasteczek, przysiółków i bonsaiowych krajobrazów, nawet na parę starannie hodowanych lasów z błękitnymi górami o szczytach pokrytych śniegiem, tak wymodelowanych nad dolinami pasa, by dać złudzenie przestrzeni. Zakrzywiony dach wokół wklęsłej części obręczy był przezroczysty i wznosił się pól kilometra nad pasem. Na jego powierzchni we wszystkich kierunkach biegły metalowe poręcze, z powierzchni zwisały kłębiące się sztuczne chmury skomponowane przez komputer. Miały symulować planetarną pogodę, ale też zasłaniać niepokojące widoki na zakrzywiony świat. Volyova przypuszczała, że obłoki są realistyczne, jednak, jako że nigdy na własne oczy nie widziała rzeczywistych chmur, przynajmniej z dołu, nie miała co do tego całkowitej pewności.

Wynurzyli się z windy na taras ponad głównym osiedlem karuzeli, budynkami piętrzącymi się między schodkowatymi bokami doliny. Nazywało się Obręczewo. Kompozycja architektoniczna przyprawiała o ból zębów, style odzwierciedlały upodobania kolejnych mieszkańców, którzy zasiedlali karuzelę na przestrzeni dziejów. Na poziomie gruntu czekał rząd riksz; kierowca w najbliższej z nich gasił pragnienie sokiem bananowym z puszki osadzonej w trzymaku na drążkach rikszy. Hegazi pokazał kierowcy karteczkę z zaznaczonym celem jazdy. Mężczyzna przytknął ją do czarnych, wąsko osadzonych oczu, po czym chrząknął ze zrozumieniem. Po chwili przepychali się w rikszy w potoku ruchu, pojazdy elektryczne i pedałowe obijały się bezceremonialnie o siebie, piesi dzielnie między nimi nurkowali. Volyova zauważyła, że przynajmniej połowa ludzi to Ultranauci — bladzi, wysocy, smukłej budowy, lubiący demonstrować urządzenia wspomagające ciało, płachty czarnej skóry i akry błyszczącej biżuterii, tatuaże i trofea handlowe. Żaden z Ultrasów nie był jednak ekstremalnym chimerykiem, być może z wyjątkiem Hegaziego, który należał do kilkorga najbardziej zmodyfikowanych ludzi na karuzeli. Przeważnie jednak noszono włosy na tradycyjny ultraski sposób, splecione w grube warkoczyki, wskazujące na liczbę przeżytych rund chłodniczego snu, a rozcięte ubrania eksponowały części protetyczne. Patrząc na tych osobników, Volyova musiała sobie przypominać, że sama należy do tej kultury.

Oczywiście Ultrasi nie byli jedyną grupą ludzkości, która ruszyła w kosmos. Porywacze — przynajmniej tutaj — stanowili znaczną grupę. Z pewnością byli mieszkańcami kosmosu, ale nie obsługiwali statków międzygwiezdnych, więc ich wygląd zewnętrzny różnił się od widmowych Ultrasów z dredami i archaicznymi językami. Byli też inni. Szukacze Lodu stanowili odłam Porywaczy — psychomodyfikowani do ekstremalnej samotności, ponieważ pracowali w rejonach pąsu Kuipera i trzymali się z dzikim poświęceniem swego towarzystwa. Skrzelowcy — ludzie modyfikowani do życia podwodnego — oddychali ciekłym powietrzem. Mogli pracować na statkach krótkiego zasięgu przy dużych przeciążeniach i stanowili znaczną część policji układu. Niektórzy Skrzelowcy do tego stopnia nie potrafili normalnie oddychać i się poruszać, że poza służbą żyli w olbrzymich robotycznych akwariach.

No i Hybrydowcy. Potomkowie eksperymentalnej grupki z Marsa, którzy stale aktualizowali swe umysły, wymieniając komórki na maszyny, aż doszło do czegoś nieoczekiwanego i okropnego. W pewnej chwili przeszli na nowy tryb świadomości — nazwali to transoświeceniem — i w czasie tego procesu wywołali krótką, lecz straszną wojnę. Hybrydowców łatwo było dostrzec w tłumie — ostatnio bio-skonstruowali sobie duże i piękne zwieńczenia czaszek, z żyłami, które rozpraszały nadmiar ciepła produkowanego przez wściekłe maszyny w ich głowach. Obecnie byli mniej liczni, więc lubili przyciągać uwagę. Inne odłamy ludzkości — jak Demarchiści, od dawna w sojuszu z Hybrydowcami — zdawali sobie jasno sprawę, że tylko Hybrydowcy wiedzą, jak budować silniki napędzające światłowce.

— Zatrzymaj się tu — powiedział Hegazi. Rikasza śmignęła na chodnik, gdzie wysuszeni starcy siedzieli przy składanych stolikach i grali w karty i mah-jonga. Hegazi, płacąc, klepnął w pulchną dłoń kierowcy i ruszył za Volyovą na chodnik. Dotarli do baru.

— „Żongler i Całunnik”. — Volyova przeczytała holograficzny napis nad drzwiami. Reklama baru ukazywała nagiego, wyłaniającego się z morza mężczyznę na tle dziwnych fantasmagorycznych postaci wśród fal przyboju. Powyżej na niebie wisiała czarna kula. — Nie wygląda mi to na odpowiednie miejsce.

— Tu sterczą wszyscy Ultrasi. Musisz się do tego przyzwyczaić.

— Dobrze, zrozumiałam. Jak się na tym zastanowić, to chyba w żadnym ultrasowskim barze nie czułabym się swojsko.

— Ilio, ty nie czułabyś się swojsko w żadnym miejscu, gdzie nie ma systemu nawigacyjnego i mnóstwa nieprzyjemnej siły ogniowej.

— Dla mnie brzmi to jak sensowna definicja zdrowego rozsądku.

Na ulicę wylali się młodzi oblepieni potem i jakąś cieczą — Volyova miała nadzieję, że to piwo. Przedtem siłowali się na ręce:

jeden z nich majstrował przy swej protezie, oderwanej od ramienia, a drugi przerzucał wachlarzyk banknotów — najprawdopodobniej wygrał je w barze. Mieli przepisowe loki rund chłodniczego snu i standardowe tatuaże gwiezdnych efektów.

Widząc ich, Volyova miała wrażenie, że jest stara, a równocześnie czuła zazdrość. Podejrzewała, że troski tych ludzi dotyczą tylko tego, gdzie by się tu napić i przespać.

Hegazi spojrzał na nich — musiał ich onieśmielać, nawet zakładając, że mieli chimeryczne aspiracje, ponieważ trudno było określić, które części Hegaziego nie są mechaniczne.

— No, uśmiech na twarz i zbierz się do kupy — powiedział, przepychając się przez grupkę.

Wnętrze baru było ciemne i zadymione. Do tego dochodził synergiczny efekt wzmocnienia hałasu muzyki — pulsujących rytmów Burundi i ludzkiego śpiewu — oraz łagodny zapach halucynogenów w dymie. Volyova potrzebowała kilku chwil, by zorientować się w otoczeniu. Hegazi wskazał na stolik w kącie, jakimś cudem wolny; poszła za nim z minimalnym entuzjazmem.

— Usiądziesz?

— A mam inny wybór? Trzeba sprawiać wrażenie, że przynajmniej się tolerujemy, bo inaczej ludzie nabiorą podejrzeń.

Hegazi pokręcił głową i uśmiechnął się.

— Coś mi się w tobie musi podobać, Ilia, bo inaczej zabiłbym cię wieki temu.

Usiadła.

— Oby tylko Sajaki nie usłyszał, jak mówisz podobne rzeczy. Traktuje ostro wszelkie groźby pod adresem członków Triumwiratu.

— Przypominam ci, że to nie ja mam problemy z Sajakim. Czego się napijesz?

— Czegoś, z czym poradzi sobie mój układ trawienny.

Hegazi zamówił drinki — fizjologia pozwalała mu pić — i czekał, aż podsufitowy system dostawczy je przyniesie.

— Nadal jesteś rozdrażniona po zatargu z Sudjic?

— Nie przejmuj się tym. — Volyova skrzyżowała ramiona. — Sudjic to dla mnie nie problem. Poza tym musiałabym mieć szczęście, jeślibym zdołała tknąć ją palcem, zanim rozwali ją Sajaki.

— Sajaki mógłby pozwolić ci na dokończenie roboty. — Drinki zostały dostarczone w małej perspeksowej chmurze z ruchomą pokrywką, a sama chmura była zawieszona na wózku, biegnącym po szynie pod sufitem. — Sądzisz, że naprawdę by ją zabił?

Volyova rzuciła się na drinka, zadowolona, że spłucze pył w gardle po jeździe rikszą.

— Jeśli mam wyrazić swój sąd… Sajaki nie powstrzymałby się przed zabiciem kogokolwiek z nas.

— Kiedyś mu ufałaś. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

— Od kiedy kapitan znowu zachorował, Sajaki jest inny. — Rozejrzała się nerwowo, świadoma, że Sajaki może być w zasięgu słuchu. — Wiedziałeś, że przedtem odwiedzili Żonglerów?

— Sądzisz, że Żonglerzy w jakiś sposób zmienili umysł Sajakiego?

Wspomniała nagiego mężczyznę, wychodzącego z oceanu Żonglerów.

— Na ogół to właśnie robią.

— Tak, ale z jego przyzwoleniem. Twierdzisz, że Sajaki dobrowolnie stał się okrutniejszy?

— Nie po prostu: okrutniejszy. Ogarnięty obsesją. Ta sprawa z kapitanem… — Pokręciła głową. — To symboliczne.

— Rozmawiałaś z nim ostatnio?

Zrozumiała, o co mu chodzi.

— Nie, nie sądzę, by znalazł tego, kogo szuka, ale bez wątpienia wkrótce dowiem się tego dokładnie.

— A jak twoje poszukiwania?

— Nie szukam kogoś konkretnego. Stawiam jeden warunek: ta osoba musi być zdrowsza psychicznie od Borysa Nagornego. Co nie powinno być zbyt trudne. — Leniwie przesunęła wzrokiem po klientach pijących w barze. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia zdeklarowanego wariata, ale równocześnie żaden nie wyglądał na osobę bardzo stabilną psychicznie i świetnie dostosowaną do swej społeczności. — Przynajmniej mam taką nadzieję.

Hegazi zapalił papierosa, poczęstował również Volyovą. Przyjęła papierosa z wdzięcznością, zaciągała się przez pięć minut, aż zaczął przypominać żarzący się okruch materiału rozszczepialnego, osadzony w rozżarzonych węglach. Zanotowała w pamięci, żeby podczas tego postoju uzupełnić swój zapas papierosów.

— Ale moje poszukiwania dopiero się zaczęły — stwierdziła. — I muszę je prowadzić delikatnie.

— Czyli nie zamierzasz wcześniej informować kandydatów, na czym ma właściwie polegać ich praca — zauważył Hegazi z przebiegłym uśmiechem.

Volyova uśmiechnęła się teatralnie.

— Oczywiście, że nie.

Leciał promem kosmicznym o szafirowym kadłubie, ale nie ujechał daleko — wykonał zaledwie krótki międzyorbitalny skok z rodzinnego habitatu Sylveste'ów. Trudno to było zorganizować. Calvin ostro się sprzeciwiał wszelkim kontaktom syna z obiektem, który obecnie rezydował w Instytucie, jakby stan umysłu tego obiektu mógł go zainfekować za pośrednictwem jakiegoś tajemniczego procesu emocjonalnego rezonansu. A przecież Sylveste miał dwadzieścia jeden lat i teraz sam wybierał sobie znajomych. Calvin mógł się powiesić lub

spalić neurony na popiół w tym swoim szaleństwie, które właśnie zamierzał nasłać na siebie i na swych siedemdziesięciu dziewięciu uczniów… ale będzie dyktować Sylveste'owi, z kim ma się spotykać, a z kim nie.

Zobaczył przed sobą zarys ISBC i pomyślał, że nic z tego nie jest rzeczywiste, że to po prostu jeden z wątków jego biografii. Pascale dała mu jej ogólny szkic i poprosiła o komentarz. Teraz go doświadczał, ciągle zamknięty w celi więzienia w Cuvier, ale jak duch sunął przez swą przeszłość. Nawiedzał swe młodsze ja. Wspomnienia, od dawna ukryte, napływały nieproszone. Do biografii, jeszcze mocno niekompletnej, można było się włączyć na wiele sposobów, z rozmaitych punktów widzenia, wykorzystując różne poziomy interaktywności. Powstanie rzecz skomplikowana, wielopłaszczyznowa, z mnóstwem szczegółów i na przejrzenie choćby jednego fragmentu przeszłości Sylveste'a można było poświęcić całe życie.

ISBC wyglądał tak realnie, jak go Dan zapamiętał. Instytut Sylveste'a Badań nad Całunnikami miał swoje centrum organizacyjne w kołowej konstrukcji pochodzącej z czasów Amerikano, choć każdy jego nanometr sześcienny został w ciągu minionych stuleci wielokrotnie przerobiony. Z osi koła jak grzyby wyrastały dwie szare półkule z interfejsami dokującymi i skromnym systemem obronnym, na jaki pozwalała etyka Demarchistów. Na brzegach koła znajdowało się bezładne nagromadzenie modułów mieszkalnych, laboratoriów i biur, wbudowanych w matrycę wypukłego chitynowego polimeru, połączonych plątaniną tuneli i rur zaopatrzeniowych, obudowanych rekinim kolagenem.

— Jest niezła.

— Tak sądzisz? — Głos Pascale dobiegał z daleka.

— Tak to wyglądało — powiedział Sylveste. — Tak to widziałem, gdy go odwiedziłem.

— Dzięki, ja… a, nic ważnego… to łatwe. W pełni udokumentowane. Mamy odbitki dotyczące ISBC, a w Cuvier są nawet ludzie, którzy pamiętają twojego ojca, na przykład Janeąuin. Najtrudniej odtworzyć to, co stało się potem — mamy tak mało materiałów, z wyjątkiem tego, co powiedziałeś im po powrocie.

— Jestem pewien, że wspaniale się spisałaś.

— Wkrótce się przekonasz.

Prom przycumował do interfejsu dokującego. Instytutowe serwitory czekające za śluzą sprawdziły jego tożsamość. — Calvin nie będzie zachwycony — powiedział Gregori, reepcjonista Instytutu. — Ale chyba za późno, by odesłać pana ˆaz do domu. W ciągu kilku ostatnich miesięcy odprawiali ten rytuał paj razy i Gregori zawsze umywał ręce. Nie było potrzeby, by toś eskortował Sylveste'a przez

rekinokolagenowe tunele do riejsca, gdzie trzymano ten obiekt — tę osobę. — Gregori, nie musisz się niczym martwić. Gdyby ojciec prawiał ci jakieś kłopoty, po prostu mu powiedz, że wydałam i polecenie, byś mnie oprowadził. Gregori wygiął brwi, dostrojone emocjonalnie entoptyki ‘okół niego wskazywały rozbawienie. — Chyba to właśnie robisz, Dan? — Chciałem nadać temu formę przyjaznej perswazji. — W najwyższym stopniu daremnie, drogi chłopcze. Wszyty bylibyśmy znacznie bardziej zadowoleni, gdybyś stosował ię do ojcowskich wskazówek. W dobrym reżimie totalitarym wiadomo, czego się trzymać. Przejście szprychowymi tunelami do brzegu koła trwało wadzieścia minut. Droga prowadziła przez sekcje naukowe, dzie zespoły myślicieli — ludzi i maszyn — bez końca zmagai się z zagadką Całunu. Choć ISBC ustanowił stacje monitoijące wokół wszystkich dotychczas odkrytych Całunów, prade cała obróbka i systematyzowanie informacji odbywało się ‘ pobliżu Yellowstone. Tutaj zbierano dopracowane teorie konfrontowano je z nielicznymi, choć nie dającymi się pomiąć faktami. Żadna z teorii nie przetrwała więcej niż parę lat. Obiekt, który przyszedł zobaczyć Sylveste, trzymano w strzeanym aneksie na obrzeżu. Przydzielono mu bardzo obszerne omieszczenie, zważywszy na brak dowodów, że obiekt był ‘ stanie ocenić tę hojność. Nazwa obiektu — jego nazwisko — rzmiała: Philip Lascaille. Odwiedzało go obecnie niewielu gości. Początkowo, tuż po:go powrocie, było ich sporo. Zainteresowanie jednak spadło, dy się okazało, że Lascaille zupełnie nic nie może powiezieć pytającym. Sylveste szybko się zorientował, że ten brak ainteresowania Lascaillem jest dla niego korzystny. Nawet dość rzadkie odwiedziny — raz czy dwa razy w miesiącu — pozwoliły na ustanowienie niejakiej więzi między nimi dwoma… między Sylvestem a rzeczą, którą stał się Lascaille.

W aneksie Lascaille’a znajdował się ogród pod sztucznym niebem powleczonym głębokim kobaltowym błękitem. Stworzono również wietrzyk, który poruszał wietrznymi kurantami na zwisających gałęziach na skraju ogrodu.

Zaprojektowano tu ścieżki, ogródki skalne, pagórki, altanki i stawki ze złotymi rybkami. Powstał rustykalny labirynt i zwykle Sylveste dopiero po jakiejś minucie docierał do Lascaille’a. Znajdował mężczyznę na ogół zawsze w takim samym stanie: nagiego lub półnagiego, ubrudzonego, z palcami pomazanymi kolorowymi kredkami i kredą. Syh/este za każdym razem wie — dział, że jest już blisko, gdy na kamiennej ścieżce dostrzegał jakiś rysunek — skomplikowany symetryczny wzór, wyglądający jak efekt próby naśladowania chińskich hieroglifów albo napisów w devanagari bez faktycznej znajomości liter. Niekiedy jednak Lascaille kreślił na ścieżce ni to formuły algebry boolowskiej, ni to piktogramy.

Potem — zawsze była to kwestia tylko kilku chwil — skręcał za róg i widział już Lascaille'a przy pracy, kreślącego coś starannie lub wycierającego poprzednie znaki. Jego twarz zawsze wydawała się zastygła w grymasie całkowitego skupienia, a wszystkie mięśnie ciała sztywne. Tworzenie przebiegało niezmiennie w zupełnej ciszy, słychać było tylko dzwonienie wietrznych kurantów, szept wody, szuranie ołówka lub kredy po kamieniu.

Często Sylveste musiał czekać kilka godzim, nim Lascaille zauważył jego obecność, co objawiało się tylko tym, że mężczyzna na chwilę odwracał ku niemu twarz, po czym podejmował przerwane zajęcie. Grymas twarzy nieco ustępował i w jego miejsce pojawiał się przelotny uśmiech, oznaka dumy lub rozbawienia, lub jakiegoś uczucia całkowicie dla Sylveste'a niezgłębionego.

Potem Lascaille wracał do swych kredowych rysunków. Zupełnie nic nie wskazywało na to, że ten mężczyzna był jedynym człowiekiem, jedyną istotą ludzką, która kiedykolwiek dotknęła powierzchni Całunu i wróciła stamtąd żywa.

— Cóż, nie oczekuję, że to będzie łatwe. — Volyova ostatnili łykami gasiła pragnienie. — Ale nie wątpię, że wcześniej zy później znajdę rekruta. Umieściłam ogłoszenia, podając asz planowany cel podróży. Jeśli chodzi o samą pracę, powiadomiłam tylko, że potrzebuję kogoś z implantami.

— Chyba nie przyjmiesz pierwszego, który się nawinie? — pytał Hegazi.

— Oczywiście, że nie. Nie będą jednak wiedzieli, że sprawIzam, czy nie służyli kiedyś w wojsku. Nie potrzebuję niko;o, kto się załamie przy pierwszych trudnościach albo nie zehce się poddać dyscyplinie. — Zaczynała się odprężać po i/szystkich przejściach z Nagornym. Na scenie grała dziewzyna, na złotym teeconaksie sunęła przez ragi, rozwijające ię nieskończoną spiralą. Volyova niespecjalnie lubiła muzyę, nigdy na niczym nie grała, jednak w tej muzyce coś ją twodziło swym matematycznym porządkiem, coś co na chwili pozwoliło zapomnieć o jej niechęci. — Wierzę w swój sukes. Musimy się tylko zająć Sajakim.

W tym momencie Hegazi skinął głową w stronę drzwi. /olyova musiała zmrużyć oczy: w drzwiach stała majestatyczia postać na tle oślepiającego światła. Mężczyzna był ubrany v czarną pelerynę do kostek i mgliście zarysowany kask. Pałające z tyłu światło tworzyło aureolę wokół głowy. Sylwetkę irzecinała skosem długa gładka pałka, którą mężczyzna trzynał oburącz.

Komuso wkroczył w ciemność. To, co przypominało kij:endo, było shakuhachi — tradycyjnym bambusowym instrunentem muzycznym. Z wprawą, zwinnie wsunął instrument lo futerału ukrytego w fałdach peleryny. Potem z królewską)owolnością zdjął wiklinowy kask.

Trudno było rozpoznać ysy twarzy Komuso. Włosy, pokryte brylantyną, miał gładco zebrane z tyłu w koński ogon. Oczy skrywały się za gładdmi goglami zabójcy, czułe na podczerwień fasetki matowo)dbijały przyćmione światło z sali.

Muzyka nagle ustała, dziewczyna z teeconaksem zniknęła x sceny jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Sądzą, że to nalot policji. — Hegazi westchnął. Gwar na sali ucichł tak, że teraz nie musiał podnosić głosu. — Tutejsi gliniarze posyłają świrów, gdy nie chcą sobie zakrwawić rąk.

Komuso omiótł wzrokiem salę, musze oczy wycelował w stół, przy którym siedzieli Hegazi i Volyova. Jego głowa zdawała się poruszać niezależnie od reszty ciała, jak u niektórych gatunków sów. Ruszył w ich stronę; dzięki zamaszystym ruchom peleryny sprawiał wrażenie, że raczej szybuje, niż porusza się o własnych siłach. Hegazi nonszalancko wysunął kopnięciem puste krzesło spod stołu, równocześnie obojętnie zaciągając się papierosem.

— Miło cię widzieć, Sajaki.

Przybysz zrzucił wiklinowy kask na stół obok ich drinków, równocześnie ściągając gogle z oczu. Siadł na krześle i swobodnie rozejrzał się po barze. Zrobił gest naśladujący picie, zachęcając ludzi, by powrócili do własnych spraw. Stopniowo rozmowy się ożywiły, choć wszyscy jednym okiem zerkali w stronę ich stolika.

— Żałuję, że okoliczności nie zasługują na toast — powiedział Sajaki.

— Nie zasługują? — spytał Hegazi. Zrobił najbardziej przygnębioną minę, na jaką pozwalała mu mocno zmodyfikowana twarz.

— Z pewnością nie. — Sajaki przyjrzał się prawie pustym kieliszkom na stole i podniósł kieliszek Volyovej, wysączając kilka pozostałych w nim kropel. — Trochę sobie poszpiegowałem, jak się zapewne domyślacie na podstawie mojego przebrania. Sylveste'a tu nie ma. Nie ma go już w układzie. Co więcej, nie było go nigdzie w okolicy od pięćdziesięciu lat.

— Pięćdziesięciu lat? — Hegazi gwizdnął.

— A więc ślad ostygł — stwierdziła Volyova. Starała się, by w jej głosie nie było słychać triumfalizmu. Ale przecież zawsze podejrzewała, że istnieje spore ryzyko błędu. Gdy Sajaki kazał skierować światłowca do układu Yellowstone, podjął tę decyzję na podstawie najlepszych informacji dostępnych w tamtym momencie, czyli kilkadziesiąt lat temu, i już wówczas informacja była przestarzała o dziesięciolecia.

— Owszem, ale nie aż tak, jak się mogło wydawać — odparł Sajaki. — Wiem dokładnie, dokąd się udał, i nie ma powodów przypuszczać, że kiedykolwiek tamto miejsce opuścił.

— A gdzie to jest? — spytała Volyova. Coś ją ścisnęło w żoiku.

— Planeta Resurgam. — Sajaki postawił kieliszek Volyovej na stole. — To kawałek drogi stąd, ale obawiam się, drodzy kodzy, że to musi być nasz następny port przeznaczenia.

Znów zapadł w swą przeszłość.

Tym razem głębiej, do okresu, gdy miał dwanaście lat. Miiwki z przeszłości, wstawione przez Pascale, nie były ułożoi po kolei; biografia nie przestrzegała subtelności czasu liiowego. Początkowo był zdezorientowany, choć przecież właśnie on jedyny na świecie nie powinien być zagubiony

‘ swej własnej historii. Powoli jednak zamęt ustępował i Syleste dochodził do wniosku, że Pascale zrobiła słusznie i że należy traktować jego przeszłość jako rozbitą mozaikę wyliennych wydarzeń, jak akrostych z wstawkami jednakowo prawomocnionych interpretacji.

Był rok 2373, zaledwie parę dziesięcioleci temu Bernsdottir odkrył pierwszy Całun. Wiele nowych dziedzin nauki wyosło wokół centralnej zagadki, powstały również liczne rząlowe i prywatne agencje badawcze. Instytut Sylveste’a Badań md Całunnikami był jednym z dziesiątków takich organizacji, ak się jednak złożyło, że popierały go najbogatsze i najbarIziej wpływowe rodziny w całej ludzkiej bańce. Lecz kiedy n końcu nadszedł przełom, nie dokonał się on dzięki drobiazgowo zaplanowanym posunięciom wielkich organizacji. Przełom nastąpił dzięki przypadkowemu i ukierunkowanemu szaleństwu jednego człowieka.

On nazywał się Philip Lascaille.

Pracował jako naukowiec w ISBC w stałej stacji w pobliżu miejsca zwanego teraz Całun Lascaille’a w sektorze Tau Ceti. Lascaille należał również do zespołu, który był stale w pogotowiu na wypadek, gdyby potrzebowano wysłać delegatów do Całunu, choć nikt nie uważał takiej sytuacji za bardzo prawdopodobną. Ale gdyby jednak zaproszenie nadeszło, statek był przygotowany, by przewieźć delegatów pozostałe pięćset milionów kilometrów do granicy.

Lascaille postanowił nie czekać.

Samotny, wsiadł na pokład statku kontaktowego Instytutu i nim zorientowno się w sytuacji, było za późno, by go powstrzymać. Istniały zdalne destruktory, ale ich użycie mogło być poczytane przez Całunników za akt agresji, a nikt nie chciał tego ryzykować. Postanowiono zdać się na los. Nie spodziewano się, że uciekinier powróci żywy. I choć tak się stało, sceptycy w jakimś sensie mieli rację, ponieważ powrócił bez znacznej części swego zdrowia psychicznego.

Lascaille podszedł bardzo blisko do Całunu, nim jakieś moce skierowały go z powrotem. Miało to miejsce kilkadziesiąt tysięcy

kilometrów od powierzchni, choć z tej odległości nie można było dokładnie określić, gdzie kończył się kosmos, a zaczyna! Całun. Nikt nie wątpił, że Lascaille podszedł tam najbliżej ze wszystkich ludzi, a nawet ze wszystkich istot żywych.

Zapłacił za to jednak przerażającą cenę.

Nie cała część Philipa Lascaille'a wróciła, nawet nie większa jego część. Ciała innych, którzy wcześniej próbowali dokonać tego samego, zostały zmiażdżone i rozdarte przez nieznane siły w pobliżu granicy. Ciało Lascaille'a wróciło nietknięte, ale coś nieodwracalnego stało się z jego umysłem. Z osobowości nic nie zostało, zaledwie kilka szczątkowych cech, które tylko uwydatniały niemal całkowite zniszczenie wszystkiego innego. Nadal istniały pewne funkcje mózgu, które pozwalały na utrzymanie Lascaille'a przy życiu bez pomocy maszyn, a sterowanie motoryczne wydawało się nienaruszone. Nie pozostała jednak ani odrobina inteligencji: wydawało się, że Lascaille nie odbiera wrażeń z otoczenia, z wyjątkiem tych najprymitywniejszych; nic nie wskazywało na to, że rozumie, co się z nim stało, nie potrafił zapamiętać nowych zdarzeń ani wspomnieć tych, które mu się przytrafiły przed wyprawą do Całunu. Zachował zdolność wydawania dźwięków i choć czasami wyraźnie wymawiał oderwane słowa, a nawet fragmenty zdań, nic z tego nie miało najmniejszego sensu.

Lascaille'a — a raczej to, co z niego zostało — przeniesiono do układu Yellowstone i do habitatu ISBC. Tu eksperci medyczni rozpaczliwie próbowali stworzyć teoretyczny model tego, co mu się przydarzyło. W końcu stwierdzili — a była to raczej desperacka próba niż logiczna diagnoza — że fraktalna, restrukturowana czasoprzestrzeń wokół Całunu nie była w stanie utrzymać gęstości informacji zapisanych w mózgu Lascaille'a. Przechodząc przez nią, jego mózg został zrandomizowany na poziomie kwantowym, choć przy tym cząsteczkowe procesy ciała nie doznały większego uszczerbku. Lascaille był teraz jak niedokładnie przepisany tekst — przy czym większość znaczeń została utracona — a potem ponownie poddany transkrypcji.

Lascaille jednak nie był ostatnią osobą, która podjęła taką samobójczą misję. Wokół niego zaczął się tworzyć kult. Wieść niosła, że choć obecnie Lascaille przejawia zewnętrzne oznaki demencji, to podczas przejścia w pobliżu Całunu doznał czegoś w rodzaju nirwany. Raz lub dwa razy na dziesięciolecie wokół któregoś ze znanych Całunów ktoś próbował pójść w ślady Lascaille'a aż do granicy, a wyniki takich prób okazywały się żałośnie podobne i w niczym nie lepsze od rezultatu osiągniętego przez Latr;aille'a. Najwięksi szczęściarze powrócili z połową umysłu, a pechowcy albo w ogóle nigdy z powrotem nie dotarli na miejsce, albo powrócili w statku tak

zmacerowani, że ich ludzkie szczątki przypominały pastę z łososia.

Kult Lascaille'a kwitł, ale sam człowiek został zapomniany. Zaśliniony i bełkoczący, był zbyt niewygodny dla wizjonerów.

Jednak Sylveste o nim nie zapomniał. Co więcej, obsesyjnie usiłował wycisnąć z niego ostatnią, najważniejszą prawdę. Dzięki powiązaniom rodzinnym Sylveste miał dostęp do Lascaille'a, kiedy tylko chciał, o ile oczywiście nie zwracał uwagi na złowróżbne przeczucia Calvina. Odwiedzał więc Lascailleˆ i gdy ten oddawał się rysunkom na chodniku, cierpliwie czekał na jedną ulotną wskazówkę. Wiedział, że ją w końcu uzyska.

I w końcu dostał coś znacznie więcej niż wskazówkę.

Nie pamiętał, jak długo czekał tego dnia, gdy wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona. Coraz trudniej było mu skupić się na tym, co robił Lascaille. Tak jakby patrzył na serię abstrakcyjnych obrazów i choćby się starał zachować świeżość umysłu, i tak po pewnym czasie uwaga musiała osłabnąć. Tego dnia Lascaille tworzył kredą szóstą czy siódmą mandalę, jak zwykle kreśląc każdy znak z tym samym gorączkowym oddaniem.

Nagle bez uprzedzenia Lascaille odwrócił się do Sylveste'a i nadzwyczaj wyraźnie powiedział:

— Doktorze, Żonglerzy dostarczają klucza.

Sylveste był zbyt zszokowany, żeby coś teraz wtrącić.

— Wyjaśniono mi to — ciągnął Lascaille pogodnie — gdy byłem w Przestrzeni Objawienia.

Sylveste zmusił się do skinięcia głową tak naturalnie, jak tylko potrafił. Spokojną częścią umysłu rozpoznał zdanie, które wypowiedział Lascaille. To, o czym teraz mówił, nazywano granicą Całunu — „przestrzenią", w której przekazano mu „objawianie" zbyt zawiłe, by dało się je przekazać.

A jednak teraz język chyba mu się rozwiązał.

— Kiedyś Całunnicy podróżowali w kosmosie — mówił Lascaille. — Podobnie jak my obecnie, choć oni są starym gatunkiem i wiele milionów lat systematycznie podróżowali między gwiazdami. To są obcy, rozumiesz? — Zamilkł. Odłożył niebieską kredę, wziął czerwoną i umieścił ją między palcami stopy. Nogą nadal rysował mandalę, a swobodną teraz ręką zaczął szkicować coś obok na ziemi. Rysował stworzenie o wielu kończynach, z mackami, okryte pancerzem, kolczaste, prawie pozbawione symetrii. Nie kojarzyło się z członkiem podbijającej kosmos kultury, ale z istotą, która z mozołem pełznie po dnie prekambryjskiego oceanu. Monstrum.

— Czy to Całunnik? — spytał Sylveste z dreszczykiem emocji. — Zetknąłeś się z kimś takim?

— Nie — odparł Lascaille — w zasadzie nigdy nie wszedłem w przestrzeń Całunu, ale oni komunikowali się ze mną. Pojawili się w

moim umyśle, przekazali informacje na temat swej historii i natury.

Sylveste odwrócił wzrok od koszmarnego stwora.

— A jaka jest tutaj rola Żonglerów?

— Żonglerzy Wzorców są tu od dłuższego czasu i można ich maleźć na wielu światach. Wszystkie kultury podróżujące m kosmosie w tej części galaktyki spotykają ich wcześniej czy DÓźniej. — Lascaille poklepał rysunek. — Tak jak spotkaliśmy ich my, jak spotkali ich Całunnicy, tylko oni znacznie wcześliej. Doktorze, rozumiesz, co mówię?

— Tak… — Przynajmniej wydawało mu się, że rozumie. — Ale nie łapię sensu tego wszystkiego.

Lascaille uśmiechnął się.

— Gdy ktoś, albo coś, odwiedza Żonglerów, oni to zapamiętują. Zapamiętują totalnie, aż do najmniejszej komórki, do ostatniego połączenia synaptycznego. Tym właśnie są Żonglerzy — olbrzymim systemem archiwizacji biologicznej.

Syh/este wiedział, że to prawda. Ludzkość nie zebrała zbyt wielu istotnych informacji o Żonglerach, o ich sposobie funkcjonowania i pochodzeniu. Ale od zarania było jasne, że Żonglerzy potrafili składować ludzkie osobowości w swej oceanicznej matrycy, więc każdy, kto pływał w morzu Żonglerów — i podczas tego procesu był rozpuszczony i zrekonstruowany — uzyskiwał coś w rodzaju nieśmiertelności. Później te wzorce mogły być znowu zrealizowane, czasowo wpisane w umysł innego człowieka. Proces, niejasny i biologiczny, powodował, że magazynowane wzorce były skażone milionami innych wrażeń, które w subtelny sposób wpływały na siebie nawzajem. Nawet na wczesnym etapie badań nad Żonglerami zrozumiano, że ocean przechowuje wzorce obcych myśli. Sugestie obcości przesiąkały do myśli pływaków, ale te wrażenia zawsze pozostawały niejasne.

— Tak więc Żonglerzy zapamiętali Całunników — rzekł Sylveste. — Ale w jaki sposób pomaga to rozwiązać nasz problem?

— Nie zdajemy sobie nawet sprawy, jak bardzo. Całunnicy może wyglądają na obcych, ale zasadnicza budowa ich mózgu ma wiele wspólnego z budową naszego. Nie zajmujmy się kształtem ciała, zwróćmy uwagę na to, że są istotami społecznymi, z wykształconą mową i takim samym środowiskiem perceptualnym. W pewnym stopniu człowieka można skłonić, by myślał jak Całunnik i podczas tego procesu nie stał się całkowicie nieczłowieczy. — Znów spojrzał na Sylveste'a. — Żonglerzy potrafiliby wsączyć całunniczą strukturę neuralną w korę nową człowieka.

Mrożąca krew w żyłach możliwość: kontaktujemy się z obcymi, nie spotykając ich, ale stając się nimi. Jeśli Lascaille to miał na myśli.

— Jak to może nam pomóc?

— Powstrzymałoby Całun przed zabiciem ciebie.

— Nie rozumiem.

— Zrozum, że Całun to struktura ochronna. To, co jest w środku, to nie tylko Całunnicy, lecz technologie, które są tak potężne, że nie mogą wpaść w niepowołane ręce. Przez miliony lat Całunnicy przeczesywali galaktykę, szukając niebezpiecznych rzeczy pozostałych po wymarłych cywilizacjach — rzeczy, których nawet nie próbuję ci opisać. Kiedyś być może służyły dobru, ale obecnie mogą zostać wykorzystane jako niewyobrażalnie straszna broń. Technologie i techniki, które tylko rozwinięte gatunki mogły rozlokować. Na przykład sposoby manipulowania czasoprzestrzenią czy poruszania się szybciej niż światło… i inne rzeczy, których twój umysł nie potrafi objąć.

Sylveste zastanawiał się, czy rzeczywiście tak jest.

— Zatem Całun to… co? Skarbiec, do którego tylko zaawansowane rasy dostają klucz?

— Więcej. Oni bronią się przed intruzami. Granica Całunu to niemal żywa istota. Reaguje na wzorce myślowe tych, którzy do niej wchodzą. Jeśli te wzorce nie przypominają całunniczych, zwalcza ich. Zmienia lokalnie czasoprzestrzeń, tworząc złośliwe zaburzenia krzywizny. Krzywizna równa się napięciom grawitacyjnym, doktorze. Rozrywa cię na strzępy. Ale odpowiedni rodzaj umysłu Całunnicy dopuszczają, podprowadzają bliżej, dają schronienie w bąblu spokojnej przestrzeni.

Sylveste dostrzegł porażające wnioski. Myśl jak Całunnik, a wkradniesz się poza ich system obronny… do iskrzącego się wnętrza skarbca. A jeśli ludzkość nie jest dość zaawansowana, by Całunnicy uznali, że warto jej pokazać skarb? Jeśli ludzie okażą się dość sprytni, by włamać się do skarbca, czy mogą wziąć to, co tam znajdą? Według Lascaille'a Całunnicy przyjęli rolę galaktycznej gospodyni, gdy posiedli sekret śmiercionośnych technologii… ale czy ktoś ich o to prosił? W głowie Sylveste'a pojawiło się następne pytanie.

— Dlaczego cię o tym wszystkim poinformowali, skoro to, co jest w środku, ma być chronione za wszelką cenę?

— Nie wiem, czy to było celowe. Chyba przez chwilę bariera wokół Całunu, która nosi moje imię, nie rozpoznała mnie jako obcego. Może była uszkodzona albo może… zdezorientował ją mój stan umysłu. Gdy zacząłem penetrować Całun, informacja zaczęła przepływać między nami. W taki sposób dowiedziałem się o tym wszystkim. Co zawiera Całun i jak obejść ich obronę. Rozumiesz, tego nie nauczą się maszyny. — Ostatnia uwaga pochodziła jakby znikąd. Przez moment zawisła między nimi. — Ale Całun zaczął na pewno podejrzewać, że jestem obcy. Odtrącił mnie i odrzucił z powrotem w kosmos.

— Ale dlaczego cię nie zabił?

— Jak sądzę, nie całkowicie ufał swojej ocenie. — Lascaille zamilkł na chwilę. — W Przestrzeni Objawienia wyczułem wątpliwości. Szybciej niż myśl przetaczały się szerokie dyskusje na mój temat. W końcu ostrożna postawa przeważyła.

Sylveste zadał wreszcie pytanie, które dręczyło go od chwili, gdy Lascaille zaczął mówić:

— Dlaczego tak długo nam tego nie wyjawiałeś?

— Przepraszam za wcześniejszą powściągliwość. Najpierw musiałem przetrawić wiedzę, którą Całunnicy umieścili w moim umyśle. Widzisz, sformułowano ją w ich terminach… nie w naszych. — Zawahał się. Jego uwagę przykuły kredowe maźnięcia, zakłócające matematyczną czystość mandali. Poślinił palec i wytarł je. — To jeszcze było łatwe. Potem musiałem sobie przypomnieć, jak porozumiewają się ludzie. — Spojrzał na Sylveste'a oczami przesłoniętymi neandertalską grzywą nieczesanych włosów. — Byłeś dla mnie miły, nie tak jak inni. Okazałeś cierpliwość. Pomyślałem sobie, że te informacje mogą ci się przydać. 114

Sylveste wyczuł, że to okno jasności wkrótce może się zamknąć.

— Jak dokładnie przekonać Żonglerów, by wbudowali całunniczy wzorzec świadomości?

— To łatwe. — Wskazał na rysunek. — Zapamiętaj tę figurę i miej ją w umyśle podczas pływania.

— To wszystko?

— Wystarczy. Wewnętrzna reprezentacja tej figury w twoim umyśle poinstruuje Żonglerów co do twoich potrzeb. Oczywiście lepiej wziąć dla nich jakiś podarunek. Nie zrobią za darmo tak wielkiej rzeczy.

— Podarunek?

Sylveste zastanawiał się, jakiego rodzaju dar można oferować jednostce przypominającej pływającą wyspę wodorostów i glonów.

— Coś wymyślisz. Ale zadbaj, by to było nasycone informacjami, bo inaczej ich znudzisz. A lepiej ich nie znudzić.

Sylveste chciał zadawać dalsze pytania, ale Lascaille zajął się znowu rysunkiem.

— To wszystko, co mam do powiedzenia — rzekł.

Okazało się to prawdą.

Lascaille nigdy więcej nie odezwał się ani do Sylveste'a, ani do nikogo innego. Miesiąc później znaleziono go martwego: utopił się w sadzawce z rybami.

— Hej, jest tu kto? — spytała Khouri.

Wiedziała tyle, że się zbudziła. Nie z drzemki, ale ze snu głębszego, dłuższego i zimniejszego. Prawie na pewno z amnezji chłodniczego snu — takiej się nie zapomina, a Khouri już raz budziła

się z czegoś podobnego przy Yellowstone. Oznaki fizjologiczne i neuronowe wskazywały dokładnie na to. Ani śladu kasety chłodniczej — Khouri leżała całkowicie ubrana na kanapie, ale przecież ktoś mógł ją tu przenieść, nim odzyskała całkowitą świadomość. Ale kto taki? I gdzie jestem? Czuła się tak, jakby w jej pamięć rzucono granat, rostrzaskując ją na fragmenty. Miejsce, gdzie się teraz znajdowała, było irytująco znajome, ale nieznane.

Czyjś korytarz? Widziała tylko, że pomieszczenie wypełniają brzydkie rzeźby. Albo przechodziła obok nich kilka godzin temu, albo były one upiorami z głębokiego dzieciństwa. Strachami z dziecinnego pokoju. Zakrzywione, postrzępione, przypalone kształty wysuwały się nad nią, rzucając diabelskie cienie. Mętnie przeczuwała, że te rzeczy pasują jakoś do siebie, albo kiedyś pasowały, ale teraz były zbyt zniekształcone i porozrywane.

Usłyszała niepewne kroki w korytarzu.

Odwróciła głowę, by zobaczyć, kto nadszedł. Kark miała sztywniejszy niż impregnowane drewno. Lata doświadczeń mówiły jej, że po okresie snu również reszta ciała jest drętwa.

Mężczyzna zatrzymał się kilka kroków od jej łóżka. W księżycowej poświacie sali trudno było rozpoznać jego twarz, ale w zacienionej szczęce dostrzegła coś znajomego. Ktoś, kogo znała wiele lat temu.

— To ja — powiedział flegmatycznie. — Manoukhian. Mademoiselle uważała, że tuż po przebudzeniu docenisz widok znajomej twarzy.

Te imiona coś dla niej znaczyły. Ale trudno było stwierdzić, co dokładnie.

— Co się stało?

— To proste. Dała ci propozycję nie do odrzucenia.

— Jak długo spałam?

— Dwadzieścia dwa lata — odparł Manoukhian, podając jej rękę. — Pójdziemy zobaczyć się z Mademoiselle?

Obudziwszy się, Sylveste miał przed sobą czarną ścianę, zasłaniającą pół nieba, tak całkowicie czarną, że wydawała się unicestwieniem samej egzystencji. Nigdy przedtem tego nie zauważył, ale teraz dostrzegł — albo wyobrażał sobie, że dostrzegł — że zwykła ciemność międzygwiazdowa w istocie żarzyła się własną mleczną światłością. Ale w kolistym stawku pustki — zwanym Całunem Lascaille'a — nie było gwiazd. Nie było żadnego źródła światła, nie docierały tu fotony z żadnego wykrywalnego spektrum elektromagnetycznego ani neutrina o żadnej barwie, ani żadne cząsteczki egzotyczne czy nieegzotyczne. Żadne fale grawitacyjne, pola elektrostatyczne czy magnetyczne. Nie było nawet śladów promieniowania Hawkinga, które — zgodnie z istniejącymi teoriami

mechanki Całunu — powinny sączyć się z granicy, świadcząc o entropijnej temperaturze powierzchni.

Nic z tego. Jedyną rzeczą, jaką robił Całun — tak przynajmniej dotychczas stwierdzano — było całkowite blokowanie przejścia wszelkim formom promieniowania. A ponadto, oczywiście, rozrywanie wszelkich obiektów, które ośmieliły się przelatywać zbyt blisko granicy.

Obudzili go z zimnego snu i teraz był w stanie mdlącej dezorientacji, która towarzyszyła gwałtownemu ożywianiu. Był jednak dość młody, żeby znieść skutki — jego wiek fizjologiczny wynosił zaledwie trzydzieści trzy lata, choć od jego narodzin minęło ponad sześćdziesiąt lat.

— Czy wszystko ze mną… w porządku? — spytał z wysiłkiem pielęgniarzy. Cały czas koncentrował się na nicości za oknem stacji, wpatrzony w czarny analog śnieżnej zawiei.

— Jesteś niemal czysty. — Lekarz stojący obok niego obserwował na przeziernym zwoju odczyty parametrów układu nerwowego. Próbując je zrozumieć, uderzał lekko pisakiem o dolną wargę. — Ale Valdez zamilkła. To oznacza, że Carine Lefevre odbiła się do centralnego słońca. Sądzisz, że będziesz mógł pracować razem z nią?

— Chyba trochę za późno na wątpliwości?

— To żart, Dan. Teraz powiedz mi, ile pamiętasz. Jeszcze nie spojrzałem na pamięć poożywieniową.

Pytanie wydawało się głupie, ale gdy Sylveste odwołał sie do swej pamięci, odpowiedziała mu ospale, jakby pobierał dokumenty z niewydajnego urzędu.

— Pamiętasz Rozbryzg? — spytał z lekkim niepokojem pielęgniarz. — Ważne, byś pamiętał Rozbryzg…

Owszem, pamiętał, ale przez chwilę nie potrafił tego połączyć z żadnymi innymi wspomnieniami. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był Yellowstone. Opuścili go dwanaście lat po Osiemdziesięciu, dwanaście lat po cielesnej śmierci Calvina, dwanaście lat po tym, jak Philip Lascaille przemówił do Sylveste'a, dwanaście lat po tym, jak Lascaille się utopii, wypełniwszy widocznie swą misję.

Ekspedycja była mała, ale dobrze wyposażona — załoga światłowca, złożona częściowo z chimeryków, Ultranautów, którzy rzadko mieszali się z innymi ludźmi; dwudziestu naukowców, wybranych przeważnie z ISBC, i czterach potencjalnych delegatów kontaktowych. Tylko dwóch z nich miało w końcu odbyć podróż na powierzchnię Całunu.

Cel wyprawy stanowił Całun Lascaille'a, ale nie był to ich pierwszy odwiedzony port. Sylveste kierował się tym, co powiedział mu Lascaille: Żonglerzy Wzorców byli kluczowi dla powodzenia misji. Najpierw należało odwiedzić ich w ich własnym świecie, dziesiątki lat

świetlnych od Całunu. Nawet wtedy Sylveste niezbyt wiedział, czego oczekiwać. Ale ufał tej — skrótowej wprawdzie — radzie Lascaille'a, który nie przerwałby milczenia bez powodu.

Od ponad wieku Żonglerzy stanowili interesującą osobliwość. Istnieli na wielu światach, wszystkie z nich były pokryte wielkim oceanem. Żonglerzy byli biochemiczną świadomością rozmieszczoną w każdym z oceanów, złożoną z trylionów współdziałających mikroorganizmów, zgromadzeni w bryłki wielkości wysp. Wszystkie światy Żonglerów charakteryzowała aktywność tektoniczna i powstały teorie, że Żonglerzy czerpali energię z hydrotermalnych ujść na dnie morza, ciepło zmieniali w energię biochemiczną i przekazywali je na powierzchnię za pomocą macek organicznego nadprzewodnika, ciągnących się w dół przez kilometry czarnego zimna. Cel aktywności Żonglerów — o ile w ogóle mieli jakiś cel — pozostawał zupełnie nieznany. Mieli zdolność kształtowania biosfer planet, na których byli rozsiani, działając jak pojedyncza, inteligentnie współpracująca masa fitoplanktonu, nikt jednak nie wiedział, czy nie jest to funkcja wtórna w stosunku do innej, wyższej funkcji. Wiedziano również — ale tego zbyt dobrze nie rozumiano — że Żonglerzy potrafili przechowywać i pobierać informacje i działali jak pojedyncza, rozciągnięta na całą planetę sieć neuronowa. Informacje gromadzono na wielu poziomach — w wielkich wzorcach połączeniowych unoszących się 118 na powierzchni macek, jak również w swobodnie pływających pasmach RNA. Nie można było określić, gdzie zaczynały się oceany, a kończyli Żonglerzy, tak jak nie dało się stwierdzić, czy każdy ze światów zawierał wielu Żonglerów, czy jedną rozciągniętą jednostkę, gdyż wyspy były połączone mostami organicznymi. Stanowili magazyny informacji wielkie jak świat — olbrzymie informacyjne gąbki. Niemal wszystko, co dostało się do oceanu Żonglerów, było penetrowane mikroskopijnymi mackami, częściowo rozpuszczone, aż zostały wykryte strukturalne i chemiczne własności, po czym informacja ta przechodziła do biochemicznego magazynu samego oceanu. Jak zasugerował Lascaille, Żonglerzy potrafili wmontować te wzory lub je zakodować. Przypuszczalnie zakodowane wzorce mogły zawierać umysłowości innych gatunków, które kiedyś weszły w kontakt z Żonglerami — na przykład wzorce Całunników.

Od wielu dziesiątków lat zespoły ludzi badały Żonglerów Wzorów. Ludzie pływający w morzu Żonglerów byli w stanie nawiązać stosunki z tym organizmem, gdy mikromacki Żonglerów przenikały czasowo do ludzkiej kory nowej, ustanawiając ąuasisynaptyczne połączenia między umysłem pływaka a resztą oceanu. Jak twierdzili, przypominało to obcowanie z rozumnymi glonami. Wyszkoleni pływacy donosili, że czuli się tak, jakby ich świadomość rozszerzała się i wchłaniała cały ocean, a pamięć stawała

się obszerna, nieuporządkowana i starożytna. Granice percepcji stawały się płynne, choć nigdy nie mieli wrażenia, że sam ocean jest prawdziwie samoświadomy, raczej był zwierciadłem, odbijającym ludzką świadomość: ostateczną machiną solipsystyczną. Pływacy dokonywali zadziwiających przełomów w matematyce, jakby ocean wzmacniał ich zdolności twórcze. Niektórzy twierdzili, że te wzmocnione zdolności utrzymywały się jakiś czas po tym, jak opuścili matrycę oceanu i wrócili na suchy ląd albo na orbitę. Czy to możliwe, że w ich umysłach zaszła fizyczna zmiana?

Powstała więc koncepcja Żonglerskiej transformaty. Podczas dodatkowych ćwiczeń pływacy nauczyli się, jak wybierać formy transformaty. Neurolodzy, stacjonujący na planecie Żonglerów, usiłowali zmapować zmiany mózgu dokonane przez obcych, ale udało im się to tylko częściowo. Transformacje były nadzwyczaj subtelne, bardziej przypominały strojenie skrzypiec niż rozebranie ich na części i budowanie od początku. Rzadko były stale; po dniach, tygodniach, a niekiedy latach wprowadzone zmiany zanikały.

Taki był stan wiedzy, gdy ekspedycja Sylveste'a dotarła na Rozbryzg — świat Żonglerów. Teraz pamiętał ten świat: oceany, przypływy, łańcuchy wulkanów i stały, wszechogarniający wodorostowy fetor samego organizmu. Zapach odblokował resztę wspomnień. Wszyscy czterej potencjalni wysłannicy do Całunników nauczyli się kredowego diagramu w głębokim poziomie pamięci. Po miesiącach treningu ze specjalistami od pływania czterej weszli do oceanu i napełnili umysły formą, którą dał im Lascaille.

Żongler sięgnął do nich, częściowo rozpuścił ich umysły, a potem przeformował je zgodnie ze swym wbudowanym wzorcem.

Gdy czwórka wynurzyła się, początkowo wszystko wskazywało na to, że Lascaille mimo wszystko był wariatem.

Nie zachowywali się dziwacznie ani też nie uzyskali nagle odpowiedzi na zasadnicze kosmiczne zagadki. Żaden z nich nie mówił, że czuje się osobliwie; nie byli również mądrzejsi jeśli chodzi o naturę Całunników. Ale czułe testy neurologiczne sięgały głębiej niż ludzka intuicja. Umiejętności przestrzenne i poznawcze całej czwórki zmieniły się, choć trudno było zmierzyć skalę tych zmian. Mijały dni i czterej pływacy doświadczali stanów umysłu zarówno znanych sobie, jak i — paradoksalnie — całkowicie obcych. Wyraźnie coś się zmieniło, choć nikt nie miał pewności, że te stany umysłu miały jakiś związek z Całunnikami.

Niemniej jednak musieli szybko ruszać dalej.

Zakończono wstępne testy i czwórka delegatów weszła w stan zimnego snu. W zimnie transformaty Żonglerów nie ulegały zniszczeniu, choć z pewnością po obudzeniu mogłyby się psuć, mimo skomplikowanego reżimu eksperymentalnych 120 środków

neurostabilizujących. Pozostawali w uśpieniu przez całą drogę do Całunu Lascaille'a, potem przez kilka tygodni w pobliżu samego obiektu, gdy stacja badawcza manewrowała bliżej, na odległość nominalnych 3 j.a. bezpiecznego dystansu, który utrzymywała aż do tego momentu. Delegatów obudzono dopiero w przeddzień ich wyprawy na powierzchnię.

— Pamiętam… pamiętam Rozbryzg — powiedział Sylveste. Pielęgniarz uderzał pisakiem w wargę, wchłaniając ryzy informacji wylewającej się z systemów analizy medycznej, wreszcie skinął głową i stwierdził, że Sylveste jest zdolny do misji.

— Stare miejsce nieco się zmieniło — rzekł Manoukhian.

Miał rację, pomyślała Khouri. Patrzyła na coś, co ledwo rozpoznawała jako Chasm City. Moskitiera zniknęła. Teraz miasto było znowu otwarte na żywioły, nagie budynki wznosiły się w atmosferę Yellowstone, gdzie kiedyś chowały się pod połączoną draperią kopuł. Czarny zamek Mademoiselle już nie należał do najwyższych budowli. Tarasowate, opływowe monstra wrzynały się w kłębiące się brązowe niebo, jak płetwy rekina lub klingi ostrej trawy; ich powierzchnię pstrzyły niezliczone zastępy maleńkich okienek, układające się w olbrzymie symbole algebry Boole'a — loga Hybrydowców. Z pozostałości Mierzwy wyrastały budynki — żagle na smukłych masztach, wcinające się w wiatr. Ze starej poskręcanej architektury zostały tylko rozproszone okazy i szczątkowe strzępki Baldachimu. Błyszczące podobne do ostrzy wieżowce ścięły do historii stary miejski las.

— Wyhodowali coś w otchłani — poinformował Manoukhian. — Tam, w głębi. Nazywają to Lillia. — W jego głosie było słychać wstręt zabarwiony fascynacją. — Ludzie, którzy to widzieli, mówią, że to jest jak wielkie oddychające trzewia, jak kawał brzucha Boga. Jest przymocowane do stoków otchłani. To, co otchłań wybekuje z głębi, jest trujące, ale gdy przejdzie przez Lillię, niemal nadaje się do oddychania.

— Tego wszystkiego dokonano w dwadzieścia dwa lata?

— Tak — usłyszał czyjś głos. Ruch zaigrał na błyszczącej czarnej zbroi żaluzji. Khouri odwróciła się i dostrzegła cicho spoczywający palankin. Widząc go, wspomniała Mademoiselle i nie tylko. Miała wrażenie, że od ich ostatniego spotkania upłynęła najwyżej minuta.

— Carlos, dziękuje, że ją tu przyprowadziłeś.

— To wszystko?

— Chyba tak — odparła. Jej głos odbił się lekkim echem. — Czas ma istotne znaczenie. Nawet po tych wszystkich latach. Namierzyłam załogę, która potrzebuje kogoś takiego jak Khouri. Jednak przed opuszczeniem układu zabawią tu najwyżej parę dni. Khouri trzeba wykształcić, przygotować do roli i przedstawić im, póki jest okazja.

— A jeśli się nie zgodzę? — spytała Khouri.

— Ale ty się zgodzisz, prawda? Wszak teraz wiesz, co mogę dla ciebie zrobić. Pamiętasz, prawda?

— Takich rzeczy łatwo się nie zapomnia. — Wyraźnie sobie przypomniała, co Mademoiselle jej zademonstrowała: że w drugiej kasecie chłodniczej ktoś był. Fazil, jej mąż. Wbrew temu, co jej powiedziano, nigdy nie byli rozłączeni. Oboje przylecieli tu ze Skraju Nieba, a urzędniczy błąd miał łagodniejsze skutki, niż sobie wyobrażała. A jednak została oszukana. Od samego początku Mademoiselle maczała w tym palce. Khouri trochę zbyt łatwo zatrudniła się jako zabójczyni Shadowplay i z perspektywy było widać, że służyła tylko temu, by Khouri mogła udowodnić, że nadaje się do zadania, które wyznaczono jej w przyszłości. A już najprostsze na świecie było uzyskanie jej zgody: Mademoiselle miała Fazila i gdyby Khouri odmówiła, nigdy by już nie zobaczyła swego męża.

— Wiedziałam, że będziesz rozsądna — oznajmiła Mademoiselle. — Khouri, to, o co cię proszę, nie jest aż tak trudne.

— A ta załoga, którą znalazłaś?

— To handlowcy — uspokoił ją Manoukhian. — Sam kiedyś byłem handlowcem. Wtedy to uratowałem…

— Carlos, dość.

— Przepraszam. — Spojrzał na palankin. — Chciałem tylko powiedzieć… a co w nich złego? 122

Nigdy nie było całkowiecie jasne, czy to kwestia przypadku, czy podświadomości projektanta, ale statek kontaktowy ISBC przypominał symbol nieskończoności — dwa płatowate moduły załadowane urządzeniami podtrzymania życia, sensorami i sprzętem komunikacyjnym, przedzielone kołnierzem, na brzegu którego znajdowały się silniki rakietowe i dodatkowe układy sensorów. W każdym płacie mogło się zmieścić dwoje ludzi, a gdyby podczas misji nastąpił zanik neuralny, jeden lub oba płaty mogły być odstrzelone.

Podwyższając ciąg, statek kontaktowy spadał na Całun, a stacja wycofała się poza bezpieczny zasięg, do czekającego światłowca. W opowieści Pascale było ukazane, jak statek maleje, pozostały tylko niebieskawa smuga jego silników i pulsujące czerwono-zielone światła pozycyjne, a potem i to zanikło. Kosmiczna ciemność zdawała się go przesłaniać jak rozlewająca się plama atramentu.

Nikt nie był pewien, co stało się później, gdyż zniknęła większość informacji zebranych przez Sylveste'a i Lefevre podczas ich zbliżania, w tym dane przesyłane do stacji i do światłowca. Nie istniała pewność co do skali czasowej oraz dokładnej kolejności wydarzeń. Wszystko, co wiedziano, pochodziło z pamięci Sylveste'a, on zaś twierdził, że w pobliżu Całunu doświadczał stanu zmniejszonej świadomości, więc jego wspomnień nie można było traktować jako źródła dosłownej

prawdy.

A co wiedziano?

Sylveste i Lefevre podlecieli do Całunu tak blisko, jak jeszcze żadna istota ludzka. Bliżej nawet niż Lascaille. Jeśli Lascaille mówił prawdę, to ich transformaty powinny oszukać systemy obronne Całunu, który miał owinąć ich w bańkę spłaszczonej czasoprzestrzeni, przy czym otaczająca" ich granica kipiałaby wściekłymi grawitacyjnymi pływami. Nawet teraz nikt nie udawał, że rozumie, jak to działa, w jaki sposób utajone mechanizmy Całunu mogły zakrzywić czasoprzestrzeń przez tak wariacko ostrą geometrię, gdy zawinięcie miliard razy łagodniejsze wymagałoby więcej energii, niż zawierała cała masa spoczynkowa galaktyki. Nikt też nie rozumiał, jak świadomość mogła przesączać się do czasoprzestrzeni wokół Całunu, tak że sam Całun rozpoznawał rodzaj umysłów, które usiłowały przedostać się do jego wnętrza, i równocześnie przekształcał myśli i wspomnienia tychże umysłów. Widocznie istniał jakiś ukryty związek między myślami a podstawowymi pocesami czasoprzestrzeni. Nawzajem na siebie wpływały. Sylveste odgrzebał stare, zapomniane teorie sprzed wieków, które postulowały istnienie związku między procesami kwantowymi świadomości a kwantowo-grawitacyjnymi mechanizmami rządzącymi czasoprzestrzenią, przez unifikację tak zwanego tensora krzywizny Weyla… ale w rozumieniu świadomości niewiele się posunięto naprzód i teoria ta była równie spekulatywna jak niegdyś. Może jednak w pobliżu Całunu wszelkie słabe powiązania świadomości z czasoprzestrzenią ulegały znacznemu wzmocnieniu. Sylveste i Carine Lefevre myślą utorowali sobie drogę przez burzę, a ich zmodyfikowane umysły uspokoiły siły grawitacyjne, kipiące wokół zaledwie metr od kadłuba statku. Byli jak idący przez studnię pełną okularników poskramiacze węży, którzy swoją muzyką wycinają maleńki obszar bezpieczeństwa. Bezpieczny, dopóki grała muzyka, dopóki nie wpadła w kakofonię i póki węże nie obudziły się z hipnotycznego spoczynku. Nigdy nie byłoby całkowicie jasne, jak blisko oboje dotarli do Całunu, nim muzyka się zepsuła i zaczęły się roić kobry grawitacji.

Sylveste twierdził, że nigdy nie byli w granicach samego Całunu, zgodnie z jego wizualnym świadectwem ponad polowa nieba była wypełniona gwiazdami. Jednak dane uratowane ze statku sugerowały, że moduł kontaktowy dotarł prawie do wnętrza fraktalowej piany otaczającej Całun, do wnętrza nieskończenie rozmazującej się granicy tego obiektu, do wnętrza tego, co Lascaiłle nazwał Przestrzenią Objawienia.

Lefevre wiedziała, kiedy to się zaczęło. Przerażona, ale lodowato spokojna, przekazała Sylveste'owi informacje: jej transformata Całunowa rozpadała się, a otoczka obcej percepcji robiła się coraz

cieńsza, pozostawiając tylko ludzkie myśli. Tego się zawsze obawiali, ale modlili się, by to nie nastąpiło.

Szybko poinformowali stację badawczą i uruchomili testy psychiczne, by sprawdzić, co Carine mówi. Prawda była 124 przerażająco jasna: transformata Carine rozpadała się. Za kilka minut jej umysł, pozbawiony komponenty całunowej, nie będzie w stanie uspokoić węży, wśród których sunęli. Carine zapominała melodii.

Przedsięwzięli jednak środki ostrożności. Lefevre wycofała się do drugiej połowy modułu i odpaliła ładunki separujące, odłączając swoją część statku od statku Sylveste'a. Wtedy już jej transformata prawie całkowicie zniknęła. Za pośrednictwem połączenia audiowizualnego między dwiema oddzielnymi częściami statku Carine poinformowała Sylveste'a, że czuje, jak siły grawitacyjne narastają, skręcają i rozciągają jej ciało, narowiście, nieprzewidywalnie.

Silniki usiłowały odsunąć jej moduł od grudkowatej przestrzeni wokół Całunu, ale obiekt był zbyt duży, a Carine zbyt mała. W ciągu kilku minut siły napięcia rozerwały cienką powłokę statku, choć Lefevre uszła z tego żywa, zwinięta w pozycji embrionalnej w ostatniej zanikającej kieszeni spokojnej przestrzeni skupionej na umyśle Carine. Sylveste stracił z nią kontakt w chwili, gdy statek rozpadł się na kawałki. Powietrze szybko zostało wyssane, ale dekompresja nie przebiegła na tyle błyskawicznie, by całkowicie zagłuszyć jej krzyk.

Lefevre nie żyła. Sylveste to wiedział. Ale jego transformata nadal nie dopuszczała węży. Sylveste — teraz najbardziej samotny człowiek w historii ludzkości — dzielnie zanurzał się w granicę Całunu.

Po pewnym czasie zbudził się w ciszy swego statku. Zdezorientowany, usiłował skontaktować się ze stacją badawczą, która — jak przypuszczał — powinna czekać na jego powrót. Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Stacja badawcza i światłowiec były bez życia, niemal zupełnie zniszczone. Grawitacyjny spazm jego ominął, ale rozdarł stację, wypatroszył tak dokładnie jak statek Lefevre. Załoga i zespół wspierający zostali w jednej chwili zabici, razem z Ultrasami. On jeden przeżył.

Ale po co? Po to, by umrzeć, tylko znacznie wolniej?

Sylveste pokierował moduł do szczątków stacji i światłowca. Przez chwilę w głowie nie miał Całunników, myślał tylko o tym, by przeżyć.

W ciasnej gondoli spędził samotnie kilka tygodni, usiłując uruchomić uszkodzone systemy naprawcze światłowca. Spazmy Całunu spowodowały wyparowanie Jub porwały tysiące ton masy światłowca, ale teraz statek musiał tylko zawieźć do domu jednego człowieka. Gdy proces naprawy się rozkręcił, Sylveste mógł wreszcie zasnąć; nie dowierzał, że mu się udało. We śnie stopniowo stał się świadom ważnej, paraliżującej prawdy: po śmierci Carine Lefevre i

przed jego powrotem do świadomości coś się wydarzyło. Coś sięgnęło mu do umysłu i przemówiło do niego. Ale przekaz był tak brutalnie obcy, że Sylveste nie mógł go sformułować w terminach ludzkich.

Przebywał przez pewien czas w Przestrzeni Objawienia.

PIĘĆ

Karuzela Nowa Brazylia, Yellowstone, Epsilon Erdani, 2546

— Jestem przed barem — powiedziała Volyova do bransolety, zatrzymując się przy wejściu do „Żonglera i Calunnika". Żałowała, że wybrała akurat to miejsce — gardziła tym przybytkiem, tak jak gardziła jego klientelą — ale gdy się umawiała z nowym kandydatem, nie miała innego pomysłu.

— Czy rekrut już tam jest? — usłyszała głos Sajakiego.

— Nie, chyba że pojawiła się przed czasem. Jeśli się nie spóźni, wyjdziemy za godzinę.

— Będę gotów.

Wyprostowała ramiona i weszła. Momentalnie stworzyła w umyśle mapę gości. W powietrzu nadal wisiał ciężki goździkowy zapach. Nawet dziewczyna grająca na teeconaksie wykonywała te same nerwowe ruchy. Z kory mózgowej dziewczyny emanowały niepokojące płynne tony, wzmocnione przez instrument; potem dziewczyna modulowała je naciskiem palców na skomplikowanej, spektralnie barwnej dotykowej klawiaturze. Muzyka pięła się ragami i rozszczepiała na rwące nerwy, atonalne pasaże — rzekłbyś: stado lwów drapie pazurami po zardzewiałej blasze. Volyova słyszała kiedyś, że zrozumieć muzykę teeconaksu potrafi tylko ktoś z wszczepionym specjalizowanym neurosłuchowym implantem.

Znalazła wolny barowy stołek i zamówiła małą wódkę. W kieszeni miała przygotowaną strzykawkę — dzięki zastrzykowi w razie potrzeby mogła natychmiast wytrzeźwieć. Pogodziła się z faktem, że ma przed sobą bardzo długie wieczorne czekanie na rekruta. Zwykle w takich wypadkach niecierpliwiła się — teraz, mimo nieprzyjemnego otoczenia, była odprężona i uprzejma. Może to dzięki powietrzu, przesyconemu psychotropami? Od miesięcy nie czuła się tak dobrze, choć musieli teraz lecieć na Resurgam. Co tam, dobrze znaleźć się znowu wśród ludzi, choćby stałych klientów baru. Przez wiele minut obserwowała ich ożywione twarze, pogodne miny, rozmowy, których nie mogła słyszeć. Wyobrażała sobie, że goście dzielą się opowieściami z podróży. Jakaś dziewczyna paliła fajkę wodną i wypuściła długą smugę dymu, potem zaśmiała się głośno, gdy jej towarzysz opowiedział jakiś dowcip nie z tej ziemi. Jakiś łysol z wytatuowanym na czaszce smokiem przechwalał się, jak to leciał przez atmosferę gazowego giganta z zepsutym autopilotem, a jego umysł skonfigurowany przez Żonglerów rozwiązywał równania przepływu

gazów, jakby został do tego stworzony.

Jak też wygląda Khouri?

Volyova wyjęła kartę z kieszeni, dyskretnie przesunęła po niej dłonią i spojrzała na nią po raz ostatni. Widniało tam nazwisko: Ana Khouri, oraz kilka zwięzłych faktów z biografii. W tej kobiecie nie było niczego, co wyróżniałoby ją w zwykłym barze, ale akurat w tym miejscu zwykła przeciętność też wywołałaby taki sam efekt. Sądząc z fotografii, dziewczyna byłaby tu jeszcze mniej na miejscu niż Volyova.

Volyova jednak nie narzekała. Khouri sprawiała wrażenie nadzwyczaj odpowiedniego kandydata na wakujące stanowisko. Volyova włamała się do resztek sieci danych w systemie, tych które nadal działały po zarazie, i wydobyła listę osób mogących się jej przydać. Wśród nich znalazła się Khouri, były żołnierz ze Skraju Nieba. Ale Volyova nie potrafiła wyśledzić miejsca jej pobytu, w końcu się poddała i skoncentrowała na innych kandydatach. Żaden z nich nie odpowiadał dokładnie jej potrzebom, mimo to nadal szukała, coraz bardziej zniechęcona, rozczarowana kolejnymi osobami. Parę razy Sajaki zaproponował, by po prostu kogoś porwać — ostatecznie rekrutacja pod fałszywym pretekstem była nie mniejszym przestępstwem. Porwanie dałoby wynik zbyt losowy, nie gwarantowało, że Volyova pozyska osobę, z którą zechce współpracować.

Niespodziewanie pojawiła się Khouri. Słyszała wcześniej, że Volyova szuka kogoś na statek, i była gotowa opuścić Yellowstone. Nie wspomniała o swej wojskowej przeszłości, ale Volyova i tak o tym wiedziała; bez Khouri była po prostu 128 ostrożna. Dziwne, że Khouri nawiązała z nimi kontakt dopiero wtedy, gdy Sajaki — zgodnie ze standardowymi protokolarni handlu — ogłosił zmianę celu podróży.

— Kapitan Volyova? To ty, tak?

Khouri — mała, chuda, surowo ubrana — nie należała do żadnego znanego odłamu Ultrasów. Czarne włosy miała zaledwie dwa centymetry dłuższe od włosów Volyovej. Tak krótkie włosy pozwalały stwierdzić, że czaszki dziewczyny nie przekłuwały żadne prymitywne gniazdka ani interfejsy połączeń nerwowych. Nawet gdyby jej głowa była nadziana brzęczącymi maszynkami, z pewnością Khouri się z tym nie obnosiła. Jej twarz była neutralną mieszanką typów genetycznych dominu — jących w jej rodzinnym świecie, Skraju Nieba — harmonijna, ale nie zachwycająca. Usta małe, proste, bez wyrazu, co z nawiązką równoważyły oczy dziewczyny — ciemne, niemal bez koloru, błyszczały rozbrajającą wewnętrzną intuicją. Przez ułamek sekundy Volyova miała wrażenie, że Khouri przejrzała jej tandetne kłamstwa.

— Tak — odparła. — Ty jesteś z pewnością Ana Khouri. — Mówiła cicho. Skoro już rozmawiała z Khouri, nie chciała, by

podsłuchał je jakiś inny kandydat, który akurat znajdował się w pobliżu, w nadziei że się zaciągnie. — Jak przypuszczam, skontaktowałaś się z naszą osobowością handlową i informowałaś się o możliwościach zaciągu na nasz statek.

— Właśnie przyleciałam na karuzelę. Postanowiłam się skomunikować najpierw z tobą, a dopiero potem spróbować u innych, którzy teraz prowadzą nabór.

Volyova powąchała swoją wódkę.

— Wybacz, że tak mówię, ale to dziwna strategia.

— Dlaczego? Inne załogi mają tylu chętnych, że rozmowy wstępne prowadzą tylko przez symulacje. — Khouri obojętnie upiła trochę wody. — Wolę mieć do czynienia z ludźmi. To kwestia przeglądania różnych wakatów, różnych załóg.

— Och, wierz mi, nasza bardzo się różni od innych — oznajmiła Volyova.

— Ale przecież jesteście handlowcami?

Volyova energicznie skinęła głową.

— Już prawie skończyliśmy interesy w pobliżu Yellowstone. Przyznam, że niezbyt produktywne. W gospodarce panuje zastój. Prawdopodobnie wpadniemy tu za jakieś sto, dwieście lat, ale osobiście bym nie żałowała, gdybym tego miejsca nigdy już więcej nie zobaczyła.

— Jeśli więc chciałabym zaciągnąć się na wasz statek, muszę dość szybko podjąć decyzję?

— Oczywiście to my najpierw musimy podjąć decyzję co do ciebie.

Khouri spojrzała na nią uważniej.

— Są inni kandydaci?

— Nie wolno mi omawiać tej sprawy.

— Przypuszczam, że są. Właśnie, Skraj Nieba… musi być mnóstwo ludzi, którzy chcą się tam podwieźć, nawet jeśli mieliby za to płacić pracą na pokładzie.

Skraj Nieba? Volyova usiłowała zachować kamienną twarz. Ale mam szczęście, pomyślała. Khouri zgłosiła się tylko dlatego, że nadal myślała, że statek leci na Skraj. Nie dotarła do niej informacja Sajakiego o zmianie kursu na Resurgam.

— Można sobie wyobrazić gorsze miejsca — stwierdziła Volyova.

— Cóż, bardzo bym chciała skoczyć na przód kolejki. — Perspeksowa chmura wpłynęła między obie kobiety, dyndając na prowadnicach na suficie ze swym ładunkiem drinków i narkotyków. — A dokładnie, na jakie stanowisko rekrutujecie?

— Znacznie łatwiej będzie to wyjaśnić na pokładzie statku. Masz ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy?

— Oczywiście. Zależy mi na tej pracy.

— Cieszę się — odparła Volyova z uśmiechem.

SZEŚĆ

Cuvier, Resurgam, 2563

Calvin Sylveste objawiał się w swym przepysznym królewskim fotelu pod ścianą pokoju więziennego.

— Muszę ci powiedzieć coś ciekawego — rzekł, gładząc brodę. — Choć przypuszczam, że ci się to nie spodoba. 130

— Tylko szybko. Za chwilę będzie tu Pascale.

Calvin cały czas miał pogodny wyraz twarzy, ale teraz zrobił jeszcze badziej rozbawioną minę.

— Właśnie chciałem porozmawiać o Pascale. Dość ją lubisz, prawda?

— To nie twoja sprawa. — Sylveste westchnął. Spodziewał się trudności.

Biografia była niemal skończona i zapoznano go z tym dziełem. Mimo dopracowania szczegółów, mimo niezliczonych możliwości wejścia do niej, oglądania i uczestniczenia, pozostawała narzędziem Girardieau: sprytnie zmajstrowaną bronią precyzyjnej propagandy. Przez subtelny filtr tej opowieści wszelkie aspekty działalności Sylveste'a widziało się w niekorzystnym świetle. Jawił się jako egotyk, ograniczony tyran, intelektualnie sprawny, ale w najwyższyn stopniu bezlitosny w wykorzystywaniu otaczających go ludzi. Niewątpliwie Pascale zrobiła to bardzo zręcznie. Ktoś, kto nie znał faktów, bezkrytycznie mógł przyjąć subiektywizm biografii. Nosiła piętno prawdy.

Sylveste z trudem to akceptował, ale bardziej bolesne było to, że znaczną część tego nieprzyjaznego portretu oparto na świadectwie ludzi, którzy go znali. A głównie — co było najbardziej bolesne — na opinii Calvina. Sylveste z oporami pozwolił Pascale na dostęp do symulacji poziomu beta. Zrobił to pod naciskiem, ale w tamtym czasie obiecano mu to wynagrodzić.

— Chcę, żeby obelisk ponownie odnaleziono i wykopano — powiedział Sylveste. — Girardieau obiecał mi dostęp do danych z badań archeologicznych, jeśli wezmę udział w niszczeniu własnego wizerunku. Uczciwie dotrzymałem swojej części umowy. A co ze strony rządu?

— To nie będzie łatwe… — zaczęła Pascale.

— Nie, ale przecież nie uszczupli to specjalnie zasobów Potopowców.

— Porozmawiam z nim — powiedziała bez specjalnego

przekonania. — Pod warunkiem, że pozwolisz mi porozmawiać z CaWinem, kiedy tylko zechcę.

Straszny układ, Sylveste to wtedy zrozumiał. Ale było warto, jeśli miał zobaczyć cały obelisk, a nie tylko małą jego cześć, odkrytą przed zamachem.

Znamienne, że Nils Girardieau dotrzymał słowa. Trwało to cztery miesiące, ale zespół znalazł porzucony teren wykopalisk i wydobył obelisk. Nie przeprowadzono tego ze zbyt wielką pieczołowitością, Sylveste jednak niczego więcej nie oczekiwał. Wystarczyło, że obelisk wydobyto w jednym kawałku. Teraz, w swym więziennym pokoju, mógł wywołać hologram obelisku, kiedy tylko chciał, dowolną jego cześć powiększyć do studiowania. Napis był mamiący, trudny do analizy, a skomplikowana mapa układu słonecznego nadal wydawała mu się niepokojąco dokładna. Poniżej — przedtem ta część była zakopana — znajdowała się ta sama mapa w znacznie większej skali. Zawierała cały układ włącznie z pasem kometarnym. Delta była szerokim układem podwójnym — dwie gwiazdy w odległości dziesięciu godzin świetlnych. Amarantinowie chyba to wiedzieli, gdyż wyraźnie zaznaczyli orbitę drugiej gwiazdy. Przez chwilę Sylveste zastanawiał się, dlaczego nigdy nie widział tamtej gwiazdy w nocy; byłaby nikła, ale przecież jaśniejsza od innych gwiazd na niebie. Przypomniał sobie jednak, że ta druga gwiazda już nie świeciła. Była gwiazdą neutronową, wypalonym ciałem obiektu niegdyś gorącego i świecącego niebiesko. Teraz była tak ciemna, że odkryto ją dopiero po wysłaniu pierwszych próbników. Orbicie gwiazdy neutronowej towarzyszyło skupisko nieznanych symboli graficznych.

Sylveste nie miał pojęcia, co to takiego.

Co więcej, podobne mapy znajdowały się niżej na obelisku, odpowiadające, przynajmniej zgrubnie, innym układom słonecznym, choć nie mógł tego ściśle udowodnić. Jak Amarantinowie uzyskali dane na temat innych planet, gwiazdy neutronowej, innych układów, jeśli nie dysponowali techniką lotów międzygwiezdnych równie zaawanasowanych co technika ludzka?

Zasadniczym problemem był wiek obelisku. Warstwa kontekstowa sugerowała, że ma on dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy lat. Według tego datowania zagrzebano go mniej więcej 132 w czasie Wydarzenia, plus minus pięćset lat, ale do uzasadnienia swej teorii Sylveste potrzebował znacznie bardziej precyzyjnego oszacowania. Podczas ostatniej wizyty poprosił Pascale, by zapuściła pomiary SE obelisku. Miała dziś przyjść i przekazać wyniki.

— Okazała się dla mnie użyteczna — powiedział CaMnowi. Ten zareagował drwiącym spojrzeniem. — Nie oczekuję, że to zrozumiesz.

— Może nie zrozumie. Mimo to powiem ci, czego się dowiedziałem.

Nie było sensu tego przedłużać.

— No? — spytał Sylveste.

— Jej nazwisko nie brzmi Dubois… — Calvin uśmiechnął się, zwlekał — …tylko Girardieau. Jest jego córką. A ciebie, chłopcze, wyprowadzono w pole.

Zostawili „Żonglera i Całunnika" i wyszli w wizerunek spoconej planetarnej nocy. Z drzew wokół mallu kapucynki-banitki schodziły na doliniarską rundę. Bębny Burundi dudniły gdzieś zza krzywizny karuzeli. Neony o wężowych kształtach pulsowały w nadętych chmurach zwisających z krokwi. Khouri słyszała, że czasami tu pada, ale dotychczas oszczędzono jej tego upozorowanego meteorologicznego zjawiska.

— Zacumowaliśmy prom przy hubie — poinformowała Volyova. — Musimy tylko pojechać windą w szprysze oraz przejść kontrolę celną dla opuszczających planetę.

Zimny wagonik windy grzechotał i pachniał moczem. Wewnątrz na ławeczce siedział tylko jakiś Komuso w hełmie, między nogami trzymał shakuhachi. Khouri sądziła, że to z jego powodu ludzie postanowili poczekać na następny wagonik w paternostrze, krążącym między hubem a brzegiem.

Mademoiselle stanęła obok Komuso, gestem matrony złożyła dłonie na karku. Miała na sobie długą do samej podłogi jaskrawobłękitną suknię, czarne włosy ściągnęła w surowy kok.

— Jesteś zbyt spięta — powiedziała. — Volyova będzie podejrzewać, że coś ukrywasz.

— Znikaj.

Volyova spojrzała na Khouri.

— Mówiłaś coś?

— Że tu jest zimno.

Volyova stanowczo zbyt długo analizowała tę wypowiedź.

— Tak, trochę zimno.

— Nie musisz mówić głośno — odparła Mademoiselle. — Nie musisz nawet wokalizować. Wyobraź sobie tylko, co chcesz mi przekazać. Implant wykryje fantomowe impulsy powstające w twoim obszarze mowy. No, spróbuj.

— Znikaj — powtórzyła Khouri, a raczej wyobraziła sobie, że to myśli. — Wynoś się do diabła z mojej głowy. Tego nie było w kontrakcie.

— Moja droga — rzekła Mademoiselle — w ogóle nigdy nie było żadnego kontraktu, tylko, że tak powiem, dżentelmeńska umowa. — Spojrzała na Khouri, jakby oczekiwała jakiejś odpowiedzi. Khouri wpatrywała się w nią jadowicie. — No dobrze, ale obiecuję, że niedługo wrócę — oznajmiła Mademoiselle.

Wyprysnęła z rzeczywistości.

— Nie mogę się doczekać — powiedziała Khouri.

— Słucham? — spytała Volyova.

— Powiedziałam, że nie mogę się doczekać — odparła Khouri. — Aż wyjdziemy z tego cholernego wagonika.

Wkrótce dotarły do rdzenia, przeszły odprawę celną i wsiadły do promu, nie-atmosferycznego pojazdu, składającego się z kuli i czterech dysz gondolowych rozlokowanych pod kątami prostymi. „Melancholia Odjazdu" — ironiczne nazwy tego rodzaju Ukrasi lubili nadawać swym statkom. Wnętrze przypominało żebrowany brzuch wieloryba. Volyova kazała Khouri iść do przodu przez ciąg grodzi i gardzieli, gdzie trzeba się było czołgać. Doszły do mostka. Stało tam kilka foteli lotniczych przy konsoli w otoczce delikatnych entoptyków i z mnóstwem awionicznych wichajstrów. Volyova nacisnęła jeden z wizualnych odczytów i z czarnej kieszeni w boku konsoli wysunęło się małe, podobne do tacki urządzenie ze staromodną klawiaturą. Palce Volyovej zatańczyły na klawiszach, wywołując subtelne zmiany w awionicznych danych.

Khouri poczuła mrowienie, gdy się zorientowała, że Volyova nie ma implantów i palcami przekazuje komunikaty.

— Zapnij pasy — poleciła jej Volyova. — Wokół Yellowstone lata tyle śmiecia, że może trzeba będzie trochę poprzyśpieszać.

Khouri zapięła się. Mimo niewygody po raz pierwszy od wielu dni mogła się odprężyć. Wiele się działo od jej ożywienia, wszystko w szalonym tempie. Gdy spała w Chasm City, Mademoiselle wypatrywała statku lecącego na Resurgam, a ponieważ Resurgam nie liczył się w sieci handlu kosmicznego, oczekiwanie było długie. Na tym polegał kłopot z światłowcami. Nawet ktoś najpotężniejszy nie mógł stać się właścicielem takiego statku, chyba że miał go do dyspozycji już od wieków. Hybrydowcy przestali produkować nowe napędy, a ci, co już statki posiadali, nie zamierzali ich sprzedawać.

Khouri wiedziała, że Mademoiselle szuka aktywnie. Volyova również szukała. Jak poinformowała ją Mademoiselle, Volyova wpuściła do sieci danych Yellowstone program poszukujący, który nazwała ogarem. Zwykły człowiek, a nawet zwykły skomputeryzowany nadzorca, nie mógł wykryć tego intensywnego węszenia. Ale widocznie Mademoiselle nie należała do żadnej z tych dwóch kategorii i wyczuła psa tak, jak pająk — łyżwiarz wyczuwa zmarszczki na błonie powierzchniowej stawu, po której sunie.

Potem zrobiła coś bardzo sprytnego.

Gwizdała na ogara, aż przybiegł do niej w podskokach. Następnie jakby nigdy nic złamała mu kark, ale wpierw rozbebeszyła go i przebadała informacyjne wnętrzności; dowiedziała się, po co wysłano tego psa. Mianowicie po to, by znalazł osoby z doświadczeniem zabójcy. Tego dokładnie można by się spodziewać po grupie Ultrasów,

którzy szukają kogoś na wolne miejsce wśród załogi. Ale dostrzegła jeszcze coś osobliwego, co pobudziło jej ciekawość.

Dlaczego szukali osoby z przeszłością wojskową?

Może byli dyscyplinarianami, profesjonalnymi handlarzami, operującymi na poziomie o jeden szczebel wyższym od normalnego stanu wymiany handlowej, bezwzględnymi ekspertami, używającymi podejrzanych prawnie narzędzi do zbierania potrzebnych informacji i nie lubili podróżować do zapyziałych kolonii, takich jak Resurgam, gdy dostrzegali szansę ogromnego zysku, może za setki lat. Prawdopodobnie cała ich organizacja miała charakter militarny, a nie na wpół anarchiczny, jak na większości statków handlowych. Szukając kandydata z doświadczeniem wojskowym, chcieli znaleźć kogoś pasującego do reszty załogi.

Oczywiście, o to chodziło.

Jak dotąd wszystko układało się dobrze, nawet jeśli uwzględnić to, że Volyova nie sprostowała Khouri, gdy z rozmowy wynikło, że Khouri nie zna prawdziwego celu statku. Oczywiście Khouri doskonale wiedziała, że statek leci na Resurgam, ale gdyby Ultrasi zdawali sobie sprawę, że ona też zamierza się tam dostać, musiałaby im przedstawić jakieś wyjaśnienie. Przygotowała kilka opowiastek, ale się nie przydały, gdyż Volyova postanowiła utrzymywać rekruta w przekonaniu, że udają się na Skraj Nieba.

Rzeczywiście dziwne, choć zrozumiałe — przecież rozpaczliwie szukali kogokolwiek. Nie świadczyło to dobrze o ich uczciwości, ale z drugiej strony Khouri nie musiała marnować swej historyjki. Postanowiła się tym nie przejmować. I tak wszystko było usłane różami, jeśli nie liczyć tego, że gdy Khouri spała, Mademoiselle umieściła coś w jej głowie. Mikroskopijny implant, który, by nie wywołać podejrzeń Ultrasów, miał wyglądać i działać jak standardowa nakładka entoptyczna. Gdyby stali się zbyt dociekliwi i usunęli z niej tę rzecz, wszystkie podejrzane części uległyby samozniszczaniu i reorganizacji. Nie chodziło jednak o to, że urządzenie niosło ze sobą ryzyko lub było niepotrzebne. Khouri nie podobało się to, że akurat Mademoiselle jest stale obecna w jej głowie. Oczywiście była to tylko symulacja poziomu beta, naśladująca osobowość Mademoiselle, rzutująca jej obraz na centra wzrokowe Khouri i pobudzająca ośrodek słuchu, by Khouri mogła słyszeć, co duch do niej mówi. Nikt nie zobaczy postaci tej kobiety, a Khouri będzie mogła sekretnie się z nią porozumiewać.

— Nazwij to potrzebą wiedzy — oznajmił duch. — Jako były żołnierz na pewno rozumiesz tę zasadę.

— Tak, rozumiem — odparła Khouri ponuro. — To śmierdzi, ale nie przypuszczam, byś wyjęła to świństwo z mojej głowy tylko dlatego, że mi się ono nie podoba.

Mademoiselle uśmiechnęła się.

— Obciążenie cię teraz zbyt dużą wiedzą zwiększyłoby ryzyko niedyskrecji w obecności Ultrasów.

— Zaraz, chwileczkę… — powiedziała Khouri. — Już wiem, że mam zabić Sylveste'a. Co tu jest jeszcze do odkrycia?

Mademoiselle ponownie się uśmiechnęła. Irytujące. Jak wiele symulacji poziomu beta, miała skromny zasób wyrazów twarzy i powtórki były nieuniknione, jak u kiepskiego aktora stale robiącego te same miny.

— Obawiam się, że to, co teraz wiesz, jest maleńką częścią całej histori, nawet nie ułameczkiem.

Gdy Pascale przyszła, Sylveste dokładnie przyjrzał się jej twarzy, zestawiając ją z zapamiętanym obrazem Nilsa Girardieau. Jak zwykle natykał się na ograniczenia swego wzroku. Jego oczy źle widziały krzywizny, usiłowały przybliżyć rysy ludzkiej twarzy ciągiem łamanych.

Jednak to, co powiedział mu Calvin, nie zostało w zasadzie podważone. Włosy miała czarne i proste, natomiast Girardieau rude i kręcone. Ale budowa ich twarzy nosiła zbyt wiele cech wspólnych, by to było przypadkowe. Gdyby Calvin mu tego nie zasugerował, Sylveste sam by na to nie wpadł, ale teraz, gdy sugestia padła, bardzo wiele wyjaśniała.

— Dlaczego skłamałaś? — spytał.

Wydawała się autentycznie zaskoczona.

— Wjakiej sprawie?

— We wszystkim. Poczynając od twego ojca.

— Mojego ojca? — Milczała przez chwilę. — A więc wiesz.

Zacisnął usta, skinął głową.

— Współpracując z CaWinem, zawsze ryzykujesz — powiedział. — On jest bardzo przebiegły.

— Na pewno w jakiś sposób pobierał dane z mojego kompnotesu. Dostał się do zasobów prywatnych. Drań.

— Rozumiesz, jak się teraz czuję. Dlaczego to zrobiłaś?

— Początkowo… ponieważ nie miałam wyboru. Chciałam przeprowadzić studia na twój temat i tylko pod zmienionym nazwiskiem mogłam zdobyć twoje zaufanie. Mogło się udać. Zaledwie kilka osób w ogóle wiedziało o moim istnieniu. — Zamikła na chwilę. — I udało się, zaufałeś mi. A ja niczego nie zrobiłam, żeby to zaufanie zawieść.

— Naprawdę? Nigdy nie powiedziałaś Nilsowi niczego, co mogłoby mu pomóc?

Spojrzała na niego z żalem.

— Pamiętasz? Zostałeś uprzedzony o zamachu. Jeśli ktokolwiek powinien się czuć zdradzony, to mój ojciec.

Szukał dowodów na podważenie tego, co mówiła, choć nie był pewien, czy chce je znaleźć. Może mówiła prawdę?

— A biografia?

— To pomysł ojca.

— Narzędzie, by mnie zdyskredytować?

— W biografii nie ma żadnego kłamstwa, chyba że wiesz o czymś takim. Jest już prawie gotowa. W zasadzie Calvin bardzo pomógł. Zdajesz sobie sprawę, że to pierwsze większe dzieło miejscowej sztuki stworzone na Resurgamie. Oczywiście od czasów Amarantinów.

— Zgoda, to dzieło sztuki. Zamierzasz je opublikować pod swoim prawdziwym nazwiskiem?

— Od początku tak planowałam. Miałam nadzieję, że do czasu publikacji się o nim nie dowiesz.

— Och, tym się nie przejmuj. Wierz mi, to nie wpłynie na naszą współpracę. Zawsze zdawałem sobie sprawę z tego, że Nils jest prawdziwym autorem.

— Będzie ci łatwiej, jeśli pomniejszysz moje znaczenie, prawda?

— Masz te dane spułapkowanych elektronów, które mi obiecałaś?

— Tak. — Podała mu kartę. Dotrzymuję obietnic, doktorze. Obawiam się jednak, że moja resztka szacunku do ciebie jest poważnie zagrożona.

Sylveste patrzył na analizę wyników metody spułapkowanych elektronów. Przesuwały się po karcie, którą zginał między kciukiem i palcem wskazującym. Rozmawiał z Pascale, ale nie potrafił oderwać części swego umysłu od tego, co przedstawiały te liczby.

— Gdy twój ojciec wspomniał mi o biografii, powiedział, że kobieta, która będzie ją tworzyła, to ktoś, kto za chwilę straci resztki iluzji co do mojej osoby.

Wstała.

— Powinniśmy to odłożyć na inną okazję.

— Nie, zaczekaj. — Sylveste chwycił ją za rękę. — Przepraszam, ale muszę o tym z tobą porozmawiać.

Wzdrygnęła się pod jego dotykiem, potem się powoli odprężyła.

— O czym? — Patrzyła czujnie.

— O tym. — Postukał kciukiem w zestaw danych SE. — To bardzo ciekawe.

Prom Volyovej zbliżał się do stoczni. W pobliżu punktu Lagrange'a między Yellowstone a jego księżycem, Okiem Marca. W stoczni cumowało kilkanaście światłowców. Tylu statków Khouri jeszcze nigdy nie widziała. W rdzeniu stoczni znajdowała się większa karuzela i mniejsze wewnątrzsystemowe statki były przyczepione do brzegu koła jak ssące prosiaki do maciory. Kilka światłowców tkwiło w szkieletowych podporach — remontowano ich wielkie lodowe tarcze lub napędy Hybrydowców (statki Hybrydowców też tu były,

smukłe i czarne, jakby wykute z samej przestrzeni). Pozostałe obiekty w zasadzie dryfowały na powolnych, leniwych orbitach wokół środków ciężkości punktu Lagrange'a. Khouri przypuszczała, że sposobem parkowania statków rządzi skomplikowany protokół — kto komu musi ustąpić drogi, by uniknąć kolizji, którą komputer mógł przewidywać kilka dni naprzód. Ewentualny wydatek paliwa, związany z wytrąceniem statku z kursu kolizyjnego, był niewielki w porównaniu z zyskami przeciętnej handlowej wizyty w porcie, ale utratę twarzy znacznie trudniej zrekompensować. Przy Skraju Nieba Khouri nigdy nie widziała tak wielu statków, ale nawet tam słyszała o potyczkach między załogami, związanych z priorytetem parkowania i prawami handlowymi. Ziemianie na ogół błędnie sądzili, że Ultrasi — w przeciwieństwie do ludzkości — tworzą jednolitą nację. W istocie byli szczepem bardzo podzielonym, a poszczególne jego grupy z paranoidalną nieufnością traktowały inne odłamy.

Teraz zbliżali się do statku Vblyovej.

Jak wszystkie inne światłowce miał nieprawdopodobnie opływowe kształty. Przestrzeń tylko przy małych szybkościach w przybliżeniu była próżnią. Przy szybkościach bliskich świetlnej — a te statki z taką się przeważnie poruszały — lot odbywał się jakby w wyjącym wichrze atmosferycznym. Dlatego statki przypominały sztylety: każdy miał stożkowaty kadłub zwężający się w ostry jak igła dziób, by przebijać międzygwiazdowe środowisko, a dwa silniki Hybrydowców przymocowane z tyłu na dźwigarach wyglądały jak ozdobna rękojeść. Statek był powleczony lodem, czystym i połyskującym jak diament. Prom zanurkował nisko nad statkiem Volyovej i przez chwilę Khouri mogła się przekonać, jak wielki jest statek. Miała wrażenie, że leci nad miastem. W kadłubie otworzyły się drzwi przesłonowe i ukazał się jaśniejący przedział dokowy. Volyova prowadziła prom na miejsce, wprawnie przerzucając kontrolki silnika rakietowgo, zaczepiając o kołyskę cumowniczą. Khouri usłyszała łupnięcia, gdy pępowiny i połączenia dokujące zaskoczyły na miejsca.

Volyova pierwsza wyswobodziła się z pasów fotela.

— Wchodźmy na pokład — powiedziała. Khouri oczekiwała w tym zaproszeniu nieco więcej uprzejmości.

Wyprysnęły z promu do przestronnego otoczenia statku. Nadal nie było ciążenia, ale przy końcu korytarza, który Khouri miała przed sobą, znajdowało się skomplikowane urządzenie, łączące sekcje stacjonarne i rotacyjne.

Khouri zaczynała odczuwać mdłości. Po moim trupie dam to po sobie poznać, pomyślała.

— Nim pójdziemy dalej, muszę ci kogoś przedstawić — rzekła Volyova.

Spojrzała ponad ramieniem Khouri w korytarz prowadzący do

promu. Khouri usłyszała szuranie, jakby ktoś ręka za ręką 140 wspinał się po drabinie w korytarzu. Ale mogło to tylko znaczyć, że na pokładzie promu znajduje się jeszcze jedna osoba.

Coś tu się nie zgadzało.

Volyova nie zachowywała się jak ktoś, kto usiłuje wywrzeć na rekrucie wrażenie. Nie dbała o lo, co Khouri sobie myśli, jakby to nie miało żadnego znaczenia. Khouri obejrzała się — zobaczyła Komuso, który jechał z nimi wagonikiem windy. Twarz miał zakrytą wiklinowym hełmem, jaki nosili wszyscy z nich. W zagiętym ramieniu trzymał shakuhachi.

Khouri chciała coś powiedzieć, ale Volyova nie dała jej dojść do słowa.

— Ano Khouri, witaj na pokładzie „Nostalgii za Nieskończonością". Właśnie zostałaś naszym zbrojmistrzem. — Skinęła w stronę Komuso. — Wyrządź mi przysługę, Triumwirze.

— A mianowicie?

— Ogłusz ją, nim spróbuje zabić któregoś z nas.

Ostatnią rzeczą, jaką widziała Khouri, była złotawa, rozmyta plama bambusa.

Sylveste'owi zdawało się, że czuje zapach perfum Pascale. Potem jego wzrok wyłuskał z tłumu przed więziennym budynkiem jej sylwetkę. Odruchowo ruszył ku niej, ale natychmiast został powstrzymany przez dwóch krzepkich, eskortujących go milicjantów. Z odgrodzonego tłumu posypały się nieprzyjazne okrzyki i zniewagi, ale Sylveste prawie nie zwracał na nie uwagi.

Pascale pocałowała go dyskretnie, zakrywając ich złączone usta ręką w koronkowej rękawiczce.

— Nim zapytasz… — powiedziała głosem ledwo słyszalnym ponad hałasem tłumu — …o co w tym wszystkim chodzi, nie wiem, tak samo jak ty.

— To sprawka Nilsa?

— A kogóż by innego? Tylko on ma takie wpływy, by wydostać cię z więzienia na dłużej niż jeden dzień.

— Szkoda, że nie zapobiegnie mojemu tam powrotowi.

— Mógłby, gdyby nie musiał zjednywać sobie własnych ludzi i opozycji. Najwyższy czas, żebyś przestał go uważać za swego największego wroga.

Weszli w sterylną ciszę samochodu, który na nich czekał. Zaadaptowano go z niewielkiego łazika do eksploracji terenu; miał cztery balonowe koła, wystające z opływowego kadłuba, urządzenia komunikacyjne upakowane w matowoczarnym garbie na dachu. Był pomalowany na purpurę Potopowców, z przodu miał wisiory w stylu fali Hokuusaia.

— Gdyby nie mój ojciec, zginąłbyś podczas zamachu — rzekła

Pascale. — Ochronił cię przed twymi największymi wrogami.

— Nie jest więc najbardziej kompetentnym rewolucjonistą.

— W takim razie, co należy sądzić o reżimie, który udało mu się obalić?

Sylveste wzruszył ramionami.

— Słuszna uwaga.

Strażnik wskoczył na przedni fotel za ścianką ze szkła zbrojonego. Ruszyli i rozpędzając tłum, pognali na obrzeże miasta. Przejechali przez jedno z arboretów, potem zjechali po rampie biegnącej pod granicą miasta. Towarzyszyły im dwa inne rządowe samochody. Również przerobiono je ze starych łazików, ale pomalowano na czarno; po bokach stali milicyjni forysie z karabinami na ramionach. Przez kilometr konwój jechał nie oświetlonym tunelem, potem dotarł do śluzy powietrznej i zatrzymał się na chwilę — zdatne do oddychania powietrze miasta wymieniono na atmosferę Resurgamu. Strażnicy zostali na swoich miejscach, zmienili sobie tylko ustawienia masek do oddychania i gogli. Potem pojazdy znów ruszyły pod górę na powierzchnię. Wynurzyli się w szarówce, wśród betonowych ścian przeciwwybuchowych i jechali po powierzchni usianej czerwonymi i zielonymi światłami.

Na płycie lotniska czekał na nich samolot, wsparty na trzech płozach; skrzydła od spodu świeciły nieprzyjemnie jasno, już zaczynały jonizację granicznych warstw znajdującego się pod nimi powietrza. Kierowca włożył rękę pod tablicę rozdzielczą, wyciągnął maski do oddychania i podał je do tyłu przez kratę. Patrzył, czy Sylveste i Pascale prawidłowo je zakładają.

— Nie były absolutnie potrzebne, doktorze Sylveste — powiedział kierowca. — Od czasu, gdy był pan ostatnio poza Resurgam City, zawartość tlenu wzrosła o dwieście procent. 14? Niektórzy ludzie oddychali atmosferą kilkadziesiąt minut bez długotrwałych skutków negatywnych.

— To na pewno dysydenci, o których ciągle słyszę — odparł Sylveste. — Renegaci, których zdradził Girardieau podczas przewrotu. Prawdopodobnie komunikują się z przywódcami Słusznej Drogi na Cuvier. Nie zazdroszczę im. Pyl musiał zatkać im płuca prawie tak, jak zatkał ich mózgi.

Konwojent nie zareagował.

— Enzymy utylizujące przerabiają cząsteczki pyłu. Stara technika marsjańska. W każdym razie poziom zapylenia spadł. Wilgoć pompowana przez nas do atmosfery spowodowała, że pył zbija się w większe drobiny i już nie tak łatwo porusza się z wiatrem.

— Znakomicie — chwalił Sylveste. — Szkoda tylko, że to nadal taka nędzna dziura.

Poprawił maskę na twarzy i czekał na otwarcie drzwi. Wiał

umiarkowany wiatr — pył powodował zaledwie kłujące otarcia.

Pomknęli.

Samolot był przyjemną oazą przestrzeni i spokoju, z bogatym wnętrzem wyłożonym rządową purpurą. Ci, którzy tu dojechali pozostałymi dwoma samochodami, wsiedli przez inne drzwi. Sylveste zobaczył kątem oka Nilsa Girardieau, idącego po płycie lotniska. Girardieau szedł rozkołysanym krokiem, a ruch zaczynał się gdzieś w okolicach ramion — przypominał cyrkiel kroczący od punktu do punktu po desce projektowej architekta. Był w nim jakiś rozmach, a widok też przywoływał na myśl lodowiec ściśnięty do rozmiarów człowieka. Przywódca zniknął Sylveste'owi z oczu, a parę minut później krawędź skrzydła stała się liliowa, owinięta otoczką pobudzonych jonów, i samolot uniósł się nad lądowiskiem.

Sylveste naszkicował dla siebie okno i obserwował, jak Cuvier maleje w dole — obecnie zwane Resurgam City. Po raz ostatni widział je w całości przed przewrotem, kiedy pomnik francuskiego przyrodnika jeszcze stal. Zniknęła dawna prostota kolonii. Za granicami miasta ciągnęła się bezładna piana ludzkich osiedli — hermetycznie zamknięte budowle połączone krytymi drogami i chodnikami. Wiele małych kopuł, stojących w pewnej odległości od głównych budowli, miało zielony kolor. Sylveste widział nawet kilka pasów próbnych organizmów roślinnych, przystosowanych do życia na wolnym powietrzu. Czekały na uwolnienie z dala od miasta, w zagonach tworzących nieprzyjemne dla oczu Sylveste'a geometryczne wzory.

Okrążyli miasto i wznieśli się, kierując na północ. W dole zwijały się kaniony koronkowe. Niekiedy światło ze skrzydeł oświetlało przez chwilę małe osiedle — zwykle nieprzezroczystą kopułę lub opływowy barak. Przeważnie jednak w dole widniało pustkowie bez dróg, rurociągów czy linii zasilających.

Od czasu do czasu Sylveste zapadał w drzemkę; gdy się budził, widział tropikalne pustynie lodu i sunącą w dole importowaną tundrę. W tej chwili na horyzoncie pojawiło się osiedle i samolot leniwą spiralą opadał na dół. Sylveste przesunął swoje okno, by mieć lepszy widok.

— Poznaję ten rejon. To tu znaleźliśmy obelisk.

— Zgadza się — przyznała Pascale.

Teren był skalisty, prawie bez roślin, linie horyzontu zakłócały wznoszące się złamane łuki i nieprawdopodobne kolumny skalne, które wyglądały tak, jakby za chwilę miały runąć, wszędzie głębokie szczeliny — rzekłbyś: spetryfikowana powierzchnia rozgrzebanej pościeli. Przelecieli nad zastygłym strumieniem lawy i wylądowali na płaskim sześciokącie otoczonym opancerzonymi budynkami powierzchniowymi. Był środek dnia, ale pył w powietrzu tak silnie

przesłaniał światło słoneczne, że lądowisko trzeba było oświetlać reflektorami. Milicjanci ruszyli pędem w stronę samolotu, osłaniając oczy przed jasnością bijącą od spodu skrzydeł.

Sylveste zerwał maskę, spojrzał na nią pogardliwie i położył na siedzeniu. Nie potrzebował pomocy przy przejściu do pobliskiego budynku, a nawet gdyby jej potrzebował, nie miał zamiaru tego po sobie pokazać.

Milicjanci poprowadzili ich do baraku. Od lat Sylveste nie znajdował się tak bliso Girardieau. Zaszokowało go to, że jego przeciwnik wydaje się taki niski. Przypominał przysadzistą maszynę górniczą, zdolną przedrzeć się przez lity bazalt; jego rude i drutowate włosy pstrzyła siwizna; oczy miał szeroko otwarte i zdziwione, jak u zalęknionego młodego pekińczyka.

— Dziwne koleje losu — powiedział, gdy jeden ze strażników zamknął za nimi drzwi. — Dan, kto by pomyślał, że ty i ja kiedykolwiek będziemy mieli ze sobą tak wiele wspólnego?

— Mniej, niż ci się wydaje — odparł Sylveste.

Girardieau poprowadził grupę przez żebrowany korytarz, w którym po bokach stały stare maszyny, ubabrane tak, że trudno było rozpoznać ich przeznaczenie.

— Przypuszczam, że zastanawiasz się, o co tu chodzi.

— Mam pewne podejrzenia.

Śmiech Girardieau zadudnił wśród porzuconego sprzętu.

— Pamiętasz obelisk wykopany w tej okolicy? Oczywiście pamiętasz, przecież to ty wskazałeś na fenomenologiczną trudność związaną z metodą SE, zastosowaną przy datowaniu tej skały.

— Właśnie — odparł cierpko Sylveste.

Wnioski z datowania SE okazały się przełomowe. Żadna naturalna struktura krystaliczna nie tworzyła idealnej sieci. Zawsze istniały w niej przerwy, w których brakowało atomów, i w tych dziurach stopniowo zbierały się elektrony, wytrącone z pozostałych oczek sieci przez promieniowanie kosmiczne i naturalną radioaktywność. Ponieważ dziury te zapełniały się elektronami ze stałą szybkością, liczba schwytanych elektronów stanowiła doskonały miernik datowania nieorganicznych artefaktów. Istniał przy tym jeden haczyk: metoda SE była użyteczna tylko wówczas, jeśli w przeszłości, w którymś ze znanych momentów, pułapki zostały opróżnione — wytrawione. Na szczęście ogień lub wystawienie na działanie światła wystarczało, by najbardziej zewnętrzne pułapki sieci krystalicznej stały się na powrót puste. Analiza SE obelisku wskazała, że wszystkie pułapki warstwy powierzchniowej zostały opróżnione w tym samym czasie, dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy lat temu, z dokładnością do błędu pomiaru. Tylko zjawisko w rodzaju Wydarzenia mogło wytrawić wszystkie pułapki w obiekcie wielkości obelisku.

Nie było w tym nic zaskakującego. Tysiące Amarantińskich artefaktów datowano na okres Wydarzenia tą samą techniką, ale tylko obelisk został zakopany specjalnie, rozmyślnie umieszczony w kamiennym sarkofagu po tym, jak został wytrawiony.

Po Wydarzeniu.

Nawet za nowego reżimu ten fakt wystarczył, by zainteresowano się obeliskiem. W ostatnim roku ponownie zwrócono uwagę na napis. Poprzednio Sylveste podał dość ogólną interpretację; teraz cała pozostała na planecie grupka archeologicznej społeczności pośpieszyła z pomocą. W Cuvier tymczaem zapanowała epoka wolności. Reżim Girardieau złagodził niektóre zakazy dotyczące badań amarantińskich, choć opozycja Słusznej Drogi stawała się coraz bardziej fanatyczna.

Dziwne przymierza, jak powiedział Girardieau.

— Gdy zorientowaliśmy się, co nam przekazuje obelisk, podzieliliśmy cały obszar i odsłoniliśmy teren sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów w głąb — oznajmił Girardieau. — Znaleźliśmy jeszcze kilkadziesiąt takich obiektów, wszystkie wytrawione przed zakopaniem, wszystkie zawierające w zasadzie taki sam napis. To nie jest zapis tego, co się w tym rejonie wydarzyło, to jest zapis wskazujący na coś, co zostało tu zakopane.

— Coś dużego — powiedział Sylveste. — Coś, co zaplanowali przed Wydarzeniem i może nawet zakopali, zanim nastąpiło, a znaczniki umieścili potem. Ostatni akt kulturalny społeczeństwa skazanego na zagładę. Tylko jak duże to jest?

— Bardzo — odparł Girardieau.

Potem opowiedział mu, jak zbadali teren najpierw za pomocą zestawu bijaków — urządzeń, które generują penetrujące fale Rayleigha, reagujące na gęstość zakopanego obiektu. Według relacji Girardieau musieli użyć największych bijaków, a to oznaczało, że obiekty były zakopane na takiej głębokości, że ta technika już dalej nie sięgała — setki metrów w dół. Potem sprowadzili najbardziej czułe grawitometry obrazujące, jakie mieli w kolonii, i dopiero wtedy uzyskali pojęcie o tym, czego szukają.

To nie było małe.

— Czy te wykopaliska są związane z programem Potopowców?

— Całkowiecie niezależne. Innymi słowy czysta nauka. Dziwi cię to? Przecież obiecywałem, że nigdy nie porzucimy badań nad Amarantinami. Może gdybyś dawno temu mi uwierzył, teraz pracowalibyśmy razem, przeciwstawiając się Słusznej Drodze, naszemu rzeczywistemu wrogowi.

— Nie okazywałeś zainteresowania Amarantinami, dopóki obelisk nie został odkryty — zauważył Sylveste. — Ale wtedy cię to przeraziło, prawda? Ponieważ dowód był niepodważalny. Tego nie mogłem sfałszować ani zmanipulować. Wreszcie musiałeś dopuścić

możliwość, że od początku miałem rację.

Weszli do obszernej windy z miękkimi siedzeniami i akwatintami Potopowców na ścianach. Z pomrukiem zamknęły się grube metalowe drzwi. Jeden z asystentów Girardieau otworzył panel i nacisnął guzik. Podłoga opadła tak szybko, że ich ciała ledwo za nią nadążały.

— Jak głęboko zjeżdżamy?

— Niezbyt głęboko — odparł Girardieau. — Zaledwie parę kilometrów.

Gdy Khouri się ocknęła, opuścili już orbitę wokół Yellowstone. Przez iluminator w swojej kwaterze widziała planetę — znacznie mniejszą niż przedtem. Obszar wokół Chasm City jawił się jako plamka na powierzchni, a Pas Złomu jako płowy rozmyty pierścień, zbyt odległy, by dało się wyróżnić jego poszczególne części. Teraz statek miał stale poruszać się z przyśpieszeniem jeden g, aż zupełnie opuści układ Epsilon Erdani, a potem nadal przyśpieszać, aż osiągnie prędkość tylko odrobinę mniejszą od prędkości światła. Nie przypadkiem tego typu statki nazywano światłowcami.

Khouri oszukano.

— To komplikacja — odezwała się Mademoiselle po wielu minutach ciszy. — Ale tylko tyle.

Khouri potarła guza na obolałej głowie, w miejscu gdzie Komuso — czyli Sajaki, jak teraz wiedziała — uderzył ją swym shakuhachi.

— Mówisz „komplikacja”?! — krzyknęła. — Porwali mnie, ty głupia jędzo!

— Ucisz się, dziewczyno. Nie wiedzą o moim istnieniu i nie ma powodu, by się kiedykolwiek dowiedzieli. — Widoczna dzięki entoptycznemu obrazowi Mademoiselle uśmiechnęła się krzywo. — Prawdę mówiąc, obecnie jestem twoim najlepszym przyjacielem. Powinnaś robić wszystko, by dochować naszej wspólnej tajemnicy. — Obejrzała swoje paznokcie. — Podejdźmy do tego racjonalnie. Co jest naszym celem?

— Do cholery, przecież wiesz.

— Tak. Miałaś zinfiltrować tę załogę i odbyć z nimi podróż do Resurgamu. Jaki jest teraz twój status?

— Ta jędza Volyova cały czas nazywa mnie rekrutem.

— Innymi słowy twoja infiltracja skończyła się spektakularnym sukcesem. — Mademoiselle kroczyła nonszalancko po pokoju, jedną rękę oparła na biodrze, palcem wskazującym drugiej uderzała lekko w dolną wargę. — A dokąd my się teraz udajemy?

— Podejrzewam, że to nadal Resurgam.

— Więc w zasadniczych szczegółach nie nastąpiło nic, co mogłoby zaszkodzę naszej misji.

Khouri miała ochotę ją udusić, ale byłoby to duszenie zjawy.

— Czy nie przyszło ci do głowy, że oni mogą mieć własne plany? Wiesz, co Volyova powiedziała, nim zostałam powalona? Powiedziała, że jestem nowym zbrojmistrzem. Jak sądzisz, co miała na myśli?

— To wyjaśnia, dlaczego szukali kogoś z doświadczeniem militarnym.

— A jeśli nie zgodzę się na jej plany?

— Wątpię, czy to ma znaczenie. — Mademoiselle przestała chodzić w kółko i przyjęła wyraz powagi, wybrany z palety dostępnych jej wyrazów Iwarzy. — Zrozum, to Ultrasi. Mają dostęp do technologii zabronionych w innych skolonizowanych światach.

— Na przykład?

— Systemy manipulacji lojalnością.

— No, dzięki, że przekazałaś mi te ważne informacje odpowiednio wcześnie.

— Nie przejmuj się… zawsze podejrzewałam, że coś takiego wchodzi w grę. — Mademoiselle dotknęła skroni. — Przedsięwzięłam odpowiednie środki.

— Co za ulga!

— Implant, który ci wstawiłam, wytwarza antygeny przeciw ich neuralnym medmaszynom. Co więcej, będzie wysyłał do twej podświadomości podprogowe informacje wzmacniające. To całkowicie zneutralizuje terapię lojalności zastosowaną przez Volyovą.

— Więc po co mi to w ogóle mówisz?

— Moja droga, będziesz musiała udawać, że jej terapia działa.

Zjazd zajął tylko kilka minut. Ciśnienie powietrza i temperatura ustabilizowały się na normalnym poziomie planetarnym. Szyb, którym zjeżdżał wagonik, miał dziesięć metrów szerokości i był wyłożony diamentem. Gdzieniegdzie znajdowały się nisze, skrytki na sprzęt lub małe budki operatorskie, albo mijanki, gdzie dwa wagoniki windy mogły przecisnąć się obok siebie. Serwitory wytwarzały diament, wyciągały z filier jego nici atomowej grubości. Za sprawą molekularnych maszyn o rozmiarach protein nici układały się szybko i równiutko na miejsce. Gdy spojrzało się przez szklane sklepienie, odnosiło się wrażenie, że lekko opalizujący szyb sięga w nieskończoność.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś, że odkryłeś to miejsce? — spytał Sylveste. — Jesteście tutaj przynajmniej od paru miesięcy.

— Powiedzmy sobie, że twój wkład pracy nie był tu niezbędny — odparł Girardieau i dodał: — To znaczy… do tej chwili.

Na dnie szybu weszli w inny korytarz wyłożony srebrem, czystszy i chłodniejszy od tego, którym szli na powierzchni. Przez rozmieszczone wzdłuż korytarza okna było widać olbrzymią jaskinię wypełnioną geodetycznymi rusztowaniami i budowlami przemysłowymi. Swymi oczami Sylveste mógł wykonać „stop-klatkę”,

przeprowadził obróbkę obrazu, a gdy przeszedł dziesięć kroków korytarzem, powiększył widok. Za taką możliwość — zrzędząc — podziękował w duchu Calvinowi.

To, co zobaczył, przyśpieszyło bicie jego serca.

Teraz przechodzili przez pancerne drzwi pilnowane przez entoptyczne duchy — skręcające się węże, które sprawiały wrażenie, że syczą i plują na ludzi. Przeszli do przedpokoju, w którego drugim końcu, przy drzwiach, stalą milicja. Girardieau skinął dłonią, by się rozstąpili. Zwrócił się do Sylveste'a. Oczy miał okrągłe, a rysy pekińczyka sprawiały, że przypominał diabła z japońskiej grafiki, który za chwilę czknie ogniem.

— Tutaj albo milczysz z nabożną czcią, albo prosisz o zwrot pieniędzy — powiedział Girardieau.

— Zrób na mnie wrażenie — odparł Sylveste z kpiącą nonszalancją, choć puls mu galopował i zżerało go gorączkowe podniecenie.

Girardieau otworzył drzwi w końcu korytarza. Weszli do pokoiku dwa razy mniejszego od kabiny windy towarowej, pustego, jeśli nie liczyć rzędu prostych blatów wbudowanych w ścianę. Na jednym z nich leżał hełmofon i zawijany mikrofon obok kompnotesu, pokazującego szkicowe wykresy inżynierskie. Ściany były odchylone do tyłu, tak że sufit miał większą powierzchnię niż podłoga. W trzech ścianach wbudowano olbrzymie szklane okna i Sylveste miał wrażenie, że znajduje się w gondoli sterowca lecącego pod bezgwiezdnym nocnym niebem nad bezkresnym oceanem.

Girardieau zgasił lampy, by mogli zobaczyć widok za oknami.

Światła reflektorów umieszczonych na suficie komory na zewnątrz spływały na amarantiński obiekt. Wyłaniał się z prawie gładkiej ściany jaskini i był półkulą czystej czerni w otoczce suwnic i geodetycznych rusztowań. Do powierzchni kuli były przylepione gdzieniegdzie chropowate grudy stwardniałej magmy, ale tam, gdzie magmę odskrobano, powierzchnia była gładka i czarna jak obsydian. Kulista bryła miała przynajmniej czterysta metrów średnicy, ale w połowie była jeszcze zakopana.

— Wiesz, kto tę rzecz zrobił? — spytał Girardieau szeptem. Nie czekał na odpowiedź. — Jest starsza niż mowa ludzka, ale na mojej cholernej obrączce ślubnej jest więcej rys.

Girardieau poprowadził ich z powrotem do windy. Zjechali na poziom operacyjny wydrążonej komnaty. Droga w dół trwała najwyżej trzydzieści sekund, ale dla Sylveste'a była nieznośnie powolną wyprawą. Traktował ten obiekt jak swoją osobistą nagrodę, zdobytą z trudem, jakby sam to odkopał krwawiącymi dłońmi. Teraz obiekt górował nad nimi, jego zakrzywiona, osadzona w skale część wystawała w górze bez podpory. Wokół kuli biegł skośnie płytki

rowek. Z punktu obserwacyjnego Sylveste'a wyglądał jak niezbyt głębokie pęknięcie grubości włosa, ale musiał mieć co najmniej metr szerokości i tyleż głębokości.

Girardieau zaprowadził ich do pobliskiego klina — betonowej konstrukcji z pokojami i przybudówkami użytkowymi. Wewnątrz wsiedli do windy, którą wjechali w mgiełkę wystających z budynku rusztowań. Sylvestem miotały sprzeczne lęki: klaustro — i agorafobia. Czuł się przytłoczony megatonami skały, sięgającej ponad nim setki metrów, a równocześnie miał zawroty głowy, gdy wjeżdżali po rusztowaniach.

Małe kabiny i budki ze sprzętem unosiły się w geodetycznym szkielecie. Wysiedli z windy w kompleks pomieszczeń, gdzie nadal rozlegały się odgłosy przerwanych przed chwilą prac. Znaki ostrzegawcze i napisy nalepiono lub namalowano, gdyż wszelkie konstrukcje sklecono tu zbyt pośpiesznie, by zastosować generatory entoptyków.

Przeszli po drżącym moście belkowym, który prowadził przez spiętrzone rusztowania do czarnego obiektu. Znajdowali się w połowie jego wysokości, na poziomie rowka. Z tej odległości obiekt nie wydawał się kulą, ale czarną ścianą zagradzającą im drogę, wielką, o niepojętej głębokości; przypominała Sylveste'owi widok Całunu Lascaille'a, jaki zapamiętał ze swej podróży na Rozbryzg. Szli coraz dalej, aż dotarli pomostem do rowka.

Droga skręciła teraz w prawo. Z trzech stron — z lewej, z góry i z dołu — byli ograniczeni dziwaczną, nieokreśloną czarną materią artefaktu. Szli po kratownicy przytwierdzonej przyssawkami, gdyż obcy materiał prawie nie powodował tarcia. Po prawej stronie biegła zabezpieczająca barierka, za którą opadała parusetmetrowa przepaść. Co pięć, sześć metrów na wewnętrznej ścianie wisiały lampy na epoksydowych podkładkach, a co dwadzieścia widniał panel z tajemniczymi znakami.

Przez jakieś cztery minuty szli pod górę, wreszcie przybyli do miejsca, gdzie zobaczyli splot linii zasilających, dużo lamp i konsoli komunikacyjnych. Tu Girardieau kazał im się zatrzymać. Ściana rowu po lewej stronie zakrzywiała się do wewnątrz.

— Całe tygodnie minęły, nim znaleźliśmy drogę do środka — powiedział Girardieau. — Z początku ten rów był zatkany bazaltem. Dopiero, gdy się go wydłubało, znaleźliśmy to miejsce, gdzie bazalt, wchodząc do środka, zatykał tunel biegnący po promieniu kuli i wynurzający się w rowie.

— Pracowaliście jak kreciki.

— Wykopanie tego wszystkiego to była ciężka robota. W porównaniu z tym odsłonięcie rowu jest łatwizną, ale tu musieliśmy wiercić i usuwać materiał przez ten sam mały otwór. Niektórzy chcieli

użyć palników boserowych, by dla ułatwienia pracy wyciąć kilka pomocniczych tuneli, ale nigdy do tego nie doszliśmy. A nasze wiertła o końcówkach mineralnych nie potrafiły nadgryźć tego materiału.

Sylveste miał ochotę okazać, że opowieść Girardieau nie robi na nim aż takiego wrażenia, ale górę wzięła naukowa ciekawość.

— Wiecie, co to za materiał?

— W zasadzie węgiel, z domieszką żelaza i niobu oraz kilkoma metalami śladowymi. Nie znamy jednak struktury. Nie jest to po prostu jakaś alotropowa postać diamentu, której jeszcze nie znamy, ani nawet hiperdiament. Górna warstwa, dziesiętne części milimetra, jest zbliżona do diamentu, ale głębiej tworzywo przeszło jakąś skomplikowaną transformację sieci krystalicznej. Ostateczna forma, znajdująca się znacznie głębiej, skąd jeszcze nie pobraliśmy próbek, może w ogóle nie jest prawdziwym kryształem. Możliwe, że sieć krystaliczna rozpada się na tryliony ciężkowęglowych makromolekuł, złączonych w jednolicie zachowującą się masę. Czasami te molekuły wychodzą na powierzchnię przez nieregularności w sieci i tylko wtedy możemy je zobaczyć.

— Mówisz tak, jakby to było celowe działanie.

— Może jest. Może te molekuły są jak małe enzymy, zainstalowane, by naprawiać uszkodzenia w diamentowej skorupie. — Wzruszy! ramionami. — Nigdy jednak nie udało nam się wyizolować makrocząsteczki w postaci stabilnej. Wydaje się, że tracą spójność, gdy tylko się je usunie z sieci krystalicznej. Rozpadają się, nim zdążymy zajrzeć do ich wnętrza.

— Zgodnie z twoim opisem wygląda mi to na technologię molekularną — stwierdził Sylveste.

Girardieau uśmiechnął się do niego, jakby przyjmował do wiadomości ich prywatną grę, w którą się uwikłali.

— Ale wiemy, że Amarantinowie byli zbyt prymitywni, by posiadać taką technikę.

— Oczywiście.

— Oczywiście. — Girardieau znów się uśmiechnął, tym razem do wszystkich w grupie. — Idziemy dalej?

Poruszanie się w tunelach biegnących od rowu było bardziej skomplikowane, niż Sylveste sobie wyobrażał. Myślał, że tunel będzie prowadził po promieniu tak długo, aż przebije skorupę i dotrze do pustego wnętrza obiektu. Jednak tunel był umyślnie skonstruowanym labiryntem. Droga szła radialnie mniej więcej dziesięć metrów, ale potem skręcała w lewo i się rozwidlała. Drogi oznaczono kolorami za pomocą przylepnych markerów, ale system kodowania był dla Sylveste'a zbyt zagadkowy. Po pięciu minutach stracił orientację, choć podejrzewał, że nie zabrnęli zbyt daleko w głąb. Miał wrażenie, że tunel to dzieło zwariowanego robaka, który lubił zjadać miąższ jabłka

bezpośrednio pod skórką. W końcu przeszli przez regularną szczelinę w strukturze obiektu. Girardieau wyjaśnił, że obiekt składa się z wielu koncentrycznych warstw. Szli krętym tunelem, a Girardieau raczył ich opowieściami o początkowym etapie eksploracji obiektu.

Wiedzieli o nim od dwóch lat — od czasu, gdy Sylveste zwrócił uwagę Pascale na dziwny sposób zagrzebania obelisku. Wykopanie komory pochłonęło większość tego czasu, a szczegółowe badanie pogmatwanego wnętrza zaczęto parę miesięcy temu. W początkowym okresie wydarzyło się kilka wypadków śmiertelnych. Nie było w nich nic zagadkowego i w końcu przestały się zdarzać — po prostu ludzie gubili się w niezbadanej części labiryntu i wpadali do pionowego szybu, gdzie nie zdążono jeszcze ułożyć zabezpieczającej podłogi. Jedna pracownica zginęła śmiercią głodową, gdy zapuściła się zbyt daleko, nie pozostawiając za sobą śladu w postaci okruszków — serwitory znalazły ją dwa tygodnie po zaginięciu. Chodziła bezładnie po okręgach, niekiedy zbliżając się na odległość paru minut od stref bezpiecznych.

Teraz, przez ostatnią koncentryczną warstwę, szli wolniej i rozważniej niż przez cztery poprzednie. Droga prowadziła w dół i w końcu dotarli do wygodniejszego, poziomego tunelu. Na jego końcu jaśniało mleczne światło.

Girardieau powiedział coś do rękawa i światło przygasło.

Poruszali się w półmroku. Stopniowo odgłos ich oddechów przestał się odbijać echem do ścian, gdy ograniczająca przestrzeń się otwierała. Jedyny dwięk pochodził od mozolnego mruczenia pomp powietrza.

— Trzymaj się — powiedział Girardieau. — Zaraz zobaczysz.

Sylveste przygotował się na moment dezorientacji, gdy lampy rozbłysły. Nie miał za złe Girardieau tego teatralnego przedstawienia. Pozwoliło mu ono wyczuć smak odkrycia, choć z drugiej ręki. Oczywiście on jeden rozumiał, co ten surogat zastępował. Nie zazdrościł jednak innym tej chwili. Byłoby to nieuprzejme, gdyż oni nigdy się nie dowiedzą, jak smakuje prawdziwe odkrycie. Prawie im współczuł, choć w tej chwili widok, jaki ukazał się w świetle, wymiótł z jego głowy wszelkie myśli.

Zobaczył miasto obcych.

SZEŚĆ

W drodze do DeKy Pawia, 2546

— Przypuszczam, że należysz do ludzi, którzy, pod każdym innym względem racjonalni, szczycą się tym, że nie wierzą w duchy.

Khouri spojrzała na nią, lekko marszcząc czoło. Od samego początku Volyova wiedziała, że Khouri nie jest głupia, ale

interesowało ją, jak dziewczyna zareaguje na jej pytanie.

— Duchy? Triumwirze, chyba nie mówisz poważnie!

— Szybko się przekonasz, że prawie zawsze jestem śmiertelnie poważna — odparła Volyova. Przybyły pod drzwi, osadzone dyskretnie w jednej z zardzewiałych wewnętrznych ścian statku. Drzwi wyglądały na ciężkie, spod warstw rdzy i brudu przeświecał stylizowany rysunek pająka. — Wejdź. Idę za tobą.

Khouri bez wahania wykonała polecenie. Volyova była zadowolona. Przez trzy tygodnie od porwania — lub rekrutacji, gdyby się chciało określić to delikatniej — Volyova zastosowała w stosunku do Khouri terapię zmieniającą lojalność. Kuracja była niemal zakończona, brakowało tylko dodatkowych dawek, ale te miały być podawane już zawsze. Wkrótce lojalność zostanie wbudowana tak silnie, że przekroczy zwykłe posłuszeństwo i stanie się odruchem, zasadą, przed którą Khouri nie potrafi się obronić, tak jak ryba przed oddychaniem w wodzie. Gdyby się to posunęło do ekstremum — choć Volyova miała nadzieję, że nie będzie to potrzebne — Khouri można by skłonić do tego, by wykonywała wolę załogi i jeszcze ich kochała za to, że dali jej taką szansę. Volyova wahałaby się przed zaprogramowanien kobiety aż do tego stopnia. Po swych niezbyt owocnych eksperymentach z Nagomym wolała zachować ostrożność przed stworzeniem drugiej bezkrytycznie posłusznej świnki doświadczalnej. Volyova wolałaby, żeby Khouri zachowała resztki oporu.

Volyova poszła ku drzwiom za Khouri, która zatrzymała się parę metrów za progiem i nagle zobaczyła, że droga jest odcięta.

Volyova zamknęła wielkie przesłonowe drzwi z tyłu.

— Gdzie jesteśmy, Triumwirze?

— W mojej prywatnej samotni — odparła Volyova. Mówiąc do swej bransolety, spowodowała zapalenie się świateł, ale wnętrze nadal zostawało w cieniu. Pokój miał kształt grubej torpedy, długość dwa razy większą niż szerokość. Wnętrze było przepysznie wyposażone: cztery szkarłatne miękkie fotele, zainstalowane obok siebie, za nimi miejsce na dwa dalsze, choć na ra — zie w podłodze widniały tylko klamry mocujące. Zakrzywione ściany błyszczące i czarne, jakby były z obsydianu lub czarnego marmuru, z mosiężnymi żebrowaniami, obito w wielu miejscach pluszem. Volyova usiadła z przodu w fotelu, który do podłokietnika miał przymocowaną konsolę z hebanu. Złożyła konsolę, przyjrzała się tarczom i przełącznikom wykonanym z mosiądzu lub miedzi, z wyszukanymi etykietkami, na które nałożono kwieciste zwoje inkrustacji drzewnych i z kości słoniowej. Volyova znała te urządzenia, gdyż regularnie zaglądała do pajęczego pokoju, ale lubiła dotykać panelu palcami.

— Sugeruję, byś usiadła — powiedziała. — Za chwilę ruszamy.

Khouri posłusznie usiadła obok Volyovej, która przerzuciła kilka przełączników z kości słoniowej i obserwowała, jak niektóre tarcze na panelu rozjarzają się różowo, a wskazówki drżą, gdy zasilanie weszło w obwody pajęczego pokoju. Volyova z sadystyczną przyjemnością obserwowała zdezorientowaną Khouri, która najwyraźniej nie wiedziała, w jakim miejscu statku się znajduje i co za chwilę się stanie. Rozległo się szczęknięcie i nastąpiło nagłe przesunięcie, jakby pokój był łodzią ratunkową, która właśnie odłączyła się od macierzystego statku.

— Ruszyłyśmy — stwierdziła Khouri. — Co to takiego? Luksusowa winda dla Triumwiratu?

— Nic z tych dekadenckich wymysłów. Znajdujemy się w starym szybie prowadzącym do zewnętrznego kadłuba.

— Potrzebujesz pokoju, by dotrzeć do kadłuba? — W głosie Khouri znów ujawniła się pogarda dla przytulnych ultraskich udogodnień. Volyovej się to perwersyjnie spodobało. Umocniło ją w przekonaniu, że terapia lojalności nie zniszczyła osobowości Khouri, lecz tylko ją inaczej ukierunkowała.

— Gdyby chodziło jedynie o dotarcie do kadłuba, poszłybyśmy piechotą — odparła Volyova.

Ruch odbywał się teraz gładko, ale od czasu do czasu rozlegały się szczęknięcia, gdy po drodze natykały się na śluzy i urządzenia systemu trakcyjnego. Ściany szybu były czarne, ale — jak wiedziała Volyova — to się za chwilę miało zmienić. Na razie Volyova obserwowała Khouri, próbując ustalić, czy dziewczyna się boi, czy tylko jest zaciekawiona. Gdyby miała trochę rozumu, już by się zorientowała, że Volyova poświęciła jej zbyt wiele czasu, by ją zabić. Ale z drugiej strony, podczas treningu wojskowego na Skraju Nieba musiała się nauczyć, że niczego nie należy przyjmować za oczywistość.

Jej wygląd zewnętrzny zmienił się zasadniczo od czasu rekrutacji, choć nie spowodowała tego terapia. Włosy Khouri zawsze były krótkie, ale teraz w ogóle wypadły. Tylko z bliska widziało się brzoskwiniowe odrosty. Czaszkę pokrywały drobne, łososiowe blizny — ślady po nacięciach, przez które Volyova otworzyła czaszkę Khouri i umieściła implanty, tkwiące przedtem w głowie Nagornego.

Na Khouri dokonano również innych zabiegów chirurgicznych. W czasach żołnierki jej ciało zostało podziurawione szrapnelami, znajdowały się na nim również prawie niewidoczne, zaleczone rany po broni promieniowej oraz miejsca, gdzie trafiły ją pociski. Niektóre odłamki szrapnela siedziały zbyt głęboko — tak przynajmniej uznali medycy na Skraju Nieba — by je wydobyć. Przeważnie nie stanowiły zagrożenia dla zdrowia Khouri, gdyż były nieaktywnymi biologicznie kompozytami i nie znajdowały się w pobliżu ważnych organów. Ale w niektórych wypadkach medycy postąpili niechlujnie: Volyova znalazła

pod skórą kilka odłamków, które powinni byli usunąć. Ona to zrobiła — starannie obejrzała każdy odłamek, a potem umieściła je w swym laboratorium. Żaden z odłamków — z wyjątkiem jednego — nie zakłóciłby jej systemu; niemetaliczne kompozyty nie interferowały z wrażliwymi polami indukcyjnymi interfejsu zbrojmistrza. Mimo to Volyova je skatalogowała i zachowała. Zobaczywszy jeden metalowy odłamek, nachmurzyła się i, przeklinając procedury medyczne, odłożyła obok pozostałych.

Miała z tym sporo grzebaniny, ale znacznie gorsza była praca z neuronami. Przez wieki najpopularniejsze formy implantu albo tworzono in situ, albo projektowano tak, by się bezboleśnie samowprowadzały przez naturalne otwory ciała, jednak tej procedury nie można było zastosować w przypadku wyjątkowych i delikatnych implantów interfejsu centrali uzbrojenia. Wprowadzenie ich do ciała wymagało skalpela, piłowania kości, a po operacji — solidnego sprzątania. Tym razem było to podwójnie trudne, gdyż w czaszce Khouri znajdowały się już standardowe implanty. Volyova zbadała je pobieżnie i doszła do wniosku, że nie ma powodu ich usuwać. Gdyby to zrobiła, i tak wcześniej czy później musiałaby z powrotem implantować jej podobne urządzenia, by Khouri mogła normalnie funkcjonować poza centralą. Implanty dobrze się przyjęły i po dniu — gdy Khouri cały czas jeszcze była nieprzytomna — Volyova umieściła ją w fotelu zbrojmistrza i sprawdziła, czy statek jest w stanie mówić do jej implantów, a one do niego. Dalsze testy musiały poczekać do zakończenia terapii lojalności, co miało nastąpić jeszcze podczas snu pozostałych załogantów.

Ostrożność — to było obecne hasło Volyovej. Brak ostrożności spowodował te wszystkie kłopoty z Nagornym.

Volyova nie popełni powtórnie podobnego błędu.

— Coś mi się wydaje, że to rodzaj testu — powiedziała Khouri.

— To nie test. To po prostu… — Volyova machnęła dłonią — … wybacz, nie ma o co pytać.

— W jaki sposób jestem podporządkowana? Mam twierdzić, że widzę duchy?

— Nie widzieć. Słyszeć.

Teraz za czarnymi ścianami sunącego pokoju było widać światło. Ściany, oczywiście ze szkła, do tej chwili były otoczone przez nieoświetlony metal szybu, w którym znajdowało się to pomieszczenie. Teraz jednak iluminacja docierała z końca szybu. Pozostałą część podróży odbyły w milczeniu. Pokój poruszał się w stronę światła, wreszcie chłodna niebieska poświata zalała pomieszczenie ze wszystkich stron. Wtedy wypchnęło się ono poza kadłub.

Khouri podniosła się z fotela i z drżeniem podeszła do szkła. Szkło

było hiperdiamentem i nie istniało niebezpieczeństwo, że się potłucze lub że Khouri się potknie i wyleci przez nie na zewnątrz. Ściany sprawiały jednak wrażenie śmiesznie kruchych i cienkich, a ludzki umysł mógł niewiele rzeczy przyjąć na wiarę. Patrząc na boki, zobaczyłaby wyraźnie nogi pająka — osiem sztuk — przytrzymujące pokój na zewnętrznej stronie kadłuba statku. Wówczas by zrozumiała, dlaczego Volyova nazywała to pomieszczenie pajęczym pokojem.

— Nie wiem, co lub kto to zbudował — powiedziała Volyova. — Podejrzewam, że pokój został zainstalowany, gdy konstruowano statek, albo gdy miał zmienić właściciela, zakładając, że kogoś w ogóle byłoby stać na kupno. To pomieszczenie miało być wyszukaną sztuczką, robiącą wrażenie na potencjalnych klientach, i stąd ten luksus.

— Ktoś zrobił to w celach marketingowych?

— Coś w tym rodzaju. Przy założeniu, że w ogóle ktoś potrzebowałby znaleźć się na zewnątrz takiego statku. Gdy statek przyśpiesza, każda gondola obserwacyjna wysłana na zewnątrz również musi mieć podobny ciąg, bo zostałaby z tyłu. Nie ma problemu, jeśli ta gondola to tylko urządzenie fotografujące, ale jeśli na pokładzie są ludzie, wszystko znacznie się komplikuje. Ktoś musiałby umieć tym sterować, a przynajmniej wiedzieć, jak zaprogramować autopilota, by wykonywał to, co należy. Pajęczy pokój nie powoduje tych trudności, bo fizycznie jest przyczepiony do kadłuba. Jest dziecinnie łatwy do prowadzenia — można je porównać do pełzania na ośmiu nogach.

— A co się dzieje, gdy…

— Traci chwyt? To się nigdy nie stało… a nawet gdyby… pokój ma rozmaite magnetyczne i kadłubowe uchwyty, które może zastosować, a gdyby i to zawiodło — a zapewniam cię, że to się nie stanie — pokój może wykorzystywać swój niezależny napęd, by dogonić statek. A gdy i to zawiedzie… — Volyova przerwała na chwilę — …wówczas chciałabym pomówić ze swoim bóstwem opiekuńczym.

Volyova jeździła pokojem najwyżej na kilkaset metrów od punktu wyjścia na kadłubie, ale możliwe było okrążenie całego statku. Nie było to jednak zbyt rozsądne, gdyż przy szybkościach relatywistycznch statek przechodził przez zamieć promieniowania, normalnie ekranowanego przez izolację kadłuba. Natomiast cienkie ściany pajęczego pokoju zatrzymywały tylko małą część strumienia i wycieczka na zewnątrz stawała się dziwną i ryzykowną atrakcją.

Pajęczy pokój, niezaznaczony na głównych projektach, stanowił jej mały sekret i, o ile wiedziała Volyova, żaden z pozostałych członków załogi nie wiedział o jego istnieniu. W idealnym świecie nadal trzymałaby to w tajemnicy, ale problemy z centralą zmusiły ją

do uchylenia rąbka tajemnicy. Statek się psuł i choć sieć kontrolna Sajakiego sięgała wszędzie, to jednak nie obejmowała pajęczego pokoju, który stał się jednym z niewielu miejsc, gdzie Volyova miała zapewnioną całkowitą prywatność rozmów z rekrutami, gdy chciała omówić coś, czym wolała się nie dzielić z pozostałymi Triumwirami. Musiała odsłonić sekret Nagornemu, by szczerze rozmawiać z nim o Złodzieju Słońca; przez miesiące, gdy stan Nagomego się pogarszał, żałowała swej decyzji, cały czas się bojąc, że Nagomy wygada się przed Sajakim. To były zbyteczne obawy. Pod koniec Nagomy był tak zaabsorbowany własnymi koszmarami, że nie wnikał w subtelności statkowych rozgrywek. W końcu zabrał tajemnicę do grobu i na razie Volyova mogła spać spokojnie, pewna, że tajemnica się nie wyda. Może to, co teraz robiła, było błędem, którego potem będzie żałowała — przysięgła sobie przecież, że nigdy już nie naruszy tajemnicy pokoju — ale jak zwykle bieżące okoliczności zmusiły ją do modyfikacji wcześniejszej decyzji. Musiała coś omówić z Khouri. Duchy stanowiły tylko pretekst — Khouri nie powinna domyślić się głębszych motywów Volyovej.

— Nie widzę jeszcze żadnych duchów — stwierdziła rekrutka.

— Wkrótce je zobaczysz, a raczej usłyszysz — odparła Volyova.

Triumwir zachowuje się dziwnie, pomyślała Khouri. Parę razy Volyova zaznaczyła, że pokój jest jej prywatną samotnią na pokładzie statku i że Sajaki, Hegazi i pozostałe dwie kobiety nie mają pojęcia o jego istnieniu. Osobliwe było to, że Volyova odsłoniła Khouri tajemnicę pokoju na tak wczesnym etapie ich wzajemnej współpracy. Volyova to obsesyjna samotnica, nawet tu, wśród załogi militarnych chimeryków, i nie jest kimś, kto w naturalny sposób żywi zaufanie do innych, myślała Khouri. Volyova czyniła w stosunku do niej przyjacielskie kroki, ale w jej wysiłkach Khouri wyczuwała jakąś sztuczność, brak spontaniczności, jakby Volyova wszystko z góry zaplanowała. Gdy zaczynała serdeczną rozmowę na banalne tematy, przekazywała plotki z pokładu, żartowała, Khouri zawsze miała wrażenie, że Volyova spędziła całe godziny na teatralnych próbach, by wyglądało to na improwizację. Khouri znała takich ludzi w wojsku: na pierwszy rzut oka szczerzy zwykle okazywali się obcymi szpiegami albo fagasami wyższego dowództwa, zbierającymi materiały wywiadowcze. Volyova bardzo się starała, by lekko traktować sprawę pajęczego pokoju, ale dla Khouri było jasne, że nie o duchy tu chodzi. Przyszły jej do głowy myśli niepokojące. Może Volyova zaprowadziła ją do pajęczego pokoju i nigdy już jej stąd nie wypuści… przynajmniej żywej?

Ale tak się nie stało.

— Ach, zamierzałam cię zapytać, czy słyszałaś już kiedyś określenie Złodziej Słońca?

— Nie — odparła Khouri. — A powinnam?

— Nie ma powodu, byś słyszała. Tak tylko zapytałam. Zbyt dużo trzeba by tu wyjaśniać, więc się tym nie przejmuj.

Była równie przekonująca jak wróżbita z Mierzwy.

— Nie mam zamiaru się przejmować — rzekła Khouri. — Ale dlaczego powiedziałaś „już”?

Volyova zaklęła w duchu. Czyżbym się zdradziła? Chyba nie. Zadała pytanie jak najbardziej beztrosko, a zachowanie Khouri wskazywało, że potraktowała je jako zdawkowe… a jednak… to zdecydowanie nie jest odpowiedni czas na popełnianie błędów.

— Powiedziałam tak? — rzekła. Miata nadzieję, że nadała swemu głosowi odpowiedni stopień zdziwienia zmieszanego z obojętnością. — Tak mi się wyrwało. Widzisz tę słabą gwiazdę, tę czerwoną? — Volyova szybko zmieniła temat.

Teraz, gdy ich wzrok przystosował się do otaczającego wysokiego poziomu przestrzeni miedzygwiazdowej i nawet niebieskie promieniowanie gazów wydechowych silnika nie przesłaniało widoku, dostrzegały gwiazdy.

— To słońce Yellowstone?

— Tak, Epsilon Eridani. Jesteśmy trzy tygodnie od układu. Niedługo z trudem odnajdziesz je na niebie. Teraz nie lecimy z prędkością relatywistyczną. Zaledwie kilka procent prędkości światła, ale cały czas przyśpieszamy. Wkrótce widzialne gwiazdy poruszą się, konstelacje będą warpowały, aż wszystkie gwiazdy na niebie zgromadzą się z przodu i za nami. Tak jakbyśmy sunęli tunelem, a światło zalewało nas z obu końców. Gwiazdy zmienią barwę. Końcowy kolor zależy od typu spektralnego danej gwiazdy, od tego, ile energii emituje o różnych energiach, w tym podczerwieni i ultrafioletu. Ale światło gwiazd z przodu będzie przesuwać się ku niebieskiemu, a tych z tyłu ku czerwieni.

— Na pewno to bardzo piękne — odparła Khouri, psując nieco nastrój. — Ale nie jestem pewna, jak się mają do tego duchy.

Volyova uśmiechnęła się.

— Prawie o nich zapomniałam. Szkoda by było.

Potem powiedziała coś do bransolety, wokalizując cicho, więc Khouri nie słyszała, o co prosi statek.

Głosy potępionych wypełniły pokój.

— Duchy — oznajmiła Volyova.

Sylveste, bezcielesny, unosił się w powietrzu nad zakopanym miastem.

Wokół niego wyrosły mury, z gęsto wyrytym tekstem odpowiadającym dziesięciu tysiącom drukowanych tomów amarantińskiego pisma. Choć znaki miały najwyżej milimetr wysokości, a Sylveste unosił się setki metrów od ściany, wystarczyło,

że skoncentrował wzrok na fragmencie napisu, a wszystkie słowa widział zupełnie wyraźnie. W tym samym czasie równoległe algorytmy tłumaczyły tekst na język zbliżony do canasiańskiego, a szybkie półintuicyjne procesy myślowe Sylveste'a robiły to samo. Najczęściej otrzymywał wynik w znacznym stopniu zgodny z tym, co dostarczały programy, choć czasami ich rezultatom brakowało istotnej, związanej z kontekstem subtelności.

Tymczasem w swej kwaterze w Cuvier Sylveste robił szybkie, ogólne notatki, zapisywał całe stronice notatnika. Obecnie wolał pióro i papier od nowoczesnych urządzeń cyfrowych, którymi potem jego wrogowie mogliby zbyt łatwo manipulować. Gdyby jego notatki wyrwano, co najwyżej byłyby na zawsze stracone, a nie wróciły do niego i straszyły go zmienione tak, by służyć czyjejś ideologii.

Skończył tłumaczenie jednego z fragmentów i doszedł do zawiniętego glifu, oznaczającego koniec frazy. Odsunął się od zawrotnej tekstowej ściany.

Włożył bibułę do notatnika i zamknął go. Na wyczucie wsunął notatnik w stelaż i wysunął inny, stojący obok. Otworzył go w miejscu zaznaczonym bibułą, potem przebiegał palcami w dół po stronie, dopóki wyczuwał szorstkość zaschniętego atramentu. Umieścił zeszyt idealnie równolegle z biurkiem i postawił pióro na początku pierwszej czystej linii.

— Za ciężko pracujesz — powiedziała Pascale.

Weszła bezszelestnie do pokoju. Teraz musiał ją sobie zwizualizować: stała albo tuż obok niego, albo usiadła.

— Chyba już do czegoś dochodzę — odparł Sylveste.

— Nadal głowisz się nad tymi starymi napisami?

— Ktoś się musi poddać — albo ja, albo one. — Odwrócił swój bezcielesny punkt od ściany, ku centrum zamkniętego miasta. — Jednak nie sądziłem, że to aż tyle potrwa.

— Ja też nie.

Wiedział, co miała na myśli. Osiemnaście miesięcy temu Girardieau pokazał mu zakopane miasto; rok temu ich ślub został zakwestionowany i zatrzymany do czasu, aż Sylveste zrobi istotne postępy w tłumaczeniu. Właśnie teraz to nastąpiło — i to go przeraziło. Żadnych więcej wybiegów… i Pascale wiedziała o tym równie dobrze jak on.

Dlaczego to był tak poważny problem? Czy tylko dlatego, że on tak go zaklasyfikował?

— Znów się chmurzysz — rzekła Pascale. — Masz problemy z tymi napisami?

— Nie — odparł Sylveste. — Już nie.

To prawda. Teraz z naturalną łatwością składał dwumodalne strumienie tekstów Amarantinów w całość, jak kartograf studiujący

obraz stereograficzny.

— Spójrz na mnie.

Usłyszał, jak Pascale idzie przez pokój i poleca biurku, by otworzyło równoległy kanał dla jej sensorium. Konsola — w zasadzie cały dostęp Sylveste'a do cyfrowego modelu miasta — nadeszła wkrótce po jego pierwszej wizycie w mieście. To nie Girardieau wpadł na ten pomysł, lecz Pascale. Sukces „Zejścia w ciemność" — ostatnio opublikowanej biografii — oraz bliski ślub spowodowały, że Pascale miała teraz większy wpływ na swego ojca i Sylveste nie oponował, gdy zaproponowała mu — dosłownie — klucze do miasta.

Teraz cała kolonia mówiła o ślubie. Większość plotek, które docierały do Sylveste'a, utrzymywała, że małżeństwo ma wyłącznie polityczne motywy; że Sylveste adorował Pascale tylko po to, by ponownie dostać się w kręgi władzy; że — cynicznie oceniając — ślub to tylko środek do celu, a tym celem jest kolonialna wyprawa na Cerbera-Hadesa. Może przez bardzo krótką chwilę Sylveste sam tak myślał, zastanawiał się, czy jego podświadomość nie wygenerowała miłości do Pascale, mając na względzie bardziej dalekosiężne ambicje. Może było w tym ziarnko prawdy. Jednak w obecnym stanie ducha nie mógłby tego potwierdzić. Na pewno czuł się tak, jakby ją kochał — co, o ile mógł powiedzieć, oznaczało, że ją kocha — ale nie był ślepy na korzyści, jakie to małżeństwo ze sobą niosło. Teraz znów publikował — własne skromne artykuły oparte na tłumaczeniach małych fragmentów tekstu Amarantinów; współautorstwo z Pascale; sam Girardieau uznał, że wspomagał prace. Piętnaście lat temu Sylveste byłby tym przerażony, ale obecnie nie potrafił z siebie wykrzesać zbyt wielkiego niesmaku. Najważniejsze, że odkrycie miasta stanowiło krok naprzód ku zrozumieniu Wydarzenia.

— Jestem tu — powiedziała Pascale, teraz głośniej, choć była równie bezcielesna jak Sylveste. — Czy mamy ten sam punkt widzenia?

— Co dostrzegasz?

— Iglicę. Świątynię… nie wiem, jak to nazwać.

— Tak jest.

Świątynia znajdowała się w środku geometrycznym miasta w skali jeden do czterech, mającego kształt górnej jednej trzeciej jajka. Najwyżej położona część przybierała kształt iglicy, która sięgała i zwężała się ku dachowi komory zawierającej miasto. Budynki wokół świątyni przypominały gniazda ptaków tkaczy — może stanowiły przejaw jakiegoś ukrytego imperatywu ewolucji? — stłoczone jak grupa zdeformowanych pątników przed wielką centralną iglicą, która skrętami wyrastała ze świątyni.

— Coś cię w tym niepokoi?

Zazdrościł jej. Pascale kilkanaście razy odwiedziła rzeczywiste

miasto. Osobiście wspięła się nawet na iglicę wąskim, spiralnym korytarzem wijącym się na sam szczyt.

— Postać na iglicy? Nie pasuje.

W porównaniu z resztą miasta wyglądała jak mała, delikatnie rzeźbiona figurka, ale miała kilkanaście metrów wysokości i dorównywała egipskim rzeźbom ze Świątyni Królów. Pogrzebane miasto zbudowano mniej więcej w skali jeden do czterech — tak można by oszacować, porównując z innymi wykopaliskami. Pełnych rozmiarów rzeźba z iglicy miałaby przynajmniej czterdzieści metrów wysokości. Ale gdyby miasto kiedykolwiek istniało na powierzchni, miałoby wiele szczęścia, jeżeli by przetrwało burze ogniowe Wydarzenia, nie mówiąc o dziewięciuset dziewięćdziesięciu tysiącach lat działań atmosferycznych, zlodowaceń, uderzeń meteorytów i ruchów tektonicznych, które potem nastąpiły.

— Nie pasuje?

— Nie jest amarantińska… przynajmniej żadnego obiektu tego typu nie widziałem.

— A więc to jakieś bóstwo?

— Może. Ale nie rozumiem, dlaczego przydano mu skrzydła.

— I to rodzi wątpliwości?

— Spójrz na mury miejskie, jeśli mi nie wierzysz.

Lepiej mnie tam zaprowadź.

Bliźniacze punkty widzenia odleciały po krzywej od iglicy i szaleńczo opadły w dół.

Volyova obserwowała, jakie wrażenie wywarły głosy na Khouri, pewna, że na jej pancerzu tupetu pojawi się rysa zwątpienia, podejrzenie, że może to są rzeczywiście duchy i że Volyova znalazła sposób na dostrojenie się do ich fantomowych emanacji.

Duchy zawodziły, przeciągle i nisko, wydawały tak głębokie odgłosy, że raczej się je czuło niż słyszało. Rzekłbyś: powiał najdzikszy nocny zimowy wiatr albo odgłos wiatru przeleciał przez dwa tysiące kilometrów pieczary. Ale oczywiście było to nienaturalne zjawisko: to nie był zamieniony w dźwięk wiatr cząsteczek opływających statek, to nie fluktuacje delikatnie zrównoważonych reakcji w silnikach. W tych upiornych wyciach były dusze, głosy wołające przez noc. Nie dało się z nich wyłuskać żadnego słowa, ale jęki te posiadały rozpoznawalną strukturę ludzkiego języka.

— Co o tym myślisz? — spytała Volyova.

— To głosy, prawda? Ludzkie głosy. Ale wydają się tak… zmęczone, smutne. — Khouri przysłuchiwała się uważnie. — Mam wrażenie, że czasami rozpoznaję pojedyncze słowa.

— Oczywiście wiesz, co to jest. — Volyova zmniejszyła głośność, aż jęki duchów stały się stłumionym boleściwym chórem. — To załogi statków. Jak ty czy ja. Rozmawiają ze sobą przez próżnię.

— W takim razie dlaczego… — Khouri zawahała się. — Aaa, teraz rozumiem. Poruszają się szybciej od nas, prawda? Znacznie szybciej. Głosy brzmią jak w zwolnionym tempie, bo takie są, dosłownie. Zegary idą wolniej na statkach lecących z prędkością bliską prędkości światła.

Volyova skinęła głową, nieco smutna, że Khouri tak szybko wszystko pojęła.

— Wydłużenie czasu. Oczywiście niektóre z tych statków lecą w naszą stronę, więc dopplerowskie przesunięcie ku niebieskiemu zmniejsza efekt, ale wydłużenie zwykle ma przewagę. — Wzruszyła ramionami, widząc, że Khouri nie jest jeszcze gotowa na traktat o subtelnościach relatywistycznej łączności. — Normalnie „Nieskończoność" to wszystko oczywiście koryguje, usuwa zakłócenia dopplerowskie i wydłużeniowe i wynik tłumaczy na coś zrozumiałego.

— Zademonstruj mi.

— Nie warto — odparła Volyova. — Wynik jest zawsze taki sam: banały, rozmowy na tematy techniczne, stare przechwałki handlarzy To po ciekawej stronie spektrum. A po nudnej słyszysz idiotyczne plotki albo miazmaty uszkodzonych mózgów zepchniętych w mrok; przeważnie jednak powitania dwóch statków mijających się w mroku — wymieniają uprzejmości. Nie ma prawie żadnej interakcji, bo odległość między statkami rzadko wynosi mniej niż parę miesięcy świetlnych. A i tak głosy te to w połowie przypadków wcześniej nagrane wiadomości, bo załogi są w chłodniowym śnie.

— Innymi słowy ludzkie gadanie o niczym.

— Tak. Zabieramy je ze sobą wszędzie, gdzie się udajemy.

Volyova wygodniej oparła się w fotelu. Poleciła systemowi dźwiękowemu, by głośniej pompował te smętne, rozciągnięte w czasie dźwięki. Dzięki temu sygnałowi ludzkiej obecności gwiazdy miały się wydawać mniej oddalone i zimne, ale efekt był akurat odwrotny — tak jak opowieści o duchach przy ognisku powodują, że poza zasięgiem płomieni ciemność się pogłębia. Przez chwilę — którą się rozkoszowała i nieważne, co z tego zrozumiała Khouri — można było uwierzyć, że przestrzeń międzygwiezdną, oddzieloną od nich szkłem, nawiedzają duchy.

— Coś zauważyłaś? — spytał Sylveste.

Mur składał się z granitowych bloków w kształcie szewronów, przerwanych w pięciu miejscach bramami, zwieńczonymi rzeźbami amarantińskich głów w nie całkiem realistycznym stylu, przywołującym wspomnienie sztuki Jukatanu. Wokół zewnętrznej ściany biegł ornament z płytek ceramicznych, ukazujący amarantińskich oficjeli w czasie skomplikowanych czynności społecznych.

Pascale, nim odpowiedziała, przebiegła wzrokiem po postaciach

na ornamencie.

Ukazano je z narzędziami rolniczymi, bardzo podobnymi do tych, jakich używali ludzie na przestrzeni dziejów, lub z bronią — dzidami, lukami i muszkietami — choć postacie nie przyjmowały pozy bitewnej, a raczej sformalizowaną i sztywną, jak na egipskich rzeźbach. Byli tam też amarantińscy lekarze i kamieniarze oraz astronomowie — jak potwierdziły ostatnie wykopaliska, wynaleźli teleskopy zwierciadlane i refraktory — kartografowie, producenci wyrobów szklanych, latawców oraz artyści, a nad każdą z tych symbolicznych postaci widniał dwumodalny łańcuch znaków ze złota i kobaltowego błękitu, określający stada wykonujące prace, którymi zajmowali się reprezentanci przedstawionych zawodów.

— Żadne z nich nie ma skrzydeł — stwierdziła Pascale.

— Właśnie. Skrzydła przekształciły się w ramiona — powiedział Sylveste.

— Dlaczego mamy nie akceptować boga ze skrzydłami? Ludzie nigdy nie mieli skrzydeł, a jednak wyposażyliśmy w nie anioły. Istoty, kiedyś rzeczywiście obdarzone skrzydłami, miałyby jeszcze mniej oporów.

— Tak, ale zapominasz o micie stworzenia.

Dopiero w ostatnim roku archeolodzy zrozumieli podstawowy mit, wyłuskany z kilkunastu późniejszych, zawiłych wersji. Głosił, że Amarantini dzielili niebo z innymi ptakokształtnymi istotami, które ciągle żyły na Resurgamie podczas ich panowania. Ale stada z tamtego okresu były ostatnimi obdarzonymi wolnością latania. Z bogiem zwanym Stwórcą Ptaków zawarły umowę, zamieniając sztukę latania na dar rozumu. Tego dnia wzniosły skrzydła ku niebu i patrzyły, jak ogień zmienia je w popiół, na zawsze wykluczając ich z przestworzy. Żeby pamiętali o umowie, Stwórca Ptaków dał im bezużyteczne, zakończone pazurami kikuty — przypominały o utraconych skrzydłach oraz mogły służyć do spisania dziejów. Ogień zapłonął również w ich umysłach, ale był to nie dający się ugasić ogień istnienia. Miał się zawsze palić — jak powiedział im Stwórca Ptaków — o ile nie spróbują sprzeciwić się woli Stwórcy, wracając znów w przestworza, bo gdyby to zrobili, Stwórca miał im odebrać dusze podarowane w Dniu Płonących Skrzydeł.

Sylveste wiedział, że to zrozumiała próba kultury, by wznieść sobie lustro. Najważniejsze było to, że mit całkowicie przeniknął ich kulturę i w efekcie stał się jedyną religią, która zamieniła wszystkie inne i niewyobrażalnie długo przetrwała w różnych wersjach. Niewątpliwie ukształtował ich sposób myślenia i zachowanie, być może w sposób zbyt skomplikowany, by je analizować.

— Rozumiem — rzekła Pascale. — Jako gatunek nie umieli sobie poradzić z tym, że nie potrafią latać, więc stworzyli tę opowieść, by

wyrazić wyższość nad ptakami, które posiadały umiejętność latania.

— Właśnie. A ponieważ ta wiara działała, odniosła nieoczekiwany skutek uboczny: zniechęciła ich do podjęcia prób latania. Podobnie jak mit o Ikarusie, z tym że wywarła większy wpływ na zbiorową duszę.

— Ale jeśli tak, to postać na iglicy…

— Jest wielkim oddaniem honoru bogowi, w którego wierzyli.

— Dlaczego mieliby to robić? — spytała Pascale. — Religie znikają, ich miejsce zajmują nowe. Nie chce mi się wierzyć, że wybudowali to miasto i wszystko, co w nim jest, tylko po to, by ubliżyć staremu bogu.

— Ja też w to nie wierzę. Żalem to chyba coś zupełnie innego.

— Na przykład co?

— Wprowadził się nowy bóg. Ten ze skrzydłami.

Volyova doszła do wniosku, że nadszedł czas, by pokazać Khouri swój profesjonalny sprzęt.

— Trzymaj się — powiedziała, gdy winda zbliżyła się do kazamaty. — Ludzie na ogół tego nie lubią, gdy przeżywają to po raz pierwszy.

— Boże! — Khouri instynktownie przywarła do tylnej ściany, gdy widok nagle gwałtownie się rozszerzył. Winda stała się robaczkiem pełznącym w przepastnej przestrzeni. — Jest chyba za duży, by się zmieścić w środku!

— Och, to nic takiego. Mamy tu cztery inne komory równie wielkie. W komorze dwa trenujemy operatorów do pracy na planecie. Dwie komory są puste lub z połową atmosfery. Czwarta zawiera promy i pojazdy wewnątrzukładowe. Tylko ta jedna jest przeznaczona na kazamatę.

— Czyli to wszystko?

— Tak.

W komorze znajdowało się czterdzieści sztuk broni i każda była inna. Jednak w ich ogólnej konstrukcji ujawniało się pewne pokrewieństwo. Każda z maszyn miała obudowę ze stopu barwy zielonkawobrązowej. Każde urządzenie, sądząc po rozmiarach, mogłoby być samodzielnym statkiem kosmicznym, ale inne cechy nie wskazywały na taką ich funkcję. Brakowało okien czy drzwi, oznaczeń i układów łączności. Kadłuby niektórych były upstrzone czymś, co przypominało silniki korekcyjne, ale ich zadaniem było asystowanie w przemieszczeniu i ustawianiu urządzeń, tak jak kanonierka jest po to, by przemieszczać i ustawiać swe wielkie działa.

Oczywiście tym właśnie była kazamata.

— Klasy piekielnej — powiedziała Volyova. — Tak nazwali je ich konstruktorzy. Oczywiście cofamy się tu o kilka wieków.

Volyova obserwowała, jak jej rekrut ocenia olbrzymią broń kazamatową. Karabin, zawieszony pionowo tak, że jego długa oś

pokrywała się z wektorem ciągu statku, przypominał ceremonialny miecz zwisający z sufitu barona-rycerza. Jak wszystkie rodzaje broni, otoczony był przez rusztowania, które zostały dodane przez jednego z poprzedników Volyovej. Do rusztowań doczepiono rozmaite układy sterowania, monitorowania i manewru. Każdą z broni podłączono do prowadnic — trójwymiarowego labiryntu bocznic i zwrotnic — które poniżej łączyły się w kazamacie, wchodząc do znacznie mniejszego pomieszczenia, mogącego jednak pomieścić pojedynczą sztukę. Stąd broń mogła być wysunięta poza kadłub i dalej wystrzelona w kosmos.

— Więc kto je zbudował? — spytała Khouri.

— Tego nie wiemy z całą pewnością. Prawdopodobnie Hybrydowcy w jednym ze swych bardziej ponurych wcieleń. Wiemy tylko, w jaki sposób to znaleźliśmy — byl schowany na asteroidzie, okrążał brązowego karła, tak ciemnego, że miał tylko numer katalogowy.

— Byłaś tam?

— Nie, wszystko to miało miejsce, nim ja się pojawiłam. Odziedziczyłam je po ostatnim stróżu, a on po swoim. Od tego czasu badam je. Udało mi się dostać do systemu sterowania trzydziestu jeden z nich i mam zgrubne pojecie o osiemdziesięciu procentach niezbędnych kodów aktywujących. Ale przetestowałam tylko siedemnaście broni, z tego tylko dwie w sytuacjach bojowych.

— To znaczy, że naprawdę ich użyłaś?

— Nieśpieszno mi było do tego.

Nie ma potrzeby obciążać Khouri szczegółami minionych okrucieństw, przynajmniej nie teraz, pomyślała Volyova. Z czasem Khouri pozna bronie kazamatowe równie dobrze jak ja, a nawet lepiej, gdyż zapozna się z nimi przez centralę, przez bezpośredni interfejs neuronowy.

— Co mogą zrobić?

— Niektóre z nich potrafią roztrzaskać planetę. Inne… nie chcę nawet spekulować. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby niektóre potrafiły zrobić coś nieprzyjemnego gwiazdom. Kto chciałby użyć takiej broni… — zawiesiła głos.

— Przeciwko komu ich użyłaś?

— Przeciw wrogom, oczywiście.

Khouri przyglądała się jej dłuższą chwilę.

— Nie wiem, czy należy być przerażonym, że takie rzeczy istnieją, czy… czuć ulgę, że to nasze palce są na spuście.

— Czuj ulgę — odparła Volyova. — Tak jest lepiej.

Sylveste i Pascale wrócili do iglicy, unosili się teraz przy niej. Skrzydlaty Amarantin wyglądał tak jak wówczas, gdy go zostawili, ale teraz spoglądał na miasto zadumany i z wyniosłym lekceważeniem. Kusząca była hipoteza, że nowy bóg rzeczywiście się wprowadził, bo

cóż innego mogło zainspirować stworzenie takiego pomnika, jeśli nie bojaźń przed nim? Jednak tekst na iglicy był szalenie trudny do odcyfrowania.

— Tu jest nawiązanie do Stwórcy Ptaków — powiedział Sylveste. — Są więc poważne szansę, że iglica ma związek z mitem o Płonących Skrzydłach, choć uskrzydlony bóg na pewno nie przedstawia Stwórcy Ptaków.

— Tak. Tu jest znak ognia, obok znaku skrzydeł — powiedziała Pascale.

— Co jeszcze widzisz?

Pascale koncentrowała się przez dłuższą chwilę.

— Jest tu wzmianka o stadzie renegatów.

— Renegaci? W jakim sensie? — Sprawdzał ją i ona o tym wiedziała, ale to ćwiczenie miało wartość, gdyż interpretacja Pascale mogła mu wskazać, na ile jego własna analiza jest subiektywna.

— Stado renegatów, którzy nie zgodzili się na układ ze Stwórcą Ptaków albo zbuntowali się po zawarciu układu.

— Też tak myślałem. Obawiałem się, że popełniłem parę błędów.

— Nie wiemy, kim byli, ale wiemy, że nazywano ich Wygnańcami. — Czytała napisy wielokrotnie, sprawdzając swoje przypuszczenia i modyfikując interpretację. — Wydaje się, że pierwotnie stanowili część stada, które przystało na warunki Stwórcy Ptaków, ale potem zmienili zdanie.

— Czy potrafisz odczytać imię ich przywódcy?

— Przewodził im osobnik zwany… — zaczęła. — Nie, nie mogę przetłumaczyć tego ciągu znaków, przynajmniej nie teraz. Ale co to wszystko znaczy? Sądzisz, że oni rzeczywiśccie istnieli?

— Być może. Gdybym miał wysunąć hipotezę, powiedziałbym, że to niewierni, którzy doszli do wniosku, że mit o Stwórcy Ptaków jest tylko… mitem. Oczywiście to nie zgadzało się z innymi stadami fundamentalistów.

— Dlatego zostali Wygnańcami?

— O ile w ogóle istnieli. Stale mi się jednak wydaje, że to rodzaj technologicznej sekty, enklawy uczonych. Amarantinów gotowych do eksperymentowania, do podważenia natury ich świata.

— Jak średniowieczni alchemicy?

— Tak. — Od razu spodobało mu się to porównanie. — Może nawet eksperymentowali z lataniem, jak Leonardo. Z punktu widzenia kultury Amarantinów byłoby to jak plucie bogu w oko.

— Zgoda. Ale zakładając, że rzeczywiście istnieli, i zostali Wygnańcy, co się z nimi stało? Wymarli?

— Nie wiem. Jedno jest pewne, Wygnańcy są ważni, stanowią nie tylko drobny szczegół całej historii związanej z mitem Stwórcy Ptaków. Wszędzie się o nich wspomina na tej iglicy, wszędzie w tym

cholernym mieście, i to znacznie częściej niż o innych amarantińskich pozostałościach.

— Ale miasto pochodzi z późniejszego okresu — zauważyła Pascale. — Poza obeliskiem-markerem jest najmłodszym naszym znaleziskiem. Datowanym na okres tuż sprzed Wydarzenia. Dlaczego Wygnańcy nagle znowu się pojawili po tak długiej nieobecności?

— Może wrócili?

— Jak to? Po dziesiątkach tysięcy lat?

Sylveste uśmiechnął się w duchu.

— Jeśli wrócili po takim czasie, mogło to stanowić inspirację do postawienia statui.

— Sądzisz, że przedstawia ona ich przywódcę? Zwanego… — Pascale dźgnęła w odpowiedni znak. — To jest symbol słońca, prawda?

— A reszta?

— Nie jestem pewna. Wygląda jak glif oznaczający… kradzież. Ale jako to?

— Co dostaniemy, gdy je zestawimy?

Wyobraził sobie, jak wzrusza ramionami, niezdecydowana.

— Ten kto kradnie słońce? Złodziej Słońca? Co to znaczy?

Sylveste wzruszył ramionami.

— Sam sobie zadawałem to pytanie przez cały ranek. To i jeszcze jedno.

— Jakie?

— Dlaczego mam wrażenie, że już gdzieś słyszałem to imię?

Po obejrzeniu kazamaty we trójkę pojechały inną windą głębiej do wnętrza statku.

— Dobrze się spisujesz — stwierdziła Mademoiselle. — Volyova naprawdę sądzi, że przekabaciła cię na swoją stronę.

Cicho brała udział w ich wycieczce i tylko od czasu do czasu wtrącała uwagi lub słowa zachęty jedynie do uszu Khouri, dla której było to bardzo niepokojące. Khouri nigdy nie mogła uwolnić się od wrażenia, że Volyova również słyszała te suflerskie odżywki.

— Może ma rację ~ odparła Khouri, automatycznie formułując w myślach swą odpowiedź. — Może jest silniejsza od ciebie.

Mademoiselle fuknęła.

— Czy w ogóle słuchałaś, co do ciebie mówiłam?

— A miałam inny wybór?

Wyłączenie Mademoiselle, zamierzającej coś powiedzieć, było jak próba uciszenia natrętnej piosenki błądzącej gdzieś w głowie. Nie było od niej ucieczki.

— Słuchaj, jeśli moje środki przeciwdziałania zawiodą, twoja lojalność w stosunku do Volyovej zmusi cię, by powiedzieć jej o moim istnieniu.

— Miałam na to ochotę.

Mademoiselle spojrzała na nią koso i Khouri przebiegł dreszczyk satysfakcji. Mademoiselle — czy raczej jej ekstrahowana, implantowa persona — wydawała się wszechwiedząca. Implantowi, podczas konstrukcji, wbudowano wiedzę, ale uczył się tylko za pośrednictwem zmysłów Khouri. Może implant potrafił podłączyć się do sieci danych, nawet gdy sama Khouri nie była podłączona? Mało prawdopodobne, gdyż wiązało się z tym ryzyko, że implant zostanie wykryty przez te systemy. Odczytywał myśli Khouri, gdy się z nim komunikowała, jednak stan jej umysłu umiał odcyfrować tylko na podstawie najbardziej powierzchownych parametrów biochemicznych w otoczeniu neuronów, wśród których się unosił. Należało zatem wątpić w skuteczność dostępnych mu środków przeciwdziałania.

— Volyova by cię zabiła. Zabiła swego ostatniego rekruta, gdybyś tego jeszcze nie wiedziała.

— Może miała uzasadnione powody.

— Nic nie wiesz ani o niej, ani o pozostałych członkach załogi. Ja też nie. Jeszcze nawet nie spotkałyśmy kapitana.

Racja. W obecności Khouri Sajaki i inni niedyskretni załoganci wspomnieli kilkakrotnie kapitana Brannigana, ale w zasadzie niewiele mówili o swym dowódcy. Oczywiście nie byli Ultrasami w zwykłym sensie, choć skrupulatnie zachowywali pozory, których nawet Mademoiselle nie mogła przejrzeć. Fikcja była tak całkowita, że udawało im się poruszać w świecie handlu jak wszystkim innym statkom Ultrasów.

Co się kryło za tą fasadą?

Zbrojmistrz, tak powiedziała Volyova. A teraz Khouri zobaczyła częściowo bronie kazamatowe wewnątrz statku. Krążyły pogłoski, że wiele statków handlowych dysponuje dyskretnym uzbrojeniem, by rozwiązywać najcięższe konflikty między klientami a dostawcami lub podejmować akty otwartego piractwa przeciw innym statkom. Jednak tutejsze środki wyglądały zbyt potężnie jak na broń do zwykłych potyczek wszak statek miał dodatkowy system konwencjonalnego uzbrojenia. Po co więc ta kazamata? Sajaki ma chyba jakieś długofalowe plany, pomyślała Khouri, co jest dość niepokojące. Bardziej jednak niepokojąca jest myśl, że w ogóle nie istnieje żaden plan, a Sajaki wiezie tę całą kazamatę, aż znajdzie pretekst, by jej użyć. Jak rzezimieszek z naganem szukający zaczepki.

Przez parę tygodni Khouri rozważała rozmaite teorie, ale nie doszła do sensownego wniosku. Oczywiście to nie militarny charakter statku tak ją niepokoił. Przywykła do wojen, które tworzyły jej naturalne środowisko, i choć przyznawała, że istnieją inne dobrotliwe stany, to w wojnie nie widziała nic odrażającego. Jednak bitwy, jakie znała ze Skraju Nieba, nie dało się nawet porównać z konfliktami, w

których jedna ze stron mogła użyć broni. Choć Skraj Nieba funkcjonował w sieci handlu międzygwiezdnego, to przeciętny techniczny poziom wojowników w bitwach rozgrywanych na powierzchni planety zostawał wieki z tyłu za Ultrasami, parkującymi niekiedy swoje statki na orbicie. Broń z zasobów Ultrasów dałaby decydującą przewagę temu, kto by ją posiadał, ale taka broń należała do rzadkości, niektóre sztuki były zbyt cenne. Nawet ładunków jądrowych użyto tylko kilka razy w historii kolonii, nigdy za życia Khouri. Widziała rzeczy nikczemne — nadal pojawiały się w jej koszmarach — ale nigdy nie widziała narzędzi ludobójstwa.

A broń kazamatowa Volyovej to coś znacznie gorszego.

I być może już jej parę razy użyto. Volyova użyła sformułowania „akcje pirackie". Istniało wiele słabo zaludnionych układów, luźno powiązanych z sieciami handlowymi. Tam można by zlikwidować wroga i nikt by się o tym nigdy nie dowiedział. A niewykluczone, że niektórzy z tych wrogów byli równie niemoralni, jak członkowie załogi Sajakiego, i mieli na swym koncie akty brutalności. Tak, część kazamaty mogła już być testowana. Khouri podejrzewała jednak, że zastosowano środki adekwatne do sytuacji, w samoobronie lub w ataku taktycznym przeciwko wrogom posiadającym zasoby, jakich potrzebowali. Najcięższe z broni kazamatowych nie zostały przetestowane. Jakie mieli plany w stosunku do kazamaty, jak zamierzali zrzucić niszczycielską, kosmiczną siłę? Może nawet Sajaki tego nie wiedział. I być może nie do Sajakiego należała największa władza. Może Sajaki w pewnym sensie nadal służył kapitanowi Branniganowi?

I kimże jest ten tajemniczy Brannigan?

— Witaj w centrali — powiedziała Volyova.

Przybyły mniej więcej do centrum statku. Volyova otworzyła luk w suficie, wysunęła teleskopową drabinę i skinęła na Khouri, by ta wspięła się po szczeblach o ostrych krawędziach.

Głowa Khouri wychynęła w sferycznym pomieszczeniu pełnym zakrzywionych, połączonych maszyn. Pośrodku tej niebieskawosrebrnej aureoli stał czarny, zakapturzony fotel o prostych liniach, w plątaninie kabli, podłączony do rozmaitych urządzeń. Fotel tkwił w kilku eleganckich żyroskopowych przegubach i mógł się poruszać niezależnie od statku. Kable biegły do przesuwalnych silników, przekazujących moc do każdej z koncentrycznych powłok, a potem końcowy, gruby jak udo zwój pogrążał się w oblepionej urządzeniami sferycznej ścianie. Pomieszczenie cuchnęło ozonem.

Sprzęt w centrali pochodził sprzed przynajmniej paruset lat, a wiele urządzeń było znacznie starszych. Jednak wszystko starannie konserwowano.

— Dla tego to wszystko konstruowano? — Khouri wyszła przez

klapę do środka pomieszczenia i prześlizgując się między zakrzywionymi szkieletalnymi powłokami, dotarła do fotela, masywnego, ale kuszącego obietnicą komfortu i bezpieczeństwa. Nie mogła mu się oprzeć: usiadła, a niezgrabny czarny miękki masyw objął ją z warkotem serwomechanizmów.

— Jak się czujesz?

— Jakbym tu już kiedyś była — stwierdziła ze zdziwioniem Khouri. Głos miała zniekształcony przez wielki czarny hełm z ćwiekami instrumentów, który wślizgnął się na jej głowę.

— Bo byłaś — odparła Volyova. — Nim na dobre odzyskałaś świadomość. Ponadto implant centrali w twojej głowie już jest obyty z tym środowiskiem, stąd częściowe wrażenie czegoś znanego.

To prawda. Khouri czuła się tak, jakby krzesło było znajomym meblem, jakby znała każdą jego zmarszczkę i rysę. Czuła się silna, zrelaksowana i spokojna, a potrzeba działania, użycia mocy, w którą wyposażyło ją krzesło, narastała z sekundy na sekundę.

— Czy z tego miejsca mogę sterować bronią z kazamty?

— Taka jest intencja — powiedziała Volyova. — Oczywiście nie tylko z kazamaty. Będziesz kierowała wszystkimi głównymi systemami uzbrojenia na Nieskończoności, z taką biegłością, jakby te instrumenty stanowiły przedłużenie twojego ciała. Gdy jesteś całkowicie wchłonięta przez centralę, takie masz wrażenie… obraz twego ciała puchnie i wypełnia cały statek.

Khouri już zaczynała odczuwać coś podobnego; odniosła wrażenie, że jej ciało roztapia się w krześle. Przeżywała męki Tantala i nie pragnęła, by wrażenie wchłaniania trwało nadal. Zupełnie świadomie wyzwoliła się z wysiłkiem z fotela, a obejmujące jej udo panele z cichym furkotem odsunęły się, by ją wypuścić.

— Nie jestem pewna, czy mi się to podoba — powiedziała Mademoiselle.

SIEDEM

W drodze do Delty Pawia, 2546

Nie zapominając, że jest na pokładzie statku (zawsze ten nieco nieregularny rytm indukowanej grawitacji spowodowany drobnymi nierównomiernościami strumienia ciągu, które z kolei odzwierciedlało tajemnicze kwantowe zaburzenia we wnętrzu napędu Hybrydowców) Volyova wkroczyła w zielony azyl polanki i zawahała się na szczycie rustykalnych schodów, które leniwie schodziły w trawę. Jeśli nawet Sajaki zdawał sobie sprawę z jej obecności, postanowił tego nie okazać; klęczał przy sękatym pniu, który był ich nieformalnym miejscem spotkania. Niewątpliwie jednak wyczuł ją. Volyova wiedziała, że Sajaki odwiedził Żonglerów Wzorców w wodnym świecie Wintersea, towarzysząc kapitanowi Branniganowi dawno temu, gdy był on w stanie opuścić statek. Nie wiedziała, jaki był cel ich podróży, ale pogłoski mówiły, że Żonglerzy Wzorców majstrowali w jego korze nowej, ryjąc wzorce neuralne, które wywoływały niezwykłe wyczucie przestrzenne: umiejętność myślenia w czterech lub pięciu wymiarach. Wzorce należały do najrzadszej transformaty Żonglerów — takiej, która pozostawała.

Volyova niespiesznie zeszła ze schodów; na ostatnim stopniu celowo zgrzytnęła butem. Sajaki odwrócił się i spojrzał na nią bez zdziwienia.

— Coś się stało? — spytał, widząc wyraz jej twarzy.

— Chodzi o stawlennika — odparła, przechodząc nagle na rosyjski. — Czyli protegowaną.

— Mów — powiedział Sajaki z nieobecnym wyrazem twarzy. Nosił popielate kimono, na kolanach miał ciemnooliwkowe plamy od trawy. Shakuhachi spoczywało na gładkiej jak lustro, wypolerowanej powierzchni pnia. Komuso i Volyova byli teraz, w odległości dwóch miesięcy od Yellowstone, jedynymi załogantami, którzy jeszcze nie weszli w sen chłodniczy.

— Jest teraz jedną z nas — powiedziała Volyova, klękając obok Sajakiego. — Jądro indoktrynacji jest kompletne.

— Cieszy mnie ta wiadomość.

Po drugiej stronie polanki zaskrzeczała ara i zleciała z żerdzi w zawiei jaskrawych barw.

— Możemy ją przedstawić kapitanowi Branniganowi.

— Teraz jest na to najlepszy czas — odparł Sajaki, wygładzając zmarszczki kimona. — A może się rozmyśliłaś?

— Co do spotkania z kapitanem? — Volyova gdaknęła nerwowo. — W żadnym wypadku.

— Czyli chodzi o coś głębszego.

— Co takiego?

— No, Ilia, wyrzuć z siebie, co ci leży na wątrobie.

— Chodzi o Khouri. Nie chcę ryzyka, nie chcę, by doświadczyła takich samych ataków psychozy jak Nagorny. — Zamilkła, mając nadzieję, że otrzyma od Sajakiego jakąś odpowiedź. Za jedyną miała szum wodospadu, a twarz kolegi była pozbawiona wyrazu. — Chodzi mi o to… — zacinała się — …że straciłam pewność, czy na tym etapie Khouri jest odpowiednim obiektem.

— Na tym etepie? — spytał tak cicho, że musiała czytać mu z ust.

— Żeby iść do centrali natychmiast po Nagornym. To niebezpieczne i sądzę, że Khouri jest zbyt cenna, by ryzykować. — Przełknęła, nabrała tchu, przygotowując się do najtrudniejszego. — Uważam, że potrzebny nam inny rekrut. Ktoś mniej utalentowany. Z rekrutem-pośrednikiem mogę wygładzić resztę zmarszczek, nim ruszę dalej z Khouri jako głównym kandydatem.

Sajaki podniósł shakuhachi i starannie je obejrzał. Na końcu bambusowego kija widniała niewielka zadra, może pozostałość po ciosie, który zadał Khouri. Wygładził zadrę kciukiem, po czym przemówił ze spokojem gorszym od najgwałtowniejszego wybuchu złości.

— Sugerujesz, żebyśmy poszukali nowego rekruta?

W jego ustach zabrzmiało to tak, jakby propozycję Volyovej uważał za najbardziej absurdalną, jaką kiedykolwiek słyszał.

— Tylko przejściowo — odparła, świadoma, że mówi zbyt szybko. Nie podobało jej się to, że nagle z taką uległością odnosi się do tego człowieka. — Do czasu, aż wszystko się ustabilizuje. Wtedy będziemy mogli wykorzystać Khouri.

Sajaki skinął głową.

— To brzmi rozsądnie. Bóg wie, czemu wcześniej o tym nie pomyśleliśmy, ale przypuszczam, że mieliśmy na głowie coś innego. — Odłożył shakuhachi, choć jego ręka nie odsunęła się zbyt daleko od wydrążonego kija. — Ale nic się na to nie poradzi. Teraz musimy znaleźć innego rekruta. Nie powinno to być zbyt trudne, prawda? Rekrutując Khouri, prawie wcale się nie wysilaliśmy. Zważywszy, że jesteśmy dwa miesiące w przestrzeni międzygwiezdnej i naszym następnym portem jest prawie nieznana placówka. Ale nie przewiduję żadnych poważniejszych problemów ze znalezieniem innego kandydata. Spodziewam się, że będziemy oganiać się przed tłumami chętnych.

— Zachowaj rozsądek — powiedziała.

— A czy ja nie zachowuję rozsądku, Triumwirze?

Przed chwilą się bała, teraz była wściekła.

— Nie jesteś tą samą osobą, Yuuji-san. Zmieniłeś się po…

— Po czym?

— Po waszej wizycie u Żonglerów. Yuuji, co tam się stało? Co tamci obcy zrobili z twoją głową?

Spojrzał na nią dziwnie, jakby pytanie było niezwykle ważkie, ale on nigdy go sobie nie zadał. Niechybnie to był z jego strony podstęp. Sajaki szybko machnął shakahachi. Volyova zobaczyła tylko w powietrzu plamę tekowej barwy. Z boku dosięgło ją uderzenie niezbyt mocne, gdyż Sajaki najprawdopodobniej wyhamował w ostatnim momencie, wystarczyło jednak, by posłać Volyovą na trawę. W pierwszej chwili nie odczuła bólu ani szoku po ataku Sajakiego, tylko szczypiący chłód wilgotnej trawy, ocierającej się o jej nos.

Swobodnie obszedł pień.

— Zawsze zadajesz za dużo pytań — powiedział, po czym wyciągnął coś z kimona. Najprawdopodobniej strzykawkę. Przesmyk Nekhebet, Resurgam, 2566

Sylveste sięgnął z obawą do kieszeni; szukał fiolki, spodziewając się, że jej tam nie będzie.

Wyczuł ją dotykiem. Mały cud.

Nisko w dole dygnitarze szli do miasta Amarantinów, powoli sunęli w stronę świątyni w sercu miasta. Do Sylveste'a docierały urywki rozmów, bardzo wyraźne, choć zbyt krótkie, by mógł rozpoznać słowa. On sam stał setki metrów wyżej, na zamontowanym przez ludzi pomoście, przymocowanym do czarnej ściany miejskiej kopuły w kształcie jaja.

To był dzień jego ślubu.

Wiele razy widział świątynię w symulacjach, ale tak dawno temu odwiedził realną budowlę, że zapomniał, jak jest ogromna i przytłaczająca. Symulacje zawsze miały pewną niedoskonałość: nawet w tych bardzo dokładnych uczestnik stale był świadom, że nie przebywa w rzeczywistym świecie. Sylveste stał pod dachem iglicy i spoglądał w górę, gdzie setki metrów nad jego głową krzyżowały się zakrzywione kamienne łuki. Nie czuł ani zawrotów głowy, ani strachu, że wiekowa konstrukcja zawali się na niego właśnie w tym momencie. Teraz jednak, gdy po raz drugi osobiście gościł w zakopanym mieście, miał przykre wrażenie, że jest mały. Otaczająca go kula, nieprzyjemnie wielka, stanowiła przynajmnej wytwór uznanej dojrzałej techniki — nawet jeśli Potopowcy odnosili się do tej kultury z lekceważeniem. Miasto znajdujące się wewnątrz wyglądało natomiast jak wytwór rozpalonej głowy jakiegoś piętnastowiecznego malarza-fantasty, w znacznej mierze z powodu bajecznej skrzydlatej postaci ustawionej na szczycie świątynnej iglicy. I gdy się temu coraz uważniej przyglądał, dochodził do wniosku, że ta rzeźba powstała dla

uczczenia powrotu Wygnańców.

Dzięki takim luźnym myślom nie zaprzątał sobie głowy zbliżającą się ceremonią.

Nabierał pewności — wbrew początkowemu wrażeniu — że skrzydlata postać to istotnie Amarantin, a dokładniej hybryda Amarantin-Anioł, stworzona przez artystę o głębokiej naukowej wiedzy na temat tego, co oznacza posiadanie skrzydeł. Gdy Sylveste patrzył na nią z wyłączonym zoomem, statua — co szokujące — miała formę krzyża. Powiększona, okazywała się sylwetką Amarantina ze wspaniale rozpostartymi skrzydłami. Skrzydła pokryto metalami o różnych barwach, a każde piórko iskrzyło się nieco odmiennym odcieniem. Podobnie jak w wizerunkach aniołów, tworzonych przez ludzi, skrzydła nie zastępowały ramion, lecz stanowiły trzecią samodzielną parę kończyn.

W sztuce ludzkości Sylveste nigdy nie widział tak realistycznego przedstawienia anioła. To absurd, lecz rzeźba wydawała się anatomicznie poprawna. Artysta nie tylko wmontował skrzydła w podstawową sylwetkę Amarantina, ale również subtelnie przebudował jego cechy fizyczne. Przednie, służące do manipulacji, odnóża zostały nieco przesunięte w dół i dla kompensacji przedłużone. Klatka piersiowa była znacznie rozszerzona, zdominowana na karku przez barki, przypominające szkieletowo-mięśniowe chomąto. Z nich wyrastało trójkątne skrzydło wyglądające jak latawiec. Szyja anioła była dłuższa niż normalnie, a głowa bardziej opływowa i w zarysie ptasia. Istota — jak u wszystkich Amarantinów nie posiadająca widzenia dwuocznego — oczy, skierowane do przodu, miała osadzone w głębokich wyżłobionych w czaszce kanałach. Górna część nozdrzy była rozszerzona, z kanalikami, by powietrze skuteczniej zaopatrywało płuca, czego wymagała praca skrzydłami. A jednak nie wszystko wyrzeźbiono prawidłowo. Zakładając, że ciało anioła w przybliżeniu miało taką samą masę co ciało normalnego Amarantina, skrzydła słabo nadawałyby się do latania. Czym więc były? Przerośniętą ozdobą? Czy Wygnańcy zaprzątaliby sobie głowę radykalną zmianą za pomocą bioinżynierii tylko po to, by się wyposażyć w śmieszne i niepraktyczne skrzydła?

A może mieli jakiś inny cel?

— Rozmyśliłeś się?

Sylveste został wyrwany z zadumy.

— Nadal uważasz, że to niezbyt dobry pomysł?

Stanął tyłem do balustrady, zabezpieczającej pomost od strony urwiska.

— Sądzę, że trochę za późno na formułowanie zastrzeżeń.

— W dniu ślubu? — Girardieau uśmiechnął się. — No, Dan, nie dotarłeś jeszcze do celu. Zawsze możesz się wycofać.

— A jak byś to przyjął?

— Prawdopodobnie bardzo źle.

Girardieau był ubrany w nakrochmalony strój wizytowy; policzki pokrył nieco różem — na użytek towarzyszącego roju dryfujących kamer. Ujął Sylveste'a za ramię i odprowadził od skraju urwiska.

— Dan, jak długo już się przyjaźnimy?

— Nie nazwałbym tego przyjaźnią, raczej wzajemnym pasożytnictwem.

— Daj spokój. — Girardieau miał wyraźnie rozczarowaną minę. — Czy przez te dwadzieścia lat ponad miarę uprzykrzałem ci życie? Sądzisz, że czerpałem przyjemność z tego, że cię zamknąłem?

— Powiedzmy, że traktowałeś to zadanie ze sporym entuzjazmem.

— Miałem na uwadze twój najlepszy interes. — Zeszli z balkonu w jeden z niskich tuneli, prowadzących w czarną skorupę otaczającą miasto. Ich kroki tłumiła wykładzina na dnie tunelu. — Ponadto panowała wówczas ogólna gorączka, to chyba oczywiste. Gdybym ja cię nie uwięził, tłum wyładowałby na tobie swój gniew.

Sylveste milczał. Teoretycznie wiele z tego, o czym mówił Girardieau, było prawdą, ale nie miał gwarancji, że w tamtym czasie jego przeciwnik kierował się takimi motywami.

— Polityczna sytuacja była wtedy znacznie prostsza. Nie mieliśmy kłopotów ze Słuszną Drogą. — Dotarli do szybu windy i weszli do wagonika o nowym, antyseptycznie czystym wnętrzu. Na ścianach wisiały grafiki z widokami Resurgamu przed i po transformacjach Potopowców. Jeden obrazek przedstawiał nawet Mantell. Płaskowyż, na którym znajdowała się placówka, tonął w zieleni, ze szczytu spływał wodospad, za nim błękitniało niebo z pasmami chmur. Na Cuvier kwitła wytwórczość obrazów i symulacji przedstawiających przyszły Resurgam, od akwareli po profesjonalne sensoria.

— A z drugiej strony — mówił Girardieau — z ukrycia wyłaniają się radykalni uczeni. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu zastrzelono przedstawiciela Słusznej Drogi i wierz mi, nie zrobił tego żaden z naszych agentów.

Sylveste wyczuł, że wagonik zjeżdża w dół, na poziom miasta.

— Co mówiesz?

— Mówię, że fanatycy są po obu stronach i w porównaniu z nimi wyglądamy umiarkowanie. Przygnębiające, co?

— Prześcignięci w radykalizmie na obu frontach.

— Właśnie.

Wyłonili się przez czarne ryte ściany miejskiej skorupy, wśród tłumku ludzi z mediów, czyniących ostatnie przygotowania do transmisji. Reporterzy mieli na oczach brązowe okulary do pływających kamer, ustawiali kamery, które unosiły się w powietrzu

jak balony na nudnym przyjęciu. Obok nich dziobał ziemię jeden ze zmienionych genetycznie pawi z syczącym ogonem. Naprzód wystąpili dwaj oficerowie z bezpieki, ubrani na czarno, ze złotymi odznakami na ramionach, otoczeni stadkiem umiarkowanie wojowniczych entoptyków. Z tyłu tłoczyły się serwitory. Dokonały pełnospektralnego skanowania Sylveste'a i Girardieau dla potwierdzenia ich tożsamości, po czym skierowały ich do małej tymczasowej przybudówki obok przypominających gniazda siedzib Amarantinów.

We wnętrzu prawie pozbawionym sprzętów stał tylko stół i dwa prymitywne krzesła, na stole butelka czerwonego wina z Amerikano, obok dwa kielichy z matowego szkła, z rżniętym widoczkiem.

— Usiądź — powiedział Girardieau. Zamaszystym ruchem wziął kielichy i nalał do obu trochę wina. — Nie rozumiem, dlaczego się tak denerwujesz. Przecież to nie pierwszy raz.

— Czwarty.

— Wszystkie w obrządku Stonerów?

Sylveste skinął głową. Przypomniał sobie pierwsze dwie ceremonie: na niewielką skalę, z kobietami Stonerów z drugiej ligi. Ich twarzy prawie już nie pamiętał. Zmarniały w ostrym świetle zainteresowania, jakie przyciągała rodzina. Natomiast małżeństwo z Alicją — ostatnie — od początku było kreowane na wielkie wydarzenie medialne. Skupiło uwagę na planowanej wkrótce ekspedycji na Resurgam, dając temu przedsięwzięciu ostatni niezbędny impuls. Fakt, że para młoda była w sobie zakochana, prawie nie miał znaczenia — taki sobie szczęśliwy dodatek do zawartego układu.

— Masz teraz w głowie spory bagaż — stwierdził Girardieau. — Nie chciałbyś za każdym razem pozbyć się przeszłości?

— Ten typ ceremonii wydaje ci się niezwykły?

— Trochę. — Girardieau starł z warg czerwony ślad wina. No, wiesz, nigdy nie należałem do kultury Stonerów.

— Przybyłeś razem z nami z Yellowstone.

— Tak, ale się tam nie urodziłem. Moja rodzina pochodzi z Grand Teton. Dotarłem na Yellowstone siedem lat przed tym, jak ruszyła wyprawa na Resurgam. Nie miałem dość czasu na przyswojenie sobie kulturalnej tradycji Stonerów. Ale moja córka… Pascale zna tylko społeczeństwo Stonerów. Przynajmniej jego importowaną tu wersję. — Ściszy) głos. — Masz chyba ze sobą fiolkę. Mógłbym zobaczyć?

— Trudno mi odmówić.

Sylveste wyjął z kieszeni szklany walec, który nosił przy sobie przez cały dzień. Podał go Girardieau; ten nerwowo przekręcił go w palcach, obserwując wewnątrz banieczki, przemieszczające się jak w poziomnicy. Jakaś ciemniejsza, włóknista, mackowata substancja

pływała w płynie.

Gdy Girardieau stawiał fiolkę na stole, lekko zadzwoniła. Obserwował ją z ledwo maskowanym przerażeniem.

— Czy to było bolesne?

— Oczywiście, że nie. Nie jesteśmy sadystami. — Sylveste uśmiechnął się, w głębi duszy zadowolony, że Girardieau poczuł niesmak. — Wolałbyś wymianę wielbłądów?

— Schowaj to.

Sylveste wsunął fiolkę do kieszeni.

— Powiedz mi teraz, Nils, kto tu jest zdenerwowany.

Girardieau dolał sobie wina.

— Wybacz. Bezpieka jest strasznie nerwowa. Nie wiem, co ich tak niepokoi, ale jakoś mi się to udziela.

— Niczego nie zauważyłem.

— Nie potrafiłbyś. — Girardieau wzruszył ramionami, ale przypominało to jakby ruch miechów i zaczynało się poniżej żołądka. — Twierdzą, że wszystko jest normalne, ale po dwudziestu latach doświadczenia potrafię lepiej ich rozszyfrować, niż sądzą.

— Nie ma się co martwić. Twoja policja jest bardzo skuteczna.

Girardieau pokręcił głową i miał przy tym minę jakby właśnie ugryzł niezwykle kwaśną cytrynę.

— Przypuszczam, Dan, że atmosfera między nami nigdy się nie wyklaruje. Mógłbyś przynajmniej wątpliwości rozstrzygać na moją korzyść. — Skinął w stronę drzwi. — Dałem ci przecież całkowity dostęp do tego miejsca.

Owszem. I dziesiątki pytań zostały zastąpione tysiącem innych, to był jedyny rezultat, pomyślał Sylveste.

— Nils… jak obecnie przedstawiają się zasoby kolonii?

— W jakim sensie?

— Wiem, że wiele się zmieniło od wizyty statku Remillioda. Coś, co za moich czasów byłoby nie do pomyślenia, teraz jest wykonalne, jeśli istnieje wola polityczna.

— Na przykład co? — spytał z powątpiewaniem Girardieau.

Sylveste znów sięgnął do kieszeni i wydobył kartkę, którą rozłożył przed Girardieau. Na kartce były narysowane skomplikowane owalne figury.

— Rozpoznajesz te znaki? Znaleźliśmy je na obelisku oraz w różnych punktach w całym mieście. To wykonane przez Amarantinów mapy układu słonecznego.

— Rzeczywiście, od kiedy zobaczyłem to miasto, jakoś łatwiej mi w tę teorię uwierzyć.

— Dobrze, więc słuchaj. — Sylveste przesunął palcem po największym okręgu. — To orbita gwiazdy neutronowej Hades.

— Hades?

— Nadali jej takie imię, gdy po raz pierwszy zaobserwowali ten układ. Wokół niej krąży kawał skały wielkości planetarnego księżyca. Nazwali go Cerberem. — Przejechał palcem po skupisku hieroglifów przy podwójnym układzie gwiazda neutronowa — planeta. — W jakimś sensie to było ważne dla Amarantinów. Sądzę, że mogło mieć związek z Wydarzeniem.

Girardieau teatralnym gestem ukrył twarz w dłoniach.

— Mówisz poważnie? — Spojrzał na Sylveste'a.

— Tak. — Ostrożnie, nie spuszczając wzroku z oczu Girardieau, złożył kartkę i schował ją do kieszeni. — Musimy to zbadać i przekonać się, co zabiło Amarantinów. Nim zabije również nas.

Do kwatery Khouri przyszli Sajaki i Volyova. Kazali jej włożyć coś ciepłego. Zauważyła, że oboje mieli na sobie solidniejsze niż zwykle ubrania — Volyova zasuwaną kurtkę lotniczą, a Sajaki ocieplacz z wysokim kołnierzem, obramowany futrem, stebnowany we wzór w nowodiamentowe romby.

— Nie spisałam się? — spytała Khouri. — Mam dostać wycisk w śluzie. Moje wyniki na symulatorze bojowym nie były zbyt dobre. Chcecie się mnie pozbyć.

— Nie mów głupstw — odparł Sajaki. Z kołnierza kurtki ponad futrem wystawały tylko czoło i nos. — Gdybyśmy cię mieli zabić, nic by nas nie obchodziło, czy zmarzniesz, czy nie.

— Ponadto twoja indoktrynacja skończyła się kilka tygodni temu — powiedziała Volyova. — Jesteś teraz dla nas cenna. Zabić cię to jak sprzeniewierzyć się samym sobie.

Kaptur Volyovej odsłaniał tylko jej brodę i usta, które uzupełniały braki w obliczu Sajakiego — razem prezentowali pełną twarz.

— Miło mi, że wam na mnie zależy.

Mimo wszystko mogli planować coś wrednego — Khouri nadal nie była pewna swego położenia. Przekopała się przez swoje osobiste rzeczy i wydobyła kurtkę ocieplającą, wyprodukowaną przez statek, podobnie jak kraciaste okrycie Sajakiego, z tym że okrycie Khouri sięgało jej prawie do kolan.

Jechali windą do niezbadanej części statku — przynajmniej Khouri uważała to za terytorium nieznane. Kilka razy musieli zmieniać windy i przechodzić tunelami, gdyż — jak powiedziała Volyova — wirus zniszczył spore odcinki systemu komunikacyjnego. Poszczególne obszary przejściowe różniły się nieco wystrojem i poziomem technicznym. Khouri doszła do wniosku, że przez ostatnie kilkaset lat w różnych okresach zapominano o całych rejonach statku. Nadal zdenerwowana, zerkała na Volyovą i Sajakiego i zorientowała się, że prowadzą ją raczej na ceremonię inicjacyjną, a nie na egzekucję z zimną krwią. Przypominali jej dzieci, planujące jakąś złośliwą psotę; tak przynajmniej sugerowało zachowanie Volyovej, natomiast Sajaki

przypominał autorytarnego funkcjonariusza, wypełniającego ponure zadanie służbowe.

— Ponieważ jesteś teraz częścią naszego zespołu, powinnaś dowiedzieć się więcej o sytuacji — oznajmił. — Może zechciałabyś również poznać cel naszej wyprawy na Resurgam.

— Sądziłam, że to podróż handlowa.

— To przykrywka. Musimy przyznać, że niezbyt przekonująca. Resurgam nie ma rozwiniętej gospodarki. To kolonia istniejąca po to, by prowadzić badania naukowe. Nie ma tam również surowców, którymi mogliby nam płacić. Oczywiście, z natury rzeczy mamy na jej temat przestarzałe dane, a gdy tam dotrzemy, zahandlujemy, czym się da, to jednak nie jest zasadniczy powód wyprawy.

— A więc jaki jest powód?

Winda zwalniała.

— Czy nazwisko Sylveste coś ci mówi? — spytał Sajaki.

Khouri usilnie starała się zareagować normalnie, jakby pytanie traktowała zupełnie zwyczajnie, jakby nie wybuchło pod jej czaszką płomieniem magnezji.

— Oczywiście. Każdy na Yellowstone zna Sylveste'a. Facet był dla nich jak bóg. A może diabeł. — Miała nadzieję, że jej odpowiedź zabrzmiała neutralnie. — Zaraz, zaraz, którego Sylveste'a masz na myśli? Starszego, który spartolił ten eksperyment z nieśmiertelnością, czy jego syna?

— Technicznie rzecz biorąc, obu — odparł Sajaki.

Winda zadudniła i stanęła. Gdy drzwi się otworzyły, Khouri miała wrażenie, że zimna ścierka uderzyła ją po twarzy. Teraz była wdzięczna za radę, by się ubrać ciepło, ale mimo to było jej śmiertelnie zimno.

— W zasadzie nie wszyscy z nich byli draniami — stwierdziła. — Loreana, ojca staruszka, traktowano jak bohatera ludowego, nawet po śmierci, a ten staruszek… jak on miał na imię?

— Calvin.

— Właśnie. Nawet gdy Calvin zabił tych wszystkich ludzi. Wtedy syn Calvina — na imię miał Dan — próbował zmodyfikować po swojemu te rzeczy Całunu. — Khouri wzruszyła ramionami. — Nie było mnie tam oczywiście, wiem tylko, co mi ludzie powiedzieli.

Sajaki poprowadził ich ponurym szarozielonym korytarzem. Olbrzymie, najprawdopodobniej zmutowane szczury-woźni uciekały przed nimi z chrobotem. Miejsce przypominało tchawicę człowieka chorego na cholerę: korytarze pokrywała gruba lepka warstwa brudnej lodowej skorupy, z zagrzebanymi mackowatymi żyłami przewodów i kabli zasilających, oślizła od jakiejś substancji przypominającej ludzką flegmę.

— Statkowy śluz — wyjaśniła Volyova — organiczna wydzielina

spowodowana złym działaniem systemu recyklingu na sąsiednim poziomie.

Dla Khouri najgorsze jednak było zimno.

— Udział Sylveste'a w całej sprawie jest dość złożony — rzekł Sajaki. — Wyjaśnienia zajmą trochę czasu. Najpierw jednak chcę, byś poznała kapitana.

Sylveste obszedł się naokoło, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Zadowolony, zgasił obraz i wrócił do Girardieau w dobudowanym pokoju. Muzyka grała crescendo, potem przeszła w gulgoczący refren. Oświetlenie się zmieniło, głosy opadły do szeptu.

Obaj wkroczyli w oślepiającą jasność, w basowe pole dźwiękowe grających organów. Kręta ścieżka, na tę okazję wyłożona dywanem, prowadziła do centralnej świątyni. Drzewa dzwoneczników rosły na poboczu, zakutane w ochronne kopuły czystego plastiku. Dzwonecznikowce były pająkowatymi, wieloczłonowymi rzeźbami, na końcach licznych ramion wisiały zakrzywione barwne zwierciadła. W przypadkowych chwilach drzewa klikały i rekonfigurowały się, napędzane przez mechanizm miiionletni ukryty w podstawie. Powszechnie sądzono, że drzewa są elementem układu semaforów, obejmującym całe miasto.

Weszli do świątyni. Dźwięk organów narastał. Kopuła w kształcie jaja zawierała wielkie witraże jak płatki kwiatów, cudownym sposobem nietknięte, mimo powolnego niszczycielskiego działania czasu i grawitacji. Przefiltrowane przez górne lampy powietrze w świątyni było przesycone kojącym różowym promieniowaniem. Centralną część olbrzymiego pomieszczenia zajmowały szerokie, rozprzestrzenione jak pień sekwoi fundamenty iglicy, która wyrastała ponad świątynię. Tymczasowe audytorium dla setki najwyższych dygnitarzy z Cuvier wychodziło wachlarzem od jednej strony kolumny i z łatwością mieściło się we wnętrzu, mimo jego skali jeden do czterech. Sylveste zeskanował widownię — rozpoznał około jednej trzeciej gości. Może jedna dziesiąta należała do jego sprzymierzeńców przed zamachem. Większość nosiła ciężkie stroje z przewagą futra. Wśród tych osób Sylveste dostrzegł Janeąuina o wyglądzie mędrca, z białą bródką i długimi siwymi włosami opadającymi z łysej czaszki, przez co rzeczywiście przypominał małpę. W sali latały jego ptaki, wypuszczone z kilkunastu bambusowych klatek. Sylveste musiał przyznać, że kopie były teraz bardzo dokładne, miały nawet krótkie grzebienie, a turkusowe upierzenie połyskiwało plamiście. Ptaki stworzono z kurcząt manipulacjami genów homeotycznych. Wiele osób na widowni widziało te cuda po raz pierwszy i powitało je oklaskami. Twarz Janeąuina przybrała barwę krwawego śniegu. Sprawiał wrażenie, że boi się zapaść w brokatowy płaszcz.

Girardieau i Sylveste dotarli do solidnego stołu w ognisku

widowni. Na tym starożytnym meblu z rzeźbionym orłem widniały łacińskie napisy, pochodzące z okresu kolonizacji Yellowstone przez osadników z Amerikano. Rogi stołu były odłupane. Na blacie ustawiono lakierowane pudełko z mahoniu, zamknięte delikatnymi złotymi klamerkami.

Za stołem stała kobieta o poważnym wyglądzie, ubrana w olśniewająco białą togę, zapiętą skomplikowaną podwójną broszą, łączącą rządową pieczęć Resurgam City — Potopowców z gmerkiem Mixmasterów; obiema dłońmi trzymała kocią kołyskę DNA. Sylveste wiedział, że nie jest prawdziwą Mixmasterką. Mixmasterzy należeli do ekskluzywnej stonerskiej gildii bioinżynierów i genetyków i żadna z ich świętości nie podróżowała na Resurgam. Natomiast ich symbol — który podróż odbył — zaświadczał o ogólnej fachowości danej osoby w biologii, technikach genetycznych, chirurgii i medycynie.

W bezbarwnym świetle poważna twarz kobiety wyglądała żółtawo. Zebrane w kok włosy były spięte dwiema strzykawkami.

Muzyka ucichła.

— Jestem ordynator Massinger. — Jej głos zadźwięczał w sali. — Mam upoważnienie rady ekspedycji Resurgamu, by łączyć małżeństwem tutejszych osadników, o ile nie występuje konflikt z zasadą genetycznego interesu kolonii.

Ordynator otworzyła mahoniowe pudełko. Tuż pod wieczkiem leżał oprawny w skórę obiekt wielkości biblii. Kobieta wyjęła go, umieściła na stole, rozwinęła — rozległo się skrzypienie skóry. Odsłonięta matowoszara powierzchnia, jak wilgotny łupek, połyskiwała mikroskopijną maszynerią.

— Panowie, niech każdy z was położy dłoń na najbliższej wam karcie.

Przyłożyli dłonie do powierzchni. Nastąpił fluoresencyjny błysk, gdy księga przyjmowała odciski dłoni, potem krótkie mrowienie, gdy wykonywała biopsję. Po zakończeniu procedur Massinger wzięła księgę i przyłożyła do niej własną dłoń.

Potem poprosiła Nilsa Girardieau, by przedstawił zebranym swą tożsamość. Sylveste zauważył uśmieszki wśród widzów. Girardieau nie okazał po sobie, że sytuację uważa za absurdalną.

Potem kobieta o to samo poprosiła Sylveste'a.

— Jestem Daniel Calvin Lorean Soutaine-Sylveste. — Pełnego nazwiska tak rzadko używał, że musiał wysilić pamięć, by je sobie w całości przypomnieć. — Jedyny biologiczny syn Rosalyn Soutaine i Calvina Sylveste'a, oboje z Chasm City na Yellowstone. Urodziłem się siedemnastego stycznia w sto dwudziestym pierwszym roku standardowym po ponownym zasiedleniu Yellowstone. Mój wiek kalendarzowy wynosi dwieście piętnaście lat. Dzięki programom medmaszyny mój wiek psychiczny wynosi sześćdziesiąt lat według

skali Sharvi.

— Jak się świadomie przejawiasz?

— Świadomie przejawiam się tylko w jednym wcieleniu, którego postać biologiczna teraz do was mówi.

— Potwierdzasz, że świadomie nie przejawiasz się jako symulacja poziomu alfa ani turingowskie simulacrum w tym ani w innym układzie słonecznym?

— Nic mi nie wiadomo o żadnym takim fakcie.

Massinger zrobiła pisakiem krótką notkę w księdze. Zadała Girardieau dokładnie takie same pytania — standardowy element ceremonii Stonerów. Od czasu Osiemdziesięciu Stonerzy byli bardzo podejrzliwi w stosunku do symulacji, zwłaszcza tych, które rzekomo zawierały istotę czy duszę jednostki. Nie odpowiadało im głównie to, że jeden z przejawów jedno — stki — biologiczny czy inny — mógłby zawrzeć umowy — chociażby małżeństwo — do których pozostałe przejawy nie byłyby zobowiązane.

— Dane są w porządku — oznajmiła Massinger. — Niech wystąpi panna młoda.

W różowe światło wkroczyła Pascale w towarzystwie dwóch kobiet w popielatych barbetach, ekipy dryfujących kamer i os ochrony osobistej i półprzeźroczystych entoptyków: nimf, serafinów, latających ryb i kolibrów, iskrzących się kropel rosy i motyli opadających kaskadą wokół jej sukni ślubnej. Stworzyli to najwykwintniejsi na Resurgamie kreatorzy entoptyków.

Girardieau wzniósł grube żylaste ręce i powiódł córkę naprzód.

— Wyglądasz pięknie — szepnął.

Sylveste zobaczył piękno w formie cyfrowej doskonałości. Wiedział, że Girardieau dostrzegał coś znacznie delikatniejszego, bardziej ludzkiego — to była różnica między szklaną rzeźbą łabędzia a samym łabędziem.

— Połóż dłoń na księdze — powiedziała ordynator.

Wilgotny ślad ręki Sylveste'a, nadal tam widoczny, okalał ciemnym konturem wyspę bladej dłoni Pascale. Ordynator poprosiła ją o zweryfikowanie własnej tożsamości. Zadanie Pascale było dość proste, ponieważ nie dość, że urodziła się na Resurgamie, to jeszcze nigdy tej planety nie opuszczała. Ordynator kopała głębiej w mahoniowym pudełku. Tymczasem Sylveste skierował wzrok na widownię. Dostrzegł, że Janeąuin jest bledszy niż zwykle, podenerwowany. Głęboko w pudełku, wypolerowne do antyseptycznej niebieskości, leżało urządzenie, z wyglądu skrzyżowanie muszkietu i strzykawki weterynaryjnej.

— Oto pistolet ślubny — oznajmiła ordynator, unosząc pudełko.

Mimo przeszywającego zimna Khouri wkrótce przestała zwracać na niego uwagę. Temperatura powietrza stała się dla niej

abstrakcyjnym parametrem. Opowieść dwojga załogantów brzmiała dla niej bardzo dziwnie.

Stali w pobliżu kapitana. Wiedziała już, że nazywa się on John Armstrong Brannigan. Był stary, niewyobrażalnie stary. Zależnie od przyjętego systemu mierzenia wieku miał od dwustu do pięciuset lat. Niejasne były szczegóły jego narodzin, zagubione beznadziejnie w półprawdach historii politycznej. Niektórzy twierdzili, że urodził się na Marsie, ale równie prawdopodobne były Ziemia, księżyc Ziemi ze stłoczonymi miastami czy któryś z kilkuset habitatów krążących w tamtych czasach w przestrzeni transksiężycowej.

— Miał już ponad sto lat, gdy opuścił układ słoneczny — powiedział Sajaki. — Odczekał, aż stanie się to możliwe, i znalazł się wśród pierwszego tysiąca podróżnych, gdy Hybrydowcy wystrzelili pierwszy statek z Fobosa.

— Wiemy przynajmnej, że na statku była osoba o nazwisku John Brannigan — wtrąciła Volyova.

— Nie, co do tego nie ma wątpliwości — stwierdził Sajaki. — Wiem, że to on. Potem… coraz trudniej było go namierzyć. Mógł rozmyślnie zamazywać swą przeszłość, by umknąć wytropienia ze strony wrogów, których z pewnością miał w tamtych czasach. Jest wiele świadectw, w różnych układach planetarnych, które dzieli odległość dziesiątków lat, jednak nic konkretnego.

— W jaki sposób stał się waszym kapitanem?

— Wieki później, po kilku lądowaniach w innych rejonach kosmosu i kilkunastu niepotwierdzonych pojawach, wyłonił się na skraju układu, w którym znajduje się Yellowstone. Starzał się powoli, dzięki efektowi relatywistycznemu podróży międzygwiezdnych, ale jednak się starzał, a techniki długowieczności nie były w tamtych czasach tak rozwinięte jak obecnie. — Sajaki zamilkł na chwilę. — Teraz znaczna część jego ciała to protezy. Mówiło się, że John Brannigan nie potrzebował skafandra przy wyjściu w kosmos, że oddychał próżnią, przebywał w nieznośnym żarze i zatykającym zimnie, że jego zmysły potrafią działać w dowolnym zakresie. Niewiele pozostało z pierwotnego mózgu Brannigana, a jego głowa to tylko gęsty splot układów cybernetycznych, gulasz maleńkich myślących maszyn i nieco cennej organicznej tkanki.

— I co z tego jest prawdą?

— Prawdopodobnie więcej, niż ludzie są gotowi przyjąć. Sporo jest też kłamstw, na przykład to, że odwiedził Żonglerów na Rozbryzgu wiele lat przedtem, nim zostali oni odkryci. Że obcy dokonali cudownych transformat tego, co pozostało z jego umysłu, albo że spotkał i komunikował się z przynajmniej dwoma gatunkami dotychczas nieznanymi reszcie ludzkości.

— W końcu spotkał Żonglerów. — Volyova zwróciła się do

Khouri. — Był z nim wtedy Triumwir Sajaki.

— To było znacznie później — przerwał jej Sajaki. — Dla nas najważniejsze są teraz jego związki z Calvinem.

— Jak się ze sobą zetknęli?

— W zasadzie nikt tego nie wie — odparła Volyova. — Jedno jest pewne, że został ranny albo w wypadku, albo podczas jakiejś nieudanej operacji militarnej. Jego życie nie było zagrożone, ale potrzebował natychmiastowej pomocy, a nie mógł się zwrócić do żadnej z oficjalnych grup w układzie Yellowstone. To byłoby samobójstwo. Przysporzył sobie zbyt wielu wrogów, by powierzać swe życie jakiejkolwiek organizacji. Potrzebował wolnych strzelców, którym mógłby osobiście ufać. Najwidoczniej Calvin do takich należał.

— Calvin nawiązał kontakt z Ultrasami?

— Tak, choć nigdy się do tego publicznie nie przyznał. — Volyova uśmiechnęła się i pod kryzą kaptura ukazał się zębiasty półksiężyc. — Wówczas Calvin byi młodym idealistą. Gdy dostarczono mu rannego, potraktował to jako dar niebios. Do tamtego czasu nie miał sposobów na zbadanie swych dziwacznych pomysłów — nagle dostał doskonały obiekt i jedynym warunkiem było utrzymanie wszystkiego w tajemnicy. Obaj przy tym zyskiwali: Calvin mógł wypróbować swe radykalne teorie na Branniganie, ten zaś został wyleczony i stawał się czymś więcej, niż był przed pracą Calvina. Można to nazwać symbiozą doskonałą.

— Zatem kapitan stał się świnką doświadczalną dla tego drania?

Sajaki wzruszył ramionami — przypominało to drgnienie kukiełki w pieluszkach.

— Brannigan traktował to inaczej. Z punktu widzenie ludzi już i tak przed wypadkiem był monstrum. A Calvin po prostu poszedł dalej w tym kierunku. Doprowadził rzecz do doskonałości, że tak powiem.

Volyova skinęła głową, choć — sądząc z wyrazu twarzy — nie czuła się swobodnie w obecności kolegi.

— W każdym razie działo się to przed Osiemdziesiątką. Imię Calvina nie było splamione. A wśród bardziej otwartych ekstremalnych grup świata Ultrasów transformacja Brannigana stanowiła tylko lekkie przekroczenie normy. — Volyova powiedziała to cierpko i z niesmakiem.

— 1 co dalej?

— Minął prawie wiek do następnego spotkania z klanem Sylveste'a — rzekł Sajaki. — Wtedy kapitan dowodził już tym statkiem.

— Co się wydarzyło?

— Znów został ranny. Tym razem poważnie. — Ostrożnie, jak ktoś próbujący sprawdzić temperaturę płomienia świecy, przesunął palcami po zewnętrznej wypustce narośli kapitana, która

przypominała pianę, jaką morska fala zostawia na skale w cofającym się przypływie. Sajaki delikatnie wytarł palce w kurtkę, ale Khouri była pewna, że nie są czyste, że swędzą i pod skórą pełznie coś zjadliwego.

— Niestety, Calvin umarł — powiedziała Volyova.

Tak, umarł podczas Osiemdziesiątki, w istocie jako ostatni stracił swą cielesnorealność.

— Jasne — powiedziała Khouri. — Ale umarł podczas procesu wskanowania jego mózgu do komputera. Czy nie moglibyście ukraść tego zapisu i przekonać go, by wam pomógł?

— Tak właśnie byśmy postąpili, gdyby to było możliwe. — Niski głos Sajakiego odbijał się echem w gardzieli korytarza. — Ale jego zapis, symulacja poziomu alfa, zniknął. I nie było duplikatu. Alfy są zabezpieczone przed kopiowaniem.

— Zatem byliście w gównie bez kapitana — powiedziała Khouri, z nadzieją, że przerwie grobową atmosferę tego wykładu.

— Niezupełnie — odparła Volyova. — Wszystko to wydarzyło się podczas dość interesującego okresu w historii Yellowstone. Daniel Sylveste właśnie wrócił od Całunników i nie umarł, nie zwariował. Jego towarzyszka miała mniej szczęścia, ale przez tę śmierć jego powrót zyskał tylko heroiczny posmak. Khouri, czy słyszałaś kiedyś o jego „trzydziestu dniach na puszczy” — spytała.

— Może kiedyś. Powiedz, o co chodzi?

— Wiek temu zniknął na miesiąc — wyjaśnił Sajaki. — W jednej chwili pieszczoszek społeczności Stonerów prawie przepadł. Mówiono, że wyszedł poza kopułę miasta, że wciśnięty w egzoskafander dokonuje ekspiacji za grzechy ojca. Szkoda, że to nieprawda. Brzmi tak wzruszająco. W rzeczy samej — Sajaki wskazał głową podłogę — był tu przez miesiąc. Wzięliśmy go.

— Porwaliście Dana Sylveste’a? — Co za tupet! Khouri omal się nie roześmiała. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że ma zabić tego człowieka, i rozbawienie natychmiast wyparowało.

— Wolałbym określenie „zaprosiliśmy na pokład” — oznajmił Sajaki. — Choć przyznaję, że w tej sprawie nie miał wielkiego wyboru.

— Powiedzmy wprost: porwaliście syna Cala — rzekła Khouri. — I co chcieliście przez to zyskać?

— Przed swoim skanowaniem Calvin przedsięwziął parę środków ostrożności — wyjaśnił Sajaki. — Pierwszy był dość prosty, choć musiał być zainicjowany kilkadziesiąt lat przed kulminacyjnym wydarzeniem. Mówiąc najprościej, od pewnego momentu Calvin kazał monitorować i nagrywać każdą sekundę swego życia. Spacery, spanie, wszystko. Przez lata maszyny nauczyły się emulować wzorce jego zachowań. W konkretnej sytuacji potrafią z zadziwiającą dokładnością

przewidzieć jego reakcje.

— Symulacja poziomu beta.

— Tak, ale o całe rzędy wielkości bardziej złożona od stworzonych wcześniej.

— Zgodnie z niektórymi definicjami to już świadomość, Calvin już transmigrował. Może by w to nie uwierzył, ale ciągle doskonali tę symulację. Możesz wyświetlić obraz Calvina tak realny, jakby to był rzeczywisty człowiek, i masz silne wrażenie, że jesteś w jego obecności. Ale Calvin uczynił następny krok. Dysponował innym sposobem zabezpieczenia.

— Mianowicie?

— Klonowanie. — Sajaki uśmiechnął się i ledwo zauważalnie skinął na Volyovą.

— Sklonował się — powiedziała. — Użył nielegalnych czarnorynkowych technik genetycznych, korzystając z usług któregoś ze swych nieformalnych klientów. Niektórzy z nich to Ultrasi — inaczej niczego byśmy się nie dowiedzieli. Na Yellowstone klonowanie było zakazane. Młode kolonie na ogół wprowadzają taki zakaz w imię genetycznej różnorodności. Ale Calvin przechytrzył władze i był bogatszy od tych, którym musiał dać łapówkę. Dzięki temu przedstawił swój klon jako swego syna.

— Dan. — Khouri wymówiła jedną sylabę, która wycięła zawijas w zmrożonym powietrzu. — Dan jest klonem Calvina?

— Dan o tym nie wie — odparła Volyova. — Calvin na pewno nigdy nie chciał, by Dan się o tym dowiedział. Sylveste wie o całym oszustwie tyle co reszta ludzi. Sądzi, że jest oddzielnym człowiekiem.

— Nie wie, że jest klonem?

— Nie, i ciągle maleją szansę, że się kiedykolwiek dowie. Poza sojusznikami Ultrasami Calvina prawie nikt o tym nie wie, a Calvin sporo zrobił, by uciszyć tych, którzy wiedzieli. Niewątpliwie istniały słabe ogniwa. Calvin był przecież zmuszony zatrudnić jednego z najlepszych genetyków z Yellowstone i Sylveste wziął tego człowieka do ekspedycji na Resurgam, nie zdając sobie sprawy z bliskości, jaka ich obu łączy. Wątpię jednak, czy dowiedział się prawdy, czy się czegoś domyśla.

— Ale za każdym razem, gdy patrzy w lustro…

— Widzi siebie, nie Calvina — dokończyła Volyova z uśmiechem, wyraźnie zadowolona, że te rewelacje podważyły pewniki wyznawane przez Khouri. — Był jego klonem, ale to nie oznacza, że musiał przypominać Cala w każdym calu. Ten genetyk Janequin wprowadził różnice kosmetyczne między wyglądem Calvina i Dana, tak by ludzie dostrzegali jedynie rodzinne podobieństwa. Oczywiście dodał również cechy rzekomej matki Dana, Rosalyn Soutaine.

— Reszta była prosta — powiedział Sajaki. — Cal wychował

chłopca w starannie dobranym środowisku, imitującym to, które znał ze swego dzieciństwa. Zadbał nawet o takie same stymulacje w rozmaitych okresach rozwoju chłopca. Nie był przecież pewien, które cechy jego osobowości są naturalne, a które nabyte.

— Dobrze, załóżmy, że to wszystko prawda — rzekła Khouri. — Jaki to miałoby sens? Cal musiał wiedzieć, że Dan przejdzie odmienną ścieżką rozwoju, mimo próby bardzo szczegółowego regulowania jego życia. A wpływ czynników w okresie płodowym? — Khouri pokręciła głową. — To szaleństwo. W najlepszym razie mógł uzyskać zgrubne przybliżenie swej osoby.

— I niczego więcej się nie spodziewał — stwierdził Sajaki. — Cal sklonował się z ostrożności. Wiedział, że proces skanowania, któremu poddał się wraz z członkami Osiemdziesiątki, zniszczy materialne ciała, chciał więc mieć ciało, do którego mógłby powrócić, jeśli nie spodoba mu się życie w maszynie.

— I powrócił?

— Może. Ale to nie ma znaczenia. W dobie Osiemdziesięciu niedostępna była technika operacji retransferu. Nie musiał się śpieszyć. Zawsze mógł na pewien czas ułożyć klon do snu w chłodni, albo zreklonować nową osobę z komórek chłopca. Planował z dużym wyprzedzeniem.

— Zakładając, że retransfer kiedykolwiek stanie się możliwy.

— Calvin wiedział, że warto spróbować. Najważniejsze, że miał drugą, zapasową wersję, poza retransferem.

— Mianowicie?

— Symulację poziomu beta. — Głos Sajakiego rozbrzmiewał teraz wolno, zimno i lodowato, jak powiew w komorze kapitana. — Choć formalnie niezdolne do świadomości, były jednak bardzo dokładną kopią Calvina. Względna prostota oznaczała, że łatwiej będzie zakodować jej zasady w organicznym mózgu Dana. Znacznie łatwiej niż wdrukować coś tak zmiennego jak alfa.

— Wiem, że zniknął pierwotny zapis, czyli alfa — stwierdziła Khouri. — Przestał istnieć Calvin, który miałby poprowadzić przedstawienie. I przypuszczam, że Dan zaczął działać bardziej niezależnie, niż sobie życzył Calvin.

Triumwir skinął głową.

— Osiemdziesięciu zapoczątkowało upadek Instytutu Sylveste'a. Wkrótce Dan wyrwał się z okowów, bardziej zainteresowany zagadką Całunu niż cybernetyczną nieśmiertelnością. Posiadał cały czas symulację beta, ale nigdy nie zdawał sobie sprawy z jej znaczenia. Traktował ją wyłącznie jako dziedzictwo. — Sajaki uśmiechnął się. — Zniszczyłby ją, gdyby wiedział, co ona reprezentuje, a to by oznaczało jego własną zagładę.

Zrozumiałe, pomyślała Khouri. Symulacja poziomu beta była jak

diabeł w butelce, czekający na zasiedlenie ciała nowego gospodarza. Nie była w zasadzie świadoma, ale potencjalnie niebezpieczna dzięki subtelnej pomysłowości, z jaką naśladowała inteligencję.

— Przezorność Cala okazała się dla nas użyteczna — stwierdził Sajaki. — W beta została zakodowana znaczna część umiejętności Cala, wystarczająca, by naprawić kapitana. Musieliśmy tylko przekonać Dana, by czasowo pozwolił zamieszkać Calvinowi w swym umyśle i ciele.

— Dan musiał coś podejrzewać, gdy wszystko tak łatwo poszło.

— Nie było łatwo — zaprzeczył Sajaki. — Zupełnie nie. Okresy, kiedy ciało przejmował Cal, przypominały raczej gwałtowne opętanie. Problemem była motoryka. Żeby stłamsić osobowość Dana, musieliśmy mu podać zestaw neuroinhibitorów. Kiedy Cal wreszcie się zainstalował, stwierdził, że znalazł się w ciele na wpół sparaliżowanym przez nasze leki. Czuł się jak znakomity chirurg podczas operacji, wydający polecenia pijanemu. A wedle wszelkich oznak również dla Dana nie było to przyjemne. Raczej bolesne.

— Ale działało.

— Właśnie. Miało to miejsce sto lat temu. Teraz czas na kolejną wizytę u doktora.

— Twoje fiolki — powiedziała ordynator.

Asystentka Pascale podeszła do stołu, podając fiolkę podobną do tej, którą wcześniej przekazał Sylveste. Różniły się tylko kolorem: fiolka Pascale była czerwona, a fiolka Sylveste'a zabarwiona na żółto. Wewnątrz unosiły się podobne ciemnawe strzępki materii. Ordynator uniosła obie fiolki na kilka chwil, po czym umieściła obok siebie na blacie, tak by wszyscy zebrani mogli je widzieć.

— Jesteśmy gotowi do zawarcia aktu małżeństwa — oznajmiła. Potem wygłosiła zwyczajową formułkę, pytając, czy ktoś z obecnych zna jakieś przyczyny bioetyczne, przemawiające przeciw temu małżeństwu.

Oczywiście nie było żadnego sprzeciwu.

Jednak w tym momencie, gdy wszystko mogło się zdarzyć, Sylveste zauważył na widowni zawoalowaną kobietę, która, sięgnąwszy do torebki, otworzyła wykwintną, ozdobioną klejnotem, bursztynową buteleczkę perfum.

— Danielu Sylveste — rzekła ordynator. — Czy zgadzasz się wziąć tę kobietę za żonę zgodnie z prawem Resurgamu, aż do czasu, gdy to małżeństwo zostanie anulowane zgodnie z tym lub innym obowiązującym systemem prawnym?

— Zgadzam się.

To samo pytanie zadała Pascale.

— Zgadzam się — odparła Pascale.

— Niech więc związek zostanie zawarty.

Ordynator Massinger wyjęła z mahoniowego pudełka ślubny pistolet i otworzyła go. Włożyła do zamka czerwoną fiolkę, dostarczoną przez Pascale, po czym zamknęła instrument. Przez chwilę otaczały go entoptyki statusu. Girardieau położył rękę na ramieniu Sylveste'a, podpierając go, gdy ordynator przycisnęła mu zwężony koniec instrumentu do skroni, nieco powyżej poziomu oka. Sylveste powiedział przedtem Girardieau, że ceremonia nie jest bolesna, ale też niespecjalnie przyjemna. Czuło się tylko chwilowy przypływ zimna, jakby do kory mózgowej wstrzelono ciekły hel. Nieprzyjemne uczucie szybko ustępowało, a powierzchowny siniak wielkości kciuka znikał po paru dniach. System immunologiczny mózgu był słabszy niż reszty ciała i komórki Pascale, unoszące się w mieszance wspomagających medmaszyn, wkrótce miały się złączyć z komórkami Sylveste'a. Objętość dawki była mała, stanowiła najwyżej jedną dziesiątą procenta masy mózgu, ale transplantowane komórki niosły nieścieralne piętno swego ostatniego gospodarza — śladowe wątki holograficznie rozdzielanej pamięci i osobowości.

Ordynator usunęła z pistoletu opróżnioną fiolkę i w jej miejsce włożyła żółtą. Pascale, dla której był to pierwszy ślub według obrządku Stonerów, nie potrafiła ukryć drżenia. Girardieau trzymał ją za rękę i gdy ordynator wstrzykiwała w jej głowę materiał neuronowy, Pascale wyraźnie się skuliła.

Sylveste przekonywał Girardieau, że implant jest trwały, ale nigdy tak nie było. Do tkanki nerwowej dodawano nieco nie — szkodliwych radioizotopowych elementów śladowych, co — w razie konieczności — wirusom rozwodu umożliwiało wytropienie ich i zniszczenie. Sylveste nigdy dotychczas nie skorzystał z takiej opcji i sądził, że nigdy w przyszłości z niej nie skorzysta, bez względu na to, ile jeszcze małżeństw zawrze. Nosił w sobie rozwodnione esencje wszystkich swoich żon — a one nadal nosiły jego esencje — tak jak będzie nosił esencje Pascale. W istocie ona też w minimalnym stopniu nosiła ślady jego poprzednich żon.

Tak odbywała się ceremonia w obrządku Stonerów.

Ordynator ostrożnie włożyła pistolet ślubny do pudełka.

— Zgodnie z prawem Resurgamu małżeństwo zostało formalnie zawarte — oznajmiła. — Możecie…

I wtedy właśnie woń perfum dotarła do ptaków Janeąuina.

Kobieta z bursztynowym flakonikiem zniknęła, jej fotel ział pustką. Jesienny zapach przywołał u Sylveste'a wspomnienie zmiażdżonyh liści. Zbierało mu się na kichanie.

Było w tym coś podejrzanego.

Sala zaroiła się turkusowym błękitem, jakby nagle otworzyło się sto kolorowych wachlarzy, pawie ogony, miliony barwnych oczu.

Nagle powietrze poszarzało.

— Padnij! — wrzasnął Girardieau. Gwałtownie drapał się po karku. Wczepiło mu się tam coś małego. Oszołomiony Sylveste zauważył, że do tuniki przylgnęło mu kilka przecinkowatych haczyków. Nie przecięły tkaniny, ale bał się ich dotknąć.

— Narzędzie zabójcy! — krzyknął Girardieau. Zwalił się pod stół, ciągnąc za sobą Sylveste'a i córkę. Na widowni panowało zamieszanie, zdenerwowani ludzie szukali ucieczki.

— Ptaki Janeąuina były uzbrojone! — Girardieau wrzeszczał Sylveste'owi do ucha. — W ogonach miały zatrute strzałki.

— Trafiło cię — powiedziała Pascale, zbyt zszokowna, by głosem przekazać emocje.

W górze rozbłysło światło i wystrzelił dym. Usłyszeli krzyki. Kątem oka Sylveste dostrzegł kobietę od perfum, trzymającą w obu dłoniach błyszczący groźny pistolet. Grzała z broni w widownię, wąska lufa pluła zimnymi pulsami energii bosego. Wokół niej krążyły kamery, beznamiętnie transmitując tę rzeź. Sylveste nigdy jeszcze nie widział takiej broni. Nie mogła powstać na Resurgamie. Zostawały zatem dwie możliwości: albo dotarła tu z Yellowstone wraz z oryginalnymi osiedleńcami, albo sprzedał ją Remilliod, handlarz, który po przewrocie przelatywał przez układ. W górze tłukło się z ogłuszającym trzaskiem szkło Amarantinów, które przetrwało dziesięć tysięcy wieków. W dół na widownię spadały ostre brązowe kawałki. Sylveste bezsilnie obserwował, jak rdzawe odłamki godzą ciała ludzi niczym zamarznięte błyskawice. Przerażeni, zagłuszali swym wrzaskiem krzyki rannych.

Ochroniarze Girardieau, którzy jeszcze mogli działać, mobilizowali się w bardzo wolnym tempie. Czterech milicjantów leżało na ziemi, ich twarze były przekłute. Jeden z nich rzucił się na strzelającą kobietę i zaczął się z nią szamotać. Inny ogniem z broni ręcznej kosił ptaki Janeąuina.

Girardieau rzęził, wywrócił przekrwionymi oczyma, rękami chwytał powietrze.

— Musimy stąd uciekać! — krzyknął Sylveste do Pascale, która nadal czuła otępienie po neurotransferze, mętnie zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje.

— Ale mój ojciec…

— Koniec z nim.

Sylveste wyswobodził się spod bezwładnego ciała Girardieau, złożył je na zimnej podłodze świątyni, cały czas kryjąc się pod osłoną stołu.

— Te haczyki miały zabić. Teraz już nic dla niego nie zdołamy zrobić. Jeśli zostaniemy, czeka nas ten sam los.

Girardieau wycharczał coś, co mogło znaczyć „idźcie" albo też był to ostatni nieświadomy wydech.

— Nie możemy go zostawić! — powiedziała Pascale.

— Jeśli tu zostaniemy, jego zabójcy zwyciężą.

Po twarzy Pascale popłynęły łzy.

— Dokąd mamy uciekać?

Rozejrzał się gorączkowo. Salę wypełniał dym z ładunków wybuchowych, prawdopodobnie odpalonych przez ludzi Girardieau. Osiadał leniwymi serpentynami; rzekłbyś: baletnica rzuca szarfy. Sala pogrążyła się w całkowitej ciemności. Oświetlenie za świątynią na pewno zostało wyłączone lub zniszczone.

Pascale westchnęła.

Oczy Sylveste'a przełączyły się w tryb podczerwony, niemal bez jego świadomego udziału.

— Nadal widzę — szepnął do Pascale. — Jeśli będziemy się trzymać razem, nie musisz się przejmować, że jest ciemno.

Wstał, modląc się, by minęło niebezpieczeństwo ze strony ptaków. Świątynia jarzyła się szarozielonym ciepłem. Kobieta od perfum nie żyła, w boku miała gorącą dziurę wielkości pięści. Bursztynowy flakonik leżał rozbity u jej stóp. Sylveste domyślił się, że perfumy zawierały jakiś wyzwalacz hormonalny, na który reagowały receptory Janeąuinowych ptaków. On sam musiał być w spisku. Sylveste rozejrzał się — Janeąuin nie żył. W jego piersi tkwił mały sztylet, z rany ciekły po brokatowym kaftanie gorące strumyczki.

Sylveste chwycił Pascale i popchnął ją po posadzce do wyjścia, do łukowego przejścia pozłoconego amarantińskimi figurkami i płasko rzeźbionymi hieroglifami. Wydawało się, że ta kobieta od perfum była — nie licząc Janeąuina — jedynym obecnym zabójcą. Teraz jednak wchodzili jej towarzysze w mundurach kamuflujących. Na twarzach mieli dopasowane maski do oddychania i gogle na podczerwień.

Sylveste pchnął Pascale za przewrócone stoły.

— Szukają nas — syknął. — Prawdopodobnie myślą, że jesteśmy martwi.

Ludzie Girardieau wycofali się do audytorium i zajęli tam pozycje obronne. Nie mieli szans: przybysze byli uzbrojeni znacznie silniej, w ciężkie karabiny bosego. Milicja Girardieau odpowiedziała niskowydajnymi laserami i bronią palną, ale wrogowie ścięli ich z beztroską, bezosobową łatwością. Co najmniej połowa widzów była nieprzytomna lub martwa — ucierpieli w głównym ataku jadowitego, barwnego ostrzału. Ptaki nie stanowiły chirurgicznie precyzyjnej broni, ale zostały przepuszczone na widownię bez sprawdzania. Sylveste zauważył, że dwa z nich nadal żyły. Rozpościerały i składały ogony pod wpływem śladowych ilości perfum, nadal unoszących się w powietrzu.

— Czy twój ojciec nosił broń? — spytał Sylveste i natychmiast

pożałował, że użył czasu przeszłego. — To znaczy od przewrotu.

— Przypuszczam, że nie — odparła Pascale.

Oczywiście Girardieau nigdy by się przed nią do tego nie przyznał. Sylveste szybko przeszukał ciało, w nadziei że pod ceremonialnymi szatami wyczuje twardy przedmiot.

Nic.

— Musimy sobie poradzić bez tego — powiedział takim tonem, jakby to stwierdzenie łagodziło cały problem. — Zabiją nas, jeśli nie uciekniemy.

— Do labiryntu?

— Zobaczą nas.

— Może nie wiedzą, że to my — rzekła Pascale. — Mogą nie wiedzieć, że twój wzrok działa w ciemnościach. — Była w zasadzie ślepa, ale potrafiła spojrzeć mu prosto w twarz. Usta miała otwarte — tworzyły owal wyrażający brak wszelkiej nadziei. — Pozwól, że najpierw pożegnam się z ojcem.

W ciemności odnalazła jego ciało i pocałowała go po raz ostatni. Sylveste spojrzał w stronę wyjścia — w tym momencie żołnierz strzegący wyjścia został trafiony przez kogoś z milicji Girardieau. Postać w masce skuliła się, żar ciała zaczął wyciekać na podłogę, emanując na posadzkę białawymi robaczkami energii cieplnej.

Przez chwilę droga była wolna. Pascale znalazła dłoń Sylveste'a i razem pobiegli.

OSIEM

W drodze do Delty Pawia, 2546

— Chyba słyszałaś wiadomości na temat kapitana — powiedziała Khouri, gdy Mademoiselle zakasłała dyskretnie za jej plecami. Jeśli nie liczyć iluzorycznej obecności Mademoiselle, Khouri była sama w swej kwaterze i trawiła to, co Volyova i Sajaki powiedzieli jej na temat misji.

Mademoiselle uśmiechnęła się.

— To komplikuje sprawy. Brałam pod uwagę możliwość, że załoga ma z Sylveste'em jakiś związek. To logiczne, zważywszy, że lecą na Resurgam. Nigdy jednak nie ekstrapolowałam niczego tak zawiłego.

— To chyba właściwe określenie.

— Ich związek jest… — duch dobierał słowa, choć Khouri wiedziała, że to tylko irytujący teatr — interesujący. Może ograniczyć nasze opcje w przyszłości.

— Nadal jesteś pewna, że chcesz go uśmiercić?

— Całkowicie. Te wiadomości tylko podkreślają, że to pilna sprawa. Istnieje niebezpieczeństwo, że Sajaki zechce wziąć Sylveste'a na pokład.

— Czy nie byłoby łatwiej dla mnie, gdybym go wtedy zabiła?

— Owszem, ale w takim wypadku samo zabicie nie wystarczy. Musiałabyś znaleźć sposób na zniszczenie statku. A jak zachować własne życie… to już twój problem.

Khouri nachmurzyła się. Może to jej problem, ale niewiele z tego wszystkiego rozumiała.

— Jeśli jednak uzyskam pewność, że Sylveste nie żyje…

— To nie wystarczy — odparła Mademoiselle z niespotykaną u niej dotąd szczerością. — Musisz go zabić, ale to tylko część zadania. Musisz tego dokonać w szczególny sposób.

Khouri czekała na dalsze warunki.

— Masz to zrobić bez uprzedzenia. Ani sekundy. Ponadto musisz go zabić na osobności.

— To zawsze było częścią planu.

— Dobrze… ale chodzi mi dokładnie o to. Jeśli nie zdołasz zapewnić całkowitego odosobnienia, musisz to przełożyć. Żadnych kompromisów, Khouri.

Po raz pierwszy tak szczegółowo omawiały okoliczności zabójstwa. Najwyraźniej Mademoiselle doszła do wniosku, że Khouri

dojrzała do tego, by uzyskać więcej informacji, a może nawet zobaczyć cały obraz.

— A broń?

— Wybierz, jaką chcesz. Ale nie może ona zawierać żadnych elementów cybernetycznych powyżej pewnego poziomu złożoności, który określę później. — Nim Khouri zdążyła zaprotestować, Mademoiselle dodała: — Broń promieniowa jest dopuszczalna, zakładając, że w żadnym momencie nie znajdzie się w pobliżu naszego obiektu. Urządzenia na pociski czy materiały wybuchowe też się nadają.

Na pokładzie Światłowca powinna znaleźć się odpowiednia broń, pomyślała Khouri. Miała nadzieję, że we właściwym momencie uda jej się zdobyć stosowny sprzęt i zdąży się nauczyć nim posługiwać.

— Coś chyba znajdę.

— Jeszcze nie skończyłam. Nie możesz się do niego zbliżyć, nie możesz również zabić go w chwili, gdy znajdzie się w pobliżu jakiegoś systemu cybernetycznego. W tej kwestii później przekażę ci swoje wymagania. Im bardziej będzie odizolowany, tym lepiej. Jeśli uda ci się dokonać tego, gdy Sylveste będzie sam, z dala od wszelkiej pomocy, na powierzchni Resurgamu, to zadanie zostanie wykonane ku mojej całkowitej satysfakcji. — Zamilkła. Przedstawione warunki musiały być dla niej niezwykle istotne i Khouri starała się wszystko dokładnie zapamiętać, ale na razie brzmiało to równie logicznie jak intonowanie Ciemnego Wieku jako środka na febrę. — Pod żadnym warunkiem nie może opuścić Resurgamu. Musisz to zrozumieć, bo gdy jakiś Światłowiec przybędzie w pobliże planety — nawet ten Światłowiec — Sylveste będzie usiłował dostać się na pokład. W żadnym wypadku nie może do tego dojść.

— Rozumiem polecenie: zabić go na planecie — rzekła Khouri. — Czy to wszystko?

— Niezupełnie. — Duch uśmiechnął się. Upiornie. Khouri nigdy wcześniej nie widziała u niego takiego uśmiechu. Może Mademoiselle nie wyczerpała jeszcze zapasu wszystkich swoich min, zachowując kilka nowych na okazje takie jak ta. — Oczywiście chce mieć dowód śmierci. Ten implant zarejestruje samo wydarzenie, ale po twoim powrocie na Yellowstone chcę otrzymać fizyczny dowód potwierdzający zapis implantu. Chcę resztek, nie tylko prochów. Co się da, zachowaj w próżni. Przechowaj szczątki hermetycznie zamknięte, izolowane od statku. Jeśli chcesz, zakop je w skale, ale przywieź mi. Muszę mieć dowód.

— A potem?

— Potem, Ano Khouri, dam ci twojego męża.

Sylveste i Pascale dotarli do czarnej skorupy obejmującej miasto Amarantinów, pobiegli kilkaset metrów w zawiłym labiryncie,

wydrążonym w skorupie. Drogę wybierali w sposób tak losowy, na jaki stać istotę ludzką; nie kierowali się pozostawionymi przez archeologów znakami i starali się biec po nieprzewidywalnych ścieżkach. Dopiero po pewnym czasie przystanęli dla złapania oddechu.

— Nie tak szybko — powiedziała Pascale. — Boję się, że zgubimy drogę.

Sylveste położył jej dłoń na ustach, choć wiedział, że po szoku związanym ze śmiercią ojca Pascale odczuwa potrzebę mówienia.

— Musimy być cicho. Oddziały Słusznej Drogi są na pewno w skorupie i czekają tylko, by dopaść uciekinierów. Lepiej nie przyciągać ich uwagi.

— Dan, zgubiliśmy się w labiryncie — powiedziała szeptem. — Wielu ludzi umarło w tym miejscu, bo nie odnaleźli wyjścia i zginęli z głodu.

Sylveste pchnął Pascale w zwężającą się przecinkę wentylacyjną, w gęstniejącą ciemność. Ściany były tu śliskie, bez wykładziny antypoślizgowej.

— Wykluczone, żebyśmy się zgubili — powiedział z wymuszonym spokojem. — Pokazał palcem oczy, choć było zbyt ciemno, by Pascale zauważyła ten gest. Niczym widzący między ślepcami zapominał zwykle, że z jego komunikacji niewerbalnej wiele umyka niezauważone. — Potrafię odtworzyć każdy nasz krok. A ściany dość dobrze odbijają podczerwień z naszych ciał. Tu jesteśmy bezpieczniejsi niż w mieście.

Dyszała, próbując złapać oddech, i przez długi czas milczała.

— Mam nadzieję, że to nie jest jedna z tych rzadkich sytuacji, gdy się mylisz — wymamrotała wreszcie. — To byłby szczególnie niepomyślny początek naszego małżeństwa, nie sądzisz?

Nie było mu do śmiechu. Świeżo w głowie miał wielobarwną masakrę w sali. Mimo to zaśmiał się i nagle wszystko stało się mniej realne. No i dobrze, bo jeśli pomyśleć racjonalnie, wątpliwości Pascale były absolutnie uzasadnione. Nawet gdyby dokładnie znał drogę do wyjścia z labiryntu, nie na wiele by mu się to zdało, jeśli tunele biegnące w górę okazałyby się zbyt śliskie albo jeśli — jak mówiły pogłoski — labirynt zmieniłby konfigurację. Nawet magiczne oczy by nie pomogły. Oboje by tu zginęli z głodu, jak inni głupcy, którzy zboczyli z oznakowanych ścieżek.

Weszli głębiej w budowlę Amarantinów, wyczuwając łagodną krzywiznę tunelu, zakręcającego kapryśnie w wewnętrznej powłoce. Oczywiście panika była takim samym ich wrogiem jak dezorientacja, niełatwo jednak było zachować spokój.

— Według ciebie, jak długo powinniśmy tu zostać?

— Jeden dzień — odparł Sylveste. — Potem wyjdziemy za nimi.

Do tego czasu z Cuvier powinno dotrzeć wsparcie.

— Dla kogo?

Sylveste przepychał się przez zwężenie w tunelu, który w tym miejscu miał potrójne rozgałęzienie. Sylveste wykonał w myślach rzut monetą i ruszył w lewą odnogę.

— Właśnie, to jest pytanie — powiedział, ale za cicho, by żona go usłyszała.

A jeśli ten zamach to element przewrotu obejmującego całą kolonię, a nie pojedynczy akt terroryzmu? A jeśli Cuvier wymknął się spod kontroli rządu Girardieau i przeszedł w ręce Słusznej Drogi?

Girardieau zostawił po sobie niezdarną machinę partyjną, ale wiele jej trybów wrogowie usunęli podczas uroczystości ślubnej. Wykorzystując chwilę słabości systemu, ten rewolucyjny Blitzkrieg mógł wiele zmienić. Może wszystko się już skończyło, poprzedni wrogowie Sylveste'a zostali zdetronizowani, a władzę przejęły obce, nowe osoby. W takim wypadku czekanie w labiryncie byłoby daremne. Czy Słuszna Droga uzna go za swego wroga, czy za kogoś znacznie bardziej dwuznacznego: za wroga wroga?

Ale przecież pod koniec on i Girardieau nie byli nawet wrogami.

Wreszcie Sylveste i Pascale doszli do szerokiej płaskodennej gardzieli, gdzie zbiegało się kilka tuneli i gdzie można było usiąść. Poczuli też orzeźwiający powiew. Pompowane powietrze docierało aż tutaj. Sylveste obserwował w podczerwieni, jak Pascale, opuszczając się ostrożnie na dół, przesuwa rękami po pozbawionej tarcia podłodze, sprawdza, czy nie ma na niej szczurów, ostrych kamieni lub czaszek o wyszczerzonych zębach.

— W porządku, jesteśmy tu bezpieczni — powiedział, jakby te słowa miały uprawdopodobnić bezpieczeństwo. — Gdyby ktoś tu przyszedł, możemy się wycofać. Siedzieć cicho i czekać na wydarzenia.

Wiedział, że teraz, gdy bezpośrednia ucieczka się skończyła, Pascale zacznie rozmyślać o ojcu. Nie chciał do tego dopuścić.

— Głupi, tępy Janeąuin — powiedział, mając nadzieję, że oderwie jej myśli od tego, co się stało. — Musieli go szantażować. Czy to się zawsze tak kończy?

— Co? — spytała z wysiłkiem.

— Że uczciwi dają się skorumpować — wyjaśnił słabym głosem, niemal przechodzącym w szept. Gaz użyty podczas ataku nie dotarł mu głęboko do płuc, ale Sylveste ciągle czuł jego działanie w gardle. — Janeąuin od lat zajmował się tymi ptakami, przez cały czas, gdy znałem go w Mantell. Zaczęły jako niewinne żyjące rzeźby. Mówił, że każda kolonia orbitująca wokół gwiazdy zwanej Pawiem powinna mieć u siebie kilka pawi. Potem ktoś wpadł na pomysł lepszego ich wykorzystania.

— Może wszystkie były toksyczne — powiedziała Pascale, a ostatnie słowo zabrzmiało jak wąż syczących esów. — Uzbrojone jak małe bomby skaczące.

— Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby wszystko to była jego robota.

Sylveste nagle poczuł zmęczenie i senność, może z powodu powietrza. Wiedział, że na razie są bezpieczni. Jeśli zamachowcy ich śledzili — a mogli w ogóle nie zdawać sobie sprawy z tego, że Sylveste i Pascale przeżyli — powinni już dotrzeć do tej części skorupy.

— Nigdy nie wierzyłam w to, że miał prawdziwych wrogów — rzekła Pascale. Zdanie to zawisło w zamkniętej przestrzeni. Sylveste wyobraził sobie, jak Pascale jest przerażona: nic nie widzi, zdana tylko na jego zapewnienia w tym ciemnym, wyjątkowo strasznym miejscu. — Nie przypuszczałam, że mogliby go zabić za to, czego się domagali. Nie sądziłam, że istnieje coś, co jest tego warte.

Razem z pozostałymi załogantami Khouri miała pod koniec podróży na Resurgam przebywać w stanie uśpienia w chłodni. Na razie jednak okresy czuwania spędzała przeważnie w centrali, poddawana niezliczonym symulacjom.

Po pewnym czasie zaczęły nawiedzać jej sny i określenie „nuda” nie oddawało monotonii ćwiczeń, które Volyova jej narzuciła. A jednak wtopienie się w środowisko centrali uzbrojenia przynosiło Khouri chwilowe zapomnienie o troskach. W centrali cały problem z Sylveste’em zmieniał się jedynie w drobne, dokuczliwe swędzenie. Miała świadomość, że znajduje się w sytuacji bez wyjścia, ale to przestawało być najważniejsze. Centrala była wszystkim i dlatego Khouri już się jej nie obawiała. Po seansach nadal pozostawała sobą i doszła do wniosku, że centrala w zasadzie jest bez znaczenia i w ogóle nie wpłynie na wynik misji.

Wszystko się zmieniło, gdy dotarły psy.

Ogary Mademoiselle, cybernetyczne agenty, które Mademoiselle wpuściła do centrali podczas jednej z sesji Khouri. Psy przez neuralny interfejs wdarły się do systemu, wykorzystując jedną z jego wybaczalnych słabości, Volyova uszczelniła system przed atakami software’owymi, ale widocznie nigdy nie wyobrażała sobie, że atak może nastąpić z mózgu osoby podłączonej do centrali. Psy szczeknęły, zapewniając, że weszły do jądra centrali uzbrojenia. Nie powróciły do Khouri w czasie sesji, podczas której zostały spuszczone ze smyczy, ponieważ parę godzin miało im zająć obwąchanie wszystkich zakątków i kryjówek w bizantyjskiej architekturze centrali. Zostały więc w systemie do następnego dnia, gdy Volyova ponownie podłączyła Khouri. Wtedy psy wróciły do Mademoiselle, a ona odszyfrowała je i z pysków wyjęła im zdobycz, którą zlokalizowały.

— Ma pasażera na gapę — powiedziała Mademoiselle do Khouri,

gdy zostały same po sesji. — Coś się ukryło w systemie centrali i mogę się założyć, że Volyova nic o tym nie wie.

Od tego momentu Khouri przestała traktować komorę centrali z dotychczasową obojętnością.

— I co dalej? — spytała, czując, że temperatura jej ciała gwałtownie się obniża.

— Jednostka danych, tak bym to określiła.

— Psy się na to natknęły?

— Tak, ale… — Mademoiselle znowu nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Niekiedy Khouri podejrzewała, że to autentyczne wahanie; przecież implant musiał analizować sytuację oddaloną wiele lat świetlnych od tego, czego spodziewała się rzeczywista Mademoiselle. — Nie można powiedzieć, że psy to zobaczyły, choćby częściowo. To coś jest zbyt subtelne, bo w przeciwnym wypadku wychwyciłyby to zabezpieczające systemy Volyovej. Psy raczej wyczuły nieobecność w miejscach, gdzie to przed chwilą było. Wyczuły powiew, gdy to się ruszało.

— Mam do ciebie prośbę: nie strasz mnie, dobrze? — powiedziała Khouri.

— Przepraszam. Ale przyznaję, że obecność tych rzeczy jest niepokojąca.

— Dla ciebie? A wyobrażasz sobie, jak ja się czuję? — Khouri pokręciła głową, zaskoczona tym, jak nieobliczalnie wredna może być rzeczywistość. — Co to według ciebie jest? Wirus podobny do tych, które toczą statek?

— Ta rzecz sprawia wrażenie znacznie bardziej wyrafinowanej. Dzięki zabezpieczeniom Volyovej statek zachowuje sprawność, mimo innych obiektów wirusowych, i nawet Parchowa Zaraza się go nie ima. Ale to… — Mademoiselle spojrzała na Khouri z przekonującą kopią wyrazu strachu na twarzy. — Psy były tym przerażone. W pewnym sensie to coś im umknęło, okazało się znacznie bardziej przebiegłe. Nigdy się z czymś tak sprytnym nie zetknęłam. Ale nie zostały zaatakowane i to mnie jeszcze bardziej niepokoi.

— Dlaczego?

— Bo podejrzewam, że to coś cierpliwie czeka na właściwy moment.

Sylveste nigdy się nie dowiedział, jak długo spali. Może kilka minut, napakowanych gorączkowymi, naładowanymi adrenaliną snami o chaosie i ucieczce, albo parę godzin, a może prawie cały dzień. W każdym razie to nie zmęczenie ich powaliło. Wyrwany ze snu, zaskoczony uświadomił sobie, że oddychali gazem usypiającym, który pompowano do tuneli. Nic dziwnego, że w powietrzu wyczuwał jego zapach i lekki przeciąg.

Pod sklepieniem usłyszał hałas, jakby skrobanie szczurów.

Trącił Pascale nogą. Budziła się z płaczliwym jękiem i przez kilka sekund zaprzeczania rzeczywistości przypominała sobie, gdzie i w jakiej sytuacji się znajduje. Badał charakterystykę cieplną jej twarzy, obserwując woskową neutralność zagłębień ekspresywnego melanżu wyrzutów sumienia i strachu.

— Musimy ruszać — powiedział. — Gonią nas. Zagazowali tunele.

Skrobanie nieco się przybliżyło. Pascale wahała się między jawą a snem, zdołała jednak otworzyć usta.

— Którędy? — Pytanie dobiegło jak przez warstwę waty.

— Tędy. — Sylveste chwycił ją za ramiona i pchnął naprzód do najbliższego, zwężającego się otworu. Potknęła się na śliskim gruncie. Pomógł jej wstać, przecisnął się obok i ujął jej dłoń. Przed nimi w tunelu panowała ciemność. Sylveste sięgał wzrokiem zaledwie na odległość paru metrów. Uzmysłowił sobie, że jest tylko trochę mniej ślepy od żony. To lepsze niż nic.

— Dan, zaczekaj — powiedziała Pascale. — Za nami jest światło.

I głosy. Teraz słyszał pośpieszną, bezsłowną gadaninę. Grzechot sterylnego metalu. Układy anten chemosensorycznych już ich prawdopodobnie tropiły. Wąchacze feromonów odczytywały z powietrza wyziewy przestraszonych ludzi i przekazywały zwizualizowane dane bezpośrednio do sensoriów tych, którzy brali udział w pościgu.

— Szybciej — powiedziała Pascale. Sylveste spojrzał do tyłu i jego oczy zostały natychmiast przeładowane dawką nowego światła. Niebieskawe promieniowanie, obejmujące ramą daleki kraniec szybu, drżało, jakby ktoś trzymał tam pochodnię. Usiłował iść szybciej, ale tunel biegł teraz coraz bardziej stromo. Tracili przyczepność na szklistej gładkiej powierzchni. Gramolili się jak w lodowym kominie.

Słyszeli dyszenie, skrobanie metalu o ściany, wyszczekiwane rozkazy.

Teraz zrobiło się już zbyt stromo. Oboje rozpaczliwie próbowali zachować równowagę, by się nie zsunąć.

— Skryj się za mną — rzekł Sylveste i odwrócił się ku niebieskiemu światłu.

Pascale pośpieszyła za nim.

— Co teraz?

Światło zamigotało, stawało się coraz intensywniejsze.

— Nie mamy wyboru — powiedział Sylveste. — Nie uciekniemy im. Musimy ruszyć w ich stronę.

— To samobójstwo.

— Może nas nie zabiją, jeśli zobaczą nasze twarze.

Cztery tysiące lat cywilizacji ludzkiej dowodzi, że to płonna nadzieja, ale tylko ona nam teraz została, pomyślał. Żona otoczyła go

ramionami, położyła mu głowę na piersi. Wyglądała żałośnie. Oddychała nierówno, z przerażeniem. Sylveste nie miał wątpliwości, że jego oddech brzmi tak samo.

Wróg prawdopodobnie czuł — dosłownie — ich strach.

— Pascale, muszę ci coś wyznać.

— Teraz?

— Tak, teraz. — Nie potrafiłby powiedzieć, który oddech należy do niego, a który do żony. Wydechy odczuwał jak twarde uderzenia o skórę. — W razie gdybym nie miał okazji tego powiedzieć. Zbyt długo trzymałem to w tajemnicy.

— Masz na myśli: w razie gdybyśmy zginęli.

Uniknął bezpośredniej odpowiedzi. Częścią umysłu oceniał, ile sekund im pozostało. Może nie zdąży powiedzieć tego, co chciał.

— Kłamałem w sprawie tego, co wydarzyło się wokół Całunu Lascaille'a.

Zaczynała coś mówić. Powstrzymał ją.

— Zaczekaj, posłuchaj mnie. Muszę to powiedzieć. Wyrzucić z siebie.

— Mów — rzekła ledwo słyszalnie.

— Wszystko, co powiedziałem na temat tamtych wydarzeń, jest prawdą. — Oczy Pascale rozszerzyły się, na mapie cieplnej twarzy były owalnymi pustkami. — Tylko że odwróconą. Gdy byliśmy blisko Całunu, to nie transformata Carine Lefevre zaczynała się psuć…

— Co takiego?

— …tylko moja. To ja omal nas dwojga nie zabiłem. — Zamilkł. Czekał, aż Pascale coś powie albo aż ich prześladowcy wynurzą się z niebieskiego światła, które podpełzało coraz bliżej. Nic z tego nie nastąpiło, więc z rozpędu ciągnął swe wyzwanie: — Moja żonglerska transformata zaczynała się degenerować. Smagnęły nas pola grawitacyjne wokół Całunu. Carine miała umrzeć, jeśli nie odłączyłbym swojej połowy modułu kontaktowego od jej połówki.

Wyobraził sobie, jak Pascale usiłuje to dopasować do istniejącego schematu, który znała od dziecka i który stanowił część ustalonej historii. To, co teraz mówił, nie było, nie mogło być i nie powinno być prawdą. A wszystko było proste. Transformata Lefevre zaczynała się degenerować. Carine dokonała najwyższego poświęcenia, odrzucając swoją połówkę modułu kontaktowego, by Sylveste miał szansę wyjść żywy z tego brutalnego kontaktu z istotą całkowicie obcą. Jedynie tak mogło to przebiegać. I taką wersję znała Pascale.

Ale nie była to wersja prawdziwa.

— To właśnie powinienem zrobić. Teraz, po fakcie, łatwo powiedzieć. Ale wtedy nie mogłem. — Pascale nie widziała wyrazu jego twarzy. Nie był pewien, czy to dobrze. — Nie mogłem odpalić ładunków separujących.

— Dlaczego?

Pomyślał: oczekuje, że teraz powiem, że to było niemożliwe fizycznie; że spokojna przestrzeń stała się zbyt ograniczona na ruch fizyczny; że wiry grawitacyjne unieruchomiły go, choć usiłowały rozerwać na strzępki. Ale to by było kłamstwo, a Sylveste przekroczył linię kłamstwa.

— Bałem się — rzekł. — Jak nigdy w życiu. Bałem się umierania w obcej przestrzeni. Bałem się tego, co stanie się z moją duszą w tamtym miejscu, które Lascaille nazwał Przestrzenią Objawienia. — Zakasłał. Wiedział, że zostało niewiele czasu. — To irracjonalne, ale tak wtedy czułem. Symulacje nie przygotowały nas na coś tak strasznego.

— A jednak ci się udało.

— Skręcenia grawitacyjne rozerwały statek. Dokonały tego, co miały zrobić ładunki wubuchowe. Nie umarłem… i nie rozumiem tego, ponieważ powinienem.

— A Carine?

Nim odpowiedział — jakby w ogóle znał odpowiedź — zaatakował ich mdlący słodki zapach. Znów gaz usypiający, tym razem jednak w znacznie bardziej stężonej dawce. Wypełnił mu płuca. Miał ochotę kichnąć. Zapomniał o Całunie Lascailleˆ, zapomniał o Carine, zapomniał, jaką rolę odegrał w jej losie. Kichać — to stało się najważniejszą rzeczą na świecie.

Kichać i zdzierać sobie pazurami skórę.

Na tle błękitu stał mężczyzna. W masce. Nie dało się odczytać wyrazu jego twarzy, ale poza, jaką przyjął, świadczyła jedynie o znudzonej obojętności. Ociężale uniósł lewe ramię. Początkowo wydawało się, że trzyma egafon, ale nie — ujął to urządzenie ze znacznie bardziej określonym zamiarem. Cicho westchnął, po czym wycelował migoczącą broń prosto w oczy Sylveste'a.

W zupełnej ciszy wykonał ruch… i w mózg Sylveste'a wlał się przeszywający ból.

DZIEWIĘĆ

Mantel, Nekhebet Północny, Resurgam, 2566

Minęła wieczność, wypełniona bólem i ruchem.

— Współczuję ci z powodu oczu — usłyszał czyjś głos.

Przez chwilę Sylveste dryfował w myślowym zamęcie. Usiłował jakoś uporządkować ostatnie wydarzenia. W niedawnej przeszłości przeżył wesele, morderstwa, ucieczkę w labiryncie, paraliż po ataku gazem, lecz wydarzenia te nie łączyły się ze sobą. Miał wrażenie, że próbuje ułożyć czyjś życiorys, dysponując garścią nieponumerowanych fragmentów, życiorys pełen dręcząco znajomych wydarzeń.

I ten niewiarygodny ból w czaszce, kiedy mężczyzna skierował na niego broń…

Ślepota.

Świat zniknął, zastąpiony nieruchomą szarą mozaiką — w oczach zadziałał awaryjny wygaszacz. Dzieło Calvina poważnie uszkodzono. Oczy nie popsuły się tak zwyczajnie — zostały zaatakowane.

— Woleliśmy, żebyś nas nie widział — ponownie usłyszał ten sam głos, teraz już bardzo blisko. — Moglibyśmy zawiązać ci oczy, ale nie byliśmy pewni, co te cacka potrafią. Może widziałyby przez każdą materię. Tak było prościej. Zogniskowany impuls magnetyczny… prawdopodobnie nieco bolesny. Zniszczył kilka obwodów. Bardzo mi przykro.

Ton głosu sugerował, że jego właścicielowi zupełnie nie jest przykro.

— Co z moją żoną?

— Dzieciakiem Girardieu? Wszystko w porządku. W jej wypadku tak drastyczne środki nie były konieczne.

Może z powodu ślepoty Sylveste lepiej wyczuwał ruch. Chyba lecieli samolotem, kanionami i dolinami, by uniknąć burzy pyłowej. Zastanawiał się, czyj to samolot, kto teraz rządzi. Czy siły Girardieau nadal kontrolują Cuvier, czy też może cała kolonia wpadła w ręce rebeliantów Słusznej Drogi? Żadna z tych możliwości nie wydawała mu się szczególnie przyjemna. Mógłby sprzymierzyć się z Girardieau, ale on teraz nie żył; natomiast we władzach Potopowców Sylveste zawsze miał wrogów — ludzi, którym nie podobało się, że po pierwszym zamachu Girardieau pozostawił Sylveste'a przy życiu.

Mimo wszystko żył. Już przedtem bywał ślepy. Znał ten stan; wiedział, że da się to przeżyć.

— Dokąd lecimy? — spytał. Skrępowali go ciasno, więzy utrudniały krążenie krwi. — Wracamy do Cuvier?

— A jeśli tak, to co? Dziwiłbym się, gdyby bardzo ci się tam śpieszyło.

Samolot okropnie kręcił, przechylał się, opadając i podrywając się do góry niczym stateczek-zabawka na szkwale. Sylveste, mając w głowie mapę terenu, próbował skojarzyć ewolucje samolotu z układem kanionów wokół Cuvier. Bez powodzenia. Prawdopodobnie bliżej mieli do podziemnego miasta Amarantinów niż do domu, ale upłynęło tyle czasu, że samolot mógł dotrzeć do dowolnego miejsca na planecie.

— Czy jesteście…? — Sylveste przerwał. Czy nie powinien udawać, że nic nie wie o swej sytuacji? Po chwili jednak zde — cydowanie odrzucił ten pomysł. Udawanie nie było potrzebne. — Czy jesteście Potopowcami?

— A jak ci się wydaje?

— Myślę, że należycie do Słusznej Drogi.

— Brawa dla tego pana.

— Czy teraz wy wszystkim rządzicie?

— Całym cyrkiem. — Strażnik chciał, by zabrzmiało to jak przechwałka, ale Sylveste złowił w jego głosie nutę wahania. To niepewność, pomyślał. Może strażnik mówił prawdę, ale jeśli system komunikacyjny na planecie został uszkodzony, nie było sposobu, żeby wszystko mieli w garści. Siły lojalne Girardieau mogły przecież zachować całkowitą władzę w stolicy lub niektórych organizacjach rządowych. Ci ludzie działali z wiarą i nadzieją, że ich sprzymierzeńcy również odnieśli sukces.

Oczywiście, mogli mieć również całkowitą rację.

Czyjeś palce umieściły mu na twarzy maskę, której ostre brzegi wrzynały się w skórę. Jednak ta niewygoda była znośna, prawie niezauważalna w porównaniu ze stałym bólem uszkodzonych oczu.

Oddychanie w masce wymagało pewnego wysiłku. Z trudem wciągał powietrze przez wbudowany w ryj maski kolektor kurzu. Teraz dwie trzecie tlenu w płucach pochodziły z atmosfery Resurgamu; pozostałą jedną trzecią pobierał z ciśnieniowego zbiornika zawieszonego pod rurą maski. Zmieszano go z wystarczającą ilością dwutlenku węgla, by uruchomić odruch oddychania.

Prawie nie czuł lądowania — dopiero gdy otworzyły się drzwi, zyskał pewność, że dokądś dotarli. Strażnik odpiął mu więzy i energicznie pchnął w stronę zimna i wiatru, docierającego od strony wyjścia.

Czy na zewnątrz był dzień, czy panowała ciemność?

Nie miał pojęcia.

— Gdzie jesteśmy? — Maska tłumiła głos i pytanie zabrzmiało

kretyńsko.

— Myślisz, że to ważne? — Glos nie był zniekształcony, zatem strażnik oddychał bezpośrednio powietrzem. — Nawet gdyby miasto leżało tuż-tuż — a nie leży — to gdybyś odszedł stąd na splunięcie, zabiłbyś się.

— Chcę mówić z żoną.

Strażnik ujął jego rękę i bardzo mocno wykręcił ją do tyłu — Sylveste czuł, że za chwilę ramię zostanie zwichnięte. Potknął się, ale strażnik go przytrzymał.

— Porozmawiasz z nią, kiedy będziemy zupełnie gotowi. Przecież mówiłem, że ma się dobrze. Nie ufasz mi czy co?

— Dopiero co zabiliście mojego teścia. Widziałem to, więc jak sądzisz?

— Sadzę, że powinieneś schylić głowę.

Czyjaś dłoń przygięła go i wepchnęła w zacisze. Wiatr przestał kąsać uszy, dźwięki zaczęły dawać pogłos. Zamknęły się hermetyczne drzwi, odcinając wycie burzy. Choć był ślepy, wyczuwał, że nie ma tu Pascale. Miał nadzieję, że przewieziono ją oddzielnie i strażnicy nie kłamali, mówiąc, że jest bezpieczna.

Ktoś zerwał mu maskę z twarzy.

Potem zmuszono go do marszu. Obijając sobie ramiona, przeciskał się wąskimi korytarzami, gdzie dominował zapach prymitywnych środków odkażających. Sprowadzili go po grzechoczących schodach. Zjechali dwiema rozklekotanymi windami. Jak głęboko — tego nie potrafił określić. Wyszli do dającej pogłosy podziemnej hali. Wyczuł tu lekki powiew o metalicznym posmaku. Minęli wylot przewodu wentylacyjnego; z powierzchni nadszedł ostry komunikat wichru. Od czasu do czasu Sylveste słyszał głosy i choć rozpoznawał intonacje, nie potrafił jeszcze tych dźwięków zidentyfikować.

Wreszcie dotarli do pokoju.

Był przekonany, że ściany są pomalowane na biało. Prawie fizycznie czuł, jak napierają na niego ze wszystkich stron.

Ktoś stanął obok; miał oddech pachnący kapustą. Sylveste poczuł na twarzy delikatne dotknięcie palców powleczonych warstwą pozbawioną tekstury, o lekkiej woni środka dezynfekującego. Dotknęły jego oczu i czymś twardym postukały w ich fasetki.

Każde stuknięcie wybuchało za skroniami małą supernową bólu.

— Kiedy wam powiem, naprawcie je — usłyszał znajomy głos, żeński, jednak nieco gardłowy, przez co brzmiał niemal męsko. — Na razie niech zostanie ślepy.

Kroki oddaliły się — kobieta musiała odprawić eskortę gestem. Sylveste stał teraz samotnie bez żadnych punktów odniesienia, czuł, że traci równowagę psychiczną. Przed sobą miał szary wzór. Czuł, że

słabnie, ale nie miał się o co oprzeć. Równie dobrze mógł stać na desce, dziesięć pięter nad przepaścią.

Już prawie padał, ręce żałośnie młóciły powietrze.

Coś złapało go za ramię i ustabilizowało. Usłyszał pulsujące zgrzytanie, jakby ktoś piłował drewno.

To był jego własny oddech.

Teraz usłyszał wilgotne cmoknięcie — wiedział, że otworzył usta, by znowu przemówić. Kobieta na pewno się uśmiecha, obserwuje go.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Ty beznadziejny sukinsynu. Nie pamiętasz nawet mojego głosu.

Jej palce wpiły mu się w ramię, sprawnie wyszukały zakończenia nerwowe i nacisnęły odpowiednie miejsca. Zawył jak pies — bodziec zmusił go do zapomnienia o bolących oczach.

— Daję słowo — powiedział Sylveste — że cię nie znam.

Zwolniła ucisk. Gdy nerwy i ścięgna wróciły na miejsce, poczuł nowy ból, który przekształcił się rychło w tępe łupanie w całym ramieniu.

— Powinieneś znać. — Głos nabrał nieprzyjemnego tonu. — Myślałeś, Dan, że zginęłam dawno temu, pogrzebana pod osuwiskiem.

— Sluka — powiedział.

Volyova zmierzała właśnie do kapitana, kiedy wydarzyło się coś niepokojącego. Reszta załogi, z Khouri włącznie, przesypiała podróż do Resurgamu i Volyova powróciła do swych zwyczajowych rozmów z nieco ogrzanym kapitanem: podnosiła temperaturę jego mózgu o ułamek stopnia, dzięki czemu zyskiwał choćby fragmentaryczną świadomość. W ciągu ostatnich dwóch lat weszło to do rozkładu jej zajęć i tak miało być przez następne dwa i pół roku, aż statek dotrze w okolice Resurgamu i z chłodnego snu obudzą się pozostali załoganci. Rozmowy odbywały się dość rzadko — nie mogła ryzykować zbyt częstego ogrzewania kapitana, gdyż przy każdym ogrzaniu zaraza zabierała nieco i człowieka, i otaczającej go materii. Jednak rozmowy te tworzyły małe oazy międzyludzkiego kontaktu, gdy resztę czasu wypełniało jej nadzorowanie wirusów, broni i chorującej statkowej materii.

Volyova cieszyła się na te pogawędki, choć kapitan rzadko pamiętał cokolwiek z poprzednich rozmów. Co gorsza, do ich stosunków wkradła się ostatnio pewna oziębłość. Częściowo z powodu pecha, gdy usiłował zlokalizować Sylveste'a w układzie Yellowstone. Skazało to kapitana na dodatkowe pięciolecie tortur, może nawet więcej, jeśli Sylveste'a nie znaleziono by też na Resurgamie. Volyova nie wykluczała tego, przynajmniej teoretycznie. Kapitan wciąż ją pytał, jak idą poszukiwania, a ona musiała mu dawać do zrozumienia, że są problemy. Kapitan zasępiał się wówczas — nie mogła go za to

winić — a ton konwersacji mroczniał i często kontakt z kapitanem zupełnie ustawał. Kiedy — po dniach czy tygodniach — znowu próbowała z nim rozmawiać, nic nie pamiętał i znowu przechodzili tę samą procedurę, z tym że Volyova usiłowała łagodniej przekazać mu złe wiadomości lub nadać im optymistyczny ton.

Następne problemy, kładące się cieniem na ich rozmowy, spowodowała sama Volyova. Mianowicie, uparcie namawiała kapitana, by opowiedział o wizycie u Żonglerów Wzorców, którą odbył wspólnie z Sajakim. Volyovą zainteresowała ta wizyta dopiero w ostatnich latach, gdyż dostrzegła, że zmiana osobowości Sajakiego nastąpiła mniej więcej w tamtym czasie. Oczywiście, Żonglerów odwiedza się właśnie po to, by odmienić umysł; dlaczego Sajaki pozwolił obcym, by zmienili go na gorsze? Stał się okrutniejszy, bardziej despotyczny i zaciekły, podczas gdy wcześniej był stanowczym, lecz sprawiedliwym szefem, cenionym członkiem Triumwiratu. Teraz prawie zupełnie mu nie ufała. Jednak kapitan — zamiast rzucić pewne światło na tę przemianę — agresywnie ucinał jej pytania. A Volyova obsesyjnie się nią interesowała.

Akurat szła z nim porozmawiać. Zastanawiała się, jak odpowiedzieć na nieuniknione pytanie o Sylveste'a i jak tym razem wypytać kapitana o Żonglerów. Szła zwykłą drogą, więc przechodziła przez kazamatę.

I zobaczyła, że jedną z broni — akurat jedną z tych najgroźniejszych — chyba ktoś przesunął.

— Wydarzyły się różne rzeczy — oznajmiła Mademoiselle. — I pomyślne, i nie.

Co za zaskoczenie być świadomą, nie mówiąc już o słuchaniu Mademoiselle. Ostatnie wspomnienie Khouri: układa się w skrzyni zimnego snu; Volyova spogląda na nią, wstukując polecenia do swej bransolety. Teraz nic nie widziała, nie słyszała, nie czuła nawet zimna, a jednak wiedziała, że znajduje się w chłodni, nadal w pewnym stopniu uśpiona.

— Gdzie… kiedy… jestem?

— Nadal na statku. Mniej więcej w połowie drogi do Resurgamu. Poruszamy się teraz bardzo szybko, mamy ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent prędkości światła. Podniosłam nieco temperaturę twoich włókien nerwowych, na tyle, by móc rozmawiać.

— Volyova tego nie zauważy?

— To akurat najmniejszy problem. Chodzi o kazamatę. Pamiętasz, odkryłam, że coś kryje się w jej konstrukcji? — Mademoiselle nie czekała na odpowiedź. — Wiadomości, które przyniosły ogary, były łatwe do odszyfrowania. Teraz, po trzech latach, ich przepowiednie stały się jaśniejsze.

Khouri ujrzała oczyma duszy Mademoiselle patroszącą swe psy,

studiującą układ wylewających sie wnętrzności.

— Więc ten pasażer na gapę jest realny?

— O, tak. I wrogi, ale do tego dojdziemy za chwilę.

— Wiesz, co to może być?

— Nie. — Wydawało się, że Mademoiselle nie mówi wszystkiego. — Ale to, czego się dowiedziałam, jest równie interesujące.

Nowiny Mademoiselle dotyczyły topologii centrali. Centrala uzbrojenia była ogromnie złożonym zestawem komputerów — jej warstwy narastały latami. Jeden umysł — nawet Volyovej — prawdopodobnie potrafił objąć zaledwie ogólny schemat tego układu, tylko część informacji o tym, jak rozmaite warstwy przenikają się wzajemnie i nakładają na siebie. Ale jeden z atrybutów centrali można było sobie łatwo przedstawić, gdyż była ona niemal całkowicie odizolowana od reszty statku, dlatego większość wyższych funkcji broni kazamatowych mógł uruchamiać tylko ktoś siedzący aktualnie w fotelu centrali. Otaczała ją zapora sieciowa i dane z reszty statku mogły tylko tam wpływać. Przyczyny takiej konstrukcji wynikały z taktyki. Broń, gdy ją używano (nie tylko broń kazamatowa), wysuwała się na zewnątrz statku, co potencjalnie otwierało dostęp do statku wirusom wroga. Tak więc centralę izolowano — odizolowano od reszty danych jednokierunkowym zaworem. Zawór wpuszczał tylko dane ze statku do centrali, nic z niej nie mogło się przezeń wydostać.

— Właśnie, przyjmując, że odkryliśmy coś w kazamacie, zechciej wyciągnąć z tego logiczne wnioski — oznajmiła Mademoiselle.

— Cokolwiek to jest, dostało się tam przez pomyłkę.

— Tak. — W głosie Mademoiselle brzmiało zadowolenie, prawie takie, jakby właśnie po raz pierwszy na to wpadła. — Musimy brać pod uwagę możliwość, że istota dostała się do centrali przez broń, ale sądzę, że droga przez zawór jest znacznie bardziej prawdopodobna. I akurat wiem, kiedy ostatnio coś przeszło przez ten zawór.

— Kiedy?

— Przed osiemnastu laty. — Zanim Khouri coś wtrąciła, Mademoiselle dodała: — Czasu statkowego. Według czasu planetarnego stało się to, jak szacuję, między osiemdziesięciu a dziewięćdziesięciu laty przed twoim werbunkiem.

— Sylveste — rzekła Khouri, zdziwiona. — Sajaki mówił, że Sylveste zaginął, gdyż zabrali go tu na statek, by naprawił kapitana Brannigana. Czy daty pasują do siebie?

— Powiedziałabym, że idealnie. To byłby rok 2460 — około dwudziestu lat po powrocie Sylveste'a od Całunników.

— I myślisz, że przywiózł to coś ze sobą?

— Wiemy tylko to, co przekazał nam Sajaki. Mianowicie: Sylveste przyjął symulację Calvina, by leczyć kapitana Brannigana. W pewnej

chwili w czasie operacji Sylveste musiał być podłączony do statkowej przestrzeni danych. Może właśnie w ten sposób gapowicz uzyskał dostęp. I podejrzewam, że wkrótce potem wszedł przez zawór jednokierunkowy do centrali.

— 1 dotychczas tam przebywa?

— Na to wygląda.

Stało się to już regułą: ilekroć Khouri ułożyła sobie różne elementy i przynajmniej w przybliżeniu wszystko do siebie pasowało, jakiś nowy fakt rozbijał to w pył. Czuła się jak średniowieczny astronom, tworzący coraz to nowe zegarmistrzowskie teorie kosmologiczne, by włączyć w nie świeże dziwaczne obserwacje. Tym razem okazało się, że Sylveste miał coś wspólnego z centralą uzbrojenia. Jak? — tego nawet nie zaczynała pojmować. Teraz przynajmniej coś ją pocieszało: nie była odosobniona w swej niewiedzy; nawet Mademoiselle przechytrzono.

— Wspomniałaś, że ta rzecz jest wroga — powiedziała ostrożnie, nie do końca pewna, czy ma zadawać jeszcze jakieś pytania, gdyż odpowiedzi mogłyby okazać się zbyt trudne do analizy.

— Tak. — W tonie głosu wyczuwało się wahanie. — Z psami popełniłam błąd. Postąpiłam zbyt pochopnie. Powinnam sobie uświadomić, że Złodziej Słońca…

— Złodziej Słońca?

— Tak siebie nazywa. Ten gapowicz.

To była zła wieść. Khouri skądś znała to określenie. Khouri wspomniała, że Volyova spytała ją kiedyś, czy to imię coś dla niej znaczy. Ale ta nazwa wiązała się z czymś jeszcze. Miała wrażenie, że od pewnego czasu słyszy je w swoich snach. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale Mademoiselle mówiła dalej.

— Wykorzystał psy do ucieczki, Khouri. Przynajmniej do ucieczki pewnej swej części. Wykorzystał je, by dostać się do twej głowy.

W nowym więzieniu Sylveste nie dysponował niezawodnym sposobem pomiaru biegnącego czasu. Miał tylko pew — ność, że od jego uwięzienia upłynęło wiele dni. Podejrzewał, że podano mu narkotyki — zmuszono do letargicznej drzemki pozbawionej marzeń sennych. Kiedy już śnił — co zdarzało się rzadko — widział, lecz jego sny zawsze dotyczyły zbliżającej się ślepoty i wartości wzroku. Kiedy się zbudził, widział tylko szarość, ale po pewnym czasie — po dniach, jak przypuszczał — szarość straciła swą strukturę geometryczną. Ten wzorzec zbyt długo nakładał się na jego umysł i teraz umysł go odfiltrowywał. Pozostała bezbarwna nieskończoność, już nawet nie szara, lecz po prostu jasny brak barwy.

Zastanawiał się, co traci. Być może jego obecne otoczenie było tak monotonne i spartańskie, że umysł wcześniej czy później wykonałby tę samą sztuczkę z filtrowaniem, nawet gdyby oczy coś widziały.

Wyczuwał tylko, że jest wśród skał, wielu megaton skał. Pogłosów nie słyszał. Stale myślał o Pascale, ale z każdym dniem trudniej ją było przywołać. Szarość wsączała się w jego wspomnienia, zalewała je jak mokry beton. Pewnego dnia, gdy tylko skończył swe racje żywnościowe, drzwi celi otwarto i tuż przy nim rozbrzmiały dwa głosy.

Pierwszy, chrapliwy, należał do Gillian Sluki.

— Zrób z nim, co możesz. W pewnych granicach.

— Powinien być uśpiony, kiedy będę operował — usłyszał drugi głos, męski i gęsty jak smoła. Sylveste rozpoznał kapuściany oddech.

— Powinien być, ale nie będzie. — Zawahała się, a potem dorzuciła: — Nie oczekuję żadnych cudów, Falkender. Chcę tylko, żeby sukinsyn mnie widział.

— Daj mi kilka godzin — powiedział Falkender. Postawił coś, rozległ się głuchy odgłos na więziennym stole o zaokrąglonych krawędziach. — Zrobię, co będę mógł. — Prawie bełkotał. — Zanim kazałaś go oślepić, jego oczy nie były jakieś nadzwyczajne, z tego co wiem.

— Masz godzinę.

Wychodząc, trzasnęła drzwiami. Sylveste, od chwili uwięzienia spowity ciszą, czuł, jak echa tego dźwięku rozrywają mu czaszkę. Długo nasłuchiwał najsłabszych dźwięków, łowiąc podpowiedzi co do swego losu. Niczego nie uzyskał, ale w czasie tego procesu uzależnił się od ciszy.

Po intensywnym zapachu kapusty poznał, że Falkender się doń zbliżył.

— To przyjemność pracować z tobą, doktorze Sylveste. — W jego głosie niemal słyszał onieśmielenie. — Jestem pewien, że z czasem zdołam naprawić większość szkód, które panu wyrządziła.

— Dała ci godzinę — powiedział Sylveste. Własny głos brzmiał mu obco. Dawno go nie używał, poza niezbornym mruczeniem we śnie. — Cóż możesz zrobić w ciągu godziny?

Słyszał, jak mężczyzna przekłada narzędzia.

— Przynajmniej coś poprawię. — Podkreślał swe uwagi cmokaniem. — Oczywiście zrobię więcej, jeśli nie będziesz się wyrywał. Ale nie obiecuję, że operacja sprawi ci przyjemność.

— Jestem pewien, że zrobisz to jak najlepiej.

Palce mężczyzny prześlizgnęły mu się po oczach, lekko je badały.

— Wiesz, zawsze podziwiałem twego ojca. — Znów cmoknięcie, przypominające Sylveste'owi jedno z kurcząt Janeąuina. — Powszechnie wiadomo, że to on sprawił ci te oczy.

— Jego symulacja poziomu beta — skorygował Sylveste.

— Oczywiście, oczywiście. — Sylveste mógł sobie wyobrazić, jak Falkender gestem lekceważy tę mglistą różnicę. — Przecież nie

symulacja alfa. Wszyscy wiemy, że ta przed laty zniknęła.

— Sprzedałem ją Żonglerom — oznajmił bezbarwnym tonem Sylveste. Po latach ukrywania prawda wyskoczyła z jego ust jak mała, kwaśna pesteczka.

Falkender wydał dziwny tchawiczny dźwięk. On w taki sposób się śmieje, doszedł do wniosku Sylveste.

— Jasne, jasne. Wiesz, jestem zdumiony, że nikt cię o to dotychczas nie oskarżył. Ale taka już jest ludzka przewrotność. — Powietrze wypełnił ostry warczący dźwięk, po nim paląca nerwy wibracja. — Chyba możesz się pan pożegnać z postrzeganiem kolorów. Odbiór monochromatyczny to najwięcej, co mogę zrobić.

Khouri miała nadzieję na chwilę umysłowego wytchnienia, na odrobinę czasu, by zebrać myśli i spokojne nasłuchiwać odgłosów inwazyjnej obecności w swym mózgu. Ale Mademoiselle mówiła dalej.

— Złodziej Słońca chyba już raz tego próbował — oznajmiła. — Mówię oczywiście o twoim poprzedniku.

— Chcesz powiedzieć, że gapowicz próbował się dostać do głowy Nagornego?

— Właśnie. Jeśli nie liczyć tego, że w wypadku Nagornego nie było ogarów, które go mogły podwieźć. Złodziej Słońca musiał zastosować coś bardziej prymitywnego.

Khouri przemyślała to, czego dowiedziała się od Volyovej o całym incydencie.

— Dość prymitywnego, by Nagorny oszalał?

— Widocznie tak — przytaknęła jej towarzyszka. — A może Złodziej Słońca tylko próbował narzucić mu swą wolę? Ucieczka z centrali była niemożliwa, więc Złodziej Słońca próbował uczynić z Nagornego marionetkę. Może to wszystko odbywało się za pośrednictwem podświadomych sugestii, gdy Nagorny przebywał w centrali uzbrojenia?

— W jak wielkich kłopotach?

— Jak na razie w niewielkich. Ogarów było zaledwie kilka, zbyt mało, by narobić dużych szkód.

— Co się stało z psami?

— Oczywiście odszyfrowałam je. Dowiedziałam się, jakie przynoszą wiadomości. Ale wtedy otworzyłam się przed nim. Przed Złodziejem Słońca. Psy musiały go jakoś ograniczyć, ponieważ jego atak na mnie był bardzo mało subtelny. Na szczęście, bo w innym wypadku nie zdołałabym uruchomić na czas środków obrony. Nietrudno go było pokonać, ale miałam tylko do czynienia z drobną jego częścią.

— Więc jestem bezpieczna?

— Niezupełnie. Wyrzuciłam go — ale jedynie z tego implantu, gdzie rezyduję. Niestety, moje środki obronne nie działają w twoich

pozostałych implantach, łącznie z tymi, które zainstalowała ci Volyova.

— Zatem nadal jest w mojej głowie?

— Może nawet nie skorzystał z psów — oznajmiła Mademoiselle. — Mógł wniknąć do implantów Volyovej, gdy tylko umieściła cię po raz pierwszy w centrali uzbrojenia. Ale z pewnością uznał psy za przydatne. Gdyby nie próbował zaatakować mnie przy ich pomocy, mogłabym nie wyczuć jego obecności w twych pozostałych implantach.

— Czuję się tak samo jak przedtem.

— To dobrze. Czyli moje przeciwdziałanie okazało się skuteczne. Przypominasz sobie moje środki obronne przeciw terapii Volyovej?

— Tak — potwierdziła Khouri ponuro, niepewna, czy podziałały tak skutecznie, jak to sobie wyobrażała Mademoiselle.

— Te są bardzo podobne. Jedyna różnica polega na tym, że stosuję je przeciw tym obszarom twego umysłu, które zajmował Złodziej Słońca. Przez ostatnie dwa lata prowadziliśmy… — Przerwała. Po chwili coś ją olśniło. — Chyba można to nazywać zimną wojną.

— Musiała być zimna.

— 1 niespieszna — dodała Mademoiselle. — Zimno ograbiło nas z energii potrzebnych do innych akcji. Ponadto musieliśmy działać ostrożnie, by nie wyrządzić ci krzywdy. Zraniona nie przyniosłabyś żadnego pożytku ani mnie, ani Złodziejowi Słońca.

Khouri przypomniała sobie, dlaczego ta konwersacja stała się w ogóle możliwa.

— Ale teraz, gdy zostałam ogrzana…

— Dobrze rozumiesz sytuację. Po ogrzaniu nasz konflikt się zintensyfikował. Myślę, że Volyova może nawet coś podejrzewać. Widzisz, nawet w tej chwili włók sonduje twój mózg. Mógł wykryć we włóknach nerwowych wojnę, którą toczę ze Złodziejem Słońca. Mogłabym złagodnieć, ale Złodziej Słońca wykorzystałby ten moment, by pokonać moje środki obronne.

— Ale możesz go nie dopuszczać…

— Mam nadzieję. Jednak gdyby mi się nie udało, uważam, że powinnaś wiedzieć, co się wydarzyło.

To brzmiało dla Khouri rozsądnie: lepiej wiedzieć, że ma w sobie Złodzieja Słońca, niż ulegać złudzeniu, że jest czysta.

— Chciałam też cię ostrzec. Jego większa część pozostała w centrali uzbrojenia. Nie mam wątpliwości, że kiedy tylko znajdzie sposobność, zechce wniknąć w ciebie całkowicie, tak całkowicie, jak to tylko możliwe.

— Podczas mojej następnej wizyty w centrali?

— Przyznaję, że wybór jest ograniczony — oznajmiła

Mademoiselle. — Ale doszłam do wniosku, że najlepiej, byś poznała całą sytuację.

Mademoiselle uważała, że Khouri bardzo, bardzo wiele brakuje, by wyrobiła sobie choćby przybliżony obraz. Ale miała rację: lepiej doceniać niebezpieczeństwo, niż o nim nie wiedzieć.

— Jeśli Sylveste naprawdę jest odpowiedzialny za tę sprawę, zabicie go nie będzie dla mnie wielkim problemem.

— To dobrze. Poza tym nowiny nie są aż tak złe. Razem z psami wysłałam do centrali swój awatar. Z raportów psów wiem, że Volyova nie wykryła mego awataru, przynajmniej w ciągu kilku następnych dni. Działo się to ponad dwa lata temu, ale nie sądzę, by od tamtego czasu został on wykryty.

— Zakładamy, że Złodziej Słońca go nie zniszczył.

— Rozsądna uwaga. Jeśli jednak Złodziej Słońca jest tak inteligentny, jak podejrzewam, nie uczyni nic, co mogłoby zwrócić na niego uwagę. Nie ma pewności, że ten awatar nie został wpuszczony do systemu przez Volyovą. Ją też przecież dręczą wątpliwości.

— Po co to zrobiłaś?

— Aby w razie konieczności przejąć kontrolę nad centralą.

Calvin, widząc, jak obchodzą się z jego dziełem, obracałby sie w grobie szybciej, niż Cerber okrąża swą neutronową gwiazdę Hades. Gdyby tylko miał grób, myślał Sylveste. Kiedy symulacja Cala konstruowała Sylveste'owi wzrok, Calvin już nie żył, a przynajmniej od wielu lat nie miał ciała. Takie igraszki myślowe pozwalały Danowi przynajmniej na pewien czas zapomnieć o bólu. Od uwięzienia ból towarzyszył mu stale. Falkender pochlebiał sobie, sądząc, że zwiększy jego mękę.

Wreszcie jakimś cudem ból zaczął ustępować.

Sylveste czuł, że w mózgu otwarła się nieobecna tam wcześniej próżnia, zimna komora wypełniona pustką. Usunięcie bólu było jak usunięcie wewnętrznej podpory. Czuł, że się zapada, kamienie węgielne jego psychiki kruszyły się pod własnym ciężarem, nagle pozbawionym ostoi. Odzyskanie choćby częściowej równowagi wewnętrznej wymagało wysiłku.

A teraz w polu widzenia miał bezbarwne, zanikające widma.

Po sekundzie stwardniały i przybrały rozróżnialne kształty. Ściany celi — gołej i skąpo umeblowanej, tak jak sobie wyobrażał — i przykucnięta nad nim zamaskowana postać. Dłoń Falkendera tkwiła w chromowanej rękawicy, zakończonej nie palcami, lecz krabowatą wypustką drobnych połyskliwych manipulatorów. W oku mężczyzny tkwił jak monokl system soczewek, podłączony do rękawicy wieloczłonową stalową liną. Skórę miał bladą niczym podbrzusze jaszczurki; jedyne widoczne oko, sine, patrzyło w nieokreśloną dal. Suche cętki krwi pstrzyły mu czoło. Krew miała barwę szarozieloną,

ale Sylveste wiedział dobrze, co to jest.

Teraz dostrzegł, że w istocie wszystko miało ten kolor.

Rękawica wycofała się; Falkender wolną dłonią ściągnął ją z przegubu. Na uprzednio urękawicznionej dłoni lśniła błonka oleju.

Zaczął pakować swój sprzęt.

— Cóż, nie obiecywałem cudów — oznajmił. — A pan nie powinien żadnych cudów oczekiwać.

Ruchy miał szarpane, urywane. Sylveste dopiero po chwili zorientował się, że oczy dostarczają mu tylko trzech czy czterech obrazów na sekundę. Świat poruszał się zająkliwymi ruchami dziecięcych rysuneczków w rogach książek, ożywionych wachlarzowym ruchem między palcem wskazującym a kciukiem. Co parę sekund następowały niepokojące inwersje głębi — wtedy Falkender zdawał się ludzkokształtną niszą, wydłubaną w ścianie celi. Czasami fragmenty pola widzenia zawieszały się i nie zmieniały przez dziesięć lub więcej sekund, nawet gdy Sylveste spoglądał na inną część pomieszczenia.

A jednak to był wzrok, a przynajmniej jego niedorozwinięty kuzyn.

— Dziękuję — powiedział Sylveste. — To… to postęp.

— Lepiej stąd chodźmy — rzekł Falkender. — Jesteśmy już pięć minut spóźnieni.

Sylveste kiwnął głową, i ten ruch wystarczył, by wywołać pulsowanie migreny. Jednak była ona niczym w porównaniu z poprzednim bólem sprzed operacji Falkendera.

Podniósł się z kanapy i zrobił krok ku drzwiom. Teraz szedł ku nim w jakimś celu — po raz pierwszy rzeczywiście spodziewał się, że przez nie przejdzie — i może dlatego czynność ta wydała mu się nagle perwersyjna i obca. Czuł się tak, jakby przypadkowo stąpnął w przepaść. Tracił równowagę. Jakby jego wewnętrzna harmonia przyzwyczaiła się do braku wzroku, a teraz, gdy wzrok wrócił, pękła. Zawroty głowy jednak zanikły w chwili, gdy z korytarza wynurzyli się dwaj goryle Słusznej Drogi i chwycili go pod łokcie.

Falkender wlókł się z tylu.

— Niech pan uważa. Mogą wystąpić perceptualne kiksy…

Sylveste słyszał jego słowa, ale nic dla niego nie znaczyły. Wiedział, gdzie się teraz znajduje, i ta informacja chwilowo całkowicie go wypełniała. Znów był w domu, po dwudziestu latach wygnania.

Więzili go w Mantell, w miejscu, którego nie widział — i nawet nie odwiedzał we wspomnieniach — od czasu zamachu.

DZIESIĘĆ

W drodze do Defty Pawia, 2564

Volyova siedziała na mostku sama, pod holograficznym displejem układu Resurgamu. Jej fotel, tak jak inne puste fotele dookoła, umieszczony na teleskopowym, wieloczłonowym ramieniu, dał się przesunąć do każdego niemal punktu na sferze. Volyova oparła brodę na dłoni i niczym dziecko zafascynowane błyskotką patrzyła godzinami na rzutowany obraz planetarium.

Delta Pawia wyglądała jak wiór ciepłoczerwonej ambry. Gwiazdę otaczało jedenaście głównych planet układu, umieszczonych wokół niej na orbitach i zaznaczonych w rzeczywistych względnych pozycjach w danej chwili; plamy gruzu asteroidowego i odłamków komet krążyły po własnych elipsach; cały system oświetlało halo z rozrzedzonego lodowego śmiecia — pasa Kuipera; gwiazda neutronowa, ciemny bliźniak Delty, rozciągnęła układ, tak że stał się nieco asymetryczny. Cały obraz był symulacją, a nie powiększeniem widoku sprzed statku. Wprawdzie czujniki Światłowca były wystarczająco wysublimowane, by zbierać takie dane, ale obraz zniekształcałyby efekty relatywistyczne i — co gorsza — byłby zdjęciem układu sprzed lat, a względne pozycje planet nie odpowiadałyby stanowi obecnemu. Ponieważ plan podchodzenia statku zależał od większych gigantów gazowych układu, których używano do kamuflażu i hamowania grawitacyjnego, Volyova musiała znać aktualne pozycje planet, a nie te sprzed pięciu lat. Informacji tych potrzebowała również z innego powodu. Przed dotarciem statku do układu Resurgamu wysyłała zwiadowców, którzy mieli niepostrzeżenie przemierzyć układ. Bardzo ważne było zaprogramowanie ich przejścia przy optymalnym położeniu planet.

— Wypuścić kamyki — powiedziała, ciesząc się teraz, że przeprowadziła wystarczającą ilość symulacji. „Nieskończoność” posłusznie wypuściła tysiąc drobnych sond. Wystrzeliły przed hamujący statek powoli rozszerzającym się rojem. Przekazała polecenie do bransolety i tuż przed nią pojawiło się okno, dające widok z kamery na kadłubie. Skupisko kamyków oddalało się, jakby odciągane jakąś niewidzialną siłą. Zmniejszało się, wreszcie Volyova widziała jedynie rozmazaną, szybko malejącą aureolę. Kamyki, sunące niemal z szybkością światła, miały dotrzeć do układu Resurgamu wiele miesięcy przed statkiem. Wtedy ich rój będzie szerszy niż orbita Resurgamu wokół jego słońca. Drobne sondy ustawią się ku planecie i

zbiorą fotony z całego widma elektromagnetycznego. Dane z każdego kamyka zostaną wysłane w kierunku statku wąsko zogniskowanym impulsem laserowym. Wkład pojedynczej jednostki roju będzie niewielki, ale w połączeniu z wynikami pozostałych sond powstanie bardzo ostry i szczegółowy obraz Resurgamu. Wprawdzie nie umożliwi to Sajakiemu lokalizacji Sylveste'a, ale dostarczy mu informacji o prawdopodobnych ośrodkach władzy na planecie i — co ważniejsze — o rodzajach broni, jaką dysponują te ośrodki.

Sajaki i Volyova uważali, że jeśli znajdą Sylveste'a, prawdopodobnie nie zgodzi się wejść na pokład statku dobrowolnie. Akurat w tej kwestii zgadzali się ze sobą.

— Nie wiesz, co zrobili z Pascale? — spytał Sylveste.

— Jest bezpieczna — odpowiedział chirurg-okulista, gdy głęboko w Mantell prowadził go po wyłożonych kamieniem tunelach, przypominających wnętrze tchawicy. — Tak przynajmniej słyszałem — dodał. I nastrój Sylveste'a się pogorszył. — Ale mogę się mylić. Nie sądzę, by Sluka zabiła ją bez poważnego powodu, mogła ją jednak zamrozić.

— Zamrozić?

— Aż się przyda. Rozumiesz teraz, że Sluka myśli perspektywicznie.

Sylveste bał się, że pokonają go powracające fale mdłości. Oczy go bolały, ale wciąż sobie powtarzał, że to jednak wzrok. Przynajmniej coś. Jako niewidomy był bezsilny, niezdolny do skutecznego oporu. Teraz wprawdzie ucieczka nadal mogła okazać sie niemożliwa, ale przynajmniej oszczędzono mu upokorzeń potykającego się ślepca, choć jakość wzroku przyniosłaby hańbę nawet najnędzniejszemu bezkręgowcowi. Przestrzeń postrzegał chaotycznie, a kolor w jego świecie istniał jedynie w postaci niuansów barwy szarozielonej.

Co nieco pamiętał.

Nie widział Mantell od tamtej nocy przed dwudziestu laty — nocy zamachu. Zamachu numer jeden, poprawił się w myślach. Teraz, po obaleniu Girardieau, przyzwyczaił sie do określania własnej detronizacji terminami czysto historycznymi. Reżim Girardieau nie zamknął natychmiast tej stacji, mimo że badania związane z Amarantinami stały w konflikcie z programem Potopowców. Przez pięć czy sześć lat po zamachu utrzymywali to miejsce w ruchu, choć konsekwentnie wycofywali do Cuvier najlepszych ludzi Sylveste'a i zastępowali ich ekoinżynierami, botanikami i specjalistami od geoenergii. W końcu Mantell został zredukowany do placówki z podstawową obsługą, a znaczną jego część zakonserwowano lub skazano na niszczenie. I tak już miało pozostać, gdyby nie kłopoty ze strony sił zewnętrznych. Przez lata krążyły pogłoski, że przywódcy Słusznej Drogi w Cuvier, Resurgam City, czy jak to teraz zwali, są

sterowani przez klikę byłych sympatyków Girardieau, którzy stracili łaski z powodu machinacji podczas pierwszego zamachu. Uważano, że ci rozbójnicy zmienili swe organizmy, stosując kupione od kapitana Remillioda techniki biologiczne, pozwalające żyć w niedotlenionym, pylistym powietrzu poza kopułami.

Podobnych historii można się było spodziewać, a zaczęły one wyglądać bardziej realnie po atakach na niektóre oddalone placówki. Sylveste wiedział, że w pewnym momencie Mantell porzucono. Oznaczało to, że obecni lokatorzy mogli tu przebywać od dawna, jeszcze przed zamachem na Girardieau. Przez miesiące, a może nawet lata.

Bez wątpienia zachowywali się jak panowie stacji. Gdy wszedł do pomieszczenia, od razu się zorientował, że to ten sam pokój, w którym powitała go Gillian Sluka, choć było to chyba dawno temu. Nie rozpoznawał jednak tego miejsca. Niewykluczone, że gdy mieszkał w Mantell, znał ten pokój dokładnie, ale obecnie nie znajdował w nim żadnych punktów odniesienia. Wystrój i meble zostały całkowicie zmienione. Kobieta stała odwrócona do niego tyłem, dłonie w rękawiczkach złożyła skromnie na biodrach. Miała na sobie sztruksowy żakiet do kolan — dla oczu Sylveste'a ciemnooliwkowy — ze skórzanymi pagonami. Włosy, splecione w warkocz, zwisały pomiędzy łopatkami. Nie rzutowała entoptyków. Po obu stronach pokoju, na smukłych, łabędzioszyich postumentach orbitowały planety. Coś w rodzaju światła dziennego płynęło z sufitu, choć oczy Sylveste'a wyssały ze światła wszelkie ciepło.

— Kiedy rozmawialiśmy ze sobą tuż po twoim uwięzieniu — powiedziała chrapliwie — odniosłam wrażenie, że mnie nie kojarzysz.

— Zakładałem, że nie żyjesz.

— Ludzie Girardieau chcieli, żebyś tak myślał. Historia o pełzaczu zgniecionym w osuwisku — to wszystko łgarstwo. Zaatakowano nas. Myśleli oczywiście, że jedziesz z nami.

— Dlaczego nie zabili mnie później, gdy już mnie znaleźli na stanowisku wykopaliskowym?

— Zrozumieli, że bardziej im się przydasz jako żywy niż jako trup, to jasne. Girardieau nie był głupcem, zawsze cię wykorzystywał.

— Gdybyś została na stanowisku, to wszystko by się nie wydarzyło. Ale jak udało ci się przeżyć?

— Niektórzy z nas wydostali się z pełzacza, nim dopadli ich pachołkowie Girardieau. Każdy z nas wziął ze sobą tyle sprzętu, ile zdołał unieść. Dotarliśmy do kanionów Ptasiego Szponu i rozstawiliśmy bańkonamioty. Przez rok oglądałam jedynie wnętrze bańkonamiotu. W czasie ataku odniosłam bardzo brzydką ranę.

Sylveste potarł palcami pstrą powierzchnię jednego z globusów na postumentach. Teraz zauważył, że przedstawiały topografię

Resurgamu w różnych fazach planowanego przez Potopowców programu terraformowania.

— Dlaczego nie przyłączyłaś się do Girardieau w Cuvier? — spytał.

— Uważał, że przyjęcie mnie do swej stajni byłoby dla niego zbyt krępujące. Pozwolił nam żyć, ale tylko dlatego, że nasze zabójstwo wywołałoby spore zainteresowanie. Mieliśmy połączenia komunikacyjne, ale się poprzerywały. — Zamilkła na chwilę. — Wzięliśmy ze sobą kilka świecidełek Remillioda. Enzymy czyszczące okazały się najbardziej przydatne. Kurz już nam nie szkodzi.

Znowu przyjrzał się globom. Przez swój uszkodzony wzrok mógł tylko zgadywać kolory map, ale podejrzewał, że sfery ukazują nieprzerwany marsz ku niebiesko-zielonej roślinnej świeżości. Obecne płaskowyże staną się lądami pośród oceanów; lasy rozleją się po stepach. Spojrzał na dalsze globy, które przedstawiały jakąś daleką wersję Resurgamu, za kilka wieków. Po nocnej stronie połyskiwały łańcuchy wielkich miast, a pył habitatów, każdy niczym konstrukcja z klocków, opasywał planetę. Pajęcze gwiezdne mosty sięgały od równika ku orbicie. Zastanawiał się, jak ta krucha wizja przyszłości będzie się miewać, jeśli słońce Resurgamu znowu wybuchnie, jak dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy lat temu, kiedy cywilizacja Amarantinów zbliżała się do poziomu obecnej kultury ludzkiej.

Nieszczególnie, pomyślał.

— Co jeszcze dał wam Remilliod prócz biotechnologii?

Była skłonna zaspokoić jego ciekawość.

— Nie spytałeś o Cuvier. To mnie dziwi — oznajmiła. — Ani o swoją żonę — dodała po chwili.

— Falkender powiedział, że Pascale jest bezpieczna.

— Rzeczywiście. Może pozwolę ci kiedyś do niej dołączyć. Teraz uważaj, co mówię. Nie opanowaliśmy stolicy. Reszta Resurgamu jest nasza, ale ludzie Girardieau wciąż mają Cuvier.

— Miasto jest nadal nietknięte?

— Nie. My… — Spojrzała nad jego ramieniem na Falkendera. — Przyprowadź Delaunaya, dobrze? I niech przyniesie jeden z prezentów Remillioda.

Falkender wyszedł, pozostali sami.

— Rozumiem, że zawarłeś z Nilsem ugodę — powiedziała Sluka. — Jednak pogłoski były zbyt sprzeczne i nie dawały wyraźnego obrazu. Oświecisz mnie?

— Nic formalnego, bez względu na to, co słyszałaś — wyjaśnił Sylveste.

— A jego córkę wprowadzono, by przedstawiła cię w niepochlebnym świetle, tak?

— Wydawało się to sensowne — powiedział ze znużeniem

Sylveste. — Biografia stworzona przez członka rodziny, która mnie więziła, cieszyłaby się prestiżem. Pascale była młoda, ale miała już za sobą pewne sukcesy. Nikt nie tracił: Pascale nie groziła porażka, nawet gdyby sobie nie poradziła, a trzeba jej przyznać, że z zadania wywiązała się doskonale. — Skrzywił się w duchu, wspominając, jak Pascale omal nie wykryła, jaki los spotkał Calvinowską symulację poziomu alfa. Był teraz przekonany, że dziewczyna odgadła przebieg wypadków, choć nie umieściła ich w biografii. Obecnie wiedziała dużo więcej: co zdarzyło się wokół Całunu Lascaille'a, oraz to, że śmierć Carine Lefevre wcale nie była taka prosta i czysta, jak ją przedstawił po powrocie na Yellowstone. Ale od czasu, gdy jej o tym powiedział, nie rozmawiał z nią. — Natomiast Girardieau miał satysfakcję z tego, że córka jest powiązana z prawdziwie ważnym projektem — wyjaśnił. — Ponadto otwarto mnie dla świata, by mi się lepiej przyjrzał. Widzisz, byłem najcenniejszym motylem w jego kolekcji, ale przed ukazaniem się biografii nie mógł się mną przechwalać.

— Doświadczałam tej interaktywnej biografii — oznajmiła Sluka. — Nie jestem całkowicie przekonana, czy Girardieau dostał, czego chciał.

— Wszystko jedno. Obiecał, że dotrzyma słowa.

Oczy Sylveste'a zawiodły i przez chwilę kobieta, do której się zwracał, wyglądała jak kobietokształtna dziura wycięta w materii pokoju, dziura za którą rozciągała się nieskończoność.

Dziwne wrażenie minęło.

— Chciałem dostać się do Cerbera-Hadesa — ciągnął. — Myślę, że pod koniec Nils był niemal gotów, by mi to umożliwić, o ile kolonia znalazłaby środki.

— Myślisz, że coś tam jest?

— Jeśli zapoznałaś się z moimi ideami, musisz uznać ich logikę — oznajmił Sylveste.

— Uważam, że są intrygujące, jak wszystkie obsesyjne złudzenia.

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł Falkender z nieznanym Sylveste'owi mężczyzną. Sylveste założy}, że to Delaunay. Był przysadzisty jak buldog; nosił kilkudniowy zarost na twarzy i fioletowy beret na głowie. Na szyi miał okulary przeciwpyłowe, wokół oczu czerwone ślady. Przez klatkę piersiową biegły taśmy. Stopy znikały w butach ochronnych koloru ochry.

— Pokaż naszemu gościowi te małe ohydki — poleciła Sluka.

Delaunay trzymał za gruby uchwyt czarny walec — najwidoczniej ciężki.

— Weź go — rzekła Sluka do Sylveste'a.

Wziął; rzeczywiście był ciężki. Pod uchwytem na wierzchu cylindra znajdował się pojedynczy zielony klawisz. Sylveste odstawił pojemnik na stół; był za ciężki, by trzymać go przez dłuższy czas.

— Otwórz — poleciła Sluka.

Nacisnął klawisz i cylinder rozwarł się jak matrioszka. Górna połowa podskoczyła na czterech metalowych wspornikach, odsłaniając trochę mniejszy walec, dotychczas schowany. Potem ten mniejszy cylinder otworzył się w podobny sposób, odkrywając następną zagnieżdżoną warstwę. Powtórzyło się to sześć czy siedem razy.

Wewnątrz skorup ukazała się wąska srebrna kolumna z maleńkim okienkiem z boku, zamykającym oświetloną wnękę, we wnętrzu której spoczywało coś podobnego do szpilki o pękatej główce.

— Przypuszczam, że teraz już wiesz, co to jest — powiedziała Sluka.

— Domyślam się, że nie wytworzono tego tutaj — oznajmił Sylveste. — I wiem, że z Yellowstone nie przywieźliśmy niczego podobnego. Zostaje więc nasz wspaniały dobroczyńca Remillioda. Sprzedał to wam?

— To i dziewięć takich samych. Teraz już osiem, ponieważ jedną wykorzystaliśmy przeciw Cuvier.

— To broń?

— Ludzie Remillioda nazywali to gorącym pyłem — wyjaśniła. — Antymateria. Główka szpilki zawiera tylko jedną dwudziestą grama antylitu, ale to więcej niż nam potrzeba.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że taka broń istnieje — rzekł. — Coś aż tak małego.

— To zrozumiałe. Ta technika była długo zakazana i dziś prawie nikt nie pamięta, jak się to produkuje.

— Jaką ma moc?

— Około dwóch kiloton. Wystarczy, żeby w Cuvier zrobić dziurę.

Sylveste skinął głową, rozważając to, co usłyszał. Usiłował sobie wyobrazić, co czuli ludzie w stolicy, którzy albo umierali, albo zostali oślepieni główką szpilki użytą przez Słuszną Drogę. Niewielka różnica ciśnień między wnętrzem kopuł a atmosferą zewnętrzną doprowadziła na pewno do wściekłych wichrów, szalejących na uporządkowanych terenach miejskich. Wyobraził sobie drzewa i rośliny wyrwane z arboretów i zniszczone siłą wiatru, niesione huraganem ptaki i inne zwierzęta. Ci, którzy przeżyli początkowe rozerwanie kopuły — trudno stwierdzić, ilu ich było — zapewne pośpiesznie szukali schronienia pod ziemią, by zdążyć, nim dławiące powietrze z zewnątrz zastąpi to uciekające spod kopuł. Trzeba przyznać, że obecnie rzeczywiście powietrze bardziej nadawało się do oddychania niż przed dwudziestu laty, ale oddychanie nim nawet kilka minut wymagało wprawy. Większość mieszkańców stolicy nigdy jej nie opuszczała. Sylveste sądził, że nie mieli szans.

— Dlaczego? — zapytał.

— To była… — Przerwała. — Już miałam przyznać, że to była

pomyłka, ale powiedziałbyś, że podczas wojny nie ma pomyłek, a tylko mniej lub bardziej szczęśliwe wydarzenia. Nie zamierzaliśmy wykorzystać tego łebka od szpilki. Lojaliści Girardieau mieli poddać miasto, gdy tylko się dowiedzą, że mamy taką broń. Ale to nie wyszło. Sam Girardieau wiedział o istnieniu główek, tyle że nie poinformował podwładnych. Nikt nie wierzył, że je mamy.

Nie musiała nic więcej mówić; było jasne, co zaszło. Sfrustrowani faktem, że ich broni nikt nie traktuje serio, bandyci i tak jej użyli. A przecież stolica była nadal zamieszkana, Sluka wcześniej mu to sugerowała. Lojaliści Girardieau nadal utrzymywali miasto. Prowadzą działalność z podziemnych bunkrów, a nad nimi hulają burze pyłowe, przenikając przez rozprute konstrukcje zniszczonych kopuł. Tak to sobie wyobrażał.

— Widzisz wiec — ciągnęła kobieta — że nie powinni nas lekceważyć, zwłaszcza ci, którzy są jeszcze trochę przywiązani do władzy Girardieau.

— Jak chcesz wykorzystać pozostałe główki?

— W infiltracji. Po zdjęciu osłony sama główka jest tak mała, że da się umieścić na przykład w zębie. Nikt jej nie znajdzie, chyba że przeprowadzi bardzo szczegółowe badanie medyczne.

— Na tym polega twój plan? Znaleźć ośmiu ochotników, chirurgicznie im to zaimplantować, a potem niech przenikną do stolicy? Myślę, że tym razem ci uwierzą.

— Tak, chociaż nie potrzebujemy ochotników — oznajmiła Sluka. — Ich obecność może być korzystna, ale nie są już konieczni.

Sylveste nie mógł powstrzymać się od uwagi, choć wiedział, że jest zbędna:

— Gillian, myślę, że piętnaście lat temu byłaś bardziej sympatyczna.

— Zabierz go z powrotem do celi — powiedziała Falkenderowi. — Chwilowo mnie znudził.

Poczuł, jak chirurg ciągnie go za rękaw.

— Gillian, czy mogę poświęcić jeszcze trochę czasu jego oczom? Mógłbym zrobić coś więcej, ale kosztem sporego cierpienia.

— Rób, co chcesz — odparła Sluka. — Ale nie czuj się do tego zobowiązany. Teraz, kiedy go mam, przyznaję, że jestem nieco rozczarowana. Też wydawał mi się kiedyś bardziej sympatyczny, zanim Girardieau zrobił z niego męczennika. — Wzruszyła ramionami. — Jest zbyt cenny, by go wyrzucić, i chyba po prostu każę go zamrozić, póki nie znajdę dla niego zastosowania, co może nastąpić za rok lub za pięć lat. Mówię to, doktorze Falkender, bo szkoda inwestować za dużo czasu w coś, czym wkrótce możemy się znużyć.

— Samo przeprowadzenie operacji jest nagrodą — odpowiedział mężczyzna.

— Już teraz widzę dostatecznie dobrze — wtrącił Sylveste.

— Ależ nie — odparł Falkender. — Potrafię zrobić dla ciebie znacznie więcej. O wiele więcej. Ledwie zacząłem.

Volyova była na dole z kapitanem Branniganem, kiedy szczurowóżny poinformował ją, że kamyki nadesłały już raporty. Pobierała właśnie świeże próbki z peryferii kapitana, zachęcona ostatnim powodzeniem w walce z zarazą, osiągniętym dzięki pewnemu szczepowi retrowirusów. Wirus był modyfikacją jednego z gatunków militarnych cyberwirusów, które kiedyś zaatakowały statek. Odpowiednio je zmodyfikowała, by zwalczał zarazę. To dziwne, ale chyba rzeczywiście skutecznie działał — przynajmniej na drobnych testowych próbkach. Jakież to irytujące, kiedy odrywa cię od pracy coś, co zaczęłaś dziewięć miesięcy temu i prawie już o tym zapomniałaś. Nie do wiary, że upłynęło aż tyle czasu. Jednak teraz z niecierpliwością czekała na wieści.

Pojechała windą w górę statku. Dziewięć miesięcy. Szybko minęło, ale tak jest, kiedy cały czas się pracuje. Powinna się była tego spodziewać. Wiedziała, że upłynęło tyle czasu, ale informacja jakoś nie przebiła się do tych części umysłu, gdzie takie fakty akceptowano. Jednak wszelkie dane cały czas istniały. Statek leciał teraz tylko z ćwiercią szybkości światła. Za sto dni dokonają ostatecznego wlotu do wnętrza orbity Resurgamu, a wtedy potrzebna będzie strategia. Tu właśnie zaczynała się rola kamyków.

Migawki z Resurgamu i otaczającej go przestrzeni w rozmaitych pasmach widma elektromagnetycznego i widma rozmaitych cząsteczek egzotycznych gromadziły się na mostku. To było pierwsze aktualne zerknięcie na potencjalnego wroga. Volyova umieściła najważniejsze fakty głęboko w swej świa — domości, tak by w czasie kryzysu mogła je przywołać z instynktowną łatwością. Kamyki przemknęły po obu stronach Resurgamu, więc dysponowała danymi zarówno ze strony dziennej, jak i nocnej. Co więcej, obłok kamyków rozciągnął się wzdłuż linii lotu, tak że między przejściem przez układ pierwszego i ostatniego kamyka upłynęło piętnaście godzin, co pozwalało na obejrzenie całej powierzchni Resurgamu zarówno w ciemności, jak i w świetle dziennym. Kamyki po stronie dziennej odwracały się od Delty Pawia, szpiegowały neutrinowe przecieki z jednostek energetycznych, opartych na syntezie jądrowej i na antymaterii. Kamyki po stronie nocnej łowiły charakterystyki cieplne ośrodków zamieszkanych i urządzeń orbitalnych. Inne czujniki węszyły atmosferę, mierząc poziom tlenu, ozonu i azotu; oceniały zakres oddziaływania kolonistów na oryginalną biomę.

Zdumiewające, bez ilu rzeczy obywali się tamtejsi ludzie, a przecież przebywali tu już pół wieku. Wielkie orbitalne struktury nie istniały, brak było śladów lokalnego, wewnątrzukładowego ruchu

kosmicznego. Planetę okrążało tylko kilka satelitów komunikacyjnych, a ponieważ na powierzchni nie zarejestrowano oznak większego uprzemysłowienia, prawdopodobnie nie wymieniano uszkodzonych urządzeń. W razie konieczności łatwo będzie zakłócić pracę tych satelitów, które jeszcze działały. Na razie Volyova nie sprecyzowała planu działania.

A jednak coś tam robili: parametry atmosfery świadczyły o znacznych modyfikacjach; stężenie wolnego tlenu przekraczało oczekiwania Volyovej. Czujniki podczerwieni wykryły stacje geotermiczne ustawione w przypuszczalnych strefach subdukcji kontynentalnej. Przecieki neutrinowe w obszarach biegunowych wskazywały na obecność fabryk tlenu — jednostek syntezy jądrowej, które rozbijały molekuły wodnego lodu, by uzyskać wodór i tlen. Tlen wypuszczono do atmosfery lub pompowano do kopuł, natomiast wodór wracał do urządzeń syntezy. Volyova rozpoznała ponad pięćdziesiąt wspólnot, większość z nich małych, żadna nie zbliżała się nawet do rozmiaru głównego osiedla. Założyła, że istnieją również inne, mniejsze placówki — rodzinne stacje i domostwa — ale takich kamyki by nie dostrzegły.

Co więc mogła umieścić w sprawozdaniu? Brak orbitalnych środków obrony, prawie na pewno brak możliwości podróży kosmicznych, większość mieszkańców planety nadal jest stłoczona w jednej wspólnocie. Porównując siły, stwierdzała, że skłonienie ich do wydania Sylveste'a powinno być dziecinnie łatwe.

Występował jednak dodatkowy czynnik.

Układ Resurgamu to układ podwójny. Sama gwiazda Delta Pawia dawała życie, ale posiadała martwego bliźniaka. Ciemnym towarzyszem była gwiazda neutronowa, oddalona od Delty o dziesięć godzin świetlnych, dostatecznie daleko, by planety mogły krążyć po stabilnych orbitach wokół obydwu gwiazd. I rzeczywiście, gwiazda neutronowa chlubiła się własną planetą. Volyova znała ten fakt, zanim jeszcze nadeszła informacja od kamyków. Ślad owej planety w bazie danych statku to linia komentarza i strzęp zwięzłych danych numerycznych. Takie światy były niezmiennie monotonne z chemicznego punktu widzenia, pozbawione atmosfery, bezwładne biologicznie, wysterylizowane wiatrem od gwiazdy neutronowej w okresie, gdy była pulsarem. To jak bryła gwiezdnej szlaki, równie ciekawe, myślała Volyova.

Jednak niedaleko tego świata działało źródło neutrino. Słabe — na granicy wykrywalności — ale nie można go było zignorować. Volyova przeżuwała tę wiedzę przez kilka chwil, zanim ją zregurgitowała jako drobny, kłopotliwy, kawałek pewności. Tylko maszyna mogła dawać taką sygnaturę.

To Volyovą niepokoiło.

— Naprawdę czuwałaś cały czas? — zapytała Khouri wkrótce po obudzeniu, kiedy razem z Volyovą zjeżdżały na dół do kapitana.

— Nie dosłownie. Nawet moje ciało od czasu do czasu potrzebuje snu. Próbowałam kiedyś pozbyć się tej cechy; istnieją odpowiednie narkotyki. I implanty, które można umieścić w aktywującym układzie siateczkowym, czyli obszarze mózgu, który odpowiada za sen — ale i tak trzeba się czyścić z trucizn zmęczeniowych. — Skrzywiła się. Khouri widziała wyraźnie, że Volyovej temat implantów sprawiał tyle przyjemności, co ból zębów.

— Wiele się wydarzyło? — spytała Khouri.

— Nic, czym musiałabyś sobie zawracać głowę. — Volyova zaciągnęła się papierosem. Khouri już myślała, że temat się zakończy, ale jej przewodniczka po chwili kontynuowała ze skrępowaniem.

— Ach, skoro pytasz… coś jednak się wydarzyło. Dwie sprawy, choć nie wiem, do której przywiązywać większą wagę. Pierwsza w tej chwili cię nie dotyczy. Co do drugiej…

Khouri szukała w twarzy kobiety konkretnych dowodów, że od ich ostatniego spotkania Volyova się postarzała. Nie było nic, najmniejszej oznaki, zatem kobieta zrównoważyła siedem lat specyfikiem przeciw starzeniu. Wyglądała inaczej, ale tylko dlatego, że zapuściła nieco włosy — nadal były krótkie, jednak dodatkowa długość łagodziła ostre linie szczęk i kości policzkowych. Volyova wygląda raczej na młodszą o te siedem lat, myślała Khouri. Po raz kolejny próbowała ocenić rzeczywisty, fizjologiczny wiek kobiety — bez powodzenia.

— Co to było?

— Niezwykła aktywność neuronowa podczas twego snu w chłodni. Nie powinna w ogóle występować. Ale obraz, który ujrzałam, nie wyglądałby normalnie nawet u osoby rozbudzonej. Jakby w twojej głowie toczyła się mała wojna.

Winda dotarła na poziom Kapitana.

— To interesująca analogia — oznajmiła Khouri, wchodząc w chłód korytarza.

— Zakładając, że to rzeczywiście analogia. Naturalnie wątpiłam, czy w ogóle zdawałaś sobie z tego sprawę.

— Nic nie pamiętam — oświadczyła Khouri.

Volyova zamilkła. Dotarły do kapitana — człowieczej mgławicy. Połyskujący i niepokojąco śluzowaty, przypominał raczej anioła, który spadł z nieba i rozbił się o twardą powierzchnię, a nie istotę ludzką. Starożytna lodówka, w której do niedawna przebywał, teraz rozbita i popękana, nadal funkcjonowała, ale kiepsko i otrzymywane zimno nie wystarczało do zdławienia nieuchronnego postępu zarazy. Kapitan Brannigan zapuścił teraz dziesiątki mackowatych korzeni do wnętrza okrętu. Volyova prześledziła ich bieg, ale nie mogła zapobiec ich

rozprzestrzenianiu. Mogła je odciąć, ale jaki skutek wywarłoby to na kapitanie? Z tego, co wiedziała, jedynie te korzenie utrzymywały go przy życiu — jeśli już użyć w stosunku do kapitana tego pochlebnego określenia. Volyova utrzymywała, że w końcu te korzenie przenikną cały statek i wtedy prawdopodobnie zniknie różnica miedzy pojazdem a kapitanem. Oczywiście mogła powstrzymać ten rozrost, odrzucając część statku, odcinając ją całkowicie od reszty pojazdu, niczym starożytny chirurg operujący szczególnie złośliwe guzy. Obszar, który kapitan w siebie włączył, był obecnie dość mały i statek z pewnością by się bez niego obszedł. Niewątpliwie przemiana Brannigana postępowałaby naprzód, ale z powodu braku podtrzymującego materiału skierowałaby się intymnie do swego wnętrza, aż entropia wyparłaby życie z tego, czym stał się kapitan.

— Brałaś pod uwagę takie działanie? — spytała Khouri.

— Owszem — odparła Volyova. — Ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Wszystkie te próbki, które pobierałam… Myślę, że do czegoś to rzeczywiście prowadzi. Znalazłam kontragenta, retrowirus, który wydaje się silniejszy od zarazy. Zmienia mechanizm zarazy szybciej, niż zaraza zmienia wirus. Dotychczas testowałam to na drobnych kawałkach i naprawdę nie mogę zrobić więcej, gdyż przetestowanie tego na kapitanie to kwestia medyczna, a ja nie mam odpowiednich kwalifikacji.

— Jasne — przyznała pośpiesznie Khouri. — Ale jeśli tego nie zrobisz, całą inicjatywę oddasz Sylveste'owi?

— To możliwe, ale należy docenić jego umiejętności. Mówiąc dokładniej, umiejętności Calvina.

— 1 on ci pomoże, tak po prostu?

— Nie, również za pierwszym razem nie pomagał nam z własnej woli, a jednak znaleźliśmy na to sposób.

— Perswazja?

Volyova przez chwilę pobierała próbkę z rurowej macki w miejscu, gdzie zanurzała się w kiszkowatą masę statkowej hydrauliki.

— Sylveste ma swoje obsesje — wyjaśniła. — A takimi ludźmi łatwiej manipulować, bo nie zdają sobie z tego sprawy. Uparcie dążą do celu i nie zawsze zauważają, że tymczasem inni naginają ich wedle własnej woli.

— Na przykład do twojej.

Volyova pobrała cienką próbkę i odłożyła ją do analizy.

— Sajaki powiedział ci, że wzięliśmy go na pokład, w czasie gdy uważano, że zaginął?

— Trzydzieści dni na puszczy.

— Głupio brzmi — stwierdziła Volyova, zgrzytając zębami. — Czy zawsze muszą nadawać temu tó cholerne biblijne określenie? On i tak ma kompleks Mesjasza. Tak, właśnie wtedy wzięliśmy go na

pokład. A odbyło się to trzydzieści lat przed ekspedycją z Yellowstone na Resurgam. Teraz zdradzę ci tajemnicę. Przed powrotem na Yellowstone, wtedy gdy zostałaś przez nas zwerbowana, w ogóle nie wiedzieliśmy, że taka ekspedycja wyruszyła. Sądziliśmy, że Sylveste nadal jest na Yellowstone.

Khouri wraz z Fazilem przeżyła podobny problem co załoga Volyovej, ale uznała, że warto teraz okazać nieco fałszywej ignorancji.

— To niedbałość z waszej strony, że nie sprawdziliście tego bezpośrednio.

— Przeciwnie, sprawdziliśmy, ale gdy informacje do nas dotarły, zestarzały się o kilkadziesiąt lat. A kiedy na nie zareagowaliśmy, skacząc do Yellowstone, zestarzały się o drugie tyle.

— Przedsięwzięcie miało szansę powodzenia. Ich rodzina zawsze była związana z Yellowstone, więc można się było spodziewać, że młody bogaty urwis nadal przebywa w starym miejscu.

— Jednak nie mieliśmy racji. Ponadto w ogóle moglibyśmy sobie darować to zamieszanie. Niewykluczone, że Sylveste planował ekspedycję na Resurgam, kiedy po raz pierwszy wzięliśmy go na pokład. Należało go uważnie słuchać, wtedy moglibyśmy tam lecieć bezpośrednio.

Kiedy przechodziły przez skomplikowany ciąg wind i tuneli dostępu, prowadzących od korytarza kapitana na polankę, Volyova mówiła bezgłośnie do bransolety, której nigdy nie zdejmowała z przegubu. Zwracała się do jednej z wielu sztucznych tożsamości statku, ale Khouri nie wiedziała, co Volyova szykuje.

Po zimnie i ciemnościach korytarza polanka była zmysłową ucztą — zielone światło, ciepłe powietrze o świeżości bukietu, kolorowe ptaki, które władały powietrzną przestrzenią komnaty, dla przywykłych do mroku oczu Khouri były zbyt jaskrawe. Przytłoczona wrażeniami nie zauważyła, że nie są z Volyovą same. Po chwili dostrzegła trójkę pozostałych osób, które klęczały w wilgotnej od rosy trawie dookoła drewnianego pieńka. Wpatrywały się w siebie. Jedną z osób był Sajaki, choć inaczej uczesany niż wówczas, gdy Khouri widziała go ostatnio: teraz całkowicie łysy, miał tylko węzeł na szczycie czaszki. Drugą osobą była sama Volyova — nosiła krótkie włosy, co podkreślało kanciasty kształt czaszki i nadawało kobiecie wygląd starszej od tej Volyovej, która stała obok Khouri. Khouri uświadomiła sobie, że trzecią osobą był sam Sylveste.

— Dołączymy do nich? — spytała Volyova, prowadząc po rozkołysanych schodach, opadających na murawę.

Khouri ruszyła za nią.

— To pochodzi z… — Przerwała, by przypomnieć sobie datę, kiedy Sylveste zniknął z Chasm City. — Mniej więcej z 2340 roku, prawda?

— Tak jest. — Volyova obróciła się do Khouri i spojrzała na nią z łagodnym rozbawieniem. — Kim jesteś? Ekspertem od biografii Sylveste'a? Och, nieważne. Zarejestrowaliśmy całą jego wizytę. Rzucił wtedy szczególną uwagę, która w świetle tego, co teraz wiemy, jest istotna.

— Intrygujące.

Khouri podskoczyła, ponieważ nie powiedziała tego sama, a głos zdawał się dochodzić z tyłu. Wtedy uświadomiła sobie obecność Mademoiselle, która zatrzymała się w górze na schodach.

— Powinnam była wiedzieć, że pokażesz swe ohydne oblicze — powiedziała Khouri, nie troszcząc się nawet o subwokalizację, gdyż świergot ptaków maskował jej słowa, a Volyova poszła naprzód. — Jesteś jak zły szeląg.

— Przynajmniej wiesz, że ciągle jestem w pobliżu. Gdybym znikneła, miałabyś podstawy do niepokoju. To by znaczyło, że Złodziej Słońca pokonał moje zabezpieczenia. Twoje zdrowie psychiczne byłoby następne w kolejce i naprawdę lepiej nie spekulować, jak to by się odbiło na twojej karierze zawodowej i jak by to potraktowała Volyova.

— Zamknij się i daj mi się skoncentrować na tym, co mówi Sylveste.

— Proszę bardzo — odparła krótko Mademoiselle, nie schodząc ze swego punktu obserwacyjnego.

Khouri dołączyła do Volyovej na polance.

— Oczywiście — zwróciła się do Khouri Volyova — mogłabym odegrać tę rozmowę z dowolnego miejsca na statku, ale ona odbyła się tutaj. — Sięgnęła do kieszeni kurtki, wyciągnęła dymne okulary ochronne i je założyła. Khouri zrozumiała: nie mając implantów, Volyova mogła oglądać playback tylko za pomocą bezpośredniej projekcji na siatkówkę. Dopóki nie włożyła okularów, w ogóle nie widziała tych postaci.

— Rozumiesz — mówił Sajaki. — Spełnienie naszych żądań leży w twoim najlepszym interesie. Wykorzystywałeś elementy Ultra w przeszłości — na przykład podczas podróży do Całunu Lascaille'a — i prawdopodobnie będziesz chciał je wykorzystywać w przyszłości.

Sylveste oparł łokcie na pieńku. Khouri uważnie przyglądała się mężczyźnie. Wcześniej widziała wiele podobizn Sylveste'a, ale ten wizerunek wyglądał od nich prawdziwiej, prawdopodobnie dlatego, że Sylveste rozmawiał akurat z parą ludzi, których znała, a nie z anonimowymi postaciami historycznymi z Yellowstone. Różnica była ogromna. Uznała go za przystojnego, niezwykle przystojnego, i sądziła, że obraz nie jest wyretuszowany. Długie włosy spływały w lokach po obu stronach wysokiego czoła; oczy miał wyraziste, zielone. Nawet jeśli tuż przed jego zabójstwem spojrzałaby mu w oczy — a tak

się mogło zdarzyć, zważywszy na warunki postawione przez Mademoiselle — warto było je zobaczyć w naturze.

— To niesłychany szantaż — stwierdził Sylveste. Mówił najciszej z obecnych. — Brzmi to tak, jakbyście wy, Ultrasi, zawarli jakąś wiążącą umowę. Ktoś mógłby się na to nabrać, ale nie ja.

— Wobec tego, kiedy następnym razem spróbujesz zapewnić sobie pomoc Ultrasów, może cię spotkać niespodzianka — odparł Sajaki, bawiąc się drewnianą drzazgą. — Postawmy sprawę jasno. Jeśli nam odmówisz, to jak wpłynie to na inne twoje sprawy? A poza tym nigdy na pewno nie uda ci się opuścić rodzinnej planety.

— Raczej nie przysporzy mi to wielkich niewygód.

Volyova — jej siedząca wersja — potrząsnęła głową.

— Nie zgadza się to z tym, co mówią nasi szpiedzy. Krążą pogłoski, że próbujesz znaleźć fundusze na ekspedycję do układu Delty Pawia, doktorze Syh/este.

— Resurgam? Nie sądzę. Nic tam nie ma.

Prawdziwa Volyova powiedziała:

— Wyraźnie łże. Teraz to oczywiste, choć wtedy uznałam, że pogłoska jest fałszywa.

Sajaki mu odpowiedział. Teraz Sylveste znowu się bronił.

— Nie dbam o to, jakie słyszałeś pogłoski — lepiej je zignoruj. Nie ma żadnego powodu, by tam lecieć. Jeśli mi nie wierzysz, sprawdź dane.

— I to właśnie jest dziwne — powiedziała rzeczywista Volyova. — Zrobiłam, co sugerował, i niech mnie diabli, jeśli nie miał racji. Na podstawie ówczesnej wiedzy nie było absolutnie żadnych powodów, by myśleć o wyprawie na Resurgam.

— Ale przed chwilą powiedziałaś, że kłamał.

— Owszem kłamał. Ale to stało się jasne w retrospektywie. — Potrząsnęła głową. — Wie.sz, nigdy naprawdę się nad tym nie zastanawiałam, ale to rzeczywiście bardzo dziwne — nawet paradoksalne. Trzydzieści lat po tym spotkaniu na Resurgam wyruszyła wyprawa, więc mimo wszystko pogłoska się potwierdziła. — Wskazała głową na Sylveste'a, toczącego gorącą dyskusję z jej siedzącym wizerunkiem. — Ale wtedy nikt nie wiedział o Amarantinach! Cóż więc, do diabła, naprowadziło go na pomysł, żeby lecieć właśnie na Resurgam?

— Musiał mieć pewność, że coś tam znajdzie.

— Owszem, ale skąd pochodziła ta informacja? Przed ekspedycją latały tam zautomatyzowane zwiady, ale żaden z nich nie był szczegółowy. I, o ile wiem, żaden z nich nie zeskanował powierzchni planety z dostatecznie małej odległości, by znaleźć dowód, że na Resurgamie istniało kiedyś życie rozumne. A jednak Sylveste o tym wiedział.

— Co nie ma sensu.

— Wiem, oznajmiła Volyova. — Wierz mi, wiem o tym.

Podeszła do swej bliźniaczki przy pieńku i nachyliła się tak blisko wizerunku Sylveste'a, że Khouri widziała odbicie jego niemrugających zielonych oczu w dymnych szkłach jej okularów ochronnych.

— Co wiedziałeś? — zapytała Volyova. — A konkretnie, skąd to wiedziałeś?

— Nie odpowie ci przecież — zauważyła Khouri.

— Teraz może nie — powiedziała Volyova. Uśmiechnęła się. — Ale niedługo będzie tu siedział ten prawdziwy, a wtedy może uzyskamy odpowiedź.

W tym momencie jej bransoleta zaczęła wydawać głośne, niskie dźwięki. Nie były Khouri znajome, ale z pewnością oznaczały alarm. W górze, bez żadnych ceregieli, syntetyczne światło dzienne stało się krwistoczerwone i również zaczęło pulsować w rytm melodyjki bransolety.

— Co to? — spytała Khouri.

— Sytuacja awaryjna. — Volyova trzymała bransoletę tuż przy szczęce. Zerwała okulary projekcyjne z twarzy i patrzyła na mały displej. Również on pulsował czerwienią, doskonale zsynchronizowany z sygnałem dźwiękowym. Na displej sączyły się słowa, jednak nie dość wyraźne, by Khouri je mogła przeczytać.

— Jaka sytuacja awaryjna? — szepnęła Khouri, nie chcąc rozpraszać uwagi kobiety. Trio zniknęło gdzieś w tej samej części statkowej pamięci, która powołała je do życia.

Volyova podniosła wzrok znad bransolety. Twarz miała zupełnie bladą.

— To jedna z broni w kazamacie.

— Tak?

— Uzbraja się.

JEDENAŚCIE

Podchodząc do Delty Pawia, 2565

Biegły korytarzem, wiodącym z łączki do najbliższego szybu windy radialnej.

— Co masz na myśli? — Khouri usiłowała przekrzyczeć sygnał alarmowy. — Co to znaczy „uzbraja się”?

Volyova nie odpowiadała. Zdyszane dotarły do czekającej kabiny windy. Poleciła kabinie, by ruszyła do najbliższego szybu windy w rdzeniu i ignorowała wszystkie rutynowe ograniczenia na przyśpieszenie. Kiedy kabina wystartowała, zostały przyparte do jej szklanych ścian i omal nie straciły resztek tchu. Wewnętrzne światła kabiny pulsowały czerwienią. Volyova czuła, jak jej serce zaczyna pulsować tym samym rytmem.

— Dokładnie to, co powiedziałam — odezwała się po chwili. — Każda broń kazamatowa ma systemy monitorujące i jeden właśnie wykrył przypływ energii w nadzorowanej broni.

Zainstalowała te monitory dlatego że, jak wcześniej zauważyła, jedna z broni została poruszona. Teraz o tym jednak nie powiedziała Khouri. Od tamtego czasu żyła w nadziei, że sobie to wyimaginowała, że to halucynacja wywołana stresem samotnego czuwania. Ale to nie były zwidy.

— Jak ona może się zbroić?

Pytanie jak najbardziej rozsądne. Jedno z tych, na które Volyovej zdecydowanie brakowało prostej odpowiedzi.

— Mam nadzieję, że to tylko kiks w systemie monitorującym — odparła, byleby coś powiedzieć. — Nie w samej broni.

— Dlaczego miałaby się uzbrajać?

— Nie mam pojęcia! Zauważyłaś, że nie przyjmuję tego spokojnie?

Winda osiowa hamowała gwałtownie, przechodząc do centralnego szybu serią szarpnięć, przy których miało się mdłości. Następnie błyskawicznie opadała, a pozorna waga obu kobiet zmniejszyła się prawie do zera.

— Dokąd jedziemy? — spytała Khouri.

— Oczywiście do kazamaty. — Volyova spojrzała na nią wściekle. — Nie wiem, co się dzieje, ale muszę osobiście sprawdzić, co te cholerstwa naprawdę robią.

— Uzbrajają się. Cóż jeszcze mogą robić?

— Nie wiem — odparła Volyova najspokojniej, jak mogła. —

Próbowałam wszelkich procedur wyłączających, nic nie zadziałało. Nie przewidziałam takiej sytuacji.

— Ale broń z pewnością nie może się sama ustawić? Nie może przecież samodzielnie znaleźć celu i wypalić?

Volyova spojrzała na swą bransoletę. Może odczyty się poplątały; może rzeczywiście nastąpił kiks w systemie nadzorującym. Miała nadzieję, że tak właśnie jest, gdyż bransoleta przekazywała naprawdę złą wiadomość.

Broń kazamatowa zmieniała swoje położenie.

Falkender dotrzymał słowa: operacja oczu Sylveste'a nie była przyjemna, często straszna, z momentami absolutnego cierpienia. Od wielu dni chirurg Sluki badał jego czaszkę, obiecując przywrócenie tak podstawowych ludzkich funkcji jak postrzeganie koloru oraz odczuwanie głębi i płynności ruchów. Nie przekonał jednak Sylveste'a, że posiada odpowiednie środki i kwalifikacje. Sylveste oznajmił Falkenderowi, że przede wszystkim oczy nigdy nie były idealne, że te Calvinowskie narzędzia miały dość ograniczone możliwości. Lecz nawet zgrubne widzenie, które zapewnił mu Calvin, było lepsze od jednostajnie zabarwionej parodii świata, gdzie wszystko poruszało się skokowo. Sylveste wątpił jednak — nie po raz pierwszy — czy przykrości związane z naprawą usprawiedliwiają końcowy rezultat.

— Sądzę, że powinieneś dać spokój — rzekł.

— Naprawiłem Slukę — stwierdził Falkender, sinawy laminat pełen płaskich otworów w kształcie człowieka, tańczący w polu widzenia Sylveste'a. — W twoim wypadku zadanie nie jest zbyt trudne.

— Więc cóż z tego, że przywrócisz mi wzrok? Nie zobaczę żony, ponieważ Sluka nie pozwoli nam być razem. A ściana celi to tylko ściana celi, bez względu na to, jak wyraźnie ją dostrzegasz. — Przerwał, bo fale bólu zalały mu skronie. — Nie jestem nawet pewien, czy nie lepiej być ślepcem. Przynajmniej wtedy rzeczywistość nie wali cię w nerwy wzrokowe za każdym razem, gdy otwierasz oczy.

— Nie masz oczu, doktorze Sylveste. — Falkender czymś pokręcił, przesyłając mu w pole widzenia różowe rozety bólu. — Nie użalaj się nad sobą. To nie przystoi. Ponadto, możliwe, że już niedługo nie będziesz musiał patrzyć na te ściany.

Sylveste ożywił się.

— To znaczy?

— To znaczy, że wkrótce sprawy mogą ruszyć z miejsca. Nawet jeżeli to, co słyszałem, jest prawdą tylko w połowie.

— Bardzo wyczerpująca informacja.

— Krążą pogłoski, że niedługo możemy mieć gości. — Falkender podkreślił swoje słowa następną dawką bólu.

— Nie mów zagadkami. Kiedy mówisz „my", jaką opcję

polityczną masz na myśli? I jakich gości?

— Znam tylko pogłoski, doktorze Sylveste. I jestem pewien, że Sluka poinformuje cię we właściwym czasie.

— Nie licz na to. — Sylveste akurat nie miał złudzeń, że jest użyteczny dla Sluki. Doszedł do przekonującego wniosku, że Sluka trzyma go przy życiu jedynie dla przelotnej rozrywki, jak złapaną bajkową bestię, nową, lecz o wątpliwej użyteczności. Wcale nie było oczywiste, że kiedykolwiek podzieli się z nim naprawdę poważnymi materiałami — a nawet jeśli to zrobi, to tylko albo dlatego, że zechce mieć żywego rozmówcę, albo wymyśli jakąś nową słowną torturę. Kilkakrotnie wspominała, że ułoży go do snu, dopóki nie wymyśli dla niego zastosowania. „Słusznie cię uwięziłam", mawiała. „I nie twierdzę, że nie możesz być wykorzystany, ale na razie nie widzę z ciebie pożytku. A po co ktoś inny miałby cię zastosować". Zachowanie go przy życiu miało dla Sluki niewielkie znaczenie. Żywy dostarczał jej pewnej rozrywki, a mógł się też przydać w przyszłości, kiedy zmieni się równowaga sił w kolonii. Z drugiej strony, gdyby go teraz zabiła, nic wielkiego się nie stanie, a przynajmniej on nigdy nie zwróci się przeciw niej.

W końcu nadszedł kres czule aplikowanym torturom, przejście do spokojniejszego światła i niemal wiernych kolorów. Sylveste uniósł dłoń przed oczy i powoli ją obrócił, napawając się solidnością widoku. Na skórze miał rowki i linie, o których prawie zapomniał, a przecież nie upłynęło więcej niż kilkadziesiąt dni od czasu, gdy oślepiono go w tunelu amarantińskim.

— Świetne, jak nowe — powiedział Falkender, składając swe narzędzia z powrotem do drewnianego autoklawu. Na końcu schował dziwną, wypustkowatą rękawicę; kiedy ściągał ją ze swych kobiecych palców, kręciła się i kurczyła jak wyrzucona na brzeg meduza.

— Daj tu trochę światła — powiedziała Volyova do bransolety, gdy winda wjechała do kazamaty.

Pudło zwolniło i stanęło, ciężar natychmiast powrócił. Musiały zmrużyć oczy, gdy w hali zapaliły się lampy, rzucając światło na ogromne, ułożone w kołyskach jednostki broni.

— Gdzie to jest? — spytała Khouri.

— Chwileczkę. Muszę się zorientować.

— Nie widzę, żeby coś się ruszało.

— Ja też na razie nie.

Volyova płasko przywarła do szklanego boku windy i usiłowała zajrzeć za najbardziej zwalistą sztukę broni. Klnąc, kazała windzie zjechać jeszcze dwadzieścia, trzydzieści metrów, potem znalazła polecenie, które wyłączyło pulsujące czerwone światło i wewnętrzny sygnał alarmowy.

— Spójrz — powiedziała Khouri we względnej ciszy, która teraz

zapanowała. — Czy to coś się porusza?

— Gdzie?

Wskazała prawie pionowo w dół. Volyova spojrzała tam, mrużąc oczy, i znowu powiedziała do bransolety:

— Oświetlenie dodatkowe — pomieszczenie kazamaty, kwadrant pięć. — Potem zwróciła się do Khouri: — Zobaczmy, co knuje ten svinoi.

— Nie mówiłaś tego poważnie, prawda?

— O czym?

— O kiksie w systemie nadzorującym.

— Niezupełnie. — Włączyły się dodatkowe lampy, oświetlając część pomieszczenia w dole. Volyova jeszcze bardziej zmrużyła oczy. — W tej chwili szybko mnie opuszcza coś, co zwą optymizmem.

Wyjaśniła, że ta broń to urządzenie niszczące całe planety. Nie wiedziała dokładnie, jak ono działa ani jaką ma siłę. Przed laty — ustawiła je na jak najmniejszy zakres destrukcji i przetestowała na małym księżycu. Ekstrapolując — a Volyova była bardzo dobra w ekstrapolacji — oceniła, że broń bez trudu mogłaby rozbić planetę nawet z odległości setek JA. Wewnątrz urządzenia znajdowały się obiekty o cechach grawitacyjnych kwantowych czarnych dziur, które jednak, rzecz dziwna, nie wyparowywały. W jakiś sposób broń tworzyła soliton — falę stojącą w geodetycznej strukturze czasoprzestrzeni.

A teraz broń się ożywiła sama z siebie. Sunęła przez pomieszczenie po sieci szyn, które w końcu mogły ją wyprowadzić w otwarty kosmos. Podobne wrażenie wywołałby pełznący przez miasto drapacz chmur.

— Czy możemy coś zrobić?

— Jestem otwarta na propozycje. Co masz na myśli?

— Cóż, weź pod uwagę, że nie poświęciłam całych wieków na rozmyślania o tym.

— Mów, Khouri.

— Mogłybyśmy czymś ją zablokować. — Khouri zmarszczyła czoło, jakby walczyła z atakiem migreny. — Masz tutaj promy kosmiczne, prawda?

— Tak, ale…

— Więc wykorzystaj jeden z nich, by zablokować wyjście. Czy też może takie rozwiązanie wydaje ci się zbyt prymitywne?

— W tej akurat chwili wyrażenia „zbyt prymitywne” nie ma w moim słowniku.

Volyova spojrzała na swą bransoletę. Broń opuszczała się cały czas po ścianie kazamaty, przypominając opancerzonego ślimaka, cofającego się po śladzie własnego śluzu. Na dnie komnaty rozwierała się właśnie olbrzymia przesłona, szyny prowadziły przez jej otwór do

ciemnego pomieszczenia poniżej. Broń już docierała do otworu.

— Mogę przestawić jeden z promów… ale wydostanie go ze statku zajmie zbyt wiele czasu. Chyba nie zdążymy…

— Przestawiaj! — Twarz Khouri wyrażała wielkie napięcie. — Jeszcze trochę pomarudź, a stracimy i tę możliwość!

Volyova skinęła głową, patrząc podejrzliwie na rekrutkę. Co Khouri wiedziała o tym wszystkim? Wydawała się mniej oszołomiona od Volyovej, choć również nadspodziewanie zdenerwowana. Ale miała słuszność: pomysł z promem warto było wypróbować, nawet jeśli szansę na powodzenie były nikłe.

— Potrzebujemy jeszcze czegoś — powiedziała, wezwawszy podtożsamość sterującą promem.

— Jeszcze czegoś?

— Na wypadek, gdyby to się nie powiodło. Problem wystąpił w centrali uzbrojenia i może właśnie tam powinnyśmy go zaatakować.

Khouri zbladła.

— Co takiego?

— Chcę, byś siadła w fotelu sterującym.

Opadały ku centrali. Winda przyśpieszała tak gwałtownie, że sufit i podłoga kabiny zamieniły się miejscami — Khouri miała wrażenie, że jej żołądek robi dokładnie to samo. Volyova, bez tchu, gorączkowo wydawała polecenia swej bransolecie. Dotarcie do właściwej podtożsamości zabrało kilka irytujących sekund, kilka dalszych trwało obchodzenie zabezpieczeń, chroniących promy przed nieautoryzowanym zdalnym sterowaniem. Potem rozgrzewały się silniki jednego z promów, pojazd wypinał się z mocowań dokujących i był wyprowadzany poza obręb statku. Jak stwierdziła Volyova, działało to tak, jakby ta cholerna rzecz nadal na wpół spała. Światłowiec ciągle hamował, co dodatkowo utrudniało manewry.

— Niepokoi mnie, co ta broń planuje zrobić, kiedy wydostanie się na zewnątrz — rzekła Khouri. — I czy coś znajduje się w jej zasięgu?

— Można przyjąć, że Resurgam. — Volyova uniosła wzrok znad bransolety. — Ale może teraz nie damy jej takiej szansy.

Mademoiselle wybrała ten moment, by zaistnieć. Udało jej się jakoś ustawić w windzie bez wchodzenia w obszar zajęty już przez Khouri i Triumwir.

— Myli się. To się nie powiedzie. Kontroluję więcej elementów, nie tylko kazamatę.

— Przyznajesz to teraz, prawda?

— Co tu zaprzeczać? — Mademoiselle uśmiechnęła się dumnie. — Przypominasz sobie, że załadowałam swój awatar do centrali uzbrojenia? A więc włada on teraz kazamatą. Nie mogę nic zrobić, by wpłynąć na jego działania. Jest poza moim zasięgiem w takim samym stopniu, jak ja jestem poza zasięgiem swej oryginalnej tożsamości na

Yellowstone.

Winda zwalniała. Volyova analizowała złożone komunikaty wyświetlane przez bransoletę. Schematyczny hologram pokazywał prom sunący wzdłuż kadłuba Swiatłowca — drobny trzymonaw kręcący się przy gładkim boku pławiącego się rekina.

— Ale to ty wydałaś rozkazy awatarowi — powiedziała Khouri. — Do cholery, wiesz, co on knuje, prawda?

— Och, polecenia były bardzo proste. Jeżeli władza nad centralą da mu dostęp do jakiegoś systemu, który mógłby przyśpieszyć zakończenie misji, awatar zrobi wszystko, by ten koniec przyśpieszyć.

Khouri potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— Myślałam, że chcesz, żebym to ja zabiła Sylveste'a.

— Dzięki tej broni cel misji może zostać osiągnięty wcześniej, niż się spodziewałam.

— Nie — powiedziała Khouri, kiedy pojęła tę uwagę. — Nie zlikwidujesz całej planety, by zabić jednego człowieka.

— Ni stąd, ni zowąd obudziło się w tobie sumienie? — Mademoiselle zacisnęła wargi i potrząsnęła głową. — Nie miałaś skrupułów w związku z Sylveste'em. Dlaczego śmierć innych tak cię zaprząta? A może to tylko kwestia skali?

— To po prostu… — Khouri przerwała, widząc, że to, co właśnie zamierzała powiedzieć, nie wprawi Mademoiselle w zakłopotanie. — To nieludzkie. Ale ty tego nie zrozumiesz.

Winda stanęła, drzwi otworzyły się, odsłaniając na wpół zalany dostęp do centrali uzbrojenia. Khouri dopiero po chwili zorientowała się, gdzie jest. W windzie doświadczała strasznego bólu głowy. Teraz ból zdawał się ustępować, ale nie chciała myśleć o tym, co go wywołało.

— Szybko — powiedziała Volyova, wychodząc z windy.

— Nie rozumiesz, czemu zadaję sobie tyle trudu, by zniszczyć całą kolonię, tylko dlatego, by doprowadzić do śmierci jednego człowieka? — spytała Mademoiselle.

Khouri podążyła za Volyovą; woda sięgała im do kolan.

— Masz cholerną rację: nie rozumiem. Ale i tak spróbuję cię powstrzymać.

— Zmienisz zdanie, gdy poznasz wszystkie fakty, Khouri. Tak naprawdę będziesz mnie jeszcze przynaglać do działania.

— Zatem popełniłaś błąd, że mi ich nie przedstawiłaś.

Otworzyły grodzie. Poziom wody wyrównywał się. Na powierzchni kołysały się martwe szczury-woźni, wypłukane z nisz, gdzie zwinęły się w kłębek, czekając na swój koniec.

— Gdzie jest prom? — zawołała Khouri.

— Zaparkowany nad wrotami zewnętrznymi. — Volyova odwróciła się i spojrzała Khouri w oczy. — A broń jeszcze się nie

wynurzyła.

— A więc zwyciężyłyśmy?

— Przynajmniej jeszcze nie przegrałyśmy. Ale nadal chcę, byś usiadła w centrali uzbrojenia.

Mademoiselle zniknęła, lecz jej bezcielesny głos pozostał. Bez pogłosów brzmiał dziwnie w ciasnym korytarzu.

— Nic wam to nie pomoże. Mogę przejąć każdy system w centrali, więc twoje działania będą daremne.

— W takim razie, dlaczego tak ci zależy, żebym tam nie poszła?

Mademoiselle nie odpowiedziała. Dwie grodzie dalej dotarły biegiem do włazu w suficie, który prowadził do komory. Dopiero po kilku chwilach woda przestała się kołysać w górę i w dół przy zakrzywionych ścianach korytarza.

— Dziwne — powiedziała Volyova, zaniepokojona, gdy woda się uspokoiła.

— Co takiego'.'

— Nie słyszysz? Hałas. — Nadstawiła ucha. — Dochodzi z samej centrali.

Khouri też go usłyszała — wysoki, mechaniczn, dźwięk, jak wycie zbuntowanej starożytnej maszynerii.

— Co to?

— Nie wiem. — Volyova zamilkła na chwilę. — Przynajmniej mam nadzieję, że nie to, co podejrzewam. Wejdźmy.

Volyova szarpnęła za luk włazu, otworzyła go. Na ramiona spadło im trochę statkowego szlamu z uszczelnień luku. Opadła drabina z kompozytu. Przemysłowy hałas nasilił się. Wyraźnie dochodził z samej centrali, w której wnętrzu płonęły jasne lampy, ale światło szybko migało, jakby tam w górze coś się kręciło, zasłaniając świetlne promienie; poruszało się szybko.

— Ilia, to mi się nie podoba.

— Nie tobie jednej.

Rozległ się kurant jej bransolety. Volyova właśnie się schyliła, by sprawdzić wskazania, gdy ogromny łomot wstrząsnął całym statkiem. Kobiety zsunęły się do wody i upadły przy śliskich ścianach korytarza. Khouri zaraz wstała, ale niewielki przypływ lepkiego szlamu znów ją przewrócił. Uderzyła o pokład. Substancja dostała się jej do ust. Od czasów wojska Khouri nie była w takim gównie. Wypluła szlam, ale obrzydliwy smak pozostał.

Bransoleta Volyovej znowu weszła w tryb wrzasku.

— Co do diabła…

— Straciliśmy prom — wyjaśniła Volyova.

— Co takiego?

— Właśnie wybuchł. — Volyova odkaszlnęła. Miała wilgotną twarz; chyba też nałykała się tego paskudztwa. — Podejrzewam, że

broń z kazamaty nie musiała nawet się ruszać. To zrobiły bronie wtórne — zestrzeliły prom.

Nad nimi centrala ciągle przeraźliwie hałasowała.

— Chcesz, żebym tam weszła, prawda?

Volyova skinęła głową.

— W tej chwili jedynym naszym ratunkiem jest zajęcie miejsca w fotelu. Ale nie martw się, jestem tuż za tobą.

— Posłuchaj jej tylko — odezwała sie nagle Mademoiselle. — Zwarta i gotowa. Każe ci robić coś, do czego jej samej brakuje ducha.

— Lub implantów! — krzyknęła Khouri.

— Co? — spytała Volyova.

— Nieważne. — Khouri umieściła stopę na najniższym szczeblu. — Po prostu mówiłam starej znajomej, by się wypchała. Stopa ześlizgnęła się ze szczebla pokrytego zeschniętym szlamem. Khouri spróbowała jeszcze raz, znalazła chwyt i postawiła drugą stopę na tym samym szczeblu. Głowa Khouri znalazła się w małym tunelu dostępu, prowadzącym do centrali, dwa metry wyżej.

— Nie wejdziesz — oświadczyła Mademoiselle. — To ja steruję fotelem. Tylko wetknij głowę do środka, a ją stracisz.

— Ale wtedy chciałabym widzieć wyraz twojej twarzy.

— Khouri, jeszcze się nie zorientowałaś, jak sprawy stoją? Strata twej głowy będzie jedynie drobną nieprzyjemnością.

Głowa tkwiła teraz tuż poniżej komory. Khouri widziała fotel w zawieszeniu kardanowym — targało nim we wszystkie strony. Nie został zaprojektowany do takich akrobatycznych wygibasów. Khouri czuła w powietrzu ozon z przegrzanych układów zasilania.

— Volyova! — zawołała, przekrzykując harmider. — Ty zbudowałaś ten układ. Czy z dołu możesz odciąć dopływ energii do napędu fotela?

— Odciąć energię od fotela? Oczywiście, ale co to nam da? Masz przecież połączyć się z centralą.

— Nie całą energię — tylko tyle, żeby sukinsyn przestał się miotać.

Nastąpiła krótka pauza. Khouri wyobraziła sobie, jak Volyova przyzywa do mózgu stare schematy okablowania. Ta kobieta sama skonstruowała centralę, ale mogło to być wiele dziesięcioleci subiektywnego czasu temu, a coś tak banalnie funkcjonalnego jak główny ciąg zasilający prawdopodobnie nigdy od tamtego czasu nie wymagało modyfikacji.

— Zaraz, zaraz, tu przebiega główna linia zasilania — powiedziała w końcu Volyova. — Chyba zdołam ją przeciąć.

Volyova zniknęła z pola widzenia. Brzmiało to prosto: odciąć zasilanie. Volyova musi przynieść specjalizowany przecinak, pomyślała Khouri. Nie było na to czasu. Ale nie, przecież miała ten

mały laser, którym pobierała próbki kapitana Brannigana. Stale nosiła ten laser. Mijały męczące sekundy. Khouri wyobrażała sobie, jak broń kazamatowa wysuwa się powoli z kadłuba, wchodzi w pusty kosmos. Teraz już na pewno namierza cel — Resurgam; potem ostatnie doładowania energii i przygotowania do wysłania szybkiego impulsu grawitacyjnej śmierci.

Hałas na górze ustał. Zaległa cisza, światło się ustabilizowało. Fotel zwisał nieruchomo w zawieszeniu kardanowym, niczym tron w elegancko wyrzeźbionej klatce.

— Khouri, istnieje pomocnicze źródło zasilania! — krzyczała Volyova. — Centrala może się do niego podłączyć, jeśli wyczuje odpływ w głównym źródle. Może ci nie wystarczyć czasu na dotarcie do fotela.

Khouri podciągnęła się z dziury w podłodze i wskoczyła do centrali. Szczupłe zawieszenie kardanowe ze stopu wyglądało na ostrzejsze niż przedtem. Khouri działała szybko, przesmykiwała się wśród linii zasilania, przeskakiwała między pierścieniami zawieszenia. Fotel nadal pozostawał nieruchomy, ale im bliżej podchodziła, tym mniej miałaby miejsca na uniki, gdyby gwałtownie ruszył. Wtedy ściany zostałyby zbryzgane kleistą, koagulującą czerwienią, pomyślała.

Szybko wpięła się w fotel, który, gdy zatrzasnęła sprzączki, zawył i skoczył naprzód. Pierścienie zawieszenia wirowały wokół niej, kołysząc ją w tył i w przód, do góry i na boki, aż straciła orientację. Miotał się gwałtownie i Khouri czuła, jak oczy wyskakują jej z oczodołów przy każdej raptownej zmianie kierunku — ale z pewnością ruchy straciły wiele ze swego zabójczego impetu.

Chce mnie odstraszyć, pomyślała Khouri, ale nie zabić… jeszcze nie teraz.

— Nie próbuj się podłączyć — ostrzegła Mademoiselle.

— Bo to pokitłasi twój planik?

— Wcale nie. Czy mogę ci przypomnieć o Złodzieju Słońca? On tam czeka.

Krzesło wciąż brykało, ale nie tak gwałtownie, by przeszkadzać świadomej myśli.

— Ajeśli on nie istnieje — powiedziała Khouri subwokalizując. — Jeśli go wymyśliłaś, by uzyskać na mnie większy wpływ.

— No więc spróbuj.

Khouri poleciła hełmowi, by opuścił się na jej głowę. Zasłonił widok wirującej komory. Dłoń Khouri spoczywała na sterowaniu interfejsu. By zapoczątkować łączenie, wystarczył lekki nacisk; zamknięcie obwodu, w wyniku czego jej psychika zostanie wciągnięta w militarną abstrakcję danych, znaną jako zbrojprzestrzeń.

— Nie możesz tego zrobić, prawda? Ponieważ mi wierzysz. Kiedy

zrealizujesz to połączenie, nie będzie już powrotu.

Zwiększyła nacisk, czując niewielki opór, kiedy kontrolka groziła złączeniem. Potem — albo podświadomym tikiem nerwowo-mięśniowym, albo może dlatego, że częściowo wiedziała, że trzeba to zrobić — zamknęła połączenie. Środowisko centrali ogarnęło ją tak jak przedtem w tysiącach symulacji taktycznych. Najpierw napłynęły dane z przestrzeni: obraz jej własnego ciała stał się mglisty, zastąpił go widok Światłowca i jego bezpośredniego otoczenia w kosmosie. Potem przyszła seria hierarchicznych nakładek: przekazywały obraz sytuacji taktyczno-strategicznej, stale się aktualizowały, sprawdzały własne założenia, przeprowadzały gorączkowe ekstrapolowane symulacje w czasie rzeczywistym.

Wchłaniała to wszystko.

Broń kazamatowa pozostawała na stanowisku, kilkaset metrów od kadłuba. Jej czubek wskazywał w kierunku lotu, prosto na Resurgam — jeśli nie liczyć drobnych, relatywistycznych, zakrzywiających światło efektów spowodowanych umiarkowaną szybkością statku. Obok wrót wyjściowych, z których wyłoniła się broń kazamatowa, prom zostawił czarną podłużną plamę na boku kadłuba. Znajdowały się tam punkty uszkodzeń; Khouri odczuwała je jak drobne ukłucia, znieczulane, kiedy włączały się systemy autoreperacji. Sensory grawitacji rejestrowały drobne pulsacje emanujące z broni. Khouri czuła, jak okresowo — i z coraz większą częstotliwością — omywają ją podmuchy wiatru. Czarne dziury w broni musiały zwiększać szybkość obrotu, okrążając torus coraz szybciej.

Jakaś obecność ją obwąchiwała, nie z zewnątrz, ale z wnętrza samej centrali.

— Złodziej Słońca wykrył twe wejście — oznajmiła Mademoiselle.

— Żaden problem. — Khouri sięgnęła w zbrojprzestrzeń, wsunąwszy abstrakcyjne dłonie w cybernetycznie zrealizowane rękawice. — Wchodzę do systemów obronnych statku. Potrzebuję tylko kilku sekund.

Coś się jednak nie zgadzało. Bronie zachowywały się inaczej niż na symulacjach — nie chciały poruszać się zgodnie z jej kaprysami. Intuicyjnie szybko wykryła przyczynę: walczono o te bronie, a ona jedynie włączyła się do tej walki.

Mademoiselle — czy raczej jej awatar — próbowała zablokować pokładowe środki obrony, zapobiec ich skierowaniu na broń kazamatową. Sama broń była stanowczo poza zasięgiem Khouri, zasłonięta mnóstwem zapór sieciowych. Ale kto — albo co — opierał się Mademoiselle, próbując uruchomić te środki obronne? Złodziej Słońca, to oczywiste. Teraz go wyczuwała. Rozległy, potężny, ale również bardzo przebiegły, usiłował zachować niewidzialność,

starannie skrywał swoje działania pod rutynowym przepływem danych. Skutecznie. Przez lata Volyova nic nie wiedziała o jego obecności. Ale teraz Złodziej Słońca, zmuszony do brawury, był niczym krab wyganiany przez wycofujący się przypływ i czmychający z jednej kryjówki do drugiej. Nawet mgliście nie przypominał człowieka; Khouri nie miała poczucia, żeby ta trzecia obecność w centrali była czymś tak przyziemnym jak kolejna załadowana symulacja tożsamości; Złodziej Słońca to czysta mentalność, jakby zawsze był jedynie układem danych i jakby na zawsze miał tym pozostać.

Sprawiał wrażenie absolutnego „nic" — sedna nicości, które osiągnęło przerażający stopień organizacji.

Czy poważnie rozważała połączenie swych sił z tą rzeczą?

Niewykluczone. Jeśli tylko w ten sposób da się powstrzymać Mademoiselle.

— Ciągle możesz sie wycofać — powiedziała kobieta. — W tej chwili jest zajęty — nie może marnować swej energii na wtargniecie w ciebie. Ale za chwile sprawy sie zmienią.

Teraz przynajmniej mogła kontrolować układ sterowniczy, choć reagował niemrawo. Ujęła w kadr broń kazamatową, obejmując jej całość w potencjalną sferę anihilacji. Trzeba tylko czekać, aż Mademoiselle odda sterowanie jednostkami broni choćby na mikrosekundę, a broń pokładowa obróci się, ustawi, wyceluje i wypali.

Czuła, jak bronie dają się poruszyć. Ona — a raczej ona i Złodziej Słońca chyba wygrywali.

— Nie rób tego, Khouri. Nie wiesz, jaka jest stawka…

— Więc wprowadź mnie, suko. Powiedz, co jest tak ważnego.

Broń kazamatowa odsuwała się od kadłuba — znak, że Mademoiselle niepokoi się o jej bezpieczeństwo. Ale impulsy promieniowania grawitacyjnego przyśpieszały, prawie tak, że nie dawały się rozdzielać. Ile czasu upłynie, nim broń kazamatowa wypali? Khouri podejrzewała, że zaledwie sekundy.

— Posłuchaj — powiedziała Mademoiselle — chcesz znać prawdę?

— Cholernie.

— Więc lepiej się przygotuj. Za chwilę dostaniesz wszystko.

I wtedy — gdy tylko dostroiła się, by zostać wessaną w zbrojprzestrzeń — poczuła, że coś ją wsysa zupełnie gdzie indziej. Najdziwniejsze było to, że miejsce zdawało się częścią niej samej, częścią, którą dotychczas całkowicie przeoczyła.

Znajdowali się na polu bitwy przy zakamuflowanych bańkonamiotach, tymczasowej siedzibie jakiegoś szpitala czy wysuniętego punktu dowodzenia. Niebo miało barwę błękitu;

popstrzone obłokami, lecz zaśmiecone brudnymi, poplątanymi smugami kondensacyjnymi, tak jakby jakiś globalny kalmar wypluł swe bebechy w stratosferę. Odrzutowce o strzałowatych skrzydłach wypuszczały smugi i mknęły między nimi. Poniżej krążyły sterowce-drony, a jeszcze niżej latały pękate śmigłowce transportowe, zmiennopłaty i samoloty pionowego startu. Poruszały się przy granicy obozu, od czasu do czasu opadały, wypluwały transportery opancerzone, piechotę, ambulanse lub uzbrojone serwitory. Z jednej strony obozu, na spieczonej pokrytej trawą płycie lotniskowej parkowało na płozach sześć bezokiennych deltoskrzydłych samolotów. Górne powierzchnie ich kadłubów idealnie naśladowały wypłowiałą od słońca barwę gruntu; przesłony dysz pionowego startu otwarto do przeglądu.

Khouri czuła, że się potyka, pada na trawę. Miała na sobie kamuflażowy mundur, obecnie emitujący plamy barwy khaki. W dłoniach trzymała lekką broń na pociski ze stopowym uchwytem wymodelowanym tak, by pasował do jej dłoni. Z brzegu hełmu dyndały dwa monokle do dwuwymiarowych odczytów: pokazywały w sztucznych barwach mapę cieplną strefy walk, pobieraną z jednego ze sterowców.

— Tędy, proszę. — Człowiek w białym kapeluszu kierował ją do bańkonamiotu. Wewnątrz adiutant odebrał od niej broń, którą zaopatrzył w chip identyfikacyjny i umieścił na stojaku obok ośmiu innych sztuk broni; były wśród nich karabiny takie jak jej własny, średnio wydajne marudy oraz brutalne naramienne bronie przeciwlotnicze — wredne, gdyby ktoś strzelał do ciebie z tego samego kontynentu. Przekaz ze sterowców rozmył się i zniknął, zakłócony przez całun anty obserwacyjny wokół bańkonamiotu. Wolną już ręką przerzuciła monokl z powrotem nad krawędź hełmu i tym samym ruchem odrzuciła z oka przepocone pasmo włosów.

— Tędy, Khouri.

Poprowadzili ją do oddzielonej tylnej części namiotu przez pomieszczenie pełne koi z rannymi; tu cicho brzęczące serwitory medyczne pochylały się nad pacjentami niczym mechaniczne zielone łabędzie. Z zewnątrz dobiegł ją skowyt silników odrzutowych, a potem seria wybuchów, ale wydawało się, że w namiocie nikt tego dźwięku nawet nie zauważa.

W końcu wprowadzili ją do małego, prostopadłościennego pokoiku z jednym biurkiem. Na ścianach wisiały transnarodowe flagi Koalicji Północnej, a w rogu biurka stał na brązowym postumencie wielki globus Skraju Nieba. Globus — obecnie w trybie geologicznym — pokazywał tylko zmieniające się masy lądów i ukształtowanie terenu, a nie granice polityczne, których przebieg tak gorąco obecnie podważano. Ale Khouri poświęciła mu zaledwie

przelotną uwagę, gdyż zafascynowała ją siedząca przy biurku osoba, w mundurze wojskowym: zapinanym na guziki, ciemnooliwkowym płaszczu ze złotymi epoletami i zestawem medali Konfederacji Północnej na piersiach. Ciemne włosy miał sczesane gładko do tyłu, tworzyły na głowie połyskujące rowki.

— Przepraszam — powiedział Fazil — że musiało się to odbyć właśnie tak. Ale teraz, skoro już tu jesteś… — Wskazał drugi koniec pokoju. — Siadaj, musimy porozmawiać. Dość pilnie, tak wypadło.

Khouri przypomniała sobie — z dystansem — inne miejsce. Metalową komorę z fotelem. Ale choć wspomnienie wywoływało u niej zdenerwowanie — świadomość, że czas jest niezwykle cenny — tamto miejsce nie wydawało się realne w porównaniu z teraźniejszością, z tym pokojem. Fazil całkowicie 1 zaprzątnął jej uwagę. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała (zapamiętała skąd? — zastanawiała się), choć na policzku miał bliznę, której nie pamiętała, i zapuścił wąsy lub przynajmniej (tego nie była pewna) zmienił coś w ich poprzednim stylu: stały się grubsze albo z prostych gęstych wąsików rozrosły się po obu stronach górnej wargi, aż zaczęły zawadiacko opadać.

Jak sugerował, siadła na składanym krześle.

— Ona, Mademoiselle, martwiła się, że może do tego dojść. — Wargi Fazila ledwo się poruszały lub wydawały się poruszać pod wąsami. — Przedsięwzięła więc pewne kroki. Kiedy jeszcze byłaś na Yellowstone, zaimplantowała serię wspomnień z zamkniętym dostępem. Zostały oznaczone i miały się zaktywizować — udostępnić twemu świadomemu umysłowi — jedynie wtedy, gdy ona uzna to za użyteczne. — Wyciągnął rękę i zakręcił globusem, chwilę pozwolił mu wirować, potem gwałtownie go zatrzymał. — W istocie proces odblokowania zaczął się jakiś czas temu. Czy pamiętasz lekką migrenę w windzie?

Khouri starała się czegoś uczepić; jakiejś obiektywnej rzeczywistości, której mogłaby zaufać.

— Co to takiego?

— Ułatwienie — odparł Fazil. — Częściowo utkane z istniejących wzorców pamięciowych, które Madernoiselle sobie przywłaszczyła i uznała za użyteczne. Na przykład to spotkanie — czy nie przypomina trochę naszego pierwszego spotkania, kochanie? Wtedy w jednostce operacyjnej na Wzgórzu Siedemdziesiąt Osiem, podczas kampanii w centralnej prowincji, przed drugą ofensywą na czerwonym półwyspie? Przysłano cię do mnie, ponieważ potrzebowałem kogoś do misji infiltracyjnej, kogoś kto znałby nieosłonięte sektory kontrolowane przez Południową Konfederację. Stworzyliśmy wspaniały zespół, prawda? Pod wieloma względami. — Pogładził wąsik, znowu poklepał globus. — Oczywiście, nie przywołałem cię — a raczej ona nie

przywołała — na wspominki. Sam fakt, że udostępniono to wspomnienie, oznacza, że masz poznać pewne prawdy. Ale czy jesteś na nie gotowa?

— Oczywiście, że je… — Khouri umilkła. To, co mówił Fazil, nie miało sensu, ale niepokoiło ją wspomnienie innego miejsca, brutalnego fotela w metalowym pomieszczeniu. Czuła, że coś tam pozostało nierozstrzygnięte — a może nawet właśnie się rozstrzyga. Czuła, że powinna być w tamtym pokoju, przyczynić się do rozstrzygnięcia walki. Nie wiedziała, czego tamta walka dotyczyła, ale miała wrażenie, że pozostało niewiele czasu, a już z pewnością nie ma go na ten uboczny wątek tutaj.

— Och, nie martw się o to — powiedział Fazil, jakby czytając w jej myślach. — To wszystko nie zajmuje naprawdę miejsca w czasie rzeczywistym; ani nawet w przyśpieszonym czasie centrali uzbrojenia. Czy nigdy ci się nie przytrafiło, że ktoś budzi cię nagle z marzenia sennego i w jakiś sposób jego działanie zostaje włączone do scenariusza snu na długo przedtem, nim obudził cię rzeczywiście? Wiesz, co mam na myśli: pies liże ci twarz, by cię zbudzić, a we śnie wypadasz za burtę statku. Jednak w ciągu całego snu przebywałaś na tym statku. — Zamilkł na chwilę. — Pamięć, Khouri. Pamięć dołączona momentalnie. Sen wyglądał prawdziwie, ale został stworzony w chwili, gdy pies zaczął lizać ci twarz. Konstrukcja wsteczna. Nigdy tak naprawdę tego nie przeżywałaś. Z tymi wspomnieniami jest tak samo.

Wzmianka Fazila o centrali uzbrojenia skrystalizowała wizję tamtego pomieszczenia. Khouri czuła, że koniecznie musi tam wrócić, brać udział w walce. Szczegóły przedsięwzięcia nadal jej uciekały, ale powrót do tych zmagań wydawał się bardzo istotny.

— Mademoiselle — ciągnął Fazil — mogła wybrać dowolne wydarzenie z twojej przeszłości albo sfabrykować coś od nowa. Miała jednak wrażenie, że w pewnym sensie będzie korzystne, jeśli zostaniesz wprowadzona w taki nastrój, gdy dyskusja zagadnień militarnych wydaje się naturalna.

— Zagadnień militarnych?

— Konkretnie chodzi o wojnę. — Uśmiechnął się. Koniuszki wąsów uniosły się na chwilę, jakby demonstrowały zasadę konstrukcji mostu wiszącego. — Ale nie taką, o której prawdopodobnie czytałaś. Nie. Zdarzyła się zbyt dawno. — Wstał nagle. Przerwał, by wygładzić płaszcz i podciągnąć pas. — Może coś się wyjaśni, jeśli omówimy to wszystko za chwilę, w sali konferencyjnej.

DWANAŚCIE

Skraj Nieba, 61 Łabędź-A, 2483 (symulacja)

Sala konferencyjna, do której Fazil przyprowadził Khouri, różniła się od wszystkich sal konferencyjnych, jakie Khouri dotychczas widziała — była zbyt wielka, żeby się pomieścić w tym bańkonamiocie. I choć Khouri doświadczyła wielu systemów projekcyjnych, to jednak żaden nie potrafiłby wyprodukować tego, co teraz jej przedstawiano. Projekcja pokrywała całą podłogę, obszar o średnicy około dwudziestu metrów. Wokół biegła dróżka zabezpieczona metalową barierką.

Była to mapa całej galaktyki.

I jeden prosty fakt sprawiał, że żadne znane Khouri urządzenie nie mogłoby wygenerować takiej mapy. Patrząc na nią, postrzegała — widziała i jakoś odróżniała — wszystkie, co do jednej, gwiazdy galaktyki, od najzimniejszego, ledwie syntetyzującego, brązowego karła, aż do najjaśniejszego, zmiennego, rozpalonego do białości supergiganta. I nie tylko zauważała poszczególne gwiazdy, gdy skierowało się na nie wzrok, ale projekcja osiągała więcej: całą galaktykę obejmowało się jednym spojrzeniem. Całkowicie się ją wchłaniało.

Policzyła gwiazdy.

Było ich czterysta sześćdziesiąt sześć miliardów trzysta jedenaście milionów dziewięćset dwadzieścia dwa tysiące osiemset jedenaście. Kiedy patrzyła, jeden z białych supergigantów umarł jako supernowa, zmniejszyła więc uzyskaną liczbę o jeden.

— To trik — wyjaśnił Fazil. — Kodyfikacja. W galaktyce jest więcej gwiazd niż komórek w ludzkim mózgu, więc gdybyś chciała je wszystkie znać, związałoby to zbyt dużą część twojej pamięci asocjacyjnej. Co nie znaczy, oczywiście, że wszechwiedzy nie można zasymulować.

W istocie w obrazie galaktyki zbyt doskonale przedstawiono szczegóły, by pasowało do niego określenie „mapa”. Każdą gwiazdę zaopatrzono w należną wyrazistość informacyjną — kolor, rozmiar, jaskrawość subiektywną, połączenia grawitacyjne dla układów wielokrotnych, położenie i względne prędkości, wszystko z absolutną wiernością, ukazano także rejony narodzin gwiazd, wiotkie, żarzące się łagodnie welony kondensującego się gazu z zanurzonymi, coraz gorętszymi węgielkami embrionów słońc. Były tam nowo powstałe gwiazdy, otoczone dyskami materiału protoplanetarnego i — jeśli ktoś

chciał je zauważyć — same układy planetarne, sunące po orbitach wokół swych słońc w bardzo przyśpieszonym tempie, jak w mikroskopijnych planetariach. Znajdowały się tam także sędziwe gwiazdy, które odrzuciły w kosmos powłoki własnych fotosfer, wzbogacając w ten sposób rozrzedzony ośrodek międzygwiezdny: podstawowy zbiornik protoplazmy, z którego w końcu zostaną stworzone przyszłe generacje gwiazd, światów i kultur. Znajdowały się tam regularne i nieregularne resztki supernowych, stygnących podczas rozszerzania się i wlewających swą energię do ośrodka międzygwiezdnego. Czasami pośród tych gwiezdnych śmiertelnych wypadków Khouri zauważała nowy pulsar, emitujący impulsy radiowe ze wciąż zwalniającą, lecz majestatyczną precyzją, jak zegary w jakimś zapomnianym pałacu cesarskim, które nakręcono kiedyś ostatni raz i które teraz będą tykały, aż umrą, a okresy między kolejnymi tyknięciami będą się wydłużały aż do jakiejś chłodnej wieczności. W sercach niektórych z tych resztek znajdowały się niekiedy także czarne dziury, a jedna bardzo masywna (choć obecnie uśpiona) trwała w sercu galaktyki, otoczona dworską ławicą skazanych na zagładę gwiazd, z których każda któregoś dnia stopniowo zejdzie w horyzont zdarzeń i — rozrywana na strzępy — zasili apokaliptyczny impuls promieni X.

Jednak nie była to tylko prezentacja astrofizyczna. Khouri wiedziała więcej, jakby na jej poprzednie wspomnienia spokojnie nałożono nowe. Wiedziała, że galaktyka pulsuje życiem, milionem kultur rozproszonych pseudolosowo w tym całym wielkim, powoli obracającym się dysku.

Ale to była przeszłość — bardzo głęboka przeszłość.

— Tak naprawdę — powiedział Fazil — mniej więcej miliard lat temu. Zważywszy, że wszechświat jest tylko około piętnaście razy starszy od tego okresu, jest to spory kawał czasu, zwłaszcza w skali czasowej galaktyki. — Fazil opierał się o barierkę dróżki tuż przy niej, jakby byli parą, która na chwilę przystanęła, by przejrzeć się w ciemnym, zaśmieconym chlebem stawku dla kaczek. — Aby dać ci jakąś perspektywę, miliard lat temu ludzkość nie istniała, dinozaury zresztą też nie. Rozwinęły się dopiero niecałe dwieście milionów lat temu; piątą część czasu, z którym mamy do czynienia tutaj. Jesteśmy głęboko w prekambrze. Na Ziemi istnieje życie, ale bez wielokomórkowców — znalazłabyś kilka gąbek, gdybyś miała szczęście. — Fazil ponownie spojrzał na galaktykę. — Ale nie wszędzie tak było.

Około miliona kultur (choć Khouri potrafiła określić tę liczbę bardzo dokładnie, w tej chwili wydało jej się to śmieszną pedanterią, jakby określała czyjś wiek co do miesiąca), z których nie wszystkie powstały w tym samym czasie ani nie trwały równie długo. Fazil

twierdził (rozumiała to na jakimś podstawowym poziomie), że dopiero cztery miliardy lat temu galaktyka osiągnęła odpowiedni stan, gdy mogły powstawać inteligentne kultury. Ale gdy galaktyka osiągnęła tę minimalną dojrzałość, kultury nie zaczęły pojawiać się jednocześnie jak grzyby po deszczu. Inteligencja wyłaniała się stopniowo. Niektóre kultury pojawiły się na światach, gdzie z takich czy innych przyczyn przemiany ewolucyjne odbywały się wolniej niż normalnie albo gdzie rozwój życia więcej razy się cofał w sposób katastroficzny.

W końcu — dwa czy trzy miliardy lat po powstaniu życia na ich światach macierzystych — niektóre z tych kultur wyruszyły w kosmos. Gdy osiągnęły ten poziom, przeważnie gwałtownie ekspandowały na całą galaktykę, chociaż zawsze znalazło się kilku domatorów, którzy woleli kolonizować jedynie własny układ słoneczny, a czasami tylko własne środowisko okołoplanetarne. Ogólnie jednak tempo ekspansji było duże, średnio wynosiło od jednej dziesiątej do jednej setnej prędkości światła. Szybkość wydaje się niewielka, ale w istocie jest zawrotna, gdyż galaktyka trwała miliardy lat, a jej średnica wynosiła tylko sto tysięcy lat świetlnych. Gdyby ich nie powstrzymać, każdy z tych podróżników zdominowałby galaktykę w nadzwyczaj krótkim czasie kilkudziesięciu milionów lat. I gdyby właśnie to się wydarzyło — prawdziwa imperialistyczna dominacja jednego mocarstwa — sprawy wyglądałyby z gruntu inaczej.

Okazało się jednak, że pierwsza kultura rozwijała się w wolniejszym tempie i wpadła na falę ekspansji kultury nowicjuszki. Mimo że młodsza, ta druga cywilizacja miała nie gorszą technikę od pierwszej i tak samo potrafiła zorganizować agresję, gdy sytuacja tego wymagała. Nastąpiło coś, co z braku lepszego słowa można opisać jako wojnę galaktyczną — nagłe iskrzenia w miejscu, gdzie dwa puchnące imperia ocierały się o siebie i mełły jak olbrzymie żarna. Wkrótce do konfliktu zostały wciągnięte inne wschodzące kultury. W końcu burda objęła w różnym stopniu kilka tysięcy podróżujących w kosmosie cywilizacji. Miały one na to zjawisko wiele nazw, w tysiącach języków walczących ras. Niektóre z nazw nie znalazłyby odpowiednika w żadnej ludzkiej mowie. Niektóre kultury określały to — przy odrobinie tolerancji dla uproszczeń w komunikacji międzygatunkowej — jako Wojnę Świtu.

Wojna obejmowała całą galaktykę (i dwie mniejsze galaktyki satelitarne, krążące wokół Drogi Mlecznej), pożerała nie tylko planety, ale całe układy słoneczne, układy gwiezdne i całe ramiona spiralne. Khouri rozumiała, że świadectwa tej wojny były widoczne nawet teraz, jeśli wiedziało się, na co zwracać uwagę. W niektórych rejonach galaktyki istniały anomalne skupiska martwych gwiazd i nadal płonące gwiazdy w dziwacznych ustawieniach; wyłuskane komponenty systemów obronnych szerokich na lata świetlne. Istniały

pustki, gdzie powinny znajdować się gwiazdy, oraz gwiazdy, które — zgodnie z uznanymi prawami dynamiki układów słonecznych — powinny mieć planety, ale wokół których znajdował się tylko zimny teraz gruz. Wojna Świtu trwała długi, długi czas — dłuższy nawet niż ewolucja najgorętszych gwiazd. Jednak w galaktycznej skali czasu naprawdę trwała miłosiernie krótko — po prostu transformujący skurcz.

Całkiem możliwe, że żadna z kultur nie wyszła z tego bez szwanku; że żaden z graczy, którzy przystąpili do Wojny Świtu, już z niej nie wyszedł ani jako zwycięzca, ani jako przegrany. Wojna, choć w galaktycznej skali czasowej krótkotrwała, w skali pojedynczego gatunku ciągnęła się strasznie długo. Na tyle długo, by gatunek ewoluował, rozdzielił się na podgatunki, zrósł się z innymi gatunkami, wchłonął je lub przebudował się do stanu niepoznawalności, a nawet zmienił swą bazę biologiczną z organicznej na maszynową. Niektóre gatunki odbyły nawet podróż w obie strony — ich przedstawiciele stali się maszynami, a potem, gdy odpowiadało to ich potrzebom, powrócili do życia organicznego. Część uległa sublimacji, całkowicie znikając z teatru wojny. Inne natomiast dokonały konwersji swej istoty na dane i znalazły nieśmiertelność w starannie ukrytych sieciach komputerowych. Niektóre popełniły rytualne samobójstwa.

A jednak jedna kultura wyszła z wojny mocniejsza od innych. Może byli pomniejszymi graczami w głównej bójce i mieli szczęście, a teraz wśród ruin szukali supremacji. Mogli też powstać w rezultacie koalicji, połączenia kilku zmęczonych wojną gatunków. Nie miało to istotnego znaczenia, a oni sami nie mieli wiarygodnych danych na temat swojego pochodzenia. Byli — przynajmniej w tamtym okresie gatunkiem hybrydowym maszynowo-chimerycznym, z pewnymi pozostałościami cech kręgowców. Nie zatroszczyli się o nadanie sobie imienia.

— A jednak — stwierdził Fazil — zdobyli sobie miano, czy tego chcieli, czy nie.

Khouri spojrzała na męża. Kiedy opowiadał jej historię Wojny Świtu, zrozumiała, gdzie sama teraz jest, pojęła też nierealność całej sytuacji. Informacje Fazila na teamt Mademoiselle połączyły się z pamięcią o prawdziwej teraźniejszości. Wyraźnie teraz pamiętała centralę uzbrojenia i wiedziała, że to miejsce, ten zmanipulowany okruch z jej przeszłości, jest tylko interludium. I to nie był właściwie Fazil, choć — ponieważ wskrzeszono go z jej wspomnień — wydawał się tak prawdziwy, jak Fazil, którego pamiętała.

— Jak się nazywali? — zapytała.

Milczał przez chwilę.

— Inhibitorzy — rzekł z niemal teatralną powagą. — Były poważne powody, żeby ich tak nazwać, i za chwilę staną się dla ciebie

oczywiste.

I wyjaśnił jej, i już wiedziała. Dotarła do niej wiedza rozległa i niewzruszona niczym lodowiec; nigdy nie zdoła tego zapomnieć. I wiedziała jeszcze coś, coś co, jak przypuszczała, stanowiło jedyny cel tego ćwiczenia; zrozumiała, dlaczego Sylveste musi umrzeć.

I dlaczego, nawet jeśli doprowadzenie do jego śmierci wymagało zagłady całej planety, była to rozsądna cena, którą należało zapłacić.

Strażnicy przyszli akurat wtedy, gdy Sylveste, wyczerpany po operacji, zapadł wreszcie w niespokojny sen.

— Obudź się, śpiochu — powiedział wyższy z dwójki, barczysty mężczyzna z opadającym siwym wąsem.

— Po co przyszliście?

— Ależ to popsułoby całą niespodziankę — powiedział drugi, strażnik o szczurzej twarzy, podnosząc karabin.

Prowadzili go bardzo pokrętną trasą, wybraną wyraźnie tak, by go zdezorientować. Udało im się. Sektor, do którego dotarli, był mu nieznany: albo stara część Mantell, znacznie zmodyfikowana przez ludzi Sluki, albo kompletnie nowy zestaw tuneli wydrążonych już po okupacji. Przez chwilę sądził, że przenoszą go na stałe do innej celi, ale nie, wydawało się to jednak mało prawdopodobne — przecież zostawili jego ubrania i dopiero co zmienili prześcieradła. Falkender wspomniał jednak o możliwej zmianie jego statusu, w związku z zapowiedzianą wizytą gości; możliwe więc, że wydano nowe decyzje.

Wkrótce się przekonał, że żadnych planów nie zmieniono.

Pokój, gdzie go zostawili, urządzono równie po spartańsku jak jego cele. Praktycznie był to jej duplikat, nawet te same gołe ściany i luk najedzenie; wywoływała identyczne przytłaczające poczucie, że ściany są nieskończenie grube, że biegną bez końca w płaskowyż. Pokój był tak podobny, że przez moment Sylveste zastanawiał się, czy nie zawiodły go zmysły i czy przypadkiem strażnicy nie prowadzili go po pętli z powrotem do miejsca, gdzie go wieziono. To byłoby w ich stylu… przynajmniej miał trochę gimnastyki.

Ale natychmiast zorientował się, że to nie jego cela. Na łóżku siedziała Pascale — a kiedy podniosła wzrok, zobaczył, że jest równie zdumiona jak on.

— Macie godzinę — powiedział wąsaty strażnik, klepiąc swego kolegę po plecach.

Wyszli, a Sylveste zamknął drzwi.

Ostatnim razem, kiedy widział Pascale, miała na sobie suknię ślubną, włosy ułożone w jaskrawo fioletowe fale, a entoptyki ozdabiały ją jak armia usługujących wróżek. A może tamto mu się śniło? Teraz była w kombinezonie równie szarym i bezkształtnym jak jego strój. Włosy miała proste, ostrzyżone na pazia, oczy zaczerwienione z braku snu… a może to sińce? Prawdopodobnie i

jedno, i drugie. Wyglądała na szczuplejszą i drobniejszą, niż ją pamiętał — chyba dlatego, że się garbiła, gołe stopy zahaczyła pod łydkami; ginęła w tym biało wymalowanym pokoju.

Nigdy nie wyglądała bardziej krucho i pięknie. Aż trudno mu było uwierzyć, że to jego żona. Powrócił myślą do nocy zamachu, kiedy czekała na terenie wykopalisk i zadawała dociekliwe pytania; pytania, które później miały otworzyć ranę w samym rdzeniu jego jestestwa; tego, co zrobił i do jakich czynów jest zdolny. Wydawało się dziwne, że bieg wydarzeń złączył ich w tym najbardziej samotnym z pokoi.

— Wciąż mi powtarzali, że żyjesz, ale chyba tak naprawdę nigdy im nie wierzyłem.

— Powiedzieli mi, że zostałeś ranny. — Pascale mówiła cicho, jakby zbyt głośnymi słowami nie chciała zniszczyć snu. — Nie dopytywałam się o szczegóły, bałam się usłyszeć prawdę.

— Oślepili mnie. — Sylveste dotknął twardej powierzchni oczu. Zrobił to po raz pierwszy od chwili operacji. Zamiast wybuchu małej supernowej bólu, do czego już zdążył się przyzwyczaić, poczuł tylko coś nieprzyjemnego, ale wrażenie natychmiast ustąpiło, gdy odjął palce.

— Ale teraz widzisz?

— Tak. Tyle że od kiedy przywrócili mi wzrok, jesteś pierwszą rzeczą, którą w ogóle warto oglądać.

Wtedy wstała z łóżka, wślizgnęła się w jego ramiona, zaczepiła nogę wokół jego nogi. Czuł, jaka jest lekka i delikatna; niemal bał się ją uścisnąć, z obawy, że ją zmiażdży. Jednak przyciągnął ją bliżej, a ona przywarła do niego chyba tak samo niespokojna, że go uszkodzi, jakby byli parą widm, niepewnych realności partnera. Mieli wrażenie, że trzymają się w objęciach nie przez tę jedną godzinę, którą im dano, lecz całą wieczność. Nie, czas im się nie dłużył, ale teraz stał się nieważny — zawisł w powietrzu i zdawało się, że można go tak utrzymywać jedynie wysiłkiem woli. Sylveste wchłaniał widok jej twarzy; a oczy Pascale znajdowały coś ludzkiego w jego pozbawionych wyrazu oczach. Kiedyś Pascale nie miała odwagi patrzeć mu prosto w twarz, ale te czasy dawno minęły. Dla Sylveste'a wpatrywanie się w oczy Pascale nigdy nie było trudne — przecież Pascale nie musiała wiedzieć, że bada ją wzrokiem. Teraz jednak tego żałował. Pragnął, by czerpała pośrednią przyjemność z tego, że sama jej obecność go upaja.

Zaczęli się całować, potem niezręcznie osunęli się na łóżko, szybko pozbyli szarych mantellskich ubrań. Sylveste zastanawiał się, czy są obserwowani; uznał, że to możliwe, nawet prawdopodobne. Jednak mógł to całkowicie lekceważyć. Teraz, przez tę godzinę, on i Pascale byli zupełnie sami; ściany pokoju stały się nieskończenie grube, a pokój był jedyną wolną przestrzenią w całym wszechświecie.

Nie pierwszy raz się kochali, choć poprzednio zdarzało się to rzadko, w skąpych chwilach odosobnienia. Teraz — myśl ta niemal rozśmieszyła Sylveste'a — byli małżeństwem i nie musieli się ukrywać. A jednak znów zachłannie chwytali chwilę odosobnienia. Czuł lekkie wyrzuty sumienia i przez moment zastanawiał się, skąd ono pochodzi. W końcu zrozumiał, kiedy leżeli razem, on z głową łagodnie wciśniętą w jej piersi: tyle przecież mieli sobie do powiedzenia, a zamiast tego trwonili czas na gorączkową archeologię swych ciał. Sylveste wiedział jednak, że tak musi być.

— Szkoda, że to takie krótkie widzenie — powiedział, kiedy odzyskał mniej więcej normalne poczucie czasu i zaczął się zastanawiać, ile im jeszcze zostało z przydzielonej godziny.

— Kiedy ostatnio rozmawialiśmy — przypomniała Pascale — powiedziałeś mi coś.

— Tak, o Carine Lefevre. Musiałem ci powiedzieć. To śmieszne, ale myślałem, że zaraz umrę, i musiałem z siebie wyrzucić to, co dusiłem przez lata.

Pascale przygniatała jego nogę chłodnym udem. Sunęła dłonią po jego torsie, badała.

— Bez względu na to, co się tam zdarzyło, ani ja, ani nikt inny nie ma prawa cię osądzać.

— To było tchórzostwo.

— Nie, po prostu instynkt. Dan, znajdowałeś się przecież w najbardziej przerażającym miejscu we wszechświecie. Philip Lascaille poleciał tam bez transformacji Żonglerów i co się z nim stało? Już samo to, że zachowałeś rozsądek, było z twej strony odwagą. Szaleństwo byłoby dla ciebie wyjściem o wiele łatwiejszym.

— Mogła przeżyć. Do diabła, nawet to, że ją tam zostawiłem… nawet to dałoby się usprawiedliwić, gdyby tylko później wystarczyło mi odwagi, by się do tego przyznać. To byłoby jakieś odkupienie. Bóg mi świadkiem, że nie zasługiwała na kłamstwa o sobie, nawet po tym, jak ją zabiłem.

— Nie zabiłeś jej. Całun to zrobił.

— Nawet tego nie mogę stwierdzić.

— Co takiego?

Położył się na boku i zamilkł na chwilę, by przyjrzeć się Pascale. Wcześniej jego oczy potrafiły zamrozić jej obraz dla potomności, ale teraz ta funkcja już nie działała.

— Nie wiem nawet, czy tam umarła… od razu — powiedział Sylveste. — Mimo wszystko ja przeżyłem — za to straciłem transformację Żonglerów. Szansę Carine powinny być większe, choć nie o wiele. Ale jeśli przez to przeszła w taki sam sposób jak ja? Jeśli znalazła sposób na przeżycie, a tylko nie mogła mi zakomunikować swej obecności? Może podryfowała aż połowę drogi do skraju Całunu,

nim doszedłem do siebie? Kiedy zreperowałem Światłowiec, nie zacząłem jej szukać. Nigdy nie wpadła mi do głowy myśl, że mogła przeżyć.

— Bo nie mogła — oznajmiła Pascale. — Teraz kwestionujesz swoje ówczesne działania, ale wtedy intuicja podpowiedziała ci, że jest martwa. A gdyby nie zginęła, jakoś by się z tobą skomunikowała.

— Tego się nigdy nie dowiem.

— Więc przestań o tym rozmyślać. Inaczej nigdy nie uciekniesz przeszłości.

Sylveste przypomniał sobie teraz o czymś, co mówił Falkender.

— Rozmawiałaś z kimś prócz strażników? Na przykład ze Sluką?

— Sluką?

— Kobietą, która nas tutaj trzyma. — Sylveste uświadomił sobie, że prawie nic jej nie powiedzieli. — Zdążę ci jedynie podać zgrubne wyjaśnienia. Ludzie, którzy zabili twojego ojca, to, o ile się zorientowałem, Potopowcy Słusznej Drogi lub któryś z odłamów tego ruchu. Jesteśmy w Mantell.

— Wiedziałam, że to musi być gdzieś poza Cuvier.

— Tak. Z tego, co mi mówili, wynika, że Cuvier został zaatakowany. — Nie powiedział jej wszystkiego. Że w nadziemnej części miasta z pewnością nie da się już mieszkać. Pascale nie musiała tego wiedzieć — przecież Cuvier było dla niej jedynym miejscem, które porządnie poznała. — Nie jestem pewien, kto tam teraz rządzi — czy ludzie lojalni twemu ojcu, czy też może konkurujący odłam Słusznej Drogi. Z wersji Sluki wynika, że kiedy twój ojciec zdobył władzę w Cuvier, nie powitał Sluki z otwartymi ramionami. I chyba tej wzajemnej wrogości wystarczyło, by Sluka zorganizowała jego zabójstwo.

— Bardzo długo żywiła urazę.

— Sluka nie jest prawdopodobnie najstabilniejszą osobowością na planecie. Nie sądzę, by planowała, że nas złapie, ale skoro już nas dostała, nie wie do końca, co z nami robić. Potencjalnie jesteśmy zbyt cenni, by nas marnować, ale tymczasem… — Sylveste przerwał. — Coś może się niedługo zmienić. Człowiek, który naprawił mi oczy, mówił, że przyjadą goście.

— Kto konkretnie?

— Też zadałem to pytanie. Ale nie powiedział nic więcej.

— Kusi, żeby pospekulować, prawda?

— Tylko przybycie Ultrasów mogłoby zmienić bieg spr?w na Resurgamie.

— Na powrót Remillioda trochę za wcześnie.

Sylveste skinął głową.

— Jeśli naprawdę zbliża się tu statek, założę się, że to nie Remilliod. Ale któż inny zechciałby z nami handlować?

— Może przylatują nie w celach handlowych.

Może to oznaka arogancji, ale Volyova po prostu fizycznie nie potrafiła dopuścić nikogo do wykonania swej pracy. Absurd. Czuła się całkowicie zadowolona — jeśli zadowolenie jest tu właściwym słowem — że w centrali uzbrojenia pozwoliła zasiąść Khouri, która z całych sił próbowała zestrzelić broń kazamatową. Wykorzystanie Khouri uważała za jedyną rozsądną decyzję. Nie chciała jednak siedzieć spokojnie z boku i czekać na rozwój wydarzeń. Koniecznie musiała zaatakować problem z innej strony.

— Svinoi — powiedziała głośno, bo choć bardzo się starała, rozwiązanie uparcie nie przychodziło jej do głowy. Za każdym razem, gdy już myślała, że ma sposób na zakłócenie ruchu broni, znajdowała lukę w logicznym rozumowaniu. Ta zdolność krytycznej analizy własnych rozwiązań, gdy tylko wpadły jej do głowy — a nawet nim w pełni je sobie uświadomiła — stanowiła dowód płynności myśli. Jednocześnie trapiło ją niesłychanie irytujące uczucie, że sabotuje własne szansę powodzenia.

A teraz ta „aberracja", z którą trzeba sobie poradzić.

Tak to nazwała — słowo zawierało i niezrozumienie, i niesmak, jaki czuła za każdym razem, gdy z przymusem zajmowała się tym problemem. Co się dzieje w głowie Khouri? A teraz, kiedy Khouri pogrążyła się w abstrakcyjnym mentalnym krajobrazie centrali uzbrojenia, aberracja musiała zawierać samą centralę i w konsekwencji Volyovą, gdyż centrala była jej tworem. Monitorowała starannie sytuację, odczytując stan neuronów na swej bransolecie. W mózgu tamtej kobiety bez wątpienia szalała potężna burza — nie było co do tego wątpliwości. I burza ta wysuwała teraz niespokojne migające macki w zbrojprzestrzeń.

Volyova wiedziała, że to wszystko jest jakoś połączone. Zaczynając od całego problemu z centralą: szaleństwo Nagornego, Złodziej Słońca i ostatnio samoaktywacja broni kazamatowej. Burza w głowie Khouri — aberracja — jakoś też do tego pasowała. Ale świadomość, że istnieje rozwiązanie albo przynajmniej jakieś unifikujące wyjaśnienie, zupełnie w niczym jej nie pomagała.

Może najbardziej irytowało ją to, że nawet teraz część jej umysłu pracowała nad tym zagadnieniem, nie skupiając się w pełni na ważniejszych bieżących sprawach. Volyova czuła się tak, jakby jej mózg tworzyła klasa przedwcześnie rozwiniętych uczniów. Wszyscy błyskotliwi i — gdyby tylko ze — chcieli współpracować — zdolni głębiej zrozumieć problem. Ale niektórzy z uczniów nie uważali. Patrzyli sennie w okno, ignorując jej żądania, by skupić się na chwili obecnej, ponieważ uważali, że ich własne obsesje są atrakcyjniejsze intelektualnie od nudnego programu serwowanego przez nauczycielkę.

Na pierwszy plan umysłu wysunęło się pewne skojarzenie. Wspomnienie. Dotyczyło systemów zapór sieciowych, które zainstalowała ponad czterdzieści lat temu, według czasu statkowego. Miała je zamiar zastosować — jako środek ostateczny — przeciw atakowi wywrotowych wirusów. Nigdy nie sądziła, że kiedyś naprawdę będzie ich potrzebować, i to w takich jak te okolicznościach.

Ale jednak pamiętała o tych zaporach.

— Volyova — powiedziała, prawie dysząc, do swej bransolety, wyciągając z pamięci potrzebną komendę. — Dostęp do protokołu antyinsurekcyjnego powaga lambda plus, maksymalna gotowość bojowa, założyć współbieżność i powtórne sprawdzanie, w pełni autonomiczne pokonywanie odmów, ustawienia domyślne Armagedon, krytyczność dziewięć, obejście bezpieczeństwa czerwone-jeden-alfa, wszystkie przywileje triumwiratowe aktywne na wszystkich poziomach, wszystkie przywileje nietriumwiratowe odwołane. — Wzięła oddech, mając nadzieję, że te kantyczki otworzyły jej wystarczająco wiele drzwi do serca matrycy operacyjnej statku. — Teraz odzyskaj i uruchom aplikację o nazwie „Paraliż” — powiedziała. — Palsy. Natychmiast — dodała pod nosem.

„Paraliż” był programem, który inicjalizował zamykanie zainstalowanych przez nią zapór sieciowych. Sama napisała „Paraliż” — ale było to tak dawno temu, że nie pamiętała dobrze ani co takiego robił, ani w jakiej części statku mógł skutecznie działać. To był hazard — chciała unieruchomić dostatecznie wiele systemów, by stworzyć trudności broni kazamatowej, ale z pewnością nie chciała, by jej własne próby zatrzymania tej broni zostały w jakimś stopniu udaremnione.

— Svinoi, svinoi, svinoi…

Komunikaty o błędzie przewijały się przez jej bransoletę. Usłużnie powiadamiały, że rozmaite systemy, które „Paraliż” usiłował uaktywnić i wyłączyć, nie leżały już w zasięgu aplikacji. Nie mógł się już wtrącać do ich działania. Taka była większość systemów — zwłaszcza głębsze systemy statku. Gdyby „Paraliż” działał prawidłowo, spowodowałby na statku skutek podobny do tego, jaki na człowieka wywiera cios w głowę — ogólne wyłączenie wszystkich systemów, które nie są absolutnie niezbędne, i zapaść w stan odwracalnego nieruchomienia. Powstałyby istotne szkody, ale głównie powierzchowne i takie, które Volyova potrafiłaby naprawić, ukryć albo o których mogłaby wymyślić kłamstwa, zanim obudzą się pozostali członkowie załogi. Ale „Paraliż” działał inaczej. Gdyby uszkodzenia statku porównać do ludzkich dolegliwości, to odpowiadał on krótkotrwałemu zdrętwieniu części wierzchniej warstwy skóry. Volyova planowała zupełnie co innego.

Uświadomiła sobie, że program powinien był unieruchomić autonomiczne bronie pokładowe, te, które nie zależały bezpośrednio od centrali i które wcześniej zestrzeliły prom. Teraz przynajmniej może jeszcze raz zastosować ten sam gambit. Oczywiście, tym razem broń posunie się dalej i już nie będzie można zagrodzić jej drogi. Ale jeśli Volyova wyprowadzi w kosmos następny prom, pojawią się nowe opcje.

Sekundę później jej optymizm został rozbity na kilka ponurych okruchów zniechęcenia. Może,.Paraliż" miał działać właśnie w ten sposób, a może w ciągu minionych czterdziestu lat różne statkowe systemy splątały się i połączyły. „Paraliż" usunął kilka rzeczy, których Volyova wcale nie zamierzała ruszać… ale z jakiejś przyczyny promy nie chciały współpracować, oddzielone od reszty statku zaporami sieciowymi. Próbowała od niechcenia zwykłych triumwiratowych poleceń obejścia, ale żadne z nich nie zadziałało. Nie było to niespodzianką: „Paraliż" umieścił fizyczne luki w sieci dowodzenia, rozpadliny, której brzegów nie mógłby połączyć żaden program. Aby dołączyć promy do sieci, Volyova musiałaby hardware'owo zrestartować wszystkie te przerwy, a do tego musiałaby znaleźć mapę instalacji, którą zrobiła przed czterdziestu laty. Ta praca zajęłaby co najmniej kilka dni.

Tymczasem na działanie pozostawały minuty.

Została wessana — nie tyle w otchłań depresji, co w bezdenną studnię grawitacyjną, w którą spadało się bez końca. A gdy wpadła głęboko w jej paszczę — i upłynęło kilka cennych minut — coś sobie przypomniała, coś tak oczywistego, że już dawno powinna była o tym pomyśleć.

Zaczęła biec.

Khouri wpadła z powrotem do centrali uzbrojenia.

Szybkie spojrzenie na zegary stanu potwierdziło to, co obiecał jej Fazil — czas rzeczywisty w ogóle się nie posunął. To jakaś sztuczka — naprawdę czuła, jakby spędziła w bańkonamiotach prawie godzinę. W rzeczywistości całe doznanie rozpoczęło się przed ułamkiem sekundy. Nic więc z tego naprawdę nie przeżyła, ale zaakceptowanie tego faktu było prawie niemożliwe. A jednak teraz odprężyć się nie mogła — wydarzenia i tak biegły gorączkowo jeszcze przed włączeniem tych wspomnień. Sytuacja nagliła.

Broń kazamatowa musi być w tej chwili prawie gotowa do strzału: statek nie wykrywał już jej emisji grawitacyjnej — coś jak gwizdek, który przeszedł w ultradźwięki. Możliwe, że broń już wypaliła. Czy rzeczywiście Mademoiselle zwlekała? Czy było dla niej ważne, żeby Khouri przeszła na jej stronę? Jeśli broń by zawiodła, Khouri stałaby się ponownie jej jedy — nym środkiem działania.

— Daj spokój — powiedziała Mademoiselle. — Daj spokój,

Khouri. Chyba już zrozumiałaś, że Złodziej Słońca jest czymś obcym. Pomagasz mu!

Wysiłek mentalny związany z subwokalizacją teraz był dla niej zbyt wielki.

— Taa, jestem gotowa uwierzyć, że to obcy. Problem polega na tym, kim w takim razie jesteś ty?

— Khouri, nie mamy na to czasu.

— Przykro mi, ale właśnie nadszedł najwłaściwszy moment, by pomówić o tym otwarcie. — Khouri, przekazując swoje myśli, nadal trwała w zmaganiach, choć jej część — ta część, która została przekabacona przez obrazy ze wspomnień — błagała, żeby zrezygnować, żeby pozwolić Mademoiselle na całkowitą kontrolę kazamaty. — Naprowadziłaś mnie na myśl, że Złodziej Słońca to coś, co Sylveste przywiózł ze sobą od Całunników.

— Nie. To ty dostrzegłaś fakty i doszłaś do jedynego logicznego wniosku.

— Akurat. — Khouri znalazła w sobie nowe siły, choć nie wystarczały, by przechylić szalę zwycięstwa. — Cały czas zde — cydowanie chciałaś zwrócić mnie przeciwko Złodziejowi Słońca. Może to usprawiedliwione, może jest parszywym sukinsynem, ale nasuwa się pewne pytanie. Skąd o tym wiesz? Znikąd. Nie wiesz, chyba że sama jesteś obca.

— Zakładając — chwilowo — że tak się właśnie sprawy przedsta…

Coś nowego zawładnęło uwagą Khouri. Choć toczyła trudną bitwę, ten nowy problem stał się dla niej wystarczająco ważny, by na chwilę zmniejszyła napięcie i poświęciła dodatkową część swego świadomego umysłu ocenie sytuacji.

Coś dołączyło do bójki.

Nowo przybyły nie znajdował się w zbrojprzestrzeni. Nie był następną istotą cybernetyczną, lecz fizycznym obiektem, dotychczas nieobecnym — albo przynajmniej do tej chwili niezauważanym — na bitewnej arenie. Gdy Khouri go wykryła, obiekt znajdował się bardzo blisko Światłowca; według jej oceny niebezpiecznie blisko, wydawał się dołączony do statku fizycznie, jak pasożyt.

Miał wielkość małego statku kosmicznego, część centralną o rozpiętości najwyżej dziesięciu metrów. Przypominał grubą, żebrowaną torpedę, z wychodzącymi ośmioma wyraźnymi nogami. Spacerował po kadłubie statku. Co najdziwniejsze, nie uszkodziły go środki obronne, które zniszczyły prom.

— Ilia… — powiedziała Khouri na wydechu. — Ilia, nie sądzisz chyba poważnie… — I chwilę później: — Och, cholera. To ty, prawda?

— Co za głupota! — powiedziała Mademoiselle.

Komora pajęcza oddzieliła się od kadłuba, wszystkie osiem nóg jednocześnie zwolniło chwyt. Ponieważ statek ciągle hamował, zdawało się, że komora pajęcza coraz szybciej leci w przód. Jak mówiła Volyova, w zwykłej sytuacji komora w tym momencie odpaliłaby swoje chwytaki, by odzyskać kontakt ze statkiem. Volyova musiała je wyłączyć, gdyż komora spadała nadal, aż włączyły się jego silniki. Choć Khouri postrzegała tę scenę różnymi kanałami w trybie niedostępnym osobie pozbawionej implantów zbrojprzestrzeni, małą część tego strumienia odczuciowego poświęcono obrazowi optycznemu, przekazywanemu z kamer zewnętrznych na statku. Przez ten kanał Khouri zobaczyła, jak dysze płoną gorącym fioletem. Wyrzucały materię z maleńkich jak ukłucia szpilki otworów wokół centralnej sekcji komory pajęczej, gdzie z torpedokształtnego kadłuba wystawała wieżyczka. Odchodziły stamtąd nie mające teraz oparcia nogi. Szybkie rozbłyski podświetliły nogi. Gdy komora dostosowała się do spadania, dziewczyna odwróciła nogi i rozpoczęła powrotne wznoszenie się wzdłuż statku. Volyova jednak nie zastosowała dysz, aby zbliżyć komorę do statku ł wykorzystać uchwyty. Po kilkusekundowej zwłoce pokój odpadł równolegle, przyśpieszając w kierunku broni.

— Ilia… naprawdę nie należy.

— Zaufaj mi. — Głos Trumwir wciął się w zbrojprzestrzeń, jakby dzieliła ją od Khouri połowa wszechświata, a nie zaledwie kilka kilometrów. — Mam coś, co mogłabyś uznać za plan. Przynajmniej umożliwi nam śmierć w walce.

— Ta ostatnia perspektywa raczej mi nie odpowiada.

— Mnie też nie. — Volyova na chwilę umilkła. — Nawiasem mówiąc, Khouri, jeśli to wszystko się skończy, a my przeżyjemy — co w tej chwili nie jest założeniem zbyt uzasadnionym — musimy poświęcić trochę czasu na małą pogawędkę.

Na pewno się boi i mówi tylko po to, by złagodzić trwogę, myślała Khouri.

— Małą pogawędkę?

— O tym wszystkim. O całym problemie z centralą. To okazja dla ciebie: mogłabyś uwolnić się od tych… nękających cię kłopocików. Gdybyś podzieliła się nimi ze mną wcześniej, czułabyś się lepiej.

— Na przykład czym?

— Na początek, kim naprawdę jesteś.

Komora pajęcza szybko pokonywała odległość do broni, wykorzystując swe dysze do hamowania; utrzymywała standardowe ziemskie przyśpieszenie we właściwym kierunku, więc stale poruszała się na tej samej wysokości względnej w stosunku do statku. Nawet z wyciągniętymi nogami komora pajęcza była ponad trzykrotnie mniejsza od broni kazamatowej. Teraz wyglądała nie na pająka, lecz

nieszczęśliwego kalmara, który za chwilę zniknie w pysku krążącego z wolna wieloryba.

— To zajmie trochę więcej czasu niż krótka pogawędka. — Khouri nie bez podstaw podejrzewała, że nie ma sensu dłużej ukrywać niektórych faktów przed Volyovą.

— To dobrze. Teraz na chwilę przepraszam; chcę zrobić coś niewykonalnego, prawie niemożliwego.

— Ma na myśli: samobójczego — powiedziała Mademoiselle.

— Bawi cię to wszystko, prawda?

— Ogromnie. Zwłaszcza że nie mam zupełnie kontroli nad tym, co się dzieje.

Volyova umieściła komorę pajęczą obok wystającego kolca broni kazamatowej. Znajdowała się jednak zbyt daleko, wijące się mechaniczne nogi nie mogły złapać trwałego chwytu na podziurawionej powierzchni. Broń oscylowała teraz powoli i przypadkowo, wściekle odpalając z własnych dysz i, jak się wydawało, próbowała uniknąć zbliżającej się Volyovej. Ale ruchy broni ograniczała bezwładność — jakby potężna, straszna armata przestraszyła się małego pająka. Khouri słyszała głośne szybkie dźwięki; zlewały się, jakby karabin maszynowy opróżniał magazynek.

Khouri patrzyła, jak cztery liny chwytakowe śmignęły z kadłuba komory pajęczej i trafiły w kolec broni kazamatowej. Chwytaki były penetratorami: miały wwiercić się kilkadziesiąt centymetrów w głąb celu i rozszerzyć się, więc kiedy już ukąsiły, nie można się było od nich uwolnić. Zakrzywione płomienie z dysz oświetlały liny odciągowe, obecnie napięte, i komora pajęcza już się na nich przybliżała, mimo że broń w dalszym ciągu wykonywała zamaszyste uniki.

— Świetnie — zauważyła Khouri. — Byłam przygotowana, by strzelić do sukinsyna. Co mam teraz robić?

— Nadejdzie okazja — strzelaj — powiedziała Volyova. — Jeśli możesz zogniskować wybuch z dala ode mnie, zaryzykuję. Ta komora jest lepiej opancerzona, niż ci się zdaje. — Umilkła na chwilę. — Ach, dobrze. Mam cię, ty złośliwy kawale złomu.

Teraz nogi komory pajęczej owinęły się wokół kolca. Wydawało się, że broń porzuciła wszelką nadzieje, że się go pozbędzie, i może nie bez przyczyny — Khouri zauważyła, że mimo swych mężnych prób Volyova wiele nie osiągnęła. Najprawdopodobniej przybycie komory pajęczej nie zakłóciło zbytnio funkcjonowania broni.

Tymczasem wznowiła się zaciekła bitwa o kontrolę nad broniami pokładowymi. Od czasu do czasu Khouri czuła, że się poruszają. Systemy Mademoiselle chwilowo przegrywały bitwę, ale te potknięcia nigdy nie pozwoliły Khouri na wycelowanie i ustawienie broni. A jeśli Złodziej Słońca jej pomagał, nie czuła tego, choć możliwe, że sam ten

brak obecności był skutkiem nadzwyczajnego sprytu. Może gdyby Złodzieja Słońca tam nie było, przegrałaby bitwę całkowicie i Mademoiselle już by wypuściła to coś, co mieściło się w broni. W tej akurat chwili ta różnica nie była zbyt istotna. Właśnie Khouri zauważyła, co zamierza zrobić Vblyova. Dysze komory pajęczej pracowały synchronicznie, opierając się ciągowi stosowanemu przez broń — większą, lecz mniej ruchliwą.

Volyova ciągnęła broń w dół statku, ku światłości plującej z najbliższej dyszy Światłowca. Miała zamiar zabić to draństwo w parzącym wyrzucie napędu Hybrydowców.

— Ilia — odezwała się Khouri — czy dobrze to… rozważyłaś?

— Rozważyłam? — Tym razem z niczym nie dało się pomylić śmiechu kobiety, mimo że brzmiał on bezosobowo. — To najmniej rozważna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam, Khouri. Ale w tej chwili nie widzę innych opcji. Chyba że cholernie szybko uruchomisz tamte działa.

— Ja… staram się.

— Dobrze, staraj się i przestań mnie niepokoić. Przyjmij do wiadomości, że akurat teraz mam sporo spraw na głowie.

— Wyobrażam sobie, że całe życie przepływa jej przed oczyma.

— Och, to znowu ty. — Khouri zignorowała Mademoiselle. Zrozumiała, że wtrącane przez nią zdania miały na celu rozproszenie jej uwagi. W ten sposób Mademoiselle rzeczywiście wpływała na przebieg bitwy. Nie była widzem aż tak nieskutecznym, jak utrzymywała.

Volyovej brakowało jeszcze trzystu metrów, by wciągnąć broń kazamatową w płomienie. Broń walczyła zaciekle, jej dysze szalały, ale ogólny ciąg był mniejszy od ciągu komory pajęczej. To zrozumiałe, myślała Khouri. Ci, co projektowali systemy pomocnicze ustawiania broni na pozycji, nie uwzględnili ewentualności, że broń będzie musiała również walczyć w zapasach.

— Khouri, za około trzydzieści sekund mam zamiar wypuścić svinoi — powiedziała Volyova. — Jeśli nie pomyliłam się w rachunkach, żaden ciąg korekcyjny nie uratuje tego draństwa przed zdryfowaniem w płomień.

— To dobrze, prawda?

— W pewnym sensie. Ale czuję, że powinnam cię ostrzec… — Głos Volyovej zanikał, odbiór zakłócały wrzące energie płomienia napędowego, do którego Volyova zbliżała się na odległość powszechnie uważaną za groźną dla wszelkich organizmów. — Przyszło mi na myśl, że nawet jeśli uda mi się zniszczyć broń kazamatową… część podmuchu — może coś egzotycznego — pobiegnie wzdłuż promienia napędowego. — Chwila przerwy była akurat teraz na pewno zamierzona. — Ale w takim wypadku rezultaty

mogą nie być… optymalne.

— Cóż, dzięki — oznajmiła Khouri. — Doceniam, że podbudowujesz moje morale.

— Cholera — powiedziała cicho i spokojnie Volyova. — Mój plan ma drobną wadę. Broń musiała trafić komorę pajęczą jakimś obronnym impulsem elektromagnetycznym. Albo to promieniowanie z napędu statku interferuje z systemami. — Khouri usłyszała odgłosy wielokrotnego przerzucania starodawnych metalowych przełączników na konsoli. — Chyba nie jestem w stanie się odczepić — kontynuowała Volyova. — Przylgnęłam do sukinsyna.

— Więc wyłącz ten cholerny napęd. Potrafisz, prawda?

— Oczywiście. Jak ci się wydaje: w jaki sposób zabiłam Nagomego? — Jednak w jej głosie brakowało optymizmu. — Niet, odcięłam sterowanie napędem, musiałem zablokować swoje kanały przerwań, kiedy uruchomiłam „Paraliż”… — Teraz mówiła szybko i niewyraźnie. — Khouri, sytuacja robi się rozpaczliwa… jeżeli masz te bronie…

Odezwała się Mademoiselle ze specyficzną pewnością siebie.

— Ona już jest martwa, Khouri. I musiałabyś teraz strzelać pod takim kątem, że połowa tych broni zostałaby wyłączona, by zapobiec uszkodzeniu statku. Tylko mając łut szczęścia, nadpaliłabyś kadłub broni kazamatowej tym, co by ci zostało.

Miała rację: Khouri niemal nie zauważyła, jak całe zestawy potencjalnie dostępnego uzbrojenia zabezpieczyły się, ponieważ teraz żądała od nich, by się kierowały na punkt niebezpiecznie bliski istotnych części statku. Pozostało jedynie lekkie uzbrojenie, niezdolne do wyrządzenia poważniejszych szkód.

Coś jednak ustąpiło, może wyczuwając sytuację.

Nagle broń znalazła się pod kontrolą Khouri, a ograniczona siła rażenia tych systemów działała na jej korzyść. Potrzebowała teraz chirurgicznej precyzji, nie brutalnej siły.

W przerwie, zanim Mademoiselle odzyskała bronie, Khouri pozbyła się starych wzorców celowniczych i wydała rozkazy nastawienia na nowe cele. Przekazała niezwykle dokładne instrukcje. Sunąc na swe pozycje, niezgrabnie, jakby zanurzono je w roztopionym toffi, bronie ustawiły się na wybrane punkty ataku — już nie na broń kazamatową, lecz na coś zupełnie innego…

— Khouri — zaczęła Mademoiselle — naprawdę powinnaś się zastanowić…

Ale Khouri już wypaliła.

Plamy plazmy wyciągnęły się ku broni kazamatowej, trafiając nie w samą broń, ale w komorę pajęczą. Odcięły czysto wszystkie osiem nóg, a potem wszystkie cztery liny chwytakowe. Komora z nogami uciętymi w kolanach odskoczyła od dziurawiącej dzidy napędu.

Broń kazamatowa wdryfowała w promień niczym ćma w żarzącą się lampę.

Potem wszystko następowało w nieludzko krótkich sekwencjach i dopiero w chwilę później Khouri pojęła sens wydarzeń. Fizyczne zewnętrze broni kazamatowej wyparowało w milisekundy, odpływając w obłoku metalicznych oparów. Może to dotknięcie promienia doprowadziło do dalszych zjawisk albo też w momencie zagłady broń już przeprowadzała transformację szywrót na wywrót.

W każdym razie sprawy potoczyły się niezupełnie zgodnie z intencją konstruktorów broni.

Równocześnie — lub może rozdzielone tak krótką chwilą, że nie miało to znaczenia — pozostałość broni kazamatowej pod wypatroszoną skórą wyemitowała wydłużoną erupcję grawitacyjną, beknięcie tnącej czasoprzestrzeni. W bezpośrednim sąsiedztwie broni coś strasznego działo się z materią rzeczywistości. Coś niezaplanowanego. Tęcza ugiętego światła gwiazd migotała wokół grudkowatej masy plazmy-energii. Przez milisekundę tęcza była mniej więcej kulista i stabilna, potem zaczęła się kołysać, oscylując nierównomiernie, jak bańka mydlana tuż przed pęknięciem. Ułamek milisekundy później zawaliła się do wewnątrz i zanikła z eksponencjalnym przyśpieszeniem.

1 nic — nie było nawet szczątków — tylko zwykłe popstrzone gwiazdami kosmiczne tło.

Potem pojawił się błysk światła o barwie przechodzącej w ultrafiolet. Błysk powiększył się i spuchł, rozdął do intensywnie świecącej, złowrogiej sfery. Fala ekspandującej plazmy uderzyła w statek i wstrząsnęła nim tak gwałtownie, że Khouri poczuła uderzenie mimo resorującego zawieszenia kardanowego w centrali. Popłynął strumień danych, informując Khouri — choć nie zależało jej zbytnio na tej wiedzy — że wybuch nie uszkodził poważnie żadnego z systemów kadłuba, a krótkotrwały wzrost promieniowania tła spowodowany błyskiem mieścił się w granicach dopuszczalnych norm. Obrazy grawimetryczne natychmiast wróciły do normy.

Czasoprzestrzeń została przebita na poziomie kwantowym, po czym uwolniła drobniutki błysk energii Plancka. Drobniutki w porównaniu ze zwykłymi wrzącymi energiami obecnymi w czasoprzestrzennej pianie. Jednak gdy te energie wydostały się ze swego normalnego zamknięcia, to nawet ten infinitezymalny błysk był niczym bomba jądrowa wybuchająca tuż obok. Czasoprzestrzeń natychmiast się wyleczyła, zacerowała, nim powstała prawdziwa szkoda. W dowód, że zaszedł tutaj jakiś nieszczęśliwy wypadek, pozostało tylko kilka dodatkowych monopoli magnetycznych, kwantowe dziury o małej masie i inne anomalne lub egzotyczne cząsteczki.

Broń kazamatowa zadziałała fatalnie.

— No, doskonale — powiedziała Mademoiselle tonem, w którym najsilniej brzmiało rozczarowanie. — Mam nadzieję, że jesteś dumna z tego, co zrobiłaś.

Ale uwaga Khouri została obecnie pochłonięta mknącą ku niej przez zbrojprzestrzeń nieobecnością. Próbowała się cofnąć w czasie, ale nie zdążyła. Zerwać połączenie…

Trochę za późno.

TRZYNAŚCIE

Orbita Resurgamu, 2566

— Fotel — powiedziała Volyova po wejściu na mostek.

Fotel obniżył się ku niej gorliwie. Usiadła i odjechała pośpiesznie od amfiteatralnych ścian mostka ku olbrzymiej sferze projekcji holograficznej, zajmującej środek pokoju.

Sfera przedstawiała widok Resurgamu, najbardziej jednak przypominała powiększoną kilkaset razy wysuszoną gałkę oczną zmumifikowanego trupa. Volyova wiedziała jednak, że ten obraz to coś więcej niż dokładny wizerunek Resurgamu wydobyty ze statkowej bazy danych. Wizualizacja odbywała się w czasie rzeczywistym, za pomocą kamer, które nawet w tej chwili patrzyły w dół z kadłuba Światłowca.

Resurgamu nikt nie mógłby nazwać piękną planetą. Poza przybrudzoną bielą czap biegunowych ogólna barwa była szarobura. Na to gdzieniegdzie nakładały się strupy rdzy i kilka bezładnych szaroniebieskich wiórów w pobliżu strefy równikowej. Rozległe oceany nadal spoczywały pod lodem, a cętki otwartej wody z pewnością zostały sztucznie podgrzane, albo przez siatki energii cieplnej, albo dzięki starannie zaprojektowanym procesom metabolicznym. Obłoki tworzyły smużkowate piórka, a nie złożone układy, których można by się spodziewać w rozwiniętym planetarnym systemie pogody. Tu i ówdzie obłoki gęstniały w białą nieprzezroczystą powło — kę, lecz tylko w niewielkich ganglionach w pobliżu osiedli. Tam właśnie pracowały fabryki pary, sublimujące lód polarny w wodę, tlen i wodór. Kilka łat roślinności było na tyle dużych, że dawały się dostrzec bez powiększenia do rozdzielczości kilometrowej. Niewidoczne były także oczywiste dowody obecności ludzkiej — tylko co dziewięćdziesiąt minut, gdy planeta pokazywała swe nocne oblicze, migały światła rzadko rozsianych osiedli. Nawet zastosowanie zoomu nie pozwalało dostrzec osiedli, gdyż — z wyjątkiem stolicy — na ogół zanurzały się pod powierzchnię. Ponad nią wystawało bardzo niewiele: anteny, poletka, lądowiska czy nadęte powietrzem cieplarnie. Ze stolicy…

To właśnie niepokoiło.

— Kiedy otwiera się nasze okno z Triumwirem Sajakim? — spytała, omiatając wzrokiem twarze pozostałych członków załogi, siedzących naprzeciw niej w fotelach ustawionych swobodnie pod popielatym światłem przedstawianej planety.

— Za pięć minut — odparł Hegazi. — Pięć minut męki i kochany Sajaki podzieli się z nami smakowitymi informacjami na temat naszych nowych przyjaciół kolonistów. Jesteś pewna, że zniesiesz mękę oczekiwania?

— Może byś wysunął jakąś hipotezę, svinoi?

— Nie będą dla nas stanowić wielkiego problemu, prawda? — Hegazi uśmiechał się albo przynajmniej bardzo się starał przybrać zbliżony do uśmiechu wyraz twarzy; niezłe osiągnięcie, zważywszy na liczbę chimerycznych akcesoriów inkrustujących mu twarz. — Dziwne, gdybym cię tak dobrze nie znał, powiedziałbym, że nie jesteś tym wszystkim zafascynowana.

— Jeśli nie znalazł Sylveste'a…

Hegazi uniósł dłoń w ciężkiej rękawicy.

— Sajaki nie złożył jeszcze swego sprawozdania. Nie ma co wymachiwać strzelbą…

— Więc jesteś pewien, że go znalazł?

— Nie, tego nie powiedziałem.

— Jeżeli czegoś nie znoszę — oznajmiła Volyova, patrząc zimno na Triumwira — to bezmyślnego optymizmu.

— Och, uszy do góry. Bywają większe nieszczęścia.

Tak, musiała mu przyznać rację. Ale czemu z irytującą regularnością przytrafiały się właśnie jej? Zadziwiającą cechą niepowodzeń, które nawiedziły ją ostatnio, była ich zdolność do eskalacji po każdym uderzeniu pecha. Teraz z nostalgią wspominała sytuacje zaledwie irytujące, związane z Nagornym, gdy najpoważniejszy problem, z którym musiała sobie radzić, polegał na tym, że ktoś chce ją zabić. Bez entuzjazmu zastanawiała się, czy nie nadejdzie wkrótce dzień, kiedy z tęsknotą wspomni obecny okres.

Kłopoty z Nagornym pojawiły się jako pierwsze. Teraz widziała to wyraźnie; wtedy uważała całą rzecz za osobny incydent, ale w istocie była to zapowiedź czegoś znacznie gorszego w przyszłości, podobnie jak szmery w sercu zapowiadają zawał. Zabiła Nagornego, ale nie pomogło to w poznaniu przyczyn, które doprowadziły go do szaleństwa. Potem zwerbowała Khouri i problemy nie tyle się powtórzyły, co powróciły w znacznie większej skali, jak motyw ponurej symfonii. Khouri nie wyglądała na szaloną… jeszcze. Ale stała się katalizatorem gorszego, mniej określonego szaleństwa. W jej głowie hulały burze — z tak gwałtownymi Volyova nigdy się nie spotkała. A potem ten incydent z bronią kazamatową, przez który Volyova omal nie zginęła; mógł nawet zabić ich wszystkich i sporo ludzi na Resurgamie.

— Nadeszła pora na wyjaśnienia, Khouri — powiedziała, kiedy pozostali załoganci jeszcze spali.

— Na jaki temat, Triumwirze?

— Przestań zgrywać niewiniątko. Jestem zbyt zmęczona i zapewniam cię, że i tak dojdę prawdy. Podczas kryzysu z bronią kazamatową dużo wyszło na jaw. Mylisz się, jeśli liczysz, że zapomnę o tym, co powiedziałaś.

— Na przykład? — Obie znajdowały się na dole, w jednej z zaszczurzonych stref. Volyova uważała to miejsce za najmniej dostępne dla urządzeń podsłuchowych Sajakiego, jeśli nie liczyć samej komory pajęczej.

Dość mocno pchnęła Khouri ku ścianie i dziewczyna na chwilę straciła dech. Volyova dawała jej w ten sposób do zrozumienia, że powinna docenić jej krzepę i nie nadużywać cierpliwości.

— Coś ci wyjaśnię, Khouri. Zabiłam twojego poprzednika, Nagornego, gdyż mnie zawiódł. Skutecznie ukryłam prawdę o jego śmierci przed resztą załogi. Nie miej złudzeń — w twoim wypadku postąpię tak samo, jeśli dostarczysz mi odpowiedniego uzasadnienia.

Khouri odepchnęła się od ściany, odzyskując nieco rumieńców.

— Co dokładnie chcesz wiedzieć?

— Zacznij od tego, kim jesteś. Wychodząc z założenia, że wiem, że jesteś infiltratorem.

— Jak mogę być infiltratorem? Przecież to ty mnie zwerbowałaś.

— Tak — odpowiedziała szybko Volyova, gdyż już tę kwestię wcześniej przemyślała. — Tak to oczywiście wyglądało… pozornie, prawda? Bez względu na to, kto za tobą stoi, udało ci się zmanipulować moją procedurę selekcji i wydawało się, że to ja cię wybrałam… Tymczasem ostateczny wybór wcale do mnie nie należał. — Volyova musiała przyznać, że nie ma na to bezpośrednich dowodów, ale ta najprostsza hipoteza pasowała do wszystkich faktów. — Zamierzasz zaprzeczyć?

— Dlaczego uważasz, że jestem infiltratorem?

Volyova zamilkła, by zapalić papierosa. Kupiła papierosy od Stonerów w karuzeli, gdzie zwerbowała, czy też spotkała Khouri.

— Bo chyba za dużo wiesz o centrali uzbrojenia. Oraz o Złodzieju Słońca… a to głęboko mnie niepokoi.

— Wspomniałaś Złodzieja Słońca, gdy tylko wprowadziłaś mnie na pokład, pamiętasz?

— Owszem, ale twoja wiedza sięga głębiej niż informacje, które mogłaś usłyszeć ode mnie. Są momenty, gdy odnoszę wrażenie, że wiesz więcej o całokształcie sytuacji niż ja. — Zamilkła na chwilę. — Oczywiście są jeszcze inne sprawy, na przykład aktywność neuronów w twoim mózgu w czasie snu w chłodni… Powinnam staranniej zbadać implanty, z którymi weszłaś na pokład. Najwidoczniej nie są tym, czym się wydają. Zechcesz mi coś wyjaśnić?

— W porządku… — Ton głosu Khouri zmienił się. Widocznie porzuciła nadzieję, że blefując, wydostanie się z tej sytuacji. —

Posłuchaj uważnie, Ilia. Wiem, że również masz swoje sekreciki — sprawy, które naprawdę wolałabyś ukryć przed Sajakim i innymi. Domyśliłam się, co się stało z Nagornym, ale chodzi jeszcze o broń kazamatową. Wiem, że nie chcesz, by dotarło to do powszechnej wiadomości, inaczej nie zadałabyś sobie tyle trudu, by całą rzecz ukrywać.

Volyova skinęła głową — zaprzeczanie byłoby jałowe. Może Khouri wiedziała coś o jej stosunkach z kapitanem?

— Co przez to rozumiesz?

— Że cokolwiek ci teraz powiem, lepiej, żeby to zostało między nami. To chyba rozsądne żądanie z mojej strony?

— Właśnie stwierdziłam, że mogę cię zabić, Khouri. Chyba nie masz żadnych atutów przetargowych.

— Tak, możesz mnie zabić — przynajmniej próbować — ale wbrew temu, co twierdzisz, wątpię, czy zdołałabyś uzasadnić moją śmierć równie łatwo jak w przypadku Nagornego. Strata jednego zbrojmistrza to pech. Strata dwóch wygląda na niedbałość, przyznasz?

Obok przebiegł szczur i obryzgał je. Volyova z irytacją rzuciła w zwierzę niedopałkiem papierosa, ale szczur już zniknął w ściennym przepuście.

— Więc powiadasz, że mam nie informować innych, że jesteś infiltratorem?

Khouri wzruszyła ramionami.

— Zrobisz, co zechcesz. Ale jak Sajaki by to przyjął? Przede wszystkim, czyj to błąd, że infiltrator dostał się na pokład?

Volyova odpowiedziała dopiero po chwili.

— Wszystko przemyślałaś, prawda?

— Wiedziałam, że wcześniej czy później zechcesz mi zadać kilka pytań, Triumwirze.

— Więc zacznijmy od pytania oczywistego. Kim jesteś i dla kogo pracujesz?

Khouri westchnęła i z rezygnacją zaczęła mówić.

— Wiele z tego, co już wiesz, to prawda. Jestem Ana Khouri i byłam żołnierzem na Skraju Nieba… choć około dwudziestu lat wcześniej niż myślałaś. Jeśli chodzi o resztę… — Zamilkła na chwilę. — Wiesz, przydałoby mi się trochę kawy.

— Musisz się przyzwyczaić do tego, że nie ma kawy.

— W porządku. Jestem opłacana przez inną załogę. Nie znam ich nazwisk — nigdy nie miałam z nimi bezpośredniego kontaktu — ale od pewnego czasu próbują dobrać się do waszej kazamaty.

Volyova potrząsnęła głową.

— Niemożliwe. Nikt nie wie o tych jednostkach broni.

— Chciałabyś, żeby tak było. Ale używałaś części kazamaty, prawda? Ktoś musiał przeżyć, musieli być świadkowie, o których nic

nie wiesz. Stopniowo rozeszła się pogłoska, że twój statek wozi jakieś ostre draństwo. Może nikt nie zna całości obrazu, ale dość dużo wiedzieli i zachciało im się kawałka kazamaty.

Volyova milczała zaszokowana, jakby jej ktoś powiedział, że jej najintymniejsze nawyki są powszechnie znane. Jednak informacje Khouri nie wykraczały poza granice tego, co możliwe. Mogło dojść do przecieku. Załoga czasem porzucała statek — nie zawsze z własnej woli — i choć ci, którzy tak robili, nie powinni mieć dostępu do ważnych danych — a już z pewnością do tych związanych z kazamatą — zawsze istniała szansa pomyłki. Albo może, jak powiedziała Khouri, ktoś był świadkiem użycia broni kazamatowych, przeżył i przekazał informację dalej.

— Tamta załoga… może nie znasz nazwisk, ale czy wiesz, jak nazywał się ich statek?

— Nie. Gdyby mi to powiedzieli, to tak, jakby mi zdradzili swoją tożsamość.

— Więc co wiesz? W jaki sposób zamierzali ukraść nam kazamatę?

— I tu właśnie wchodzi na scenę Złodziej Słońca. Jest wirusem militarnym, przemyconym na pokład twego statku, podczas waszej ostatniej wizyty w układzie Yellowstone. Bardzo zdolny, adaptacyjny kawałek oprogramowania infiltracyjnego. Zaprojektowano go tak, by wkręcał się do oprogramowania wrogich instalacji i prowadził wojnę psychologiczną z użytkownikami, doprowadzając ich do szaleństwa sugestiami podprogowymi. — Khouri zamilkła, dając czas Volyovej na przetrawienie informacji. — Ale twoje środki obronne okazały się zbyt dobre. Złodziej Słońca został osłabiony i ta strategia nigdy naprawdę nie zadziałała. Przyczaili się więc do następnej okazji. Nadarzyła się dopiero wtedy, gdy wróciłaś do układu Yellowstone, prawie sto lat później. Jestem następną linią ataku: chcieli wprowadzić na statek infiltratora — człowieka.

— Jak dokonali pierwszego ataku wirusowego?

— Przez Dana Sylveste'a. Wiedzieli, że weźmiesz go na pokład, żeby nareperować kapitana. Umieścili w ciele Dana oprogramowanie bez jego wiedzy. Wirusowi polecili zainfekować twój system, kiedy tylko Sylveste podłączy się do twego pakietu medycznego.

Niestety, to możliwe, pomyślała Volyova. Inna załoga okazała się równie drapieżna jak oni. Założenie, że tylko Triumwirat Sajakiego jest zdolny do takiego podstępu, byłoby szczytem arogancji.

— A jaka miała być twoja funkcja?

— Ocenić, w jakim stopniu Złodziej Słońca zniszczył system twojej centrali. Jeśli się da, przejąć kontrolę nad statkiem. Resurgam to dobre miejsce do tego celu: leży na uboczu, poza jurysdykcją jakiejkolwiek ogólnosystemowej policji. Jeślibym przejęła statek, nikt

by tego nie widział, najwyżej paru kolonistów. — Khouri westchnęła. — Ale uwierz mi, ten plan to zwykła kupa chłamu. Program Złodzieja Słońca zawierał błędy, był niebezpieczny i zbyt adaptacyjny. Zwrócił na siebie uwagę, doprowadzając Nagornego do szaleństwa, choć z drugiej strony tylko jego mógł dosięgnąć. Wtedy zaczął rozrabiać w samej kazamacie.

— Zbuntowana broń.

— Właśnie. To również mnie przeraziło. — Khouri zadrżała. — Wiedziałam, że w tamtej chwili Złodziej Słońca jest zbyt potężny. Nie zdołałam przejąć nad nim kontroli.

Przez kilka następnych dni Volyova wypytywała Khouri. Sprawdzała różne aspekty opowieści i zestawiała je ze znanymi sobie faktami. Z pewnością Złodziej Słońca mógł być oprogramowaniem infiltracyjnym. Działał jednak mniej widocznie, subtelniej i skuteczniej niż wszystkie tego typu systemy, o których Volyova słyszała. A miała wieloletnie doświadczenie. Czy jednak mogła informacje o nim zlekceważyć? Nie, oczywiście, że nie. Przecież wiedziała, że Złodziej istnieje. Opowieść Khouri to pierwsze napotkane przez nią informacje, mające jakiś obiektywny sens. Wyjaśniała, dlaczego jej próby wyleczenia Nagornego się nie powiodły. To nie subtelna kombinacja skutków wywieranych przez kazamatę na implanty Volyovej pozbawiła go zmysłów. Został doprowadzony do szaleństwa bez ceregieli przez istotę zaprojektowaną właśnie do takich celów. Nic dziwnego, że wyjaśnienie problemów Nagomego było takie trudne. Bez odpowiedzi pozostawiało irytujące pytanie: dlaczego szaleństwo Nagornego przybrało tak wyrazistą formę? Gorączkowe szkice koszmarnych ptasich kończyn, wzór na własnej trumnie. Któż jednak mógł zaprzeczyć, że Złodziej Słońca wzmocnił istniejące wcześniej psychozy? Że podświadomość Nagornego pracowała z takimi obrazami, jakie jej najlepiej odpowiadały?

Wiadomości o zagadkowej innej załodze również nie można było beztrosko zlekceważyć. Z zapisów pokładowych wynikało, że inny Swiatłowiec — „Galatea” — przebywał na Yellowstone podczas ostatnich dwóch wizyt „Nostalgii” w tym układzie. Czy to oni podsunęli jej Khouri?

Na razie nie miała lepszego wyjaśnienia. Racja, że żadnej z tych informacji nie można przedstawić Triumwiratowi. Sajaki obwiniłby Volyovą o poważne uchybienie zasadom bezpieczeństwa. Oczywiście ukarałby Khouri… ale Volyova również mogła oczekiwać odwetu. Ostatnio panowały między nimi naprężone stosunki. Można było przypuszczać, że Sajaki spróbowałby ją zabić. Mogło mu się to udać — siłą przynajmniej dorównywał Volyovej. Nie za bardzo by się przejął utratą głównego eksperta od broni i jedynej osoby, która rzeczywiście zna sytuację w kazamacie. Niewątpliwie argumentowałby, że Volyova

w tej dziedzinie już wykazała się brakiem kompetencji. Pozostawał jeszcze jeden czynnik, którego Volyova nie mogła zlekceważyć całkowicie. Bez względu na to, co się naprawdę stało z bronią kazamatową, to niezaprzeczalnie Khouri uratowała Volyovej życie.

Myśl o tym była nieznośna; Volyova miała wobec infiltratorki dług.

Zanalizowała sytuację bez emocji i uznała, że należy udawać, iż nic się nie stało. W każdym razie misja Khouri była już niewykonalna. Nie będzie prób zawładnięcia statkiem. Tajne przyczyny, dla których ta dziewczyna znalazła się na statku, nie mają nic wspólnego z planami ponownego sprowadzenia Sylveste'a na pokład. W wielu sytuacjach Khouri przyda się jako członek załogi. Teraz, kiedy Volyova znała prawdę, a oryginalny cel misji Khouri został zarzucony, Khouri z pewnością zrobi wszystko, by dopasować się do wyznaczonego stanowiska. Nie miało wielkiego znaczenia to, czy kuracja lojalności zadziałała, czy nie: Khouri będzie musiała postępować tak, jakby kuracja poskutkowała, i stopniowo gra przestanie różnić się od prawdy. Może nawet nie zechce opuścić statku, gdy nadarzy się okazja. Cóż, istnieją gorsze miejsca. Po miesiącach czy latach czasu subiektywnego stanie się jedną z załogi, a jej podwójna gra pozostanie tajemnicą między nimi dwiema. Volyova stopniowo o tym niemal zapomni.

W końcu doszła do wniosku, że sprawa infiltracji została wyjaśniona. Oczywiście jest ciągle Złodziej Słońca, ale teraz Khouri będzie z nią współpracować, by ukryć go przed Sajakim. Tymczasem istniały jeszcze inne rzeczy, które należało przed nim ukrywać. Volyova postanowiła zatrzeć wszelkie ślady incydentu z bronią kazamatową, i to zanim Sajaki i pozostali załoganci zostaną rozbudzeni. Okazało się to niełatwe. Pierwsze zadanie polegało na zreperowaniu szkód wewnątrz Światłowca i załataniu obszarów kadłuba uszkodzonych wybuchem broni. Należało więc pogonić procedury autonaprawcze. Volyova musiała jednak zadbać o to, by wszystkie wcześniejsze blizny, kratery zderzeniowe czy miejsca poprzednich niedokładnych napraw zostały precyzyjnie odtworzone. Następnie włamała się do pamięci autonapraw i usunęła stamtąd informacje, że ostatnio w ogóle przeprowadzono jakiekolwiek naprawy. Wyremontowała komorę pajęczą, choć pozostali członkowie załogi i tak nie powinni wiedzieć o jej istnieniu. Lepiej chuchać niż dmuchać. Zresztą jak dotychczas była to najprostsza z przeprowadzonych napraw. Potem Volyova musiała usunąć wszelkie dowody, że program „Paraliż" został uruchomiony. Co najmniej tydzień pracy.

Znacznie trudniej było ukryć stratę promu. Przez pewien czas Volyova rozważała, czy nie wyprodukować drugiego — zbierać

drobne ilości materiałów po całym statku, aż będzie ich dostatecznie wiele. Wykorzystałaby w ten sposób tylko jedną dziewięćdziesięciotysięczną masy całego statku. Wiązało się to jednak z nadmiernym ryzykiem. Ponadto Volyova wątpiła, czy potrafi sprawić, żeby prom wyglądał dostatecznie staro. W końcu wybrała drogę łatwiejszą: wyedytowała bazę danych statku, która od teraz wykazywała, że zawsze na pokładzie był o jeden prom mniej. Sajaki mógł to zauważyć — cała załoga mogła to zauważyć — ale dowieść niczego się nie dało. Wreszcie odtworzyła broń kazamatową. Samą fasadę — kopię o groźnym wyglądzie, przyczajoną w kazamacie — mającą zwieść Sajakiego. Zacieranie śladów to sześć dni maniakalnej pracy. Siódmego dnia odpoczywała i starała się wziąć w garść, by nikt nie mógł zgadnąć, jak wiele pracy wykonała. Ósmego dnia obudził się Sajaki i zapytał, czym się zajmowała w ciągu tych lat, gdy spal chłodnym snem.

— Och, niczym nadzwyczajnym — odpowiedziała.

Trudno było odczytać jego reakcję — jak zresztą większość zachowań Sajakiego. Nawet jeśli tym razem mi się udało, myślała, nie mogę ryzykować następnej pomyłki. Teraz — choć jeszcze nie nawiązali kontaktu z kolonistami — nie wszystko zdołała zrozumieć. Myślami wróciła do sygnatury neutrinowej, którą wykryła wokół gwiazdy neutronowej układu. Od tamtej pory towarzyszyło jej uczucie niepewności. Źródło nadal się tam znajdowało i chociaż było słabe, Volyova dostatecznie dobrzeje poznała. Wiedziała, że obiega ono po orbicie nie samą gwiazdę neutronową, ale świat wielkości księżyca, okrążający z kolei gwiazdę. Nie zaobserwowano tego, gdy badano układ przed dziesięcioleciami, co z kolei sugerowało, że ma to związek z kolonią na Resurgamie. Ale jak koloniści zdołali wysłać coś takiego? Chyba nie mogli nawet osiągnąć orbity, nie mówiąc o wysłaniu sondy na krańce swego układu. Brakowało nawet statku, który ich tam przywiózł. Volyova sądziła, że znajdzie „Lorean" na orbicie wokół planety, ale ślad po statku zaginął. Pamiętała jednak, że mimo wszystko koloniści mogą dokonać rzeczy niespodziewanych. Następne brzemię do zbioru dotychczasowych problemów.

— Ilia? — odezwał się Hegazi. — Jesteśmy już prawie gotowi. Zaraz na nocnej stronie pojawi się stolica.

Kiwnęła głową. Pstrzące kadłub statku powiększające kamery zaraz skierują się na dokładnie określony teren siedemdziesiąt kilometrów za granicami miasta, skupiając się na miejscu zidentyfikowanym i uzgodnionym przed odlotem Sajakiego. Jeśli nie przydarzyło mu się jakieś nieszczęście, powinien tam teraz czekać, stojąc na szczycie nieosłoniętego płaskowyżu i spoglądając precyzyjnie w kierunku wschodzącego słońca. Niezwykle istotne było zachowanie dokładnego terminu, ale Volyova nie wątpiła, że Sajaki, będzie tam,

gdzie być powinien.

— Mam go — oznajmił Hegazi. — Stabilizatory obrazu dostrajają się.

— Pokaż.

Przy stolicy w globusie otwarło się okno. Puchło gwałtownie. Z początku obraz w oknie był niejasny — zamazana plama mogła przedstawiać człowieka na skale. Ale obraz szybko się wyostrzał; postać stała się rozpoznawalna. Sajaki. Zamiast pękatej zbroi adaptacyjnej, w której ostatnio widziała go Volyova, miał na sobie długi popielaty płaszcz, którego poły łopotały wokół długich butów; zatem na szczycie płaskowyżu wiał łagodny wiatr. Kołnierz płaszcza podniesiony był na uszy, ale twarzy nic nie zasłaniało.

Twarzy nie całkiem Sajakiego. Przed opuszczeniem statku Sajaki subtelnie przemodelował swe rysy zgodnie z uśrednionym ideałem, otrzymanym z profili genetycznych oryginalnych członków ekspedycji z Yellowstone na Resurgam. Profile te z kolei uwzględniały chińsko-francuskie geny osadników na Yellowstone. Gdyby Sajaki przespacerował się w południe po ulicach stolicy, sprowokowałby co najwyżej czyjeś ciekawe spojrzenie. Nic nie zdradzało w nim przybysza, nawet akcent. Oprogramowanie lingwistyczne zanalizowało kilkanaście stonerskich dialektów należących do członków wyprawy i za pomocą złożonych modeli leksykostatystycznych stworzyło nowy planetarny dialekt dla całego Resurgamu. Wygląd, podawana biografia i sposób mówienia Sajakiego świadczyły o tym, że jest przybyszem z jakiegoś oddalonego osiedla na planecie, a nie gościem spoza układu.

Tak się przynajmniej przedstawiał cały pomysł.

Sajaki nie miał ze sobą żadnych urządzeń technicznych, które mogłyby go zdradzić, z wyjątkiem podskórnych implantów. Konwencjonalny system komunikacji między powierzchnią planety a orbitą byłoby zbyt łatwo wykryć i bardzo trudno wyjaśnić, gdyby Sajakiego z jakichś powodów zatrzymano. Teraz jednak mówił, wielokrotnie powtarzając zdanie, a statkowe czujniki podczerwieni badały przepływ krwi w obszarze jego ust i na tej podstawie budowały model ruchów mięśni i szczęk. Zestawiając te ruchy z danymi w obszernym archiwum już zapisanych rozmów, statek zgadywał, jakie słowa wypowiadał mówiący. Skomplikowana technika, ale Volyova nie dostrzegała opóźnienia między ruchem ust Sajakiego a symulowanym głosem, który słyszała niezwykle czysto i wyraźnie.

— Zakładam, że mnie teraz słyszycie — oznajmił Sajaki. — Dla porządku nadmieniam, że to moje pierwsze sprawozdanie po wylądowaniu na powierzchni Resurgamu. Wybaczcie, jeśli chwilami będę odchodził od tematu lub wyrażał się nieelegancko. Nie zapisałem wcześniej tego raportu, nie chciałem ryzykować, że przy opuszczaniu

stolicy pojmają mnie wraz z notatkami. Sprawy mają się tu nie tak, jak oczekiwaliśmy.

To prawda, pomyślała Volyova. Przynajmniej część kolonistów wie, że na Resurgam przybył statek. Po kryjomu odbili od niego promień radaru. Ale nie próbowali skontaktować się z „Nieskończonością", statek też nie próbował się skontaktować z nikim na powierzchni. To martwiło Volyovą w takim samym stopniu jak istnienie źródła neutrino. Świadczyło o paranoi i ukrytych zamiarach — nie tylko z jej strony. Sajaki mówił dalej:

— Mam wiele do powiedzenia na temat kolonii, a to okno jest krótkie. Zacznę od wiadomości najważniejszej: zlokalizowaliśmy Sylveste'a. Teraz tylko musimy go wziąć pod naszą kuratelę.

Sluka siedziała naprzeciw Sylveste'a przy czarnym długim stole i popijała kawę. Wczesne słońce Resurgamu, przesączające się do pokoju przez wpółotwarte żaluzje, rysowało na jej skórze ogniste kontury.

— Potrzebna mi twoja opinia na pewien temat.

— Goście?

— Co za przenikliwość. — Nalała mu kawy, dłonią wskazała fotel. Sylveste zapadł się w siedzenie, jego głowa znalazła się niżej od głowy kobiety. — Doktorze Sylveste, zaspokój moją ciekawość i opowiedz mi, co słyszałeś.

— Nie słyszałem nic.

— Więc nie zajmie ci to wiele czasu.

Uśmiechnął się przez mgiełkę zmęczenia. Po raz wtóry tego dnia strażnicy obudzili go i półprzytomnego i zdezorientowanego wywlekli z pokoju. Nadal miał wrażenie, że otacza go zapach Pascale; zastanawiał się, czy żona śpi w swej celi, gdzieś po drugiej stronie Mantell. Odczuwał dotkliwą samotność, ale uczucie to łagodziła wieść, że żona żyje i nic jej nie jest. Mówiono mu o tym poprzednio, ale nie dowierzał ludziom Sluki. Jaki pożytek mieli z Pascale członkowie Słusznej Drogi? Jeszcze mniejszy niż z niego, a przecież zorientował się, że Sluka rozważa, czy warto trzymać go przy życiu.

Teraz jednak sprawy zaczęły się wyraźnie zmieniać. Pozwolono mu odwiedzić Pascale i chyba nie po raz ostatni. Czy to wyraz ludzkich uczuć Sluki, czy czegoś zupełnie innego? Może któreś z nich wkrótce będzie jej potrzebne i Gillian właśnie usiłuje zdobyć ich przychylność?

Sylveste łapczywie łykał kawę, zmywając resztki zmęczenia.

— Słyszałem jedynie, że ktoś może nas odwiedzić. Wyciągnąłem z tego własne wnioski.

— Którymi, jak mniemam, zechcesz się ze mną podzielić.

— Może przez chwilę pomówimy o Pascale?

Zerkała na niego znad filiżanki, a potem kiwnęła głową z

wdziękiem nakręcanej marionetki.

— Proponujesz wymianę wiedzy w zamian za… właściwie za co? Za poluzowanie reżimu, w jakim was trzymamy?

— Nie byłoby to z waszej strony nierozsądne.

— Zależy od tego, co warte są twe domysły.

— Domysły?

— Na temat tożsamości przybyszy. — Sluka zerknęła ku podzielonemu na paski wschodzącemu słońcu, mrużąc oczy w rubinowym blasku. — Cenię sobie twój punkt widzenia, choć Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

— Najpierw będziesz mi musiała powiedzieć, co wiesz.

— Dojdziemy do'tego. — Sluka uśmiechnęła się, przygryzając wargi. — Przyznam, że twoja pozycja przetargowa jest raczej kiepska.

— Dlaczego?

— Kim są ci ludzie, jeśli nie załogą Remillioda?

Ta uwaga oznaczała, że ich rozmowa z Pascale — i prawdopodobnie wszystko, co działo się między nimi — była monitorowana. Nie przejął się tym aż tak bardzo. Oczywiście cały czas podejrzewał, że są podglądani, ale wolał to zignorować.

— Bardzo dobrze, Sluka. Kazałaś Falkenderowi, by wspomniał o gościach, prawda? To dość sprytne.

— Falkender wykonywał tylko swą pracę. Więc kim oni są? Remilliod miał już doświadczenie w handlu z Resurgamem. Czy byłoby z jego strony rozsądnie powrócić tu ponownie?

— O wiele za wcześnie. Zaledwie wystarczyłoby mu czasu na dotarcie do innego układu, nie mówiąc już o miejscu, gdzie dałoby się czymś zahandlować. — Sylveste uwolnił się z objęć fotela i podszedł do poszatkowanego okna. Przez żaluzje obserwował północne strony płaskowyży. Promieniowały zimnym oranżem, niczym ustawione w stosie książki, które za chwile wybuchną płomieniami. Zauważył teraz, że niebo ma odcień błękiny, już nie purpurowy. Zjawisko wynikało chyba z tego, że wiatrom zabrano megatony kurzu i zastąpiono je parą wodną. A może to jakaś sztuczka kalekiego postrzegania barw?

— Remilliod nigdy nie powróciłby tak szybko. — Sylveste palcami dotykał szyby. — To bardzo przebiegły handlarz. Nieliczni go przewyższają.

— Wobec tego, kto to?

— Niepokoją mnie właśnie ci nieliczni.

Sluka wezwała asystenta, by zabrał kawę. Gdy stół został uprzątnięty, zaprosiła Sylveste'a, by usiadł znowu. Potem poleciła stołowi wydrukować dokument. Podała go Sylveste'owi.

— Informacja, którą za chwilę zobaczysz, dotarła do nas trzy tygodnie temu od naszego kontaktu w stacji obserwacji wybuchów słonecznych we Wschodnim Nekhebecie.

Sylveste skinął głową. Wiedział, o co chodzi. Sam nalegał na utworzenie stacji obserwacji wybuchów słonecznych — małych obserwatoriów rozrzuconych wokół Resurgamu, monitorujących gwiazdę na wypadek pojawienia się anomalnych emisji.

Czytanie dokumentu przypominało odcyfrowywanie pisma Amarantinów: pełznął po wyrazie od litery do litery, aż w mózgu odtworzył jego sens. Cal wiedział, że znaczna część procesu czytania sprowadza się do mechaniki — do fizjologii ruchu oka wzdłuż linii. Wbudował w oczy Sylveste'a programy realizujące taką funkcję, ale odtworzenie ich wszystkich przekraczało zdolności Falkendera.

A jednak Sylveste zrozumiał istotę dokumentu.

Stacja monitorowania wybuchów we Wschodnim Nekhebecie zarejestrowała impuls energii jaśniejszy od wcześniej zaobserwowanych. Krótko mówiąc, istniało niebezpieczeństwo, że na Delcie Pawia za chwilę powtórzy się wybuch, który unicestwił Amarantinów: ogromny wyrzut masy z korony, znany jako Wydarzenie. Jednak dokładniejsze badania wykazały, że emisja nie pochodzi z gwiazdy, lecz z czegoś, co znajduje się kilka godzin świetlnych poza nią, na skraju układu.

Analiza wzorca widmowego błysku promieni gamma ujawniła, że emisję cechuje małe, lecz dające się zmierzyć przesunięcie Dopplera — kilka procent szybkości światła. Wniosek sam się nasuwał: błysk pochodził ze statku w końcowej fazie hamowania z szybkości podróży międzygwiezdnych.

— Coś się wydarzyło — powiedział Sylveste, ze spokojną neutralnością obserwując wiadomość o statkowej katastrofie. — Awaria napędu.

— Też tak sądziliśmy. — Sluka postukała w kartkę paznokciem. — Kilka dni później wiedzieliśmy, że to nie ten przypadek. Ta rzecz nadal tam była — niewyraźna, lecz niewątpliwa.

— Statek przetrwał wybuch?

— Nie wiemy, czy to wybuch. Wtedy już zaobserwowaliśmy przesunięcie ku niebieskiemu z płomienia napędu. Hamowanie przebiegało normalnie, jak gdyby nigdy nie doszło do eksplozji.

— Chyba masz jakąś teorię.

— Połowę teorii. Sądzimy, że emisja pochodziła z broni. Nie mamy pojęcia, jakiego typu. Ale nic innego nie mogłoby wyzwolić takiej energii.

— Z broni? — Sylveste usiłował mówić absolutnie spokojnie, tonem głosu zdradzał jedynie naturalną ciekawość, oczyścił go z odcieni tego, co naprawdę odczuwał — głównie z różnych odmian przerażenia.

— To dziwne, nie sądzisz?

Sylveste pochylił się, na plecach czuł wilgotny chłód.

— Ci nieznani goście… przypuszczam, że rozumieją tutejszą sytuację.

— Obraz polityczny? To mało prawdopodobne.

— Ale próbowali skontaktować się z Cuvier.

— To właśnie ta dziwna sprawa. Nie ma od nich nic. Ani pisnęli.

— Kto o tym wszystkim wie?

Słowa były teraz prawie niesłyszalne, nawet dla niego samego, jakby przydeptano mu tchawicę.

— W całej kolonii około dwudziestu osób. Ludzie mający dostęp do obserwatoriów, kilkanaście osób tutaj, kilkoro w Resurgam City — Cuvier.

— To nie Remilliod.

Sluka opuściła papier — stół wchłonął go i strawił poufną zawartość.

— Więc masz jakieś sugestie, kto to może być?

Sylveste zastanawiał się, czy w jego śmiechu słychać histerię.

— Jeśli się nie mylę — a mylę się raczej rzadko — to nie jest zła wiadomość wyłącznie dla mnie. To zla wiadomość dla nas wszystkich.

— Mów dalej.

— Długa historia.

Wzruszyła ramionami.

— Nigdzie mi się nie śpieszy. Tobie też nie.

— Jak na razie.

— Co takiego?

— Po prostu takie osobiste podejrzenie.

— Sylveste, skończ te gierki.

Skinął głową. Wiedział, że ukrywanie czegokolwiek nie ma sensu. Swoimi obawami podzielił się już z Pascale; dla Sluki będzie to tylko wypełnianie luk, tego, co nie było dla niej oczywiste, gdy ich podsłuchiwała. Sluka i tak znajdzie sposób, by dowiedzieć się wszystkiego. Od niego lub — co gorsza — od Pascale.

— Zaczyna się dawno temu — zaczął. — Szmat czasu. W okresie, gdy dopiero co wróciłem na Yellowstone od Całunników. Przypominasz sobie, że właśnie wtedy zniknąłem?

— Zawsze zaprzeczałeś, że coś się wtedy wydarzyło.

— Porwali mnie Ultrasi — wyjaśnił Sylveste, nie czekając na jej reakcję. — Wzięli mnie na pokład Światłowca na orbicie wokół Yellowstone. Ktoś z załogi miał obrażenia i chcieli, bym… „dokonał naprawy”.

— Naprawy?

— Kapitan był ekstremalnym chimerykiem.

Sluka zadrżała. Jak większości kolonistów, tak i jej doświadczenia z radykalnie zmienionymi członkami marginalnych odłamów społeczności Ultrasów sprowadzały się głównie do przerażających

holodram.

— To nie byli zwykli Ultrasi — powiedział Sylveste. Postanowił zagrać na fobiach Sluki. — Przebywali w kosmosie zbyt długo, zbyt długo z dala od tego, co zwykliśmy uważać za normalną ludzką egzystencję. Byli izolowani, nawet jeśli uwzględnić zwykłe ultrasowskie normy — paranoidalni, militarystyczni.

— Ale mimo…

— Wiem, co myślisz. Że nawet jeśli tworzyli jakąś egzotyczną, pochodną kulturę, to w jakim stopniu mogli być źli? — Sylveste ułożył wargi w pogardliwy uśmiech i potrząsnął głową. — Tak początkowo myślałem. Potem dowiedziałem się o nich więcej.

— Na przykład czego?

— Wspominałaś o broni? Mieli i mają bronie, i gdyby tylko zechcieli, łatwo mogliby rozwalić tę planetę.

— Ale nie użyliby ich bez przyczyny?

Sylveste uśmiechnął się.

— Dowiemy się o tym, kiedy dolecą do Resurgamu.

— Tak… — Sluka powiedziała to ponurym głosem. — W zasadzie już tu są. Eksplozja nastąpiła trzy tygodnie temu… ale wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy z jej znaczenia. Tymczasem statek wyhamował i zajął pozycję na orbicie wokół Resurgamu.

Dobrą chwilę Sylveste nie mógł uspokoić oddechu. Zastanawiał się, czy Sluka rozmyślnie tak dawkuje rewelacje. Czy naprawdę zapomniała powiedzieć o tym szczególe, czy też specjalnie zachowała go na koniec, odsłaniając fakty w taki sposób, by czuł się stale zdezorientowany?

W takim razie wspaniale jej się to udało.

— Chwileczkę — powiedział. — Przed chwilą oświadczyłaś, że niewielu ludzi o tym wie. Ale jak można przeoczyć Światłowiec orbitujący wokół planety?

— Łatwiej niż ci się wydaje. Ich statek jest najciemniejszym obiektem w układzie. Oczywiście musi promieniować podczerwień, ale chyba potrafi dostroić emisję do częstotliwości naszej pary w atmosferze. Tych częstotliwości, które nie dochodzą do powierzchni planety. Gdybyśmy przez ostatnie dwadzieścia lat nie wprowadzili do atmosfery tyle wody… — Smętnie potrząsnęła głową. — Nieważne. Obecnie nikt nie poświęca niebu zbyt wielkiej uwagi. Mogliby przybyć obwieszeni świecącymi neonami i nikt by nic nie zauważył.

— A oni, wprost przeciwnie, w ogóle nie rozgłosili swojej obecności.

— Więcej: zrobili wszystko, byśmy się nie dowiedzieli, że tu są. Gdyby nie ten cholerny strzał z broni… — Umilkła, spoglądając przez okno, potem znów przełączyła swą uwagę na Sylveste'a. — Jeśli domyślasz się, kim są ci ludzie, musisz też mieć jakieś podejrzenia,

czego chcą.

— To dość proste. Chcą mnie.

Volyova słuchała uważnie końcówki sprawozdania Sajakiego z planety.

— Do Yellowstone dochodziło z Resurgamu bardzo mało informacji, a po pierwszym buncie jeszcze mniej. Teraz wiemy, że Sylveste przeżył bunt, ale po dziesięciu latach został usunięty w zamachu. Licząc od teraz, było to dziesięć lat temu. Uwięziono go — zresztą w dość luksusowych warunkach — na koszt nowego reżimu, który widział w nim użyteczne narzędzie polityki. Taka sytuacja by nam doskonale odpowiadała — łatwo byłoby wytropić miejsce pobytu Sylveste'a. Ponadto moglibyśmy negocjować z ludźmi, którzy bez zbytnich skrupułów by nam go wydali. Teraz jednak sytuacja jest niepomiernie bardziej złożona.

W tym momencie Sajaki przerwał i nieco się obrócił, wprowadzając w pole widzenia nowe tło za sobą. Kąt obserwacji zmienił się, gdyż przelecieli mu nad głową, na południe, lecz Sajaki to uwzględnił i wprowadził w swojej pozycji niezbędne poprawki, by jego twarz znajdowała się cały czas w zasięgu kamer statku. Dla obserwatora z innego płaskowyżu wyglądałby z pewnością dziwnie: cicha postać zwrócona twarzą do horyzontu, szepcze inkantacje, powoli obraca się na piętach z niemal zegarmistrzowską precyzją. Nikt by nie zgadł, że osobnik ten uczestniczy w jednokierunkowym przekazie komunikacyjnym ze statkiem na orbicie, a nie zatopił się w odprawianiu rytuałów jakiegoś prywatnego szaleństwa.

— Jak już ustaliliśmy podczas skanowania planety, stolica — Cuvier — została wypatroszona przez szereg dużych wybuchów. Z postępów odbudowy mogliśmy także wywnioskować, że w kolonialnej skali czasu wypadki te zaszły bardzo niedawno. Moje tutejsze badania ustaliły, że drugi zamach, ten w którym użyto owych broni, miał miejsce zaledwie osiem miesięcy temu. Jednak zamach nie zakończył się pełnym sukcesem. Stary reżim nadal panuje nad częścią Cuvier, choć jego przywódca — Girardieau — został zabity podczas zamieszek. Potopowcy Słusznej Drogi — ci odpowiedzialni za ataki — kontrolują wiele oddalonych osiedli, ale chyba brak im spójności i nawet wpadli we frakcyjne kłótnie. Przez tydzień, gdy tu przebywam, nastąpiło dziewięć ataków na miasto i niektórzy podejrzewają działanie wewnętrznych sabotażystów: infiltratorów Słusznej Drogi w samych ruinach Cuvier. — Sajaki zbierał teraz myśli i Volyova zastanawiała się, czy nie czuje on dalekiego pokrewieństwa ze wspomnianymi infiltratorami. Jeśli tak było, nie zdradzał tego nawet najmniejszym grymasem twarzy.

— Jeśli chodzi o me własne działania, oczywiście przede wszystkim rozkazałem skafandrowi, by się zdezintegrował. Kusiło

mnie, by na powierzchni planety udać się w nim do Cuvier, ale wiązałoby się to z nadmiernym ryzykiem. Podróż okazała się jednak łatwiejsza, niż przypuszczałem, a na przedmieściach podwiózł mnie zespół wracających z północy techników od rurociągów. Wykorzystałem ich jako przykrywkę, by wejść do miasta. Z początku okazywali podejrzliwość., ale wódka wkrótce ich przekonała i zabrali mnie do swego pojazdu. Powiedziałem im, że destylujemy ją w Phoenix, osiedlu, z którego przybyłem. Nigdy nie słyszeli o Phoenix, ale z wielką radością pili jego zdrowie.

Volyova kiwnęła głową. Wódka wraz z torbą pełną świecidełek została wyprodukowana na statku tuż przed odlotem Sajakiego.

— Obecnie ludzie żyją głównie pod ziemią, w katakumbach wykopanych pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu. Oczywiście powietrze jest mniej więcej dostosowane do oddychania, ale zapewniam was, nie jest to przyjemna czynność i ciągle się przebywa w stanie bliskim niedotlenienia. Wejście na ten płaskowyż wymagało znacznego wysiłku.

Volyova uśmiechnęła się do siebie. Jeśli Sajaki już się do tego przyznał, znaczy, że wchodzenie na płaskowyż musiało być dla niego prawdziwą torturą.

— Powiadają, że Słuszna Droga ma dostęp do marsjańskiej techniki genetycznej ułatwiającej oddychanie, choć nie widziałem na to żadnych dowodów. Moi znajomi technicy znaleźli mi pokój w hotelu dla górników spoza miasta, co oczywiście doskonale pasuje do opowiastki, którą dla nich wymyśliłem. Nie nazwałbym kwatery mianem luksusowej, ale wystarcza do moich potrzeb, czyli do zbierania danych. W rezultacie poszukiwań — dodał Sajaki — dowiedziałem się mnóstwa rzeczy sprzecznych… w najlepszym razie mętnych.

Sajaki odwrócił się już prawie o sto osiemdziesiąt stopni. Miał teraz słońce za prawym ramieniem i coraz trudniej było interpretować jego obraz. Oczywiście statek przełączył się na podczerwień i odczytywał mowę Sajakiego z przesuwających się wzorców krwi na jego twarzy.

— Naoczni świadkowie twierdzą, że Sylveste z żoną przeżyli zamach, w którym zabito Girardieau, ale od tamtego czasu się nie pokazali. Wydarzyło się to osiem miesięcy temu. Rozmowy z ludźmi, jak również ukryte źródła danych, które przechwyciłem, doprowadziły mnie do jednego wniosku. Sylveste jest znowu czyimś więźniem, teraz jednak trzymają go poza miastem. Prawdopodobnie chodzi o jedną z komórek Słusznej Drogi.

Volyova słuchała z napięciem. Domyślała się, do czego to prowadzi. Ale tym razem ta nieuchronność wynikała z tego, co Volyova wiedziała o Sajakim, a nie z sytuacji człowieka, którego

szukali.

— Negocjowanie z tutejszymi władzami politycznymi jest jałowe — stwierdził Sajaki. — Wątpię, czy oddaliby nam Sylveste'a, nawet gdyby chcieli go przekazać, a oczywiście nie chcą. Niestety, zostaje jedno wyjście.

Właśnie. Volyova zjeżyła się.

— Musimy tak wszystko zaaranżować, żeby kolonia uznała, że wydanie Sylveste'a jest w jej najlepszym interesie. — Sajaki uśmiechnął się, zęby błysnęły na tle ciemnej twarzy. — Nie muszę dodawać, że rozpocząłem już podstawowe przygotowania. — W tej chwili bez wątpienia zwracał się do niej bezpośrednio. — Volyova, możesz poczynić wszelkie wstępne formalne kroki, jakie uznasz za stosowne.

Normalnie czerpałaby pocieszającą przyjemność z tego, że tak dobrze odgadła intencje Sajakiego. Nie tym razem. Czuła tylko powoli płonące przerażenie i odrazę. Uświadomiła sobie, że znowu po tak długim czasie poprosi ją, by zrobiła tę rzecz. A najgorszym składnikiem strachu było przekonanie, że ona prawdopodobnie tę prośbę spełni.

— No, dalej, on nie gryzie — powiedziała Volyova.

— Znam skafandry, Triumwirze. — Khouri przerwała i zrobiła krok do białego pokoju. — Po prostu nie myślałam, że znowu zobaczę skafander. Nie mówiąc już o tym, że będę musiała to draństwo włożyć.

Cztery skafandry spoczywały przy ścianie w przygnębiająco białym magazynie, sześćset poziomów poniżej mostka, tuż przy komorze dwa, gdzie odbywały się zazwyczaj sesje treningowe.

— Posłuchaj jej tylko — powiedziała jedna z dwóch pozostałych kobiet. — Przecież będzie w tym cholerstwie najwyżej kilka minut. Nie schodzisz z nami na dół, Khouri, więc się nie posiusiaj.

— Dzięki za radę, Sudjic, wezmę ją pod uwagę.

Sudjic wzruszyła ramionami — szyderczy uśmiech byłby dla niej zbyt wielkim wysiłkiem emocjonalnym, pomyślała Khouri — i podeszła do swojego skafandra, a za nią jej towarzyszka Sula Kjarval. Przygotowane do włożenia skafandry przypominały żaby, którym wypuszczono krew, wypatroszono je, rozcięto i przypięto do pionowego blatu. Obecna konfiguracja skafandra najbardziej przypominała człowieka — wyraźnie zarysowane nogi, wyciągnięte ręce. „Dłonie" bez palców — w zasadzie nie były to dłonie, tylko opływowe płetwy — choć na życzenie użytkownika skafander mógł wyciągnąć potrzebne manipulatory i palce.

Khouri rzeczywiście znała skafandry. Na Skraju Nieba były rzadkością, importowanym dobrem, kupowanym od ultraskich kupców, zatrzymujących się wokół targanej wojną planety. Nikt na Skraju nie posiadał kwalifikacji, by skopiować tę konstrukcję, co

oznaczało, że skafandry kupione przez jej stronę konfliktu były bajecznie cenne, niczym potężne totemy, rozdzielane przez bogów.

Skafander zeskanował ją, ocenił wymiary, a potem dostroił własne wnętrze, by dokładnie pasowało do jej ciała. Khouri postąpiła naprzód i pozwoliła się otoczyć, tłumiąc lekkie uczucie klaustrofobii. Po kilku sekundach skafander zamknął się szczelnie i wypełnił żelopowietrzem, umożliwiając manewry, które bez żelu zmiażdżyłyby człowieka w środku. Persona skafandra wypytywała Khouri o drobne szczegóły, które Khouri chciałaby zmienić — pozwalała zindywidualizować zestaw broni i dostroić programy autonomiczne. Oczywiście w komorze dwa zostaną użyte jedynie bronie najlżejsze. Scenariusze walki miały się składać z prawdziwego, fizycznego działania i symulowanego użycia broni — wszystkie te elementy były gładko ze sobą splecione i należało je traktować z najwyższą powagą. Również trzeba było uwzględnić to, że skafander oferował nieograniczony wybór sposobów pozbycia się przeciwnika, który miał nieszczęście wkroczyć w sferę oddziaływania skafandra.

Prócz Khouri była ich tu trójka, ale Khouri nie brano poważnie pod uwagę jako uczestnika operacji na powierzchni planety. Volyova dowodziła. Urodzona w kosmosie — tak przynajmniej opowiadała Khouri — wielokrotnie jednak odwiedzała planety i nabyła właściwych, niemal instynktownych odruchów, zwiększających jej szansę podczas planetarnych wycieczek. Niepoślednim z tych odruchów był respekt dla planetarnej grawitacji. Podobnie Sudjic: urodziła się w habitacie, a może na Światłowcu, ale odwiedziła sporo światów i potrafiła odpowiednio się ruszać. Cienka niczym ostrze noża, sprawiała wrażenie, że wystarczy jeden krok na większej planecie, a połamie sobie wszystkie kości. Jednak Khouri nie dała się ani przez chwilę zwieść temu wrażeniu. Sudjic przypominała budowlę zaprojektowaną przez wytrawnego architekta, który znał dokładne naprężenia, znoszone przez każdy przegub i rozpórkę, a estetyczną dumę czerpał z tego, że nie przyjmował dodatkowych zapasów tolerancji. Kjarval natomiast bardzo się od tamtej różniła. Odmiennie od przyjaciółki, nie wykazywała ekstremalnych cech chimerycznych, wszystkie członki miała własne. Nie przypominała jednak żadnych znanych Khouri istot ludzkich: twarz — opływowa, jakby zoptymizowana do niesprecyzowanego ciekłego środowiska; oczy — kocie posiatkowane czerwone kule bez źrenic; nozdrza i uszy — podłużne, wąskie otwory; usta — szczelina na stałe ułożona w wyraz łagodnej egzaltacji — ledwo poruszały się podczas mówienia. Kjarval nie nosiła ubrań, nawet w chłodzie magazynu skafandrów, ale nie sprawiała wrażenia nagiej. Wyglądała raczej jak naga kobieta, którą zanurzono w jakiś niesłychanie giętki, szybkoschnący polimer. Innymi słowy prawdziwa Ultraska, niewiadomego i prawie na pewno

niedarwinowskiego pochodzenia. Khouri słyszała o uzyska — nych drogą inżynierii biologicznej ludzkich podgatunkach, wyhodowanych pod lodem na światach w rodzaju Europy lub o rusałkowcach zaadaptowanych do życia w kompletnie zalanych statkach kosmicznych. Sula wydawała się żyjącą dziwaczną hybrydą, wcieleniem tych mitów. Z drugiej strony mogła być czymś absolutnie innym. Może z kaprysu poddała swoje ciało tym transformacjom. Może służyły tylko maskowaniu zupełnie innej tożsamości. W każdym razie znała różne światy i tylko to miało w tej chwili znaczenie.

Sajaki również znał światy. Przebywał teraz na Resurgamie, ale jego rola w przechwyceniu Sylveste'a — jeśli takowe kiedyś nastąpi — pozostawała niejasna. Khouri niewiele wiedziała o Triumwirze Hegazim, jednak z przelotnych uwag zoriento — wała się, że nigdy nie postawił nogi na obiekcie, który nie został sztucznie wytworzony. Nic dziwnego, że Sajaki i Volyova oddelegowali Triumwira Hegaziego do zadań teoretycznych. Nie pozwolono by mu na podróż na powierzchnię Resurgamu — sam zresztą się o to nie dopominał.

Nie można było natomiast kwestionować doświadczeń Khouri. Urodziła się i wychowała na planecie i widziała działania na jednej z nich. Podczas wojny na Skraju Nieba znalazła się w sytuacjach, jakich prawdopodobnie nie doświadczył żaden inny załogant. Ich wycieczki, zaledwie wyprawy na zakupy, misje handlowe lub zwykła turystyka, zejście na dół, by napawać się skompresowanym życiem efemerydów. Khouri bywała niekiedy w sytuacjach, z których ledwo uchodziła z życiem, a jednak jako kompetentny żołnierz i szczęściara przeszła przez to wszystko w zasadzie bez szkody.

Nikt na statku tego nie podważał.

— Nie chodzi o to, że nie chcemy, byś szła z nami — stwierdziła Volyova wkrótce po incydencie z bronią kazamatową. — Z pewnością poradziłabyś sobie ze skafandrem równie dobrze jak każdy z nas. I prawdopodobnie zachowałabyś zimną krew pod ostrzałem.

— W takim razie…

— Ale nie mogę sobie pozwolić na ponowną stratę oficera. — Dyskusję prowadziły w pokoju pajęczym, a mimo to Volyova ściszyła głos. — Na powierzchni Resurgamu potrzeba tylko trojga ludzi, a to oznacza, że nie musimy cię wykorzystywać. Ja, Sudjic i Kjarval potrafimy obchodzić się ze skafandrem. Już zaczęłyśmy treningi.

— Więc przynajmniej pozwól mi do was dołączyć.

Volyova uniosła ramię, najwidoczniej chcąc zbyć tę propozycję. Zaraz jednak ustąpiła.

— Dobrze, Khouri. Trenujesz z nami. Ale to nic nie znaczy, rozumiesz?

Och, tak, rozumiała. Stosunki z Volyovą układały się teraz inaczej, po tym jak skłamała Volyovej, że jest infiltratorką pracującą

dla innej załogi. Mademoiselle już dawno przygotowała ją do tej pogawędki i chyba opowieść się udała; udał się również przebiegły chwyt, by Volyova sama mogła wydedukować, że chodzi o „Galateę", i miała z tego powodu cichą satysfakcję. Taka drobna podpucha. Volyova uwierzyła także w opowieść, że Złodziej Słońca jest zaprojektowanym przez człowieka oprogramowaniem szpiegowskim. Na razie zaspokajało to chyba jej ciekawość. Teraz były prawie równe sobie, obie miały coś do ukrycia przed resztą załogi, choć informacje Volyovej na temat Khouri zupełnie nie odpowiadały prawdzie.

— Rozumiem — stwierdziła Khouri.

— A jednak szkoda — Volyova uśmiechnęła się. — Mam wrażenie, że zawsze chciałaś spotkać Sylveste'a. Nadarzy się okazja, kiedy sprowadzimy go na pokład…

Khouri również się uśmiechnęła.

— Więc musi mi to wystarczyć, prawda?

Komora dwa była pustym pomieszczeniem, bliźniakiem kazamaty.

Odmiennie od komory kazamaty, ta była szczelna — panowało w niej ciśnienie jednej atmosfery standardowej. Nie była to jedynie ekstrawagancja — na Swiatłowcu komora tworzyła największą pojedynczą kieszeń powietrza nadającego się do oddychania i dlatego wykorzystywano ją jako zbiornik powietrza do zaopatrywania wypełnionych zwykle próżnią obszarów statku, kiedy musieli do nich wejść ludzie.

Zazwyczaj napęd dostarczał złudnej standardowej grawitacji, której siły działały wzdłuż długiej osi statku, pokrywającej się z osią mniej więcej cylindrycznej komory. Teraz napęd wygaszono — statek krążył po orbicie wokół Resurgamu — złudzenie grawitacji pochodziło z obrotów całej komory. Zatem kierunek sił grawitacji tworzył kąt prosty z długą osią, a zwrot skierowany był od środka komory. Blisko środka grawitacja prawie nie występowała — umieszczony tam przedmiot mógł unosić się przez minuty, nim odepchnęło go jakieś małe początkowe odchylenie. Potem rosnące ciśnienie wiatrów z krążącego również powietrza ściągało przedmiot szybciej i niżej. Nic jednak w komorze nie „spadało" po liniach prostych, przynajmniej z punktu widzenia obserwatora stojącego na wirującej ścianie.

Weszli przy końcu cylindra przez opancerzone łupinowe drzwi. Wewnętrzną ich stronę żłobiły ślady wybuchów i kratery po uderzeniach pocisków. Wszystkie ściany komory były podobnie zniszczone. Jak daleko Khouri sięgała wzrokiem (a programy wspomagające widzenie sprawiały, że mogła sięgnąć wzrokiem tak daleko, jak sobie życzyła), nie widziała ani metra kwadratowego wewnętrznej powierzchni komnaty, który nie zostałby nadtłuczony, wyżłobiony, nadpalony, nadtopiony, wgnieciony lub skorodowany za pomocą jakiegoś typu broni. Ściany, kiedyś może srebrzyste, teraz

miały barwę fioletową — wszechogarniający metaliczny siniak. Oświetlenia dostarczały nie stacjonarne źródła światła, lecz kilkanaście swobodnie unoszących się dron, z których każda zalewała ostrą jasnością wybrane miejsce na ścianie. Drony nieustannie się przemieszczały niczym rój podenerwowanych świetlików. W rezultacie żadne miejsce w komorze nie pozostawało zacienione dłużej niż przez sekundę, a gdy się patrzyło w jeden punkt, po ułamku sekundy wpływało tam oślepiające źródło światła, usuwając z oczu obraz wszelkich innych miejsc.

— Jesteś pewna, że dasz sobie z tym radę? — spytała Sudjic, gdy drzwi się za nimi zamknęły. — Lepiej, żebyś nie uszkodziła tego skafandra. Za uszkodzony musisz zapłacić, wiesz o tym?

— Pilnuj własnego — odparła Khouri. Potem przełączyła się na prywatny kanał i zwróciła tylko do Sudjic. — Może to tylko moja wyobraźnia, ale mam wrażenie, że niezbyt mnie lubisz. Mam rację?

— Skąd ten wniosek?

— To może mieć coś wspólnego z Nagornym. — Przyszło jej na myśl, że prywatne kanały w ogóle nie są być może prywatne, ale z drugiej strony wszystko, co zamierzała powiedzieć, było już dla innych oczywiste, zwłaszcza dla Volyovej. — Nie wiem dokładnie, co się z nim stało, wiem jedynie, że byliście blisko.

— Blisko to nie jest właściwe określenie, Khouri.

— Więc kochankami. Nie powiedziałam tego, na wypadek gdyby miało cię to obrazić.

— Nie przejmuj się mną. Jest na to o wiele za późno.

Przerwał im głos Volyovej.

— Hej, wy tam. Odbijcie się i zejdźcie do ściany komory.

Posłuchały jej — ustawiły swoje skafandry i niewielką moc, by odskoczyć od płyty, która zamykała koniec cylindra. Były w nieważkości od chwili, kiedy tutaj weszły, ale teraz, gdy obniżały się ku ścianie-podłodze i nabierały szybkości okrężnej, poczucie ciężaru wzrastało. Zmiana zachodziła powoli, amortyzowana żelopowietrzem, ale małe bodźce wystarczały, by stworzyć wrażenie góry i dołu.

— Rozumiem, dlaczego mnie nie cierpisz — stwierdziła Khouri.

— Z pewnością.

— Zajęłam jego stanowisko, przejęłam jego rolę. Po tym… co mu się przydarzyło, nagle musiałaś mieć do czynienia ze mną. — Khouri starała się, by jej głos brzmiał rozsądnie, jakby tego wszystkiego nie traktowała osobiście. — Na twoim miejscu czułabym to samo. Z pewnością. Ale to nie znaczy, że masz rację. Nie jestem twoim wrogiem, Sudjic.

— Nie oszukuj się.

— Pod jakim względem?

— Że rozumiesz choć jedną dziesiątą z tego, co tu się dzieje. —

Sudjic umieściła teraz swój skafander blisko Khouri: białą zbroję bez szwów na tle uszkodzonej ściany. Khouri widziała kiedyś obrazy widmowych białych wielorybów, które żyją — albo żyły — w ziemskich morzach. Nazywały się białuchy. Teraz je sobie przypomniała. — Posłuchaj — mówiła Sudjic. — Uważasz mnie za tak naiwną, bym nienawidziła cię po prostu za to, że zajęłaś miejsce Borysa? Nie obrażaj mnie, Khouri.

— Ani mi w głowie.

— Jeśli cię nienawidzę, Khouri, mam uzasadnione powody. To dlatego, że należysz do niej. — Ostatnie słowo wymówiła z westchnieniem czystej wrogości. — Do Volyovej. Jesteś jej maskotką. Nienawidzę jej, więc oczywiście, nienawidzę jej własności. Zwłaszcza tego, co sobie ceni. I oczywiście, gdybym znalazła sposób na uszkodzenie jej własności… zrobiłabym to.

— Nie jestem niczyją własnością — oznajmiła Khouri. — Ani Volyovej, ani nikogo innego. — Natychmiast znienawidziła się za tak energiczny protest, a potem zaczęła nienawidzić Sudjic, że zmusiła ją do zajęcia postawy obronnej. — Ale to chyba nie twój interes. Coś ci powiem.

— Umieram z ciekawości.

— Słyszałam, że Borys nie należał do osób najzdrowszych psychicznie. Volyova nie tyle doprowadziła go do szaleństwa, co chciała wykorzystać to szaleństwo do czegoś konstruktywnego. — Poczuła, jak skafander hamuje. Łagodnie ustawiał ją stopami naprzód na pogiętej ścianie. — Więc się nie udało. Wielkie rzeczy. Może obydwoje byliście siebie warci.

— Tak, może.

— Co takiego?

— Niezbyt podobało mi się to, co właśnie powiedziałaś, Khouri. Gdybyśmy nie miały towarzystwa i nie byłybyśmy w skafandrach, mogłabym ci pokazać, jak łatwo potrafiłabym ci skręcić kark. I tak mogę to zrobić któregoś dnia. Jesteś cięta. Jej kukiełki na ogół szybko tracą tę cechę, o ile Volyova nie zje ich żywcem.

— Twierdzisz, że źle mnie osądziłaś? Wybacz, jeśli nie płaczę z wdzięczności.

— Twierdzę, że może nie jesteś w takim stopniu jej własnością, jak ona to sobie wyobraża. — Sudjic zaśmiała się. — To nie komplement, mała, dzielę się obserwacjami. Kiedy się zorientuje, możesz mieć kłopoty. Nie znaczy to, że zdjęłam cię ze swojej czarnej listy.

Khouri może by i odpowiedziała, ale została zagłuszona przez Volyovą, która na ogólnym kanale skafandra zwracała się do całej trójki z punktu obserwacyjnego wysoko nad nimi, niedaleko środka komory.

— To ćwiczenie nie ma struktury — wyjaśniała. — Żadnej wyrazistej. Macie pozostać przy życiu aż do końca scenariusza, to wasze jedyne zadanie. Ćwiczenie zaczyna się za dziesięć sekund. W czasie jego trwania nie będzie można zadawać mi pytań.

Khouri przyjęła to bez zbędnego niepokoju. Na Skraju przerobiła dużo niestrukturalnych ćwiczeń oraz znacznie więcej w centrali. Znaczyło to tylko tyle, że prawdziwy cel scenariusza został ukryty albo że było to — dosłownie — ćwiczenie na dezorientację, symulacja chaosu, jaki mógł nastąpić, gdy cała operacja idzie w diabły.

Zaczęli od rozgrzewki. Volyova obserwowała je z góry. Z uprzednio ukrytych luków w ścianach komory wyłoniły się cele-drony. Nie od razu były z nimi problemy. Początkowo skafandry zachowały niezależność, wykryły i reagowały na cele, nim użytkownik skafandra je zauważył, więc osoba w środku musiała tylko wyrazić zgodę na zestrzelenie drony. Sytuacja stawała się jednak trudniejsza. Drony porzuciły rolę bierną i zaczęły się ostrzeliwać, zwykle na oślep, ale z coraz większą siłą ognia i nawet niezbyt celny strzał stanowił zagrożenie. Poza tym cele stały się mniejsze i szybsze, wyskakiwały z luków z większą częstotliwością. Niebezpieczeństwo ze strony wroga rosło, a skafandry stawały się coraz mniej funkcjonalne. Po szóstej czy siódmej rundzie większość autonomicznych funkcji skafandra zawodziła, zaczęła się psuć sieć czujników, którą udrapował się każdy skafander. Użytkownicy musieli więc polegać na własnym wzroku. Choć trudność ćwiczeń wzrastała, Khouri pracowała z podobnymi scenariuszami tak często, że nie traciła spokoju. Należało tylko pamiętać, w jakim stopniu skafander zachował funkcjonalność. Do dyspozycji pozostawały broń, moc skafandra i zdolność latania.

Podczas początkowych ćwiczeń ich trójka nie porozumiewała się ze sobą. Były zbyt skupione na wyszukiwaniu wzajemnych przewag mentalnych. W końcu przypominało to łapanie drugiego oddechu: stanu ustalonego, który z początku wydawał się leżeć poza zasięgiem zwykłej skuteczności. Stan ten przypominał nieco trans. Można było przywołać sztuczki mające na celu skupienie uwagi: wykute na pamięć mantry, ułatwiające przejście. Nie wystarczało samo pragnienie, by się tam znaleźć — bardziej przypominało to wspinaczkę na niewygodną półkę. Ale kiedy już się tego dokonało — i powtarzało — przeniesienie stawało się bardziej płynne, a półka nie wydawała się już ani tak wysoka, ani niedostępna. Nigdy jednak nie można było tam dotrzeć bez wysiłku umysłowego.

Właśnie podczas wznoszenia się ku temu stanowi Khouri pomyślała niejasno, że widzi Mademoiselle.

Była to raczej peryferyjna, ulotna świadomość, że tam w komorze znajduje się jeszcze jedno ciało i że to kształt Mademoiselle. Ale wrażenie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

Czy to ona?

Khouri nie widziała ani nie słyszała Mademoiselle od czasu incydentu w pomieszczeniu centrali uzbrojenia. Ostatni jej komunikat wyrażał ostrą irytację, nadany po tym, gdy Khouri pomogła Volyovej wykończyć broń kazamatową. Mademoiselle ostrzegała, że kiedy Khouri tak długo przebywała w centrali, ściągnęła na siebie Złodzieja Słońca. I rzeczywiście: gdy Khouri próbowała wyjść ze zbrojprzestrzeni, poczuła, że coś ku niej mknie, nadciąga jak rosnący cień, ale kiedy cień ją objął, nie poczuła nic, jakby wewnątrz cienia otworzyła się dziura i Khori przeszła przez nią nienaruszona. Wątpiła w to jednak. Prawda z pewnością była mniej strawna. Khouri nie mogła ignorować wniosku, że ten cień to Złodziej Słońca, musiała więc liczyć się z tym, że Złodziej Słońca zdołał umieścić w jej czaszce znaczną część siebie samego.

Wystarczająco zła była już świadomość, że poprzednio mała część tej rzeczy powróciła razem z ogarami Mademoiselle. Tamto przynajmniej zostało ograniczone, a Mademoiselle potrafiła nie dopuścić go bliżej. Teraz Khouri musiała zaakceptować fakt, że dotarła do niej solidna porcja Złodzieja. A od tamtego czasu Mademoiselle była dziwnie nieobecna — do chwili tego niemego półbłysku, który mógł się okazać niczym, nawet nie wytworem wyobraźni, czymś, co każdy mógł uznać za grę świateł na skraju pola widzenia.

Jeśli to ona… co to znaczyło po tak długiej nieobecności?

Wstępna faza ćwiczeń została wreszcie zakończona i funkcjonalność skafandra częściowo powróciła. Nie cała, ale wszystkie trzy wiedziały, że pewna tablica została starta do czysta i że od tej pory reguły będą inne.

— W porządku — oznajmiła Volyova. — Widziałam gorsze wyniki.

— Normalnie potraktowałabym to jako komplement. — Khouri miała nadzieję, że obudzi w swej towarzyszce poczucie solidarności. — Ale w przypadku liii trzeba traktować to dosłownie.

— Przynajmniej jedna z was to dostrzegła — powiedziała Volyova. — Ale niech ci to nie uderzy do głowy, Khouri. Zwłaszcza że za chwilę zaczną się schody.

W oddalonym końcu komory otworzyły się drugie drzwi łupinowe. Światło zmieniało się ciągle i Khouri postrzegała wszystko raczej jako serię zamrożonych, nasyconych blaskiem obrazków niż jako rzeczywisty ruch. Wylewały się stamtąd obiekty: rozszerzająca się masa elipsoidalnych przedmiotów, wszystkie długości może pół metra, metaliczno-białe, ich powierzchnię pstrzły lufy karabinów, manipulatory i rozmaite otwory.

Drony strażnicze. Znała podobne ze Skraju. Nazywali je wilczyskami, gdyż atakowały zajadle i stale poruszały się stadami. Ich

głównym militarnym zastosowaniem była demoralizacja przeciwnika, ale Khouri wiedziała, do czego są zdolne, a skafander przed nimi nie chronił. Wilczyska z założenia konstruktorów miały być złośliwe, nie inteligentne. Stosunkowo lekko uzbrojone, atakowały stadami, synchronicznie. Stado wilczysk mogło wspólnie skierować ogień na pojedynczy obiekt, jeśli ich sprzężone procesory uznały taką akcję za strategicznie uzasadnioną. To właśnie koncentracja na jednym celu sprawiała, że były takie przerażające.

W masie wysypujących się dron Khouri dostrzegła kilka większych obiektów, również metalicznie białych, lecz bez sferycznej symetrii wilczysk. W nieregularnych rozbłyskach trudno było je dokładniej obejrzeć, lecz Khouri je rozpoznała: to inne skafandry, najprawdopodobniej nie nastawione życzliwie.

Wilczyska i wrogie skafandry odpadały teraz od centralnej osi komory i kierowały się ku trójce trenujących. Od chwili otwarcia drugich drzwi upłynęły może dwie sekundy, ale wydawało się, że minęło znacznie więcej czasu, gdyż umysł Khouri bez trudu przełączył się na wymagany w walce stan przyśpieszonej świadomości. Wiele samodzielnych wyższych funkcji jej skafandra zostało wyłączonych, ale procedury naprowadzania na cel nadal działały; Khouri kazała więc skafandrowi nastawić się na wilczyska — nie strzelać do nich w tej chwili, ale trzymać wszystkie na celowniku. Wiedziała, że skafander konsultuje się ze swymi dwoma partnerami i razem określają optymalną strategię i przydzielają sobie wzajemnie cele. Cały ten proces był dla użytkownika skafandra nieuchwytny.

Gdzie, do cholery, była Volyova?

Czy to możliwe, że przeniosła się z jednego końca komory na drugi i zdążyła pojawić się w stadzie? Prawdopodobnie — ruch w skafandrze, przynajmniej w tak skompresowanej skali, mógł przebiegać tak szybko, że osoba znikała z jednego punktu i pojawiała się w mgnieniu oka o setki metrów dalej. Ale wrogie skafandry, dostrzeżone przez Khouri, z pewnością wynurzyły się z innych drzwi, co wymagałoby od Volyovej opuszczenia komory i przejścia na jej drugi koniec zwykłymi statkowymi korytarzami. Nawet w skafandrze, nawet mając preprogramowaną drogę, nikt nie mógłby zrobić tego tak szybko, nie zamieniając się w ciecz. A może Volyova wykorzystała skrót: pusty szyb, przez który mogła poruszać się szybciej.

— Cholera.

Khouri znalazła się pod ostrzałem.

Wilczyska ciskały w nią ogniem laserowym o małym przekroju. Bliźniacze promienie tryskały ze złośliwych, blisko osadzonych oczu w górnej półkuli elipsoidalnej skorupy dron. Obecnie kamuflaż wilczysk przystosował się do metalowej podłogi i zmienił je w fioletowe landrynki, które tanecznie wchodziły do obszaru wyraźnego widzenia

i tanecznie go opuszczały. Powierzchnia skafandra Khouri posrebrzała, stała się idealnym zwierciadłem optycznym i odbijała większość energii. Jednak część początkowych strzałów poważnie uszkodziła integralność skafandra. Strata punktów — Khouri zbyt zaaferowało zniknięcie Volyovej i nie zwróciła należytej uwagi na atak. Oczywiście to rozproszenie uwagi prawie na pewno było zamierzone. Rozejrzała się wokół, potwierdzając odczyty skafandra: q, więc wszystkie jej towarzyszki przeżyły. Sudjic i Kjarval przypominały ludzkokształtne krople rtęci, ale nieuszkodzone odpowiadały ogniem.

Khouri nastawiła swe protokoły eskalacyjne na wyprzedzanie przeciwnika o krok, ale nie na unicestwianie go. Jej skafander wypuścił lasery małej mocy. Wyskoczyły na ramionach, obracały się w wieżyczkach. Obserwowała, jak promienie, siekąc, zbiegają się przed nią, a każdy impuls zostawia liliową smugę kondensacyjną zjonizowanego powietrza. Każde trafione błyszczące, fioletowe, latające wilczysko zwalało się z nieba, odbijało od podłoża lub po prostu wybuchało gorącym kwieciem. Przebywanie w komorze bez skafandra byłoby teraz w najwyższym stopniu nieroztropne.

— Za wolno — powiedziała Sudjic na kanale ogólnym, gdy atak jeszcze trwał. — Gdyby to się działo naprawdę, trzeba by cię zeskrobywać ze ściany.

— Ile razy widziałaś z bliska działania wojenne, Sudjic?

Kjarval, która do tej pory prawie się nie odzywała, wtrąciła się do rozmowy.

— Wszystkie brałyśmy udział w akcjach bezpośrednich, Khouri.

— Taaa? A doszłyście tak blisko do wroga, by słyszeć, jak wrzaskiem błaga o litość?

— Chciałam powiedzieć, że… cholera. — Kjarval właśnie została trafiona. Jej skafander przez chwilę trzepotał, przechodząc serię niewłaściwych trybów kamuflażu: kosmiczna czerń, śnieżna biel, bujne tropikalne listowie, co stwarzało wrażenie, że Kjarval jest drzwiami, prowadzącymi z komory prosto w serce dalekiej planetarnej dżungli.

Skafander zadygotał, po czym odzyskał wreszcie swój połysk.

— Niepokoją mnie tamte skafandry.

— Właśnie po to są. By cię denerwować i ogłupiać.

— Potrzebna nam pomoc, by nas ogłupić? To nowinka.

— Milcz, Khouri. Skoncentruj się na tej cholernej wojnie.

To akurat nie sprawiało jej trudności.

Mniej więcej jedna trzecia atakujących wilczysk została zestrzelona, a z ciągle otwartych drzwi w końcu komory nie wynurzały się posiłki. Inne skafandry — trzy, jak zauważyła Khouri — nie robiły dotychczas nic, jedynie krążyły w pobliżu otworu, ale teraz powoli opadły ku podłodze, wprowadzając korekty ruchu za pomocą

cienkich jak igła wybuchów z pięt. Kiedy to robiły, również przybrały kolor i teksturę odpowiadające ostrzelanej podłodze. Nie można było określić, czy wewnątrz nich ktoś jest.

— Te skafandry to część scenariusza. Coś się za tym kryje.

— Powiedziałam: zamknij się, Khouri.

Khouri jednak ciągnęła dalej.

— Wypełniamy zadanie, prawda? Przynajmniej tyle musimy założyć. Musimy określić jakąś strukturę tego całego draństwa, nawet jeśli nie wiemy, kim, do diabła, jest nieprzyjaciel.

— Dobry pomysł — zauważyła Sudjic. — Wyznaczmy termin narady.

Obecnie wilczyska i ich strzelające skafandry używały promieni cząsteczkowych. Lasery mogły być prawdziwe, ale raczej na pewno każda silniejsza broń będzie jedynie symulowana. Przecież wypalenie dziury w ścianie komory i wypuszczenie całego powietrza w kosmos nie wróżyłoby nic dobrego.

— Załóżmy, że wiemy, kim jesteśmy i dlaczego się tutaj znalazłyśmy. I nieważne, gdzie jest akurat to „tutaj". Następne pytanie: czy znamy tych sukinsynów w pozostałych trzech skafandrach?

— To dla mnie zbyt filozoficzne — odparła Kjarval, odsuwając się susami w bok, by przyciągnąć ogień.

— Jeśli prowadzimy tę rozmowę — ciągnęła Khouri uparcie, zagadując Sudjic — to musimy założyć, że nie wiemy, kim są tamci i że to w ogóle wrogowie. Zatem musimy zastrzelić te śmiecie, nim zrobią nam to, co zamierzają.

— Wszystko możesz strasznie spieprzyć, Khouri.

— No cóż, jak łaskawie zauważyłaś, mnie nie wyznaczono do zejścia na dół.

— Amen.

— Ludzie… — odezwała się Kjarval, która zauważyła coś, co do Sudjic i Khouri dotarło dopiero w następnej chwili. — Nie podoba mi się to.

Zobaczyła mianowicie, że nadgarstki trzech wrogich skafandrów ulegają transformacji: wysuwają się z nich bronie, jeszcze nie uformowane. Proces był denerwująco szybki, jakby ktoś nadmuchiwał balonik przybierający kształt zwierzęcia.

— Zastrzelmy drani — powiedziała Khouri głosem tak spokojnym, że aż dla niej samej przerażającym. — Pełna koncentracja ognia na lewym skafandrze. Przejść do trybu minimalnego impulsu PL-PP, rozproszenie stożkowe z poziomym omiataniem krzyżowym.

— Od kiedy wydajesz…

— Sudjic, do cholery, wykonaj!

Ale ona już strzelała, Kjarval również. Stały teraz we trzy w

odstępach dziesięciometrowych, kierując ogień swych skafandrów na wroga. Przyśpieszone impulsy antymaterii były symulowane… oczywiście. Przy prawdziwych z komory niewiele by pozostało.

Nastąpił błysk tak jasny, że Khouri poczuła, jak wpycha w jej oczy szponiaste palce; błysk zbyt intensywny jak na symulację… wstrząs zbyt wielki. Odgłos wybuchu uderzył z siłą, która w porównaniu ze światłem wydawała się niemal łagodna, lecz uderzenie odrzuciło Khouri w tył na pstrą ścianę komory. Zderzenie odczuła jak upadek na materac w pokoju eleganckiego hotelu. Na chwilę jej skafander się wyłączył. Gdy wzrok jej się przejaśnił, zobaczyła, że displeje albo zgasły, albo wskazania zmieniły się w nieczytelną kaszę. Pozostawały w tym stanie przez kilka bolesnych sekund, potem jąkająco włączył się zapasowy mózg skafandra i zreinstalował, co mógł. Prostszy, lecz przynajmniej zrozumiały displej ożył, informując, co nadal działa, a co zostało zniszczone. Uszkodzono większość głównych broni. Autonomia skafandra spadła o pięćdziesiąt procent, jego tożsamość zbliżała się do maszynowego autyzmu. W trzech przegubach serwomechanizmy wspomagające znacznie straciły moc. Zniknęła zdolność latania — mogły ją dopiero odtworzyć protokoły autoremontowe, a potrzebowały co najmniej dwóch godzin na dostrojenie rozwiązania zastępczego.

Aha… displej biomedyczny pokazywał, że Khouri straciła jedną górną kończynę, odciętą w łokciu.

Z wysiłkiem usiadła i choć instynkt kazał jej zająć się swym bezpieczeństwem i oceną sytuacji, spojrzała na odstrzeloną rękę: prawe ramię urywało się w miejscu, które wskazał odczyt medyczny, i kończyło się obciętą zmiażdżoną masą przypalonych kości, mięsa i pogiętego metalu. W górze kikuta powietrzny żel musiał błyskawicznie skoagulować, by zapobiec stracie powietrza i krwi, ale był to szczegół, który Khouri musiała przyjąć na wiarę. Oczywiście nic jej nie bolało — to jeszcze jeden aspekt, w którym symulacja była całkowicie realistyczna, gdyż skafander kazałby się wyłączyć ośrodkom bólu.

Ocena, ocena…

W wybuchu zupełnie straciła orientację. Rozejrzała się wokół, lecz przegub szyjny skafandra się zaciął. Nagle zewnętrze wypełniło się dymem. Zwisał w splotach w prądach powietrznych samej komory. Oświetlenie z latających dron odbierało się obecnie jako przerywane szybkie błyski. W komorze widać było dwa skafandry, które doznały rozległych uszkodzeń, świadczących o uderzeniach skombinowanych impulsów PL-PP. Ale skafandry były zbyt stłamszone, by Khouri mogła stwierdzić, czy w środku są lub czy kiedykolwiek były jakieś osoby. Trzeci skafander, mniej uszkodzony i może tylko ogłuszony jak jej własny, spoczywał kilkanaście metrów dalej za wielkim łukiem

pokrytej bliznami ściany komory. Wilczyska odeszły lub zostały zniszczone — trudno określić, co dokładnie się z nimi stało.

— Sudjic? Kjarval?

Cisza. Nawet jej własny głos nie brzmiał właściwie. Brak odpowiedzi. Zobaczyła teraz, że komunikacja międzyskafandrowa działa wadliwie — do tej pory Khouri nie zwróciła uwagi na ten szczegół wykazu uszkodzeń. Źle, Khouri, bardzo źle.

Teraz nie miała pojęcia, kto jest wrogiem.

Zniszczone ramię skafandra momentalnie się naprawiało, spalone części odpadły na ziemię, a zewnętrzna skóra napełzała, aby opakować kikut. Widok ten budził lekki wstręt, choć Khouri już wiele razy przedtem widziała, jak to się dzieje w innych symulowanych scenariuszach na Skraju. Naprawdę strasznie nieprzyjemna była świadomość, że podobne momentalne zaleczenie jej własnych ran nie jest możliwe, że będą musiały czekać, aż zostanie medycznie ewakuowana ze strefy.

Drugi skafander, ten najmniej uszkodzony, robił to samo co ona — podnosił się do pozycji stojącej. Miał pełny zestaw kończyn i wiele sztuk broni nadal sterczało z różnych otworów. Namierzały Khouri jak kilkanaście żmij przygotowujących atak.

— Kto to taki? — zapytała, na chwilę zapominając, że urządzenia komunikacyjne są wyłączone, prawdopodobnie na dobre. Kątem oka dostrzegła jeszcze dwa skafandry, oba z tej samej strony, wynurzające się z zasłon leniwego, ciemnego jak węgiel dymu. Kim byli? Czy to resztki oryginalnej trójki, która zeszła z wilczyskami, czy jej towarzyszki?

Pojedynczy skafander z bronią zbliżał się do niej, bardzo ostrożnie, jakby była bombą, gotową w każdej chwili wybuchnąć. Skafander stanął, nieruchomy, jego powłoka usiłowała przybrać kolor tła — kombinację barw ścian komory i zasłon dymnych, ale z miernym sukcesem. Khouri zastanawiała się, jak sprawuje się jej własny skafander. Czy jej osłona twarzy była nieprzezroczysta, czy przezroczysta? Z wewnątrz nie można było tego określić, a skromny displej o tym nie informował. Gdy ten z bronią zobaczy wewnątrz ludzką twarz, czy skłoni go to do zabijania, czy do wstrzymania ognia? Khouri wycelowała swe własne, nadające się do użytku bronie, ale nie potrafiła stwierdzić, czy kieruje je na wroga, czy na niemą towarzyszkę.

Ruszyła zdrową ręką, wskazując twarz, prosząc osobnika naprzeciw, by swą osłonę twarzy uczynił przezroczystą.

Tamten skafander wypalił.

Khouri została ciśnięta o ścianę, niewidzialny kafar walnął ją w żołądek. Jej skafander wrzasnął, bełkot przewijał się w jej polu widzenia. Zanim uderzyła w ścianę, usłyszała ryk — skompresowany

wybuch, gdy odpowiedziała ogniem z własnej działającej broni.

Cholera, myślała Khouri. To rzeczywiście bolało, gdzieś we wnętrznościach, co w jakimś sensie świadczyło o tym, że potyczka nie jest symulacją.

Znowu wstała, kiedy następna salwa atakującego przemknęła obok, a trzecia trafiła ją w udo. Khouri zaczęła wywracać się do tyłu, na skraju pola widzenia dostrzegła swoje ręce machające jak cepy. Z ramionami działo się coś złego. Dokładniej: powinno dziać się coś złego, ale nic się nie działo. Były w ogóle nienaruszone, żadnego śladu, że jedna z nich została odstrzelona.

— O, gówno! — powiedziała. — Co tu się dzieje?

Atak trwał, każda salwa uderzała w Khouri i pchała ją do tyłu.

— Mówi Volyova — usłyszała głos. Wcale nie był zrównoważony. — Słuchajcie mnie uważnie, wszystkie! W scenariuszu coś się zepsuło. Wszystkie przerwijcie ogień…

Khouri znowu rąbnęła w pokład, tym razem z taką siłą, że poczuła uderzenie w plecy mimo poduszki z żelopowietrza. Udo miała uszkodzone, a skafander nie czynił nic, by złagodzić nieprzyjemne wrażenie.

To dzieje się naprawdę, pomyślała.

Broń była teraz prawdziwa, przynajmniej ta, która należała do atakującego ją skafandra.

— Kjarval — powiedziała Volyova. — Kjarval! Musisz przerwać ogień! Zabijasz Khouri!

Ale Kjarval — Khouri zgadła, że to ona ją atakuje — nie słuchała albo nie była zdolna do słuchania. Lub, co bardziej przerażające, nie mogła wstrzymać ataku.

— Kjarval — odezwała się ponownie Triumwir. — Jeśli się nie zatrzymasz, mam zamiar cię rozbroić!

Ale Kjarval się nie zatrzymała. Nadal strzelała. Khouri czuła każde uderzenie niczym bicz, wiła się pod atakiem. Rozpaczliwie usiłowała pełznąć po storturowanych ścianach komory do zacisznego miejsca z tyłu.

I wtedy Volyova zeszła ze środka komory, gdzie niewidzialna przebywała cały czas. Schodząc, strzelała do Kjarval, najpierw najlżejszą bronią, ale coraz silniejszym ogniem. Kjarval wycelowała w górę w kierunku opadającej Triumwir. Wybuch dosięgał Volyovej, zostawił na jej zbroi czarne blizny, odłupywał fragmenty elastycznej powłoki, odcinał bronie, które skafander Volyovej próbował wysunąć i ustawić. Ale Volyova utrzymała przewagę. Skafander Kjarval zaczął tracić formę i użyteczność. Jego bronie wymknęły się spod kontroli, nie tra — fiały w cel, strzelały na chybił trafił po komorze.

W końcu Kjarval osunęła się na ziemię — od chwili, gdy zaczęła strzelać do Khouri, upłynęła najwyżej minuta. W miejscach, gdzie nie

zaczerniły go trafienia, skafander przypominał kołdrę o niedopasowanych psychodelicznych kolorach i gwałtownie się zmieniającej hipergeometrycznej teksturze, wypuszczającą na wpół zrealizowane bronie i urządzenia. Ramiona skafandra biły szaleńczo, ich końce zwariowały, wypuszczały i otwierały rozmaite manipulatory i prymitywne kikuty rozmiarów dziecięcych ludzkich dłoni.

Khouri wstała, tłumiąc wrzask bólu, gdy udo zaprotestowało. Skafander zaciskał się wokół niej martwym ciężarem, ale jakoś zdołała pokuśtykać do miejsca, gdzie leżała Kjarval.

Volyova i druga postać w skafandrze — to musiała być Sudjic — już się pochylały nad tym, co pozostało ze skafandra, próbując coś odcyfrować z medycznego displeju diagnostycznego.

— Jest martwa — stwierdziła Volyova.

CZTERNAŚCIE

Mantell, Północny Nekhebet, Resurgam, 2566

W dniu, kiedy nowo przybyli ogłosili o swojej obecności, Sylveste'a obudzono dźgnięciem nieubłaganego, białego światła. Uniósł rękę w pokornej prośbie i czekał, aż jego oczy przejdą procedury inicjalizacyjne. Mówienie do niego w tej chwili było niemal bezużyteczne — Sluka najwidoczniej zdawała sobie z tego sprawę. Kiedy tak wiele ich funkcji przepadło, oczom potrzebny był dłuższy niż dawniej czas, by osiągnąć funkcjonalność. Sylveste doświadczał powolnej listy błędów i ostrzeżeń — małych widmowych ukłuć bólu, gdy jego oczy krytycznie badały wadliwe tryby pracy.

Na wpół świadomie wiedział o Pascale, siedzącej przy nim na łóżku, podtrzymującej prześcieradła wokół swych piersi.

— Lepiej się rozbudźcie — powiedziała Sluka. — Obydwoje. Poczekam na zewnątrz, aż się ubierzecie.

Wbili się w ubrania. W korytarzu czekała Sluka z dwoma strażnikami, żaden z nich nie miał widocznej broni. Sylveste z żoną zostali odprowadzeni do ogólnej sali Mantell, gdzie wokół podłużnego ekranu na ścianie zebrała się poranna zmiana Zalewowców Słusznej Drogi. Butelki z kawą i racje śniadaniowe spoczywały nieruszone na stole. Sylveste wywnioskował, że cokolwiek się dzieje, wystarczy, by zagłuszyć normalny apetyt. A ekran niewątpliwie zawierał odpowiedź na pytanie, dlaczego. Z głośnika słyszał jakiś głos, wzmocniony i ostry. W tle odbywało się jednak tyle rozmów, że łapał z opowieści tylko pojedyncze słowa. Pechowo, te pojedyncze słowa, to było głównie jego własne nazwisko, wypowiadane z aż nazbyt wielką częstotliwością przez huczący z ekranu głos.

Przepchnął się do przodu, świadomy, że widzowie okazują mu więcej szacunku, niż ktokolwiek mu okazywał przez kilka ostatnich dziesięcioleci. Ale może to tylko litość okazywana człowiekowi skazanemu?

Pascale dołączyła do jego boku.

— Czy rozpoznajesz tę kobietę? — zapytała.

— Jaką kobietę?

— Na ekranie. Tym przed którym stoisz.

Sylveste widział tylko wydłużony kształt pointylistycznych szarosrebrnych pikseli.

— Moje oczy nie odczytują zbyt dobrze widea — odparł, mówiąc nie tylko do Pascale, ale i do Sluki. — I nie słyszę tego cholerstwa.

Może lepiej powiecie mi, co tracę.

Z tłumu wyłonił się Falkender.

— Włączę cię do tego, neuronowo, jeśli sobie życzysz. To zajmie tylko chwilę — obiecał.

Odprowadził Sylveste'a od widzów, ku prywatnej alkowie w rogu sali ogólnej. Pascale i Sluka poszli za nimi. Tam otworzył torbę ze sprzętem i wyjął kilka instrumentów.

— Pewnie powiesz mi zaraz, że to wcale nie będzie bolało — oznajmił Sylveste.

— Ani mi się śni — odparł Falkender. — Mimo wszystko to nie byłaby całkowita prawda. — Potem pstryknął palcami, albo na asystenta, albo na Pascale. Sylveste nie był pewien, a miał zbyt ograniczone pole widzenia, by to rozróżnić. — Dajcie człowiekowi kubas kawy, to go oderwie od myśli o tej procedurze. Kiedy zobaczy ten ekran, myślę, że będzie potrzebował czegoś mocniejszego.

— Jest aż tak źle?

— Obawiam się, że Falkender nie żartuje — powiedziała Sluka.

— Ojej, czyż wszyscy się świetnie nie bawicie? — Sylveste zagryzł wargę przy pierwszej kaskadzie bólu spowodowanej sondowaniem Falkendera. Kiedy niewielka operacja posuwała się dalej, ból już się nie wzmagał. — Czy nie wyzwolicie mnie z mego cierpienia? Mimo wszystko wyglądało to wystarczająco poważnie, by mnie obudzić.

— Ultrasi ogłosili swoje przybycie — oznajmiła Sluka.

— Tyle to już sobie zekstrapolowałem. Co zrobili? Wylądowali promem pośrodku Cuvier?

— Nic tak natrętnego. Jeszcze nie. Może zdarzyć się coś gorszego.

Ktoś włożył mu do rąk kubek z kawą. Falkender przerwał swoje badanie na wystarczająco długo, by Sylveste pociągnął łyk. Kawa była kwaskowata i niezupełnie ciepła, ale wystarczyła, by posunąć go nieco dalej w stronę rozbudzenia. Usłyszał głos Sluki:

— Na ekranie pokazujemy teraz powtarzany przekaz audiowizualny. Nadają go od około trzydziestu minut.

— Transmitowany ze statku?

— Nie, zdaje się, że zdołali podłączyć się prosto do naszego pasa satelitów komunikacyjnych i przypięli swój przekaz do naszych rutynowych transmisji.

Sylveste skinął głową i natychmiast pożałował tego ruchu.

— Więc nadal denerwują się, że ktoś ich wykryje. — Lub chcą tylko potwierdzić swoją absolutną wyższość techniczną względem nas, swoją zdolność do podłączenia się i manipulowania naszymi istniejącymi systemami obróbki danych, pomyślał. Wyglądało to na bardziej prawdopodobne. Miało to posmak nie tylko aroganckiego ogólnoultraskiego sposobu załatwiania spraw, ale również jednej szczególnej ultraskiej załogi. Po co ogłaszać swoją obecność w sposób

przyziemny, kiedy można podpalić cały busz i zrobić wrażenie na tubylcach? Ale prawie nie potrzebował potwierdzenia, że zna tych ludzi. Kto to jest, wiedział od chwili, gdy statek wszedł do układu.

— Następne pytanie — powiedział. — Do kogo został skierowany przekaz? Czy nadal sądzą, że istnieje jakaś władza planetarna, z którą mogą rozmawiać?

— Nie — odparła Sluka. — Przekaz jest skierowany do obywateli Resurgamu, bez względu na ich polityczną czy kulturową afiliację.

— Bardzo demokratycznie — zauważyła Pascale.

— Tak naprawdę — odparł Sylveste — raczej wątpię, czy demokracja ma z tym coś wspólnego. Jeśli dobrze się domyślam, z kim mamy do czynienia, to z całą pewnością nic.

— A propos — zauważyła Sluka — nigdy nie usatysfakcjonowałeś mnie całkowicie wyjaśnieniami. Dlaczego ci ludzie mogliby…

Sylveste nie dał jej dokończyć.

— Zanim wdamy się w jakąś szczegółową analizę, nie sądzisz, że mógłbym sam obejrzeć ten przekaz? Zwłaszcza że chyba jestem zainteresowany nim osobiście.

— Gotowe. — Falkender odstąpił i zdecydowanym trzaśnięciem zamknął swą torbę ze sprzętem. — Mówiłem ci, że to tylko chwila. Teraz możesz się bezpośrednio podłączyć do ekranu. — Chirurg uśmiechnął się. — Teraz uczyń mi tę grzeczność i zapewnij, że nie zabijesz posłańca, dobrze?

— Niech obejrzę przekaz — powiedział Sylveste. Wtedy zdecyduję.

Wiadomości okazały się znacznie gorsze, niż się obawiał.

Znowu przepychał się naprzód, choć tym razem tłum widzów się przerzedził, gdyż większość wróciła niechętnie do swoich obowiązków w innych częściach Mantell. Słuchanie słów z głośnika stało się łatwiejsze i rozpoznawał rytm głosu kobiety, kiedy powtarzała zdania, które rozbrzmiewały kilka minut wcześniej. Przekaz więc nie był długi. Co samo w sobie wróżyło źle. Kto przekracza lata świetlne międzygwiezdnej przestrzeni tylko po to, by ogłosić swoje przybycie kolonii w słowach, mówiąc szczerze, bezczelnie zwięzłych? Tylko ci, którzy nie mają zamiaru zyskiwać przychylnego nastawienia i których żądania są bezwzględnie jasne. I zgadzało się to dobrze z tym, co wcześniej wiedział o załodze, więc chyba przybyli po niego. Nigdy nie byli zbyt rozmowni.

Nie widział jeszcze twarzy, choć głos już szeptał do niego przez przepaść tych wszystkich lat. Gdy nadeszła wizja — kiedy Falkender skończył neuronowy interfejs — przypomniał sobie.

— Kto to jest? — zapytała Sluka.

— Nazywała się — kiedy ostatnio się z nią widziałem — Ilia Volyova. — Sylveste wzruszył ramionami. — Prawdziwe nazwisko,

albo i nie. Wiem tylko, że jeśli czymś grozi, jest w pełni zdolna swe groźby spełnić.

— I jest czym? Kapitanem?

— Nie — powiedział Sylveste z roztargnieniem — nie jest kapitanem.

Twarz kobiety nie była niczym godnym szczególnej uwagi. Prawie monochromatycznie blada cera, krótkie ciemne włosy, struktura twarzy gdzieś między elfią a czaszkową, okalająca głęboko osadzone, wąskie i skośne oczy, z których współczucie raczej nie spozierało. Prawie nic się nie zmieniła. Ale z drugiej strony właśnie tacy byli Ultrasi. Jeśli od ich ostatniego spotkania dla Sylveste'a minęły subiektywne dziesięciolecia, dla Volyovej mogło to być tylko kilka lat, jedna dziesiąta, czy nawet jedna dwudziesta tego czasu. Dla niej ich ostatnie spotkanie należało do względnie niedawnej przeszłości, gdy Sylveste'owi wydawało się ono wydarzeniem z zakurzonych annałów historii. Ustawiało go to oczywiście w pozycji niekorzystnej. Jego sposób bycia — bardziej przewidywalne aspekty zachowania — Volyova będzie w dalszym ciągu doskonale pamiętała. Ale Sylveste aż do tej chwili ledwie rozpoznawał głos Volyovej i kiedy próbował sobie przypomnieć, czy wydawała mu się wtedy bardziej lub mniej sympatyczna, pamięć go zawodziła. Oczywiście wspomnienia powrócą, ale właśnie powolność ich wracania dawała Volyovej niewątpliwą przewagę.

Naprawdę dziwne. Założył — może głupio — że to Sajaki będzie wygłaszał to posłanie. Oczywiście nie prawdziwy kapitan, bo gdyby tak było, po co mieliby po niego przyjeżdżać. Kapitan musi być znowu chory.

Ale w takim razie, gdzie jest Sajaki?

Zmusił mózg do porzucenia tych pytań i skupienia się na tym, co ma do powiedzenia Volyova.

Po dwóch lub trzech powtórzeniach cały jej monolog miał już ułożony w swej głowie i był prawie pewien, że mógłby go regurgitować słowo po słowie. Przesłanie rzeczywiście było zwięzłe. Wiedzieli, czego chcą, ci Ultrasi. I wiedzieli, czego będzie wymagać dostanie tego. „Jestem Triumwir Volyovą z Swiatłowca »Nostalgia za Nieskończonością«„ tak się przedstawiła. Żadnych pozdrowień, nawet zdawkowego przyznania, że jest wdzięczna losowi, który pozwolił im przebyć kosmos aż do Resurgamu.

Sylveste wiedział, że podobne ozdóbki niezupełnie należa — ły do stylu Volyovej. Zawsze myślał o niej jako spokojnisi — bardziej troszczącej się o pielęgnowanie swoich ohydnych broni niż o angażowanie się w coś na kształt normalnych stosunków towarzyskich. Więcej niż raz słyszał, jak inni członkowie załogi żartowali — a oni nie żartowali prawie nigdy — że Volyova woli

towarzystwo miejscowych szczurów statkowych niż ludzkich kolegów z załogi.

Może tak naprawdę to nie żartowali?

— Zwracam się do was z orbity — kontynuowała. — Przestudiowaliśmy stan waszego rozwoju technicznego i doszliśmy do wniosku, że nie stanowicie dla nas militarnego zagrożenia. — Przerwała, by po chwili ciągnąć tonem przypominającym Sylveste'owi ton nauczycielki ostrzegającej uczniów przed popełnieniem jakiegoś drobnego aktu nieposłuszeństwa, jak gapienie się przez okno czy złe zorganizowanie swych kompnotesów. — Jednakże, jeśli jakieś działanie zinterpretujemy jako rozmyślną próbę uczynienia nam szkody, nasz odwet będzie z tą próbą bardzo niewspółmierny. — W tym miejscu prawie się uśmiechnęła. — Nie tyle oko za oko, ale, jak się wyrażę, wielkie miasto za oko. Jesteśmy w pełni zdolni, by z orbity zniszczyć dowolne wasze osiedle lub wszystkie osiedla.

Volyova pochyliła się, jej lwie szare oczy prawie wypełniły ekran.

— Co ważniejsze, jesteśmy w pełni zdecydowani, by to zrobić, jeśli zajdzie taka potrzeba. — Volyova znowu pozwoliła sobie na zbyt teatralną pauzę, bez wątpienia świadoma, że słucha jej uważna publiczność. — Jeśli tak mi się spodoba, może się to wydarzyć w ciągu paru minut. Nie wyobrażajcie sobie, że przyprawi to mnie o zbytnią bezsenność.

Sylveste widział, do czego zmierza to wszystko.

— Ale odłóżmy te wulgarne sprawy na bok, przynajmniej na chwilę. — Naprawdę w tym momencie uśmiechnęła się, ale jeśli chodzi o rodzaje uśmiechów, to ten cechował niemal kriogeniczny chłód. — Niewątpliwie zastanawiacie się, dlaczego tu jesteśmy.

— Nie ja — powiedział Sylveste, na tyle głośno, że Pascale go słyszała.

— Wśród was jest człowiek, którego szukamy. Nasze pragnienie znalezienia go jest do tego stopnia absolutne, do tego stopnia pilne, że postanowiliśmy pominąć zwykłe… — uśmiech Volyovej wydał się jeszcze zimniejszy — …kanały dyplomatyczne. Nazwisko tego człowieka brzmi Sylveste. Jeśli jego reputacja nie wyblakła od czasu naszego ostatniego spotkania, żadne dalsze wyjaśnienia nie są potrzebne.

— Może nieco się zbrukała — skomentowała Sluka. Potem zwróciła się do Sylveste'a. — Naprawdę będziesz musiał opowiedzieć mi o tym poprzednim spotkaniu, wiesz? Na pewno ci to już nie zaszkodzi.

— A znajomość faktów nie poprawi ani na jotę twojej sytuacji — odparł Sylveste, natychmiast powracając uwagą do transmisji.

— Normalnie — mówiła Volyova — nawiązalibyśmy dialog z właściwymi władzami i negocjowalibyśmy wydanie Sylveste'a. Taka

chyba była nasza początkowa intencja. Ale pobieżne skanowanie z orbity głównego osiedla waszej planety — Cuvier — przekonało nas, że takie podejście byłoby skazane na niepowodzenie. Doszliśmy do wniosku, że nie istnieje już żadna władza, z którą warto mieć do czynienia. I obawiam się, że na targowanie się ze skłóconymi stronnictwami na planecie nie wystarczyłoby nam cierpliwości.

Sylveste potrząsnął głową.

— Łże. Nigdy nie mieli zamiaru negocjować, bez względu na to, w jakim stanie by nas zastali. Znam tych ludzi — to złośliwe szumowiny.

— Przynajmniej tak nam ciągle powiadasz — oświadczyła Sluka.

— W związku z tym nasz wybór jest raczej ograniczony — ciągnęła Volyova. — Chcemy Sylveste'a, a nasz wywiad potwierdza, że nie ma on… jak to powiedzieć… swobody poruszeń?

— Wszystkiego dowiedzieli się z orbity? — spytała Pascale. — To dopiero świetny wywiad.

— Zbyt świetny — zauważył Sylveste.

— Wobec tego — dodała Volyova — sprawy przebiegną w następujący sposób. W ciągu dwudziestu czterech godzin Sylveste powiadomi nas o swojej obecności i miejscu przebywania na częstotliwościach radiowych. Albo sam wyłoni się z ukrycia, albo ci, którzy go przetrzymują, puszczą go wolno. Dopracowanie tych szczegółów pozostawiamy wam. Jeśli Sylveste nie żyje, wówczas zamiast jego samego muszą być przedstawione nieodparte dowody jego śmierci. Czy je zaakceptujemy, będzie oczywiście zależało wyłącznie od nas.

— W takim razie doskonale się składa, że żyję. Wątpię, czy udałoby się wam przekonać Volyovą czymkolwiek.

— Jest tak bezkompromisowa?

— Nie tylko ona. Cała załoga.

Volyova mówiła dalej.

— Wobec tego dwadzieścia cztery godziny. I jeśli nic nie usłyszymy, lub będziemy podejrzewać jakąś formę podstępu, zastosujemy działania karne. Nasz statek posiada pewne zdolności — jeśli wątpicie w nasze słowa, spytajcie Sylveste'a. Jeżeli nie odezwie się on w ciągu najbliższego dnia, wykorzystamy te zdolności przeciwko jednej z mniejszych wspólnot na powierzchni waszej planety. Już wybraliśmy odnośny cel, a natura naszego ataku będzie taka, że nikt w tej wspólnocie nie przeżyje. Czy to jasne? Nikt. Dwadzieścia cztery godziny po tym, jeśli od nieuchwytnego doktora Sylveste'a nic nie usłyszymy, rozszerzymy nasze działania na większy cel. A dwadzieścia cztery godziny później zniszczymy Cuvier. — Volyova zaoferowała w tym miejscu kolejny przelotny uśmiech. — Choć zdaje się, że jeśli chodzi o tę ostatnią czynność, wspaniale

dajecie sobie z nią radę sami.

Przekaz się skończył, po czym zaczął od nowa od bezpośredniego wstępu Volyovej. Sylveste wysłuchał go w całości jeszcze dwukrotnie, zanim ktoś ośmielił się przerwać jego skupienie.

— Nie zrobiliby tego — powiedziała Sluka. — Z pewnością nie.

— To barbarzyństwo — dodała Pascale, wywołując skinienie głowy swej przedmówczyni. — Niezależnie od tego, jak bardzo cię potrzebują, nie mogą przecież mieć zamiaru zrobienia, co powiedzieli. Zniszczą całe osiedle?

— 1 tu się właśnie mylicie — oznajmił Sylveste. — Robili to już przedtem i nie wątpię, że uczynią to znowu.

Volyova nigdy nie była naprawdę pewna, że Sylveste żyje — ale z drugiej strony starannie unikała myśli o tym, że może on nie być obecny, gdyż konsekwencje niepowodzenia tej misji były zbyt nieprzyjemne, by je rozważać. Nie miało znaczenia, że to poszukiwanie firmował bardziej Sajaki niż ona. Jeśli się nie uda, ukarze ją tak samo, jakby to ona kierowała całą sprawą. Jak gdyby to właśnie Volyova przywiodła ich do tego przygnębiającego miejsca.

Nie oczekiwała jakichś reakcji w ciągu pierwszych kilku godzin — to byłby zbytni optymizm. Trzeba by zakładać, że więżący Sylveste'a nie śpią i że natychmiast odebrali jej ostrzeżenie. Realnie patrząc, może upłynąć kawał dnia, nim wiadomość zejdzie po łańcuchu dowodzenia i dotrze do właściwych ludzi. Dalszy czas zajmie weryfikacja przesłania.

Jednak godziny zamieniały się w dziesiątki godzin, a potem w prawie całą dobę, i Volyova, chcąc nie chcąc, uznała, że groźbę należy spełnić.

Oczywiście koloniści nie zachowywali całkowitego milczenia. Dziesięć godzin wcześniej jakaś nie nazwana grupa wystąpiła z rzekomymi szczątkami Sylveste'a. Zostawili je na wierzchołku mesy, a potem wycofali się do jaskiń, gdzie czujniki statku zajrzeć już nie mogły. Volyova wysłała dronę, by zbadała szczątki, ale, mimo że genetycznie prawie się zgadzały, nie pasowały dokładnie do próbek tkanki zachowanej z ostatniej wizyty Sylveste'a na statku. Kusiło, by ukarać za to kolonistów, ale po zastanowieniu odrzuciła ten pomysł. Ta grupa działała jedynie ze strachu, bez żadnych widoków na korzyści osobiste, z wyjątkiem przetrwania — własnego i wszystkich innych, a ona nie chciała odstraszać pozostałych grup od ujawniania się. Podobnie powstrzymała swą dłoń, gdy dwie osoby działające niezależnie, ogłosiły, że są Sylveste'em, gdyż było widoczne, że nie kłamią, lecz szczerze wierzą, że są właśnie tym człowiekiem.

Jednakże teraz nie wystarczyło już czasu nawet na podstępy.

— W gruncie rzeczy jestem raczej zdziwiona — powiedziała. — Myślałam, że do tej pory go przekażą. Ale najwidoczniej jedna strona

tej ugody nie docenia drugiej.

— Nie możesz się teraz wycofać — oznajmił Hegazi.

— Oczywiście, że nie — Volyova powiedziała to ze zdziwieniem, jakby łagodność nigdy nie wchodziła w grę.

— Ależ musisz — stwierdziła Khouri. — Nie możesz takiej rzeczy przeprowadzić do końca.

To było chyba pierwsze zdanie wypowiedziane przez nią w ciągu całego dnia. Może miała trudności z zaakceptowaniem potwora, dla którego teraz pracowała: tego tyrańskiego wcielenia uprzednio porządnej Volyovej. Trudno nie rozumieć jej uczuć. Khouri spojrzała na siebie wnikliwiej i to, co zobaczyła, wydało się rzeczywiście czymś potwornym, nawet jeśli nie była to całkowita prawda.

— Kiedy już się czymś zagroziło — oznajmiła Volyova — w przypadku braku odzewu należy tę groźbę zrealizować. Leży to w interesie wszystkich zainteresowanych.

— A co, jeśli nie mogą spełnić naszych warunków? — spytała Khouri.

Volyova wzruszyła ramionami.

— To ich problem, nie mój.

Otworzyła łącze do Resurgamu i powiedziała swój kawałek — powtarzając żądania i oznajmiając o swym głębokim rozczarowaniu, że Sylveste nie został wydobyty na światło dzienne. Zastanawiała się właśnie, w jakim stopniu brzmi to przekonująco — czy koloniści naprawdę wierzą w jej groźby — kiedy przyszedł jej do głowy natchniony pomysł. Odpięła swą bransoletę, szepnęła polecenie, które poinstruowało statek, by przyjął ograniczone wejście od strony trzeciej i nie wyrządzał tej stronie krzywdy.

Podała bransoletę Khouri.

— Chcesz oszczędzić swe sumienie? Proszę bardzo.

Khouri oglądała urządzenie, jakby mogło nagle wypuścić kły lub plunąć jej w twarz jadem. W końcu uniosła bransoletę do ust, nie zapinając jej wokół przegubu.

— Dalej — przynaglała ją Volyova. — Mówię serio. Powiedz, co chcesz — zapewniam cię, że nie będzie to miało ani krzty wpływu.

— Przemówić do kolonistów?

— Tak. Jeśli myślisz, że łatwiej ich przekonasz niż ja.

Przez chwilę Khouri milczała. Potem — z wahaniem — zaczęła mówić do bransolety.

— Nazywam się Khouri. Bez względu na to, czy ma to znaczenie, chciałabym, żebyście wiedzieli, że nie jestem z tymi ludźmi. Nie zgadzam się z tym, co oni robią. — Wielkie i wystraszone oczy Khouri lustrowały mostek, jak gdyby oczekiwała, że zostanie ukarana za te słowa. Ale inni wykazywali tylko umiarkowane zainteresowanie.

— Zwerbowano mnie — oświadczyła. — Nie rozumiałam, czym

są. Chcą Sylveste'a. Nie kłamią. Widziałam broń, jaką mają na tym statku, i sądzę, że ją wykorzystają.

Volyova przybrała wyraz znudzonej obojętności, tak jakby to wszystko było dokładnie tym, czego oczekiwała. Męcząco spodziewanym.

— Przykro mi, że nikt z was nie dostarczył Sylveste'a. Myślę, że Volyova mówi serio, kiedy twierdzi, że ukarze was za to. Chcę tylko powiedzieć, że lepiej dla was będzie, jeśli jej uwierzycie. I może, jeśli ktoś z was chce go dostarczyć teraz, nie będzie za późno, by…

— Wystarczy.

Volyova odebrała bransoletę.

— Przedłużam termin jedynie o godzinę.

Ale godzina minęła. Volyova szczeknęła zagadkowe polecenia do bransolety, powodując, że sektor wskoczył na swoje miejsce nad północnymi szerokościami Resurgamu. Czerwony krzyż celownika polował z ponurym, rekinim spokojem, aż zatrzymał się na konkretnej pozycji w pobliżu północnej czapki lodowej planety. Potem celownik zapulsował krwawą purpurą, a interfejs statusu poinformował Volyovą, że statkowe elementy dławienia orbitalnego — niemal najmniejsza broń, jaką statkowy system mógł zastosować — są obecnie aktywne, uzbrojone, skierowane na cel i gotowe.

Wtedy kobieta wznowiła przemowę do kolonistów.

— Ludu Resurgamu! Nasza broń właśnie się ustawiła na małe osiedle Phoenix, pięćdziesiąt cztery stopnie na północ i dwadzieścia na zachód od Cuvier. Za niecałe trzydzieści sekund Phoenix i jego bezpośrednie otoczenie przestaną istnieć.

Kobieta zwilżyła końcem języka wargi i ciągnęła dalej.

— To nasz ostatni przekaz w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Daję wam ten czas na dostarczenie Sylveste'a. Albo przełączymy się na większy cel. Uważajcie się za szczęśliwców, że zaczęliśmy od czegoś tak małego jak Phoenix.

Ogólny ton jej wypowiedzi, myślała Khouri, to ton nauczycielki cierpliwie wyjaśniającej, dlaczego kara, której za chwilę udzieli swoim uczniom, leży w ich najlepszym interesie i całkowicie została spowodowana ich własnym działaniem. Uniknęła stwierdzenia: „To będzie mnie boleć bardziej niż was", ale gdyby to powiedziała, Khouri zupełnie by to nie zdziwiło. W gruncie rzeczy dziewczyna zastanawiała się, czy istniała jakaś czynność Volyovej, która w jakiś sposób by ją zdziwiła. Wydawało się, że nie tyle źle osądzała tę kobietę, co przydzieliła ją do kompletnie niewłaściwego gatunku. I nie tylko Volyovą, lecz całą załogę. Khouri uczuła ukłucie wstrętu, wzdragając się na myśl, do jakiego stopnia ośmieliła uważać się za jedną z nich. Było to tak, jakby wszyscy ściągnęli maski z twarzy, odsłaniając węże.

Volyova strzeliła.

Przez chwilę — długą, brzemienną chwilę — nic się nie działo. Khouri zaczęła bawić się myślą, że może mimo wszystko cała sprawa była blefem. Ale nadzieja ta trwała do chwili, gdy ściany mostka zadrżały — jak gdyby cały statek był starożytnym żaglowcem morskim ocierającym się o górę lodową. Khouri nie poczuła nic z tego ruchu, gdyż przegubowy wysięgnik fotela poruszył się, by wygładzić wibracje. Ale nie miała wątpliwości, że to widziała, i po kilku sekundach usłyszała dźwięk, jakby odległego grzmotu.

Bronie kadłubowe wystrzeliły.

Na rzutowanym obrazie Resurgamu odczyty broni odświeżyły się i zmieniły, by opisać stan uzbrojenia w chwilę po jego ustawieniu. Hegazi sprawdzał odczyty swego fotela, jego naocznik pstrykał i warczał, gdy wchłaniał nowości.

— Elementy dławiące wypaliły — oznajmił suchym i pozbawionym emfazy głosem. Systemy naprowadzania na cel potwierdzają właściwe ustawienie. — Potem z władczą powolnością popatrzył na globus.

Khouri spojrzała za jego wzrokiem.

Była tam — w miejscu gdzie uprzednio nie było nic, niedaleko krawędzi północnej czapki biegunowej Resurgamu — drobna gorącoczerwona plamka, jak złe szczurze oko w skorupie świata. Teraz ciemniało, niczym gorąca igła właśnie wyciągnięta z koksownika. Jednak ciągle była raniąco jasna, ciemniejąca nie tyle z powodu ochładzania się, ile dlatego, że coraz bardziej zasłaniały ją gigantyczne woalki z podniesionego planetarnego gruzu. W oknach, ukazujących przelotnie koagulującą ciemną burzę, Khouri dostrzegała tańczące macki błyskawic, ich jaskrawy zapłon rozświetlał krajobraz na setki kilometrów dookoła. Od miejsca ataku rozchodziła się niemal kolista fala uderzeniowa. Khouri obserwowała jej ruch za pośrednictwem subtelnej zmiany współczynnika załamania światła w powietrzu. Zjawisko podobne do nabierania przez kamienie pozornej płynności w płytkiej wodzie, gdy powierzchnię nad nimi wzburzą niewielkie fale.

— Nadchodzi wstępny raport o sytuacji — oznajmił Hegazi. Nadal udawało mu się utrzymać ton głosu sennego akolity, recytującego najnudniejsze z pism. — Funkcjonalność broni: nominalna. Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek cztery procent prawdopodobieństwa, że cel został kompletnie zneutralizowany. Siedemdziesiąt dziewięć procent prawdopodobieństwa, że nikt w promieniu dwustu kilometrów nie ocalał, chyba żeby znajdował się za kilometrem pancerza.

— Te szansę mi wystarczą — powiedziała Volyova. Studiowała jeszcze przez chwilę ranę w powierzchni Resurgamu, najwidoczniej sycąc się myślą o destrukcji na skalę planetarną.

PIĘTNAŚCIE

Mantell, Północny Nekhebet, 2566

— Blefowali — powiedziała Sluka. I wtedy właśnie nad północnym horyzontem zabłysnął nagle fałszywy świt, zmieniając przesłaniające go granie i skały w czarne wycinanki. Płomień miał jasność wybuchu magnezji, obramowanego fioletem. Wkrótce przeładował on całe pasy pola widzenia Sylveste'a, pozostawiając, tam gdzie płonął, drętwe próżnie.

— Może zgadłabyś jeszcze raz? — zaproponował.

Przez chwilę Sluka wydawała się niezdolna do udzielenia odpowiedzi. Patrzyła tylko na płomień, zahipnotyzowana jego promiennością i niesionym przezeń przesłaniem okrucieństwa.

— Mówił ci, że to zrobią — powiedziała Pascale. — Powinnaś była go słuchać. Znał tych ludzi. Wiedział, że przeprowadzą dokładnie to, co obiecali.

— Nigdy bym nie pomyślała, że ma rację — odparła Sluka głosem tak cichym, że zdawało się, iż mówi do siebie. Mimo blasku wieczór nadal był absolutnie cichy, wolny nawet od zwykłej muzyki resurgamskich wiatrów. Myślałam, że groźba taka jest zbyt potworna, by brać ją poważnie.

— Dla nich żadna potworność nie jest zbyt wielka. — Oczy Sylveste'a powracały do normalnego stanu, teraz widział już twarze kobiet stojących z nim na płaskowyżu Mantell. — Od tej pory lepiej, byś wierzyła słowom Volyovej. Myśli to, co mówi. Za dwadzieścia cztery godziny powtórzy to wszystko, chyba że mnie wydasz.

Sluka zdawała się nie słyszeć.

— Może powinniśmy zejść na dół — powiedziała tylko.

Sylveste zgodził się, choć zanim skierowali się z powrotem do wnętrza mesy, wzięli zgrubny namiar kierunku, w którym widzieli błysk. — Wiemy, kiedy to się zdarzyło — oznajmił Sylveste. — I znamy kierunek. Kiedy nadejdzie fala ciśnieniowa, będziemy znali również odległość od miejsca trafienia. Osiedla na Resurgamie nadal są szeroko rozrzucone, więc łatwo określimy, które to z nich.

— Powiedziała, jak to miejsce się nazywa — zauważyła Pascale.

Sylveste skinął głową.

— Ale mimo, że wierzę w każdą jej groźbę, wiem również, że Volyovej ufać nie można.

— Nie wiem nic o Phoenix — oznajmiła Sluka, gdy zjeżdżali windą towarową. — Myślałam, że znam większość ostatnio

utworzonych osiedli. Ale z drugiej strony w ciągu ubiegłych kilku lat niezupełnie byłam w sercu rządu.

— Ona zaczęłaby od czegoś małego — powiedział Sylveste. — W innym przypadku nie miałaby miejsca na eskalację. Możemy założyć, że Phoenix było łatwym celem — placówką naukową lub geologiczną, czymś, od czego reszta kolonii nie jest materialnie zależna. Innymi słowy, to po prostu ludzie.

Sluka pokręciła głową.

— Mówimy o nich w czasie przeszłym, a nigdy nawet nie omawialiśmy ich w czasie teraźniejszym. To tak jakby istnieli sobie jedynie po to, by umrzeć.

Sylveste czuł się chory, mdliło go i zbierało się na wymioty. To jest, myślał sobie, jedyna okazja, gdy takie uczucie zo— stało wzbudzone wydarzeniem zewnętrznym, czymś, w czym bezpośrednio nie brał udziału. Nie czuł się tak nawet wtedy, gdy umarła Carine Lefevre. To nie on popełnił tę pomyłkę — ten błąd. I mimo że w dyskusji ze Sluką utrzymywał, że załoga spełni swoją groźbę, jakaś jego część czepiała się myśli, że w końcu tego nie zrobią, że on się myli, a Sluka i inni humaniści nie. Możliwe, że na miejscu Sluki, bez względu na to, jak czułby się przed atakiem, także zignorowałby ostrzeżenie. Kiedy grasz sam, karty zawsze wyglądają inaczej — są obciążone wieloma subtelnie różniącymi się od siebie możliwościami.

Fala ciśnieniowa nadeszła trzy godziny później. Niewiele większa od porywu wiatru, ale ten poryw w tak cichą noc był kompletnie nie na miejscu. Kiedy przeszła, zostawiła za sobą powietrze turbulentne, z nagłymi szkwałami, jakby zbierało się na pełnokrwistą burzę maczetową. Pomiar czasu wstrząsów wykazał, że miejsce ataku znajdowało się od nich niecałe trzy i pół tysiąca mil (potwierdziły to również dane sejsmiczne); obserwacje wizualne wskazały kierunek prawie dokładnie na północny zachód. Wycofawszy się pod strażą do pokoju sztabowego Sluki, wybili się ze snu mocną kawą i wywołali z archiwów Mantell globalne mapy kolonii.

Sylveste, zdenerwowany, popijał kawę.

— Tak jak mówiłaś, mogli uderzyć w nowe osiedle. Czy te mapy zostały zaktualizowane?

— Mniej więcej — odparła Sluka. — Uzupełniono je danymi z centrali kartograficznej Cuvier około roku temu, zanim sprawy tutaj przybrały poważny obrót.

Sylveste spojrzał na mapę, rzutowaną na stół Sluki, jak widmowy, topograficzny obrus. Przedstawiany obszar miał dwa tysiące kilometrów kwadratowych, był wystarczająco duży, by zawierać zniszczoną kolonię, nawet jeśli kierunek ocenili bardzo zgrubnie.

Ale nie było ani śladu Phoenix.

— Potrzebujemy nowszej mapy — powiedział Sylveste. —

Możliwe, że tę placówkę założono w zeszłym roku.

— Załatwienie jej nie będzie proste.

— Więc lepiej znajdźcie jakiś sposób. Będziesz musiała podjąć decyzję w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Prawdopodobnie najważniejszą decyzję w swoim życiu.

— Nie pochlebiaj sobie. Już w zasadzie zdecydowałam, że pozwolę im cię zabrać.

Sylveste wzruszył ramionami, jakby nie miało to dla niego znaczenia.

— Nawet w takim wypadku powinnaś znać fakty. Będziesz miała do czynienia z Volyovą. Jeśli nie uwierzysz, że jej groźby są prawdziwe, sprawdzenie jej blefu może cię kusić.

Obrzuciła go długim, twardym spojrzeniem.

— Nadal mamy — teoretycznie — podłączenie do transmisji danych z Cuvier, przez resztki pasa satelitów komunikacyjnych. Ale nie używano ich od czasu, gdy zniszczono kopuły. Otwarcie ich może okazać się ryzykowne — ślady przekazu mogą wskazać nasze miejsce pobytu.

— Powiedziałbym, że akurat w tej chwili jest to najmniejsze zmartwienie kogokolwiek.

— Ma rację — dodała Pascale. — Gdy dzieje się to wszystko, kto by się zajmował drobnym naruszeniem zasad bezpieczeństwa w Cuvier? Powiedziałabym, że warto się postarać, choćby po to, by mieć mapy zaktualizowane.

— Ile czasu to zajmie?

— Godzinę czy dwie. Czyżbyś planował jakiś wyjazd?

— Nie — odparł Sylveste. — Jednak ktoś może podjąć za mnie taką decyzję.

Podczas oczekiwania na rewizję map znowu wyszli na powierzchnię. Nisko na północnym wschodzie nie było gwiazd, ale po prostu bryła czarnej jak sadza nicości, jak gdyby zza horyzontu wyłaniała się gigantyczna przykucnięta postać. Musiała to być ściana wzniesionego pyłu, dążąca w ich kierunku.

— Spowije świat na całe miesiące — powiedziała Sluka. — To tak, jakby wybuchł wielki wulkan.

— Coraz mocniej wieje — zauważył Sylveste.

Pascale kiwnęła głową.

— Czy mogli zrobić coś takiego — zmienić pogodę tak daleko od miejsca ataku? Co, jeśli broń, którą zastosowali, powoduje skażenie radioaktywne?

— Niekoniecznie — odparł Sylveste. — Pewne bronie oparte na energii kinetycznej wystarczyłyby. Znając Volyovą, wiem, że nie zrobiłaby nic więcej ponadto, co jest absolutnie niezbędne. Ale masz rację, martwiąc się o promieniowanie. Ta broń otwarła dziurę aż do

litosfery. Bóg jeden wie, co wydostało się ze skorupy planetarnej.

— Nie powinniśmy spędzać tak wiele czasu na powierzchni.

— Zgoda, ale to prawdopodobnie dotyczy całej kolonii.

W drzwiach wyjściowych pojawił się jeden z asystentów Sluki.

— Macie mapy? — zapytała.

— Daj nam jeszcze pół godziny. Mamy dane, lecz jest je dość ciężko odszyfrować. Mamy jednak wiadomości z Cuvier. Złapaliśmy je, były rozpowszechniane publicznie.

— Mów dalej.

— Zdaje się, że statek zrobił zdjęcia… eee… rezultatów. Przetransmitowali je do stolicy, a teraz rozsyła się je po planecie. — Asystent wyjął z kieszeni poobijany kompnotes. Płaski ekran rzucał liliową poświatę, która rzeźbiła rysy twarzy mężczyzny. — Mam obrazki.

— Lepiej nam pokaż.

Asystent postawił kompnotes na chropowatej, wygładzonej wiatrami powierzchni mesy.

— Chyba zastosowali podczerwień — oznajmił.

Obrazy budziły przerażenie. Stopiona skała nadal wypływała z krateru i wiła się za nim. Tryskała też niczym z fontann z kilkudziesięciu nagle powstałych drobnych wulkaników. Wszelkie ślady osiedla zostały unicestwione, przełknięte przez szeroki na kilometr lub dwa kocioł krateru. W pobliżu jego centrum widniały rozległe łaty, szkliste, gładkie i czarne jak noc — sprawiały wrażenie zestalonej smoły.

— Przez chwilę miałam nadzieję, że się mylę — powiedziała Sluka. — Miałam nadzieję, że błysk, a nawet fala ciśnieniowa… Miałam nadzieję, że to tylko jakieś oszustwo… cyrkowa sztuczka. Nie widzę jednak możliwości, jak mogliby wywołać taki efekt, gdyby rzeczywiście nie zrobili dziury w planecie.

— Za chwilę będziemy wiedzieli na pewno — powiedział asystent. — Mniemam, że mogę mówić swobodnie?

— Sprawa dotyczy Sylveste'a — powiedziała Sluka. — Może więc równie dobrze to słyszeć.

— Cuvier wysłało samolot nad miejsce ataku. Będą mogli sprawdzić, czy te obrazy zostały sfabrykowane, czy nie.

Gdy powrócili pod ziemię, mapy rozszyfrowano i w archiwum Mantell zamieniono stare kopie. Jeszcze raz wrócili do pokoju sztabowego Sluki, by przejrzeć dane. Tym razem informacje towarzyszące mapom wskazywały, że odwzorowania zaktualizowano jedynie przed kilkoma tygodniami.

— Doskonale sobie poradzili — zauważył Sylveste. — Utrzymywać kartografię na poziomie, gdy wokół nich wali się miasto. Podziwiam ich poświecenie.

— Do diabła z ich motywacją. — Sluka tarła palcami jeden z globusów ustawionych na postumentach po obu stronach pokoju. Sprawiała wrażenie, że chce zakotwiczyć się na planecie, która bez względu na jej wysiłki, nieubłaganie się obraca. — Obchodzi mnie tylko, czy jest tam Phoenix, czy jak to oni nazwali.

— Rzeczywiście, jest — powiedziała Pascale.

Jej palec przebił rzutowany teren i wskazał drobną, zaopatrzoną w etykietę kropkę na zaludnionych poza tym obszarach północno-wschodnich.

— To jedyne osiedle tak daleko na północy — powiedziała. — I mniej więcej we właściwym kierunku. A także nazywa się Phoenix.

— Co jeszcze o nim macie?

Asystent Śluki — mały mężczyzna z delikatnie natłuszczonymi wąsikami i kozią bródką — przemówił cicho do zamocowanego na rękawie kompnotesu, polecając mu powiększyć okolice osiedla. Nad stołem zakwitła seria ikon demograficznych.

— Niewiele. Kilka wielorodzinnych schronów powierzchniowych połączonych rurami. Parę podziemnych zakładów. Bez połączeń naziemnych, choć mieli lądowisko dla pojazdów powietrznych.

— A ludność?

— Nie sadzę, żeby słowo „ludność” było tu właściwe. Coś koło setki, osiemnaście jednostek rodzinnych. Na pierwszy rzut oka większość z Cuvier. — Mężczyzna wzruszył ramionami. — W gruncie rzeczy, jeśli na tym polegał jej pomysł, by uderzyć kolonie, to wyszliśmy z tego wyjątkowo dobrze. Około setki ludzi — cóż, to tragedia. Ale jestem zdziwiony, że nie wybrali sobie celu bardziej zaludnionego. Sam fakt, że nikt z nas nie wiedział o istnieniu tego miejsca, prawie unicestwia uzyskany efekt, nie sądzicie?

— Jaka to wspaniale absurdalna rzecz. — Sylveste wbrew sobie pokiwał głową.

— Co takiego?

— Ludzka zdolność do żalu. Po prostu, gdy liczba martwych przekracza kilkadziesiąt, nie jest ona w stanie wywołać właściwej reakcji emocjonalnej. I ta reakcja nie staje na określonym poziomie — po prostu nic się nie dzieje, nie reagujemy. Przyznajcie to. Nikt z nas nie czuje w związku z tymi ludźmi absolutnie nic. — Sylveste spojrzał na mapę, myśląc o tym, co czuli tamtejsi mieszkańcy po ostrzeżeniu, w ciągu tych kilku sekund, które dała im Volyova. Zastanawiał się, czy ktoś z nich zadał sobie trud opuszczenia domu i zwrócenia się twarzą ku niebu, by przyśpieszyć — o ułamek sekundy — nadchodzące unicestwienie. — Ale wiem jedno. Mamy wszelkie niezbędne dowody, wskazujące, że to kobieta dotrzymującą słowa. A to z kolei oznacza, że musicie wypuścić mnie do nich.

— Bardzo niechętnie cię tracę — powiedziała Sluka. — Ale nie

wygląda, bym w tej sprawie miała wielki wybór. Oczywiście, zechcesz się z nimi skontaktować.

— Naturalnie — odrzekł Sylveste. I oczywiście Pascale pójdzie ze mną. Ale chciałbym, żebyś wyświadczyła mi pewną przysługę.

— Przysługę? — W głosie Sluki brzmiało rozbawienie, jak gdyby była to ostatnia rzecz, której się po nim spodziewała. — Cóż, co mogę dla ciebie zrobić, kiedy już staliśmy się tak bliskimi przyjaciółmi?

Sylveste uśmiechnął się.

— Tak naprawdę to chcę tego nie tyle od ciebie, ile od doktora Falkendera. Widzisz, sprawa dotyczy moich oczu.

Volyova obserwowała z unoszącego się, zawieszonego na wysięgniku fotela wyniki swego działania na planecie. Widniały wyraźne, precyzyjnie zobrazowane na sferze projekcyjnej mostka. W ciągu ubiegłych dziesięciu godzin widziała, jak rana na skorupie globu wyciąga ciemne cyklonowe macki coraz dalej od ogniska, co świadczyło, że pogoda w tym rejonie — i w konsekwencji wszędzie na planecie — została przerzucona do punktu nowej, gwałtownej równowagi. Zgodnie z zebranymi lokalnie danymi koloniści na Resurgamie nazywali takie zjawiska burzami maczetowymi, by podkreślić nieubłaganą tendencję powietrznego pyłu do ścinania wszystkiego, co stanie mu na drodze. Obserwacja była fascynująca, niczym sekcja przedstawiciela jakiegoś nieznanego gatunku zwierząt. Choć lepiej znała planety niż większość kolegów z załogi, nadal znajdowała tam wiele rzeczy, które uważała za zaskakujące i w niemałym stopniu niepokojące. Niepokoiło, że po prostu przedziurawienie planetarnej skorupy może spowodować tak wielkie skutki — i to nie tylko w bezpośrednim sąsiedztwie zaatakowanego miejsca, ale o tysiące kilometrów dalej. Wiedziała, że w końcu skutki jej akcji będą odczuwane we wszystkich punktach planety. Wzniesiony kurz w końcu osiądzie, cienką, poczerniałą lekko radioaktywną błonką, rozłożoną dość równomiernie na całym globie. W rejonach klimatu umiarkowanego błona zostanie wkrótce zmyta przez procesy pogodowe wzbudzone przez kolonistów — jeśli oczywiście procesy te nadal będą czynne. Jednak w rejonach arktycznych deszcze nigdy nie padały, więc warstwa drobniutkiego kurzu pozostanie nieruszona przez stulecia. W końcu przykryją ją inne nawarstwienia i błonka pyłu stanie się częścią nieodwracalnej geologicznej historii planety. Może, zadumała się Triumwir, za parę milionów lat na Resurgam przybędą inne istoty, posiadające podobną cechę ciekawości jak ludzie. Będą chciały dowiedzieć się czegoś o historii planety i w tym celu pobiorą próbki skorupy, sięgając głęboko w przeszłość Resurgamu. Niewątpliwie ta warstwa osiadłego kurzu nie będzie jedyną zagadką do rozwiązania, niemniej jednak będą się nad nią zastanawiać, choćby przelotnie. I nie miała wątpliwości, że ci hipotetyczni przyszli

badacze, rozważając pochodzenie tej warstewki, dojdą do całkowicie mylnych wniosków. Nigdy nie wpadnie im na myśl, że leży tam ona w wyniku świadomego aktu czyjejś woli.

Volyova przespała tylko kilka godzin z ostatnich trzydziestu, ale obecnie jej energia była chyba niewyczerpana. Oczywiście zapłaci za to kiedyś w przyszłości, ale w tej chwili mknęła z pełną szybkością i ten rozpęd nie dawał się zahamować. Mimo to, gdy Hegazi podjechał do niej na swym fotelu, nie przełączyła się natychmiast w tryb czujności.

— O co chodzi?

Przyjmuję coś, co bardzo wygląda na naszego chłopca.

— Sylveste'a?

— Lub kogoś, kto go udaje. — Hegazi wszedł w jedną ze swoich nawracających faz fugi, co dla Volyovej oznaczało, że znajduje się w głębokim związku ze statkiem. — Nie mogę prześledzić jego całej ścieżki komunikacyjnej. Ścieżka wychodzi z Cuvier, ale jestem przekonany, że Sylveste'a fizycznie tam nie ma.

W dalszym ciągu mówiła cicho, mimo że prócz nich na mostku nie było nikogo.

— Co mówi?

— W kółko powtarza prośbę o rozmowę z nami.

Khouri usłyszała odgłos kroków stóp człapiących w głębokim na cal szlamie, który zalał cały poziom kapitana.

Jej obecność tutaj nie miała racjonalnego uzasadnienia. A jednak była w tym jakaś logika. Nie ufała już Volyovej — jedynej osobie, o której myślała, że może jej wierzyć. Mademoiselle po aferze z bronią arsenałową nie odzywała się. Khouri po prostu musiała w takiej sytuacji przestać się zachowywać racjonalnie. Jedynym człowiekiem na statku, który nie zdradził jej w taki czy inny sposób, ani nie zasłużył sobie na jej nienawiść, był ktoś, kto w żaden sposób nie mógł jej nic powiedzieć.

Natychmiast zorientowała się, że odgłos kroków nie pochodzi od Volyovej. Jednak brzmiało w nim zdecydowanie, sugerujące, że idący wie dokładnie, dokąd idzie, a nie po prostu przez przypadek zawędrował w ten obszar okrętu.

Khouri podniosła się z błota. Na ciemnym materiale jej spodni nie było znać, że ich siedzenie jest mokre i zimne od szlamu.

— Odpręż się — powiedziała niedbale wyłaniająca się zza zakrętu korytarza osoba. Buty kobiety człapały w bryi, a swobodnie wiszące uzbrojenie metalicznie pobłyskiwało. Z pobłyskiem mieszała się wielobarwna poświata wzorów holograficznych.

— Sudjic. — Khouri rozpoznała przybyłą. — Jak, do cholery…?

Sudjic pokręciła głową i uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

— Jak tu trafiłam? To proste, Khouri, śledziłam cię. Kiedy

zobaczyłam ogólny kierunek twego marszu, stało się jasne, że idziesz tutaj, więc przyszłam za tobą, ponieważ uważam, że przyda nam się mała pogawędka.

— Pogawędka?

— O tutejszej sytuacji. — Sudjic wykonała szeroki gest. — Tu, na statku. Dokładniej o pieprzonym Triumwiracie. Na pewno zauważyłaś, że mam żal do jednego z jego członków.

— Do Volyovej.

— Tak, do naszej wspólnej przyjaciółki, liii. — Sudjic udało się wymówić imię kobiety jak wyjątkowo brzydkie przekleństwo. — Zabiła mojego kochanka, wiesz o tym.

— Jak rozumiem, wynikły… problemy.

— Problemy, ha! To dobre. Zrobienie z kogoś szaleńca nazywasz problemem, Khouri? — Przerwała, przysunęła się bliżej, ale nadal utrzymywała pełną respektu odległość od stopionego, anielskiego rdzenia kapitana. — A może powinnam nazywać cię Ana, teraz, kiedy jesteśmy w… hm… bliższych stosunkach?

— Nazywaj mnie jak chcesz. To nic nie zmienia. Mogę jej teraz nie cierpieć, ale to nie znaczy, że zamierzam ją zdradzić. Nie powinnyśmy nawet o tym rozmawiać.

Sudjic ze zrozumieniem kiwnęła głową.

— Naprawdę trafiła cię tą terapią lojalnościową, prawda? Posłuchaj, Sajaki i inni nie są tak wszechwiedzący, jak ci sie wydaje. Możesz mi o wszystkim opowiedzieć.

— To nie tylko terapia lojalnościową.

— A co jeszcze? — Sudjic oparła swoje urękawicznione dłonie na wąskich biodrach. Mimo szczupłej sylwetki — częstej cechy u ludzi urodzonych w kosmosie — kobieta była piękna. Cała eteryczna — bez wzmocnionej chimerycznie struktury mięśniowo-szkieletowej w warunkach standardowej grawitacji raczej nie funkcjonowałaby normalnie. Lecz teraz, z tym podskórnym wzmocnieniem, Sudjic była niewątpliwie silniejsza i szybsza od wszystkich ludzi niewspomaganych. Wyglądała jak origami — figurka kobiety złożona z ostrego jak brzytwa papieru.

— Nie mogę ci o tym opowiadać — wyjaśniła Khouri — ale Ilia i ja mamy wspólne sekrety. — Natychmiast pożałowała swoich słów, ale chciała zepsuć tę pełną samozadowolenia wyższość Ultraski. — Chcę powiedzieć…

— Posłuchaj, jestem przekonana, że ona chce, byś właśnie to czuła. Ale zadaj sobie pewne pytanie, Khouri. Ile z tego, co pamiętasz, jest prawdziwe? Czy to możliwe, żeby Volyova majstrowała przy twych wspomnieniach? Próbowała tak robić z Borysem. Próbowała go uleczyć, ścierając jego przeszłość, ale to nie zadziałało. Nadal musiał radzić sobie z głosami. Czy z tobą jest tak samo? Czy jakieś głosy

pływają sobie w twej głowie?

— Jeśli tam są — oznajmiła Khouri — nie mają nic wspólnego z Volyovą.

— Więc to przyznajesz. — Sudjic uśmiechnęła się świętoszkowato, jak dzielna uczennica, przyznająca, że odniosła zwycięstwo w jakiejś grze, ale mająca nadzieję, że nie wygląda na zbyt dumną z tego powodu. — Cóż, czy je słyszysz, czy nie, to nie ma znaczenia. Ważne jest, że nie żywisz już co do niej iluzji. Ani co do Triumwiratu jako całości. Nie możesz się oszukiwać, że podoba ci się ich ostatnia akcja.

— Nie jestem pewna, że w pełni rozumiem to, co właśnie zrobili, Sudjic. Istnieją rzeczy, których nie mam dobrze ułożonych w głowie. — Khouri czulą, jak zimna, mokra materia spodni przylega jej do pośladków. — W gruncie rzeczy właśnie dlatego tu zeszłam. Po trochę ciszy i spokoju. Żeby sobie wszystko ułożyć.

— 1 zobaczyć, czy nie ma on jakiejś mądrości do odstąpienia?

Sudjic gestem głowy wskazała kapitana.

— Jest martwy, Sudjic. Może jestem jedyną osobą, która to widzi, ale to prawda.

— Może Sylveste potrafi go wyleczyć.

— Nawet gdyby mógł, to czy Sajaki naprawdę chce tego?

Sudjic kiwnęła głową.

— Oczywiście, oczywiście. Całkowicie rozumiem. Ale posłuchaj. — Zniżyła głos do szeptu, choć jedynymi możliwymi podsłuchującymi były przemykające szczury. — Znaleźli Sylveste'a. Właśnie to usłyszałam, zanim tu zeszłam.

— Znaleźli go? To znaczy jest już tutaj?

— Nie, oczywiście, że nie. Dopiero co się skontaktowali. Nie wiedzą nawet jeszcze, gdzie się znajduje, wiedzą tylko, że żyje. Nadal muszą jakoś wziąć sukinsyna na pokład. I tu właśnie zaczyna się twoja rola. Moja zresztą też.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie udaję, że rozumiem, co przydarzyło się Kjarval w komorze treningowej. Może się po prostu załamała, choć znałam ją lepiej niż ktokolwiek na tym statku i powiedziałabym, że nie była typem załamującym się. Bez względu na to, co to było, dało Volyovej pretekst do jej wykończenia — choć nie sądziłam, że ta dziwka do tego stopnia jej nienawidzi.

— To nie wina Volyovej…

— Niech będzie. — Sudjic pokręciła głową. — To nieważne. Na razie. Oznacza to jednak, że potrzebuje cię w tej misji. Khouri, ty i ja, oraz może być sama królowa-suka, udajemy się w dół, by zabrać Sylveste'a.

— Nie możesz jeszcze tego wiedzieć.

Sudjic potrząsnęła głową.

— Nie, oficjalnie nie mogę. Ale kiedy się jest na pokładzie tego statku tak długo jak ja, wie się coś niecoś o pomijaniu zwykłych kanałów.

Przez moment panowała cisza, przerywana tylko odgłosami kropel kapiących z przeciekającego przewodu, gdzieś dalej, w głębi korytarza.

— Sudjic, czemu mi to mówisz? Sądziłam, że mnie nie cierpisz.

— Może nie cierpiałam. Kiedyś. Ale teraz potrzebujemy wszystkich sprzymierzeńców, jakich znajdziemy. I myślałam, że docenisz ostrzeżenie. Zwłaszcza jeśli masz trochę rozsądku i wiesz komu ufać.

Volyova zwracała się do bransolety:

— „Nieskończoność", chciałabym, żebyś skorelowała głos, jaki za chwilę usłyszysz, z pokładowymi zapisami Sylveste'a. W wypadku braku zgodności powiadom mnie natychmiast bezpiecznym displejem.

— …mnie słyszycie — głos Sylveste'a popłynął ku nim od połowy zdania. Powtarzam, chcę wiedzieć, czy mnie słyszycie. Żądam potwierdzenia odbioru, dziwko. Żądam pieprzonego potwierdzenia odbioru!

— To on, tak jest. — Volyova zagłuszała głos mężczyzny. — Poznałabym wszędzie ten opryskliwy ton. Lepiej go stamtąd wyciągnąć. Sądzę, że nadal nie mamy jeszcze na niego namiaru?

— Przykro mi. Będziesz musiała zwrócić się do kolonii jako całości i przyjąć, że ma środki, by cię słyszeć.

— Jestem pewna, że nie zaniedbałby takiego szczegółu. — Volyova spojrzała na bransoletę — statek jak dotychczas nie odrzucił hipotezy, że głos należy do Sylveste'a. Uwzględniono tolerancję, gdyż Sylveste, który kiedyś wszedł na pokład, był znacznie młodszą wersją mężczyzny, którego teraz szukali, więc nie spodziewano się, że głos będzie pasował idealnie. Ale nawet po uwzględnieniu tych czynników wydawało się coraz bardziej prawdopodobne, że go znaleźli i że nie jest to po prostu jeszcze jeden nieszczęśliwy udawacz, który występuje, by „ocalić" kolonię. — W porządku, podłącz mnie. Sylveste? Tu Volyova. Powiedz, czy to słyszysz.

Głos mężczyzny brzmiał teraz czyściej:

— Najwyższy kurewski czas.

— Sadzę, że możemy przyjąć to za „tak" — powiedział Hegazi.

— Musimy przedyskutować szczegóły przetransportowania ciebie tutaj i wydaje mi się, że bardzo ułatwi sprawę, jeśli to zrobimy na bezpiecznym kanale. Jeśli podasz mi swe obecne położenie, możemy dokładnie omieść czujnikami ten region i odbierać twoją transmisję ze źródła, omijając przekaźnik w Cuvier.

— Posłuchajcie, dlaczego chcecie, żebym to zrobił? Czy chcecie

coś zataić przed resztą mieszkańców kolonii? — Sylveste zamilkł, ale umysł Volyovej umieścił w tym miejscu szyderczy śmiech. — Mimo wszystko dotychczas nie zwlekaliście z wciąganiem ich do tego. — Następna pauza. — Przy okazji, niepokoi mnie, że mam do czynienia z tobą, a nie z Sajakim.

— Jest niedysponowany — wyjaśniła Volyova. — Podaj mi swą pozycję.

— Przykro mi, ale to jest niemożliwe.

— Musisz się lepiej postarać.

— Czemu miałbym się o to troszczyć? W waszych rękach są wszystkie strzelby. Znajdziecie rozwiązanie.

Hegazi pomachał ręką, pokazując Volyovej, by wyłączyła radio.

— Może nie może wyjawić swojej pozycji.

— Nie może?

Hegazi postukał palcem wskazującym swój wzmocniony stalą nos.

— Ci, co go więżą, mogą mu nie pozwalać. Są gotowi go wypuścić, ale nie chcą zdradzić swego położenia.

Volyova kiwnęła głową, przyznając, że sugestia Hegaziego prawdopodobnie jest bliska prawdy. Wznowiła kontakt.

— Dobrze, Sylveste. Chyba rozumiem twoją trudną sytuację. Zakładam, że masz środki do poruszania się, i proponuję następujący kompromis. Mniemam, że twoi… hm… gospodarze niewątpliwie mogą coś naprędce zorganizować?

— Mamy transport, jeśli właśnie o to pytasz.

— W takim razie masz jeszcze sześć godzin. Wystarczający czas, byś dostał się do miejsca dostatecznie odległego od tego, gdzie teraz przebywasz. Więc nie zdradzisz tego miejsca, jeśli wtedy podasz swą pozycję. Ale jeśli cię nie usłyszymy w ciągu sześciu godzin, przeprowadzimy atak na następny cel. Czy to dostatecznie jasne dla wszystkich zainteresowanych?

— Och tak — powiedział zwięźle Sylveste. — Całkowicie jasne.

— Jeszcze jedno.

— Tak?

— Zabierz ze sobą Calvina.

SZESNAŚCIE

Północne Nekhebet, 2566

Sylveste czuł, jak samolot wyrusza w podróż, z początku poruszając się poziomo, by wydostać się z wykopanego hangaru Mantell, a potem nabierając szybko wysokości i skręcając, by uniknąć zderzenia z nagromadzonymi warstwami sąsiedniej mesy. Sylveste zrobił sobie okno, lecz gęstniejący pył nie pozwalał na nic więcej prócz migawkowych zerknięć na bazę. Płaskowyż, w którym wykopano jej tunele, spadał pod jaskrawą krzywą plazmowego skrzydła. Wiedział, i był tego absolutnie pewien, że nie powróci. Że ogląda po raz ostatni nie tylko Mantell, lecz całą kolonię. Nie mógł określić dokładnie, dlaczego tak czuje.

Maszyna była najmniejszym i najmniej cennym samolotem, który mogło dostarczyć osiedle — niewiele większym niż wolantory, którymi latał w Chasm City, wieki temu. Była także dość szybka, by sześć godzin wystarczyło na oddalenie się od mesy na dostateczną odległość. Samolot mógł wieźć cztery osoby, ale lecieli nim tylko Sylveste i Pascale. Mimo to — przynajmniej jeśli chodzi o swobodę poruszeń — byli nadal więźniami Sluki. Jej ludzie zaprogramowali trasę lotu wcześniej i samolot zboczyłby z kursu jedynie wtedy, gdyby autopilot osądził, że warunki pogodowe bezwzględnie tego wymagają. Jeśli zaś warunki na ziemi dałyby się znieść, wysadzi Sylveste'a z żoną w z góry przewidzianym miejscu, które nadal dla Volyovej i jej załogi pozostawało nieznane. Jeśli i tam warunki będą zle, w tym samym obszarze zostanie wybrane inne miejsce lądowania.

Samolot nie pozostanie długo na gruncie. Kiedy wypuści Sylveste'a i Pascale — z zapasami wystarczającymi na kilka godzin — wystartuje pośpiesznie i powróci do Mantell, unikając niezniszczonych jeszcze systemów radarowych, które mogłyby powiadomić Resurgam City o jego trasie. Potem Sylveste skontaktuje się z Volyovą i poda swoje położenie, choć — ponieważ wtedy będzie już nadawał bezpośrednio — nie miałaby ona trudności z namierzeniem jego pozycji. Potem dalszy bieg spraw będzie spoczywał w rękach Volyovej. Sylveste nie miał pojęcia, co się wydarzy ani w jaki sposób zostanie zabrany na pokład. To już jej problem, nie jego. Wiedział tylko, że jest bardzo nieprawdopodobne, że cała ta sytuacja to pułapka. Choć Ultrasi pragnęli dostępu do Calvina, Calvin bez Sylveste'a był zasadniczo bezużyteczny. Będą rzeczywiście chcieli bardzo o niego zadbać. A jeśli ta sama logika nie stosowała się

również do Pascale, Sylveste podjął kroki, by usunąć tę jej wadę.

Samolot wyrównał kurs. Leciał poniżej średniego poziomu płaskowyżów, wykorzystując ich masy jako osłonę. Co kilka sekund skręcał, sterując przez rozdzielające mesy, wąskie, kanionopodobne korytarze. Sylveste miał nadzieje, że mapy terenu, na których oparto trasę lotu, nie zostały ostatnio zdezaktualizowane przez obsunięcia się gruntu. Gdyby tak było, przejażdżka trwałaby znacznie krócej niż sześć godzin, udzielone im przez Volyovą.

— Gdzie, do diabła… — Calvin, który właśnie pojawił się w kabinie, gorączkowo rozglądał się wokół. Jak zwykle pojawił się w ogromnym, zbytkownie wysłanym fotelu. W kabinie nie było miejsca na jego masę, więc krańce siedzenia znikały niedorzecznie w ścianach. — Gdzie do diabła jestem? Nic nie odbieram! Co do cholery się wydarzyło? Powiedz!

Sylveste zwrócił się do żony:

— Kiedy się rozbudzi, przede wszystkim obwąchuje lokalne otoczenie cybernetyczne — to pozwala mu na zorientowanie się, gdzie jest, ustalenie ram czasowych i tak dalej. Kłopot polega na tym, że teraz nie ma tu lokalnego otoczenia cybernetycznego, więc jest trochę zdezorientowany.

— Przestań o mnie mówić, jakbym był nieobecny. Gdzie do diabła jest to „tutaj”?

— Jesteś w samolocie — wyjaśnił Sylveste.

— Samolot? To nowość. — Cal kiwnął głową, odzyskując nieco równowagę. — Rzeczywiście, nowość. Nie sadzę, żebym którymś wcześniej latał. Przypuszczam, że nie masz nic przeciwko zaznajomieniu swego starego papy z kilkoma zasadniczymi faktami?

— Właśnie dlatego cie obudziłem. — Sylveste przerwał i skasował okna; nie było żadnego widoku i niezmienny pyłowy kir tylko przypominał o tym, co ich oczekuje natychmiast po wyjściu z samolotu. — Nie wyobrażaj sobie ani przez chwilę, że chciałem po prostu pogwarzyć sobie przy kominku, Cal.

— Wyglądasz starzej, synu.

— Tak. Cóż, niektórzy z nas muszą ciągnąć ten interes bycia żywym w entropijnym wszechświecie.

— Oj. To boli, wiesz?

— Przestań, dobrze? — wtrąciła Pascale. — Nie ma czasu na kąśliwe uwagi.

— Nie wiem — odparł Sylveste. — Pięć godzin to dostatecznie długo. Co o tym sądzisz, Cal?

— Też prawda. W każdym razie, co ona wie? — Cal popatrzył gniewnie na dziewczynę. — To tradycja, kochanie. W ten sposób my — jak to powiedzieć — witamy się po długim niewidzeniu. Gdyby wykazał nawet najsłabszy cień serdeczności w stosunku do mnie,

wtedy naprawdę zacząłbym się martwić. To by znaczyło, że chce ode mnie jakiejś boleśnie trudnej przysługi.

— Nie — odparł Sylveste. — By uzyskać tylko boleśnie trudną przysługę, po prostu zagroziłbym ci wymazaniem. Nigdy od ciebie nie potrzebowałem czegoś dostatecznie wielkiego, by aż trzeba było być miłym, i wątpię, czy kiedykolwiek będę czegoś takiego potrzebował.

Calvin mrugnął do Pascale.

— Oczywiście ma rację. Głuptas ze mnie.

Przejawił się w popielatym surducie z wysokim kołnierzem, o rękawach ozdobionych przeplatającymi się złotymi szewronami. Obutą w długi but stopę położył na kolanie drugiej nogi, więc ogon surduta udrapował się na wzniesionej nodze długą zasłoną łagodnie sfalowanego materiału. Jego broda i wąsy osiągnęły jakiś byt poza stanem ufryzowania — zostały wyrzeźbione w całość o takim stopniu komplikacji, że mogły być tylko utrzymywane dzięki drobiazgowej uwadze serwitorów. W jednym z oczodołów spoczywał bursztynowy monokl do danych (afektacja, gdyż Calvin od urodzenia nosił implant bezpośredniego interfejsu), a jego włosy (teraz długie) sięgały za tył czaszki wypomadowanym zawijasem powtórnie łączącym się ze skalpem gdzieś powyżej karku. Sylveste próbował umiejscowić ten portret w czasie, ale bez powodzenia. Niewykluczone, że taka postać odnosiła się do jakiejś szczególnej ery w życiu Calvina na Yellowstone. Równie możliwe, że symulacja zbudowała go zupełnie od zera, by zabić czas, gdy startowały wszystkie jego podprogramy pomocnicze.

— Tak więc, w każdym razie…

— Samolot wiezie mnie na spotkanie z Volyovą — powiedział Sylveste. — Oczywiście ją pamiętasz?

— Jakże moglibyśmy zapomnieć. — Calvin wyjął swój monokl i z roztargnieniem przecierał go rękawem. — A jak do tego wszystkiego doszło?

— To długa historia. Przycisnęła kolonię. Musieli mnie przekazać, wybór mieli niewielki. Ciebie też przekazali.

— Mnie też chciała?

— Nie rób z tego powodu takiej zdziwionej miny.

— Nie robię. To mina rozczarowana. I oczywiście do wchłonięcia naraz to raczej dużo materiału. — Calvin wsadził monokl z powrotem w oczodół. Jedno oko, powiększone, patrzyło gniewnie za bursztynem. Czy sądzisz, że chce nas obu dla ochrony, czy też może myśli o czymś szczególnym?

— Chyba to drugie. Ale nie mówiła otwarcie o swych zamiarach.

Calvin kiwnął w zamyśleniu głową.

— Więc miałeś do czynienia tylko z Volyovą, czy tak?

— Wydaje ci się to dziwne?

— Oczekiwałbym, że nasz przyjaciel Sajaki pokaże w którymś

momencie swoje oblicze.

— Ja też, ale ona nawet nie napomknęła o jego nieobecności. — Sylveste wzruszył ramionami. — Czy naprawdę ma to znaczenie? Oni wszyscy są jednakowo podli.

— Oczywiście, ale z Sajakim wiedzielibyśmy przynajmniej, na czym stoimy.

— Masz na myśli klapę zapadni?

Calvin wykonał nieokreślony gest głową.

— Możesz mówić o tym człowieku, co chcesz, ale przynajmniej dotrzymuje słowa. I on — czy ten, kto tam rządzi — miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by cię nie niepokoić powtórnie aż do tej chwili. Ile czasu upłynęło od naszego ostatniego pobytu na pokładzie tej gotyckiej potworności, zwanej „Nostalgia za Nieskończonością”?

— Około stu pięćdziesięciu lat. Dla nich oczywiście o wiele mniej — tylko kilkadziesiąt lat.

— Lepiej przygotujmy się na najgorsze.

— Najgorsze co? — spytała Pascale.

— Że — zaczął Calvin z wypracowaną cierpliwością — będziemy mieli do wykonania pewne zadanie, związane z pewnym dżentelmenem. — Spojrzał zezem na Sylveste’a. — W każdym razie, co ona wie?

— Podejrzewam, że mniej, niż mi się wydawało. — Pascale nie wyglądała na rozbawioną.

— Powiedziałem jej jak najmniej — wyjaśnił Sylveste, spoglądając w punkt między swoją żoną i symulacją poziomu beta. — Dla jej własnego dobra.

— Och, dzięki.

— Oczywiście miałem pewne wątpliwości…

— Dan, czego ci ludzie chcą od ciebie i twego ojca?

— Ach, cóż, obawiam się, że to następna długa historia.

— Masz sześć godzin, sam to przyznałeś. Oczywiście, jeśli założymy, że was dwóch zniesie przerwanie tej sesji wzajemnego podziwu.

Calvin uniósł brew.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem, by ktoś to tak nazywał. Ale może w jej opinii coś jest, co, synu?

— Tak. Poważne niezrozumienie sytuacji — odparł Sylveste.

— Niemniej jednak, może powinieneś powiedzieć jej coś więcej, zaznajomić ją przynajmniej z ogólnym obrazem sytuacji i tak dalej?

Samolot wykonał szczególnie gwałtowny skręt. Jedynie Calvin nie zareagował na ten ruch.

— W porządku — zgodził się Sylveste. — Ale w dalszym ciągu uważam, że lepiej by wyszła na tym, gdyby wiedziała raczej mniej niż

więcej.

— Może byście pozwolili, bym sama to osądziła — powiedziała Pascale.

Calvin uśmiechnął się.

— Radzę ci zacząć od opowiedzenia jej o drogim kapitanie Branniganie.

Tak więc Sylveste opowiedział jej resztę. Do tej pory rozmyślnie omijał temat tego, co dokładnie chce od niego Sajaki ze swoją załogą. Pascale oczywiście zawsze miała wszelkie prawa, by to wiedzieć… ale sam temat był dla Sylveste'a tak niestrawny, że cały czas go unikał. Nie, żeby miał osobiście coś przeciw kapitanowi Branniganowi czy mu nie współczuł. Kapitan był unikalną osobą z unikalnym przerażającym schorzeniem. Nawet jeśli obecnie nie był w żadnym sensie świadomy (według najlepszej wiedzy Sylveste'a), był świadomy w przeszłości i może znowu się takim stać w przyszłości, w przypadku — co prawda nieprawdopodobnym — że ktoś zdoła go uleczyć. Więc cóż z tego, że mroczna przeszłość kapitana kryła być może zbrodnie? Z pewnością ten człowiek w swym obecnym stanie odpokutował je tysiąckrotnie. Nie, z pewnością wszyscy życzyli kapitanowi dobrze i większość ludzi ochoczo poświęciłaby swój czas i energię, by mu pomóc, pod warunkiem, że nie okaże się to dla nich ryzykowne. Nawet zrobiliby to przy pewnym niewielkim ryzyku.

Ale załoga prosiła Sylveste'a o coś więcej niż po prostu podjęcie osobistego ryzyka. Będą go prosili, by poddał się Calvinowi. Aby pozwolił Calowi na inwazję swego umysłu i przejęcie władzy nad swymi funkcjami motorycznymi. Sama myśl o tym była odrażająca. Dostatecznie złe były stosunki z Calvinem jako symulacją poziomu beta — to tak jakby być nawiedzanym przez ducha własnego ojca. Sylveste zniszczyłby symulację poziomu beta już przed laty, gdyby nie okazywała się tak często użyteczna. Jednak sama świadomość, że symulacja istnieje, sprawiała, że czuł się nieswojo. Cal był zbyt spostrzegawczy, zbyt przenikliwy w swych osą… symulowanych osądach. Program wiedział, co Sylveste zrobił z symulacją poziomu alfa, choć nigdy tej sprawy nie poruszył i nie powiedział tego wyraźnie. Lecz zawsze, kiedy symulacja wchodziła do jego głowy, zdawała się zapuszczać w niego coraz głębiej macki. Za każdym kolejnym razem wydawało się, że symulacja zna go lepiej, że lepiej potrafi przewidzieć jego własne reakcje. Czym wobec tego był, jeśli jego wolną wolę tak prosto naśladował kawałek oprogramowania, który teoretycznie nie posiadał w ogóle własnej świadomości? Oczywiście było to gorsze niż po prostu dehumanizujący aspekt procesu przekazu informacji. Ponadto procedura fizyczna była sama w sobie nieprzyjemna, gdyż jego własne świadome sygnały motoryczne musiały być zablokowane przy swoim źródle, zatamowane krupnikiem

chemicznych neuronowych inhibitorów. Zostanie sparaliżowany, a jednak będzie się poruszał — dawniej dokładnie tak wyobrażano sobie opętanie przez demona. To doświadczenie zawsze było koszmarem, czymś, czego nigdy nie chciał powtarzać.

Nie, myślał. Figę mnie obchodzi ten kapitan. Dlaczego ma tracić swe własne człowieczeństwo, by ocalić kogoś, kto żył dłużej od większości ludzi w historii? Niech diabli wezmą współczucie. Kapitan powinien był umrzeć już przed laty, a poddanie Sylveste'a tym próbom było ze strony załogi większą zbrodnią od pozostawienia kapitana jego cierpieniom.

Oczywiście Cal postrzegał to inaczej — nie tyle jak ciężką próbę, a raczej jak okazję…

— Oczywiście, ja byłem pierwszym — oznajmił Calvin. — Dawno temu, kiedy jeszcze miałem ciało.

— Pierwszym kim?

— Pierwszy go obsługiwałem. Już wtedy był bardzo chimeryczny. Niektóre podtrzymujące go techniki pochodziły z okresu sprzed Transoświecenia. Bóg jeden wie, ile lat mają obecnie jego cielesne części. — Calvin pomacał swą brodę i wąsy, jakby chciał sobie przypomnieć, jak kunsztowną tworzą one kombinację. — To było oczywiście jeszcze przed Osiemdziesiątką. Ale już wtedy byłem głośnym eksperymentatorem działającym na pograniczu radykalnych nauk chimerycznych. Samo powielanie technik rozwiniętych przed Wszechoświeceniem nie zadawalało mnie. Chciałem przewyższyć tamte osiągnięcia. Chciałem zasypać je pyłem mej wielkości. Chciałem tak mocno rozciągnąć otoczkę, by porwała się na strzępy, a potem z kawałków zestawić ją od nowa.

— Tak, dosyć mówienia o sobie, Cal — przerwał mu Sylveste. — Omawialiśmy Brannigana, pamiętasz?

— To się nazywa zarysowanie kontekstu fabularnego, drogi chłopcze. — Calvin zamrugał. — W każdym razie Brannigan był ekstremalnym chimerykiem, a ja byłem kimś gotowym do rozważenia ekstremalnych środków. Kiedy zachorował, jego przyjaciele nie mieli innego wyjścia, jak zakupić moje usługi. Oczywiście cała transakcja odbywała się ściśle pod ladą — i nawet dla mnie było to absolutne oderwanie się od moich ówczesnych zajęć. Coraz mniej mnie interesowały modyfikacje fizjologiczne, a coraz bardziej fascynowały — można nazwać to obsesją — transformacje neuronowe. Ściśle mówiąc, pragnąłem znaleźć sposób odwzorowania aktywności neuronowej prosto do… — Cal przerwał, zagryzając dolną wargę.

— Brannigan go wykorzystał — przejął wątek Sylveste. — A w zamian pomógł mu nawiązać kontakty z niektórymi bogaczami w Chasm City — potencjalnymi klientami dla programu Osiemdziesiątki. I gdyby solidnie wyleczył Brannigana, byłby to koniec całej historii.

Ale spaskudził robotę, zrobił minimum, byle tylko odczepić się od sprzymierzeńców Brannigana. Gdyby wtedy zadał sobie trud i wykonał to porządnie, nie siedzielibyśmy teraz w tym bagnie.

— On chce powiedzieć — wtrącił Calvin — że skutki mojej naprawy kapitana nie miały trwać po wsze czasy. Z natury jego chimeryzmu wynikało, że kiedyś znowu będę musiał poświęcić uwagę niektórym innym aspektom jego fizjologii. I wtedy — z powodu złożoności pracy, którą nad nim wykonałem — dosłownie nie będzie nikogo innego, do kogo można by się w tej sprawie zwrócić.

— Tak więc wrócili — powiedziała Pascale.

— Tym razem Brannigan dowodził statkiem, na który niedługo wejdziemy. — Sylveste spojrzał na symulację. — Cal już nie żył. Osiemdziesiątkę publicznie ogłoszono obrzydlistwem. Nie pozostało po nim nic, prócz symulacji poziomu beta. Nie trzeba dodawać, że Sajaki — wtedy on był przy kapitanie — nie był najbardziej zadowolony. Ale mimo to znaleźli sposób.

— Sposób?

— By Calvin popracował nad kapitanem. Odkryli, że może działać za moim pośrednictwem. Symulacja dostarczyła kwalifikacji. Ja dostarczyłem mięsa, którego potrzebowała, by się poruszać i wykonać robotę. „Kanałowanie" — tak nazwali to Ultrasi.

— Więc wcale to nie musiałeś być ty — zauważyła Pascale. — Jeśli mieli symulację poziomu beta — albo jej kopie — czy nie mógł jeden z nich zadziałać jako — mięso, jeśli już użyć twego czarującego określenia?

— Nie, choć prawdopodobnie woleliby, żeby to się tak odbyło; wyzwoliłoby to ich od jakiejkolwiek zależności ode mnie. Ale kanałowanie działa jedynie w wypadku ścisłego dopasowania symulacji i osoby, którą ta symulacja wykorzystuje. Jak dłoń dopasowana do rękawiczki. W przypadku Calvina i mnie to działało, gdyż był moim ojcem. Pod wieloma genetycznymi względami byliśmy podobni. Rozetnij nasze mózgi i prawdopodobnie będziesz miała wątpliwości, który jest czyj.

— A teraz?

— Teraz wrócili.

— Ach, gdyby tylko wykonał solidnie swą pracę ostatnim razem — powiedział Calvin, ozdabiając tę uwagę cienkim uśmieszkiem samozadowolenia.

— Sam sobie jesteś winien. Ty siedziałeś za kierownicą. Robiłem tylko, co mi kazałeś. — Sylveste skrzywił się. — W gruncie rzeczy przez większość tego czasu nie byłem nawet świadomy. Nie znaczy to, żebym nienawidził każdej tak spędzonej minuty.

— I mają zamiar zmusić cię, byś znowu to robił — powiedziała Pascale. — Czy tylko o to tu chodzi? Z tego powodu to wszystko się

tutaj wydarzyło? Atak na tamto osiedle? Tylko po to, by zmusić cię, byś pomógł ich kapitanowi?

Sylveste skinął głową.

— Pozwolę sobie zwrócić ci uwagę, że ludzie, z którymi za chwilę będziemy prowadzić interesy, nie są dokładnie ludźmi w twoim rozumieniu. Ich wartości i skale czasowe są nieco… abstrakcyjne.

— W takim razie, nie nazwałabym tego interesami. Nazwałabym to szantażem.

— Cóż — powiedział Sylveste. — Tu akurat się mylisz. Widzisz, tym razem Volyova popełniła drobną pomyłkę. Przybywając, ostrzegła mnie wcześniej.

Volyova spoglądała na wyobrażony widok Resurgamu. W tym momencie położenie Sylveste'a na powierzchni planety było kompletnie nieznane, jak kwantowa funkcja falowa, która jeszcze się nie zrealizowała. Jednak za chwilę uzyskają dokładne namiary jego przekazu i funkcja falowa pozbędzie się miriadów niewybranych możliwości.

— Masz go?

— Sygnał jest słaby — oznajmił Hegazi. — Burza, którą zrobiłaś, powoduje mnóstwo interferencji jonosferycznych. Założę się, że jesteś z tego naprawdę dumna?

— Pobierz tylko namiary, svinoi.

— Cierpliwości, cierpliwości.

Volyova raczej nie wątpiła, że Sylveste zgłosi się o czasie. Tym niemniej, kiedy się odezwał, wbrew sobie odczuła ulgę. Znaczyło to, że zrealizowano następny element zawikłanego planu wzięcia go na pokład. Nie miała jednak złudzeń, że zadanie już jakoś wypełniono. I żądania Sylveste'a miały w sobie coś aroganckiego — szarogęsił się na przykład co do sposobu, w jaki mają się odbywać wydarzenia. Zastanawiała się, czy jej koledzy rzeczywiście mają tutaj przewagę. Jeśli Sylveste planował zasiać w jej umyśle ziarno wątpliwości, to z całą pewnością mu się udało. Do diabła z nim. Przygotowywała się na to, wiedząc, że Sylveste jest sprawny w grach umysłowych, ale nie przygotowała się dostatecznie. Cofnęła się myślą nieco w przeszłość i analizowała, jak sprawy przebiegały dotychczas. Mimo wszystko Sylveste ma niedługo zostać jej więźniem. Prawdopodobnie nie mógł sobie życzyć takiego wyniku, zwłaszcza że dokładnie wiedział, czego będą od niego chcieć. Gdyby był panem swego losu, nie oczekiwałby teraz na wzięcie go na pokład „Nieskończoności".

— Ach — powiedział Hegazi. — Mamy namiar. — Chcesz posłuchać, co sukinsyn ma do powiedzenia?

— Dawaj go.

Głos mężczyzny zalał ich znowu, tak jak przed sześcioma godzinami, z jedną oczywistą różnicą. Wszystkim słowom

wypowiadanym przez Sylveste'a towarzyszyło ciągłe wycie burzy maczetowej. To tło niemal zagłuszało jego słowa.

— Jestem tutaj. Gdzie jesteście? Volyova, czy mnie słuchasz? Powtarzam, czy mnie słuchasz? Chcę odpowiedzi! Oto moje współrzędne względem Cuvier, lepiej mnie słuchajcie. — A potem wyrecytował, dla bezpieczeństwa kilkakrotnie, ciąg liczb określających jego położenie co do setki metrów; informacja nadmiarowa, gdyż obecnie dokładnie go namierzano. — Teraz tu zjedźcie! Nie możemy czekać całą wieczność — jesteśmy w środku burzy maczetowej. Jeśli się nie pośpieszycie, umrzemy.

— Hrnmm — rzekł Hegazi. — Myślę, że w pewnym momencie odpowiedzenie temu biedakowi byłoby niezłym pomysłem.

Volyova wyjęła i zapaliła papierosa. Zanim odpowiedziała, rozkoszowała się chwilę dymem tytoniowym.

— Na razie nie. W grucie rzeczy poczekamy jeszcze godzinę czy dwie. Sądzę, że pozwolę, by najpierw naprawdę się zaniepokoił.

Khouri usłyszała tylko bardzo słaby odgłos szurania, gdy otwarty skafander przesunął się ku niej. Poczuła jego łagodnie przynaglający nacisk na swych plecach, a także na tyle nóg ramion i głowy. Na skraju pola widzenia zobaczyła, jak boczne partie głowy skafandra zaginają się wokół niej, a potem poczuła, jak jego ręce i nogi stopiły się wokół jej członków. Przestrzeń piersiowa zamknęła się z dźwiękiem, jaki wydaje ktoś, kto siorbnął ostatni łyk z dzieży na ciasto.

Pole widzenia miała teraz ograniczone, widziała jednak, jak linie rozcięć kończyn skafandra się zamykają. Linie szwów trwały przez sekundę czy dwie, a potem roztopiły się w niezakłóconej bieli reszty powierzchni ubioru. Następnie na głowie Khouri uformował się hełm skafandra. Na chwilę zapanowała ciemność, a potem przed oczyma pojawił się przezroczysty owal. Stopniowo ciemność wokół owalu zapłonęła displejami statusu i innymi licznymi informacjami. Później skafander napełni się powietrznym żelem, chroniącym użytkownika przed przeciążeniami lotu, na razie jednak Khouri oddychała świeżutkim tlenowo-azotowym powietrzem, podawanym pod ciśnieniem takim jak na statku.

— Przeprowadziłem właśnie wszystkie testy bezpieczeństwa i funkcjonalności — poinformował ją skafander — proszę o potwierdzenie, że życzysz sobie przejąć pełne sterowanie tą jednostką.

— Tak, jestem gotowa — oznajmiła Khouri.

— Obecnie wyłączyłem większość moich autonomicznych programów sterujących. Ta persona pozostanie włączona w charakterze doradcy, chyba że poprosisz o coś innego. Pełne autonomiczne sterowanie skafandra może zostać ponownie włączone w nastę…

— Wszystko, załapałam, dzięki. Jak idzie innym?

— Wszystkie pozostałe jednostki meldują gotowość.

— Jesteśmy gotowi, Khouri — wtrąciła Volyova. — Poprowadzę zespół; szyk trójkątnego zniżania się. Ja krzyczę, ty skaczesz. Nie kiwasz NAWET palcem bez mojego upoważnienia.

— Nie martw się, nie mam tego w planach.

— Widzę, że trzymasz ją mocno w garści — zauważyła Sudjic na otwartym kanale. — Czy również sra na rozkaz?

— Zamknij jadaczkę, Sudjic. Jesteś z nami tylko dlatego, że znasz światy. Jeden krok poza linię… — Volyova przerwała. — Cóż, ujmijmy to tak: Sajakiego nie będzie w pobliżu, by interweniować, jeśli stracę cierpliwość, a dysponuję ogromną siłą ognia.

— A propos siły ognia — powiedziała Khouri — na moich odczytach nie widzę żadnych danych dotyczących broni.

— To dlatego, że nie masz autoryzacji — wyjaśniła Sudjic. — Ilia nie wierzy, że powstrzymasz się od strzelania do wszystkiego, co się rusza. Prawda, Ilia?

— Jeśli napotkamy kłopoty — powiedziała Ilia — pozwolę ci na użycie broni, wierz mi.

— Czemu nie teraz?

— Ponieważ teraz tego nie potrzebujesz, oto czemu. Jesteś z nami na przejażdżce. Aby pomóc, gdy sprawy potoczą się inaczej, niż przewiduje plan. Oczywiście nic takiego nie nastąpi… — Głośno zaczerpnęła tchu. — Ale gdyby nastąpiło, dostaniesz swoje cenne bronie. Po prostu, jeśli będziesz musiała ich użyć, spróbuj być rozważna, to wszystko.

Kiedy wyszli na zewnątrz, powietrze pokładowe zostało usunięte i zastąpione żelem powietrznym — cieczą do oddychania. Przez chwilę miało się wrażenie tonięcia, ale Khouri robiła takie przejścia na Skraju Nieba wystarczająco często, by nie odczuwać znacznej niewygody. Zwykłe mówienie stało się niemożliwe, ale w hełm skafandra wbudowano trały, które umiały interpretować subwokalne polecenia. Głośniki w hełmie przesuwały nadchodzące dźwięki o odpowiednią częstotliwość i kompensowały wprowadzone przez powietrzny żel zniekształcenia, więc głosy, które słyszała Khouri, brzmiały zupełnie normalnie. Choć zejście było trudniejsze i cięższe niż przy użyciu promu, Khouri odczuwała je jako lżejsze, jeśli nie liczyć sporadycznego nacisku wokół gałek ocznych. Tylko spojrzenia na odczyty skafandra potwierdzały, że na ogół przekraczają przyśpieszenie sześć g, uzyskiwane dzięki maleńkim dyszom na plecach i w obcasach, napędzanym antylitem. Skafandry utworzyły wzorzec deltoidu: Volyova na przedzie, za nią dwa skafandry zajęte, a za nimi trzy zdalnie sterowane skafandry puste. Przez pierwszą część schodzenia skafandry pozostawały w takim układzie, w jakim

znajdowały się na pokładzie Światłowca, miej więcej dostosowanym do ludzkiej anatomii. Ale kiedy wokół nich zaczęły się żarzyć pierwsze ślady atmosfery Resurgamu, skafandry milcząco przekształciły swój wygląd zewnętrzny. Teraz — choć nic z tego nie było widoczne od wewnątrz — błona łącząca ramiona z ciałem grubiała, aż ręce i ciało nie dawały się już łatwo rozdzielić. Kąt rąk również się zmienił. Teraz trzymane były sztywno, lecz lekko zgięte pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ciała. Od kiedy głowa wciągnęła się i spłaszczyła, pojawił się gładki łuk biegnący od końca każdego z ramion, nad głową i z powrotem w dół. Kolumnowe nogi stopiły się w pojedynczy, płonący ogon, a wszystkie przezroczyste łaty określone przez użytkownika stały się znowu nieprzezroczyste, aby chronić przed żarem podczas wchodzenia w gazowy płaszcz. Skafandry wleciały w atmosferę piersią naprzód, z ogonem podwieszonym nieco niżej od głowy: złożone wzorce fal uderzeniowych zostały okiełznane i wykorzystane przez zmieniającą się geometrię pokrycia skafandra. Bezpośrednie widzenie nie było już możliwe, jednak skafandry nadal postrzegały swe otoczenie na innych pasmach promieniowania elektromagnetycznego i doskonale umiały zaadaptować te dane do ludzkich zmysłów. Rozglądając się wokół i poniżej, Khouri widziała inne skafandry. Każdy wydawał się pogrążony w świetlistej łzie różowawej plazmy.

Na wysokości dwudziestu kilometrów skafandry wykorzystały swoje dysze, by zwolnić do szybkości zaledwie naddźwiękowej. Teraz się przekształciły, adaptując do gęstniejącej atmosfery, zamieniły w samoloty wielkości człowieka. Skafandry wypuściły na plecach stabilizujące płetwy, a części twarzowe powróciły do przezroczystości. Przytulnie ułożona w objęciach skafandra Khouri niemal nie czuła tych zmian, jeśli nie liczyć niewielkiego nacisku materiału, który popychał jej kończyny z jednych pozycji do innych.

Na piętnastu kilometrach szósty skafander złamał szyk i nabrał szybkości hipersonicznych, skonfigurowawszy się w optymalny kształt aerodynamiczny. Żaden człowiek nie poddany drastycznym zabiegom chirurgicznym nie wpasowałby się w skafander o tym kształcie. Skafander zniknął za horyzontem w ciągu kilku sekund, prawdopodobnie poruszając się szybciej, niż kiedykolwiek poruszał się jakiś sztuczny obiekt w atmosferze Resurgamu. By nie uciec od planety, stosował wyrzut z dyszy skierowanej do góry. Khouri wiedziała, że skafander leci, by zabrać Sajakiego — miał spotkać go obok wyznaczonego miejsca, tam gdzie Sajaki ostatnio komunikował się z okrętem. Praca mężczyzny na Resurgamie została zakończona.

Na dziesięciu kilometrach — utrzymując ciszę radiową, mimo że laserowe łącza komunikacyjne między skafandrami były absolutnie bezpieczne, natrafili na zwiastuny burzy maczetowej, którą Volyova

pobudziła do życia. Z kosmosu burza wydawała się czarna i nieprzenikniona, jak płaskowyż z popiołu. Wewnątrz było jaśniej, niż Khouri oczekiwała. Światło o barwie sepii miało grudkowatą fakturę, jak po południu w Chasm City, podczas złej pogody. Słońca otaczała brudnawa tęcza, która jednak zniknęła po chwili, gdy zapadli się głębiej w burzę. Teraz światło nie tyle się na nich lało, co nieregularnie natrafiało, przenosząc się po warstwach wzniesionego kurzu niczym pijak schodzący po schodach. Jako że w żelu powietrznym wagi się nie czuło, Khouri wkrótce straciła wszelkie poczucie góry i dołu. Ufała jednak instynktownie, że bezwładnościowe systemy skafandra wyznaczą właściwe kierunki. Od czasu do czasu — choć dysze starały się jak najbardziej wygładzić jazdę, kobieta czuła wstrząsy. To skafander napotykał bąble ciśnieniowe. Gdy szybkość zespołu spadła poniżej szybkości dźwięku, skafandry znowu zmieniły kształt, stały się podobne do posągów. Grunt znajdował się tylko kilka kilometrów pod nimi, a od najwyższych szczytów systemu mes dzieliły ich jedynie setki metrów. Mimo to szczyty nie były widoczne. Obserwacja czterech pozostałych skafandrów w szyku stawała się coraz trudniejsza — skafandry wyłaniały się z kurzu i nikły w nim.

Khouri zatroskała się nieco. Nigdy nie używała skafandra w podobnych warunkach.

— Skafandrze — zapytała — czy jesteś całkowicie pewny, że sobie z tym poradzisz? Nie chciałabym, żebyś zwalił się z nieba ze mną w środku.

— Użytkowniku, kiedy pył stanie się problemem, natychmiast cię o tym powiadomię. — Skafandrowi udało się uzyskać pogardliwe brzmienie głosu.

— W porządku, tylko pytałam.

Obecnie widoczność spadła niemal do zera. Przypominało to pływanie w błocie. Od czasu do czasu w burzy pojawiały się luki, pozwalające na migawkowy widok spiętrzonych kanionów i ścian płaskowyżów, ale przeważnie pył był zupełnie pozbawiony wszelkich cech.

— Nic nie widzę — powiedziała.

— Czy tak lepiej?

Było lepiej. Burza w jednej chwili przestała istnieć. Khouri widziała wszystko dokoła na dziesiątki kilometrów — cały obszar aż do stosunkowo niedalekiego horyzontu, jeśli oczywiście widoku nie przesłaniały bliższe skalne ściany. Przypominało to latanie w oszałamiająco jasnym dniu, jeśli pominąć fakt, że cała scena została oddana w chorowitym odcieniu bladej zieleni.

— To montaż — wyjaśnił skafander. — Skonstruowany na podstawie okrążającej podczerwieni, interpolowanego z niej obrazu, migawkowego sonaru o losowych impulsach i z danych

grawimetrycznych.

— Bardzo ładnie, ale nie chwal się tym zbytnio. — Kiedy maszyny mnie irytują — nawet maszyny bardzo złożone — potrafię je nieprzyjemnie obrazić.

— Zanotowałem jak trzeba — odpowiedział skafander i zamilkł.

Wywołała nakładkę, informującą o ich bieżącym położeniu na planecie. Skafander wiedział dokładnie dokąd się udać — celował na współrzędne punktu, z którego odzywał się Sylveste — Khouri czuła się jednak bardziej profesjonalnie, kiedy aktywnie interesowała się otoczeniem. Od czasu rozmowy Volyovej z Sylveste'em upłynęło trzy i pół godziny. Jeśli Sylveste poruszał się pieszo, nie mógł oddalić się w tym czasie zbytnio od ustalonego punktu. Jeśli nawet, z jakichś przyczyn, próbowałby uniknąć spotkania, czujniki skafandra bez trudności by go zlokalizowały, chyba żeby schronił się do dostatecznie głębokiej jaskini; ale nawet wtedy system wykrywaczy skafandra zrobiłby co mógł, by go wytropić. Wykorzystałby ślady termiczne i biochemiczne, zostawione przez Sylveste'a na trasie ucieczki.

— Słuchajcie — powiedziała Volyova, używając komunikatora międzyskafandrowego, po raz pierwszy od wejścia w atmosferę. — Dotrzemy do punktu przechwycenia za dwie minuty. Właśnie otrzymałam sygnał z orbity. Skafander Triumwira Sąjakiego zlokalizował go i szczęśliwie zabrał. Sajaki leci nam na spotkanie, ale ponieważ nie może poruszać się obecnie tak szybko, dotrze tu dopiero za dziesięć minut.

— Spotka nas? — spytała Khouri. — Dlaczego po prostu nie wróci na statek? Czy nie wierzy, że wykonamy zadanie, jeśli nie będziemy czuć jego oddechu na karku?

— Kpisz sobie? — zapytała Sudjic. — Sajaki czekał na to przez lata, przez dziesięciolecia. Za żadną cenę by się tego nie wyrzekł.

— Sylveste nie będzie się opierał, prawda?

— Nie, chyba żeby czuł, że ma akurat niewiarygodne szczęście — odparła Volyova. — Ale nie przyjmujcie niczego z góry. Ja już miałam do czynienia z tym sukinsynem, a wy nie.

Khouri czuła, że jej skafander przechodzi do konfiguracji bardzo podobnej do tej, jaką miał na statku na początku podróży. Błona skrzydłowa zniknęła teraz całkowicie, a kończyny zostały należycie określone i wyposażone w przeguby. Nie były już spłaszczonymi skrzydłowymi odrostkami. Koniuszki dłoni rozdzieliły się na szpony podobne do jednopalcowej rękawiczki, ale gdyby Khouri chciała wykonać jakąś delikatniejszą manipulację, mogła również utworzyć dłoń bardziej rozwiniętą. Przechylała się do tyłu, do pozycji niemal wyprostowanej, ciągle jednak sunąc w przód. Skafander utrzymywał teraz wysokość jedynie za pomocą dysz. Pył zupełnie nie wywierał na niego wpływu.

— Jedna minuta — oznajmiła Volyova. — Wysokość dwieście metrów. Oczekujcie teraz w każdej chwili pojawienia się Sylveste'a w polu widzenia. I pamiętajcie, że będziemy również szukać jego żony. Nie powinni być daleko od siebie.

Zmęczona bladozielonym odwzorowaniem Khouri wróciła do normalnego widzenia. Ledwo dostrzegała pozostałe skafandry. Leciały teraz daleko od ścian kanionów czy jakichś większych skał lub rozpadlin. Jeśli nie liczyć pojedynczych głazów i płytkich wądołów, teren rozciągał się płasko na tysiące metrów we wszystkich kierunkach. Lecz nawet gdy w burzy otwierały się kieszenie — spokojne pęcherze w chaosie — nie można było dojrzeć nic oddalonego o więcej niż kilkadziesiąt metrów, a nad gruntem stale przesuwały się wiry kurzu. Jednak w skafandrze panowała całkowita cisza i spokój, nadając całej sytuacji niebezpieczny posmak nierealności. Gdyby sobie życzyła, skafander przekazałby jej otaczające dźwięki, ale nie powiedziałoby to jej nic, z wyjątkiem tego, że na zewnątrz hulają piekielne wiatry.

Powróciła do bladej zieleni.

— Ilia — powiedziała. — Nadal jestem tutaj bezbronna. Zaczynam czuć się trochę nerwowo.

— Daj jej coś do zabawy — powiedziała Sudjic. — To nie zaszkodzi, prawda? Kiedy będziemy zajmowali się Sylveste'em, mogłaby sobie pójść i postrzelać do skał.

— Pieprzyć cię.

— Jak najbardziej, Khouri. Czy nie przyszło ci na myśl, że próbuję właśnie wyświadczyć ci przysługę? Czy też może sądzisz, że sama jedna zdołasz namówić Ilię?

— W porządku, Khouri — powiedziała Volyova. Uruchamiam twój minimalno-świadomy protokół defensywny. Odpowiada ci to?

Niezupełnie. Nie. Skafander Khouri dostał teraz przywilej autonomicznej obrony przed zewnętrznymi zagrożeniami — mógł nawet, do pewnego stopnia samodzielnie, działać przygotowawczo w celach obronnych. Jednak Khouri nadal nie miała palca na cynglu. Stwarzało to problem, jeśli chciała zabić Sylveste'a, a nie porzuciła całkowicie tego zamiaru.

— Taa, dzięki — odpowiedziała. — Wybaczcie mi, że nie skaczę z radości.

— Cała przyjemność po…

Po mniej więcej sekundzie wylądowali, lekko jak piórka. Kiedy jej skafander wyłączył dysze, Khouri poczuła dreszcz, a potem serię drobnych modyfikacji. Odczyty statusu przełączyły się z trybu lotu na tryb ruchowy, co oznaczało, że jeśli chce, może normalnie chodzić. W tym momencie mogłaby odrzucić skafander całkowicie, ale bez sprzętu ochronnego w burzy maczetowej nie przetrwałaby długo. Z

zadowoleniem pozostała zamknięta w ciszy skafandra, mimo że w ten sposób odbierała wydarzenia jakby pośrednio.

— Rozdzielamy się — oznajmiła Volyova. — Khouri, przydzielam twojemu skafandrowi sterowanie dwoma pustymi skafandrami; dystans sto kroków. Uruchomcie omiatanie aktywnymi czujnikami w całym widmie elektromagnetycznym i pasmach uzupełniających. Jeśli Sylveste jest gdzieś w pobliżu, znajdziemy svinoi.

Dwa puste skafandry już przyczłapały do Khouri, trzymały się jej jak zbłąkane psy. To była, wiedziała o tym, z góry wyznaczona rola: Volyova pozwalała jej opiekować się pustymi jednostkami w charakterze nagrody pocieszenia, że nie dała jej lepiej się uzbroić. Nie było jednak sensu pojękiwać. Jej jedynym rozsądnym argumentem za otrzymaniem broni był fakt, że mogłaby wykorzystać te środki obronne do zabicia Sylveste'a. Prawdopodobnie nie przekonałaby Volyovej podobnym argumentem — warto jednak pamiętać o tym, że skafandry mogły być zabójcze nawet bez broni. W czasie treningów na Skraju Nieba pokazano jej, jak ktoś w skafandrze może wyrządzić wrogowi szkodę, stosując brutalną siłę, dosłownie rozrywając przeciwnika na strzępy.

Khouri obserwowała Sudjic i Volyovą, jak odchodzą. Szły ze złudnie ciężką powolnością swych skafandrów w domyślnym trybie ruchowym. Złudną, gdyż skafandry, jeśli trzeba, mogły się poruszać z szybkością gazeli. Obecnie jednak rozwijanie takiej szybkości nie było konieczne. Wyłączyła bladozieloną nakładkę i powróciła do zwykłego widzenia. Teraz Sudjic i Volyova, jak należało się spodziewać, stały się w ogóle niewidoczne. I choć od czasu do czasu w burzy wciąż otwierały się kieszenie, Khouri na ogół nie widziała dalej niż na odległość wyciągniętego ramienia.

Zaskoczyło ją, gdy zobaczyła, jak coś — ktoś — porusza się w pyle. Widziała to tylko przez chwilę, nie można by tego nazwać nawet zerknięciem. Khouri właśnie zaczynała — bez zbytniego skupienia — racjonalizować tę wizję jako przypadkowy wir pyłu, który na chwilę przyjął mniej więcej ludzki kształt. Potem jednak zobaczyła to znowu.

Teraz postać była wyraźniejsza. Ociągała się, jakby się drocząc, nim wystąpiła z wiru w pole wyraźnego widzenia.

— Dawno się nie widzieliśmy — powiedziała Mademoiselle. — Sądziłam, że mój widok bardziej cię uraduje.

— Gdzie byłaś?

— Użytkowniku — powiedział Skafander — nie jestem w stanie zinterpretować twojej ostatniej subwokalnej wypowiedzi. Czy mogłabyś przeformułować to, co masz do powiedzenia?

— Każ mu cię ignorować — powiedział pyłowy duch Mademoiselle. — Nie mam wiele czasu.

Khouri kazała skafandrowi ignorować swą sub wokal izację do

chwili, gdy wypowie hasło. Skafander przyjął polecenie, z pompatycznym niezadowoleniem, tak jakby nigdy dotąd go nie proszono, by zrobił coś tak nietypowego, i stwierdził, że będzie musiał poważnie przemyśleć zasady ich współpracy w przyszłości.

— W porządku — powiedziała. — Jesteśmy teraz tylko we dwie, Mad. Możesz mi powiedzieć, gdzie byłaś?

— Za chwilę — odparł rzutowany obraz kobiety. Teraz się ustabilizował, ale Mademoiselle nie została oddana z wiernością, której Khouri oczekiwała. Kobieta wyglądała raczej jak zgrubny szkic siebie samej, jak zamazana fotografia, poddana przebiegającym falom zniekształceń. — Po pierwsze, zrobię dla ciebie, co mogę, gdyż inaczej ośmieszysz się, na przykład próbując taranować Sylveste'a. Teraz zobaczmy. Dostęp do pierwotnych systemów skafandra… omijanie kodów ograniczających Volyovej… w gruncie rzeczy aż dziwnie proste — jestem rozczarowana, że nie postawiła mnie przed ambitniejszym zadaniem, zwłaszcza że chyba to ostatni raz, że się…

— O czym mówisz?

— Mówię, że dam ci siłę ognia, kochana dziewczyno. — Zanim jeszcze skończyła wypowiadać te słowa, odczyt statusu zmienił się, wskazując na podłączenie odłączonych wcześniej broni skafandra. Khouri oceniała ten arsenał, który nagle pojawił się pod jej palcami, prawie nie wierząc własnym oczom. — Oto ona — powiedziała Mademoiselle. — Czy chciałabyś, żebym zrobiła coś więcej? Na przykład ucałowała przed odejściem'.'

— Sądzę, że powinnam ci podziękować.

— Nie trudź się, Khouri. Twojej wdzięczności się raczej nie spodziewam.

— Oczywiście, teraz naprawdę nie mam innego wyboru jak zabić sukinsyna. Czy za to mam ci również podziękować?

— Widziałaś, eee, dowód. Przyczynę wyroku, jeśli chcesz to tak określić.

Khouri skinęła głową, czując, jak skóra na czaszce przysysa się do wewnętrznej matrycy skafandra. Skafander nie przewidywał wykonywania w nim gestów.

— Tak, ta opowieść o Inhibitorach. Oczywiście nadal nie wiem, czy jest choć w części prawdziwa.

Rozważ w takim razie inne wyjście. Powstrzymujesz się od zabicia Sylveste'a, a jednak to, co ci powiedziałam, okazuje się prawdą. Wyobraź sobie, jak będziesz się po tym czuła, zwłaszcza kiedy Sylveste — pyłowe widmo spróbowało uśmiechnąć się ponuro — spełni swoje ambicje.

— Nadal zachowam czyste sumienie, prawda?

— Niewątpliwie. I mam nadzieję, że będzie to pocieszenie wystarczające, kiedy twój cały gatunek zostanie wytępiony przez

systemy Inhibitorów. Oczywiście wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie będziesz w pobliżu, by żałować swej pomyłki. Ci Inhibitorzy są raczej skuteczni. Ale przekonasz się o rym we właściwym czasie…

— Cóż, dziękuję za radę.

— To nie wszystko, Khouri. Czy nie przyszło ci do głowy, że moja nieobecność aż do tej chwili może być nader uzasadniona?

— Mianowicie?

— Umieram. — Mademoiselle pozwoliła, by słowo zawisło w pyle. Po chwili ciągnęła dalej. — Po wydarzeniach z bronią kazamatową Złodziej Słońca zdołał wstrzyknąć następną porcję ciebie do twej czaszki — ale oczywiście wiesz o tym. Wpuściłaś go, prawda? Pamiętam twoje wrzaski. Bardzo obrazowe. Jak dziwnie musiał się czuć. Chirurgicznie.

— Od tamtego czasu Złodziej Słońca raczej w żaden sposób na mnie nie wpływał.

— Ale czy kiedyś zastanawiałaś się, dlaczego?

— Co chcesz powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, droga dziewczyno, że kilka zeszłych tygodni spędziłam na usilnym powstrzymywaniu go przed dalszym rozprzestrzenianiem się w twojej głowie. Właśnie dlatego nie dawałam ci o sobie znać. Byłam zbyt zajęta trzymaniem go w ryzach. Radzenie sobie z tą jego częścią, którą niebacznie wpuściłam z powracającymi psami, było już dostatecznie trudne. Ale wtedy przynajmniej osiągnęliśmy rodzaj pata. Tym razem jednak sprawy wyglądają inaczej. Złodziej Słońca stawał się silniejszy z każdym swoim atakiem, ja tymczasem słabłam.

— Masz na myśli to, że nadal jest tutaj?

— Jak najbardziej. I nie czułaś go tylko dlatego, że również był zajęty wojną, jaką toczyliśmy w twej czaszce. On jednak cały czas robił postępy, psując mnie, kooptując me systemy, wykorzystując przeciw mnie moje własne środki obronne. Och, on jest bardzo zręczny, uwierz mi na słowo.

— Czym to się skończy?

— Przegram. Mogę być tego całkiem pewna — to pewność matematyczna, oparta na jego obecnej szybkości zyskiwania przewag. — Mademoiselle znów się uśmiechnęła, jak gdyby z przewrotnej dumy z tego analitycznego dystansu. Mogę powstrzymywać jego atak jeszcze przez kilka dni, a potem wszystko się skończy. Może nawet nastąpi to szybciej. Znacznie się osłabiłam, jedynie przez sam akt ukazania się ci teraz. Ale nie miałam wyboru. Musiałam poświęcić czas, by zreinstalować twoje przywileje obronne.

— Ale kiedy on wygra…

— Nie mam pojęcia. Przygotuj się jednak na wszystko.

Prawdopodobnie będzie raczej mniej czarujący, niż starałam się być ja. Mimo wszystko wiesz, co zrobił twojemu poprzednikowi. Doprowadził biednego człowieka do psychozy. — Mademoiselle odstąpiła, jakby partiami owijała się pyłem, schodziła ze sceny przez zasłony. — Wątpię, czy będziemy mieli przyjemność widzieć się znowu, Khouri. Czuję, że powinnam życzyć ci powodzenia. Ale właśnie w tej chwili mogę cię prosić tylko o jedną rzecz. Zrób to, po co tu przyleciałaś. — Cofnęła się dalej, jej kształt załamywał się, jakby była tylko węglowym szkicem kobiety, rozwiewanym przez wiatr. — Masz teraz do tego środki.

Mademoiselle zniknęła. Khouri czekała chwilę — nie tyle zbierając myśli, co skopując je w jakąś ogólnikowo spójną kupę, która, jak miała nadzieję, pozostanie stłamszona razem przez czas dłuższy niż kilka sekund. Potem wypowiedziała hasło i przywróciła łączność ze skafandrem. Broń — co zauważyła bez nawet cienia ulgi — nadal funkcjonowała, tak jak to obiecała Mademoiselle.

— Przepraszam, że przeszkadzam — wtrącił skafander. — Jednak jeśli zechcesz zreinstalować widzenie całowidmowe, zauważysz, że mamy towarzystwo.

— Towarzystwo?

— Właśnie zawiadomiłem inne skafandry. Ale ty znajdujesz się najbliżej.

— Jesteś pewien, że to nie Sajaki?

— To nie jest Triumwir Sajaki, nie. — Może to była wyobraźnia Khouri, ale skafander mówił opryskliwie, z urazą, że w ogóle wątpiła w jego osąd w tej sprawie. — Nawet gdyby skafander Triumwira złamał wszelkie granice bezpieczeństwa, nie pojawi się tutaj jeszcze przez najbliższe trzy minuty.

— Więc to musi być Sylveste.

Khouri przełączyła się już na rekomendowaną nakładkę zmysłową. Widziała zbliżającą się postać — czy, mówiąc ściślej, postacie, gdyż było ich dwie, z łatwością rozróżnialne. Za nimi dwa zajęte skafandry zbliżały się do nich tym samym niespiesznym krokiem, jakim odeszły.

— Sylveste, zakładam, że nas słyszysz — powiedziała Volyova. — Zatrzymaj się, tam gdzie jesteś. Zbliżamy się do ciebie z trzech stron.

Głos mężczyzny przerwał jej na kanale skafandrów.

— Założyłem, że zostawiliście nas tutaj na pastwę śmierci. To miło, że powiadomiliście mnie o waszym przybyciu.

— Nie mam zwyczaju łamać danego słowa — powiedziała Volyova. — Niewątpliwie teraz już o tym wiesz.

Khouri zaczęła przygotowywać się do zabójstwa — nie była nadal pewna, czy może całkowicie oddać się tej sprawie. Zawołała nakładkę celownikową, zawarła Sylveste'a w kwadracie, a potem wystawiła

jedną ze słabszych broni skafandra, wbudowany w hełm laser średniego zasięgu. Broń była drobna w porównaniu z innym uzbrojeniem skafandra, tak naprawdę służyła do przekonywania potencjalnych atakujących, by sobie poszli i wybrali inny cel. Jednak dla człowieka bez pancerza, w praktycznie zerowej odległości, wystarczyła z nadmiarem.

Wystarczy mgnienie oka i Sylveste umrze. Warunki Madęmoiselle zostaną ściśle wypełnione.

Sudjic poruszała się teraz szybciej, zbliżała do Volyovej prędzej niż Sylveste. I właśnie wtedy Khouri coś zobaczyła przy jej skafandrze. Coś wystawało na końcu jej szponiastej ręki, coś małego i metalicznego. Wyglądało to jak broń, lekki ręczny pistolet boserowy. Sudjic unosiła ramię z niespiesznym spokojem profesjonalisty. Przez chwilę Khouri odczuła wstrząsające uczucie przemieszczenia. Było to tak, jakby obserwowała siebie spoza ciała, obserwowała, jak podnosi broń, gotowa zabić Sylveste'a.

Ale coś się nie zgadzało.

Sudjic kierowała broń na Volyovą.

— Przyjmuję, że macie tutaj plan… — mówił Sylveste.

— Ilia! — krzyknęła Khouri. — Padnij, ona chce cię…!

Broń Sudjic okazała się potężniejsza, niż na to wyglądała. Nastąpił błysk poziomego światła — laser obejmujący dla promienia zwartej materii, przecinający pole widzenia Khouri i wbijający się w skafander Volyovej. Rozmaite sygnały ostrzegawcze dostały obłędu, donosząc o nadmiernym rozładowaniu energii w bezpośrednim sąsiedztwie. Skafander Khouri wskoczył automatycznie na wyższy czujniejszy stopień gotowości bojowej, wskaźniki na displeju zmieniły się, wskazując, że ich odnośne systemy broni nastawiono na odpalenie, bez jej świadomej zgody, jeśli skafander zostanie podobnie zagrożony.

Skafander Volyovej bardzo ucierpiał, znacząca powierzchnia klatki piersiowej zniknęła, odkrywając gęsto laminowane podskórne warstwy pancerza. Z dziury wylewało się okablowanie i przewody zasilające.

Sudjic znów wycelowała, strzeliła.

Tym razem uderzenie poszło głębiej, wcinając się w już otwartą ranę. Głos Volyovej rozlegał się w kanale, ale był słaby i odległy. Khouri odszyfrowała tylko rodzaj jęku, bardziej szoku niż bólu.

— To za Borysa — oznajmiła Sudjic, głosem nieprzyzwoicie czystym. — To za to, co mu zrobiłaś swymi eksperymentami. — Podniosła znowu broń równie spokojnie, jak artystka kładąca ostatnie krople farby na swym arcydziele. — A to za to, że go zabiłaś.

— Sudjic — odezwała się Khouri. — Przestań.

Skafander kobiety nie obrócił się, by na nią spojrzeć.

— Czemu mam przestać, Khouri? Czy nie wyjaśniłam jasno, że

mam do niej pretensję?

— Sajaki będzie tu za jakąś minutę.

— Przez ten czas zaaranżujemy to tak, że będzie wyglądało, że to Sylveste do niej strzelał. — Sudjic parsknęła szyderczo. — Gówno. Czy nie przyszło ci na myśl, że to przemyślałam? Nie miałam zamiaru dać się wypatroszyć, tylko po to, by zemścić się na starej jędzy. Nie jest warta takich kosztów.

— Nie mogę pozwolić, byś ją zabiła.

— Nie możesz pozwolić? Och, to zabawne, Khouri. Czym masz zamiar mnie zatrzymać? Nie przypominam sobie, by zreinstalowała twoje przywileje dostępu do broni, a w tej chwili wątpię bardzo, czy byłaby w stanie to zrobić.

Sudjic miała rację.

Teraz Volyova zwiotczała, jej skafander stracił integralność. Możliwe, że rana dosięgła już jej samej. Jeśli wydawała jakieś dźwięki, jej skafander był zbyt uszkodzony, by je wzmacniać.

Sudjic znowu uniosła boser, celując teraz niżej.

— Jeden strzał, by z tobą skończyć, Volyova, a potem umieszczę pistolet obok Sylveste'a. Oczywiście zaprzeczy wszystkiemu, jednak jako świadek pozostanie tylko Khouri, a nie sądzę, żeby kiwnęła palcem, by wesprzeć jego opowieść. Mam rację, prawda? Za chwilę wyświadczę ci przysługę. Zabiłab\ ś tę dziwkę, gdybyś miała środki.

— I tu właśnie się mylisz — oświadczyła Khouri. W dwóch sprawach.

— Co takiego?

— Nie zabiłabym jej, mimo wszystko to, co zrobiła. I mam środki. — W jednej chwili — nie zajęło to nawet ułamka sekundy — wycelowała laser. — Żegnaj Sudjic. Nie mogę powiedzieć, że było mi przyjemnie.

I wypaliła.

Kiedy przybył Sajaki, niewiele ponad minutę później, to, co zostało z Sudjic, nie było warte nawet pochówku.

Oczywiście jej skafander odpowiedział, włączając wyższy poziom reakcji skierowanymi piorunami plazmowymi, emitowanymi z projektorów, które wyskoczyły po obu stronach głowy. Skafander Khouri jednak spodziewał się czegoś takiego. Prócz zmiany wewnętrznego stanu swego pancerza, by jak najbardziej uniknąć plazmy (zmieniając teksturę i przepuszczając przez własną powłokę silne prądy odpychające plazmę), już odpowiadał ogniem na jeszcze wyższym poziomie agresji, odrzucając dziecięce bronie jak promienie plazmowe i cząsteczkowe na rzecz bardziej decydujących impulsów PL-PP i wypuszczając drobne nano-piguły ze swego zbiornika antylitu, każda piguła otoczona tarczą z ablacyjnej normalnej materii i przyśpieszona do znacznego ułamka szybkości światła.

Khouri nawet nie miała czasu westchnąć. Po otrzymaniu początkowego rozkazu strzelenia jej skafander sam wykonał resztę.

— Pojawiły się… kłopoty — oznajmiła, kiedy Triumwir opuścił się i wylądował.

— Co też opowiadasz? — odparł, oglądając rzeź: zranioną łupinę skafandra z Volyovą w środku; swobodnie rozrzucone i teraz radioaktywne szczątki tego, co kiedyś było Sudjic i — w samym środku — nieuszkodzonych w strzelaninie, lecz najwidoczniej zbyt oszołomionych, by coś mówić, Sylveste'a z żoną.

SIEDEMNAŚCIE

Punkt Spotkania, Resurgam, 2566

Sylveste odgrywał w głowie wielokrotnie scenę spotkania.

Starał się jak najlepiej rozważyć wszelkie możliwe ewentualności. Nawet te, które — gdy analizował sytuację — uważał za fantastyczne i nieprawdopodobne. Zupełnie nie brał jednak pod uwagę czegoś takiego i miał ku temu powody. Nawet gdy wydarzenia toczyły się wokół niego, nie mógł w ogóle zrozumieć, co się dzieje; nie mówiąc już o przyczynie tak zwariowanego rozwoju wydarzeń.

— Jeśli to cię pocieszy — oznajmił Sajaki, głosem zagłuszającym wiatr i wydobywającym się z głowy jego monstrualnego skafandra — również nie bardzo to rozumiem.

— Pocieszyłeś mnie, że aż strach — odparł Sylveste, na tej samej częstotliwości, którą wykorzystywał podczas negocjacji z załogą, mimo że jej reprezentanci — lub to co z nich pozostało — stali w zasięgu jego głosu. W nieustępującym wyciu burzy maczetowej krzyk właściwie nie wchodził w rachubę. — Możesz nazwać mnie naiwniakiem, ale teraz miałem nadzieję, że — jak zwykle sprawnie i bezlitośnie — weźmiesz sprawy w garść, Sajaki. Mogę tylko powiedzieć, że wygląda na to, że słabniesz.

— Nie podoba mi się to bardziej niż tobie — odparł Ultras. — Ale dla swego własnego dobra lepiej mi uwierz, że teraz trzymam sprawy mocno w garści. Za chwilę skupię uwagę na mojej rannej koleżance. Bardzo zalecam, byś oparł się pokusie zrobienia czegoś głupiego. Sądzę jednak, że coś takiego w ogóle nie przyszło ci do głowy, prawda, Dan?

— Przecież mnie znasz.

— Problem polega na tym, Dan, że znam cię nawet zbyt dobrze. Ale nie omawiajmy rzeczy przeszłych.

— Nie omawiajmy.

Sajaki przeszedł do rannej. Sylveste wiedział, że ma do czynienia z Trumwirem Yuujim Sajaki, jeszcze zanim ten się odezwał. Natychmiast, gdy jego skafander znalazł się w polu widzenia, wyłoniwszy się z burzy, osłona twarzy Sajakiego stała się przezroczysta, i aż nazbyt znajoma twarz patrzyła w skupieniu na wynik rzezi. Choć trudno to było z całą pewnością stwierdzić, na pierwszy rzut oka Sajaki niewiele się zmienił od ostatniego spotkania. Dla niego minęło tylko kilka lat subiektywnego czasu. Sylveste dla kontrastu wepchnął w tę przestrzeń ekwiwalent dwóch lub trzech

staromodnych ludzkich żywotów. Konsekwencje tego przyprawiały o zawrót głowy.

Sylveste nie mógł jednak ustalić tożsamości dwóch pozostałych załogantów. Był także trzeci, oczywiście… ale moment, w którym mógł mieć nadzieję, że kiedykolwiek nawiąże z nim znajomość, najwyraźniej nieodwołalnie minął. A jeśli chodzi o dwójkę, która nie była martwa w sposób oczywisty, jeden był chyba niebezpiecznie tego bliski — ten właśnie teraz odbierał badanie Sajakiego — a jeden stał z boku, w — jak można by to nazwać — przerażonym milczeniu. Dziwne, ten nieuszkodzony trzymał jakieś skafandrowe bronie wycelowane w Sylveste'a, mimo że on był nieuzbrojony i nie miał zamiaru — żadnego zamiaru — opierać się pochwyceniu.

— Będzie żyć — oznajmił Sajaki, po chwili, w której jego skafander chyba komunikował się ze skafandrem powalonego. — Ale musimy jak najszybciej dostarczyć ją na statek. Wtedy się zorientujemy, co tu się stało.

— To była Sudjic — Sylveste usłyszał nieznany mu żeński głos. — Sudjic próbowała zabić Ilię.

Więc ranną została sama dziwka — Triumwir Ilia Volyova.

— Sudjic? — spytał Sajaki. Przez chwilę słowo wisiało między nimi, jak gdyby Sajaki nie mógł — lub nie chciał — zaakceptować, co mówi ta druga, bezimienna kobieta. Ale potem, kiedy wiatr potargał nimi przez jeszcze kilka sekund, powtórzył to imię: — Sudjic. Tak, to się trzyma kupy.

— Myślę, że planowała…

— Opowiesz mi to później, Khouri — powiedział Sajaki. — Będzie mnóstwo czasu — i twoja rola w tym incydencie oczywiście musi być wyjaśniona w sposób całkowicie mnie satysfakcjonujący. Ale obecnie musimy załatwić priorytety. — Wskazał gestem głowy ranną Volyovą. — Jej skafander utrzyma ją przy życiu jeszcze przez kilka godzin, ale nie jest zdolny do osiągnięcia statku.

— Przyjmuję — rzekł Sylveste — że wymyśliliście sposób zabrania nas z planety?

— Dam ci dobrą radę — powiedział Sajaki. — Nie irytuj mnie za bardzo, Dan. Dostanie ciebie sprawiło mi sporo kłopotów. Ale nie wyobrażaj sobie, że zdobędę się na to, by cię zabić, chcąc po prostu, sprawdzić, jakie to uczucie.

Sylveste spodziewał się po Sajakim czegoś takiego — niepokoiłby się, gdyby mężczyzna mówił coś zupełnie innego i pomniejszał akt znalezienia go. Ale jeśli Sajaki wierzył choć w jedno swoje słowo — rzecz wątpliwa — to był głupcem. Przybył przynajmniej z układu Yellowstone, szukając Sylveste'a. Nie można ocenić ludzkich kosztów tego przedsięwzięcia, nie mówiąc już o zainwestowanych w nie latach.

— Wierzę ci — powiedział Sylveste, wstrzykując w swój głos całą

nieszczerość, na jaką mógł się zdobyć. — Ale jako naukowiec musisz szanować mą skłonność do eksperymentów, by badać granice twojej tolerancji. — Spod swojej przeciwwiatrowej peleryny wyrzucił ramię, trzymając coś mocno dwoma palcami urękawicznionej dłoni. Prawie oczekiwał, że osoba z pistoletami strzeli w tym momencie do niego, sądząc, że on wyjmuje broń. Uważał to za rozsądne ryzyko. Ale nie wyciągnął pistoletu. Trzymał niewielką drzazgę pamięci kwantowej.

— Widzisz to? — zapytał. — To właśnie kazałeś mi przynieść. Symulacja poziomu beta Calvina. Potrzebujesz jej, prawda? Bardzo jej potrzebujesz.

Sajaki patrzył na niego bez słowa.

— Cóż, pieprz się. — Sylveste miażdżył symulację, aż został z niej pył, rozwiewany przez burzę.

OSIEMNAŚCIE

Orbita Resurgamu, 2566

Wznieśli się z powierzchni Resurgamu i nad burzą pognali w czyste niebo. W końcu Sylveste zobaczył coś w górze — był to początkowo mały obiekt na orbicie planety, widoczny tylko dzięki temu, że od czasu do czasu zasłaniał pewne gwiazdy. Rozmiarami przypominał kawałek węgla, ale cały czas się powiększał, przybrał kształt stożka, najpierw całkowicie czarnego, na którym potem w słabym świetle planety ujawniły się lekko zarysowane szczegóły. Światłowiec rósł gwałtownie, przesłonił już pół nieba i nadal puchł. Statek niewiele się zmienił od czasu, gdy Sylveste podróżował ostatnio na jego pokładzie. Wiedział, że tego typu konstrukcje same się przeprojektowywały, jednak polegało to na drobnych modyfikacjach wnętrza, a nie na zasadniczych zmianach kształtu kadłuba — choć i te się również zdarzały co sto lub dwieście lat. Przez chwilę zwątpił, czy statek dysponuje odpowiednimi możliwościami, ale przypomniał sobie, jakich zniszczeń ten okręt dokonał w Phoenbc. Doprawdy, trudno o nich zapomnieć: na obliczu Resurgamu poniżej widział dowody ataku w postaci kwiatu lotosu ponurych ruin.

W ciemnym kadłubie statku otwarło się wyjście. Wydawało się za małe, by przecisnęła się przez nie choćby jedna osoba w skafandrze, ale gdy się zbliżyli, zobaczyli, że drzwi mają dziesiątki metrów szerokości i z łatwością wszystkich pomieszczą. We wnętrzu statku zniknęli Sylveste, jego żona i dwoje Ultrasów — jeden z nich podtrzymywał ranną Volyovą. Drzwi się za nimi zamknęły.

Sajaki zaprowadził ich do ładowni, gdzie zdjęli skafandry i mogli normalnie oddychać. Sylveste wyczuł w powietrzu charakterystyczny zapach, który przypomniał mu poprzednią wizytę na statku.

— Poczekajcie tu — powiedział Sajaki. Skafandry rozprostowały się i przesunęły pod ścianę. — Muszę pomóc koleżance.

Przyklęknął i zajął się rynsztunkiem Volyovej. Sylveste zastanawiał się, czy nie poradzić Sajakiemu, by nie podejmował zbytnich wysiłków dla ratowania Triumwir, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie drażnić Sajakiego, który i tak omal nie wybuchnął wściekłością, gdy Sylveste zmiażdżył symulację Cala.

— Co tam się stało?

— Nie wiem. — Typowa zagrywka. Sajaki, jak wszyscy przebiegli ludzie, których znał Sylveste, wolał nie udawać, że coś rozumie, jeśli nie istniało przekonujące wyjaśnienie. — Nie wiem i na razie — na

razie! — to nie ma znaczenia. — Przyjrzał się parametrom skafandra Volyovej. — Obrażenia są poważne, ale nie śmiertelne. Z czasem zostanie prawdopodobnie wyleczona. Mam teraz ciebie. Wszystko inne to drobnostka. — Przechylił głowę w stronę kobiety, która wychodziła ze skafandra. — Khouri, niepokoi mnie…

— Co takiego? — spytała.

— Nieważne. Na razie. — Spojrzał na Sylveste'a. — A jeśli chodzi o ten twój trik z symulacją… niech ci się nie wydaje, że zrobiło to na mnie wrażenie.

— Powinno. Jak mnie tera/ zmusisz, bym naprawił kapitana?

— Oczywiście z pomocą (alvina. Nie pamiętasz, że zachowałem kopię zapasową, gdy ostatnio Calvin był na pokładzie? Przyznaję, że jest nieco przestarzała, ale nie utraciła wiedzy medycznej.

To niezły blef i tyle, pomyślał Sylveste. Istniała pewnego rodzaju kopia zapasowa… w przeciwnym razie nigdy by nie zniszczył symulacji.

— Skoro o tym mówimy… czy kapitan tak źle się czuje, że nie może się ze mną zobaczyć osobiście?

— Zobaczysz go. Wszystko we właściwym czasie — odparł Sajaki.

Kobieta i Sajaki usuwali strupy ze zniszczonej powłoki skafandra Volyovej. Przypominało to obieranie kraba ze skorupy. Po chwili Sajaki powiedział coś cicho do kobiety — przerwali pracę, widocznie doszli do wniosku, że to zadanie zbyt delikatne, by je tu wykonywać. Do pomieszczenia wślizgnęły się trzy serwitory. Dwa z nich uniosły Volyovą i opuściły z nią pokój. Za nimi wyszli Sajaki i kobieta. Sylveste nie widział jej podczas swego ostatniego pobytu na pokładzie statku, widocznie jednak zajmowała tu dość wysoką pozycję. Trzeci serwitor przykucnął i obserwował Sylveste'a i Pascale jednym ponurym okiem swej kamery.

— Nawet mnie nie poprosił o zdjęcie maski i gogli — zauważył Sylveste. — Jakby go w ogóle nie obchodziło, że tu jestem.

Pascale skinęła głową. Przesunęła palcami po skafandrze, najwyraźniej przekonana, że żel-powietrze powinno zostawić na powierzchni lepkie ślady.

— To, co się stało na dole, musiało mu całkowicie pokrzyżować plany. Może odniósłby większy triumf, gdyby wszystko poszło zgodnie z jego planami.

— To niepodobne do Sajakiego, triumfowanie nie jest w jego stylu. Spodziewałem się jednak, że przynajmniej przez parę minut będzie się puszył.

— Zniszczyłeś symulację, więc…

— Tak, to musiało go zdezorientować. — Mówiąc to, był niemal pewien, że jego słowa są nagrywane. — Kopia Cala, którą wykonał, może nadal w pewnym stopniu funkcjonować, choć niewykluczone, że

została poddana procedurom samodestrukcji. Prawdopodobnie jednak ta funkcjonalność nie wystarczy do kanałowania między symulacją a odbiorcą, nawet gdyby byli idealnie kompatybilni neuronowe — Sylveste podsunął dwa pojemniki, nadające się, by na nich usiąść. — Jestem pewien, że już próbował zapuścić symulację na ciele jakiegoś nieszczęśnika.

— I musiał ponieść porażkę.

— Prawdopodobnie miała miejsce jatka. Teraz Sajaki ma nadzieję, że będę pracował z uszkodzoną kopią bez kanałowania, korzystając tylko ze swojej wiedzy na temat intuicji i metod działania Cala.

Pascale potaknęła. Miała dość oleju w głowie, by nie zadać oczywistego pytania: jaki plan przygotowałby Sajaki, gdyby jego kopia była zbyt uszkodzona?

— Czy orientujesz się, co się tam na dole stało? — spytała.

— Nie. I według mnie Sajaki mówił prawdę, gdy twierdził to samo. To, co się zdarzyło, nie było zaplanowane. Może zaloganci walczyli o władzę i walkę rozegrali na planecie, ponieważ ten, kto brał w niej udział, nie miał szans dostania się na pokład. — Częściowo sensowna hipoteza, tyle mógł wymyślić. Minęło zbyt wiele czasu, nawet w skali czasowej Sajakiego, by Sylveste ufał swej niezawodnej zwykle analizie sytuacji.

Musi rzeczywiście starannie wszystko rozegrać, dopóki nie zrozumie współzależności między załogantami. Zakładając oczywiście, że dadzą mu na to dość czasu…

Pascale uklękła przy mężu. Oboje zdjęli maski, ale tylko Pascale ściągnęła gogle przeciwpyłowe.

— Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie, prawda? Jeśli Sajaki dojdzie do wniosku, że mu się nie przydasz…

— To przekaże nas całych i zdrowych na powierzchnię — odparł Sylveste. Wziął Pascale za ręce. Wokół piętrzyły się stosy skafandrów i mieli wrażenie, jakby plądrowali grób staroegipski, a skafandry były mumiami. — Sajaki nie może wykluczyć, że w przyszłości znowu mu będę potrzebny.

— Mam nadzieję, że masz rację… bo podjąłeś spore ryzyko. — Spojrzała na niego wzrokiem, jakiego przedtem u niej nie widział. Spokojne, nieme ostrzeżenie. — Również jeśli chodzi o moje życie.

— Sajaki nie jest moim panem. Muszę mu o tym przypomnieć. Niech wie, że choć jest bardzo przebiegły, zawsze będę go wyprzedzał.

— Nie rozumiesz, że teraz jest twoim panem? Nie ma symulacji, ale ma ciebie. Sądzę, że nadal jest przed tobą.

Sylveste uśmiechnął się i udzielił odpowiedzi prawdziwej, a zarazem takiej, jakiej oczekiwał od niego Sajaki:

— Ale nie w takim stopniu, jak mu się wydaje.

Prawie po godzinie wrócili Sajaki i kobieta w towarzystwie wielkiego chimeryka. Sylveste go rozpoznał, choć nie bez trudności: był to Triumwir Hegazi, którego spotkał podczas swej poprzedniej podróży. Hegazi, niemal tak całkowicie scyborgizowany jak jego kapitan, zawsze należał do ekstremalnych egzemplarzy swego gatunku, ale od tamtego czasu Hegazi jeszcze bardziej ukrył swe człowieczeństwo za maszynowymi dodatkami, zamieniając rozmaite protezy na nowsze lub bardziej eleganckie, ponadto sprawił sobie świtę nowych entoptyków. Współgrały z ruchami ciała, tworząc kaskadę tęczowych fantomowych kończyn, które trwały w powietrzu przez sekundę, po czym zanikały. Sajaki nosił bezpretensjonalny strój statkowy, bez odznak szarż ani ozdób, podkreślający jego lekką figurę. Sylveste nie dał się jednak zwieść brakiem zwalistego ciała czy wyraźnych zbrojnych protez. Pod skórą Sajakiego bez wątpienia kłębiły się maszyny, dzięki którym potrafił osiągnąć nadludzką zwinność i siłę. Był przynajmniej równie niebezpieczny jak Hegazi, a na pewno znacznie szybszy.

— Nie mogę powiedzieć, że to wyłącznie przyjemność — zwrócił się Sylveste do Hegaziego. — Przyznaję jednak, Triumwirze, że z dreszczykiem zaskoczenia przekonałem się, że nie implodowałeś pod ciężarem własnych protez.

— Radzę ci uznać to za komplement — powiedział Sajaki do drugiego Triumwira. — Od Sylveste'a niczego więcej nie możesz oczekiwać.

Hegazi pogładził wąsy, które nadal nosił, choć całą jego czaszkę pokrywały protezy.

— Sajaki-san, zobaczymy, ile poczucia humoru okaże, gdy pokażemy mu kapitana. Uśmiech powinien wtedy zniknąć z jego twarzy.

— Z pewnością — odparł Sajaki. — A skoro mówimy o twarzach… Dan, odsłoń nam swoją. — Sajaki przesunął dłonią po kolbie pistoletu tkwiącego w kaburze na biodrze.

— Chętnie — odparł Sylveste. Zdjął gogle przeciwpyłowe i upuścił je na podłogę, obserwując ludzi, którzy go więzili — wyraz ich twarzy, a raczej to, co uchodziło za wyraz twarzy. Po raz pierwszy zobaczyli, co się stało z jego oczami. Może wcześniej o tym słyszeli, ale doznali szoku, widząc naprawdę, co zostało z dzieła Calvina. Jego obecne oczy nie były ulepszeniem oryginałów, ale brutalną namiastką, mającą w przybliżeniu spełniać funkcje ludzkiego oka. W starożytnych księgach medycznych opisywano bardziej wyrafinowane protezy… choćby drewniane nogi.

— Wiecie oczywiście, że straciłem wzrok? — Kierował na nich swe ślepe spojrzenie. — Na Resurgamie każdy to wie, nawet nie warto o tym wspominać.

— Jaką uzyskujesz rozdzielczość? — spytał Hegazi z autentycznym zainteresowaniem w głosie. — Wiem, że nie są najbardziej nowoczesne, ale chyba reagują na widmo elektromagnetyczne w zakresie od podczerwieni do ultrafioletu? Może nawet mają obrazowanie akustyczne? A zoom?

Sylveste długo i twardo patrzył na Hegaziego.

— Jedno musisz zrozumieć, Triumwirze — odparł po chwili. — Ledwo rozpoznaję swoją żonę, gdy jest odpowiednio oświetlona i nie stoi zbyt daleko ode mnie.

— Dobrze… — Hegazi zafascynowany przyglądał się Sylveste'owi.

Prowadzono ich w głąb w statku. Poprzednim razem, gdy tu przebywał, zabrano go od razu do centrum medycznego. W tamtych czasach kapitan mógł od biedy przejść parę kroków, ale Sylveste zorientował się, że teraz nigdzie nie chodzi. Nie oznaczało to, że kapitan przebywał daleko od centrum medycznego. Statek przypominał małe miasto o trudnej do zapamiętania topografii. Sylveste spędził tu kiedyś prawie miesiąc; teraz miał wrażenie, że przemieszcza się w rejonach statku — Sajaki nazwał je dzielnicami — których mu nigdy przedtem nie pokazano. O ile mógł się zorientować, winda oddalała się od wąskiego dziobu statku do miejsca, gdzie stożkowy kadłub osiągał największą szerokość.

— Nie przejmuję się drobnymi technicznymi defektami twoich oczu — stwierdził Sajaki. — Z łatwością potrafimy je zreperować.

— Nie mając sprawnej wersji Calvina? Wątpię.

— Więc możemy je usunąć i zastąpić lepszymi oczami.

— Nie radziłbym. Ponadto… i tak nie odzyskalibyście Calvina, więc co to wam da?

Sajaki mruknął coś pod nosem i winda powoli się zatrzymała.

— Więc nie wierzyłeś, że dysponujemy kopią zapasową? Oczywiście masz rację. Nasza kopia ma dziwne usterki. Stała się zupełnie bezużyteczna znacznie wcześniej, nim ją w ogóle o coś prosiliśmy.

— Dla ciebie to tylko program.

— Tak… może zresztą zabiję cię. — Płynnym ruchem wyciągnął pistolet z kabury. Sylveste zdążył zauważyć brązowego węża owiniętego wokół lufy. Nie było jasne, w jaki sposób broń zabijała — promieniem czy pociskami — ale Sylveste nie miał wątpliwości, że znajduje się w zasięgu jej rażenia.

— Nie zabijesz mnie teraz, bo przecież bardzo dużo czasu mnie szukałeś.

Sajaki zacisnął palce na spuście.

— Mam skłonności do działania pod wpływem kaprysu. Nie doceniasz tego, Dan. Mógłbym cię zabić z czystej kosmicznej

przewrotności.

— Wtedy musiałbyś znaleźć innego lekarza dla kapitana.

— A co bym tracił? — Światełko pod szczęką węża na lufie zmieniło się z zielonego na czerwone. Palec Sajakiego zbielał.

— Zaczekaj — powstrzymał go Sylveste. — Nie musisz mnie zabijać. Chyba nie sądzisz, że zniszczyłem jedyną istniejącą kopię Cala?

Sajaki przyjął to z wyraźną ulgą.

— Jest jeszcze jedna?

— Tak. — Sylveste skinął głową w stronę żony. — Pascale wie, gdzie ją znaleźć, prawda?

Kilka godzin później Cal powiedział:

— Synu, wiedziałem, że z ciebie zimny, wyrachowany drań.

Znajdowali się blisko kapitana. Przedtem Sajaki odsunął Pascale, ale teraz wróciła wraz z innymi załogantami, których znał Sylveste, oraz z postacią ducha, którego Dan miał nadzieję już nigdy więcej nie oglądać.

— Nieznośne, zdradzieckie… zero. — Postać mówiła dość spokojnie, jak aktor recytujący wiersz, by jedynie ocenić, ile trwają poszczególne frazy, nie zdradzając żadnych emocji. — Ty bezmyślny szczurze.

— Od zera do szczura — skomentował Sylveste. — To pod pewnym względem awans.

— Nie daj się zwieść, synu. — Calvin łypał na niego chytrze ze swego fotela. — Sądzisz, że jesteś niezwykle przebiegły, co? Teraz chwyciłem cię za jaja, o ile je w ogóle masz. Powiedzieli mi, co zrobiłeś. Jak mnie zabiłeś pod pretekstem, że chcesz zniweczyć ich plany. — Spojrzał w sufit. — Co za żałosne usprawiedliwienie ojcobójstwa! Sądziłem przynajmniej, że wyświadczysz mi przysługę i zabijesz z jakiegoś przyzwoitego powodu. Ale nie, to za wielka prośba. Omal gotów byłbym przyznać się do rozczarowania, ale to by oznaczało, że kiedykolwiek spodziewałem się po tobie więcej.

— Gdybym cię rzeczywiście zabił, nasza obecna rozmowa stworzyłaby pewne problemy ontologiczne — stwierdził Sylveste. — Ponadto zawsze wiedziałem, że istnieje inna kopia ciebie.

— Ale zamordowałeś jednego ze mnie!

— Wybacz, ale to błąd kategoryczny. Jesteś tylko softwarem. Proces kopiowania i usuwania to naturalny stan. — Sylveste przygotował się na kolejny protest ze strony Cala, ale ojciec na chwilę zamilkł. — Nie zrobiłem tego, by pokrzyżować plany Sajakiemu. Potrzebna mi jego… współpraca, w równym stopniu, jak on potrzebuje mnie.

— Moja współpraca? — Oczy Triumwira zwęziły się.

— Dojdziemy do tego. Mówię tylko, że gdy niszczyłem kopię,

wiedziałem, że istnieje inna i że szybko zmusisz mnie do tego, bym zdradził, co się z nią dzieje.

— A więc był to gest bezsensowny?

— Nie, wcale nie. Przez chwilę widziałem, jak wyobrażasz sobie, że twoje plany się walą, Yuuji-san, i to sprawiło mi przyjemność. Opłaciło się zerknąć do twej duszy. Choć nie był to przyjemny widok.

— Skąd wiedziałeś? — spytał Cal. — Skąd wiedziałeś, że zostałem skopiowany?

— Myślałam, że nie można go skopiować — rzekła kobieta, którą wcześniej przedstawiono Sylveste'owi jako Khouri. Była mała i ładniutka, ale prawdopodobnie nie można jej było ufać. — Myślałam, że mają bufory… zabezpieczenia przed kopiowaniem… takie tam gówienka.

— To dotyczy symulacji poziomu alfa, moja droga — odparł Calvin. — A tak się składa, że ja nią nie jestem. Jestem skromną betą. Potrafię przejść standardowe testy Turinga, ale z filozoficznego punktu widzenia nie mam w istocie świadomości. A zatem i duszy. Dlatego nie mam rozterek etycznych z tego powodu, że występuję w więcej niż jednym egzemplarzu. Z drugiej strony… — nabrał tchu, wypełniając ciszę, którą ktoś inny może pragnąłby zakłócić swymi myślami — … nie wierzę już w te neurokognitywne bzdury. Nie mogę mówić w imieniu swego poziomu alfa, gdyż alfa zniknęła jakieś dwa wieki temu, ale z jakiegoś powodu jestem teraz całkowicie świadomy. Może wszystkie bety są do tego zdolne albo może sama złożoność połączeń powoduje, że przekraczam poziom masy krytycznej. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że myślę, i dlatego jestem nadzwyczaj wściekły.

Sylveste już to przedtem słyszał.

— On jest symulacją poziomu beta, spełniającą kryteria Turinga. Z założenia mają mówić takie rzeczy. Jeśli nie twierdzą, że są świadome, automatycznie nie spełniają standardu Turinga. Ale to nie oznacza, że to, co on mówi… te dźwięki, które wydaje… dźwięki, które ta rzecz wydaje… mają jakiekolwiek znaczenie.

— To samo rozumowanie mógłbym przeprowadzić w stosunku do ciebie — rzekł Calvin. — A wnioski są następujące, drogi synu: ponieważ nie mogę spekulować na temat alfy, muszę założyć, że tylko ja pozostałem. Może trudno ci to zrozumieć, ale ponieważ jestem teraz czymś cennym i unikalnym, tym bardziej sprzeciwiam się, by sporządzano moją kopię. Każde kopiowanie powoduje, że to, czym jestem, staje się mniej wartościowe. Zostaję zredukowany do seryjnego towaru, przedmiotu, który się wytwarza, powiela, a potem wyrzuca, gdy akurat nie pasuje do czyjegoś kalekiego pojęcia użyteczności. — Przerwał na chwilę. — A więc… jakkolwiek nie twierdzę, że nie podejmę kroków, by zwiększyć prawdopodobieństwo swego przeżycia… to nie zgadzam się dobrowolnie na to, by

ktokolwiek mnie kopiował.

— Ale przecież zgodziłeś się. Pozwoliłeś Pascale, by skopiowała cię do „Zejścia w ciemność". — Pascale wykazała spryt! w tej sprawie. Przez całe lata Sylveste niczego nie podejrzewał. Dał jej dostęp do CaMna, by pomóc w tworzeniu biografii. Pozwoliła mu na powrót do jego obsesji, do Amarantinów,: do narzędzi badawczych i topniejącej sieci sympatyków. t — To był jego pomysł — oznajmiła Pascale. e — Tak, przyznaję. — Cal zaczerpnął tchu, robiąc zapas przed: kolejną wypowiedzią, mimo że symulacja Calvina „myślała") znacznie szybciej niż niewspomagany człowiek. — To były ‹ niebezpieczne czasy — oczywiście nie bardziej niż obecne, jak › oceniam na podstawie tego, co zobaczyłem po przebudzeniu 1 — a równocześnie ryzykowne. Wydawało się, że to rozważny i pomysł, że zrobię coś, by jakaś część mnie przetrwała zniszczenie oryginału. Jednak nie miałem na myśli kopii, raczej szkic, podobiznę, choćby nie całkowicie spełniającą Turingowskie kryteria.

— A dlaczego zmieniłeś zdanie? — spytał Sylveste.: — Pascale zaczęła umieszczać w biografii części mnie, przez i pewien czas… miesiące. Kodowanie było bardzo subtelne. Ale gdy skopiowała znaczną porcję oryginału, by części skopiowa: ne mogły brać udział w interakcji, one, a raczej ja stawałem się: coraz mniej oczarowany pomysłem popełnienia cybemetycz: nego samobójstwa tylko po to, by stanowić dowód. W zasadzie 1 czułem się bardziej ożywiony, byłem bardziej sobą niż kiedy5 kolwek przedtem. — Obdarzył słuchaczy uśmiechem. — Oczyr wiście szybko się zorientowałem, dlaczego tak się dzieje. Pas: cale skopiowała mnie do znacznie wydajniejszego komputera i — państwowego systemu w Cuvier, gdzie kompilowano „Zej‹ ście". System był podłączony do wielu archiwów i sieci; nigdy: nie dałeś mi takich możliwości, nawet w Mantell. Po raz pierw) szy miałem coś, co świadczyło o dbałości o mój wielki inte; lekt. — Wytrzymał ich spojrzenia przez chwilę, potem dodał cicho: — To oczywiście żart. ›: — Kopie biografii były powszechnie dostępne — wyjaśniła i Pascale. — Sajaki otrzymał jedną kopię, nie zdając sobie spraiwy, że zawiera ona wersję kopii Calvina. A ty jak się dowiei działeś, że ona tam jest? — Spojrzała na Sylveste'a. — Czy skoi piowany Cal ci o tym powiedział?

— Nie. Nie jestem pewien, czy chciałby to zrobić, nawet gdyby miał możliwość. Sam się tego domyśliłem. Biografia miała zbyt wielką objętość jak na ilość zawartych w niej danych symulacyjnych. Wiedziałem, że zrobiłaś to zmyślnie: zakodowałaś Cala w miejsce najmniej znaczących bitów w plikach. Ale Cal miał zbyt dużą objętość, by wszystko dało się upchnąć w ten sposób. „Zejście" było o piętnaście procent większe, niż powinno. Przez parę miesięcy sądziłem, że jest tam ukryty dodatkowy scenariusz, jakieś aspekty mojego życia, które

nie są dostatecznie udokumentowane, ale które mimo to postanowiłaś umieścić. Mógłby mieć do nich dostęp naprawdę uparty poszukiwacz. W końcu zrozumiałem, że ta pojemność wystarcza na kopię Cala. Oczywiście nigdy nie zyskałem całkowitej pewności. — Patrzył na rzutowany obraz. — Przypuszczam, że uważasz się za prawdziwego Cala, a to, co zniszczyłem, było tylko kopią.

Cal z przeczącym gestem uniósł rękę z podłokietnika.

— Nie, to byłaby zbyt uproszczona wersja. Przecież już raz byłem tamtą kopią. Ale wtedy tamta moja postać — i to, czym ta kopia była, aż ją zabiłeś — stanowiła zaledwie cień tego, czym jestem obecnie. Powiedzmy, że chodzi o epifanię, i przy tym zostańmy.

— Czyli… — Sylveste stukał palcem w wargę — w istocie nie zabiłem cię.

— Nie — odparł Cal ze sztuczną łagodnością — nie zabiłeś. Ale mogłeś, i tylko intencje się liczą. W takim wypadku, mój drogi, jesteś obmierzłym ojcobójcą, draniem.

— Wzruszające — stwierdził Hegazi. — Uwielbiam miłe spotkania rodzinne.

Przeszli do kapitana. Khouri była tu wcześniej, ale choć słabo znała to miejsce, czuła zdenerwowanie, świadoma, że znajduje się tam zakaźna materia, ledwo dająca się utrzymać w zimnie szczelnie otaczającym kapitana.

— Powinieniem wiedzieć, czego ode mnie chcecie — powiedział Sylveste.

— Nie jest to dla ciebie oczywiste? — odparł Sajaki. — Czy po to zadaliśmy sobie tyle trudu, by spytać cię o samopoczucie?

— Nie odkładałbym tego — powiedział Sylveste. — W przeszłości uważałem twoje zachowanie za niezbyt sensowne, więc dlaczego teraz miałoby się to zmienić? A ponadto nie oszukujmy się, że to, co tam się stało, to pozory.

— Do czego zmierzasz? — spytała Khouri.

— Och, nie mów mi, że jeszcze się nie domyśliłaś?

— Czego się miałam domyślić?

— Że w rzeczywistości to się nigdy nie stało. — Sylveste utkwił w niej swój ślepy wzrok. Miała wrażenie, że skanuje ją nierozumny układ automatycznego śledzenia, a nie ludzka świadomość. — Może zresztą nie. Może jeszcze się nie zorientowałaś. Kim ty w zasadzie jesteś?

— Później będziesz miał okazję zadać wszystkie pytania — powiedział Hegazi, zdenerwowany, gdyż podeszli na rzut kamieniem do kapitana.

— Nie, chcę wiedzieć — zaprotestowała Khouri. — Co znaczy: „to się nigdy nie stało”?

— Chodzi o zniszczenie osiedla przez Volyovą. — Sylveste mówił

powoli i cicho.

Khouri przeszła do przodu i zagrodziła wszystkim drogę.

— Lepiej, żebyś to wyjaśnił.

— Nie pali się — rzekł Sajaki, odsuwając ją na bok. — Możemy z tym poczekać, aż ty, Khouri, wyjaśnisz przekonująco swoją rolę w wydarzeniach. — Triumwir cały czas obserwował ją podejrzliwie, przekonany, że dwa wypadki śmiertelne to nie zbieg okoliczności. Volyovej nie było, Mademoiselle milczała i Khouri nie miał kto ochronić. To tylko kwestia czasu, jak Sajaki, opierając się na podejrzeniach, zrobi coś drastycznego.

— A po co z tym zwlekać? — rzeki Sylveste. — Powinniśmy mieć całkowitą jasność, co się tu dzieje. Sajaki, nie zszedłeś na Resurgam tylko po to, by zdobyć biografię, prawda? Jaki to miałoby sens? Nie wiedziałeś, że „Zejście" zawiera kopię Cala. Wziąłeś biografię, gdyż mogła się przydać w negocjacjach ze mną. Ale nie po to się tam udałeś. Chodziło o coś zupełnie innego.

— Zbierałem informacje — odparł Sajaki ostrożnie.

— Nie tylko. Miałeś zebrać informacje, ale również je tam umieścić.

— Na temat Phoenix? — spytała Khouri.

— Nie tylko na temat samego osiedla Phoenix. Ono nigdy nie istniało. — Sylveste zrobił pauzę. — To było widmo osadzone przez Sajakiego. Nie było go na starych mapach, które mieliśmy w Mantell, ale pojawiło się, gdy tylko zaktualizowaliśmy dane z kopii oryginalnych w Cuvier. Doszliśmy do wniosku, że to nowe osiedle, nieuwzględnione na dawnych mapach. Niemądre rozumowanie. Powinienem sie zorientować. Ale skąd mogliśmy przypuszczać, że kopie oryginalne zostały sfałszowane.

— Podwójne głupstwo — powiedział Sajaki. — Musieliście się zastanawiać, gdzie wtedy byłem.

— Gdybym tylko staranniej to zanalizował…

— Szkoda, że tego nie zrobiłeś — przerwał mu Sajaki. — Inaczej nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. Ale wtedy musielibyśmy wykombinować coś innego, by cię wydostać.

Sylveste skinął głową.

— Kolejnym logicznym krokiem z waszej strony byłoby wysadzenie innego znacznie większego fikcyjnego obiektu. Nie jestem jednak pewien, czy po raz drugi moglibyście wykorzystać ten sam trik. Mam brzydkie podejrzenie, że uderzylibyście w jakiś cel rzeczywisty.

Chłód miał w sobie coś stalowego — jakby tysiąc kawałków poszarpanego metalu szorowało po skórze, grożąc, że dotrze do kości. Gdy jednak znaleźli się w królestwie kapitana, zimna się nie zauważało, gdyż chłód, w którym zanurzono kapitana, był jeszcze większy.

— Jest chory — stwierdził Sajaki. — Odmiana Parchowej Zarazy. Na pewno wiesz o niej wszystko.

— Docierały do nas raporty z Yellowstone — odparł Sylveste. — Nie były zbyt szczegółowe. — Przez cały czas nie patrzył bezpośrednio na kapitana.

— Nie potrafiliśmy tego całkowicie powstrzymać — wyjaśnił Hegazi. — Ekstremalne zimno spowalnia proces, i tylko tyle. To, a raczaj on, rozprzestrzenia się powoli, wcielając w siebie całą materie statku.

— Zatem on nadal żyje, przynajmniej w sensie definicji biologicznych?

Sajaki skinął głową.

— Oczywiście, o żadnym organizmie nie można powiedzieć, że żyje w tych temperaturach. Jeśli jednak ogrzejemy nieco kapitana, jakaś jego część zacznie funkcjonować.

— To żadna pociecha.

— Sprowadziłem cię na pokład, byś go wyleczył, a nie wysłuchiwał słów pociechy.

Kapitan przypominał posąg owinięty sznurowatymi srebrnymi mackami, rozciągającymi się kilkadziesiąt metrów w każdym kierunku, pięknie połyskującymi złowieszczym chemicznym nalotem. Jednostka chłodnicza tkwiła spokojnie pośrodku tego zamarzłego wycieku i jakimś cudem — a może to była zasługa konstrukcji — w zasadzie funkcjonowała. Kiedyś symetryczna, teraz została wybrzuszona i zniekształcona przez powolne jak lodowiec, lecz nieustępliwe siły rozprzestrzeniania się kapitana. Większość wskaźników stanu zamarła, wszystkie entoptyki były nieaktywne; displeje, które nadal działały, przekazywały nieczytelny bełkot — bezsensowne hieroglify stetryczałej maszynerii. Khouri podejrzewała, że gdyby entoptyki nadal funkcjonowały, byłyby popsute, ukazywały zastępy serafinów lub zniekształconych cherubinów, ilustrując ostatnie stadium choroby kapitana.

— Nie potrzebujecie tu chirurga, potrzebny wam kapłan — stwierdził Sylveste.

— Calvin inaczej rozumował — powiedział Sajaki. — Wolałby się energicznie zabrać do pracy.

— Zatem kopia z Cuvier musiała mieć skłonność do samookłamywania się. Wasz kapitan nie jest chory. Nie jest nawet umarły, ponieważ z tego, co było kiedyś żywe, nie dość wiele pozostało.

— Mimo to pomożesz nam — oznajmił Sajaki. — Ilia cię wesprze, gdy… gdy tylko sama wydobrzeje. Sądzi, że stworzyła środek przeciwdziałający zarazie — retrowirusa. Twierdziła, że jest skuteczny na małych próbkach. Ale Ilia to specjalistka od broni. Zastosowanie

tego środka w wypadku kapitana to sprawa ściśle medyczna. Ale przynajmniej da ci narzędzie.

Sylveste uśmiechnął się do Sajakiego.

— Jestem pewien, że omówiliście już tę sprawę z Calvinem.

— Został poinformowany. Ma ochotę spróbować, sądzi nawet, że to może być skuteczne. Czy to cię zachęca?

— Chylę czoło przed mądrością Calvina — odparł Sylveste. — To on zna się na medycynie, nie ja. Zanim jednak podejmę zobowiązanie, ustalmy warunki.

— Nie ma żadnych warunków — stwierdził Sajaki. — A jeśli będziesz się opierał, znajdziemy sposób, żeby cię nakłonić za pośrednictwem Pascale.

— Prawdopodobnie pożałujecie tego.

Khouri dostała gęsiej skórki. Dziś już kilkanaście razy miała wrażenie, że dzieje się coś naprawdę złego. Poczuła, że inni też tak to odbierają, choć zupełnie tego po nich nie widać. Sylveste okazywał nadmierną pewność siebie. Właśnie. Nadmierną pewność jak na kogoś, kto został uprowadzony i wkrótce będzie poddany trudnej próbie. Zachowywał się tak, jakby za chwilę miał odsłonić zwycięskie karty.

— Naprawię tego waszego cholernego kapitana — powiedział. — Albo udowodnię, że to niemożliwe. Jedno z dwojga. W zamian musicie mi wyświadczyć małą przysługę.

— Wybacz — rzekł Hegazi — ale pertraktując z pozycji słabszego, nie prosi się o przysługi.

— A kto tu mówi o słabszej pozycji? — Sylveste znowu się uśmiechnął, tym razem z nieukrywanym okrucieństwem i radością, która wyglądała na niebezpieczna. — Przed opuszczeniem Mantell moi wrogowie wyświadczyli mi małą przysługę na pożegnanie. Nie czuli się specjalnie zobowiązani, ale to była drobnostka, która im pozwoliła zrobić wam na złość, co uznali za dość atrakcyjne. I tak mnie tracili, ale nie widzieli powodu, dlaczego wy mielibyście dostać to, po co przyszliście.

— Średnio mi się to podoba — stwierdził Hegazi.

— Wierz mi, za chwilę jeszcze mniej będzie ci się to podobać — oznajmił Sylveste. — Muszę teraz zadać pytanie, by wyjaśnić nasze stanowiska.

— Pytaj — odparł Sajaki.

— Czy wszyscy znacie pojęcie gorącego pyłu?

— Rozmawiasz z Ultrasami — rzekł Hegazi.

— Oczywiście. Chciałbym was tylko zapewnić, że nie ulegacie złudzeniu. Wiecie, że fragmenty gorącego pyłu można zamknąć w pojemniku mniejszym od główki szpilki? Jasne, że wiecie. — Sylveste stukał się palcem po policzku, improwizując jak doświadczony prawnik. — Słyszeliście o ostatniej wizycie Remillioda? O ostatnim

Światłowcu, który przed wami przyleciał pohandlować z układem Resurgamu?

— Słyszeliśmy.

— Remilliod sprzedał kolonii gorący pył. Niezbyt wielkie ilości. Tyle, by wystarczyło osadnikom, którzy wkrótce zamierzają rozpocząć poważne prace nad zmianą krajobrazu. Z tej ilości kilkanaście jednostek dostało się w ręce ludzi, którzy mnie uwięzili. Mam kontynuować czy domyślacie się dalszego ciągu?

— Obawiam się, że wiem, o co chodzi — odparł Sajaki. — Ale mów dalej.

— Jeden z pojemników jest zainstalowany w układzie wzrokowym, który Cal dla mnie skonstruował. Nie pobiera prądu i nawet gdybyście rozmontowali moje oczy, nie potrafilibyście stwierdzić, który element jest bombą. Ale nie radzę wam tego próbować, ponieważ majstrowanie przy moich oczach spowoduje detonację pojemniczka. Wybuchnie z siłą wystarczającą do zamiany kilometra dziobowej części waszego statku w bardzo kosztowną, choć bezużyteczną szklaną rzeźbę. Jeśli mnie zabijecie lub okaleczycie i funkcje mojego ciała spadną poniżej pewnego z góry założonego poziomu, urządzenie wybuchnie. Jasne?

— Jak kryształ.

— Dobrze. To samo was czeka, jeśli tylko spróbujecie skrzywdzić Pascale. Potrafię to uruchomić siłą woli, wydając serię komend neuronowych. Albo mogę się zabić. Wynik będzie taki sam. — Złożył dłonie, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, jak z posągu Buddy. — Co teraz powiecie na krótkie negocjacje?

Sajaki milczał. Wydawało się, że trwa to wieczność. Z pewnością rozważał wszystkie aspekty sytuacji. Wreszcie odezwał się bez porozumienia z Hegazim.

— Możemy wykazać… elastyczność.

— Świetnie. W takim razie uważnie posłuchajcie moich warunków.

— Palimy się do tego.

— Dziękuję za ironię — powiedział Sylveste. — Dość dobrze się orientuję, co potrafi ten statek. Podejrzewam, że wasza mała demonstracja ujawniała skromną część możliwości. Mam rację?

— Posiadamy… potencjał, ale musisz porozmawiać z Ilią. A co masz na myśli?

Sylveste uśmiechnął się.

— Najpierw musicie mnie gdzieś zawieźć.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Układ Delty Pawia, 2566

Wycofali się na mostek. Podczas swego poprzedniego pobytu na statku Sylveste spędził tu setki godzin, a jednak teraz pomieszczenie wywarło na nim wielkie wrażenie. Puste fotele wznosiły się amfiteatralnie aż pod sufit, jak w sali sądowej, gdzie za chwilę miał się zakończyć doniosły proces. W powietrzu wisiał wyrok — zaraz go ogłoszą. Sylveste zbadał stan swego ducha i nie znalazł tam wyrzutów sumienia, nie widział się więc na ławie oskarżonych. Odczuwał jednak ciężar, jaki może czuć przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości — ciężar zadania, które ma być wykonane publicznie z zachowaniem najwyższych standardów. Jeśli mu się nie uda, ucierpi nie tylko jego osobista godność. Długi, zawiły łańcuch wydarzeń zostanie rozerwany; a łańcuch ten sięgał daleko w przeszłość.

Rozejrzał się, zauważył holograficzną projekcję kuli w geometrycznym środku sali, ale oczy nie rozpoznawały obiektu przedstawianego przez hologram. Wychwycił jednak sporo dodatkowych wskazówek i stwierdził, że to Resurgam obrazowany w czasie rzeczywistym.

— Jesteśmy nadal na orbicie? — spytał Sylveste.

— Teraz, gdy cię dostaliśmy? — Sajaki pokręcił głową. — To byłoby bez sensu. Już nie mamy żadnego interesu na Resurgamie.

— Obawialiście się, że koloniści coś zmajstrują?

— Owszem, mogliby nam psuć szyki.

Zamilkli.

— Resurgam nigdy was nie interesował, prawda? — spytał Sylveste po chwili. — To z mojego powodu przebyliście taki szmat drogi. Co za upór, wręcz obsesja.

— Zajęło to nam tylko parę miesięcy. — Sajaki uśmiechnął się. — Oczywiście z naszej perspektywy. Nie pochlebiaj sobie, że gotów byłbym uganiać się za tobą przez całe lata.

— Z mojej perspektywy właśnie tyle to trwało.

— Twoja perspektywa się nie liczy.

— Twierdzisz, że twoja się liczy?

— Jest… dłuższa. To ma znaczenie. Odpowiadając na twoje poprzednie pytanie: opuściliśmy orbitę. Od kiedy znalazłeś się na statku, oddalamy się od płaszczyzny ekliptyki, wciąż przyśpieszając.

— Nie zdradziłem wam celu swojej podróży.

— Nie. Chcemy po prostu oddalić się od kolonii o jedną jednostkę

astronomiczną, potem ustawić stały ciąg i wtedy wszystko przemyśleć. — Sajaki pstryknął palcami i robotyczny fotel nachylił się ku niemu. Sajaki usiadł, poczekał, aż kwartet foteli podjedzie do Sylveste'a, Pascale, Hegaziego i do Khouri. — Spodziewamy się, że w tym czasie zajmiesz się kapitanem.

— Czy mówiłem, że tego nie zrobię?

— Nie — powiedział Hegazi. — Ale przedstawiłeś zaskakujące nas warunki.

— Nie możecie mieć do mnie pretensji o to, że w niesprzyjających okolicznościach usiłuję robić, co się da.

— Skądże, nie mamy żadnych pretensji — odparł Sajaki. — Ale bardzo by się przydało, gdybyś nieco jaśniej formułował żądania. To chyba rozsądna prośba z naszej strony?

Fotel Sylveste'a unosił się przy fotelu Pascale. Patrzyła teraz na niego bardziej zaintrygowana niż załoganci. Ale ona znacznie więcej wie, pomyślał. Wie prawie wszystko, przynajmniej tyle co on, choć z drugiej strony jego wiedza może stanowić nieistotną część prawdy.

— Czy z tej pozycji mogę wezwać mapę układu? — spytał Sylveste. — Wiem, że w zasadzie mogę, ale czy dacie mi pozwolenie i potrzebne instrukcje?

— Najnowsze mapy zostały zestawione, gdy zbliżaliśmy się do planety — wyjaśnił Hegazi. — Możesz je ściągnąć z pamięci statku i wywołać na displej.

— Pokaż mi, jak to zrobić. Przez pewien czas będę tu nie tylko pasażerem. Musicie się do tego przyzwyczaić.

Minutę szukał odpowiednich map, pół minuty zajęło ustawienie projekcji na kuli w formacie wygodnym dla Sylveste'a. Mapy przesłoniły glob Resurgamu. Obraz miał postać planetarium; orbity jedenastu głównych planet układu oraz niektórych drugorzędnych planet i komet przedstawiono eleganckimi barwnymi liniami, na których umieszczono punkty odpowiadające aktualnym względnym położeniom ciał niebieskich. Planety typu ziemskiego — w tym Resurgam — z powodu małej skali odwzorowania stłoczyły się w środku, a ich koncentryczne orbity tworzyły pas ciasnej bazgraniny wokół gwiazdy Delta Pawia. Po nich szły mniejsze obiekty, dalej gazowe giganty i komety, zajmujące środkowe rejony układu. Następnie dwa gazowe światy mniejsze od Jowisza, więc trudno je nazwać gazowymi gigantami; dalej planeta typu Plutona — w zasadzie pochwycone kometarne odpadki — i towarzyszące jej dwa księżyce. Pas Kuipera pierwotnej kometarnej materii był widoczny w podczerwieni jako dziwnie zniekształcona ławica, guzowatym końcem skierowana od gwiazdy. A potem przez dwadzieścia jednostek astronomicznych — ponad dziesięć lat świetlnych od gwiazdy — nie było zupełnie nic. W tym rejonie materia była luźno związana z

gwiazdą, odczuwała działanie jej pola grawitacyjnego, ale czas obiegu po orbitach trwał wiele wieków i ruch łatwo ulegał zakłóceniu pod wpływem innych ciał. Ochronna błona pola magnetycznego gwiazdy nie sięgała tak daleko i w tym rejonie obiekty były atakowane przez bezustanne szkwały galaktycznej magnetosfery, wielkiego wiatru, w którym zanurzone były pola magnetyczne wszystkich gwiazd, jak mniejsze wiry w wielkim cyklonie.

Jednak ten bezmierny obszar kosmosu nie był zupełnie pusty. Cały układ tylko z pozoru wydawał się pojedynczy, i tylko dlatego, że z powodu zastosowanej tu domyślnej bardzo małej skali nie ujawniała się jego podwójność. Bliźniak Delty leżał tam, gdzie wskazywało halo pasa Kuipera; jego własne oddziaływanie grawitacyjne zdeformowało sferyczne halo, tworząc wybrzuszenie, które zdradzało obecność drugiej gwiazdy. Sam obiekt byłby zupełnie niewidoczny gołym okiem, chyba że obserwator znalazłby się przy nim w odległości mniejszej niż milion kilometrów, ale wówczas oglądanie obiektu byłoby dla niego problemem drugorzędnym.

— Znacie ten efekt, choć może dotychczas nie zwracaliście na to specjalnej uwagi — powiedział Sylveste.

— To gwiazda neutronowa — zgadł Hegazi.

— Dobrze. Czy pamiętasz coś jeszcze?

— Tylko to, że ma towarzysza — rzeki Sajaki. — Oczywiście sam ten fakt to nic nadzwyczajnego.

— Istotnie. Gwiazdom neutronowym często towarzyszą planety. Sądzi się, że są skondensowanymi resztkami bliźniaczej gwiazdy, która wyparowała. Albo jakimś cudem planety uniknęły zniszczenia, gdy tworzył się pulsar po wybuchu cięższej gwiazdy, która stała się supernową. — Sylveste pokręcił głową. — Ale nie jest to coś wyjątkowego. Zapytacie więc, dlaczego mnie to interesuje.

— Właśnie, rozsądne pytanie — powiedział Hegazi.

— Ponieważ w tym jest coś dziwnego. — Sylveste powiększał obraz tak długo, aż planeta stała się wyraźnie widoczna. Pędziła wokół gwiazdy neutronowej po absurdalnie szybkiej orbicie.

— Ta planeta była niezwykle istotna dla Amarantinów. W artefaktach z ostatniej epoki pojawia się coraz częściej, w miarę jak zbliżamy się do Wydarzenia — gwiezdnej pożogi, która ich zmiotła.

Słuchali go bardzo uważnie. Poprzednio przemówił do ich instynktu samozachowawczego groźbą zniszczenia statku — teraz całkowicie zawładnął ich intelektem. Nie wątpił, że pójdzie mu łatwiej niż z kolonistami: załoga Sajakiego miała nad nimi przewagę kosmicznej perspektywy.

— A więc co to takiego? — spytał Sajaki.

— Nie wiem. Wy mi pomożecie rozwiązać zagadkę.

— Przypuszczasz, że coś jest na tej planecie? — spytał Hegazi.

— Na niej albo w niej. Przekonamy się dopiero wtedy, gdy podlecimy bliżej.

— To może być pułapka — rzekła Pascale. — Nie powinniśmy odrzucać takiej ewentualności, zwłaszcza jeśli Dan prawidłowo odtwarza sekwencję wydarzeń.

— Jaką sekwencję? — spytał Sajaki.

Sylveste ułożył palce w wieżyczkę.

— Przypuszczam… nie, to nie przypuszczenie, lecz wniosek… że Amarantinowie osiągnęli w swym rozwoju etap podróży kosmicznych.

— Z informacji zebranych przeze mnie na powierzchni wynika, że wykopaliska nie potwierdziły takiej hipotezy — oznajmił Sajaki.

— Przecież nie można na to liczyć. Artefakty kultury technicznej są ze swej natury mniej trwałe od obiektów prymitywnych. Ceramika przetrwa, natomiast układy elektroniczne rozsypią się w proch. Ponadto tylko społeczeństwo na poziomie technicznym porównywalnym z naszym mogło wybudować podziemne miasto. Potrafili to zrobić, czemuż więc wątpić, że byli zdolni do dotarcia na skraj własnego układu słonecznego, a może nawet w przestrzeń międzygwiezdną.

— Sądzisz, że Amarantinowie dotarli do innych układów?

— Nie wykluczam tego.

Sajaki uśmiechnął się.

— Więc gdzie teraz są? Mogę się zgodzić z tym, że jedna cywilizacja techniczna została zmieciona bez śladu, ale nie taka, która rozprzestrzeniła się na wiele światów. Coś by po nich zostało.

— Może i zostało.

— Chodzi o planetę wokół gwiazdy neutronowej? Uważasz, że tam znajdziesz odpowiedź na swoje pytania?

— Gdybym to wiedział, nie musiałbym tam lecieć. Proszę was tylko, byście mnie tam zabrali. — Sylveste oparł policzek na wieżyczce z palców. — Podrzucicie mnie w pobliże planety, a równocześnie zapewnicie mi bezpieczeństwo. Nawet jeśli to ma oznaczać oddanie mi do dyspozycji najokropniejszych środków, jakimi dysponuje wasz statek.

Hegazi patrzył zafascynowany i przestraszony.

— Sądzisz, że natkniemy się tam na coś, co będzie wymagało użycia broni?

— Środki ostrożności nie zaszkodzą.

Sajaki zwrócił się do kolegi z Triumwiratu. Przez chwilę Sylveste miał wrażenie, jak gdyby żaden z nich nie był obecny, gdy coś między nimi przeskakiwało, jakby na poziomie myślenia maszynowego. Wreszcie się odezwali, ale mogło to być powtórzenie ich niemej rozmowy na użytek Sylveste'a.

— Czy to, co powiedział na temat swego wzroku… czy to

możliwe? Na podstawie tego, co wiemy o poziomie technicznym na Resurgamie… czy potrafiliby zainstalować taki implant w tak krótkim czasie?

Hegazi nie śpieszył się z odpowiedzią.

— Sądzę, Yuuji-san, że powinniśmy poważnie wziąć to pod uwagę.

Większa część Volyovej obudziła się w apartamencie odnowy w sekcji szpitalnej. Volyova znakomicie wiedziała, że by — ła nieprzytomna dłużej niż kilka godzin. Wystarczyło, że zbadała stan swego umysłu — wrażenie, iż głęboko spała kilkaset lat — by wiedzieć, że jej obrażenia i rekonwalescencja to sprawy niebanalne. Czasami po krótkiej drzemce można się czuć tak, jakby się spało całe życie. To nie ten przypadek. Sny Volyovej były długie i nasycone wydarzeniami jak napuszone bajki z epoki przedtechnologicznej. Czuła, że przebrnęła przez pylistą, nieśmiertelną część swych peregrynacji.

Niewiele jednak z tego pamiętała. Owszem, była poprzednio na pokładzie statku, potem znalazła się poza nim, choć teraz nie wiedziała gdzie, i wtedy stało się coś strasznego. Pamiętała tylko hałas i przemoc. Ale co one znaczyły? I gdzie się to wszystko wydarzyło?

Jak przez mgłę, obawiając się, że to wycięty fragment snu, wspomniała Resurgam. Potem powoli zdarzenia powracały, ale nie falą, nie lawiną, lecz ściekały opieszale z wyprutych flaków przeszłości. Powrót chaotyczny, bez chronologicznego porządku. Volyova zaczęła jednak wprowadzać w tym jakiś ład i przypomniała sobie ultimatum przekazane jej własnym głosem z orbity na planetę. Potem czekała w burzy i najpierw czuła straszny żar, a następnie równie straszny chłód w brzuchu, i widziała stojącą nad sobą Sudjic, która zadawała jej ból.

Otwarły się drzwi, weszła Khouri. Sama.

— Obudziłaś się — powiedziała. — Tak właśnie myślałam. Poleciłam systemowi, by mnie zawiadomił, gdy twoja aktywność neuronowa przekroczy pewien poziom wskazujący na świadome myślenie. Cieszę się, Ilia, że znów z nami jesteś. Wprowadzimy tu trochę ładu.

— Jak długo… — Volyova połykała słowa, bełkotała. — Jak długo tu byłam? — spytała wreszcie. — I gdzie teraz jesteśmy?

— Dziesięć dni po ataku. Jesteśmy… później ci powiem. To długa historia. Jak się czujesz?

— Bywało gorzej — odparła Volyova i natychmiast sama się zdziwiła, dlaczego to powiedziała. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek czuła się równie podle. Ale przecież tak się właśnie mówiło w podobnych okolicznościach. — O jaki atak chodzi?

— Chyba niezbyt wiele pamiętasz?

— Khouri, to ja zadałam pytanie.

Podeszła do Volyovej, pokój wysunął solidne krzesło, by mogła wygodnie usiąść przy łóżku chorej.

— Sudjic usiłowała cię zabić, gdy byliśmy na Resurgamie — powiedziała. — Przecież pamiętasz?

— Niezupełnie.

— Zeszliśmy na planetę, by sprowadzić na statek Sylveste'a.

Volyova milczała przez chwilę. Nagle nazwisko mężczyzny metalicznie zadźwięczało jej w głowie, jakby na posadzkę upadł skalpel.

— Syh/este. Pamiętam, że już go mieliśmy ściągać na górę. Udało się? Czy Sajaki dostał to, co chciał?

— 1 tak, i nie — odparła Khouri po chwili zastanowienia.

— A Sudjic?

— Chciała cię zabić z zemsty za Nagornego.

— Niektórzy ludzie nie są zbyt sympatyczni.

— 1 tak by znalazła jakieś pretekst. Sądziła, że się do niej przyłączę.

— A ty?

— Zabiłam ją.

— Zatem pozwolę sobie wysunąć przypuszczenie, że uratowałaś mi życie. — Volyova po raz pierwszy uniosła głowę. Odnosiło się wrażenie, że jest przymocowana do łóżka elastycznymi linami. — Powinnaś z tym wreszcie skończyć, Khouri, bo wejdzie ci to w nawyk. Ale gdyby zdarzył się jeszcze jeden wypadek śmiertelny, musisz się spodziewać pytań ze strony Sajakiego. — Tylko tyle teraz powiedziała. Nie chciała ryzykować. Ostrzeżenie, jakie przekazała Khouri, mógł jej — jako nowicjuszce — przekazać każdy starszy członek załogi. Gdyby ktoś podsłuchiwał tę rozmowę, nie zorientowałby się, że Volyova wie o Khouri więcej niż inni Triumwirowie.

Jednak było to poważne ostrzeżenie. Najpierw zabójstwo podczas treningu, potem drugie na Resurgamie. Wprawdzie to nie Khouri je sprowokowała, ale przecież znajdowała się na miejscu wydarzeń, co z pewnością dało Sajakiemu do myślenia. Zadawanie pytań to najłagodniejszy środek z repertuaru Sajakiego. W śledztwie mógłby posunąć się do tortur, a może nawet do niebezpiecznego drążenia pamięci głębokiej. I gdyby podczas tego procesu nie spalił umysłu Khouri, mógłby odkryć, że dziewczyna jest infiltratorem umieszczonym na statku, by zawładnąć kazamatą. Jego następne pytanie z pewnością dotyczyłoby samej Volyovej. Czy wiedziała o tym wszystkim? A gdyby również w jej pamięci chciał poszperać…?

Nie musi do tego dojść, pomyślała.

Gdy tylko poczuje się lepiej, zabierze Khouri do komory pajęczej, gdzie porozmawiają swobodniej. Na razie nie warto było zajmować się

rzeczami, na które nie miała wpływu.

— Co się później stało? — spytała.

— Może nie uwierzysz, ale wszystko szło zgodnie z planem. Sylveste'a należało przyholować na statek. Sajaki i ja nie zostaliśmy ranni.

A więc Sylveste jest gdzieś na statku, pomyślała.

— Zatem Sajaki dostał to, o co mu chodziło.

— Nie — odparła Khouri ostrożnie. — Tak tylko sądził. Prawda jednak okazała się nieco inna.

Przez następną godzinę opowiadała Volyovej o tym, co zaszło na pokładzie od przybycia Sylveste'a. Były to informacje ogólnostatkowe. Sajaki z pewnością nie zakładał, że zostaną zatajone przed Volyovą. Ale Volyova musiała pamiętać, że Khouri przefiltrowała wszystko przez swą percepcję, która w pewnych sprawach mogła być zawodna. W statkowych gierkach kryły się niuanse niedostrzegalne dla Khouri. W istocie mogła je przeoczyć nawet osoba od lat przebywająca na statku. Jednak prawdopodobnie Khouri — może nawet nie zdając sobie z tego sprawy — przekazała sporo prawdy. Ale to, co Volyova usłyszała, nie brzmiało zbyt dobrze.

— Sądzisz, że kłamał? — spytała Khouri.

— Na temat gorącego pyłu? — Volyova wykonała gest w przybliżeniu oznaczający wzruszenie ramionami. — Niewykluczone. Przyznaję, że Remilliod mógł sprzedać kolonii gorący pył, widzieliśmy dowody. Ale niełatwo nim manipulować. I nie mieli za dużo czasu na zainstalowanie pyłu w oczach Sylveste'a, o ile założymy, że zabrali się do pracy po ataku na Phoenix. Z drugiej strony, uznając, że Sylveste kłamie, zbyt wiele ryzykujemy. Zdalne skanowanie, mające wykryć gorący pył, może zainicjować reakcję. Sajaki stoi przed dylematem. Nie może uznać, że słowa Sylveste'a są na pewno kłamstwem, gdyż w ten sposób ryzykuje wszystko. A tak przynajmniej marginalizuje mierzalne ryzyko.

— Nazywasz szantaż Sylveste'a „mierzalnym ryzykiem"?

Volyova cmoknęła, myśląc o jego żądaniach. W ciągu całego swego życia nigdy nie znalazła się w pobliżu czegoś tak obcego, co do tego stopnia wykraczało poza jej doświadczenie. Z pewnością można tam oczekiwać wielu rzeczy kształcących, wiedzy, którą warto wchłonąć. Sylveste nie musiał się przejmować, że to, co mówi, zostanie potraktowane jako szantaż…

— Nie powinien był nam podsuwać takiej kuszącej przynęty — powiedziała. — Wiesz, gdy tylko weszliśmy do tego układu, intrygowała mnie ta gwiazda neutronowa. W jej pobliżu odkryłam coś ciekawego — słabe źródło neutrin. Krążyło po orbicie wokół planety, która z kolei krąży wokół gwiazdy neutronowej.

— Co może wytwarzać neutrina?

— Wiele może być źródeł. Ale o takiej energii? Podejrzewam, że to jakaś maszyneria. Zaawansowana technicznie maszyneria.

— Zostawiona przez Amarantinów?

— To jedna z hipotez. — Volyova uśmiechnęła się z wysiłkiem. Tak właśnie myślała. Bez sensu było jednak otwarte formułowanie pragnień. — Może się dowiemy, gdy tam dotrzemy.

Neutrina to cząsteczki elementarne — leptony o połówkowym spinie. W zależności od reakcji jądrowych, w których powstały, neutrina występują w trzech postaciach, czyli barwach. Są to elektron, neutrino mionowe i neutrino tau. Ponieważ posiadają masę i poruszają się trochę wolniej od światła, lecąc, oscylują między poszczególnymi barwami. Gdy czujniki statku przechwyciły neutrina, była to mieszanka trzech barw, trudna do rozplatania. Gdy jednak odległość od gwiazdy neutronowej zmniejszała się — a więc zmniejszał się też czas, w którym neutrina mogłyby oscylować od stanu, w jakim zostały stworzone — w mieszaninie coraz bardziej dominował jeden typ neutrin. Widmo energii łatwiej było odczytać, a zależne od czasu zmiany mocy źródła łatwiej było obserwować i interpretować. Gdy odległość między statkiem a gwiazdą neutronową zmniejszyła się do około jednej piątej jednostki astronomicznej, do jakichś dwudziestu milionów kilometrów, Volyova coraz wyraźniej rozumiała, co wywołuje stały napływ cząsteczek, zdominowanych przez najcięższy typ neutrin — neutrina tau.

To, czego się dowiedziała, nadzwyczaj ją przestraszyło.

Postanowiła jednak poczekać, aż statek jeszcze trochę zbliży się do gwiazdy, i dopiero potem podzielić się swymi obawami z załogą. Przecież Sylveste nadal ich szachował, więc jej niepokoje nie odwiodłyby go raczej od jego własnych planów.

Khouri przyzwyczaiła się do umierania.

Jednym z małostkowych aspektów symulacji Volyovej było to, w jaki sposób docierały poza punkt, gdzie każdy rzeczywisty obserwator miał zostać uśmiercony, a przynajmniej poważnie ranny, tak że nie widział następnych wydarzeń, a już na pewno nie mógłby na nie wpływać.

Tak jak tym razem. Z Cerbera coś wystrzeliło — nieokreślona broń o nieskończonej sile rażenia — i z łatwością rozwaliło cały Światłowiec. Nic nie mogło przeżyć tego ataku, ale pozbawiona ciała świadomość Khouri nadal uparcie była obecna i obserwowała szczątki dryfujące leniwie w różowawej poświacie własnych zjonizowanych wnętrzności. Khouri podejrzewała, że to Volyova się w ten sposób naprzykrzała.

— Nigdy nie słyszałaś o konieczności podnoszenia morale? — spytała Khouri.

— Słyszałam — odpowiedziała Volyova. — Ale nie popieram.

Wolisz być zadowolona i martwa czy przerażona i żywa?

— Ale i tak umieram. Skąd twoje przekonanie, że gdy dotrzemy na miejsce, czekają nas kłopoty?

— Zakładam najgorsze, i tyle — odparła Volyova, przygnębiona.

Następnego dnia Volyova poczuła się na tyle silna, by porozmawiać z Sylveste'em i jego żoną. Siedziała na łóżku, gdy oboje przyszli do sekcji medycznej. Na kolanach trzymała kompnotes i przeglądała mnóstwo scenariuszy ataku, które zamierzała potem przetestować na Khouri. Pośpiesznie wyłączyła displej, choć nie przypuszczała, by tajemniczy kod symulacji cokolwiek znaczył dla Sylveste'a. Nawet jej samej własne bazgroły wydawały się niekiedy prywatnym językiem, opanowanym jedynie powierzchownie.

— Cieszę się, że wyzdrowiałaś — powiedział Sylveste, siadając obok niej. Przy nim usiadła Pascale.

— Zależy ci na moim zdrowiu czy też potrzebujesz mojej wiedzy?

— Oczywiście to drugie. Nie pałamy do siebie miłością, Ilia, więc po co udawać.

— Nawet o tym nie marzę. — Odłożyła kompnotes. — Rozmawiałyśmy z Khouri na twój temat. Doszłyśmy do wniosku, że lepiej rozstrzygnąć wątpliwości na twoją korzyść. Na razie przyjmij, że ja uznałam, że wszystko, co nam powiedziałeś, to całkowita prawda. — Przesunęła palcem po czole. — Oczywiście w przyszłości mogę zmienić zdanie.

— Uważam, że najkorzystniej jest przyjąć takie założenie — odparł Sylveste. — I zapewniam cię, jak uczony uczonego, że to wszystko prawda. Nie tylko to, co dotyczy moich oczu.

— Planeta?

— Cerber. Mam nadzieję, że zreferowano ci sprawę.

— Oczekujesz, że znajdziesz tam coś związanego z zagładą Amarantinów. Tyle się dowiedziałam.

— Wiesz o Amarantinach?

— Znam klasyczne teorie. — Wzięła kompnotes, szybko przejrzała schowek z dokumentami pobranymi z Cuvier. — Oczywiście, tylko mała część tego to twoja praca. Mam również biografię, a w niej sporo twoich hipotez.

— W ramach określonych przez sceptyków. — Sylveste spojrzał na Pascale: lekko obrócił głowę w jej stronę, gdyż jego oczy nie zdradzały, na co patrzy.

— Naturalnie. Widać w tym jednak podstawowe elementy twojego myślenia. Jeśli już je przyjmujemy… Wnoszę, że istotne znaczenie ma układ Cerber-Hades.

Sylveste skinął głową. Zrobiło na nim wrażenie to, że Volyova użyła właściwej nazwy układu podwójnego planeta-gwiazda neutronowa.

— Coś przyciągnęło tam Amarantinów, gdy ich dni dobiegały końca. Chciałbym wiedzieć, co to takiego.

— A jeśli to ma związek z Wydarzeniem? Nie boisz się tego?

— Owszem, boję. — Niezupełnie takiej odpowiedzi oczekiwała. — Ale znacznie bardziej bym się niepokoił, gdybyśmy to zupełnie zignorowali. Przecież nasze bezpieczeństwo też może być zagrożone. Gdy się czegoś dowiemy, mamy szansę uniknąć tego samego losu.

Volyova w zamyśleniu stukała się palcem po ustach.

— Amarantinowie mogli rozumować w ten sam sposób.

— Lepiej więc zająć się tą sprawą z pozycji siły. — Sylveste znów spojrzał na żonę. — Wybacz, ale to zrządzenie losu, że przybyliście na Resurgam. Cuvier nie miał możliwości sfinansowania wyprawy, nawet gdyby udało mi się przekonać kolonię, że to bardzo ważne przedsięwzięcie. Ale i wtedy nie mogliby wyekspediować statku z takimi środkami ofensywnymi.

— Naszą skromną demonstrację siły ognia raczej przeceniono.

— Być może, ale bez niej prawdopodobnie w ogóle by mnie nie uwolnili.

Volyova westchnęła.

— Niestety, też tak sądzę.

Prawie tydzień później, gdy statek zbliżył się do Cerbera-Hadesa na odległość dwunastu milionów kilometrów i zajął orbitę wokół gwiazdy neutronowej, Volyova zwołała na mostku spotkanie całej załogi i gości. Nadszedł czas, pomyślała, by oznajmić wszystkim, że jej najskrytsze obawy się potwierdziły. Jak odniesie sie do tego Sylveste? Dowie się, że zbliżają się do czegoś niebezpiecznego, ale równocześnie cała sprawa dotyczy przecież jego głębokich osobistych przeżyć. Volyova nie miała wprawy w analizie ludzkich charakterów, a Sylveste był istotą zbyt skomplikowaną, niepodatną na uproszczone oceny. Wiedziała jednak, że informacje będą dla niego bolesne.

— Coś znalazłam — powiedziała, gdy zaczęli jej uważnie słuchać. — Prawdę mówiąc, już dość dawno temu. Źródło neutrin w pobliżu Cerbera.

— Jak dawno temu? — spytał Sajaki.

— Przed przylotem w pobliże Resurgamu. Nic wielkiego, nie warto nawet było ci o tym wspominać, Triumwirze — dodała, gdy zauważyła, że Sajaki spochmurniał. — W tamtym czasie nie wiedzieliśmy nawet, czy udamy się w te rejony. Charakter tego źródła był wówczas niejasny.

— A teraz? — spytał Sylveste.

— Teraz obraz się wyklarował. Zbliżając się do źródła, obserwujemy, że emituje ono neutrina tau o określonym widmie energetycznym. Unikalnym, jeśli chodzi o urządzenia ludzkiej

techniki.

— A więc odkryłaś tam obiekt cywilizacji ludzkiej? — spytała Pascale.

— Tak sądzę.

— Silnik Hybrydowców — powiedział Hegazi. Volyova powoli skinęła głową.

— Tak — potwierdziła. — Tylko silniki Hybrydowców wytwarzają neutrina tau o takiej sygnaturze.

— Zatem jest tam inny statek? — spytała Pascale.

— Tak mi się od początku wydawało. — W głosie Volyovej wyczuwało się zakłopotanie. — I w gruncie rzeczy nie odbiegało to całkowicie od rzeczywistości. — Szeptem wydała komendę do bransolety. Centralna sfera ożyła wcześniej zaprogramowanymi procedurami, które Volyova zapuściła przed spotkaniem. — Ale z wnioskami musiałam poczekać, aż zbliżymy się do źródła.

Displej pokazywał Cerbera. Obiekt wielkości księżyca wyglądał mniej przyjaźnie od Resurgamu: monotonna szara sfera gęsto usiana kraterami. Ciemna. Delta Pawia znajdowała się w odległości godzin świetlnych, a pobliska gwiazda — Hades — prawie nie dawała światła. Zrodzona jako wściekle gorący obiekt w wybuchu supernowej, ta maleńka gwiazda neutronowa dawno wystygła do podczerwieni i gołym okiem widoczna była tylko wówczas, gdy jej pole grawitacyjne złapało światła gwiazd w tle w łuki soczewko w ania. Ale nawet gdyby Cerber kąpał się w światłości, nie widać było niczego, co mogłoby skusić Amarantinów. Jednak najlepsze skanery Volyovej potrafiły sfotografować powierzchnię z rozdzielczością jednego kilometra, więc na tym etapie obserwacji wielu hipotez nie można było wykluczyć. Ponadto Volyova dokładniej zbadała obiekt poruszający się po orbicie wokół Cerbera.

Teraz pokazała zbliżenie. Początkowo zobaczyli wydłużoną białawoszarą smugę na tle gwiazd, z jednej strony dotykającą Cerbera. Tak to wyglądało przedtem, nim statek wysunął wszystkie oczy dalekiego zasięgu.

Teraz smuga nabrała określonego kształtu, mniej więcej stożkowatego, jak szklana szczapa. Volyova otoczyła obiekt siatką współrzędnych, pozwalającą odczytać przybliżone wymiary. Obiekt miał kilka kilometrów długości. Trzy czy cztery.

— Przy tej dokładności widać, że emisja neutrin dzieli się na dwa osobne źródła — wyjaśniła Volyova. — Pokazała im szarozielone plamy, otaczające z obu stron podstawę stożka. Pojawiły się nowe szczegóły i teraz było widać, że plamy łączą z korpusem stożka eleganckie, odchylone do tyłu belki.

— To Światłowiec — stwierdził Hegazi. Nawet przy tak niewielkiej dokładności było to bezsporne. Patrzyli na inny statek

bardzo podobny do ich własnego. Dwa oddzielne źródła neutrin pochodziły z silników Hybrydowców zainstalowanych po obu stronach kadłuba.

— Silniki nie pracują — powiedział Volyova. — Ciągle jednak emitują stały strumień neutrin, nawet jeśli napęd statku nie daje ciągu.

— Potrafisz go zidentyfikować? — spytał Sajaki.

— Nie jest to konieczne — odezwał się Sylveste, zaskakując wszystkich spokojnym tonem. — Wiem, co to za statek.

Na displeju pojawiły się dalsze szczegóły; obraz się powiększał, statek zajmował teraz całą sferę. Ujawniło się to, co poprzednio mogło nie być oczywiste: statek był uszkodzony, zniszczony od wewnątrz, z wielkimi, owalnymi wgnieceniami; całe akry kadłuba zostały rozprute, ukazując skomplikowane warstwy struktury wewnętrznej, które nigdy nie powinny być odsłonięte w próżni kosmicznej.

— Co to? — spytał Sajaki.

— To wrak „Lorean” — rzekł Sylveste.

DWADZIEŚCIA

Zbliżanie się do Cerbera-Hadesa, 2566

Calvin objawił się w sekcji medycznej Światłowca, niezdarnie upozowany w wielkim fotelu z hełmem.

— Gdzie jesteśmy? — spytał. Zaczął trzeć kącik oka, jakby się obudził po głębokim, przyjemnym śnie. — Nadal krążymy wokół tego zadupia?

— Opuściliśmy Resurgam — powiedziała Pascale. — Siedziała obok Sylveste'a, który prawie leżał na kanapie operacyjnej, w pełni ubrany i świadomy. — Znajdujemy się na obrzeżach heliosfery Delty Pawia, w pobliżu układu Cerber-Hades. Znaleźli „Lorean".

— Chyba źle usłyszałem?

— Nie. Dobrze słyszałeś. Volyova nam pokazała. To na pewno ten statek.

Calvin zmarszczył czoło. Podobnie jak Pascale i Sylveste był pewien, że „Lorean" nie ma już w pobliżu układu Resurgamu. Od dawna, gdy we wczesnych latach historii kolonii Alicja wraz z buntownikami ukradła statek, by wrócić na Yellowstone.

— Jakim cudem to może być „Lorean"?

— Nie wiemy — odparł Sylveste. — Powiedzieliśmy ci wszystko. My też poruszamy się w ciemności. — Zwykle w takim momencie rozmowy dołączał uszczypliwą uwagę w stosunku do Calvina, ale teraz coś go zmusiło do powściągliwości.

— Jest cały?

— Został zaatakowany.

— Ktoś przeżył?

— Wątpię. Statek jest poważnie uszkodzony. Atak musiał nastąpić nagle. W przeciwnym wypadku próbowaliby uciec.

Calvin milczał przez chwilę.

— Zatem Alicja prawdopodobnie zginęła — powiedział wreszcie. — Współczuję ci.

— Nie wiemy, co to było ani jak przebiegał atak — stwierdził Sylveste. — Ale wkrótce się chyba dowiemy.

— Volyova wystrzeliła sondę — poinformowała Pascale. — Robota, który potrafi szybko dotrzeć do „Lorean". Powinien już powrócić. Sonda miała wejść do statku i poszukać wszelkich elektronicznych zapisów, które się zachowały.

— A potem?

— Dowiemy się, co ich zabiło.

— Ale to przecież nie wystarczy. Bez względu na to, czego dowiecie się o „Lorean", to was nie zawróci z drogi. Dan, zbyt dobrze cię znam.

— Tak ci się tylko wydaje — odparł Sylveste.

Pascale wstała, pokasłując.

— Zostawmy to na później, dobrze? Jeśli nie zaczniecie współpracować, Sajaki nie będzie miał z was pożytku.

— Bez względu na to, co Sajaki o mnie myśli, i tak musi robić, co mu każę — oznajmił Sylveste.

— Ma powody.

Pascale poleciła, by pokój uformował biurko z kontrolkami i wskaźnikami w stylu resurgamskim. Wysunęła krzesło i usiadła pod wygiętym panelem z kości słoniowej. Wezwała plan połączeń danych w pomieszczeniu i zaczęła tworzyć niezbędne linki między modułem Calvina a systemem medycznym sali. Pascale kreśliła rękami wpowietrzu linie jak osoba bawiąca się w przeplatankę. Gdy połączenia zostały ustanowione, Calvin je potwierdził. Potem instruował Pascale, że należy zwiększyć bądź zmniejszyć przepustowość pewnych ścieżek albo dołączyć dodatkowe powiązania. Wszystko trwało zaledwie parę minut; po zakończeniu procedury Calvin mógł sterować serwomechanizmami sprzętu medycznego — ramiona ze stopu opuszczały się z sufitu jak odnóża meduzy.

— Nie macie pojęcia, co czuję — powiedział Calvin. — Po raz pierwszy od wielu lat mam okazję działać w fizycznym świecie. Od czasu, gdy naprawiałem ci oczy.

Gdy to mówił, wieloczłonowe ramiona wykonywały srebrny taniec; noże, lasery, kleszcze, manipulatory molekularne i sensory kosiły powietrze wściekłymi błyskami.

— Imponujące — rzekł Sylveste, czując na twarzy powiew. — Tylko ostrożnie!

— Mógłbym w jeden dzień przebudować twoje oczy — oznajmił Calvin. — Byłyby lepsze. Wyglądałyby ludzko. Do diabła! Mając do dyspozycji tutejszy sprzęt, mógłbym z łatwością implantować ci oczy biologiczne.

— Nie chcę, byś je przebudował — odparł Sylveste. — Obecnie to jedyna rzecz, jaką mam na Sajakiego. Zreperuj tylko to, co zmajstrował Falkender.

— A, właśnie, zapomniałem. — Calvin, w zasadzie tkwiąc nieruchomo, uniósł brwi. — Jesteś pewien, że to rozsądne?

— Uważaj tylko, w którym miejscu grzebiesz.

Alicja Keller była ostatnią żoną Sylveste'a, przed Pascale. Pobrali się na Yellowstone, gdy przez wiele lat przygotowywano z najdrobniejszymi szczegółami wyprawę na Resurgam. Byli razem przy zakładaniu Cuvier i w zgodzie pracowali w pierwszym okresie

wykopalisk. Alicja była zbyt inteligentna, by dobrze się czuć w orbicie Sylveste'a. Myślała niezależnie i gdy ich pobyt na Resurgamie wchodził w trzecią dekadę, zaczęła się od męża odsuwać; w sferze osobistej i zawodowej. Nie ona jedna uważała, że już dostatecznie poznano Amarantinów i że wyprawa, która z założenia nie miała budować stałej kolonii, powinna wracać do Epsilon Eridani. Przecież jeśli przez trzydzieści lat nie odkryto rewelacji, to nic nie zapowiadało, że w ciągu następnych trzech dekad albo następnego wieku pojawi się zasadniczy przełom. Alicja i jej zwolennicy uważali, że Amarantinowie nie zasługują na dalsze szczegółowe badania, a Wydarzenie było tylko nieszczęśliwym wypadkiem, pozbawionym istotnego znaczenia w skali kosmicznej. Te argumenty miały sporo sensu. Przecież Amarantinowie to nie jedyny wymarły gatunek znany ludzkości. W rozszerzającej się sferze ludzkich eksploracji czekały na odkrycie inne kultury oraz ich archeologiczne skarby. Najtęższe umysły kolonii powinny wracać na Yellowstone i wybrać sobie nowy cel badań.

Grupa Sylveste'a zupełnie się z tym nie zgadzała. Tymczasem Alicja i Sylveste odsunęli się od siebie, ale nawet w kulminacyjnym okresie wzajemnej wrogości zachowali chłodny szacunek dla swych talentów. Miłość zwiędła — racjonalny podziw pozostał.

Potem wybuchł bunt. Stronnicy Alicji zrobili to, czym zawsze grozili: porzucili Resurgam. Nie zdołali przekonać do odjazdu reszty kolonistów; ukradli parkujący na orbicie „Lorean". Bunt był w zasadzie bezkrwawy, ale zdradzieckie porwanie statku wyrządziło kolonii wielką szkodę. W „Lorean" znajdowały się wszystkie wewnątrzukładowe statki i promy, więc koloniści zostali unieruchomieni na Resurgamie. Nie mieli środków do naprawy i modernizacji sieci satelitów, aż do przybycia Remillioda kilkadziesiąt lat później. Serwitory, techniki reprodukcyjne, implanty — po odlocie Alicji to wszystko należało do dóbr rzadkich i cennych.

W istocie jednak stronnicy Sylveste'a mieli szczęście.

— Zapis w dzienniku pokładowym — mówił bezcielesny duch Alicji, unosząc się na mostku. — Dwadzieścia dni od Resurgamu. Nie mając przekonujących kontrargumentów, postanowiliśmy, że opuszczając układ, zbliżymy się do gwiazdy neutronowej. Pozycja jest korzystna. Nie zboczymy zbytnio z drogi do Eridani, a opóźnienie podróży będzie małe w porównaniu z latami świetlnymi, które i tak nas czekają.

Zmieniła się; Sylveste pamiętał ją jako inną osobę. Upłynęło przecież sporo czasu. Nie była mu nienawistna — po prostu zbłądziła. Miała na sobie ciemnozielone ubranie w stylu, jakiego na Cuvier nie widziano od czasów buntu, a jej przestarzała fryzura przypominała teatralną perukę.

— Dan zawsze przekonywał, że jest tu coś ważnego, choć stale brakowało dowodów.

To go zdziwiło. Alicja zarejestrowała swą wypowiedź na długo przed odkryciem obelisku, na którego powierzchni wyryto zagadkowe planetarne wzory. Czy już wtedy jego obsesja ujawniała się z taką siłą? Możliwe. Gdy teraz to sobie uświadomił, poczuł się nieswojo. Alicja miała rację: dowodów brakowało.

— Widzieliśmy coś dziwnego — mówiła Alicja. — Uderzenie komety w Cerbera, planetę okrążającą gwiazdę neutronową. Takie uderzenia występują niezwykle rzadko w rejonach tak oddalonych od pasa Kuipera. Oczywiście zainteresowało nas to. Gdy podlecieliśmy bliżej i mogliśmy zbadać powierzchnie Cerbera, nie znaleźliśmy śladów nowego krateru uderzeniowego.

Sylveste poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

— 1 co? — spytał cicho, jakby to nie obraz wydobyty z banku danych wraku, lecz rzeczywista Alicja znajdowała się przed nim na mostku.

— Nie mogliśmy tego zignorować — rzekła. — Nawet gdyby miało to wesprzeć teorię Dana, że z układem Hades-Cerber związane jest jakieś dziwne zjawisko. Zmieniliśmy kurs, by podlecieć bliżej. — Zamilkła na chwilę. — Jeśli znajdziemy coś znaczącego, coś, czego nie zdołamy wyjaśnić, musimy zawiadomić Cuvier, nie mamy innego etycznego wyboru. Inaczej nie moglibyśmy uważać się za uczciwych naukowców. Jutro dowiemy się więcej. Podlecimy na taką odległość do planety, że będziemy mogli wysłać sondę.

— Ile trwa ten zapis? — spytał Sylveste Volyovą. — Jak długo jeszcze Alicja wypełniała dziennik pokładowy?

— Mniej więcej jeden dzień — odparła Volyova.

Znajdowały się teraz w komorze pajęczej; tu nikt ich nie mógł szpiegować, tak przynajmniej sądziła Volyova. Nie przesłuchały całego nagrania Alicji, gdyż przesiewanie informacji mówionej zajmowało dużo czasu i emocjonalnie wyczerpywało. Jednak zrozumieli, co się wydarzyło, i nie dodało im to ducha. W pobliżu Cerbera załoga Alicji została nagle i zdecydowanie zaatakowana. Wkrótce na „Nieskończoności” dowiedzą się znacznie więcej o niebezpieczeństwie, ku któremu gnali.

— Wiesz, że w razie trudności musisz chyba wejść do centrali? — powiedziała Volyova.

— To nie najlepsze rozwiązanie — odparła Khouri. — Obie wiemy, że w centrali zaszły niepokojące zdarzenia — dodała, usprawiedliwiając się.

— Zgadza się. Właśnie… gdy wracałam do zdrowia, doszłam do wniosku, że wiesz więcej, niż przyznajesz. — Volyova odchyliła się w brązowym miękkim fotelu, bawiąc się mosiężnymi kontrolkami. —

Uważam, że powiedziałaś prawdę, że jesteś infiltratorem. Ale reszta to kłamstwo — chciałaś tylko zaspokoić moją ciekawość i zapobiec mojej rozmowie na twój temat z pozostałymi Triumwirami. I to się udało. Ale wielu spraw nie wyjaśniłaś zadowalająco. Na przykład, dlaczego popsuta broń kazamatowa wycelowała w Resurgam?

— Bo byl to najbliższy cel.

— Wybacz, ale to za proste. Chodziło o coś na Resurgamie, prawda? Poza tym przeniknęłaś do tego statku dopiero wówczas, gdy dowiedziałaś się, dokąd zmierza… właśnie, miejsce na uboczu nadawałoby się do przejęcia kazamaty… ale to i tak nie było zbyt prawdopodobne. Jesteś zaradna, Khouri, ale nigdy by ci się nie udało odebrać sterowania kazamatą żadnemu z Triumwirów. — Podparła podbródek dłonią. — Zatem nasuwa się oczywiste pytanie: jeśli twoja opowieść była nieprawdziwa, to co w zasadzie robisz na tym statku? — Spojrzała wyczekująco na Khouri. — Lepiej powiedz mi wszystko teraz, bo przysięgam, następnym przesłuchującym będzie Sajaki. Na pewno zauważyłaś, że już coś podejrzewa, zwłaszcza po śmierci Kjarval i Sudjic.

— Nie miałam nic wspólnego z… — Głos Khouri stracił na pewności. — Sudjic pałała do ciebie żądzą zemsty. Ja z tym nie miałam nic wspólnego.

— Ale ja wcześniej zablokowałam broń twojego skafandra. Tylko ja mogłam to odwołać, ale wtedy byłam zbyt zajęta własną obroną. Jak ci się udało obejść blokadę i zabić Sudjic?

— Ktoś inny to zrobił — odparła Khouri. — Raczej „coś innego” — dodała po chwili. — To coś podczas treningu włamało się do skafandra Kjarval i kazało zaatakować mnie.

— To nie Kjarval cię zaatakowała?

— Nie… w zasadzie to nie ona. Nie należałam do jej ulubienic, ale jestem pewna, że nie zamierzała mnie zabić w komorze treningowej.

Brzmiało to wiarygodnie, choć nie wszystko było jasne.

— Więc co się dokładnie stało?

— Ta rzecz wewnątrz mojego skafandra musiała tak wszystko zorganizować, żebym znalazła się w zespole, który wyruszył po Sylveste’a. Należało więc usunąć Kjarval, to była jedyna opcja.

Tak, to niemal logiczne, stwierdziła w duchu Volyova. Nigdy nie kwestionowała okoliczności śmierci Kjarval. Łatwo było przewidzieć, że ktoś z członków załogi zaatakuje Khouri. Kjarval lub Sudjic. Potem jedna z nich i tak by się zbuntowała przeciw Volyovej. Oba ataki już miały miejsce, ale teraz Volyova postrzegała je jako cześć większej całości, jako przejaw zjawiska, którego nie rozumiała; na fali wydarzeń widziała tylko niewielkie zakłócenia, jak wtedy, gdy na powierzchni morza są widoczne drobne zmarszczki, gdy tuż pod wodą

płynie rekin.

— A dlaczego tak ważne było to, byś brała udział w przechwyceniu Sylveste'a?

— Ja… — Khouri już miała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. — Ilia, to nie jest chyba najlepsza pora na tę rozmowę, gdy jesteśmy tak blisko wyjaśnienia, co zniszczyło „Lorean".

— Nie sprowadziłam cię tu dla podziwiania widoków. Pamiętasz, co ci mówiłam o Sajakim? Wybieraj: albo powiesz to mnie, jedynej tu osobie, którą możesz uważać za sprzymierzeńca, nawet przyjaciela, albo potem porozmawia z tobą Sajaki, używając metod hardware'owych, jakich sobie nawet nie wyobrażasz. — Nie przesadzała. Stosowane przez Sajakiego techniki sondowania nie należały do najsubtelniejszych.

— Zacznę więc od początku — powiedziała Khouri. Argumenty Volyovej podziałały. Dobrze. W przeciwnym wypadku musiałaby stosować własne metody przymusu. — Mówiłam prawdę, że byłam żołnierzem. Na Yellowstone dostałam się w sposób… nieco skomplikowany. Nawet teraz nie mam pewności, co z tego było przypadkiem, a co jej umyślną robotą. Wiem tylko, że dość wcześnie ona wyłuskała mnie do tej misji.

— Kto to jest „ona"?

— W zasadzie nie wiem. Ma wielką władzę w Chasm City, może nawet na całej planecie. Przedstawia się jako „Mademoiselle". Nigdy nie użyła prawdziwego imienia.

— Opisz ją. Może ją znam, może w przeszłości mieliśmy z nią do czynienia.

— Wątpię. Nie należy… do was. Może kiedyś, ale nie teraz. Odniosłam wrażenie, że od dawna jest w Chasm City. Ale do władzy doszła dopiero po Parchowej Zarazie.

— Ma takie wpływy, a ja o niej nie słyszałam?

— Na tym polegają. Są nieostentacyjne, a ona nie musiała się ujawniać, by wykonywano jej polecenia. Działo się to, co chciała. Nie była nawet bogata, ale dzięki sprytowi kontrolowała na planecie więcej dóbr niż jakakolwiek inna osoba. Nie mogła sobie jednak pozwolić na statek, dlatego potrzebowała was.

Volyova skinęła głową.

— Powiedziałaś, że mogła być jedną z nas. Co miałaś na myśli?

— Nie było to oczywiste… ale człowiek, który dla niej pracował… nazywa się Manoukhian… z pewnością był kiedyś Ultrasem. Podał mi pewne szczegóły, z których wynika, że znalazł ją w kosmosie.

— Znalazł… wyratował?

— Takie odniosłam wrażenie. Miała u siebie kostropate rzeźby… początkowo sądziłam, że to właśnie rzeźby. Potem wyglądały mi na fragmenty zniszczonego statku. Jakby zgromadziła je wokół siebie na

pamiątkę.

Wspomnienia Volyovej zareagowały, ale na razie utrzymywała ten proces poniżej progu świadomości.

— Dobrze się jej przyjrzałaś?

— Nie. Widziałam tylko projekcję, która nie musiała być dokładna. Mademoiselle żyje w palankinie, jak inni hermetycy.

Volyova wiedziała co nieco o hermetykach.

— Nie oznacza to, że nim jest. Palankin mógł wyłącznie maskować postać. Gdybyśmy tylko wiedziały, skąd pochodzi… Czy ten Manoukhian coś ci jeszcze mówił?

— Nie. Chciał, ale nie udało mu się powiedzieć nic konkretnego.

Volyova nachyliła się bliżej Khouri.

— Skąd wiesz, że chciał ci coś więcej powiedzieć?

— To jego styl. Usta mu się nie zamykały. Gdy mnie eskortował, bez przerwy opowiadał o swoich czynach, o słynnych ludziach, których znał. Nie mówił tylko o sprawach dotyczących Mademoiselle. Może dlatego, że dla niej pracował. Ale chciał mi coś przekazać, aż język go swędział.

Volyova bębniła palcami po konsoli.

— Może znalazł jakiś sposób.

— Nie rozumiem.

— Nie spodziewam się tego. Nie powiedział niczego otwarcie, ale sądzę, że znalazł sposób, by wyjawić prawdę. — Proces pamięciowy, który przed chwilą stłumiła, coś jednak wyłowił. Volyova przypomniała sobie, jak rekrutowała Khouri, jak ją przebadała na statku. — Oczywiście nie jestem jeszcze pewna…

Khouri spojrzała na nią.

— Coś we mnie znalazłaś? Coś, co Manoukhian implantował?

— Tak. Początkowo wydawało mi się, że to rzecz zupełnie niewinna. Na szczęście mam szczególną wadę, powszechną wśród ludzi zajmujących się nauką: nigdy niczego nie wyrzucam. — To prawda. Wyrzucenie tego, co znalazła, wymagałoby więcej wysiłku niż schowanie tego gdzieś w laboratorium. Wtedy ta rzecz wydawała się jej mało istotna… jakiś odłamek… ale teraz Volyova mogła przeprowadzić analizę metalowego okrucha, który wyciągnęła z głowy Khouri. — Jeśli mam rację i jest to robota Manoukhiana, dowiemy się czegoś o Mademoiselle. Może nawet tego, kim jest. Musisz mi jednak powiedzieć, czego od ciebie chciała. Wiemy, że chodzi o Sylveste'a.

Khouri skinęła głową.

— Owszem. Obawiam się, że nie będziesz tym zachwycona.

— Z naszej obecnej orbity zbadaliśmy dokładniej powierzchnię Cerbera — mówiła projekcja Alicji. — Nie mamy dowodów na to, że nastąpiło uderzenie komety. Widać dużo kraterów, ale żadnych nowych. To bardzo dziwne. — Alicja wnioskowała, że kometa została

zniszczona, nim osiągnęła powierzchnię planety. To wymagało założenia, że zastosowano jakieś techniki obronne, ale przynajmniej nie przeczyło zasadzie, że cechy powierzchni planety się nie zmieniają. — Nie widzieliśmy jednak żadnych broni ani urządzeń technicznych na planecie. Postanowiliśmy wysłać eskadrę sond. Potrafią znaleźć to, co mogło ujść naszym badaniom: ukryte w jaskiniach lub w kanionach maszyny, których z naszego punktu obserwacyjnego nie mogliśmy dostrzec. I mogą sprowokować odpowiedź, jeśli na planecie są jakieś systemy zautomatyzowane.

Właśnie, pomyślał cierpko Sylveste. Sprowokowały odpowiedź, jakiej Alicja z pewnością nie przewidziała.

Volyova odsłuchała kolejny fragment raportu Alicji. Wypuszczono sondy — automatyczne statki delikatne jak ważki. Opadły na powierzchnię pozbawionego atmosfery Cerbera; nic więc nie przeszkadzało w ich locie, ale w ostatniej fazie opadanie spowolniły szybkie wybuchy płomieni silników jądrowych. Z punktu obserwacyjnego „Lorean" wyglądały jak iskierki na tle jednolicie szarej powierzchni Cerbera. Gdy te iskierki przygasły, stanowiły jednak przypomnienie, że nawet ten mały, martwy świat jest o cały rząd wielkości większy od wszystkiego, co człowiek stworzył.

— Zapis w dzienniku — powiedziała Alicja po przerwie. — Właśnie w tym momencie sondy przekazują niezwykłe informacje. — Spojrzała w bok, na displej znajdujący się poza zasięgiem projekcji. — Aktywność sejsmiczna na powierzchni. Spodziewaliśmy się takie ruchy zaobserwować, ale dotychczas skorupa w ogóle się nie poruszała, choć orbita planety nie jest zupełnie kołowa i powinny występować naprężenia pływowe. Czyżby sondy to wywołały? Ale to dziwaczne wyjaśnienie.

— Nie bardziej niż to, że planeta usuwa ze swej powierzchni wszystkie ślady po uderzeniu komety — zauważyła Pascale. Spojrzała na Sylveste'a. — Oczywiście nie powiedziałam tego, żeby krytykować rozumowanie Alicji.

— Może i nie — odparł. — Ale to istotna uwaga. — Zwrócił się do Volyovej: — Odnaleźliście jeszcze coś oprócz dziennika Alicji? Powinny być jakieś telemetryczne dane z sond.

— Są — oznajmiła Volyova ostrożnie. — Jeszcze ich nie oczyściłam. To ciągle surowy materiał.

— Podłącz mnie.

Volyova szepnęła kilka komend do bransolety, którą zawsze miała na ręce, i mostek zapłonął, po czym zniknął, a ogień zaporowy synestetyków zaatakował zmysły Sylveste'a, który pogrążył się w dane z sond Alicji — w sensorium zwiadowcy nieobrobione, jak uprzedzała Volyova. Sylveste wiedział jednak, czego mniej więcej oczekiwać, i przejście, wprawdzie nieprzyjemne, nie było męczarnią, choć mogło

być.

Unosił się nad krajobrazem. Nie potrafił ocenić wysokości, gdyż fraktalowy obraz powierzchni — kratery, rozpadliny, rzeki zastygłej lawy — wyglądałby tak samo z każdej odległości. Ale zwiadowca poinformował, że Sylveste widzi powierzchnię Cerbera z wysokości pół kilometra. Obserwował równinę, wypatrując śladów aktywności sejsmicznej, o której wspomniała Alicja. Cerber wyglądał na planetę nieskończenie starą i niezmienną, jakby przez miliardy lat nic się z nią nie działo. I tylko strumienie z dysz silników jądrowych, rzucające promieniste cienie za krążącą maszyną, stanowiły jedyne źródło ruchu.

Co zobaczyły drony? W paśmie widzialnym z pewnością nic. Przeciskając się po omacku w sensorium — przypominało to wsuwanie dłoni do cudzej rękawiczki — Sylveste znalazł polecenia neuronowe, udostępniające różne kanały danych. Przerzucił się na sensory cieplne, ale w rozkładzie temperatury równiny nie ujawniały się żadne odchylenia. W całym spektrum elektromagnetycznym nie zauważył anomalii. Strumienie neutrin i cząstek egzotycznych wykazywały stabilność zgodną z oczekiwaniami. Gdy jednak przełączył się na obrazowanie grawitacyjne, zrozumiał, że z Cerberem dzieje się coś złego. Na pole widzenia Sylveste'a nakładały się barwne, półprzeźroczyste linie sił pola grawitacyjnego — przemieszczały się.

Pod powierzchnią planety wędrowały olbrzymie obiekty, tak olbrzymie, że mogły je zarejestrować czujniki masy. Zbiegały się manewrem oskrzydlającym w miejscu bezpośrednio pod punktem obserwacyjnym Sylveste'a. Przez chwilę sądził, że to może wielkie, podskórne potoki lawy, ale ta pocieszająca złudna hipoteza przetrwała najwyżej sekundę.

To nie było zjawisko naturalne.

Na równinie pojawiły się koncentryczne, linie, tworzące gwiaździstą mandalę. Na obrzeżach pola percepcji dostrzegał niewyraźne, podobne, gwiaździste kształty, rysujące się pod innymi sondami. Rysy powiększały się, rozwierały w monstrualne czarne szczeliny. Przez nie Sylveste mógł zajrzeć w głębokie na kilometry jasne otchłanie. Zwinięte mechaniczne kształty skręcały się, wysuwały szaroniebieskie macki szersze niż kaniony. Ruch odbywał się w sposób zgrany, energiczny, celowy, mechaniczny. Sylveste poczuł dziwną odrazę, jakby, nadgryzając jabłko, natknął się zębami na kolonię pracowitych robaków. Teraz wiedział: Cerber nie był planetą.

Byl mechanizmem.

Nagle zawęźlony obiekt wystrzelił przez gwiaździsty otwór w równinie i pomknął w górę do Sylveste'a, jakby chciał go pochwycić. Nastąpiła chwila strasznej bladości — bladości w każdym sensie — i przekaz sensoryczny skończył się gwałtownie, a Sylveste niemal

wrzeszczał w egzystencjalnym przerażeniu, gdy poczucie tożsamości wtłoczyło się do jego ciała.

Pozbierał się i zdążył zobaczyć Alicię mówiącą coś bezdźwięcznie; twarz miała w masce strachu, ale mogło to być przerażenie z powodu wiedzy — którą posiadła na moment przed śmiercią — że całkowicie się myliła.

Potem jej obraz rozmył się w szumie elektrostatycznym.

— Teraz przynajmniej wiemy, że jest szalony — oświadczyła Khouri parę godzin później. — Jeśli to go nie przekona, że należy zrezygnować z drogi na Cerbera, to nie wiem, co mogłoby go przekonać.

— Równie dobrze skutek może być odwrotny. — Volyova mówiła cicho, choć komora pajęcza zapewniała względne bezpieczeństwo. — Przedtem tylko przypuszczał, a teraz wie na pewno, że jest tam coś wartego zbadania.

— Maszyneria obcych?

— Najwyraźniej. A my się jedynie domyślamy, jaki jest jej cel. Cerber nie jest rzeczywistą planetą. Co najwyżej jest to rzeczywista planeta otoczona skorupą z maszyn, sztuczną osłoną. To wyjaśnia, dlaczego Alicja nie znalazła krateru po uderzeniu komety: osłona sama się zreperowała, nim statek podleciał bliżej.

— To jakiś kamuflaż?

— Tak się wydaje.

— Po co jednak zwracać na siebie uwagę, atakując sondy?

Volyova najwyraźniej już to zagadnienie przemyślała.

— Cała iluzja zawodzi prawdopodobnie w odległości mniejszej niż kilometr. Według mnie sondy właśnie miały poznać prawdę i w tym momencie zostały zniszczone. Planeta niczego nie traciła, zyskiwała natomiast nieco dodatkowych surowców.

— Po co to wszystko? Po co otaczać planetę sztuczną skorupą?

— Nie mam pojęcia i myślę, że Sylveste również tego nie wie. Dlatego jeszcze usilniej będzie nalegał, by tam lecieć. — Volyova ściszyła głos. — Już mnie nawet prosił o opracowanie strategii.

— Strategii czego?

— Dostarczenia go do środka Cerbera. — Zamilkła na chwilę. — Wie oczywiście o istnieniu broni kazamatowej. Uważa, że wystarczy ona, by naruszyć maszynową skorupę w jednym miejscu planety. Oczywiście potrzebne będzie nie tylko to… — Volyova obniżyła jeszcze nieco ton głosu. — Czy sądzisz, że ta twoja Mademoiselle od początku wiedziała, że on będzie do tego zmierzał?

— Była pewna, że w ogóle nie pozwolicie mu wejść na statek.

— Mademoiselle powiedziała ci to, zanim się do nas zaciągnęłaś?

— Nie, potem. — Khouri poinformowała Volyovą o implancie, który miała w głowie, o tym, jak Mademoiselle załadowała się

częściowo do jej czaszki, by osiągnąć cel misji. — Była nieznośna, ale uodporniła mnie na twoją terapię lojalności i za to chyba powinnam być jej wdzięczna.

— Terapie okazały się skuteczne — rzekła Volyova.

— Nie, ja tylko udawałam. Mademoiselle poinstruowała mnie, co i kiedy mam mówić. Dość dobrze się spisała, w przeciwnym wypadku nie odbywałybyśmy tej rozmowy.

— Nie może jednak wykluczyć, że terapie częściowo były skuteczne.

Khouri wzruszyła ramionami.

— Czy to ma znaczenie? Jaka lojalność się teraz liczy? Dałaś mi do zrozumienia, że czekasz tylko, aż Sajaki zrobi fałszywy krok. Jedyne spoiwo tej załogi to strach przed groźbą Sylveste'a, że nas wszystkich zabije, jeśli nie spełnimy jego żądań. Sajaki to megaloman; może powinien dokładnie, wielokrotnie sprawdzić skuteczność terapii lojalności, jakie wdrożył u ciebie.

— Przecież powstrzymałaś Sudjic, gdy próbowała mnie zabić.

— Owszem. Ale gdyby mi powiedziała, że chce dopaść Sajakiego, albo nawet tego kutasa Hegaziego, nie wiem, jak bym zareagowała.

Volyova przez chwile konsultowała się ze sobą.

— W porządku — powiedziała wreszcie. — Sądzę, że lojalność to kwestia sporna. Co jeszcze ten implant zrobił?

— Gdy podłączyłaś mnie do centrali uzbrojenia, Mademoiselle skorzystała z interfejsu, by do centrali wmontować siebie albo swoją kopię. Wydaje mi się, że zamierzała przejąć kontrolę nad jak największą częścią statku, a centralę potraktowała tylko jako drogę wejścia.

— Architektura systemu nie pozwoliłaby jej na dostanie się poza ten rejon.

— Skutecznie. O ile wiem, Mademoiselle nigdy nie przejęła kontroli nad żadną częścią statku poza uzbrojeniem.

— Masz na myśli kazamatę?

— Ilia, ona sterowała zbuntowaną bronią. Wtedy nie mogłam ci o tym powiedzieć, ale wiedziałam, co się dzieje. Chciała jej użyć, z dalekiego zasięgu zabić Sylveste'a, jeszcze przed naszym przybyciem na Resurgam.

— To jest bardzo pokrętne — stwierdziła Volyova z rezygnacją. — Ale doprawdy, żeby użyć takiej broni tylko po to, by zabić Sylveste'a? Musisz mi powiedzieć, dlaczego tak jej na tym zależało.

— Nie będziesz tym zachwycona. Zwłaszcza teraz, gdy wiemy, co Sylveste chce zrobić.

— No, mów.

— Dobrze, dobrze. Ale jest jeszcze jedna rzecz, jeden

skomplikowany czynnik — rzekła Khouri. — Zwie się Złodziejem Słońca i chyba już się z nim zetknęłaś.

Volyova wyglądała tak, jakby jej niedawno zaleczona wewnętrzna rana ponownie się otworzyła, jakby pękł bolący szew.

— Znów to określenie! — powiedziała w końcu.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Zbliżanie się do układu Cerber-Hades, 2566

Sylveste zawsze się spodziewał, że do tego dojdzie. Dotychczas jednak udawało mu się izolować ten fakt od swych myśli — wiedział, że to istnieje, ale nie koncentrował uwagi na tym, co to zawierało; podobnie matematyk chwilowo odkłada na bok niepewną cześć dowodu, dopóki nie sprawdzi dokładnie pozostałych punktów twierdzenia i nie przekona się, że nie tylko nie ma w nich wyraźnych sprzeczności, lecz również nie wchodzi w grę nawet najmniejsza pomyłka.

Sajaki nalegał, żeby tylko oni dwaj pojechali na poziom Kapitana, nie dopuszczając ani Pascale, ani reszty załogi. Sylveste nie protestował, choć wolałby mieć żonę przy sobie. Od przybycia na „Nieskończoność" po raz pierwszy znalazł się sam na sam z Sajakim. Gdy zjeżdżali windą, Sylveste szukał w myślach tematu rozmowy, aby tylko nie mówić o czekającej ich ohydzie.

— Ilia twierdzi, że jej maszyny na „Lorean" potrzebują jeszcze trzech do czterech dni — powiedział Sajaki. — Chcesz, by te prace nadal trwały?

— Nie zmieniłem zdania — odparł Sylveste.

— Nie mam więc innego wyboru, jak spełnić twoje życzenia. Rozważyłem wszystkie za i przeciw i postanowiłem uwierzyć twoim groźbom.

— Sądzisz, że sam wszystkiego nie przemyślałem? Zbyt dobrze cię znam, Sajaki. Gdybyś mi nie wierzył, zmusiłbyś mnie, bym jeszcze na Resurgamie udzielił pomocy kapitanowi, a potem po cichu byś się mnie pozbył.

— Nieprawda, nieprawda. — W głosie Sajakiego pobrzmiewało rozbawienie. — Nie doceniasz mojej czystej ciekawości. Pobłażałem ci aż do tego stopnia, by zobaczyć, jaka część twojej opowieści jest prawdziwa.

Sylveste przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym uszom, ale równocześnie nie widział sensu dyskusji.

— Widziałeś przecież nagranie Alicji! W co z tego nie wierzysz?

— Ale to mogło być sfabrykowane. Statek mogła uszkodzić jej własna załoga. Nie uwierzę całkowicie, dopóki coś nie wyskoczy z Cerbera i nie zacznie nas atakować.

— Podejrzewam, że twoje życzenia się spełnią — odparł Sylveste. — Za cztery, pięć dni. Chyba że Cerber jest rzeczywiście

martwy.

Potem do końca drogi milczeli.

Sylveste oglądał już kapitana w czasie swego obecnego pobytu na statku. Ciągle jednak ten widok go szokował. Co prawda teraz po raz pierwszy patrzył na kapitana wyremontowanymi przez Calvina oczami, ale nie tylko o to chodziło. Kapitan zmienił się od ostatniej wizyty Sylveste'a, i to wyraźnie; teraz, gdy statek zmierzał w kierunku Cerbera, degeneracja przyśpieszyła, dążąc do trudnego do przewidzenia stanu. Może przybyłem w ostatniej chwili? — pomyślał Sylveste. O ile kapitanowi w ogóle można jeszcze pomóc.

Pośpiech jest tu bardzo ważny, ma nawet znaczenie symboliczne — tak chciałby myśleć Sylveste. Kapitan chorował — jeśli jego stan można nazwać chorobą — od dziesięcioleci, ale właśnie akurat teraz dolegliwość wkroczyła w nową fazę. Był to jednak mylny punkt widzenia. Należało inaczej traktować czas kapitana: lot relatywistyczny ścisnął te dziesięciolecia do kilku lat. Ostatni wykwit choroby, mniej nieprawdopodobny, niż się wydawało, nie był niczym złowieszczym.

— Jak to działa? — spytał Sajaki. — Będziemy stosować te same procedury co poprzednio?

— Zapytaj CaWina. On wszystkim kieruje.

Sajaki powoli skinął głową, jakby dopiero teraz przyszły mu do głowy te argumenty.

— Dan, ty też masz coś do powiedzenia. Przecież on pracuje za twoim pośrednictwem.

— Właśnie dlatego nie musisz się zajmować moimi odczuciami. Przy zabiegu nie będę nawet obecny.

— Nie wierzę. Pamiętam, jak to się odbyło ostatnim razem; będziesz obecny, w pełni świadomy tego, co się dzieje. Może tym nie sterujesz, ale bierzesz udział. Nie lubisz tego — to pamiętam.

— Nieoczekiwanie stałeś się ekspertem.

— Jeśli nie twoja niechęć, to co kazało ci się przed nami chować?

— Nie chowałem się. Byłem pozbawiony szans ucieczki.

— Nie chodzi mi o ten okres, gdy trzymano cię w więzieniu, ale przede wszystkim o twój przyjazd do tego układu. Po co to zrobiłeś, jeśli nie dlatego, żeby przed nami uciec?

— Może miałem swoje powody.

Przez chwilę Sylveste zastanawiał się, czy Sajaki bardziej go przyciśnie, ale Triumwir widocznie porzucił tę opcję śledztwa. Może go znudziło? Sylveste zauważył, że Sajaki istniał w teraźniejszości, myślał głównie o przyszłości, a przeszłość niezbyt go nęciła. Nie interesowały go dywagacje na temat rozmaitych motywów działań, rozważania o wariantach wydarzeń, chyba dlatego, że na pewnym poziomie Sajaki nie potrafił ogarnąć tych problemów.

Sylveste słyszał, że Sajaki odwiedził Żonglerów Wzorców. Istniał tylko jeden powód takiej wizyty: poddać się ich transformacjom neuronowym, by umożliwić umysłowi pracę w nowych trybach świadomości, nieosiągalnych w ramach ludzkiej nauki. Mówiono jednak, że wszystkie transformacje miały swoje wady i ubocznym skutkiem wszelkich zmian umysłu była utrata wbudowanych wcześniej sprawności. Przecież mózg zawierał tylko skończoną liczbę neuronów, a więc skończona była liczba możliwych połączeń między nimi. Żonglerzy potrafili uaktywnić nowe połączenia, ale niszczyli przy tym poprzednie ścieżki. Sylveste sam mógł coś stracić, choć braków nie stwierdzał. W wypadku Sajakiego wydawało się to bardziej oczywiste. Triumwir postradał zdolność instynktownego pojmowania natury ludzkiej. To było prawie jak autyzm. Rozmowy z nim cechowała sucha jałowość, wyrazista, gdy ktoś im się bliżej przysłuchał. W laboratoriach Calvina na Yellowstone Sylveste prowadził kiedyś dialog z zabytkowymi, dobrze zakonserwowanymi komputerami, zbudowanymi kilka wieków przed Transoświeceniem, podczas pierwszego rozkwitu badań nad sztuczną inteligencją. Maszyny te miały naśladować naturalną mowę ludzką, kompetentnie odpowiadały na pytania. Wrażenie trwało jednak krótko. Po wymianie kilku zdań komputer zbaczał z tematu konwersacji i niewzruszony jak sfinks kierował pytania na boczny tor. W rozmowie z Sajakim wyczuwało się podobne uniki, choć nie w aż tak skrajnej wersji. Sajaki nie wysilał się nawet, by ukryć brak zainteresowania przedmiotem konwersacji. Nie było psychopatycznych pozorów powierzchownego człowieczeństwa. Dlaczego zresztą Sajaki miałby zaprzeczać własnej naturze? Nie miał nic do stracenia i na swój sposób był mniej obcy niż pozostali załoganci.

Sajaki kazał statkowi wywołać Calvina oraz rzutować jego symulowany obraz na pokładzie Kapitana. Prawie natychmiast pojawiła się siedząca postać. Jak zwykle, Calvin zaprezentował obecnym krótką pantomimę budzącej się świadomości. Przeciągał się w fotelu i rozglądał dokoła, ale bez specjalnego zainteresowania.

— Zaczynamy? — spytał. — Mam w ciebie wchodzić? Te urządzenia, Dan, które zastosowałem przy reperacji twoich oczu… to mi przypominało męki Tantala. Po raz pierwszy od lat pamiętam, co straciłem.

— Chyba nie — odparł Sylveste. — To tylko… jakby to określić? Rozpoznawcze zanurzenie łopaty w gruncie.

— Więc dlaczego mnie wywołałeś?

— Ponieważ jestem w tak niefortunnym położeniu, że potrzebuję twojej rady. — Gdy rozmawiali, z ciemności korytarza wyłoniła się para serwitorów, niezdarnych maszyn na gąsienicach; z górnej części tułowia każdej z nich wystawało mnóstwo połyskujących,

specjalistycznych manipulatorów i czujników. Antyseptycznie czyste, wypolerowane, wyglądały na urządzenia tysiącletnie, jakby właśnie wytoczyły się z muzeum.

— Nie mają części, których mogłaby dosięgnąć zaraza — powiedział Sylveste. — Żadnych małych elementów niewidocznych gołym okiem, żadnych podzespołów replikujących, samonaprawiających się czy zmiennokształtnych. Cała cybernetyka jest w innym miejscu statku, kilometry stąd, i komunikuje się z dronami tylko przez łącza optyczne. Nie użyjemy niczego, co się potrafi replikować, dopóki nie potraktujemy zarazy retrowirusem Volyovej.

— Bardzo rozważnie.

— Oczywiście, delikatną pracę sam będziesz musiał wykonać skalpelem — powiedział Sajaki.

Sylveste dotknął czoła.

— Moje oczy nie są odporne. Musisz być bardzo ostrożny, Cal. Gdyby zaraza ich dosięgła…

— Zachowam największą ostrożność, wierz mi. — Calvin, siedzący w masywnym fotelu, odrzucił w tył głowę i zaśmiał się głośno, jak pijak zadowolony z własnego żartu. — Jeśli twoje oczy wybuchną, nawet ja nie będę miał szans uporządkować swych spraw.

— O ile docenisz ryzyko.

Serwitory chwiejnie zbliżyły się do kapitana. Teraz jego widok kojarzył się nie z wolno pełznącym lodowcem, wyciekającym z chłodni, lecz z wybuchem wulkanu zastygłym w błysku lampy. Promieniował we wszystkich kierunkach równolegle do ścian, sięgając w korytarz na kilkanaście metrów. Przy samym kapitanie narośl składała się z grubych jak pień walców barwy rtęci, o teksturze zaprawy murarskiej z wstawkami drogocennych kamieni, bezustannie pobłyskującej i migoczącej, co świadczyło o niezwykłej podskórnej aktywności. Dalej ku obrzeżu gałęzie dzieliły się, tworząc oskrzelową sieć. Na samej granicy sieć stawała się mikroskopijnie drobna i gładko wnikała w strukturę substratu — samego statku. Prezentowała wspaniałe wzory dyfrakcyjne, jak warstewka oliwy na wodzie.

Srebrne maszyny zanurzyły się w srebrnej materii kapitana. Ustawiły się po obu stronach zniszczonej powłoki chłodni, przy jego sercu, nie więcej niż metr od naruszonego pancerza. Było tam zimno — gdyby Sylveste w którymkolwiek miejscu dotknął chłodni, jego ciało zostałoby szybko włączone w chimeryczną materię zarazy. Gdyby zaczęła się właściwa operacja, musieliby go ogrzać, by mógł pracować. Śpieszyłby się — albo zaraza wykorzystałaby okazję i jeszcze szybciej zaczęła się rozwijać — nie było jednak innego sposobu, by na nim pracować, gdyż w temperaturze, w jakiej teraz kapitan przebywał, funkcjonują tylko najprymitywniejsze narzędzia.

Teraz maszyny wysunęły wysięgniki z czujnikami na końcach: obrazerami rezonansu magnetycznego, które sięgały głęboko w narośl, pozwalając rozróżnić warstwy maszynowe, chimeryczne i organiczne, kiedyś będące człowiekiem. Sylveste polecił dronom, by przekazywały do jego oczu to, co widzą; ukazywało mu się to jako liliowa warstwa powlekająca kapitana. Z wysiłkiem odróżniał niewyraźny zarys ludzkiej poczwarki — przypominało to mgliste linie poprzedniego malowidła na powtórnie użytym płótnie. Obrazery rezonansu magnetycznego nadal przeszukiwały; szczegóły stawały się coraz ostrzejsze i anatomia zaatakowanego zarazą mężczyzny wykrwawiała się jasnością. Widok był przerażający. Sylveste po prostu patrzył.

— Od czego mamy… to znaczy, od czego ty zaczynasz? — zwrócił się do CaMna. — Leczymy tego człowieka czy sterylizujemy maszynę?

— Ani to, ani to — odparł Calvin sucho. — Naprawiamy kapitana, a obawiam się, że przekroczył granice obu tych kategorii.

— Znakomicie to rozumiesz — powiedział Sajaki. Odszedł na bok, by nie zasłaniać widoku obu Sylveste'om. — Tu już nie chodzi o leczenie ani naprawianie. Myślę o tym jak o renowacji.

— Ogrzej go — polecił Calvin.

— Co?

— Słyszałeś. Chcę, byś go ogrzał. Tylko na chwilę, zapewniam cię. Wystarczy, żeby wykonać biopsje. O ile zrozumiałem, Volyova badała narośl tylko na brzegach. Przyłożyła się do pracy. Próbki, które pobrała, pozwalają ocenić tempo i sposób wzrostu. Bez nich nie mogła przecież stworzyć retrowirusa. Teraz jednak musimy sięgnąć do rdzenia, gdzie nadal jest żywe mięso. — Uśmiechnął się, zadowolony z wyrazu odrazy, jaki przemknął przez twarz Sajakiego. Może to empatia? — pomyślał Sylveste. Albo są to szczątki uczuć, które Sajaki kiedyś posiadał. Przez chwilę miał poczucie wspólnoty z Triumwirem.

— A co cię konkretnie interesuje?

— Oczywiście jego komórki. — Calvin pogłaskał podwinięte oparcie fotela. — Twierdzi się, że Parchowa Zaraza niszczy nasze implanty. Podejrzewam, że to coś więcej. Ona próbuje stworzyć hybrydę, usiłuje osiągnąć harmonię między tym co żywe, a tym co cybernetyczne. Właściwie nie jest złośliwa, tylko usiłuje stworzyć hybrydę kapitana z jego własnymi układami cybernetycznymi oraz ze statkiem. To prawie łagodne działanie, niemal artystyczne, celowe.

— Nie mówiłbyś tak, będąc na jego miejscu — stwierdził Sajaki.

— Oczywiście, że nie. Dlatego chcę mu pomóc. I zajrzeć do jego komórek. Chcę się przekonać, czy zaraza naruszyła DNA, czy próbuje uprowadzić jego maszynerię komórkową.

Sajaki wyciągnął rękę w stronę zimna.

— W takim razie do dzieła. Możesz go ogrzać. Ale nie dłużej, niż

to konieczne. Potem niech wróci do poprzedniego stanu, aż do operacji. I nie zgadzam się, by próbki opuściły to miejsce.

Sylveste zauważył, że wyciągnięta dłoń Triumwira drży.

— To wszystko jest związane z wojną — powiedziała Khouri w komorze pajęczej. — Jestem pewna. Wojna Świtu, tak ją nazywają. Było to dawno temu. Miliony lat temu.

— Skąd wiesz?

— Mademoiselle zrobiła mi wykład z historii galaktyki, żebym doceniła, o co toczy się gra. Udało jej się. Nie sądzisz, że przyznanie racji Sylveste'owi to kiepski pomysł?

— Ani przez chwilę tak nie uważałam.

Bujać to my, ale nie nas, pomyślała Khouri. Volyova nadal wykazywała dziecięce zainteresowanie układem Cerber-Hades, choć teraz wiedziała, że czyha tam niebezpieczeństwo. Tym bardziej ją to kusiło. Poprzednio cała tajemnica polegała na pojedynczej, anomalnej syganturze neutrino. Teraz na włas — ne oczy w nagraniu Alicji zobaczyła obcą maszynerię. Tak, Volyova była równie jak Sylveste zafascynowana tym miejscem. Różnica między nimi polegała na tym, że — w odróżnieniu od Sylveste'a — z Volyovą można podjąć dyskusję; posiadała resztki rozsądku.

— Sądzisz, że należy zaryzykować i uświadomić Sajakiemu wszystkie niebezpieczeństwa?

— Nie bardzo. Zbyt wiele przed nim zataiłyśmy. Już za to mógłby nas zabić. Boję się, że zechce cię przeczesać. Niedawno znów o tym wspominał. Udało mi się go od tego odwieść, ale… — Westchnęła. — Zresztą teraz Sylveste pociąga za sznurki. Plany Sajakiego zupełnie się nie liczą.

— Musimy więc pogadać z Sylveste'em.

— To na nic, Khouri. Teraz żadne racjonalne argumenty go nie przekonają… a z twojej opowieści nie da się wyłuskać zbyt racjonalnych argumentów.

— Ale wierzysz mi?

Volyova uniosła dłoń.

— Częściowo… ale to nie to samo. Byłam świadkiem pewnych wydarzeń, które ty jakoby rozumiesz, na przykład tego wypadku z bronią kazamatową. W pewnym sensie zamieszane są w to obce siły, więc trudno mi całkowicie odrzucić twoją opowieść o Wojnie Świtu. Ciągle jednak nie mamy ogólnego obrazu. — Zamilkła na chwilę. — Może gdy skończę analizę drzazgi…

— Jakiej drzazgi?

— Tej, którą Manoukhian ci implantował. — Volyova opowiedziała Khouri, jak podczas badań, tuż po jej przybyciu na statek, znalazła u niej drzazgę. — Początkowo przypuszczałam, że to odłamek szrapnela z czasów twojej żołnierki. Potem zastanowiło mnie,

dlaczego wasi lekarze wcześniej ci tego nie usunęli. Powinno mnie wtedy coś tknąć… ale to nie był funkcjonalny implant, tylko kawałek poharatanego metalu.

— 1 nie doszłaś jeszcze do tego, co to jest?

— Nie. — I to była prawda, jak przekonała się Khouri. Ten mały odłamek coś w sobie krył. Mieszanka metali okazała się dość niezwykła, nawet dla kogoś oswojonego z naprawdę nietypowymi stopami. Ponadto Volyovej wydawało się, że drzazga ma dziwne skazy fabryczne, choć ślady mogły być również spowodowane późniejszymi naprężeniami w metalu. Dziwaczne wzorce zmęczenia materiału w nanoskali. — Ale jestem blisko — stwierdziła Volyova.

— Może dzięki temu dowiemy się czegoś istotnego. Ale nie zmieni to jednej rzeczy. Nie mogę przecież zrobić tego, co rzeczywiście by nas wydobyło z tej całej sytuacji? Nie mogę zabić Sylveste'a?

— Nie. Jeśli stawka wzrośnie, jeśli okaże się, że bezspornie trzeba go zabić, wtedy… musimy zaplanować to co konieczne.

Khouri po pewnym czasie pojęła, co Volyova ma na myśli.

— Samobójstwo?

Volyova skinęła głową.

— Na razie muszę robić wszystko, by spełnić żądania Sylveste'a, w przeciwnym wypadku narażę wszystkich na niebezpieczeństwo.

— Nie rozumiesz istoty rzeczy — stwierdziła Khouri. — Nie mówię, że wszyscy umrzemy, jeśli atak na Cerbera się nie powiedzie — ty chyba coś takiego zakładasz. Uważam, że stanie się coś strasznego, nawet jeśli atak się powiedzie. Właśnie dlatego Mademoiselle zależało na tym, by Sylveste zginął.

Volyova zacisnęła usta i powoli kręciła głową, jak matka strofująca dziecko.

— Nie mogę wszcząć buntu, bazując na mglistych przeczuciach.

— Więc może sama go rozpocznę.

— Ostrożnie, Khouri. Zachowaj najwyższą ostrożność. Sajaki jest bardziej niebezpieczny, niż sądzisz. Tylko czeka na pretekst, by rozłupać ci głowę i zajrzeć do środka. Nawet pretekstu mu nie trzeba. Natomiast Sylveste jest… nie wiem, jak to określić. Należy uważać, żeby nie wejść mu w drogę. Zwłaszcza teraz, gdy coś zwąchał.

— Trzeba więc dotrzeć do niego pośrednio. Przez Pascale. Rozumiesz? Wszystko jej powiem, gdy dojdę do wniosku, że potrafi mu otworzyć oczy.

— Pascale ci nie uwierzy.

— Uwierzy, jeśli mnie poprzesz. Zgoda? — Khouri spojrzała na Volyovą. Ta patrzyła na nią długo i już chciała odpowiedzieć, gdy zaćwierkała bransoleta. Triumwir odsunęła mankiet i spojrzała na odczyty. Wzywano ją na górę statku.

Mostek jak zwykle wydawał się za obszerny dla rozproszonej tu garstki osób. Żałosne, pomyślała Volyova. Przez chwilę zamierzała wezwać swych bliskich zmarłych, by sala się trochę wypełniła, a nastrój stał się nieco bardziej uroczysty. Nie, to byłoby poniżające. A ponadto, mimo włożonego w ten projekt wysiłku, Volyova zupełnie nie czuła uniesienia. Rozmowa z Khouri zabiła w niej resztki pozytywnego nastawienia do tego całego przedsięwzięcia. Khouri miała oczywiście rację — podejmowali niewyobrażalne ryzyko, przebywając w pobliżu układu Cerber-Hades, teraz jednak Volyova nic na to nie mogła poradzić. Narażali statek na zniszczenie, ale według Khouri gorsze konsekwencje miałoby dostarczenie Sylveste'a do wnętrza Cerbera. W sprzyjających okolicznościach statek wraz z załogą może by przetrwał… lecz potem nastąpiłoby coś znacznie, znacznie gorszego. Jeśli to, co Khouri opowiedziała o Wojnie Świtu, było choć w połowie prawdą, wszystko mogłoby się bardzo źle skończyć nie tylko dla Resurgamu, ale i dla całej ludzkości.

Za chwilę Volyova może popełnić największy błąd w życiu i nie byłby to nawet błąd sensu stricte, gdyż w tej sprawie Volyova nie miała wyboru.

— No, Ilia, mam nadzieję, że nie na darmo nas tu wzywałaś — odezwał się Hegazi aroganckim tonem.

Ona też miała taką nadzieję, ale w obecności Hegaziego nie zamierzała zdradzać niepokoju.

— Zważcie — zwróciła się do wszystkich — że gdy zrobimy ten krok, nie będzie odwrotu. Uznacie to prawdopodobnie za złą wiadomość. Możemy sprowokować natychmiastową od — powiedź z planety.

— Albo i nie — powiedział Syh/este. — Wielokrotnie mówiłem, że Cerber nie zrobi nic, co mogłoby ściągnąć na niego uwagę.

— Miejmy nadzieję, że twoje teorie są słuszne.

— Możemy chyba ufać poczciwemu doktorowi — rzekł siedzący obok Sylveste'a Sąjaki. — Jest tak samo narażony jak my.

Volyova nagle zapragnęła mieć to wreszcie za sobą. Włączyła holograf — pokazał widok „Lorean" w czasie rzeczywistym. Wrak nie zmienił się od chwili, gdy zobaczyli go po raz pierwszy: kadłub nadal nosił liczne ślady uszkodzeń — teraz wiedzieli, że powstały wówczas, gdy Cerber zaatakował i zniszczył sondy. Wewnątrz statku krzątały się maszyny Volyovej. Początkowo niewielką ich grupę zdeponował robot, którego Volyova wysłała, by odnalazł pliki dziennika pokładowego Alicji. Maszyny szybko się mnożyły — w tym celu konsumowały metal ze statku i podłączyły się do statkowych systemów naprawy i konstrukcji, z których większość nie przeładowała się po ataku Cerbera. Powstały kolejne generacje i dzień po pierwotnym zapłodnieniu zaczęła się właściwa działalność:

transformacja wnętrza i powłoki statku. Nieuważny obserwator nie dostrzegłby tego, wszelako praca powoduje wytwarzanie ciepła, więc zewnętrzna warstwa zniszczonego statku nieco się ogrzała przez ostatnie kilka dni — dowód energicznej aktywności w środku.

Volyova przesunęła palcem po bransolecie, upewniając się, że wszystkie wskazania mieszczą się w normie. Za chwilę się zacznie — teraz już nie mogła powstrzymać tego procesu.

— Mój Boże — powiedział Hegazi.

„Lorean" zmieniał się, zrzucał skórę. Całe fragmenty uszkodzonego kadłuba łuszczyły się wielkimi płatami, statek otaczał się powoli puchnącym kokonem odłamków. To, co znajdowało się pod spodem, miało kształt poprzedniego wraku, ale w gładkiej powłoce, jakby to była nowa skóra węża. Transformacje dość łatwo było przeprowadzić, gdyż „Lorean" — w odróżnieniu od „Nieskończoności" — nie kontratakował replikującymi się wirusami, nie opierał się modelującej go dłoni. Przebudowa „Nieskończoności" była jak próba rzeźbienia ognia, natomiast tamten statek poddawał się Volyovej jak glina.

Kąt widzenia przesunął się, gdy wylinka szczątków zmusiła „Lorean" do obrotu wokół długiej osi. Silniki Hybrydowców nadal były przy statku… i działały. Teraz Volyova mogła nimi sterować za pomocą bransolety. Prawdopodobnie nigdy nie potrafiłyby osiągnąć wystarczającej sprawności, by nadać statkowi prędkość bliską świetlnej, ale Volyova i tak do tego nie dążyła. Podróż, jaką ten statek miał odbyć — jego ostatnia podróż — była obraźliwie krótka dla takiego statku. Teraz unosił się niemal pusty, z wnętrzem wciśniętym w pogrubione ściany kadłuba w kształcie stożka o otwartej podstawie; przypominał olbrzymi zwężający się naparstek.

— Dan, moje maszyny znalazły ciało Alicji i pozostałej załogi — powiedziała Volyova. — Większość buntowników spała w chłodni, ale i oni nie przeżyli ataku.

— O co ci chodzi?

— Jeśli chcesz, mogę ich tu sprowadzić. Powstanie oczywiście opóźnienie… musielibyśmy posłać po nich prom.

Sylveste odpowiedział, i to szybciej, niż Volyova się spodziewała. Sądziła, że co najmniej godzinę zajmie mu dumanie nad problemem.

— Nie — rzekł. — Nie chcę żadnych opóźnień. Słusznie: Cerber potwierdzi tę operację.

— A co z ciałami?

Odpowiedział tak, jakby to było jedyne sensowne wyjście:

— Spadną na planetę razem ze statkiem.

DWADZIEŚCIA DWA

Orbita uWadu Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

To był początek.

Sylveste, ułożywszy palce w piramidkę, siedział ze skrzyżowanymi nogami na macie tatami przed jasną entopiczną projekcją, zajmującą znaczną część jego kwatery. Pogrążoną w cieniach Pascale, która leżała na łóżku, widział jako układ abstrakcyjnych krzywizn. Przed kilkoma minutami wypił nieco wyprodukowanej na statku wódki i teraz cudownie kręciło mu się w głowie. Po latach przymusowej abstynencji wykazywał niezwykle niską tolerancję na alkohol, co w tym wypadku było szczególną zaletą, gdyż przyśpieszało proces negacji świata zewnętrznego. Wódka nie tłumiła głosów wewnętrznych, wprost przeciwnie — tworzyła dla nich komorę pogłosową, skąd dobiegały z jeszcze większą natarczywością. Zwłaszcza jeden wybijał się ponad wrzawę, pytał: „Co spodziewasz się znaleźć w Cerberze? Czy coś, co ma obiektywny sens?”. Nie miał pojęcia i czuł się jak ktoś, kto w ciemności schodzi po schodach, źle policzył stopnie, i gdy już myśli, że jest na podeście, nagle traci równowagę i serce mu zamiera.

Niczym szaman kształtujący palcami powietrzne duchy, Sylveste wywołał przed sobą planetarium. Entoptyki pokazywały schematycznie mały wycinek kosmosu otaczającego Hades, obejmujący orbitę Cerbera i — na samym brzegu — zbliżające się ludzkie maszyny, nie zasłonięte już asteroidem. W centrum znajdował się sam Hades, płonący odrażającą, ropną czerwienią. Malutka gwiazda neutronowa miała zaledwie parę kilometrów średnicy, ale zdominowała całe otoczenia — jej pole grawitacyjne działało jak wściekły wir.

Obiekty znajdujące się dwieście dwadzieścia tysięcy kilometrów od gwiazdy neutronowej obiegały ją dwa razy na godzinę. Gdy teraz staranniej prześledzili zapis Alicji, dowiedzieli się, że w pobliżu tego miejsca została zniszczona inna z sond. Sylveste zaznaczył więc promień czerwoną linią śmierci. Cerber — ta mała planeta — unicestwił sondę, jakby równie zdecydowanie strzegł tajemnic Hadesa, co swych własnych. Kolejna zagadka: jaki z tego mógł być pożytek? Sylveste bezskutecznie usiłował ją rozwiązać. Ale świadczyło to o jednym: niczego nie można tu przewidzieć, brakowało związków logicznych. Jeśli będzie się trzymał tych dwóch prawd, może będzie miał szansę tam, gdzie nie udało się głupim maszynom… oraz jego

żonie.

Cerber miał większą orbitę, oddaloną od Hadesa o dziewięćset tysięcy kilometrów. Obiegał ją w cztery godziny i sześć minut. Sylveste zaznaczył orbitę zimnym szmaragdowym kolorem. Wyglądała na bezpieczną, przynajmniej wówczas, gdy nie podeszło się zbyt blisko samej planety.

Teraz broń Volyovej — czyli niegdysiejszy statek „Lorean" — własnym napędem przesunęła się na niższą orbitę, ale na razie nie wywołała reakcji Cerbera. Sylveste nie wątpił jednak: to coś na planecie wiedziało o ich obecności i obserwowało zagrożenie; czekało tylko na rozwój wydarzeń.

Kazał, by planetarium się zmniejszyło, aż Światłowiec wpłynie w pole widzenia. Statek znajdował się dwa miliony kilometrów od gwiazdy neutronowej — zaledwie sześć sekund świetlnych — zatem w zasięgu ataku broni energetycznych, choć bronie musiałyby być naprawdę potężne, by wykonać zadanie: same systemy naprowadzające powinny mieć szerokość wielu kilometrów, by namierzyć statek. Z tej odległości żadne bronie materialne nie mogły ich dosięgnąć, z wyjątkiem brutalnego zmasowanego ataku broniami relatywistycznymi, ale i to nie było prawdopodobne — historia „Lorean" wskazywała na to, że planeta działa błyskawicznie, dyskretnie i nie demonstruje siły ogniowej, która zdradziłaby, że skorupa to tylko staranny kamuflaż.

Właśnie, pomyślał Sylveste, wszystko tak znakomicie przewidywalne. I w tym jest pułapka.

— Dan, już późno. — Pascale poruszyła się, rozbudzona. — Musisz odpocząć przed tym, co czeka cię jutro.

— Mówiłem głośno?

— Jak autentyczny wariat. — Wzrok Pascale przesunął się nerwowo po pokoju, zatrzymał na entoptycznej mapie. — Czyżby to się miało rzeczywiście zdarzyć? To takie nierealne.

— Masz na myśli planetę czy kapitana?

— Obie sprawy. Chyba już nie da się ich rozdzielić. Wzajemnie od siebie zależą. — Zamilkła, a on przesunął się po macie do jej łóżka. Zaczął głaskać ją po twarzy; powróciły dawne, zakopane wspomnienia, które przechowywał w świętości przez te wszystkie lata więzienia na Resurgamie. Pascale też zaczęła go pieścić i po chwili kochali się z efektywnością dwojga ludzi w przededniu epokowego wydarzenia, ludzi, którzy wiedzą, że taka chwila może się już nigdy nie powtórzyć, więc tym cenniejsza jest każda sekunda. — Amarantinowie już i tak dość długo czekali — dodała Pascale. — I ten nieszczęsny człowiek, któremu masz pomóc. Czy nie moglibyśmy zostawić ich w spokoju?

— Dlaczego miałbym tak postąpić?

— Bo nie podoba mi się, jak to wszystko na ciebie działa. Nie odnosisz wrażenia, że zostałeś w to wciągnięty? Nie czujesz, że w rzeczywistości to nie są twoje posunięcia?

— Za późno, by się wycofać.

— Nie, nie jest za późno, i ty o tym wiesz. Powiedz Sajakiemu, żeby zawrócił. Jeśli chcesz, zaproponuj mu, że zrobisz wszystko, co się da, dla kapitana, ale jestem pewna, że Sajaki i tak jest przerażony, więc zgodzi się na wszelkie warunki, jakie mu postawisz. Opuśćmy układ Cerbera, nim zrobi z nami to, co zrobił z Alicią.

— Oni nie byli przygotowani na atak. A my będziemy, i to wielka różnica. W zasadzie my pierwsi zaatakujemy.

— Nawet jeśli spodziewasz się tam coś znaleźć, przecież nie warto aż tak ryzykować. — Pascale ukryła twarz w dłoniach. — Nie rozumiesz, Dan? Zwyciężyłeś. W dodatku honorowo. Okazało się, że miałeś rację. Osiągnąłeś to, na czym zawsze ci zależało.

— To mi nie wystarcza.

Było jej zimno, ale została przy nim, gdy wędrował przez krainę płytkich snów, z których żaden nie był snem prawdziwym. Miała rację. Amarantinowie nie musieli stadami przelatywać w jego umyśle — nawet przez jedną noc. Chciała, żeby na zawsze o nich zapomniał. Nie, to nierealne, tym bardziej teraz. Ale oddalenie ich choćby na kilka godzin wymagało więcej siły, niż on jej posiadał. Sny miał amarantinskie. I gdy się tylko budził — a budził się często — widział, jak na ścianach, za krzywiznami ciała żony, tłoczą się posplatane skrzydła, skrzydła patrzące złowieszczo. Wyczekujące.

Na to, co było w przeddzień początku.

— Prawie nic nie poczujesz — powiedział Sajaki.

I rzeczywiście, Khouri prawie nic nie czuła, gdy Sajaki zaczął sondowanie; zaledwie lekki ucisk hełmu, zamykającego się ciasno na jej czaszce, by systemy skanujące ustawiły się z jak największą dokładnością. Usłyszała jedynie ciche kliknięcia i wizg. Nie odczuła nawet mrowienia.

— To nie jest konieczne, Triumwirze.

Sajaki dostosował parametry sondowania, wklepując polecenia w groteskową, przestarzałą konsolę. Wokół niego wyskoczyły przekroje głowy Khouri — zdjęcia o niskiej rozdzielczości.

— Nie musisz się przecież niczego obawiać, prawda? Zupełnie niczego. Powinienem poddać cię tej procedurze, gdy tylko znalazłaś się na statku, ale moja koleżanka oponowała…

— Więc dlaczego teraz? Co ja takiego zrobiłam?

— Nadchodzą chwile przełomowe. Nie mogę sobie pozwolić na to, by któremuś z członków załogi nie ufać absolutnie.

— Ale jeśli usmażysz moje implanty, nie będzie ze mnie żadnego pożytku.

— Och, nie powinnaś zwracać zbytniej uwagi na opowiastki Volyovej. To takie straszenie. Chciała ukryć przede mną swoje tajemnice zawodowe, na wypadek, gdyby wpadło mi do głowy, że równie dobrze jak ona potrafię wykonać jej pracę. — Teraz na obrazach pojawiły się implanty Khouri: małe regularne wysepki wśród amorficznej zupy struktur neuronowych. Sajaki wkłepał polecenia i sonda pokazała powiększenie jednego z implantów. Khouri poczuła mrowienie na skórze głowy. Skaner obierał implant z kolejnych warstw, odsłaniał wnętrzności, coraz więcej detali, niczym satelita szpiegowski, który spogląda na miasto i najpierw przekazuje obraz dzielnicy, potem ulic, wreszcie szczegóły budynków. Gdzieś w tej gmatwaninie, zmagazynowane w swej ostatecznej fizycznej postaci, znajdowały się dane, z których wyskakiwała symulacja Mademoiselle.

Sporo czasu upłynęło od jej ostatniego pojawienia się. Wtedy — pośród burzy na Resurgamie — powiedziała Khouri, że umiera, przegrywa wojnę ze Złodziejem Słońca. Czy od tamtego czasu Złodziej zdążył zwyciężyć, czy może brak wizyt świadczy o tym, że Mademoiselle wkłada całą energię w przeciągające się zmagania? Nagorny zwiariował, gdy Złodziej Słońca zawładnął jego głową. Czy Khouri miała to jeszcze przed sobą, czy też Złodziej zamieszka w jej głowie ukradkowo? Może — i to było niepokojące — nauczył się na błędach popełnionych w wypadku Nagornego. Ile z tego ujawni się podczas sondowania?

Sajaki zabrał Khouri z jej kwatery; wsparcia udzielał mu Hegazi. Zresztą nawet gdyby Sajaki przyszedł sam, Khouri nie zamierzała stawiać oporu. Volyova uprzedziła ją, że Sajaki jest silniejszy, niż się wydaje, i Khouri — jako ekspert od walk wręcz — nie wątpiła, że Sajaki by ją pokonał.

Pomieszczenie, w którym odbywało się trałowanie, miało cechy komnaty tortur. Kiedyś stosowano tu przemoc, może całe dziesięciolecia temu, ale atmosfera przetrwała. Maszyny sondujące, starodawne, monstrualne — podobnie topornego sprzętu Khouri dotychczas na statku nie widziała — może zmodyfikowano subtelnie, by funkcjonowały od oryginalnej konstrukcji, ale poziomem technicznym nigdy nie dorównały sondom, jakimi dysponował wywiad na Skraju Nieba. Trały Sajakiego zostawiały za sobą ślad nerwowych uszkodzeń, jak gorączkowy włamywacz w przetrząsanym przez siebie domu. Były niewiele bardziej zaawansowane od niszczących skanerów, zastosowanych przez Cala Sylveste'a przy Osiemdziesięciu; może nawet były prymitywniejsze.

Teraz Sajaki miał ją w garści. Juz badał jej implanty, poznawał ich strukturę, odczytywał dane. Na ich podstawie mógł dostosować sondę, by wyodrębnić wzorce podkorowe, wyciągnąć z czaszki Khouri sieci połączeń nerwowych. Sporo wiedziała o sondowaniu; miała

przecież znajomych w wywiadzie. W strukturach sieci tkwiły pamięć długotrwała i cechy osobowości, razem splątane, tak że trudno to było odseparować. Jednak, choć Sajaki nie dysponował zbyt dobrym sprzętem, mógł mieć znakomite algorytmy do wyizolowania śladów pamięci. Przez wieki za pomocą modeli statystycznych badano wzorce składowania pamięci w dziesięciu miliardach ludzkich umysłów, szukano korelacji między strukturą a doświadczeniem. Pewne wrażenia miały swój odpowiednik w typowych strukturach neuronowych — wewnętrznych splotach — które były funkcjonalnymi blokami, z jakich składały się bardziej złożone wspomnienia. Te sploty nigdy nie były takie same w różnych umysłach, a jeśli nawet, to zdarzało się to niezwykle rzadko; z drugiej strony sposoby kodowania niezbyt się od siebie różniły, gdyż natura, poszukując rozwiązań konstrukcyjnych, zawsze szła ścieżką minimalnej energii. Modele statystyczne potrafiły efektywnie identyfikować wzorce splotów i odwzorowywać połączenia między nimi, z których formowała się pamięć. Sajaki musiał tylko zidentyfikować dostatecznie dużo struktur splotów, zmapować wystarczająco wiele połączeń, po czym przekazać do obróbki swym algorytmom. W ten sposób w zasadzie mógł się o Khouri dowiedzieć wszystkiego. Mógł dowolnie szperać w jej wspomnieniach.

Zadźwięczał alarm. Sajaki spojrzał na jeden z displejów i zobaczył, że implanty Khouri świecą na czerwono, a czerwień sączy się do okolicznych obszarów mózgu.

— Co się dzieje? — spytała Khouri.

— Indukowane ciepło — wyjaśnił Sajaki obojętnie. — Implanty nieco się rozgrzewają.

— Nie powinienieś przestać?

— Jeszcze nie teraz. Volyova chyba uodporniła je na atak impulsów elektromagnetycznych. Lekkie przeciążenie cieplne nie wyrządzi nieodwracalnych szkód.

— Ale głowa mnie boli… coś jest nie w porządku.

— Zniesiesz to, Khouri, jestem tego pewien.

Atak migreny przyszedł znikąd; teraz był nie do wytrzymania. Khouri miała wrażenie, że Sajaki umieścił jej głowę w imadle i dokręcił śrubę. Ciepło wytworzone w czaszce musiało być znacznie większe, niż to sugerował obraz skanera. Sajaki — prawdopodobnie obojętny na dobro swych podopiecznych — na pewno przeskalował displej w ten sposób, by nie pokazywał niszczącej dla mózgu temperatury… aż robiło się za późno.

— Nie, Yuuji-san. Ona tego nie zniesie. Odłącz ją.

Cud — to był głos Volyovej. Sajaki spojrzał w stronę drzwi. Znacznie wcześniej od Khouri musiał sobie zdać sprawę z nadejścia Volyovej, ale przesłał jej tylko znudzone, obojętne spojrzenie.

— O co chodzi, Ilia?

— Doskonale wiesz, o co chodzi. Zatrzymaj sondowanie, bo zaraz ją zabijesz. — Volyova weszła w pole widzenia Khouri. Mówiła tonem autorytatywnym, ale Khouri nie zauważyła, żeby Triumwir miała broń.

— Niczego użytecznego się na razie nie dowiedziałem — odparł Sajaki. — Potrzebuję jeszcze paru minut.

— Za parę minut ona umrze — powiedziała Triumwir, po czym dodała z charakterystycznym dla niej pragmatyzmem: — A jej implanty zostaną nieodwracalnie uszkodzone.

Prawdopodobnie to drugie znacznie bardziej zaniepokoiło Sajakiego niż groźba śmierci Khouri. Dokonał drobnej korekty w ustawieniach sondy. Czerwony kolor zblakł do mniej alarmującego różu.

— Sądziłem, że implanty są odpowiednio zahartowane.

— To tylko prototypy, Yuuji-san. — Volyova podeszła do displejów i zaczęła im się dokładniej przyglądać. — O, nie, ty głupcze. Cholerny głupcze. Już mogłeś je uszkodzić! — Mówiła jakby do siebie.

Sajaki milczał przez chwilę. Khouri czekała, aż zaatakuje błyskawicznie, by jednym wściekłym ruchem zabić Volyovą. Jednak tylko z gniewną miną wyłączył kontrolki sondy, obserwując, jak displeje znikają. Potem zdjął hełm z głowy Khouri.

— Triumwirze, ton głosu… i te słowa… były niestosowne — powiedział. Khouri zobaczyła, jak wsuwa dłoń do kieszeni spodni i dotyka czegoś, co przez chwile kształtem przypominało strzykawkę.

— Omal nie zniszczyłeś naszego zbrojmistrza — stwierdziła Volyova.

— Jeszcze z nią nie skończyłem. Z tobą też. Majstrowałaś coś przy tej sondzie, prawda Ilia? Zainstalowałaś coś, by cię alarmowało, że sonda jest włączona. Bardzo sprytne.

— Zrobiłam to, by chronić zasoby statku.

— Jasne… — Sajaki nie dokończył. Tonem głosu zasugerował groźbę, po czym spokojnie wyszedł z pokoju.

DWADZIEŚCIA TRZY

Orbita Cerbera-Hadesa, heliopauza Delty Pawia, 2566

Tę sytuację charakteryzuje niepokojąca symetria, pomyślał Sylveste. Za parę godzin broń kazamatowa Volyovej zacznie zwalczać zagrzebany system immunologiczny Cerbera: wirus za wirus, ząb za ząb. A tutaj, w przeddzień ataku, Sylveste przygotowuje się do wojny przeciw Parchowej Zarazie zżerającej — a z innego punktu widzenia groteskowo powiększającej — chorego kapitana. Symetria wskazywała jedynie na stojący za tym porządek, znany Sylveste'owi tylko częściowo. Niezbyt mu się to podobało. Miał wrażenie, że uczestniczy w jakiejś grze i w połowie gry orientuje się, że zasady są znacznie bardziej skomplikowane, niż sądził dotychczas.

Żeby Calvinowska symulacja poziomu beta mogła działać przez Sylveste'a, musiał popaść w stan klinicznej półświadomości przypominającej somnambulizm. Calvin miał nim sterować jak pacynką; otrzymywałby sygnały zmysłowe bezpośrednio z oczu i uszu Sylveste'a, podłączyłby się bezpośrednio do jego układu nerwowego, by móc wykonywać ruchy. Mówiłby nawet przez Sylveste'a. Danowi zaaplikowano neuroinhibitory, które wprowadziły go w stan mdlącego, obejmującego całe ciało nieprzyjemnego odrętwienia — pamiętał to wrażenie, doznał go poprzednio.

Sylveste myślał o sobie jak o maszynie, w której Calvin za chwilę zagości jako duch…

Ręce Sylveste'a operowały narzędziami analitycznymi, przesuwały je po obrzeżach narośli. Niebezpieczne było poruszanie się zbyt blisko serca, stwarzało to zbyt wielkie ryzyko, że zaraza przeniesie się na jego własne implanty. W pewnym momencie — podczas tej lub następnej sesji — będą musieli poruszać się na obrzeżu serca. Rzecz nieunikniona, ale Sylveste nie chciał o tym myśleć. Teraz, gdy musieli pracować blisko serca, Cal wykorzystywał proste, bezrozumne drony kierowane z daleka z wnętrza statku, ale nawet one mogły ulec zakażeniu. Jedna z dron zepsuła się w pobliżu kapitana i tkwiła zaplątana w delikatne, włókniste macki zarazy. Choć maszyna ta nie zawierała molekularnych komponentów funkcjonalnych, wydawało się, że zaraza robi z niej użytek, może ją przetrawić na transformującą matrycę kapitana. Na paliwo dla jego gorączki. Calvin tymczasowo korzystał z prymitywniejszych narzędzi, ale wkrótce bez wątpienia muszą zaatakować zarazę jedynym skutecznym środkiem — czymś, co bardzo przypominało ją samą.

Sylveste za własnymi myślami czuł kłębiące się myśli Calvina. Nie mógł nazwać tego świadomością — to tylko mimikra dla symulacji sterującej jego ciałem — ale gdzieś na styku z jego układem nerwowym coś powstawało, coś, co porządkowało tę chaotyczną granicę. Teorie i jego własne uprzedzenia oczywiście temu przeczyły, ale jak inaczej mógł Sylveste wyjaśnić wrażenie podzielonej osobowości? Nie śmiał zapytać Calvina, czy ten odczuwa to samo, a i tak zresztą nie dałby mu wiary.

— Synu — odezwał się Calvin — chciałbym z tobą omówić coś, co mnie niepokoi. Czekałem z tym trochę, ale nie chciałem o tej sprawie rozmawiać w obecności naszych… klientów.

Sylveste wiedział, że tylko on to słyszy. Musiał subwokalizować odpowiedź i Calvin natychmiast osłabił kontrolę nad układem głosowym swego gospodarza.

— To również nie jest odpowiednia chwila. Może nie zauważyłeś, ale właśnie przeprowadzamy operację chirurgiczną.

— Otóż właśnie o tej operacji chciałbym porozmawiać.

— Tylko się skracaj.

— Oni chyba nie zakładają, że operacja się powiedzie.

Sylveste zauważył, że jego ręce — którymi sterował Calvin — nie przestały pracować. Wiedział, że w pobliżu stoi Volyova i czeka na instrukcje.

— O czym ty mówisz, do cholery? — subwokalizował.

— Uważam, że Sajaki to bardzo niebezpieczny człowiek.

— Świetnie… ja też tak uważam. Ale mimo to z nim współpracujesz.

— Przede wszystkim jestem mu wdzięczny. Przecież mnie uratował — stwierdził Calvin. — Zacząłem się jednak zastanawiać, jak sprawy wyglądają z jego punktu widzenia. Czy przypadkiem nie jest trochę stuknięty? Każdy normalny człowiek już wiele lat temu pozwoliłby kapitanowi umrzeć. Sajaki, jakiego poznałem ostatnim razem, był ogromnie lojalny, ale przynajmnej w jego walce można się było dopatrzyć sensu. Wtedy istniała nadzieja, że kapitana da się uratować.

— A teraz jej nie ma?

— Zaatakował go wirus, z którym nie poradzono sobie na Yellowstone, rzucając do walki wszelkie dostępne zasoby. Trzeba przyznać, że sami zostali przez ten wirus zaatakowani, ale przez całe miesiące utrzymywały się nietknięte enklawy, gdzie za pomocą technik równie zaawansowanych jak nasza usiłowano znaleźć lekarstwo, a jednak się to nie udało. Nie wiemy, w jakie ślepe zaułki wtedy zabrnięto ani czy istniały obiecujące metody leczenia, które mogłyby zadziałać, gdyby ludzie mieli nieco więcej czasu na próby.

— Powiedziałem Sajakiemu, że potrzebny mu cudotwórca. Nie

uwierzył mi, ale to już jego sprawa.

— Według mnie problem polega na tym, że on ci uwierzył. Właśnie to miałem na myśli, gdy mówiłem, że nie spodziewają się powodzenia operacji.

W tym momencie Sylveste akurat patrzył na kapitana — Całym tak to przemyślnie urządził. Widząc przed sobą chorego, doznał olśnienia. Calvin ma całkowitą rację. Mogli dokonać wstępnych zabiegów, ustalić, jak bardzo zniszczone jest ciało kapitana, ale nigdy nie posuną się dalej. Mogą stosować rozmaite pomysłowe i wyrafinowane techniki, ale i tak nie odniosą sukcesu. Albo — co będzie dla nich bardziej brzemienne w skutki — nie pozwoli im się na odniesienie sukcesu. A najbardziej go niepokoiło, że to Calvin odkrył ten fakt. Calvin dostrzegł coś, co dla Sylveste'a było przedtem wciąż niejasne i nagle stało się oczywiste, wstrząsająco oczywiste.

— Uważasz, że nam przeszkodzi?

— Sądzę, że już to zrobił. W czasie naszego pobytu na statku obaj zauważyliśmy, że narośl powiększa się coraz szybciej, ale uznaliśmy to za przypadek albo za wytwór naszej wyobraźni. Myślę jednak, że Sajaki dopuścił do ogrzania kapitana.

— Tak… też doszedłem do takiego wniosku. Ale poza tym są przecież inne dowody.

— Biopsja. Próbki tkanki, o które prosiłem.

Sylveste wiedział, o co mu chodzi. Drony, które wysłali po próbki komórek, były teraz częściowo trawione przez zarazę.

— Nie wierzysz, że to przypadkowa awaria techniczna? Podejrzewasz Sajakiego?

— Albo kogoś z jego załogi.

— Ją?

Sylveste czuł, że patrzy na kobietę.

— Nie — odparł Calvin, wydając przy tym zupełnie niepotrzebny pomruk. — Nie. To wcale nie znaczy, że jej ufam, ale z drugiej strony nie widzę jej w roli automatycznej marionetki Sajakiego.

— O czym mówisz? — Volyova podeszła do nich.

— Nie podchodź za blisko — powiedział Calvin przez Sylveste'a, który chwilowo nie był w stanie wydobyć z siebie własnego głosu, choćby subwokalnie. — Nasze badanie może spowodować rozsianie sporów zarazy, a przecież nie chciałabyś ich wdychać.

— Nie zaszkodzą mi — odparła Volyova. — Jestem brezganik. Nie mam w sobie nic, co zaraza mogłaby dosięgnąć.

— Więc dlaczego jesteś taka napuszona?

— Bo jest zimno, svinoi. — Przerwała na chwilę. — Zaraz, zaraz, z którym z was teraz rozmawiam? Z Calvinem, tak? W takim razie powinnam odzywać się do ciebie z odrobinę większym szacunkiem, bo to przecież nie ty żądasz od nas okupu.

— Jesteś zbyt uprzejma. — Sylveste stwierdził, że to on się odezwał.

— Mam nadzieję, że wypracowaliście już jakąś metodę leczenia. Triumwir Sajaki nie będzie zadowolony, jeśli nie dotrzymacie obietnicy.

— Triumwir Sajaki może być częścią naszego problemu — powiedział Calvin.

Podeszła bliżej, choć wyraźnie drżała, gdyż nie miała ochrony cieplnej takiej jak Sylveste.

— Chyba nie zrozumiałam…

— Czy rzeczywiście sądzisz, że Sajakiemu zależy na wyleczeniu kapitana?

Patrzyła na niego tak, jakby ją spoliczkował.

— A dlaczego miałoby mu nie zależeć?

— Dość długo dowodził statkiem i zdążył do tego przywyknąć. Ten wasz Triumwirat to farsa. Sajaki jest tu faktycznie kapitanem. Ty i Hegazi o tym wiecie. Nie zrezygnuje z tego bez walki.

Odpowiedź padła zbyt szybko, by brzmiała wiarygodnie:

— Na twoim miejscu skupiłabym się na pracy, a nie spekulowała na temat życzeń Triumwira. To przecież on cię tu sprowadził. Przeleciał lata świetlne po twoje usługi. Po co by to robił, gdyby mu nie zależało na powrocie kapitana na stanowisko?

— Zrobi wszystko, by nam się nie powiodło — stwierdził Cal. — Tymczasem znajdzie jakiś promyk nadziei, coś lub kogoś, kto będzie potrafił wyleczyć kapitana. O ile coś takiego istnieje. I zanim się zorientujesz, będziesz na następnej stuletniej wyprawie.

— Jeśli jest tak, jak mówicie — odparła powoli, jakby z obawy przed pułapką — to dlaczego Sajaki nie zabił już wcześniej kapitana? To by mu zagwarantowało stanowisko.

— Ponieważ wówczas musiałby wymyślić, do czego was użyć.

— Użyć?

— Właśnie, tylko pomyśl. — Calvin puścił narzędzia chirurgiczne i odszedł od kapitana niczym aktor, który przygotowuje się do wyjścia w zasięg jupitera, by wygłosić monolog. — Wyprawa, której celem jest uleczenie kapitana, to jedyny bóg, któremu potraficie służyć. Może kiedyś był to środek do celu… ale ten cel nigdy się nie pojawił, a potem już i tak nie miało to znaczenia. Dysponujecie bronią. Wiem o niej wszystko, nawet o tych jednostkach broni, o których wolałabyś nie mówić. Obecnie jest ona tylko elementem przetargowym, gdy potrzeba wam kogoś takiego jak ja, kogoś kto potrafi zastosować procedury medyczne bez rzeczywistego rezultatu. — Calvin zamilkł na kilka sekund i Sylveste był z tego bardzo zadowolony. Mógł odsapnąć i zwilżyć usta. — Jeśli Sajaki nagle zostałby kapitanem, jaki krok by wykonał? Ty masz broń… ale przeciw komu jej użyjecie?

Musielibyście natychmiast wymyślić jakiegoś wroga. Może nawet nie mieliby tego, co wam potrzeba… ale przecież to wy macie statek. Czego wam trzeba? Wrogów ideologicznych? W tym trudność, bo nie zauważyłem wśród was przywiązania do żadnej ideologii, być może poza ideą własnego przeżycia. Według mnie Sajaki w głębi duszy wie, co się stanie. Wie, że jeśli zostanie kapitanem, wcześniej czy później będziecie musieli użyć tych broni, bo one po prostu istnieją. I nie w takiej drobnej interwencji, jaką zademonstrowaliście na Resurgamie. Tym razem pokazalibyście, co potraficie, i zastosowali te swoje straszydła.

Volyova odparła błyskawicznie. Na Sylveste'em już raz to zrobiło wrażenie.

— A zatem powinniśmy być wdzięczni Triumwirowi Sajakiemu. Nie uśmiercając kapitana, trzyma nas z dala od przepaści. — Mówiła to jednak jako advocatus diaboli, wypowiadała te argumenty na głos tylko po to, by uwypuklić, jak są heretyckie.

— Tak — stwierdził Calvin z powątpiewaniem. — Chyba masz rację.

— W nic z tego nie wierzę — powiedziała z nieoczekiwaną żarliwością. — Gdybyś był jednym z nas, same myśli tego rodzaju byłyby zdradą.

— Jak sobie chcesz. Ale my mamy dowody na to, że Sajaki chce sabotować operację.

Ciekawość przemknęła przez jej twarz, ale Volyova skutecznie ją stłumiła.

— Nie interesują mnie twoje paranoiczne podejrzenia, Calvinie — zakładając, że rozmawiam z CaMnem. Wobec Dana mam zobowiązanie — dowieźć go na Cerbera. A tobie mam pomóc w operacji. Dyskusje na inne tematy są zbyteczne.

— Zakładam więc, że masz retrowirus?

Sięgnęła do kurtki i wyjęła fiolkę.

— Działa przeciw małym próbkom narośli, które zdołałam wyizolować i utrzymać w hodowli. Zupełnie inna sprawa, czy zadziała przeciwko temu wszystkiemu.

Sylveste poczuł, jak dłonie wysunęły mu się nagle, by chwycić rzuconą przez Volyovą fiolkę. Mały szklany autoklaw przywołał przelotne wspomnienie fiolki, którą niósł przed swym ślubem.

— Robić z tobą interesy to przyjemność — oświadczył Calvin.

Volyova, nim sobie poszła, przekazała Calvinowi — czy też Danowi Sylveste'owi; nie mogła się zorientować, z którym z nich miała w istocie do czynienia — jasne instrukcje, jak obchodzić się z antidotum. Stosunki, jakie łączyły ją z Sylveste'em, przypominały układ farmaceuta-lekarz. Ona skomponowała środek, który działał w warunkach laboratoryjnych, udzieliła wyczerpujących wskazówek, jak

go dawkować, ale ostateczne rozstrzygnięcia, prawdziwe życiowe decyzje należały wyłącznie do chirurga, a Volyova nie zamierzała się w to wtrącać. Przecież gdyby metoda leczenia nie była tak ważna, nie trzeba by sprowadzać Sylveste'a na pokład. Retrowirus stanowił tylko jeden z elementów kuracji, choć mógł się okazać decydujący.

Pojechała windą na mostek. Usiłowała nie myśleć o tym, co Calvin (to przecież był on, no nie?) powiedział jej o Sajakim. Jednak to, co usłyszała, miało wewnętrzną logikę. A co Volyova mogła sądzić o domniemanym sabotażu? Omal się nie odważyła, by zadać pytanie, ale być może obawiała się, że usłyszy argumenty nie do obalenia. Powiedziała Calvinowi — i była to w pewnym sensie prawda — że nawet myślenie w taki sposób jest zdradą.

Jednak pod wieloma względami już dopuściła się zdrady.

Sajaki — to pewne — zaczynał mieć co do niej wątpliwości. Volyova nie zgadzała się z nim w kwestii potrzeby sondowania umysłu Khouri. A sprawą większego kalibru było zamontowanie systemu, który miał ją zaalarmować, gdy Sajaki użyje sprzętu. Nie było to działanie zaniepokojonej profesjonalistki, ale coś, co świadczyło o cichej paranoi, strachu i nienawiści w zarodku. Na szczęście zdążyła dotrzeć do pokoju. Sonda nie spowodowała żadnych trwałych uszkodzeń, a Sajakiemu nie udało się zapewne wystarczająco szczegółowo zmapować obszarów neuronowych, by uzyskać wyraźny obraz podejrzanych wspomnień; otrzymał najwyżej rozmazany ogólny obraz. Obecnie Sajaki zachowa większą ostrożność, pomyślała. Niedobrze byłoby tracić teraz zbrojmistrza. Ale co, jeśli Sajaki skieruje swe podejrzenia przeciw samej Volyovej? Jeśli zastosuje sondowanie? Nie będzie miał wyrzutów sumienia; najwyżej z tego powodu, że zupełnie zniszczy resztki istniejącego między nimi poczucie równości. Volyova nie miała żadnych implantów, które można by uszkodzić. A ponieważ prace na pokładzie „Lorean" biegły teraz automatycznie, Volyova nie była już dla Sajakiego tak bardzo użyteczna jak poprzednio.

Spojrzała na bransoletę. Nie spodziewała się, że mała drzazga, którą wyjęła z głowy Khouri, sprawi tyle kłopotów. Teraz, gdy skład i rozkład naprężeń zostały w zasadzie rozszyfrowane, Volyova poprosiła statek, by skojarzył tę próbkę z zasobami swej pamięci. Volyova podejrzewała, że instalacja drzazgi to robota Manoukhiana, i ta hipoteza okazała się dość celna, gdyż odłamek na pewno nie pochodził ze Skraju Nieba. Statek nadal szukał, rył coraz głębiej w swej pamięci. Teraz przedzierał się przez dane techniczne sprzed prawie dwóch wieków. To absurdalne, żeby grzebać w aż takich starociach. Ale dlaczegóż by zatrzymywać się w tym miejscu? Za kilka godzin statek sprawdzi dane z okresu powstania kolonii, tych kilka zapisów, które przetrwały z ery Amerikano. Volyova będzie mogła przynajmniej

powiedzieć Khouri, że przeprowadziła pełne przeszukiwanie, nawet jeśli okazało się bezowocne.

Weszła na mostek. Sama.

W olbrzymim ciemnym pomieszczeniu błyszczał tylko sferyczny displej, stale nastawiony na schemat całego układu podwójnego Delta Pawia-Hades. Na mostku nie było innych członków załogi (z tych kilku, którzy jeszcze żyli, pomyślała) i nie wezwano umarłych z zarchiwizowanego dziedzictwa, by podzielili się swymi opiniami w językach, którymi już nikt prawie nie mówił. Korzystna samotność. Volyova nie chciała obecności Sajakiego — zwłaszcza Sajakiego — a towarzystwo Hegaziego niezbyt sobie ceniła. Nie miała nawet ochoty rozmawiać z Khouri. Nie teraz. Gdy przebywała z Khouri, dręczyło ją zbyt wiele pytań, umysł musiał poświęcać się problemom, którymi Volyova nie zamierzała się zajmować. Teraz przynajmniej przez kilka minut — samotna — może pogrążyć się w swym żywiole i zapomnieć o wszystkim, co groziło przekształceniem porządku w chaos.

Mogła być ze swymi wspaniałymi broniami.

Przekształcony statek „Lorean" opadł na jeszcze niższą orbitę, nie wywołując reakcji Cerbera, choć od powierzchni planety dzieliło go zaledwie dziesięć tysięcy kilometrów. Nazwała ten wielki stożkowaty obiekt „przyczółkiem", gdyż taką teraz pełnił rolę. Inni uważali go za broń Volyovej. Obiekt miał cztery tysiące metrów długości, niemal tyle ile Światłowiec, który go zrodził. Konstrukcja była dość porowata, nawet ściany kadłuba przypominały plaster miodu, w którego dziurach leżały złogi spreparowanego militarnego cyberwirusa, budową przypominającego antidotum przeznaczone dla kapitana. W otworach ścian tkwiły jednostki potężniejszej broni energetycznej i pociskowej. Cały statek był pokryty kilkumetrową warstwą hiperdiamentu — miała ofiarnie sczeznąć przy zderzeniu z planetą. Fale uderzeniowe pognają wzdłuż przyczółka, ale piezoelektryczne obrzeże spowoduje, że ich energia wysączy się i może zostać skierowana do systemu broni. Prędkość zderzenia będzie stosunkowo niewielka — mniejsza niż kilometr na sekundę — ponieważ przyczółek zacznie gwałtownie hamować przed przebiciem skorupy. A sama skorupa zostanie wcześniej osłabiona, gdyż poza przednimi armatami przyczółka Volyova zamierzała wykorzystać bronie kazamatowe w takim zakresie, na jaki wystarczy jej odwagi.

Skontaktowała się z bronią za pomocą bransolety. Rozmowa nie była specjalnie fascynująca. Osobowość sterująca urządzeniem była bardzo prymitywna — istniała tylko kilka dni i niczego innnego nie należało się spodziewać. W jakimś sensie Volyova wolała myśleć, że urządzenie ma ptasi móżdżek, gdyż w przeciwnym wypadku mogłyby wpaść mu do głowy pomysły zastrzeżone dla osób lepszych od niej. Ponadto przyczółkowi nie pozostało zbyt wiele czasu na napawanie się

swą rozumnością.

Znaki tańczące na sferze informowały, że przyczółek jest gotów. Volyova musiała ufać danym systemu sprawozdawczego, gdyż nie znała wielu cech broni. Początkowo nakreśliła tylko podstawowe założenia, ale samą pracę wykonały autonomiczne programy konstrukcyjne, które nie informowały jej o wszystkich napotkanych po drodze problemach technicznych i metodach ich rozwiązania. Ale choć nie wszystko wiedziała o przyczółku, była jak matka, która powołała dziecko do życia, nie znając dokładnie położenia wszystkich arterii i nerwów, czy choćby biochemii metabolizmu. A przecież nie umniejszało to faktu, że to jej dziecko.

Dziecko czekała przedwczesna, nikczemna śmierć, ale w żadnym razie nie będzie to śmierć daremna.

Bransoleta zaćwierkała. Volyova spodziewała się zalewu technicznych parametrów z przyczółka, informacji o ostatnich zmianach, wprowadzanych przez nadal aktywne w rdzeniu systemy powielania.

Komunikat pochodził jednak od statku, który znalazł w bazie danych odpowiednik drzazgi. Musiał przeszukać pliki sprzed ponad dwóch wieków, ale mimo to znalazł odpowiednik. Jeśli pominąć rozkład naprężeń, które zapewne pojawiły się po wyprodukowaniu odłamka, zgodność cech była całkowita, odchylenia nigdzie nie przekraczały błędu pomiaru.

Volyova nadal siedziała sama na mostku.

— Daj mi to na displej — powiedziała.

W sferze pojawił się obraz drzazgi w świetle widzialnym. Seria powiększeń — najpierw obraz z mikroskopu elektronowego, ukazany w szarych barwach, pokazywał storturowaną strukturę krystaliczną odłamka, potem wielobarwny obraz ATM w skali atomowej z plamami pojedynczych atomów. W osobnym oknie wyskoczył wykres krystalografu w promieniach rentgenowskich i spektrografu masowego, wraz z olbrzymią ilością parametrów technicznych. Volyova nie zwracała na nie uwagi — znała je dobrze, gdyż wcześniej sama przeprowadziła większość pomiarów.

Czekała, aż cały displej się przesunie i obok pojawią się podobne obrazy, ułożone wokół drzazgi zbliżonego wyglądem materiału, identycznego na poziomie atomowych powiększeń, ale bez naprężeń. Składniki, proporcje izotopów i własności sieci krystalicznej były identyczne: mnóstwo fulerenów splątanych w strukturalne odmiany alotropowe, przeplatało się przez oszałamiająco skomplikowaną matryce ułożonych kanapkowo warstw metalu i dziwacznych stopów. Ćwieki itru i skandu, gulasz ze śladowych ilości transuranowców z wysepek stabilności, odpowiedzialnych prawdopodobnie za tajemną żywotność tego niezwykłego odłamka. A jednak Volyova doszła do

wniosku, że na statku znajdują się dziwniejsze substancje; ona sama kilka z nich zsyntetyzowała. Drzazga była czymś niezwykłym, ale stanowiła na pewno twór ludzkiej techniki: nici fulerenowe to typowy znak demarchistów, a transuranowce ze stabilnych wysepek były w modzie w dwudziestym czwartym i dwudziestym piątym wieku.

Prawdę mówiąc, odłamek był zrobiony z takiej materii, z jakiej w tamtej epoce mógł być zrobiony kadłub pojazdu kosmicznego.

Statek chyba też tak sądził. Co Khouri robiła z kawałkiem statkowego kadłuba schowanego w jej głowie? Jaką wiadomość chciał przekazać Manoukhian? Może się myliła i Manoukhian wcale nie miał z tym nic wspólnego? Chyba że to był bardzo szczególny pojazd kosmiczny…

Wszystko na to wskazywało. Techniki były typowe dla tej epoki, ale materię tego wyjątkowego odłamka wyprodukowano, stosując węższe przedziały tolerancji, wymaganych nawet dla zastosowań wojskowych. Gdy Volyova przeanalizowała wyniki, zrozumiała, że odłamek mógł pochodzić tylko z jednego typu statku: ze statku kontaktowego należącego do Instytutu Sylveste'a Badań nad Całunnikami.

Szczegółowe dane dotyczące proporcji izotopów dowodziły, że mogło chodzić o jeden specjalny statek: statek kontaktowy, ten którym Sylveste dotarł do Całunu Lascaille'a. Volyovej na razie wystarczało to odkrycie. Stanowiło jeszcze jedno potwierdzenie, że Mademoiselle ma coś wspólnego z Sylveste'em. Ale Khouri już o tym wiedziała, a zatem przesłanie miało przekazywać coś głębszego. Oczywiście Volyova dostrzegła, co to takiego. Jednak przez chwilę była przerażona doniosłością swych wniosków. To chyba nie może być ona? Nieprawdopodobne, by przeżyła wypadek przy Całunie Lascaille'a. Ale Manoukhian mówił Khouri, że spotkał swą chlebodawczynię w kosmosie. I niewykluczone, że jej hermetyckie przebranie miało maskować zniekształcenia znacznie poważniejsze niż jakiekolwiek deformacje Parchowej Zarazy.

— Pokaż mi Carine Lefevre — powiedziała Volyova, wywołując imię kobiety uznanej za zmarłą podczas wyprawy do Całunu.

Jej twarz, ogromna jak twarz bogini, była zwrócona ku Volyovej. Kobieta była młoda i niewielki fragment postaci widoczny poniżej głowy sugerował, że miała na sobie ubranie w stylu belle epoque na Yellowstone, z okresu splendoru przed nastaniem Parchowej Zarazy. Twarz wydała jej się znajoma; Volyova doszła do wniosku, że już kiedyś widziała tę kobietę. Widziała ją w wielu reportażach historycznych, a w każdym twierdzono, że osoba ta zginęła dawno temu, zamordowana przez obce siły niedostępne ludzkiemu pojmowaniu.

Oczywiście teraz było jasne, co spowodowało naprężenia. Pływy

grawitacyjne wokół Całunu Lascaille'a ścisnęły materię tak, że aż krwawiła.

Wszyscy sądzili, że Carine Lefevre umarła w ten sam sposób.

— Svinoi — powiedziała Triumwir Ilia Volyova. Teraz nie miała wątpliwości.

Już jako dziecko Khouri zauważyła, że coś się dzieje, gdy dotyka bardzo gorącego przedmiotu, na przykład lufy karabinu, który właśnie wystrzelał cały magazynek. Pojawiał się ostrzegawczy błysk bólu, tak krótki, że nawet trudno było to nazwać bólem. Zaledwie zapowiedź bólu, który miał za chwilę nadejść. Potem to wstępne wrażenie mijało, następowała chwila bez żadnych odczuć, wtedy Khouri cofała dłoń od gorącego przedmiotu, ale było już za późno, prawdziwy ból atakował i nie można mu było zapobiec, najwyżej się nań przygotować, jak gospodarz gotuje się na nieuniknioną wizytę gościa. Oczywiście ból nigdy nie był zbyt dotkliwy, a na dłoni nie zostawał nawet ślad po oparzeniu. Zawsze jednak zastanawiała się: jeśli impuls ostrzegawczy wystarczył, by skłonić ją do cofnięcia ręki, jaki cel miało to nadciągające później tsunami prawdziwego bólu? Po co się pojawiało, skoro zaalarmowana zabrała dłoń z niebezpiecznego miejsca? Później dowiedziała się, że solidnie umotywowany psychologiczny mechanizm uzasadnia to opóźnienie między dwoma ostrzeżeniami, ale i tak wydawał jej się on dość złośliwy.

Khouri właśnie tak się teraz czuła, gdy siedziała w komorze pajęczej z Volyovą, która powiedziała jej, że twarz należy do Carine Lefevre. Odczuła krótki ostrzegawczy wstrząs, jakby echo z przyszłości, zapowiadające prawdziwy szok, który miał nadejść. Słabe echo… a potem całkowita cisza.

Wreszcie uderzenie z prawdziwą siłą.

— Jakim cudem to może być ona? — spytała Khouri, gdy wstrząs nie tyle ustąpił, co stał się zwykłym składnikiem szumu jej tła emocjonalnego. — To niemożliwe. To bez sensu.

— Przeciwnie — odparła Volyova — sensu jest w tym aż nazbyt wiele. Nie możemy tego ignorować.

— Wszyscy wiemy, że ona zginęła! Nie na Yellowstone, ale gdzieś w pół drogi na drugi kraniec skolonizowanego kosmosu. Umarła, została zabita. To nie może być ona.

— A jednak uważam, że to ona. Manoukhian powiedział, że znalazł ją w przestrzeni. Więc może to prawda. Może znalazł Carine Lefevre dryfującą w pobliżu Całunu Lascaille'a. Chciał ratować coś z wraku jednostki Instytutu Sylveste'a i uratował Carine, a potem zabrał ją na Yellowstone. — Volyova zamilkła, ale nim Khouri zdążyła jej odpowiedzieć, już mówiła dalej: — To logiczne, prawda? Występuje tu przynajmniej jakiś związek z Sylveste'em… może nawet motyw, jakim Carine się kieruje, chcąc go zabić.

— Iłia, czytałam o tym, co jej się przydarzyło. Została rozerwana na strzępy przez naprężenia grawitacyjne wokół Całunu. Manoukhian nie miałby co zbierać.

— Nie… oczywiście. Chyba że Sylveste kłamał. Zwróć uwagę, że znamy wyłącznie jego relację. Nie przetrwały żadne zapisy.

— Twierdzisz więc, że ona nie umarła?

Volyova uniosła dłoń gestem, którym zawsze dawała Khouri do zrozumienia, że ta niezbyt dokładnie zrozumiała jej myśli.

— Nie… niekoniecznie. Może umarła, ale nie w taki sposób, jak to opisał Sylveste. Może nie umarła w takim sensie, jak my to rozumiemy, ale może też nie jest teraz naprawdę żywa, mimo że coś widziałaś.

— Przecież prawie nie widziałam jej postaci. Zaledwie pudełko, w którym się porusza.

— Założyłaś, że jest hermetykiem, bo jeździ w czymś, co przypomina palankin hermetyków. Ale z jej strony mogła to być celowa zmyłka.

— Rozerwało ją na strzępy, i tyle.

— Może Całun jej nie zabił? Stało się z nią coś strasznego, ale to coś utrzymało ją potem przy życiu. Może coś rzeczywiście ją uratowało?

— Sylveste by to wiedział.

— Może się do tego przed sobą nie przyznawać. Musimy z nim pogadać. Tu gdzie Sajaki nas nie będzie niepokoił. — Ledwo Volyova skończyła, zaćwierkała jej bransoleta i wypełniła się obrazem ludzkiej twarzy, na której oczy były pustymi kulami. — O wilku mowa — mruknęła Triumwir. — O co chodzi, Calvin? Rozmawiam przecież z Calvinem, prawda?

— Jeszcze tak — odparł mężczyzna. — Obawiam się jednak, że moja przydatność dla Sajakiego żałośnie się kończy.

— O czym ty mówisz? — spytała Volyova. — Muszę porozmawiać z Danem — dodała pośpiesznie. — To dość pilna sprawa, jeśli pozwolisz.

— Podejrzewam, że to, co ja mam do powiedzenia, jest znacznie pilniejsze — odparł Cal. — Chodzi o twoje antidotum. O retrowirus, który wytworzyłaś.

— Mianowicie?

— Nie działa zgodnie z założeniami. — Cofnął się nieco. W tle za nim Khouri zauważyła fragment kapitana, srebrnawy i oślizły jak rzeźba pokryta niewyraźnym ślimaczym śluzem. — Wydaje się wręcz, że go zabija jeszcze szybciej niż zaraza.

DWADZEŚCIA CZTERY

Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

Sylveste nie musiał długo czekać. Volyova przybyła w towarzystwie Khouri, dziewczyny, która uratowała jej życie na planecie. W jego planach Volyova była zmienną zakłócającą, ale Khouri była jeszcze gorsza, gdyż Sylveste do tej pory nie ustalił, po czyjej stronie Khouri się opowiada: po stronie Volyovej, Sajakiego czy jeszcze kogoś innego. Teraz, zajęty bieżącymi sprawami, odsunął te niepokoje.

— Co masz na myśli, mówiąc, że szybciej go zabija?

— Dokładnie to, co słyszałaś — powiedział Calvin przez Sylveste'a, nim Volyova i Khouri odzyskały dech. — Zastosowaliśmy go zgodnie z twoimi wskazówkami, ale reakcja była taka, jakbyśmy dodali zarazie sił witalnych. Rozprzestrzenia się szybciej niż przedtem. Wiem, że to nieprawdopodobne, ale wygląda tak, jakby retrowirus jej pomagał.

— Cholera! — zaklęła Volyova. — Wybacz. Przeżyłam kilka męczących godzin.

— To wszystko, co masz do powiedzenia?

— Przetestowałam antidotum na małych próbkach izolowanej zarazy — broniła się Volyova. — Wtedy działało. Nie obiecywałam, że na zasadniczym obiekcie okaże się to równie skuteczne… ale w najgorszym wypadku powinno pomóc, choćby w ograniczonym stopniu. Zaraza musi przecież wydatkować część swych zasobów na zwalczenie antidotum. Pewną porcję energii, normalnie zużywaną na ekspansję, musi skierować na opór przeciw retrowirusowi. Miałam nadzieję, że zostanie zabita… jakoś zdegenerowana do formy, którą da się manipulować… ale nawet w pesymistycznej ocenie zakładałam, że zaraza nabawi się przeziębienia i jej rozwój wyraźnie się spowolni.

— Nie obserwujemy tego — stwierdził Calvin.

— Ilia ma rację — wtrąciła Khouri i Sylveste spojrzał na nią wściekle, jakby w ogóle nie rozumiał, po co ona istnieje.

— A co obserwujecie? — spytała Volyova. — Rozumiesz, że jestem tym dość zainteresowana.

— Przestaliśmy stosować ten środek — wyjaśnił Calvin — wiec na razie wzrost się ustabilizował. Ale gdy podaliśmy kapitanowi antidotum, zaczął się szybciej rozrastać. Jakby wcielał antidotum w swoją matrycę szybciej, niż przetwarzał substancję statku.

— To dziwne — odparła Volyova. — Statek nawet się nie opiera

zarazie. Skoro kapitan puchnie szybciej… to by znaczyło, że antidotum poddaje się, przekształca szybciej, niż zaraza zdoła je dopaść.

— Jak żołnierze na froncie, którzy dezerterują, nim usłyszą propagandę wroga — stwierdziła Khouri.

— Właśnie — odparła Volyova, a Sylveste po raz pierwszy wyczuł, że między tymi dwiema kobietami istnieje jakiś podejrzany wzajemny szacunek. — Ale to po prostu niemożliwe. Żeby tak było, zaraza, musiałaby zaanektować procedury replikacyjne bez próby… prawie tak, jakby one dały się dobrowolnie zaanektować. Nie, powtarzam: to niemożliwe.

— Więc sama spróbuj.

— Nie, dziękuję. Nie żebym ci nie wierzyła, ale spójrz na to z boku. Z mojego punktu widzenia… a to przecież ja skonstruowałam to cholerne lekarstwo… to nie ma sensu.

— A jednak coś w tym jest — rzekł Calvin.

— Co?

— Może sabotaż? Mówiłem ci już, że według mnie komuś zależy na tym, by operacja się nie udała. Wiesz, kogo mam na myśli. — Zachowywał ostrożność, nie chcąc zbyt wiele powiedzieć w obecności Khouri albo w zasięgu podsłuchu Sajakiego. — Czy to możliwe, że ktoś manipulował w twoim antidotum?

— Muszę się nad tym zastanowić — odparła.

Sylveste nie wykorzystał całej fiolki, Volyova mogła więc porównać strukturę molekularną tego, co zostało, oraz innych partii, które miała u siebie w laboratorium. Wykorzystała do tego to samo narzędzie, dzięki któremu analizowała drzazgę z głowy Khouri. Porównała próbkę z partią z laboratorium; okazały się identyczne w zwykłych granicach dokładności kwantowej. Porcja, którą Calvin zaaplikował kapitanowi, była dokładnie taka, jak ją zaprojektowała Volyova; zgadzało się wszystko, nawet najsłabsze wiązania chemiczne między najmniej znaczącymi atomami w najmniejszych i najmniej ważnych składnikach molekularnych…

Volyova porównała strukturę antidotum z informacjami w swoich archiwach i zauważyła, że jego parametry nie odbiegały od szkiców, które miała w głowie przez subiektywne lata. Wirus był dokładnie taki, jak zaplanowała. Nikt w nim nie majstrował. Nie wyrwał mu zębów. Nie potwierdziła się teoria Calvina. Volyova poczuła ulgę; nie chciała wierzyć, że Sajaki uprawia sabotaż. Zbyt odrażające było podejrzenie, że Triumwir specjalnie przedłuża proces leczenia kapitana. Teraz cieszyła się, gdy wyniki analizy pozwoliły jej obalić tę hipotezę. Oczywiście nadal nie dowierzała Sajakiemu, ale przynajmniej nie znalazła dowodów, że jest potworem.

Istniała jednak jeszcze jedna możliwość.

Volyova opuściła laboratorium i poszła do kapitana, klnąc siebie; gdyby pomyślała o tym wcześniej, zaoszczędziłaby sobie bieganiny. Sylveste spytał, co Volyova teraz robi. Długo na niego patrzyła, nim odparła, że według niej to ma związek z Całunem Lascaille'a. Czy była to po prostu zemsta ze strony Mademoiselle, zapłata za jego tchórzostwo, zdradę, za postępek, który niemal ją zabił na granicy Całunu? Czy to może coś więcej, coś bezpośrednio związanego z obcymi, ze starożytnymi, ochronnymi umysłami, które Lascaille dotknął podczas swego przelotu? Czy mieli tu do czynienia z wrogim działaniem człowieka, czy z jakimś imperatywem, tak obcym i dawnym jak sami Całunnicy? O wielu sprawach musiała porozmawiać z Sylveste'em, ale mogli to zrobić tylko w zaciszu komory pajęczej.

— Potrzebna mi jeszcze jedna próbka — powiedziała. — Z brzegu narośli, tam gdzie zastosowaliście antidotum. — Wyjęła laserową łyżeczkę, zrobiła delikatne nacięcia i do autoklawy pobrała próbkę, która przypominała metaliczny strup.

— A czy antidotum zostało zmienione? — spytał Sylveste.

— Nikt go nie ruszał — odparła Volyova. Nagle opuściła czerpak łyżeczki i wydrapała nim maleńkie litery na ściankach, tuż przed narośla kapitana. Rozlewająca się narośl zasłoni te wiadomość, nim Sajaki będzie miał okazję ją przeczytać.

— Co robisz? — spytał Sylveste.

Nie zdążył zadać następnego pytania — Volyova odeszła.

— Miałeś rację — powiedziała, gdy siedzieli bezpiecznie poza kadłubem „Nostalgii za Nieskończonością", w skorupie przypominającej stalowego pasożyta na spacerze. — To był sabotaż. Ale nie taki, jak to sobie początkowo wyobrażałam.

— Co masz na myśli? — spytał Sylveste. Niechętnie przyznawał, że istnienie pajęczej komory zrobiło na nim wrażenie. — Sądziłem, że sprawdziłaś retrowirusa, porównałaś go z poprzednimi partiami antidotum, które testowałaś w swoim laboratorium na małych próbkach narośli.

— Owszem i, jak mówiłam, nie było różnicy. Zostaje zatem jedyna możliwość.

Zaległa cisza. Wreszcie przerwała ją Pascale Sylveste.

— On… to… musiało zostać uodpornione. Prawda? Ktoś wykradł dawkę retrowirusa i go zneutralizował, pozbawił cech zabójczych, zdolności agresywnego namnażania… a potem zaaplikował go Parchowej Zarazie.

— Tak, tylko to wyjaśnia nasze obserwacje — odparła Volyova.

— Według ciebie zrobił to Sajaki. — Khouri zwracała się do Sylveste'a.

Skinął głową.

— Calvin przewidywał, że Sajaki będzie próbował sabotować

operację.

— Nie rozumiem — stwierdziła Khouri. — Mówiłeś, że kapitan został uodporniony… czy to nie pomaga?

— Nie w tym wypadku… a poza tym to w zasadzie nie kapitan został uodporniony, ale żyjąca na nim zaraza — wyjaśniła Volyova. — Zawsze wiedzieliśmy, że Parchowa Zaraza jest hiperadaptacyjna. Zawsze był z tym problem. Wszystkie bronie molekularne, jakimi chcieliśmy ją pokonać, zaraza wcielała i przerabiała na swoje środki ofensywne. Tym razem miałam nadzieję, że zyskaliśmy przewagę. Retrowirus posiadał nadzwyczajną żywotność i był szansą przechytrzenia zarazy. Ale ona zapoznała się ukradkiem z wrogiem, nim zetknęła się z jego czynną formą. Mogła go rozbroić i poznać antidotum, nim w ogóle została zagrożona. Nim Calvin zaaplikował lek, zaraza już wiedziała o wszystkich trikach medykamentu. Potrafiła wypracować metody rozbrojenia wirusa i nakłonienia go, by przyłączył się do niej, i nawet nie wydatkowała na to żadnej energii. Więc kapitan rósł coraz szybciej.

— Kto mógł to zmajstrować? — spytała Khouri. — Sądziłam, że ty jesteś na statku jedyną osobą, która potrafi robić takie rzeczy.

Sylveste skinął głową.

— Chociaż nadal uważam, że Sajaki próbuje sabotować operację… to nie wygląda mi to na jego robotę.

— Zgadzam się — stwierdziła Volyova. — Sajaki po prostu się na tym nie zna.

— A ten drugi? Ten chimeryk? — spytała Pascale.

— Hegazi? — Volyova pokręciła głową. — Jego można pominąć. Mógłby sprawić kłopoty, gdyby któreś z nas wystąpiło przeciw Triumwiratowi, ale on, jak Sajaki, nie ma należytej wiedzy. Nie, według mnie na statku są tylko trzy osoby, które potrafiłyby zrobić coś takiego, i ja jestem jedną z nich.

— A pozostałe dwie? — spytał Sylveste.

— Calvin… ale on też jest raczej poza podejrzeniem.

— A ten trzeci?

— W tym jest trudność — stwierdziła Volyova. — Trzecią osobą, która potrafiłaby majstrować przy cyberwirusie, jest ten, którego cały czas próbujemy leczyć.

— Kapitan? — spytał Sylveste.

— Mógłby to zrobić… teoretycznie. — Volyova cmoknęła. — Gdyby nie był w zasadzie martwy.

Khouri zastanawiała się, jak na to zareaguje Sylveste. Nie sprawiał wrażenia osoby zbyt poruszonej.

— Nie ma znaczenia, kto to zrobił. Jeśli nie Sajaki osobiście, to ktoś w jego imieniu. — Teraz zwracał się do Volyovej: — Zakładam, że to cię przekonuje.

Skinęła głową.

— Niestety tak. A jakie to ma znaczenie dla ciebie i Cah/ina?

— Dla nas? — Sylveste okazał zdziwienie. — Nie ma żadnego znaczenia. Przede wszystkim nigdy nie obiecywałem, że uleczymy kapitana. Powiedziałem Sajakiemu, że uważam zadanie za niemożliwe, i nie przesadzałem. Calvin zgadzał się ze mną. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy Sajaki w ogóle musiał sabotować operacje. Nawet gdyby twój retrowirus nie został unieszkodliwiony, i tak niespecjalnie zaszkodziłby narośli. Zatem nic się nie zmieniło. Razem z Calvinem przeprowadzimy dalej operację, udając, że leczymy kapitana, i w pewnym momencie stanie się oczywiste, że sukcesu nie osiągniemy. Nie dopuścimy, by Sajaki dowiedział się, że podejrzewamy go o sabotaż. Nie chcemy z nim konfrontacji, zwłaszcza teraz, gdy ma nastąpić atak na Cerbera. — Sylveste uśmiechnął się. — A podejrzewam, że Sajaki nie będzie specjalnie zawiedziony, gdy się dowie, że nasze wysiłki spaliły na panewce.

— Twierdzisz, że to nie ma znaczenia? — Khouri, szukając potwierdzenia, powiodła wzrokiem po zebranych, ale w ich twarzach go nie znalazła. — Nie wierzę.

— Kapitan się dla niego nie liczy — powiedziała Pascale Sylveste. — To chyba oczywiste. Leczy go tylko dlatego, by wywiązać się z umowy z Sajakim. Dla Dana najważniejszy jest Cerber, przyciąga go jak magnes. — Pascale mówiła tak, jakby jej męża z nimi nie było.

— Właśnie. Cieszę się, że poruszyłaś ten temat, ponieważ ja i Khouri chcemy z wami coś przedyskutować — rzekła Volyova. — Dotyczy to Cerbera.

Sylveste patrzył na nią pogardliwie.

— A co wy wiecie na temat Cerbera?

— Bardzo dużo — oznajmiła Khouri. — Cholernie dużo.

Zaczęła opowiadać od początku: o swym przybyciu na Yellowstone, o pracy zabójcy w Shadowplay, o tym, jak Mademoiselle ją wynajęła i jak trudno jej było odmówić propozycji Mademoiselle.

— Kim ona jest? — spytał Sylveste, gdy Khouri skończyła. — Czego od ciebie chciała?

— Dojdziemy do tego — odparła Volyova. — Bądź cierpliwy.

Khouri powtórzyła to, co niedawno mówiła Volyovej, choć miała wrażenie, że te dwie opowieści dzieli wieczność. Jak udało jej się dostać na statek i jak — równocześnie — została przechytrzona przez Volyovą, która potrzebowała nowego zbrojmistrza, niezależnie od tego, czy kandydat dobrowolnie zgłosił się do tej funkcji. Jak Mademoiselle przez cały czas tkwiła w jej głowie, udostępniając informacje po trochu. Jak Volyova podłączyła Khouri do centrali uzbrojenia i jak Mademoiselle odkryła, że w centrali coś się czai — jakiś moduł software'owy — który nazwał się Złodziejem Słońca.

Pascale spojrzała na Sylveste'a.

— To imię… coś znaczy. Mogłabym przysiąc, że już je przedtem słyszałam — stwierdziła. — Nie pamiętasz?

Sylveste patrzył na nią, ale się nie odezwał.

— Ta rzecz… już usiłowała wydostać się z centrali uzbrojenia i wejść do głowy tego biedaka, poprzedniego rekruta Volyovej — powiedziała Khouri. — Złodziej doprowadził go do szaleństwa.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną — rzekł Sylveste.

— Mademoiselle tak to zorganizowała, że ta rzecz musiała w pewnym momencie przeniknąć do centrali.

— No dobrze, i co dalej?

— A nastąpiło to wówczas, gdy ty byłeś ostatnio na pokładzie statku.

Khouri zastanawiała się przedtem, czego potrzeba, by Sylveste się zamknął, by z jego twarzy zniknął wyraz zarozumialstwa i wyższości. Teraz już wiedziała. Pośród tych wszystkich wydarzeń to małe osiągnięcie może uznać za swą nieoczekiwaną drobną przyjemność.

— I co to znaczy? — Sylveste rozwiał urok, pytając doskonale opanowanym głosem.

— Wiesz, ale nie chcesz tego przyjąć do wiadomości. — Słowa wypadały z jej ust. — Tę rzecz przywlokłeś ze sobą.

— To jakiś neuronowy pasożyt — stwierdziła Volyova, przejmując od Khouri ciężar wyjaśnień. — Dostał się wraz z tobą na pokład, a potem zagnieździł w statku. Mógł kontrolować twoje implanty albo twój umysł, niezależnie od hardware'u.

— To niedorzeczne — odparł, ale bez przekonania w głosie.

— Jeśli nie byłeś tego świadomy, mogłeś się z tym nosić przez całe lata — powiedziała Volyova. — Może nawet od swego powrotu.

— Powrotu skąd?

— Z Całunu Lascaille'a — rzekła Khouri i zauważyła, że po raz drugi jej słowa smagnęły go jak szkwał z deszczem. — Sprawdziłyśmy chronologie wydarzeń: wszystko pasuje. Ta rzecz dostała się do ciebie przy Całunie i tkwiła aż do twojego przybycia na statek. Może nawet cię nie opuściła i rozsiewa swe kawałki po całym statku, by zwiększyć swe szansę powodzenia.

Sylveste się podniósł i skinął żonie, by również wstała.

— Nie zamierzam dłużej wysłuchiwać tych bzdur.

— Sądzę jednak, że powinieneś — oznajmiła Khouri. — Nie powiedziałyśmy ci wszystkiego o Mademoiselle, o tym, czego ode mnie chciała. Co ci miałam zrobić.

Spojrzał na nią, już niemal odchodził ze zdegustowaną miną. Potem, może po minucie, usiadł z powrotem i czekał na ciąg dalszy opowieści.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

— Przykro mi, ale tego człowieka nie da się wyleczyć — stwierdził Sylveste.

Poza kapitanem byli z nim Triumwirowie Sajaki i Hegazi.

Najbliższy, Sajaki, stal przed kapitanem; złożył ramiona i patrzył z lekko przechyloną głową, jakby ogląda! nowoczesny, niezrozumiały fresk. Hegazi trzymał się od narośli z należnym dystansem. Nawet na trzy metry nie chciał się zbliżyć do jej powiększających się ostatnio granic. Starał się zachowywać nonszalancko, ale choć niewiele było widać z jego twarzy, widniał na niej tatuaż strachu.

— Nie żyje? — spytał Sajaki.

— Nie, przeciwnie — odparł pośpiesznie Sylveste. — Ale wszystkie nasze metody leczenia zawiodły, a ta, teoretycznie najlepsza, więcej mu przyniosła szkody niż pożytku.

— Teoretycznie najlepsza? — powtórzył Hegazi. Jego głos odbijał się echem.

— Antidotum liii Volyovej. — Sylveste wiedział, że musi teraz zachować najwyższą ostrożność, by Sajaki się nie zorientował, że wykryto jego sabotaż. — Nie znamy przyczyny, ale środek nie zadziałał tak, jak Volyova chciała. To nie jej wina. Nie mogła przewidzieć, jak zareaguje zasadnicza część narośli. Eksperymentowała tylko z małymi próbkami.

— Właśnie, jak mogła przewidzieć — rzekł Sajaki. Po tej krótkiej uwadze Sylveste doszedł do wniosku, że śmiertelnie nienawidzi Sajakiego. Wiedział jednak również, że może z nim pracować i, choć nim pogardzał, rozumiał, że nic, co się tu wydarzyło, nie wpłynie na atak przeciw Cerberowi. A nawet lepiej, znacznie lepiej. Teraz, gdy Sylveste miał pewność, że Sajaki nie chce wyleczenia kapitana, postanowił całą swą uwagę poświęcić atakowi. Może jeszcze przez pewien czas będzie musiał znosić Calvina w swej głowie, aż skończy się to udawanie. Cena była niewielka i Sylveste gotów był ją zapłacić. Ponadto odpowiadała mu teraz obecność Calvina. Dużo się działo, zbyt wiele informacji należało przyswoić i Sylveste doszedł do wniosku, że korzystnie jest mieć teraz drugi, pasożytujący umysł, który zbierał dane i systematycznie wyciągał z nich wnioski.

— Kłamie, drań — szepnął Calvim — Przedtem miałem wątpliwości, teraz mam pewność. Życzę mu, żeby zaraza zjadła wszystkie atomy statku i jego też pożarła. Tylko na to zasługuje.

Sylveste rzekł do Sajakiego:

— To nie znaczy, że straciliśmy nadzieję. Jeśli pozwolisz, Cal i ja nadal będziemy próbować…

— Róbcie, co się da — odparł Sajaki.

— Pozwalasz, by kontynuowali operację? — spytał Hegazi. — Po tym, co mu zrobili?

— O co ci chodzi? — spytał Sylveste. Czuł, że ta rozmowa jest jak fragment sztuki teatralnej i jej zakończenie również zostało wcześniej ustalone. — Jeśli nie zaryzykujemy…

— Sylveste ma rację — odparł Sajaki. — Nie da się przewidzieć reakcji kapitana na najbardziej niewinną nawet interwencję. Zaraza to istota żywa, nie musi stosować się do żadnych logicznych reguł, więc każde nasze działanie jest obciążone ryzykiem, nawet taki wydawałoby się nieszkodliwy zabieg jak omiatanie polem magnetycznym. Zaraza może to uznać za bodziec i przejść do nowego etapu rozwoju, ale również zabieg może spowodować, że w ciągu sekundy zaraza rozsypie się w proch. Wątpię, czy kapitan by przeżył w którymś z tych wypadków.

— Zatem równie dobrze możemy już teraz się poddać? — stwierdził Hegazi.

— Nie — odparł Sajaki, tak cicho, że Sylveste zaczął się obawiać o jego samopoczucie. — To nie znaczy, że się poddajemy. Potrzebujemy nowej, niechirurgicznej metody leczenia. Mamy tu najwybitniejszego cybernetyka, jaki się urodził po Transoświeceniu, i nikt tak nie rozumiał broni molekularnych jak Ilia Volyova. Na pokładzie tego statku znajduje się najbardziej zaawansowany sprzęt medyczny. Mimo to nie udało się, dlatego że mamy do czynienia z czymś, co jest silniejsze, szybsze i ma większą zdolność adaptacji, niż sobie wyobrażamy. Potwierdziło się to, co zawsze podejrzewaliśmy: Parchowa Zaraza pochodzi od obcych. I dlatego zawsze nas pokona, o ile nadal będziemy prowadzić wojnę na naszą modłę.

Teraz sztuka dotarła do epilogu, którego nie ma w scenariuszu, pomyślał Sylveste.

— O jakiej nowej metodzie myślisz?

— Jedynej logicznej — odparł Sajaki, jakby to, co zamierzał teraz ujawnić, zawsze było oczywiste. — Jedynym skutecznym lekarstwem przeciw obcej chorobie jest obce lekarstwo. Musimy je znaleźć. I nieważne, jak długo to potrwa ani jak daleko nas to zaprowadzi.

— Obce lekarstwo — powtórzył Hegazi, jakby przymierzając się do tego sformułowania. Może wyobrażał sobie, że w przyszłości często będzie je słyszał. — A jakie lekarstwo masz na myśli?

— Najpierw spróbujemy u Żonglerów Wzorców — oznajmił Sajaki takim tonem, jakby mówił sam do siebie i tylko luźno rozważał tę opcję. — A jeśli oni go nie uleczą, rozejrzymy się gdzieś dalej. —

Nagle spojrzał z uwagą na Sylveste'a. — Kapitan i ja odwiedziliśmy ich kiedyś. Nie tylko ty kosztowałeś wód ich oceanu.

— Nie traćmy ani sekundy więcej w towarzystwie tego wariata — powiedział Calvin, a Sylveste po cichu przyznał mu rację.

Volyova już po raz szósty czy siódmy w ciągu ostatniej godziny sprawdziła bransoletę, choć to, co ją interesowało, prawie się nie zmieniało. Bransoleta przekazała — a Volyova już to wiedziała — że katastroficzne małżeństwo przyczółka z Cerberem spełni się za niecałe pół dnia i nie wygląda na to, by ktokolwiek zgłaszał sprzeciw, a już na pewno nie widać żadnych prób przeszkodzenia temu związkowi.

— Nic ci nie da sprawdzanie co parę sekund — stwierdziła Khouri, która z Volyovą i Pascale była w komorze pajęczej. Przez kilka ostatnich godzin znajdowały się przeważnie poza kadłubem statku i wracały do wnętrza tylko po to, by odprowadzić Sylveste'a do statku. Sajaki nie dopytywał się, dlaczego nie ma Volyovej; na pewno przypuszczał, że w swojej kwaterze dopracowuje strategię ataku. Jednak za godzinę lub dwie Ilia musi się pokazać, by uniknąć podejrzeń. Potem zacznie program rozmiękczania, wyceluje broń kazamatową w miejsce, gdzie w Cerbera ma uderzyć przyczółek. Gdy Volyova odruchowo znów spojrzała na bransoletę, Khouri spytała: — Czego oczekujesz?

— Jakiejś niespodzianki ze strony broni, bardzo by się przydała porządna awaria.

— A więc naprawdę nie chcesz, by się to powiodło? — spytała Pascale. — Parę dni temu triumfowałaś, jakby to miał być twój najwspanialszy moment. A teraz… całkowita odmiana.

— Tak było, zanim się dowiedziałam, kim jest Mademoiselle. Gdybym wiedziała wcześniej… — Volyova nie miała już nic więcej do powiedzenia. Teraz stało się oczywiste, że użycie broni to akt ekstremalnej beztroski, ale czy świadomość tego coś tu zmieniała? Czy dlatego czuła się zmuszona do stworzenia broni, ponieważ potrafiła to zrobić? Ponieważ rozwiązanie było eleganckie i chciała, by jej koledzy zobaczyli, jak wspaniałe twory wyskakują z jej głowy — te bizantyjskie machiny wojenne? To straszne, ale niewykluczone. Stworzyła przyczółek, mając nadzieję, że w przyszłości przeszkodzi wykonaniu jego misji. Czyli znajdzie się dokładnie w takiej sytuacji, w jakiej jest teraz.

Przyczółek — przekształcony statek „Lorean" — hamując, zbliżał się do Cerbera. Przy powierzchni planety będzie się poruszał nie szybciej niż kula karabinowa; kula o masie miliona ton. Gdyby przyczółek z tą szybkością uderzył w powierzchnię zwykłej planety, jego energia kinetyczna dość efektywnie zamieniłaby się w ciepło, nastąpiłaby olbrzymia eksplozja i zabawka Volyovej błyskawicznie by sczezła. Ale Cerber nie był normalną planetą. Zgodnie z założeniami,

popartymi mnóstwem symulacji, sama masa powinna wystarczyć, by statek przebił się przez cienką warstwę sztucznej skorupy otaczającej wnętrze planety. Volyova nie miała pojęcia, co statek spotka, gdy się dostanie pod skorupę.

Teraz ją to przerażało. Intelektualna próżność doprowadziła Sylveste'a do tego punktu, ale Volyova nie była bez winy, bo bezkrytycznie dała się pociągnąć. Żałowała, że tak poważnie potraktowała ten projekt. Nie powinna była budować tak sprawnej broni. Teraz przerażała ją myśl, co się stanie, jeśli przyczółek jej nie zawiedzie i wykona zadanie zgodnie z założeniami konstruktora.

— Gdybym wiedziała… — rzekła wreszcie. — Ale nie wiedziałam, więc jakie to ma znaczenie?

— Gdybyś mnie słuchała… mówiłam, że musimy powstrzymać to szaleństwo — powiedziała Khouri. — Ale nie zwracałaś uwagi na moje słowa i dopuściłaś do tego wszystkiego.

— Trudno mi było stawić czoło Sajakiemu. Na poparcie miałam tylko informacje o twojej wizji w centrali uzbrojenia. Jestem pewna, że zabiłby nas obie. — Choć teraz, pomyślała, i tak mimo wszystko będą musiały wystąpić przeciw Sajakiemu; z komory pajęczej miały ograniczone możliwości i wkrótce to prawdopodobnie nie wystarczy.

— Ala gdybyś mi zaufała… — powiedziała Khouri.

Gdyby okoliczności były nieco inne, pomyślała Volyova, ostro bym zareagowała. Odpowiedziała jednak łagodnie:

— Miałabyś prawo mówić o zaufaniu, gdybyś mi nie kłamała i podstępem nie dostała się na mój statek.

— A czego ode mnie oczekiwałaś? Mademoiselle miała mojego męża.

— Czyżby? — Volyova pochyliła się. — Jesteś tego pewna? Spotkałaś go czy też był to tylko jeszcze jeden podstęp Mademoiselle? Przecież wspomnienia bardzo łatwo jest zaimplantować.

— Co masz na myśli? — spytała Khouri łagodnie, jakby między nimi dwiema nigdy nie padły ostre słowa.

— Khouri, może on tam nigdy nie dotarł. Nie przyszło ci to do głowy? Może wbrew temu, co sądziłaś, nigdy nie opuścił Yellowstone.

Pascale wetknęła głowę między obie kobiety.

— Słuchajcie, przestańcie się kłócić, dobrze? Rozdźwieki między nami to ostatnia rzecz, jakiej nam tu potrzeba. Gdybyście przypadkiem nie zauważyły, jestem na pokładzie jedyną osobą, która ani się tu nie prosiła, ani w ogóle nie chciała się znaleźć na statku.

— No, cóż, taki już pech — stwierdziła Khouri.

Pascale spojrzała na nią wściekle.

— Może zresztą to, co przed chwilą powiedziałam, nie jest całkowitą prawdą. Też mi na czymś zależy. Również mam męża i nie chcę, żeby mu się coś stało… żeby innym coś się stało… tylko dlatego,

że on tak strasznie pragnie coś osiągnąć. Dlatego jesteście mi potrzebne, obie, bo tylko wy czujecie w taki sam sposób jak ja.

— A jak ty czujesz? — spytała Volyova.

— Że to wszystko nie tak — odparła Pascale. — Od kiedy wymieniłaś to imię.

Volyova nie musiała pytać, jakie imię Pascale ma na myśli.

— Miałam wrażenie, że je rozpoznałaś.

— Oboje je rozpoznaliśmy. Złodziej Słońca to imię Amarantinów, jeden z ich bogów lub postaci mitycznych, może nawet postać historyczna. Ale Sylveste był zbyt uparty albo zbyt wystraszony, by to przyznać.

Volyova znów sprawdziła bransoletę — żadnych wiadomości. Potem wysłuchała opowieści Pascale. Dobrze skomponowanej opowieści, bez wstępu, bez opisów; Pascale oszczędnie nakreśliła kilka starannie wybranych faktów i Volyova wszystko sobie wyobraziła. Teraz zrozumiała, dlaczego Pascale kierowała pracami nad biografią Sylveste'a. Mówiła o Amarantinach, wymarłych, pochodzących od ptaków istotach żyjących kiedyś na Resurgamie. Sylveste przekazał poprzednio załodze sporo wiedzy na ten temat; potrafiły teraz zrozumieć opowieść Pascale w odpowiednim kontekście, ale niepokojące były związki tego z Amarantinami. Volyovą i tak już dręczyła myśl, że jej kłopoty są związane z Całunnikami. Przynajmniej tu jasna była zależność. Ale co z tym wszystkim mieli wspólnego Amarantinowie? Jaki związek istniał między dwiema tak odmiennymi rasami obcych, z których obie od dawna zniknęły z galaktycznej sceny? Nawet skale czasowe się nie zgadzały: zgodnie z tym, co Lascaille powiedział Sylveste'owi, Całunnicy zniknęli — być może wycofując się do sfer przekształconej czasoprzestrzeni — miliony lat przedtem, nim Amarantinowie w ogóle wyewoluowali; zabrali ze sobą artefakty i urządzenia techniczne zbyt niebezpieczne, by zostawiać je w zasięgu mniej doświadczonych gatunków. Przecież właśnie ta przechowywana wiedza skusiła Sylveste'a i Lefevre do wyprawy na obrzeże Całunu. Całunnicy — o wielu odnóżach, z pancerzami, jak istoty z koszmarnego snu — byli najdziwniejszą formą obcych, z jaką zetknęli się ludzie. Amarantinowie natomiast, którzy mieli ptasich przodków, cztery kończyny i dwunożne ciała, wydawali się mniej obcy.

Złodziej Słońca stanowił jednak łącze między nimi. Statek nigdy przedtem nie odwiedził Resurgamu, nigdy na swym pokładzie nie gościł osób, które wiedziałyby coś o Amarantinach, a przecież Złodziej Słońca był częścią życia Volyovej przez wiele subiektywnych lat i kilka dekad czasu planetarnego. Najwyraźniej kluczem do tego był Sylveste, ale na razie Volyova nie widziała tu solidnego logicznego związku.

Pascale kontynuowała opowieść, a swobodna część umysłu Volyovej usiłowała zaprowadzić w informacjach pewien porządek. Pascale mówiła o zakopanym mieście, wielkiej konstrukcji Amarantinów, odkrytej w czasie, gdy Sylveste siedział w więzieniu; o wysokiej wieży, zwieńczonej posągiem istoty nie całkiem amarantinskiej, wyglądającej jak amarantinski odpowiednik anioła, ale anioła stworzonego przez kogoś, kto miał szacunek dla anatomii, i anioł wyglądał tak, jakby rzeczywiście potrafił latać.

— 1 to był Złodziej Słońca? — spytała Khouri z przejęciem.

— Nie wiem — odparła Pascale. — Wiemy tylko, że oryginalny Złodziej Słońca był zwykłym Amarantinem, który stworzył grupę renegatów — klan renegatów. Sądzimy, że byli eksperymentatorami badającymi naturę świata, zadawali pytania. Dan wysunął hipotezę, że Złodziej Słońca interesował się optyką, robił lustra i soczewki, dosłownie ukradł słońce. Mógł również eksperymentować z lataniem na prostych maszynach i szybowcach. A to była herezja.

— Czym więc jest posąg?

Pascale opowiedziała im dalszy ciąg historii: jak grupa renegatów stała się Wyklętymi i jak w zasadzie zniknęli na tysiące lat z historii Amarantinów.

— Pozwolę sobie zaproponować teorię — powiedziała Volyova. — Czy możliwe, że Wygnańcy zaszyli się w cichym zakątku planety i rozwijali technikę?

— Dan tak uważa. Sądzi, że doszli aż do takiego etapu, że potrafili opuścić Resurgam. A potem pewnego dnia, niedługo przed Wydarzeniem, wrócili, ale wówczas byli jak bogowie w porównaniu z tymi, co pozostali na planecie. I ten posąg został wzniesiony na cześć nowych bogów.

— Bogów, którzy stali się aniołami? — spytała Khouri.

— Inżynieria genetyczna — odparła Pascale z przekonaniem. — Nigdy nie potrafili latać, nawet z tymi swoimi skrzydłami, ale grawitacja już ich nie ograniczała, bo podróżowali w kosmosie.

— 1 co się stało?

— Znacznie później, wieki albo nawet tysiąclecia później, Złodziej Słońca wrócił na Resurgam. To był prawie koniec. Nie potrafimy wyróżnić skali archeologicznej, czas jest za krótki. Ale mamy wrażenie, że oni to ze sobą przynieśli.

— Co przynieśli? — spytała Khouri.

— Wydarzenie. Które zakończyło życie na Resurgamie.

Po kostki brodziły w pokrywającym korytarz ścieku.

— Czy w jakiś sposób można powstrzymać twoją broń? — spytała Khouri. — By nie dotarła do Cerbera. Masz jeszcze nad nią jakąś kontrolę?

— Ciii! — syknęła Volyova. — Wszystko, co tu mówimy… —

Zamilkła i wskazała ściany, kryjące najprawdopodobniej wszelkiej maści urządzenia podsłuchowe. Stanowiły część sieci nadzorczej, kontrolowanej przez Sajakiego.

— Dotrze do pozostałych Triumwirów. I co z tego? — szepnęła Khouri. Nie chciała nadmiernie ryzykować, mimo to mówiła dalej: — Tak się wszystko rozwija, że wkrótce będziemy musiały otwarcie stawić im opór. Podejrzewam, że sieć szpiegowska Sajakiego nie jest tak gęsta, jak ci się wydaje. Przynajmniej Sudjic tak twierdziła. A poza tym Sajaki jest teraz zajęty czymś innym.

— To niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. — Volyova chyba jednak doszukała się sensu w tym, co powiedziała Khouri — że dość szybko fortele staną się rebelią. — Uniosła mankiet kurtki i odsłoniła bransoletę, na której świeciły się diagramy i powoli aktualizowane dane liczbowe. — Za pomocą tego mogę sterować niemal wszystkim. Ale na co mi to? Sajaki mnie zabije, jeśli dojdzie do wniosku, że próbuję sabotować operację, a taki wniosek wysnuje natychmiast, gdy zobaczy, że broń zmieniła wyznaczony kurs. I nie zapominajmy, że Sylveste trzyma nas jako zakładników. Nie wiem, jak on by zareagował.

— Zapewne ostro, ale to niczego nie zmienia.

— Nie spełni swej groźby — odezwała się Pascale. — W jego oczach nic nie ma, powiedział mi to. Ale Sajaki nie może mieć pewności, gdyż groźba jest prawdopodobna i Dan mi powiedział, że to zadziała.

— Jesteś absolutnie pewna, że ci nie kłamał?

— Cóż to za pytanie?

— W tych okolicznościach jak najbardziej uzasadnione. Boję się Sajakiego, ale w razie konieczności mogę odpowiedzieć mu siłą. Ale nie w stosunku do twojego męża.

— Nigdy mi nie kłamał — odparła Pascale. — Wierzcie mi.

— A mamy inny wybór? — skomentowała Khouri. Dotarły do windy. Drzwi się otworzyły i kobiety musiały zrobić krok w górę, by wejść na podest windy. Khouri kopnięciem zrzuciła szlam z butów, walnęła w ścianę i powiedziała: — Ilia, musisz to zatrzymać. Kiedy broń dotrze do Cerbera, wszyscy będziemy martwi. Mademoiselle wiedziała o tym cały czas. Dlatego chciała zabić Sylveste'a. Ponieważ wiedziała, że on wszelkimi sposobami będzie się tam starał dotrzeć. Jedno wiem na pewno: Mademoiselle wiedziała, że dla nas wszystkich to bardzo źle się skończy, gdy on tam dotrze. Naprawdę bardzo źle.

Winda wjeżdżała, ale Volyova nie podała miejsca docelowego.

— To tak, jakby Złodziej Słońca nim manewrował — powiedziała Pascale. — Włożył mu idee do głowy, wyznaczył kierunek.

— Jakie idee? — spytała Khouri.

— Żeby tu przybyć, do tego układu. — Volyova ożywiła się. —

Khouri, pamiętasz, jak z pamięci statku wydobyłaś nagranie z okresu, gdy Sylveste był na pokładzie poprzednio? — Khouri skinęła głową; dobrze pamiętała — patrzyła wtedy w oczy mężczyzny z nagrania i wyobrażała sobie, jak zabija rzeczywistego człowieka. — I jego aluzje, że myśli o ekspedycji na Resurgam. Zaniepokoiło nas to, bo przecież nie mógł wtedy nic wiedzieć o Amarantinach. Teraz wszystko nabiera sensu. Pascale ma rację. To Złodziej Słońca, który już siedział w jego głowie, pchał go do działania. Nie sądzę, by sam Sylveste zdawał sobie z tego sprawę, ale Złodziej cały czas nim sterował.

— To tak, jakby Złodziej Słońca i Mademoiselle walczyli ze sobą, ale do rozstrzygnięcia wojny potrzebowali nas — stwierdziła Khouri. — Złodziej to obiekt software'owy, a Mademoiselle jest zamknięta na Yellowstone, w palankinie. Oboje pociągali za sznurki, napuszczając nas na siebie.

— Zgadzam się z tobą — powiedziała Volyova. — Naprawdę niepokoję się z powodu Złodzieja Słońca. Nie odzywał się od czasu, gdy ruszyła się broń kazamatowa.

Khouri nic nie odrzekła. Wiedziała tylko, że Złodziej Słońca wszedł do jej głowy podczas ostatniej sesji w centrali uzbrojenia. Później, w czasie ostatniego swego pojawienia, Mademoiselle oznajmiła jej, że Złodziej ją pożera i zawładnie nią w ciągu kilku godzin, najwyżej w ciągu dni. Zdarzyło się to przed kilkoma tygodniami. Khouri oceniała, że obecnie Mademoiselle nie żyje, a Złodziej Słońca został zwycięzcą. Ale nic się nie zmieniło. Jedynie tylko to, że w głowie Khouri panował największy spokój od czasu, gdy została ożywiona w pobliżu Yellowstone. Nie miała tego cholernego implantu Shadowplay, zniknęły pojawy Mademoiselle w środku nocy. Tak jakby zwycięski Złodziej Słońca umarł. Khouri w to nie wierzyła, tym bardziej stresujące były całkowita nieobecność Złodzieja i oczekiwanie na jego pojawienie się — Khouri była pewna, że do tego dojdzie. Przeczuwała, że będzie on jeszcze mniej przyjemnym towarzystwem od poprzedniej lokatorki.

— Dlaczego miałby się ujawniać? — spytała Pascale. — Przecież i tak wygrał.

— Prawie wygrał — stwierdziła Volyova. — Ale to, co niedługo zrobimy, może go skłonić do interwencji. Powinnyśmy się do tego przygotować, zwłaszcza ty, Khouri. Wiesz, że znalazł sposób, by opanować Nagornego, i zapewniam cię, że znajomość z nimi nie należała do przyjemności.

— Może powinnaś mnie zamknąć, nim będzie za późno — zaproponowała Khouri bez zastanowienia, ale powiedziała to śmiertelnie poważnie. — Mówię serio, Ilia. Wolę, żebyś to wcześniej zrobiła, niż żeby potem ktoś inny musiał mnie zastrzelić.

— Z największą przyjemnością — odparła Volyova. — Ale zważ,

że nie przeważamy liczebnie. Obecnie jest nas trzy przeciw Sajakiemu i Hegaziemu, a Bóg raczy wiedzieć, po czyjej stronie stanie Sylveste.

Pascale nie odezwała się.

Dotarły do zbrojchiwum. Volyova cały czas miała to na myśli, choć przedtem ani razu na głos o tym nie wspomniała. Khouri nigdy wcześniej nie zaglądała do tej części statku, ale teraz nikt nie musiał jej mówić, gdzie się znajduje. Wielokrotnie w życiu była w zbrojowniach i znała ich charakterystyczny zapach.

— Pakujemy się w niezłe gówno — powiedziała. — Mam rację?

W wielkim owalnym pokoju znajdował się displej i kontuar; w stelażach stało około tysiąca jednostek broni do natychmiastowego wydania, a dziesiątki tysięcy mogły być szybko wytworzone na żądanie, zgodnie z rysunkami technicznymi przekazywanymi holograficznie przez sam statek.

— Tak — odparła Volyova. — A w takim razie lepiej, byśmy dysponowały jakąś groźną i skuteczną bronią strzelecką. Więc, Khouri, wykorzystaj swoją wiedzę, by nas odpowiednio wyposażyć. I pośpiesz się, bo Sajaki nas odetnie, nim się zaopatrzymy.

— Traktujesz to jak zabawę?

— Owszem. A wiesz dlaczego? Może to samobójcze, ale coś wreszcie robimy. Może nas to zabije, może niedobrze się skończy, ale przynajmniej powalczymy, jak do czegoś dojdzie.

Khouri powoli skinęła głową. Właśnie, to było żołnierskie podejście: nie pozwolić, by wypadki toczyły się bez naszej interwencji, choćby miała się okazać bezowocna. Volyova szybko ją poinstruowała, jak używa się funkcji niskiego poziomu zbrojchiwum — niemal intuicyjnie, na szczęście — potem wzięła za rękę Pascale i zaczęły odchodzić.

— Dokąd idziecie?

— Na mostek. Sajaki będzie chciał mnie tam widzieć podczas operacji kruszenia skorupy.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

Sylveste od wielu godzin nie widział żony, a teraz zapowiadało się, że nie będzie jej nawet w kulminacyjnym momencie. Już za dziesięć godzin broń Volyovej uderzy w Cerbera, a za niecałą godzinę miał się rozpocząć pierwszy zmiękczający atak. Już samo to było niezwykle ważne, a jednak Sylveste będzie się temu przyglądał bez towarzystwa Pascale.

Statkowe kamery cały czas przekazywały widok broni Volyovej; nawet teraz broń unosiła się na displeju mostka, jakby była stąd nie ponad milion, a zaledwie parę kilometrów. Widzieli ją z boku, gdyż zaczęła podejście z punktu trojańskiego, a statek pozostawał zawieszony na kierunku tworzącej kąt dziewięćdziesiąt stopni dalej, po linii, która biegła między Hadesem a jego ukradkowym planetarnym towarzyszem. Żadna z maszyn nie znajdowała się na prawdziwej orbicie, ale słabe pole grawitacyjne Cerbera pozwalało na to, by utrzymać te sztuczne trajektorie przy niewielkim wydatku energii ciągu na korektę toru.

Sajaki i Hegazi siedzieli razem z Sylveste'em, skąpani w czerwonawej, lejącej się z displeju poświacie. Teraz wszystko było czerwone. Hades znajdował się tak blisko, że był czerwonym punktem, a Delta Pawia, choć słaba, też rzucała rdzawe światło na wszystkie okrążające ją obiekty. Część tej czerwieni sączyła się na mostek, gdyż displej był tu teraz jedynym źródłem światła.

— Gdzie, do diabła, jest to brezgatnik, krówsko Volyova? — spytał Hegazi. — Sądziłem, że już powinna nam pokazywać tę swoją komnatę okropności w działaniu.

Czy ta kobieta zrobiła już tę niepojętą rzecz? — pomyślał Sylveste. Czy zdecydowała się na odwołanie ataku, mimo że sama go wymyśliła i przygotowała? Jeśli tak, to zupełnie jej nie zrozumiał. Zwaliła na niego wszystkie swoje obawy i wątpliwości, podsycane bałamuctwami tej Khouri, ale oczywiście niczego nie traktowała serio? Zapewne grała rolę adwokata diabła, sprawdzając, gdzie są granice jego zaufania?

— Miej nadzieje, że właśnie tak jest — odezwał się Calvin.

— Czytasz w moich myślach? — spytał Sylveste. Spytał na głos, gdyż nic nie miał do ukrycia przed tym okrojonym Triumwiratem. — To dość sprytne, Calvinie.

— Uznaj to za progresywną adaptację do neuronowej

konguencji — wyjaśnił głos. — Wszystkie teorie twierdzą, że takie zjawisko wystąpi, jeśli dostatecznie długo będę siedział w twej głowie. A tak naprawdę buduję coraz bardziej rzeczywisty model twoich procesów neuronowych. Na początku potrafiłem tylko skorelować to, co odcyfrowałem, z twoimi odpowiedziami. Teraz nie muszę nawet czekać na odpowiedzi, by zgadnąć ich treść.

A więc, pomyślał Sylveste, odcyfruj sobie: Odpieprz się!

— Gdybyś chciał się mnie pozbyć, zrobiłbyś to wiele godzin temu — powiedział Calvin. — Wydaje mi się jednak, że polubiłeś moją obecność w tym miejscu.

— Tymczasowo — odparł Sylveste. — Ale nie przyzwyczajaj się, ponieważ nie zamierzam cię stale mieć przy sobie.

— Niepokoi mnie ta twoja żona.

Sylveste spojrzał na Triumwirów. Teraz nie chciał, by połowa rozmowy przedostawała się do publicznej wiadomości, więc przeszedł na mentalne formułowanie tego, co miał do powiedzenia.

— Mnie również niepokoi, ale to nie twój interes.

— Widziałem, jak zareagowała, gdy Volyova i Khouri próbowały ją zwieść.

Tak, pomyślał Sylveste, i kto mógłby ją winić? Sam z trudem to przyjął, gdy Volyova w rozmowie wymieniła imię Złodzieja Słońca, jakby opuściła bombę głębinową. Oczywiście Volyova nie wiedziała, jak znaczące jest to imię, i Sylveste przez chwilę miał nadzieję, że Pascale nie będzie pamiętała, gdzie je przedtem słyszała, a może nawet w ogóle nie wspomni, że kiedykolwiek się z nim zetknęła. Ale żona była na to zbyt inteligentna. Między innymi dlatego ją kochał.

— Co nie znaczy, Cal, że im się udało.

— Cieszę się, że jesteś tego taki pewien.

— Ona nie próbowałaby mnie powstrzymać.

— To zależy — odparł Calvin. — Jeśli jej się wydaje, że narażasz się na niebezpieczeństwo — i jeśli cię kocha tak, jak mi się wydaje — to powstrzymanie cię będzie dowodem zarówno miłości, jak i logicznego myślenia. Może nawet przeważy logika. Nie oznacza to, że nagle cię znienawidziła albo że czerpie przyjemność, gdy przeszkadza ci w realizowaniutwoich aspiracji.

Przeciwnie. Mam wrażenie, że to dla niej bolesne.

Sylveste znów spojrzał na displej, na stożkowato wymodelowany przyczółek.

— Sądzę — odezwał się wreszcie Calvin — że to bardziej skomplikowane, niż się wydaje, i powinniśmy postępować ostrożnie.

— Trudno mnie nazwać nieostrożnym.

— Wiem i podzielam. Sam fakt, że może w tym być pewne niebezpieczeństwo, jest fascynujący. To jak bodziec do działania. Tak to odczuwasz, prawda? Wszelkie ich argumenty przeciwko twoim

planom tylko wzmacniają twą determinację. Bo jesteś głodny wiedzy i ten głód cię napędza, choć wiesz, że zaspokojenie go może cię zabić.

— Sam bym tego trafniej nie określił — odparł Sylveste. Miał jednak wątpliwości, choć przez bardzo krótką chwilę. Potem zwrócił się do Sajakiego: — Do diabła, gdzie jest ta cholerna kobieta? Nie wie, że mamy pracę?

— Jestem — powiedziała Volyova, wchodząc na mostek. Za nią weszła Pascale. Bez słowa wezwała dwa fotele i obie kobiety wzniosły się pośrodku wielkiego pomieszczenia, zajmując miejsce w pobliżu pozostałych obecnych osób, by jak najlepiej widzieć rozgrywający się na displeju spektakl.

— Niech bitwa się rozpocznie — powiedział Sajaki.

Volyova zwróciła się do kazamty. Po raz pierwszy od czasu incydentu ze zbuntowaną jednostką broni podłączała się do tych straszydeł.

W jej głowie kołatała się myśl, że w każdej chwili któraś z broni może postąpić w ten sam sposób: brutalnie wyrzucić Volyovą z pętli sterowania i samodzielnie przejąć kontrolę nad własnymi działaniami. Nie mogła tego wykluczyć, ale musiała podjąć ryzyko i była na nie gotowa. Jeśli opowieść Khouri jest prawdą, to Mademoiselle — która sterowała zbuntowaną jednostką broni kazamatowej — teraz nie żyje, bezwzględnie wchłonięta przez Złodzieja Słońca, wówczas przynajmniej nie ona będzie próbowała zawrócić zbuntowane bronie.

Volyova wybrała kilka broni kazamatowych — wedle jej oceny z dolnej skali siły destrukcyjnej, gdzie ich potencjał niszczący pokrywał się z potencjałem macierzystego uzbrojenia statkowego. Sześć jednostek zbudziło się i przez bransoletę zakomunikowało swą gotowość: sześć pulsujących ikon w kształcie trupich czaszek. Urządzenia sunęły po prowadnicach, powoli wyjeżdżały z kazamaty do mniejszej komory transferowej, potem rozmieszczały się na zewnątrz kadłuba statku, który w rezultacie stał się zrobotyzowanym statkiem kosmicznym z nadmiernie rozbudowanymi armatami. Żadna z tych sześciu broni nie przypominała pozostałych, jedynie ich wygląd zewnętrzny był zbliżony, wspólny dla wszystkich diabelskich broni. Dwie z nich były wyrzutniami relatywistycznymi, więc miały w sobie nieco podobieństwa, ale tylko w takim stopniu, jak podobne są konkurujące prototypy, zbudowane przez różne zespoły konstrukcyjne, chcące spełnić ogólnie zarysowane warunki. Wyglądały jak starożytne haubice o wydłużonych lufach, przystrojone gmatwaniną rur i naroślami układów pomocniczych. Cztery inne jednostki broni — wymienione tu nie w porządku ich łagodności — to laser promieni gamma (o rząd wielkości silniejszy od jednostek statkowych), promień supersymetryczny, przeciwlotnicza wyrzutnia antymaterii i urządzenie uwalniania kwarków. Żadna z tych sztuk

broni nie dorównywała niszczycielskimi możliwościami broni hultajskiej, która potrafiła rozwalić planetę, ale przecież nikt by nie chciał mieć ich wycelowanych w siebie, a w istocie w planetę, na której by akurat stał. Volyova mówiła sobie, że plan nie polega na tym, by dokonać dowolnych zniszczeń na Cerberze ani by go zgładzić; chodziło tylko o to, by go otworzyć, a w tym celu należało postępować z pewną finezją.

Właśnie, to była finezja.

— Daj mi teraz coś, co nadaje się dla nowicjusza — powiedziała Khouri, drżąc z niecierpliwości przed kontuarem zbrojchiwum. — Nie chodzi mi o zabawkę… to musi posiadać sile i skuteczność.

— ‚Broń promieniowa czy na pociski, proszę pani?

— Promieniowa o małej mocy. Nie chcemy, by Pascale zrobiła dziury w kadłubie.

— Świetny wybór, proszę pani. Czy nie zechciałaby pani spocząć, a ja tymczasem postaram się zaspokoić pani szczególne wymagania?

— Pani postoi, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Khouri obsługiwała persona poziomu gamma, składająca się z dość ponurej i głupkowato uśmiechniętej holograficznej głowy rzutowanej na wysokości torsu nad kontuarem ze szczelinami. Początkowo Khouri wybierała tylko karabiny widoczne przy ścianach, ustawione w szeregu za szkłem, oznakowane małymi świetlnymi tabliczkami, na których podano dane techniczne, epokę, z której broń pochodziła, oraz dzieje wykorzystania broni. W zasadzie to by wystarczało i Khouri sprawnie wybrała lekkie bronie dla siebie i Volyovej — parę elektromagnetycznych miotaczy igieł, konstrukcyjnie podobnych do tych, jakich używano w Shadowplay.

Volyova — dość złowieszczo — wspomniała również o jakimś cięższym sprzęcie, więc Khouri wybrała coś z tego gatunku, tylko częściowo korzystając z eksponowanych egzemplarzy. Znalazła tam niezły wysokopulsacyjny karabin plazmowy sprzed trzech wieków, wcale jednak nie przestarzały; jego układ celowniczy z interfejsem neuronowym sprawiał, że broń była bardzo użyteczna w bezpośrednim kontakcie z przeciwnikiem. Gdy tylko Khouri uniosła ten lekki karabin, natychmiast poczuła, że go zna. Miał w sobie jeszcze coś obscenicznie kuszącego — ochronny futerał z czarnej skóry, plamiasty, wypucowany na wysoki połysk, z otworami odsłaniającymi kontrolki, wskaźniki i miejsca mocowań. Broń bardzo się Khouri spodobała, ale w takim razie co wybrać dla Volyovej? Khouri przeszukała stojaki — poświęciła na to najwyżej pięć minut — i choć nie brakowało ciekawych, a nawet zadziwiających rozwiązań, nie znalazła niczego, co by dokładnie spełniało jej wymagania.

Zwróciła się więc do pamięci zbrojchiwum, zawierającej — jak dokładnie poinformowano Khouri — ponad cztery miliony sztuk broni

ręcznej, z dwudziestu wieków rusznikarstwa, od prostych zapalanych lontem muszkietów do najbardziej przerażających, śmiercionośnych zintegrowanych rozwiązań technicznych, jakie sobie tylko można wyobrazić.

Ale nawet ten obszerny asortyment był niczym w porównaniu z całym potencjałem zbrojchiwum, gdyż zbrojchiwum potrafiło zbudować nowy sprzęt według podanej specyfikacji. Przesiewało swe projekty techniczne i łącząc elementy istniejących broni, tworzyło nowe urządzenia, ściśle dostosowane do indywidualnych potrzeb.

Gdy zadanie zostało wykonane, szczelina w kontuarze rozwierała się błyskawicznie i broń wysuwała się na małej wyłożonej filcem tacy. Broń błyszczała ultrasterylnie, nadal rezydualnie ciepła po obróbce.

Khouri podniosła pistolet dla Pascale, spojrzała wzdłuż lufy, ważąc broń w dłoni. Przesunęła bolec w zagłębieniu kolby, regulujący nastawy promienia.

— Odpowiada pani? — spytała persona kantoru.

— Nie jest przeznaczona dla mnie — odparła Khouri i schowała pistolet do kieszeni.

Sześć jednostek broni kazamatowej uruchomiło swoje napędy, błyskawicznie wystartowało ze statku i pognało po skomplikowanej trajektorii, która — nie bezpośrednio wprawdzie — prowadziła do punktu zderzenia z planetą. Tymczasem przyczółek, ciągle hamując, zmniejszał odległość do powierzchni. Volyova była pewna, iż planeta już się zorientowała, że zbliża się do niej duży sztuczny obiekt. Planeta mogła nawet rozpoznać, że tym obiektem jest niegdysiejszy statek „Lorean". Bez wątpienia na dole w przerośniętej maszynami skorupie Cerbera toczyła się jakaś dyskusja. Niektóre maszyny twierdziły, że najlepiej jest od razu zaatakować, nim nadciągający obiekt stanie się poważnym zagrożeniem. Inne zalecały ostrożność, zwracały uwagę, że obiekt ciągle jest daleko od Cerbera, wiec atak musiałby być potężny, by unicestwić obiekt, nim ten zdoła odpowiedzieć odwetem; ponadto taki pokaz siły przyciągnie uwagę kosmosu. Układy pacyfistyczne mogły twierdzić, że na razie obiekt nie zademonstrował jednoznacznie wrogich zamiarów i może nawet nie podejrzewa, że Cerber to twór sztuczny. Obiekt tylko obwącha planetę i zostawi ją w spokoju.

Volyova nie chciała zwycięstwa pacyfistów. Wolała, by zwyciężyli ci, co opowiadają się za masowym, uprzedzającym zwycięskim uderzeniem; chciała, by nastąpiło teraz, w tej minucie. Chciała widzieć, jak Cerber atakuje i niszczy przyczółek. To by zakończyło wszystkie jej problemy, a ponieważ coś podobnego przydarzyło się sondom Sylveste'a, sytuacja załogi nie pogorszy się zasadniczo. Niewykluczone, że sama zapowiedź kontruderzenia ze strony Cerbera nie jest akurat tym wrogim działaniem, któremu usiłowała zapobiec

Mademoiselle. Przecież nikt tam nie wszedł. Potem będą mogli przyznać się do porażki i pojechać do domu.

Tylko że ten scenariusz nie zostanie zrealizowany.

— Ilia — Sajaki skinął na displej — czy zamierzasz uzbroić bronie kazamatowe i wystrzelić je stąd?

— A dlaczego by nie?

— Sądziłem, że Khouri będzie nimi sterowała z centrali. To przecież jej zadanie. — Odwrócił się do Hegaziego i szepnął tak głośno, że wszyscy słyszeli. — Zastanawiam się, po co w ogóle ją zaangażowaliśmy… i dlaczego pod naciskiem Volyovej przestałem sondować jej umysł.

— Przypuszczam, że mamy z niej jakiś użytek — rzekł chimeryk.

— Khouri jest w centrali — skłamała Volyova. — Na wszelki wypadek. Ale nie zawołam jej, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. To chyba w porządku? To są również moje bronie… nie możesz mi odmówić pozwolenia na ich użycie, gdy sytuacja jest pod kontrolą.

Odczyty na bransolecie — niektóre pokazały się równocześnie na sferze displeju pośrodku mostka — informowały, że za trzydzieści minut bronie kazamatowe zajmą wyznaczone pozycje, prawie ćwierć miliona kilometrów od statku. W tym momencie nie będzie uzasadnionych przeciwwskazań, by je wystrzelić.

— Dobrze — powiedział Sajaki. — Przez chwilę bałem się, że nie jesteś całkowicie oddana naszej sprawie. Ale teraz przypominasz mi dawną Volyovą.

— Jakie to sympatyczne — rzekł Sylveste.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

Czarne ikony broni kazamatowych skupiły się przy punktach strzału. Miały uderzyć z potężną siłą w Cerbera. Przez cały czas planeta nie odpowiadała, nie dawała żadnego znaku, że jest w istocie czymś innym, niż się wydaje. Tkwiła w kosmosie szara, pokryta szwami jak łysa czaszka pochylona w modlitwie.

W końcu nadszedł wyczekiwany moment: dobiegł tylko cichy sygnał ze sfery projekcyjnej, pokazało się zero, po czym zaczął się generować długi rosnący ciąg liczb.

Pierwszy odezwał się Sylveste. Odwrócił się do Volyovej, która od wielu minut się nie poruszała.

— Powinno się chyba coś dziać? Czy twoje cholerne bronie nie powinny wystrzelić?

Volyova podniosła wzrok jak osoba wyrwana z transu; dotychczas z całkowitym skupieniem patrzyła w bransoletę.

— Nie wydałam takiego rozkazu — odparła tak cicho, że należało się uważnie wsłuchać, by ją zrozumieć. — Nie kazałam im strzelać.

— Co takiego? — spytał Sajaki.

— To co powiedziałam — wyjaśniła głośniej. — Nie wydałam rozkazu.

I znów zdecydowany spokój Sajakiego wydał się bardziej złowrogi niż najgłośniejsze groźby.

— Pozostało jeszcze parę minut na przeprowadzenie ataku — stwierdził. — Może należy użyć broni, nim sytuacja stanie się nieodwracalna.

— Wydaje mi się, że stała się nieodwracalna już jakiś czas temu — rzekł Sylveste.

— To sprawa Triumwiratu — oznajmił Hegazi. Jego obleczone stalą knykcie pobłyskiwały na oparciu fotela. — Ilia, jeśli natychmiast wydasz rozkaz, to może…

— Nie mam zamiaru — odparła. — Nazwij to buntem albo zdradą, jak wolisz. Nic mnie to nie obchodzi. — Spojrzała na Sylveste'a z niespodziewaną gorzką złością. — Znasz przyczyny, więc nie udawaj, że nie wiesz.

— Dan, Ilia ma racje.

Pascale włączyła się do rozmowy i przez chwilę wszyscy na nią patrzyli.

— Wiesz, że to, co mówi Ilia, jest prawdą. Nie możemy podjąć

tego ryzyka, bez względu na to, jak bardzo ci na tym zależy.

— Ty również posłuchałaś Khouri — rzekł Sylveste. Wiadomość, że żona przeszła na stronę Volyovej nie była zaskoczeniem. Przyjął ją z mniejszą goryczą, niż mógł przypuszczać. Świadom, że jego uczucia cechuje pewna przewrotność, równocześnie podziwiał Pascale za tę decyzję.

— Khouri wie o czymś, czego my nie wiemy — oznajmiła Pascale.

— A co wspólnego z tym wszystkim ma Khouri? — spytał Hegazi, patrząc z irytacją na Sajakiego. — To prosty szeregowiec. Musimy ją mieszać do tej dyskusji?

— Niestety, musimy — stwierdziła Volyova. — Wszystko, co słyszeliście, jest prawdą. A kontynuowanie tego planu będzie z naszej strony największym błędem.

Sajaki wraz fotelem odwrócił się od Hegaziego i zbliżył do Volyovej.

— Jeśli nie chcesz wydać rozkazu ataku, przynajmniej oddaj mi sterowanie kazamatą. — Nakazał gestem, by odpięła bransoletę i mu ją przekazała.

— Powinnaś go posłuchać, bo czekają cię wielkie nieprzyjemności — powiedział Hegazi.

— Ani trochę w to nie wątpię. — Volyova wprawnym ruchem zdjęła bransoletę. — Dla ciebie, Sajaki, jest zupełnie bezużyteczna. Kazamata słucha tylko mnie i Khouri.

— Daj mi to.

— Ostrzegam: pożałujesz.

Przekazała mu bransoletę. Pochwycił ją, jakby była wartościowym złotym amuletem, przez moment trzymał ją w dłoni, potem zapiął sobie wokół nadgarstka. Mały displej ożywił się i wypełnił takimi samymi wykresami, jakie migały na nim przed chwilą, gdy znajdował się na ręce Volyovej.

— Mówi Triumwir Sajaki. — Oblizując wargi, napawał się władzą. — Nie wiem dokładnie, jaki protokół jest w tych okolicznościach wymagany, więc proszę o współpracę. Chcę, żeby sześć rozmieszczonych jednostek broni kazamatowej zaczęło…

Zamilkł w połowie zdania. Spojrzał na przegub ręki, po — czątkowo ze zdziwieniem, potem ze strachem.

— Ależ z ciebie przebiegły stary pies! — powiedział Hegazi tonem zdziwienia. — Wyobrażałem sobie, że możesz mieć jakiś trik w rękawie, ale nie sądziłem, że w dosłownym sensie.

— Wszystko traktuję bardzo dosłownie — przyznała Volyova.

Twarz Sajakiego okrywała teraz sztywna maska bólu, gdy bransoleta wrzynała się w nadgarstek. Rozwarta dłoń, pozbawiona krwi, miała barwę wosku. Wolną ręką próbował energicznie odpiąć bransoletę — bez powodzenia. Volyova tego dopilnowała. Zamek

zatrzasnął się i przeprowadzał teraz powolną bolesną amputację, gdy łańcuchy polimerów plastiku pamięciowego bransolety coraz mocniej się zaciskały. W momencie, gdy Sajaki ją włożył, wiedziała od razu, że jego DNA nie pasuje do wzorca DNA Volyovej. Ale bransoleta zaczęła się zaciskać dopiero wówczas, gdy Sajaki próbował wydawać rozkazy. Volyova, wybierając takie rozwiązanie konstrukcyjne, uznała je za wyraz łagodności ze swej strony.

— Każ jej przestać — wykrztusił Sajaki — Każ jej… ty pieprzona suko… proszę…

Volyova oceniła, że za jakieś dwie minuty bransoleta odetnie mu dłoń; za dwie minuty pomieszczenie wypełni się trzaskiem łamanej kości, o ile nie zagłuszą go jęki Sajakiego.

— Tracisz dobre maniery — stwierdziła. — Co za sposób wyrażania prośby? Wydawałoby się, że akurat teraz należy okazać nieco grzeczności.

— Zatrzymaj to — powiedziała Pascale. — Błagam cię, proszę. Cokolwiek się stało, nie warto…

Volyova wzruszyła ramionami i zwróciła się do Hegaziego:

— Triumwirze, ty możesz to usunąć, nim z ręki zostanie miazga. Jestem pewna, że masz odpowiednie środki.

Hegazi uniósł swą dłoń i przyjrzał się jej, jakby chcąc się upewnić, że nie jest cielesna.

— Szybko! — wrzasnął Sajaki. — Uwolnij mnie od tego!

Hegazi przysunął swój fotel do fotela Sajakiego i zabrał się do pracy. Wydawało się, że cała operacja sprawia Sajakiemu prawie tyle samo bólu co zaciskanie się bransolety.

Sylveste się nie odzywał.

Hegazi rozwarł bransoletę. Gdy skończył pracę, jego metalowe ręce umazane były ludzką krwią. Szczątki bransolety wypadły mu na podłogę dwadzieścia metrów poniżej.

Sajaki cały czas jęczał. Z odrazą patrzył na obrażenia dłoni. Jeszcze się trzymała, ale kości i ścięgna były ohydnie odsłonięte, a krew tryskała czerwonymi porcjami i leciała cienkim szkarłatnym sznurkiem na podłogę daleko w dole. Sajaki przycisnął rękę do brzucha, usiłując zatamować krwotok. Wreszcie przestał jęczeć i po długiej chwili odwrócił trupio bladą twarz ku Volyovej.

— Zapłacisz mi za to — zagroził. — Przysięgam.

Wtedy na mostek wkroczyła Khouri i zaczęła strzelać.

Oczywiście miała w głowie plan, choć może niezbyt dopracowany. Gdy weszła do pomieszczenia i zobaczyła wodospad krwi, nie marnowała czasu na szlifowanie szczegółów — od razu zaczęła strzelać w sufit.

Natychmiast wszyscy zwrócili na nią uwagę.

Używała karabinu plazmowego ustawionago na najmniejszą moc,

wyłączyła tryb ognia ciągłego, więc za każdym razem, gdy wysyłała impuls, musiała nacisnąć spust. Pierwszy impuls wybił w suficie krater metrowej średnicy — poleciał deszcz wyszczerbionych, nadtopionych odłamków okładziny. Obawiając się, że przebije kadłub statku, wycelowała na lewo, potem trochę w prawo. Jeden z odłamków trafił w jarzącą się sferę displeju holograficznego; przez chwilę migotała, zniekształcona, ale zaraz odzyskała stabilność. Wkroczywszy tak ostentacyjnie, Khouri strzeliła w dół, a potem przewiesiła karabin przez ramię. Volyova, najwyraźniej przewidując jej następny ruch, pchnęła swój fotel w stronę Khouri i gdy znalazły się pięć metrów od siebie, Khouri rzuciła jej lekki karabin: miotacz igieł, który wzięła ze stelaża w zbrojchiwum.

— A to daj Pascale — powiedziała Khouri, rzucając również karabin promieniowy niskiej mocy. Volyova sprawnie schwyciła oba karabiny i jeden szybko przekazała Pascale.

Khouri zdążyła już zorientować się w sytuacji. Zauważyła, że krwawy deszcz — który tymczasem ustał — pochodził od Sajakiego. Triumwir wyglądał kiepsko, jedną rękę przyciskał do torsu, jakby była złamana czy stłuczona.

— Ilia, zaczęłaś zabawę beze mnie — powiedziała Khouri. — Jestem zawiedziona.

— Sytuacja tego wymagała — odparła Volyova.

Khouri spojrzała na displej, usiłując zrozumieć, co wydarzyło się poza statkiem.

— Czy bronie wystrzeliły?

— Nie. Nie wydałam takiego rozkazu.

— A teraz już go nie może wydać, bo Hegazi zniszczył jej bransoletę — rzekł Sylveste.

— Czy to znaczy, że on jest po naszej stronie?

— Nie. On tylko nie znosi widoku krwi. Zwłaszcza krwi Sajakiego — powiedziała Volyova.

— Na litość boską, Sajaki potrzebuje pomocy — stwierdziła Pascale. — Wykrwawi się na śmierć.

— Nie, to chimeryk, jak Hegazi, tylko nie aż tak wyraźny — wyjaśniła Volyova. — W jego krwiobiegu medmaszyny już zaczęły bardzo szybką naprawę komórek. Nawet jeśli bransoleta odcięła mu dłoń, odrośnie mu nowa. Prawda, Sajaki?

Spojrzał na nią; twarz miał wypraną z wszelkiej siły i odnosiło się wrażenie, że nie jest w stanie nawet wytworzyć paznokcia, nie mówiąc o nowej ręce.

— Ktoś musi mi jednak pomóc dojść do ambulatorium — przyznał w końcu. — Moje medmaszyny to nie magia, mają swoje ograniczenia. A uwierzcie mi, że moje receptory bólu są żywe.

— Ma rację — potwierdził Hegazi. — Nie powinniście przeceniać

sprawności medmaszyn. Chcecie, by umarł? Decydujcie. Mogę z nim pójść do ambulatorium.

— A po drodze poszperasz w zbrojchiwum? — Volyova pokręciła głową. — Nie, dziękuję.

— Może ja go zaprowadzę — zaproponował Sylveste. — Chyba w takim stopniu mi ufasz?

— Ufam ci w takim stopniu, w jakim mogę cię mieć w nosie, svinoi — odparła Volyova. — Ale z drugiej strony i tak byś nie wiedział, co robić w zbrojchiwum, a Sajaki jest w takim stanie, że nie przekaże ci żadnych sensownych sugestii.

— A więc zgadzasz się?

— Dobrze, tylko szybko, Dan. — Volyova, dla podkreślenia rozkazu, kłuła Sylveste'a lufą miotacza igieł, cały czas trzymając palec na spuście. — Jeśli nie wrócisz za dziesięć minut, wyślę za tobą Khouri.

W ciągu minuty obaj wyszli. Sajaki uwiesił się na ramieniu Sylveste'a, bo sam nie mógłby iść. Khouri zastanawiała się, czy Sajaki dotrze przytomny do ambulatorium, ale w zasadzie nic ją to nie obchodziło.

— Jeśli chodzi o zbrojchiwum… nie musisz się martwić, że ktoś sobie coś stamtąd weźmie — powiedziała. — Ostrzelałam ten cholerny magazyn, gdy zabrałam to, co było mi potrzebne.

Po zastanowieniu Volyova skinęła głową.

— To rozsądna taktyka, Khouri.

— Taktyka nie ma z tym nic wspólnego. Wkurzyła mnie persona, która obsługuje to miejsce. Postanowiłam ją rozwalić.

— Czy to znaczy, że wygrałyśmy? — spytała Pascale. — Osiągnęłyśmy to, o co nam chodziło?

— Tak sądzę — odparła Khouri. — Sajaki wyeliminowany, a nasz przyjaciel Hegazi chyba sam sobie nie narobi kłopotów. Natomiast twój mąż raczej nie spełni groźby, że nas wszystkich zabije, jeśli nie osiągnie swego celu.

— Co za rozczarowanie — rzekł Hegazi.

— Mówiłam wam, on zawsze blefował — powiedziała Pascale. — Więc co? Możemy odwołać tamte bronie? — Spojrzała na Volyovą, która skinęła głową.

— Oczywiście. — Wyjęła z kurtki nową bransoletę i jakby nigdy nic zapięła ją na nadgarstku. — Sądzicie, że byłabym tak głupia i nie nosiła zapasowej?

— Ilia, to do ciebie niepodobne — stwierdziła Khouri.

Volyova uniosła bransoletę do twarzy i wydała ciąg komend, dzięki którym mogła obejść różne poziomy bezpieczeństwa. Wreszcie, gdy zebrani z uwagą wpatrywali się w sferę, powiedziała:

— Wszystkie jednostki broni kazamatowej mają wrócić na statek.

Powtarzam: wszystkie jednostki broni kazamatowej mają wrócić na statek.

Nic się jednak nie stało, nawet po sekundach, jakich światło potrzebowałoby na podróż tam i z powrotem. Nic, z wyjątkiem tego, że ikony reprezentujące poszczególne bronie zmieniły się z czarnych na czerwone i zaczęły migotać z groźną regularnością.

— Ilia, co to znaczy? — spytała Khouri.

— To znaczy, że się uzbrajają i przygotowują do strzału — odparła Volyova spokojnie, jakby wcale nie była zaskoczona. — To znaczy, że stanie się coś bardzo złego.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

Znów straciła kontrolę.

Volyova obserwowała bezsilnie, jak bronie kazamatowe strzelają w Cerbera. Oczywiście najpierw trafiły do celu bronie promieniowe i pierwszym tego sygnałem, który wrócił na statek, była iskierka niebieskobiałego światła, mrugająca na tle jałowej szarej planety dokładnie tam, gdzie wkrótce w powierzchnię miał uderzyć przyczółek. Pociskowe bronie podświetlne uderzyły odrobinę później i po paru sekundach dotarła wiadomość o pomyślnym ataku: widowiskowe pulsowanie, gdy pociski osiągnęły cel, bryły neutronium i antymaterii uderzające w planetę. Volyova cały czas wyszczekiwała do bransolety komendy, nakazując rozbrojenie jednostek, ale nie miała już nadziei, że skutecznie przejmie nad nimi sterowanie. Przez chwilę myślała nawet, że zapasowa bransoleta jest wadliwa, ale to oczywiście nie mogło być przyczyną autonomicznego działania broni. Strzelały programowo; programowo również nie reagowały na jej rozkaz powrotu do statku.

Dlatego że teraz ktoś — lub coś — przejął nad nimi kontrolę.

— Co się dzieje? — spytała Pascale tonem osoby, która w zasadzie nie oczekuje wyczerpującej odpowiedzi.

— To musi być Złodziej Słońca — odparła Volyova. Przestała wreszcie wypowiadać rozkazy do bransolety, porzucając nadzieję, że odzyska kontrolę nad broniami. — Bo to nie może być Mademoiselle. Nawet gdyby nadal miała wpływ na sterowanie kazamatą, zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by zapobiec atakowi.

— Fragment Złodzieja Słońca musiał zostać w centrali — stwierdziła Khouri i chyba tego pożałowała, bo nagle zamilkła. — Zawsze wiedzieliśmy, że on może sterować centralą… przecież dlatego przeciwstawił się Mademoiselle, gdy chciała zabić Sylveste'a.

— Ale z taką dokładnością? — Volyova pokręciła głową. — Nie wszystkie moje rozkazy dla broni kazamatowych przechodzą przez centralę; wiedziałam, że to zbyt duże ryzyko.

— I twierdzisz, że nawet te komendy nie zadziałały?

— Wszystko na to wskazuje.

Z obrazu na displeju wynikało, że bronie zaprzestały teraz ataku; pozbawione energii i amunicji, dryfowały na bezużyteczne orbity wokół Hadesa, gdzie pozostaną przez miliony lat, aż przypadkowe zakłócenia grawitacyjne poślą je na inne trajektorie, skąd bronie runą

na Cerbera albo wyprowadzą je na zewnątrz do punktów trojańskich, gdzie przetrwają nawet śmierć Delty Pawia jako czerwonego giganta. Volyova czerpała nieco pocieszenia z faktu, że bronie już nie zostaną użyte, nie zwrócą się przeciw niej. Spóźniona pociecha. Zniszczenia Cerbera już się dokonały i gdy przybędzie przyczółek, nie spotka specjalnych przeszkód. Na displeju Volyova widziała już rezultaty ataku; kłęby sproszkowanego regolitu unosiły się w przestrzeni w okolicach miejsca uderzenia.

Sylveste przybył do statkowego centrum medycznego. Sajaki coraz bardziej ciążył mu na ramionach. Dan miał wrażenie, że Triumwir waży zbyt dużo jak na swą szczupłą posturę. Może przyczyniają się do tego te maszyny pływające w jego krwi? — zastanawiał się. Uśpione we wszystkich komórkach czekają na sytuację kryzysową, która pobudza je do życia. Sajaki był również rozgrzany, gorączkował; świadczyło to chyba o tym, że medmaszyny mnożą się, zbierają siły, by pokonać kryzys, rekrutują molekuły z „normalnej" tkanki, aż niebezpieczeństwo zostanie zażegnane. Sylveste niechętnie rzucił okiem na poranioną dłoń Sajakiego i zobaczył, że krew jest zatamowana, a okropna rozległa rana otoczona błoniastą powłoką. Słaba bursztynowa poświata przezierała przez tkankę.

Z ambulatorium wyłoniły się serwitory, odebrały od Sylveste'a brzemię i umieściły je na leżance. Przez kilka minut maszyny uwijały się koło Sajakiego, monitory na wysięgnikach jak łabędzie szyje pochylały się nad chorym, rozmaite monitory neuronowe delikatnie ustawiły się nad jego czaszką. Urządzenia niezbyt interesowały się raną — prawdopodobnie systemy medyczne już komunikowały się z medmaszynami i na tym etapie nie była potrzebna dodatkowa interwencja. Sylveste zauważył, że Sajaki jest przytomny, choć bardzo osłabiony.

— Nie powinieneś był ufać Volyovej — powiedział ze złością. — Teraz wszystko się zawaliło, bo ona ma za dużo władzy. To był zgubny błąd, Sajaki.

— Oczywiście, że jej wierzyliśmy — odparł Sajaki ledwo słyszalnym głosem. — Była jedną z nas, głupcze! Członkiem Triumwiratu! A ty co wiesz o Khouri? — spytał.

— Była infiltratorką — odparł Sylveste. — Umieszczono ją na statku. Miała mnie odnaleźć i zabić.

Sajaki zareagował na to tak, jakby go to tylko trochę rozbawiło.

— To wszystko?

— Tak sądzę. Nie wiem, kto ją posłał i dlaczego… ale podała jakieś absurdalne wyjaśnienie, które Volyova i moja żona uznały za prawdę.

— To jeszcze nie koniec — oznajmił Sajaki. Oczy miał szerokie, w

żółtej obwódce.

— Co masz na myśli, mówiąc „to nie koniec”?

— Po prostu wiem — odparł Sajaki. Zamknął oczy i oparł się na leżance. — Nic się nie skończyło.

— Przeżyje — stwierdził Sylveste, wkraczając na mostek, najwidoczniej nieświadom tego, co się właśnie stało.

Rozejrzał się. Volyova wyobraziła sobie, jak musi być zaskoczony. Pozornie nic się nie wydarzyło w czasie, gdy towarzyszył Sajakiemu do ambulatorium — te same osoby trzymały te same karabiny — ale nastrój się radykalnie zmienił. Hegazi, który znajdował się przy złym końcu miotacza igieł, nie miał miny człowieka przegranego, ale również nie okazywał triumfalnej radości.

Sytuacja wymknęła nam się z rąk i Hegazi o tym wie, pomyślała Volyova.

— Coś się nie udało? — spytał Sylveste. Spojrzał przed chwilą na displej: Cerber krwawił w kosmos przez rozprutą skorupę. — Bronie wystrzeliły przecież tak, jak chciałyście.

— Niestety. — Volyova pokręciła głową. — To nie moje dzieło.

— Uwierz jej — rzekła Pascale. — Nie wiemy, co się tu dzieje, ale nie chcemy tego. To jest większe od nas, Dan. Na pewno większe od ciebie, choć trudno w to uwierzyć.

Patrzył na nią pogardliwie.

— Nie zrozumiałaś? Volyova chciała, żeby właśnie tak wszystko przebiegło.

— Zwariowałeś — powiedziała Volyova.

— Teraz masz okazję — odparł. — Zobaczysz swój penetrator planety w akcji, a równocześnie, dla uspokojenia sumienia, za pięć dwunasta zademonstrowałaś przezorność… bezskuteczną… Jakie to wygodne. — Dwa razy klasnął w dłonie. — Naprawdę jestem pod wrażeniem.

— Naprawdę będziesz martwy — rzekła Volyova.

Nienawidziła go za to, co powiedział, ale gdzieś w głębi ducha nie chciała prostego zaprzeczenia. Zrobiłaby wszystko co w jej mocy, by powstrzymać bronie… do diabla, przecież zrobiła wszystko co w jej mocy i nic nie zadziałało. Nawet gdyby nie wydała rozkazu wystrzelenia broni ze statku, Złodziej Słońca na pewno znalazłby sposób, żeby je wystrzelić. Teraz jednak, gdy już doszło do ataku na planetę, Volyova pałała ciekawością. Lądowanie przyczółka miało przebiegać zgodnie z planem, chyba że Volyova znajdzie sposób na zatrzymanie „Lorean”. Próbowała wszystkiego. A ponieważ nie dało się zapobiec wydarzeniom, jakiś wewnętrzny obiektywizm i ciekawość kazały Volyovej czekać na rozwój wypadków. Nie obawiała się tego, co tam zostanie odkryte, ale tego, jak jej twór sprawdzi się w działaniu. Wiedziała, że bez względu na to, jak straszne mogą być

konsekwencje, będzie to najbardziej fascynujące doświadczenie w jej życiu. I może najbardziej straszne.

Teraz mogła tylko czekać.

Godziny mijały jej ani szybko, ani wolno, gdyż bała się nadchodzących wydarzeń, ale równocześnie ich pragnęła. Tysiąc kilometrów nad Cerberem przyczółek wchodził w ostatnią fazę hamowania. Dwa silniki Hybrydowców zaświeciły nad Cerberem jak dwa miniaturowe słońca, zaskakując krajobraz ostrą jasnością, przesadnie uwypuklając kratery i wąwozy. Przez chwilę w tym bezlitosnym świetle planeta naprawdę wyglądała na sztuczny twór, jakby jej budowniczowie bardzo się starali, by jej powierzchnia nosiła ślady zniszczeń po bombardowaniach przez miliardy lat.

Na bransolecie Volyova widziała obrazy rejestrowane przez kamery zamocowane na flankach przyczółka. Co sto metrów na powierzchni czterokilometrowego stożka „Lorean" był zainstalowany pierścień kamer, więc bez względu na to, jak głęboko statek wbije się w planetę, część kamer znajdzie się nad jej skorupą, a część pod nią. Teraz Volyova patrzyła przez skorupę, przez niezaleczoną ranę, którą zadały bronie kazamatowe.

Sylveste nie kłamał.

W dole coś było. Wielkie, organiczne, rurowate niczym gniazdo węży. Ciepło wydzielone w czasie uderzenia broni kazamatowych już się rozproszyło i choć szarawe obłoki nadal dymiły z otworu, Volyova przypuszczała, że wydziela je palona maszyneria, a nie gotująca się materia skorupy. Wężowe rury nie ruszały się, ich podzielone na segmenty srebrzyste powierzchnie były pomazane czarnymi plamami i bliznami stumetrowej szerokości, przez które eksplodowały mniejsze, wewnętrzne wężowate flaki.

Volyova zraniła Cerbera.

Nie wiedziała, czy rana jest śmiertelna, czy to może tylko draśnięcie, które zaleczy się po kilku dniach, ale przecież zadała ranę, a uświadomiwszy to sobie, zadrżała. Zraniła obcą istotę.

Wkrótce ta obca istota odpowiedziała.

Volyova podskoczyła, gdy to nastąpiło, choć się tego spodziewała… kierując się rozumem, nie emocjami. Stało się to wówczas, gdy przyczółek — sam czterokilometrowej długości — znalazł się dwa kilometry od powierzchni.

Samo wydarzenie nastąpiło zbyt szybko, by je spostrzec. W mgnieniu oka skorupa zmieniła się z niesamowitą prędkością. Powstała seria szarych dołków w koncentrycznych pierścieniach wokół rany, które napęczniały jak kamienne pryszcze. Volyova zdążyła je zauważyć, gdy pękły i wyrzuciły z siebie migoczące spory, srebrne ogniki, które popędziły w stronę przyczółka jak rój świetlików. Nie miała pojęcia, czym są: czy to okruszki czystej

antymaterii, małe pociski, kapsuły wirusowe czy miniaturowe baterie ogniowe. Wiedziała jedynie, że chcą uszkodzić jej dzieło.

— Teraz — szepnęła. — Teraz…

Nie czuła rozczarowania. Może, w pewnym sensie, lepiej by było, gdyby jej broń została w tamtym momencie zniszczona, ale wówczas Volyova nie byłaby świadkiem, jak jej twór reaguje, i to reaguje z założoną przez nią efektywnością. Uzbrojenie na owalnym brzegu przyczółka gwałtownie się ożywiło, wytropiło i zaatakowało laserami i boserami wszystkie iskierki, nim zdążyły dotrzeć do stożkowatego hiperdiamentowego pancerza przyczółka.

Teraz przyczółek przyśpieszył, pokonując ostatnie dwa kilometry w dwadzieścia sekund. Skorupa planety wokół rany ciągle generowała bąble, z których uwalniały się ogniki; przyczółek odpierał ich ataki. Na kadłubie broni, gdzie trafiło kilka spor-iskier, a przy tym wydzieliło się krótkie różowe promieniowanie, pojawiły się kratery, ale nie wpłynęło to na zdolności operacyjne przyczółka. Cienki jak igła dziób statku wycelował w sam środek rany i zanurzył się poniżej skorupy.

Po kilku sekundach rozszerzająca się rękojeść broni zaczęła szorować o poszarpane obrzeże. Grunt pękał, powstawały coraz dłuższe szczeliny. Ciągle wyrastały nowe pęcherze, ale teraz pojawiały się w większej odległości od rany, jakby w tamtym rejonie mechanizm pod spodem został uszkodzony lub osłabiony. Przyczółek zanurzył się setki metrów w głąb Cerbera, fale uderzeniowe rozchodziły się od miejsca wlotu i biegły wzdłuż przyczółka. Piezoelektryczne bufory krystaliczne, wbudowane przez Vołyovą w hiperdiament, pochłaniały falę, zmieniając jej energię w ciepło, kierowane potem do uzbrojenia obronnego.

— Powiedz, że zwyciężamy! Na Boga, powiedz, że zwyciężamy! — krzyczał Sylveste.

Raz spojrzawszy, przeczytała szczegółowe dane zbiorcze, spływające do bransolety. Przez chwile miedzy obecnymi nie było wrogości — łączyła ich ciekawość.

— Idziemy naprzód — powiedziała. — Broń weszła na kilometr w głąb i zanurza się w tempie kilometra na dziewięćdziesiąt sekund. Ciąg ustawiony na maksimum. To znaczy, że przyczółek napotyka opór mechaniczny…

— Przez co przechodzi?

— Nie wiadomo — odparła Volyova. — Z danych Alicji wynika, że ta skorupa ma najwyżej pół kilometra grubości, ale w powłoce broni jest niewiele czujników… w przeciwnym wypadku bardzo by to naraziło przyczółek na atak cybernetyczny.

Widok na sferze, pochodzący ze statkowych kamer, przywoływał na myśl abstrakcyjną rzeźbę: stożek ucięty w połowie, węższą częścią

tkwiący na chropowatej szarej powierzchni; na sąsiednim obszarze tańczyły niespokojne wzory; bąble wyrzucały spory na chybił tafił, jakby zawiódł ich system naprowadzania. Broń poruszała się wolniej i choć wszystko rozgrywało się w całkowitej ciszy, Volyova wyobrażała sobie przerażający zgrzyt, który dochodziłby tu, gdyby istniało powietrze, mogące go przekazać, i uszy potrafiące zarejestrować to ogłuszające wycie. Teraz bransoleta informowała, że nacisk na koniec przyczółka znacznie zmalał, jakby broń przebiła całą skorupę i dotarła do pustej przestrzeni poniżej — do siedliska węży.

Coraz wolniej.

Symbole trupich czaszek i piszczeli skakały na bransolecie Volyovej, sygnalizując rozpoczęcie ataku broni molekular — nych na przyczółek. Volyova spodziewała się tego. Stosowne przeciwciała już sączyły się przez pancerz na spotkanie obcym napastnikom.

Coraz wolniej; wreszcie się zatrzymał.

Przyczółek dotarł tak głęboko, jak zamierzali. Jeden i jedna trzecia kilometra stożka nadal wystawała nad potrzaskaną powierzchnię Cerbera. Przypominała nadmiernie rozbudowaną na górze walcowatą fortyfikację. Zewnętrzne uzbrojenie ciągle zwalczało kontratak skorupy, teraz jednak emisje zarodników pochodziły z odległości dziesiątków kilometrów i nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia, chyba że skorupa potafiłaby się błyskawicznie zregenerować, co było raczej nieprawdopodobne.

Przyczółek zaczynał się teraz umacniać, analizował, jakie rodzaje broni molekularnych zostały użyte, i przygotowywał inteligentnie dopasowane strategie kontrataku.

Volyova nie była rozczarowana.

Obróciła swój fotel, spojrzała po zebranych. Zauważyła — po raz pierwszy od dłuższego czasu — że dłoń nadal ma zaciśniętą na miotaczu igieł.

— Dotarliśmy — oznajmiła.

Przypominało to lekcję biologii dla bogów lub fotografie, które planety rozumne mogłyby uznać za miłą pornografię.

Gdy przyczółek zarył się w Cerbera, Khouri cały czas porozumiewała się z Volyovą, przeglądając stale aktualizowane dane dotyczące leniwie toczonej bitwy. Kształt dwóch oponentów przypominał jej stożkowatego wirusa znacznie mniejszego od atakowanej przez niego komórki. A przecież ten niewielki stożek ma rozmiar góry, a komórka to cała planeta, myślała.

Wydawało się, że nic szczególnego się teraz nie dzieje, ale tylko dlatego, że konflikt toczył się głównie na poziomie molekularnym, na niewidzialnym, fraktalopodobnym froncie, rozciągającym się na dziesiątki kilometrów kwadratowych. Początkowo — bez powodzenia — Cerber usiłował odeprzeć napastnika broniami

wysokoentropicznymi, usiłując rozłożyć przeciwnika na megatony zatomizowanego popiołu. Teraz zmienił strategię — trawił. Nadal próbował rozebrać wroga atom po atomie, ale systematycznie, jak dziecko, które rozmontowuje skomplikowaną zabawkę i starannie umieszcza każdą część w oddzielnej przgródce, do wykorzystania w przyszłości, w jakiejś jeszcze niezaplanowanej konstrukcji. Była w tym pewna logika. Kilka metrów sześciennych planety zanihilowały bronie kazamatowe, a przyczółek składał się zapewne z materii o takich samych proporcjach pierwiastków i izotopów co zniszczona część. Wróg dostarczał dużo materiału, dzięki czemu Cerber nie musiał zużywać do naprawy własnych ograniczonych zasobów. I być może zawsze szukał tego rodzaju złóż, by reperować uszkodzenia po uderzeniach meteorytów i uporczywego ablacyjnego znoju bombardujących promieni kosmicznych. Może właśnie z głodu pożarł sondy Sylveste'a, a nie dlatego, że bronił swych tajemnic; działał ślepo pod wpływem bodźca, jak rosiczka, bez żadnych zamysłów na przyszłość.

Ale Volyova zbudowała swoją broń nie po to, by połknięto ją bez walki.

— Widziesz, Cerber się od nas uczy — rzekła. Rysowała wykresy kilkudziesięciu różnych komponent z molekularnego arsenału, którymi planeta zaatakowała. Volyova demonstrowała coś, co przypominało stronę z podręcznika entomologii: szereg metalowych owadów, wyspecjalizowanych w różnych kierunkach. Niektóre z nich były demonterami, stanowiącymi linię frontu amarantinskiego systemu obronnego. Miały fizycznie zaatakować powierzchnię przyczółka, manipulatorami poruszyć atomy i cząsteczki, rozrywając wiązania chemiczne. Wdały się również w bezpośrednią walkę z siłami frontowymi Volyovej. Materię, którą udało im się wydobyć, przekazywały większym robakom, za linię frontu. Jednostki te, niczym niestrudzone ekspedientki, oznaczały i sortowały otrzymywane kawałki materii. Jeśli odłamki były strukturalnie proste — na przykład pojedyncze niezróżnicowane kawałki żelaza lub węgla — owady znakowały je jako przeznaczone do recyklingu i kierowały do jeszcze większych owadów fabrycznych, które produkowały dalsze robaki zgodnie z wewnętrznymi szablonami. Natomiast kawałków materii, posiadających prawdziwą strukturę, nie przekazywano bezpośrednio do recyklingu, ale do innych owadów; te zaś je rozmontowywały, próbując zbadać, czy są w nich jakieś użyteczne prawidłowości. Jeśli tak, uczono się ich, adaptowano i przekazywano żukom fabrycznym. W ten sposób kolejna generacja owadów stawała się nieco bardziej zaawansowana od poprzedniej.

— Uczą się od nas — stwierdziła Volyova, jakby ten system uznała za godny podziwu i niepokojący jednocześnie. — Rozgryzają

nasze metody obrony i stosują je w konstrukcji swoich własnych.

— Nie musisz się z tego tak cieszyć — rzekła Khouri. Jadła wyhodowane na statku jabłko.

— A dlaczego nie? To elegancki system. Ja też mogę się od niego uczyć, ale to nie to samo. To, co się dzieje na planecie, jest metodyczne, wieczne i nie ma w tym ani odrobiny rozumności.

Powiedziała to z nabożnym lękiem.

— Tak, to robi wielkie wrażenie — potwierdziła Khouri. — Ślepe powielanie, nie ma w tym żadnej inteligencji, ale ponieważ odbywa się to równocześnie w ponad miliardzie miejsc, wygrywają z nami dzięki przewadze liczebnej. Czy nie tak rozwiną się wypadki: będziesz tu myślała jak diabli, a to i tak nie wpłynie na wynik. Wcześniej czy później nauczą się wszystkich twoich trików.

— Ale jeszcze nie teraz. — Volyova pochyliła głowę ku wykresom. — Czy sądzisz, że byłam tak głupia i zaatakowałam ich najbardziej zaawansowanymi środkami? Podczas wojny nigdy się tego nie robi. Nigdy nie wkłada się więcej energii czy wiedzy w zwalczanie wroga, niż jest absolutnie konieczne w danej sytuacji, tak jak w pokerze nigdy nie zgrywa się najpierw najlepszej karty. Czekasz, aż stawka odpowiednio wzrośnie. — Potem wyjaśniła Khouri, że środki, zastosowane teraz przez jej broń, są w istocie przestarzałe i niezbyt wyrafinowane. Konstrukcje pobrała ze starej, holograficznie przekazywanej bazy danych w zbrojchiwum i tylko je przystosowała. — Około trzystu lat za współczesną techniką — stwierdziła.

— Ale Cerber nadrabia.

— Słusznie. Jednak przyrost techniki jest obecnie dość stabilny, prawdopodobnie z powodu bezmyślnego sposobu, w jaki stosowana jest nasza technika. Nie mam możliwości dokonania skoków intuicyjnych, więc system Amarantinów ewoluuje liniowo. To tak, jakby ktoś próbował złamać kod bezpośrednimi obliczeniami. Dlatego dość dokładnie wiem, ile zajmie im osiągnięcie naszego obecnego poziomu. Teraz doganiają nas w tempie około dekady na każde trzy, cztery godziny czasu statkowego. Mamy więc nieco mniej niż tydzień, dopóki nie zacznie się dziać coś naprawdę ciekawego.

— A to nie jest ciekawe? — Khouri pokręciła głową. Nie pierwszy raz czuła, że pod wieloma względami nie rozumie Volyovej. — Jak to się właściwie odbywa? Czy twoja broń ma kopię zbrojchiwum?

— Nie, to byłoby zbyt niebezpieczne.

— Słusznie. To jakby posłać żołnierza za linie wroga ze wszystkimi naszymi tajemnicami. A jak to robisz? Transmitujesz informacje do przyczółka, gdy są potrzebne? Czy to nie ryzykowne?

— Właśnie tak robię, ale w znacznie bezpieczniejszy sposób, niż ci się wydaje. Transmisja jest kodowana przy użyciu jednorazowego

klucza — generowanego losowo ciągu liczb, które wyznaczają zmianę, jakiej należy dokonać w każdym bicie sygnału podstawowego, czy dodać zero, czy jedynkę. Gdy odkodujesz sygnał za pomocą klucza, nie ma sposobu, by wróg odtworzył znaczenie, nie mając własnej kopii klucza. Oczywiście przyczółek musi mieć własną kopię, ale jest ukryta głęboko w jego wnętrzu, pod dziesięciometrową warstwą litego diamentu, z hiperbezpiecznymi łączami do systemu sterowania. Tylko poważny atak na broń niósłby ze sobą ryzyko, że wzorzec zostanie przejęty, ale wówczas uciełabym wszelkie transmisje.

Khouri zjadła całe jabłko, wraz z bezpestkowym ogryzkiem.

— Jest więc sposób — powiedziała po chwili zastanowienia.

— Sposób na co?

— Żeby wszystko zakończyć. Przecież chcemy to zrobić?

— Przypuszczasz, że uszkodzenia już wystąpiły?

— Nie ma żadnej pewności, ale załóżmy, że nie. Przecież to, co dotychczas zobaczyliśmy, to tylko warstwa kamuflująca. Owszem, zadziwiające, to technika obcych i możemy się czegoś nauczyć, ale nadal nie wiemy, co się tam kryje. — Uderzyła ręką w fotel i z zadowoleniem przekonała się, że Volyova drgnęła. — Jeszcze do tego nie dotarliśmy, nawet nie zerknęliśmy i nie zerkniemy, dopóki Sylveste osobiście tam nie zejdzie.

— Nie pozwolimy mu opuścić statku. — Volyova poklepała miotacz wetknięty za pas. — Wszystko mamy pod kontrolą.

— 1 zaryzykujemy, że on nas zabije, uruchamiając to, co ma w oczach?

— Pascale twierdzi, że to blef.

— Tak, i na pewno w to wierzy. — Khouri nie musiała nic dodawać. Volyova skinęła głową; zrozumiała. — Istnieje lepszy sposób — kontynuowała Khouri. — Niech Sylveste leci sobie, jeśli chce, ale zróbmy wszystko, żeby nie mógł się zbyt łatwo dostać do środka.

— Masz na myśli…

— Powiem, nawet jeśli nie chcesz. Musimy sprawić, by przyczółek zginął. Musimy sprawić, by Cerber zwyciężył.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

— Wiemy jedynie, że broń Volyovej dostała się pod zewnętrzną skorupę planety — powiedział Sylveste. — Może do poziomu maszyn, które widziałem podczas swojej pierwszej wyprawy.

Minęło piętnaście godzin od momentu, gdy przyczółek się zakotwiczył. W tym czasie Volyova nic nie robiła, odmówiła posłania pierwszych mechanicznych wywiadowców.

— Wydaje się, że rolą tych maszyn jest utrzymywanie skorupy, reperacje uszkodzeń, podtrzymywanie jej realistycznego wyglądu, gromadzenie materii, gdy jakiś materialny obiekt znajdzie się w pobliżu. Stanowią również pierwszą linię obrony.

— Ale co jest głębiej? — spytała Pascale. — Nie uzyskaliśmy jasnego obrazu tej nocy, gdy zostałaś zaatakowana. Nie sądzę, żeby to spoczywało na litej skale, że pod zmechanizowaną fasadą znajduje się skalista planeta.

— Wkrótce się dowiemy — odparła Volyova.

Jej wywiadowcy byli śmiesznie prości, nawet prymitywniejsi od robotów, których Sylveste i Calvin używali we wstępnej fazie leczenia kapitana. Taką przyjęła zasadę: nie ujawniać Cerberowi bardziej zaawansowanych technologii niż to absolutnie konieczne w danym zadaniu. Przyczółek potrafił wytwarzać mnóstwo dron i ta obfitość rekompensowała ich ogólny brak inteligencji. Każda drona, wielkości pięści, miała dość odnóży, by mogła się niezależnie poruszać, i tyle oczu, że jej istnienie miało sens. Nie posiadały mózgu, nie miały nawet prostej sieci o kilku tysiącach neuronów; w porównaniu z nimi przeciętny owad wydałby się rozwiniętym mózgowcem. Miały natomiast małe gruczoły przędne, które snuły izolowane włókno optyczne. Drony były sterowane przez przyczółek — wszystkie polecenia, wszystko, co widziały, przechodziło w obie strony przez to włókno, przy czym gwarantowana była prywatność na poziomie kwantowym.

— Myślę, że znajdziemy inny poziom automatyzacji — powiedział Sylveste. — Może warstwę obrony. Ale przecież musi być coś, co warto aż tak chronić.

— Czyżby? — spytała Khouri, która od początku spotkania celowała w niego groźnie wyglądającym karabinem plazmowym. — Chyba wysunąłeś już kilka nieuzasadnionych hipotez? Cały czas mówisz tak, jakby tam było coś wartościowego, czego nie powinniśmy

dotykać swymi brudnymi paluchami. I po to ten cały kamuflaż, żeby takie pajace jak my trzymały się z daleka. A jeśli to zupełnie co innego? Jeśli jest tam coś złego?

— Khouri może mieć rację — powiedziała Pascale.

Sylveste uważnie patrzył na karabin.

— Nie bądź protekcjonalna i nie myśl, że nie rozważyłem wszystkich ewentualności — rzekł, nie dbając o to, która z nich, Khouri czy żona, wezmą jego słowa do siebie.

— Nawet mi się nie śni — odparła Khouri.

Dziewięćdziesiąt minut po tym, jak pierwszy szpieg rozwinął kabel i opuścił się z otworu do komory pod skorupą, do Sylveste'a dotarł pierwszy widok tego, co go oczekiwało. Początkowo nie rozumiał, co tam widzi. Olbrzymie wężowe kształty — zniszczone i najwyraźniej martwe — piętrzyły się nad dronami jak chaotycznie splątane odnóża padłych bogów. Trudno było się domyślić, jaka jest rola tych wielkich maszyn, choć okrywająca je skorupa oddawała bardzo ważne usługi i prawdopodobnie tam powstawały bronie molekularne, które potem ruszały do ataku na przybyszów. Sama skorupa, też pewnego rodzaju maszyna, miała ograniczenia wynikające z jej budowy — musiała przypominać planetę. Węże takich ograniczeń nie miały.

Spodziewał się większej ciemności, choć teraz, przez ranę zakorkowaną przyczółkiem, nie przedostawało się światło. Węże emitowały srebrzystą poświatę, jak wnętrzności fosforyzującego zwierzęcia z morskich głębin, promieniującego bioluminescencyjnymi bakteriami. Trudno stwierdzić, jaką rolę pełniło to światło. Może stanowiło produkt uboczny amarantinskiej nanotechniki? Widoczność sięgała dziesiątków kilometrów, do miejsca, gdzie sklepienie skorupy zakrzywiało się i spotykało z horyzontem powierzchni, na której w zwojach leżały węże. Gdzieniegdzie poskręcane korzeniaste pnie podtrzymywały sklepienie i można było odnieść wrażenie, że widzi się wnętrze lasu w księżycowej poświacie. Nieba nie było widać, gruntu też prawie nie, tak gęste go pokrywało poszycie. Korzenie pni przeplatały się wzajemnie, tworząc splątaną strukturę barwy grafitu. To była podłoga.

— Ciekawe, co znajdziemy pod spodem — powiedział Sylveste.

Volyova rozważała opcję dzieciobójstwa. Nie było wyjścia; skazywała przyczółek na powolną śmierć, odcinając go od informacji, której potrzebował, by modyfikować własne środki obronne przeciw mechanizmom Cerbera. Bez bieżących informacji ze statku matryce molekularne w jądrze przyczółka nie zostaną skorygowane — zamrożone, potrafiłyby produkować jedynie spory przestarzałe, sprzed ponad dwustu lat, niezdolne do odparcia nieustępliwego, nierozumnego postępu kontrataku obcych. Cudowny, brutalny twór

Volyovej zostałby skonsumowany aż do ostatniego atomu, rozprowadzony po całej skorupie, służyłby zupełnie innym celom przez wiele milionów lat.

A jednak trzeba to było zrobić.

Khouri miała rację: tylko psując przyczółek, mogli wpłynąć na bieg wydarzeń. Nie mogli nawet zniszczyć broni, gdyż kazamatę wziął teraz we władanie Złodziej Słońca. Nie dopuściłby do użycia broni kazamatowych. Pozostawało tylko powolne dobijanie przyczółka głodem — ograniczaniem dostępu do wiedzy.

To znacznie okrutniejsze niż nagła śmierć.

Na bransoletę Volyovej przyczółek wysyłał ciągłe żądania nowych informacji. Displej pulsował, ale nikt poza Volyovą tego nie widział. Przyczółek zauważył brak zasilania danymi godzinę temu, gdy kolejna spodziewana aktualizacja nie nadeszła. Początkowe zapytanie miało wyłącznie charakter techniczny, zwykłe sprawdzenie, czy promień komunikacyjny jest aktywny. Potem broń stała się bardziej natarczywa, nalegała uprzejmym tonem. Teraz, już mniej dyplomatyczna, ciskała swoje maszynowe przekleństwa.

Nie uległa jeszcze uszkodzeniu, gdyż systemy Cerbera nie przekroczyły jej zdolności odparcia ataku, ale przyczółek okazywał wielkie zdenerwowanie, nawet gdy informował Volyovą, ile minut mu zostało, uwzględniając obecne tempo narastania ataku. Niewiele. Za mniej niż dwie godziny Cerber dorówna mu poziomem i potem los przyczółka miał zależeć tylko od rozmiarów wrażych sił. Cerber zwycięży. Z całkowitą matematyczną pewnością.

Umrzyj szybko, myślała Volyova.

Błaganie to biegło przez jej umysł i w tym samym czasie zaszło coś niemożliwego.

Resztki spokoju zniknęły z twarzy Volyovej.

— Co takiego? — spytała Khouri. — Wyglądasz, jakbyś zobaczyła…

— Zobaczyłam ducha — odparła Volyova. — Nazywa się Złodziej Słońca.

— Co się stało? — spytał Sylveste.

Podniosła wzrok znad bransolety.

— Złodziej przywrócił łączność z przyczółkiem.

Rzuciła okiem na bransoletę, jakby miała nadzieję, że to, co przed chwilą zobaczyła, było złudzeniem. Jednak wyraz jej twarzy sugerował, że złowrogi znak nadal tam istniał, wymagał interpretacji.

— A co takiego musiało zostać przywrócone? — spytał Sylveste. — No, powiedz.

Khouri mocniej ujęła ciepły, powleczony skórą karabin plazmowy. Już wcześniej czuła się nieswojo w całej tej sytuacji, ale teraz balansowała na krawędzi przerażenia.

— Broń nie ma protokołów rozpoznawania własnej dezaktualizacji — wyjaśniła. Zadrżała, jakby uwalniała się od opętania. — Właśnie… do pewnych informacji się jej nie dopuszcza, chyba że zajdzie sytuacja, że broń musi to wiedzieć… — Khouri rozejrzała się po zebranych członkach załogi, niepewna, czy jej słowa zostały zrozumiane. — Nie można jej pozwolić na to, by wiedziała, jak ewoluują jej systemy obronne, nim ewolucja się dokona. Bardzo istotne jest wybranie odpowiedniego momentu aktualizacji…

— Usiłowaliście ją zagłodzić — stwierdził Sylveste. Hegazi, który siedział obok niego, nie odezwał się, ale ledwo zauważalnie skinął głową, niczym despota wydający wyrok.

— Nie, ja tylko…

— Nie usprawiedliwiaj się — powiedział z naciskiem. — Gdybym chciał tego samego, co ty… sabotować całą operację… na pewno zrobiłbym coś podobnego. Doskonale wybrałyście moment, odczekałyście, żeby zobaczyć wasz przyczółek w akcji. Miałyście satysfakcję, widząc, że działa.

— Ty kutasie! — Khouri splunęła. — Ty ograniczony, egotyczny dupku!

— Gratulacje — rzekł Sylveste. — Mogłabyś przejść do dłuższych inwektyw. Ale tymczasem może zechcesz skierować ten nieprzyjemny kawałek hardware'u w jakąś inną stronę, nie w moją twarz?

— Z przyjemnością — odparła Khouri, ale karabin nawet nie drgnął. — Już sobie upatrzyłam pewną część anatomiczną.

Hegazi zwrócił się do Volyovej:

— Czy mogłabyś wyjaśnić, co się stało?

— Złodziej Słońca musi teraz sterować statkowym systemem łączności — wyjaśniła Volyova, cały czas kręcąc głową. — To jedyne wytłumaczenie. Tylko w ten sposób moje polecenia zatrzymania transmisji mogły być anulowane.

— Ale to niemożliwe. Wiemy, że Złodziej jest ograniczony do centrali uzbrojenia, a przecież nie istnieje fizyczne powiązanie między centralą a systemem dowodzenia.

— Teraz na pewno istnieje — stwierdziła Khouri.

— Jeśli tak… — Volyova przewróciła oczyma, aż widoczne były całe białka — jasne półksiężyce w ciemnościach mostku. — Nie ma logicznej bariery między dowodzeniem a resztą statku. Jeśli Złodziej Słońca rzeczywiście doszedł tak daleko, może dosięgnąć, czego tylko zechce.

Zapadło milczenie, jakby wszyscy — nawet Sylveste — potrzebowali czasu, by zrozumieć powagę sytuacji. Khouri próbowała odgadnąć jego myśli, ale nie potrafiła stwierdzić, ile z tego Sylveste uznaje za prawdę. Nadal podejrzewała, że postrzega on sytuację jako paranoiczną fantazję, którą Khouri wysnuła z własnej

podświadomości; potem zainfekowała tym Volyovą, a później Pascale.

Mimo dowodów nie całkowicie wierzył w to, co widział.

Ale jakie to dowody? Przywrócony sygnał i wszystkie tego skutki… poza tym nie było nic, co sugerowałoby, że Złodziej Słońca sięgnął poza centralę uzbrojenia. Ale jeśli…

— Ty. — Volyova przerwała ciszę. — Ty, svinoi. — Wycelowała w Hegaziego. — Ty masz w tym udział. Sajaki się nie liczy, a Sylveste nie ma potrzebnych kwalifikacji. Zostajesz tylko ty.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Pomogłeś Złodziejowi Słońca, prawda?

— Triumwirze, opanuj się.

Khouri nie wiedziała, w którą stronę ma wycelować karabin plazmowy. Sylveste wyglądał na osobę równie wstrząśniętą, jak Hegazi, był równie zdziwiony nagłym zwrotem w śledztwie.

— Posłuchaj — rzekła Khouri. — Z tego, że on cały czas lizał dupę Sajakiemu, nie wynika, że zrobił coś tak głupiego.

— Dziękuję — powiedział Hegazi.

— Nie jesteś zwolniony od odpowiedzialności — stwierdziła Volyova. — Na razie nie. Khouri ma rację. Ten czyn byłby z twojej strony wielką głupotą. Ale to nie znaczy, że tego nie dokonałeś. Masz ku temu odpowiednie kwalifikacje. Ponadto jesteś chimerykiem i może Złodziej Słońca jest w tobie. W takim razie uważam, że jesteś niebezpieczny.

Skinęła na Khouri.

— Zabierz go do jednej ze śluz.

— Zamierzasz mnie zabić — powiedział Hegazi, gdy Khouri prowadziła go zalanym korytarzem, popychając lufą karabinu plazmowego. Szczury-woźni czmychały przed nimi. — Chcesz mnie wyrzucić w kosmos.

— Volyova chce umieścić cię tam, skąd nie możesz nam szkodzić. — Khouri nie miała ochoty na dłuższe rozmowy z więźniem.

— Nie zrobiłem tego, o co ona mnie posądza. Z przykrością przyznaje, że nie mam koniecznych do tego umiejętności. Wystarczy ci takie wyjaśnienie?

Zaczynał ją irytować, ale wyczuła, że Hegazi zamknie się tylko wtedy, gdy ona będzie z nim rozmawiała.

— Nie jestem pewna, czy rzeczywiście to zrobiłeś — odparła. — Przecież musiałbyś poczynić rozmaite przygotowania, nim w ogóle się zorientowałeś, że Volyova zamierza dokonać sabotażu przyczółka. A od tego czasu stale przebywałeś na mostku.

Dotarli do najbliższej śluzy. Była to mała jednostka, wystarczająca, by przepuścić człowieka w skafandrze. Jak prawie wszystko w tej części statku, zardzewiałe kontrolki na drzwiach były ubabrane dziwną grzybową narośla. Jakimś cudem jednak działały.

— Dlaczego więc to robisz? — spytał Hegazi, gdy drzwi otwarły się z szumem i Khouri wepchnęła go do ciasnego, słabo oświetlonego pomieszczenia. — Przecież uważasz, że nie byłbym w stanie tego dokonać.

— Bo cię nie lubię — odparła i zamknęła za nim drzwi.

TRZYDZIEŚCI

Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

Zostali sami w swej kwaterze.

— Nie możesz tego zrobić, Dan — powiedziała Pascale. — Rozumiesz mnie?

Był zmęczony, jak wszyscy, ale tak intensywnie rozmyślał, że zupełnie nie miał ochoty na sen. A przecież może właśnie teraz nadarzała się ostatnia okazja do prawdziwego wypoczynku, która się nie powtórzy przez kilkadziesiąt godzin albo i kilka dni. Schodząc do obcego świata, Sylveste musiał być w dobrej kondycji, jak nigdy. Pascale wyraźnie postanowiła go odwieść od jego zamiarów.

— Za późno — odparł, znużony. — Już daliśmy o sobie znać, skrzywdziliśmy Cerbera. Planeta wie o naszej obecności, poznała częściowo naszą naturę. Moje zejście niewiele zmieni, dowiem się natomiast znacznie więcej, niż mogą mi przekazać te głupawe szpiegujące roboty Volyovej.

— Dan, nie wiesz, co tam na ciebie czeka.

— Przeciwnie, wiem: odpowiedź na pytanie, co stało się z Amarantinami. Zrozum, ludzkość musi dostać te informacje.

Pascale rozumiała, przynajmnej teoretycznie.

— A jeśli ich zagładę spowodowała ciekawość taka sama jak twoja? Widziałeś, jaki los spotkał „Lorean".

Znów pomyślał o Alicji, która zginęła podczas ataku. Dlaczego właściwie nie chciał trochę zaczekać i sprowadzić jej ciała z wraku? Kazał spuścić ją wraz z przyczółkiem; teraz przypomniał sobie, że wydał rozkaz w sposób zimny, bezosobowy, jakby przez krótką chwilę to nie on decydował — nawet nie Calvin — ale coś skrywającego się za nimi oboma. Przestraszyła go ta myśl, więc zdusił ją pod poziomem świadomych obaw, jak dusi się karalucha.

— Ale się przecież dowiemy? W końcu się dowiemy — odparł. — I nawet jeśli to nas zabije, ktoś będzie wiedział, co się stało. Ktoś na Resurgamie albo w innym układzie. Zrozum, Pascale, że według mnie to warte ryzyka, które chcę podjąć.

— Nie chodzi tu tylko o zaspokojenie ciekawości, prawda? — Przyglądała mu się, oczekując odpowiedzi. On też na nią patrzył, zdając sobie sprawę, jak deprymujące jest to, że nie można odgadnąć, na czym koncentruje wzrok. — Khouri umieszczono na statku, by cię zabiła. Przyznała to. Volyova twierdzi, że Khouri została posłana przez osobę, która być może jest Carine Lefevre.

— To nie tylko niemożliwe, to obraźliwe.

— A jednak niewykluczone, że to prawda. I kryje się za tym coś więcej niż osobista zemsta. Może Lefevre rzeczywiście umarła, ale coś przybrało jej postać, przejęło jej ciało, coś co wie, z jakim igrasz niebezpieczeństwem. Czy nie mógłbyś przynajmniej wziąć pod uwagę takiej ewentualności?

— Nic, co wydarzyło się przy Całunie Lascaille'a, nie ma związku z losem Amarantinów.

— Skąd ta pewność?

— Bo tam byłem! — odparł wściekle. — Bo dotarłem tam, gdzie Lascaille, do Przestrzeni Objawienia, i to, co pokazali Lascaille'owi, pokazali również mnie. — Próbował się uspokoić, ujął dłonie Pascale. — Byli prastarzy i bardzo obcy, aż cały dygotałem. Dotknęli mego umysłu. Widziałem ich… zupełnie nie przypominali Amarantinów.

Od wyjazdu z Resurgamu po raz pierwszy wracał wspomnieniami do tej przerażającej chwili, gdy uświadomił sobie, że jego uszkodzony moduł kontaktowy ociera się o Całun. Prastare jak skamieliny umysły Całunników wpełzły do jego umysłu. W tym momencie miał wrażenie otchłani. Okazało się prawdą to, co mówił Lascaille. Może mieli obcą biologię, wywoływali instynktowną odrazę, gdyż tak nie przystawali do tego, co ludzki umysł uznawał za właściwą formę istot rozumnych, ale jeśli chodzi o żywotność myśli, byli bliżsi ludziom, niż wskazywałaby na to ich budowa. Ta dziwna dychotomia wydawała mu się początkowo niezrozumiała, ale przecież gdyby podstawowe stuktury myślenia się nie zgadzały, Żonglerzy Wzorców nie mogliby tak skonfigurować jego umysłu, by potrafił rozumować jak Całunnicy. Pamiętał wszechogarniające go mdłości podczas tego zespolenia… i jak potem runął na niego wodospad pamięci, przelotne mignięcie przeogromnej historii Całunników. Przez miliony lat czyścili galaktykę młodszą od obecnej, wyszukując i zbierając rozrzucone, niebezpieczne zabawki innych, nawet starszych cywilizacji. Teraz te bajeczne rzeczy znajdowały się w zasięgu ręki, za błoną Całunu… a Sylveste niemal wniknął do środka. A poza tym…

Coś się na chwilę rozwarło, jak kurtyna, jak chmury; ulotnie, tak że niemal uleciało mu z pamięci i dopiero teraz sobie przypomniał. Coś mu się objawiło, a powinno zostać schowane za warstwami tożsamości. Tożsamości i wspomnień dawno wymarłej rasy… używane jako kamuflaż…

I coś innego, zawartego całkowicie w Całunie; inny, wyłączny powód jego istnienia…

Wspomnienie wydawało się niekonkretne, umykało umysłowi; i znowu był z Pascale, i posmak wątpliwości pozostał.

— Obiecaj, że nie pójdziesz — powiedziała.

— Porozmawiamy o tym rano — odparł.

Obudził się w swej kwaterze; krótki sen nie zdołał mu oczyścić krwi ze zmęczenia.

Coś wybiło go ze snu, ale przez chwilę nie słyszał ani nie widział, co to mogło być. Potem zauważył przy łóżku ekran holograficzny, świecący blado, jak zwierciadło odwrócone ku księżycowi.

Uaktywnił połączenie, starając się nie obudzić Pascale, choć w zasadzie nie było takiego niebezpieczeństwa, gdyż spała głęboko. Prawdopodobnie wcześniejsza wspólna rozmowa dała jej ukojenie.

Na hologramie ukazała się twarz Sajakiego, z tyłu aparatura ambulatorium.

— Jesteś sam? — spytał łagodnie.

— Żona tu jest — odparł Sylveste szeptem. — Śpi.

— Więc będę się streszczał. — Pokazał zranioną rękę. Błyszcząca osłonka wypełniła się i nadgarstek miał normalny kształt, choć błona nadal świeciła podskórną krzątaniną. — Już się podleczyłem i mogę stąd iść. Ale nie zamierzam wpaść w takie same tarapaty jak Hegazi.

— Jesteś w kiepskiej sytuacji. Volyova i Khouri dysponują całym uzbrojeniem. Zabezpieczyły się, żeby żadna broń nie wpadła w nasze ręce. — Obniżył ton głosu. — Nie będzie mieć oporów, by również mnie zamknąć. Moje groźby w stosunku do statku chyba nie zrobiły na niej wrażenia.

— Zakłada, że nie posuniesz się aż tak daleko.

— Może ma rację?

Sajaki pokręcił głową.

— To i tak nieważne. Za parę dni, najdalej za pięć, jej przyczółek przestanie działać. W tym przedziale czasowym musiałbyś dostać się do środka. I nie łudź się, że jej małe roboty czegoś cię nauczą.

— Tyle to wiem.

Pascale poruszyła się.

— Więc przyjmij moją propozycję — powiedział Sajaki. — Poprowadzę cię do środka. Tylko my dwaj, nikt więcej. Weźmiemy dwa skafandry, takie sam jak ten, w którym sprowadziliśmy cię z Resurgamu. Niepotrzebny nam statek. W dzień dotrzemy do Cerbera. Zostają ci dwa dni na wejście do środka, dzień, by się rozejrzeć, potem dzień na wycofanie się tą samą drogą. Przez ten czas oczywiście poznasz trasę.

— A ty?

— Będę ci towarzyszył. Już ci mówiłem, że zależy mi, byśmy kontynuowali leczenie kapitana.

Sylveste skinął głową.

— Sądzisz, że wewnątrz Cerbera znajdziesz coś, co pomoże w kuracji?

— Od czegoś musimy zacząć.

Sylveste rozejrzał się. Głos Sajakiego był jak wiatr kołyszący drzewami, a pokój wydawał się nienaturalnie spokojny, jakby na scenkę rodzajową patrzyło się przez latarnię magiczną. Pomyślał o zaciekłych zmaganiach, jakie toczą się obecnie na Cerberze, o wściekłości zderzających się maszyn, przeważnie mniejszych od mikrobów; o łoskocie walk, którego ludzkie zmysły nie są w stanie usłyszeć. Ale to wszystko tam się działo i Sajaki słusznie twierdził, że mają tylko parę dni, bo wkrótce niezliczone maszyny posłuszne Cerberowi zaczną niszczyć potężną maszynę oblężniczą Volyovej. Każda sekunda opóźnienia wejścia do wnętrza oznacza o sekundę krótszy pobyt w środku i ta sekunda może zaważyć na szansach powrotu, gdyż most może się zawalić. Pascale znów się poruszyła, ale Sylveste czuł, że żona nadal głęboko śpi. Była tu obecna w takim samym stopniu, co ptasie wzory, dekorujące ściany pokoju. Tak samo trudno byłoby ją rozbudzić.

— To dość nagła propozycja — powiedział.

— Ale czekałeś na to całe życie — odparł Sajaki mocniejszym głosem. — Nie powiesz chyba, że nie jesteś na to gotów. Nie powiesz, że przeraża cię to, co mógłbyś tam zobaczyć.

Sylveste wiedział, że musi podjąć decyzję, nim w pełni do niego dotrze niesamowitość tej chwili.

— Gdzie się spotkamy?

— Na zewnątrz statku — rzekł Sajaki, po czym wyjaśnił, dlaczego właśnie tam. Uważał, że zbyt ryzykowne jest spotkanie z Volyovą, Khouri lub Pascale. — Chyba ciągle jestem chory — dodał, pocierając błonę powlekającą nadgarstek. — Jeśli spotkają mnie poza ambulatorium, zrobią ze mną to, co z Hegazim. Z tego miejsca w kilka minut mogę dotrzeć do skafandra, nie przechodząc przez rejony statku nadal zdolne do wykrycia mojej obecności.

— A ja?

— Idź do najbliższej windy. Spowoduję, by zawiozła cię do najbliższego skafandra. Nie musisz nic robić. Wszystkim zajmie się skafander.

— Ja…

— Bądź na zewnątrz za dziesięć minut. Twój skafander podleci do mnie. — Sajaki uśmiechnął się, nim się wyłączył. — Z całej siły ci zalecam, byś nie budził żony.

Sajaki dotrzymał słowa. Zarówno winda, jak i skafander wiedziały, dokąd ma się udać Sylveste. Podczas podróży nikogo nie spotkał i nikt mu nie przeszkadzał, gdy skafander go obmierzył, dostosował się i czule objął.

Nic nie wskazywało na to, że statek zdawał sobie sprawę z tego, że śluza się otworzyła i że Sylveste wyszedł w kosmos.

Volyova została gwałtownie obudzona; urwał jej się

monochromatyczny sen o armiach wściekłych owadów.

Do drzwi stukała Khouri. Coś krzyczała, ale Volyova tego nie rozumiała; była zbyt zaspana. Gdy otworzyła drzwi, stanęła oko w oko z lufą karabinu plazmowego w skórzanym pokrowcu. Khouri dopiero po ułamku sekundy opuściła broń, jakby niepewna, co spotka ją za drzwiami.

— O co chodzi? — spytała Volyova.

— Po przebudzeniu Pascale zauważyła, że nie ma Sylveste'a — wyjaśniła Khouri. Krople potu wystąpiły jej na czoło, kolba karabinu lśniła wilgotnymi plamami.

— Jak to nie ma?

— Zostawił coś. Jest zaniepokojona. Chciała, bym ci to przekazała. — Khouri wyciągnęła z kieszeni kawałek papieru.

Volyova przetarła oczy i spojrzała na kartkę. Pod wpływem dotyku ujawniła się nagrana wiadomość. Ukazała się twarz Sylveste'a, zarysowana ciemno na tle wzoru splecionych ptaków.

— Przykro mi, ale cię okłamałem — docierał do nich głos dochodzący z papieru. — Przepraszam, Pascale, masz prawo mnie za to znienawidzić, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Tyle przecież razem przeszliśmy. — Teraz mówił bardzo cicho. — Prosiłaś mnie, bym obiecał, że nie polecę na Cerbera. Jednak lecę i gdy ty będziesz to czytała, ja znajdę się daleko i będzie za późno, by mnie zawrócić. Na swoje usprawiedliwienie mam jedynie to, że muszę tak postąpić, i wydaje mi się, że zawsze wiedziałaś, że to zrobię. — Przerwał albo dla nabrania oddechu, albo żeby się zastanowić, co dalej powiedzieć. — Ty jedna, Pascale, domyślałaś się, co zaszło przy Całunie Lascaille'a. Wiesz, że zawsze cię za to podziwiałem. Dlatego nie bałem się wyjawić ci prawdy. Przysięgam, że powiedziałem ci to, co, jak sądziłem, wydarzyło się przy Całunie Lascaille'a. To nie było kłamstwo z mojej strony. Teraz jednak ta kobieta, Khouri, mówi, że została wysłana przez osobę, którą może być Carine Lefevre, a ta posłała ją, by Khouri zabiła mnie za to, co jakoby uczyniłem.

Kartka znów na chwilę zamilkła.

— Postępowałem tak, jakbym nie wierzył ani słowu, i chyba tak właśnie wtedy myślałem. Ale muszę teraz pogrzebać te złe wspomnienia, upewnić się, że wszystko to nie ma związku z tym, co wydarzyło się przy Całunie.

Rozumiesz to, prawda? Muszę pokonać jeszcze pewną drogę, by uciszyć te zjawy. Może powinienem być Khouri wdzięczny. Dała mi powód, bym zrobił ten krok i pokonał strach przed tym, co tam znajdę. Nigdy w życiu nie czułem takiego strachu. Według mnie ona i ta reszta to nie są źli ludzie. Ty, Pascale, też nie. Wiem, że cię przekonały, ale to nie twoja wina. Z miłości usiłowałaś mnie nakłonić, bym zmienił zadanie. A to, co robię — co zamierzam zrobić — jest dla

mnie bolesne, gdyż wiem, że zdradzam tę miłość.

Rozumiesz? Potrafisz mi wybaczyć, gdy wrócę? To nie potrwa długo, najwyżej pięć dni, może znacznie krócej. — Znów zamilkł. — Zabieram ze sobą Calvina — dodał. — Jest teraz we mnie. Powiem prawdę: osiągnęliśmy stan nowej… równowagi. Sądzę, że Calvin okaże się dla mnie cenny.

Potem obraz na kartce zblakł.

— Niekiedy czułam nawet do niego sympatię — stwierdziła Khouri. — Ale ją zniweczył.

— Powiedziałaś, że Pascale źle to przyjęła.

— A ty w takim wypadku co byś czuła?

— Zależy. Może on miał rację, może Pascale zawsze wiedziała, że do tego dojdzie. Powinna dwa razy pomyśleć, zanim poślubiła tego svinoi.

— Jak sądzisz, daleko dotarł?

Volyova znów spojrzała na kartkę, w nadziei że z zagięć papieru wydobędzie dodatkowe informacje.

— Ktoś musiał mu pomagać. Niewielu takich zostało, którzy byliby w stanie mu pomóc. Właściwie nikt, z wyjątkiem Sajakiego.

— Może nie powinnyśmy go wykluczać. Jego medmaszyny mogły go szybciej wyleczyć, niż zakładałyśmy.

— Nie. — Volyova stuknęła w swą magiczną bransoletę. — W każdej chwili wiem, gdzie są Triumwirowie. Hegazi nadal w śluzie, Sajaki w ambulatorium.

— Nie miałabyś nic przeciwko temu, by to na wszelki wypadek sprawdzić?

Volyova włożyła dodatkową warstwę ciepłych ubrań, by bez obawy o wyziębienie móc chodzić po dowolnych ciśnieniowych rejonach statku. Za pas wsunęła miotacz, przez ramię przewiesiła ciężkie działo, które Khouri wydobyła dla niej ze zbrojchiwum. Był to wytwór z dwudziestego trzeciego wieku, z okresu pierwszej Europejskiej Demarchii; sportowe superszybkie dwuuchwytowe działo pociskowe, obłożone wyprofilowanym czarnym neoprenem, o bokach ozdobionych czerwonookimi chińskimi smokami w kutym złocie i srebrze.

— Absolutnie nic — odparła.

Dotarły do śluzy, gdzie Hegazi siedział cały czas. Volyova wyobrażała sobie, że, ponieważ nie miał nic do roboty, studiuje na pewno swoje odbicie w wypolerowanych stalowych ścianach. Nie mogła powiedzieć, że nienawidzi Hegaziego albo że go szczególnie nie lubi. Byl za słaby, istniał jedynie w cieniu Sajakiego.

— Sprawiał ci kłopoty? — spytała.

— W zasadzie nie. Cały czas tylko deklarował, że jest niewinny i to nie on uwolnił Złodzieja Słońca z centrali. I chyba tak myślał.

— Khouri, to stara metoda znana jako kłamstwo.

Volyova odciągnęła działo i chwyciła za klamkę, która powinna otworzyć wewnętrzne drzwi śluzy. Mocno zaparła się stopami w szlamie. Szarpnęła za klamkę.

— Nie mogę otworzyć.

— Daj, spróbuję. — Khouri łagodnie odsunęła ją na bok. Mocowała się z klamką. — Nie. — Jest zablokowana. Nie da się ruszyć.

— Nie przyspawałaś jej przypadkiem?

— Właśnie, zapomniałam. Co za głuptas ze mnie.

Volyova stuknęła w drzwi.

— Hegazi, słyszysz mnie? Co zrobiłeś z drzwiami? Nie otwierają się.

Żadnej odpowiedzi.

— Jest w środku — stwierdziła Volyova, sprawdziwszy dane z bransolety. — Może nas nie słyszeć przez zbrojone drzwi.

— To mi się nie podoba — odparła Khouri. — Gdy odchodziłam, drzwi były w porządku. Przestrzelmy zamek. — Nie czekając na zgodę Volyovej, krzyknęła: — Hegazi, słyszysz mnie? Strzelamy i wchodzimy.

W mgnieniu oka ujęła karabin plazmowy w jedną dłoń; pod wpływem ciężaru mięśnie ramienia się napięły. Drugą ręką zasłoniła twarz, po czym odwróciła wzrok.

— Zaczekaj — powstrzymała ją Volyova. — Za szybko. A jeśli zewnętrzne drzwi są otwarte? Próżnia przesunęła czujniki ciśnienia i zamknęła wewnętrzne drzwi.

— Jeśli tak jest, Hegazi nie sprawi nam więcej kłopotów. Chyba że potrafi wstrzymać oddech przez kilka godzin.

— Słusznie… ale nie chcemy przecież zrobić dziury w tych drzwiach.

Khouri podeszła bliżej.

Jeśli w ogóle istniała tu tablica wskazująca stan ciśnienia za drzwiami, to była dobrze ukryta pod warstwą szlamu.

— Mogę ustawić promień na najwęższą kolimację. Zrobię w drzwiach maleńką dziurkę, jak igłą.

— Zgoda — odparła Volyova po chwili wahania.

— Hegazi, zmiana planu. Robimy dziurę w drzwiach na górze. Jeśli stoisz, to radzimy ci usiąść i uporządkować życiowe sprawy.

Nadal żadnej odpowiedzi.

Dla karabinu plazmowego to zadanie jest niemal obelgą, pomyślała Volyova. Operacja zbyt delikatna i precyzyjna — jakby do krojenia weselnego tortu użyto lasera przemysłowego. Ale Khouri to zrobiła. Błysk, trzask — broń wypuściła w stronę drzwi cieniutkie długie nasionko pioruna kulistego. Przez chwilę z otworu małego jak

wejście do korytarza kornika unosił się dym.

Tylko przez sekundę.

Nagle coś wystrzeliło z drzwi ciemnym syczącym łukiem.

Volyova nie traciła czasu na robienie większej dziury w drzwiach. Zrozumiały, że raczej nieprawdopodobne jest, by ktoś żywy znajdował się w śluzie. Hegazi albo zginął — na razie nie wiadomo jak — albo wcześniej opuścił śluzę, a ten strumień cieczy pod wysokim ciśnieniem to jego wiadomość dla ciemiężycieli.

Khouri przestrzeliła drzwi i strumień stał się grubym jak ramię potokiem słonawej cieczy, prącym z taką siłą, że Khouri została ciśnięta na mulistą podłogę, a karabin plazmowy wpadł do głębokiej po kostki kałuży. Ciecz wściekle syknęła w zetknięciu z nagrzanymi wnętrznościami broni. Khouri wstała. Potok zmienił się w ciurkający, hałaśliwy strumyczek, wypływający przez podziurawione drzwi. Khouri podniosła karabin i strząsnęła z niego maź, zastanawiając się, czy będzie znów działał.

— To szlam statkowy — powiedziała Volyova. — To samo, w czym stoimy. Wszędzie poznam ten fetor.

— Śluza była wypełniona szlamem?

— Nie pytaj, jak to możliwe. Zrób w drzwiach większą dziurę.

Khouri wypaliła tak duży otwór, że mogła przez niego włożyć rękę i swobodnie manipulować wewnętrznymi kontrolkami zamka, nie parząc się o rozgrzane plazmą krawędzie metalu. Volyova miała rację: przełączniki ciśnienia zablokowały mechanizm zamka. Ktoś musiał pod dużym ciśnieniem napompować komorę szlamem.

Drzwi się otworzyły i pozostała część mazi wypłynęła na korytarz.

Razem z resztkami Hegaziego. Nie wiadomo, czy to z powodu dużego ciśnienia, jakiemu został poddany, czy przez wybuchowe oswobodzenie, ale metalowe i cielesne komponenty korpusu rozstały się po niezbyt przyjaznym rozwodzie.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Cerber-Hades, heliopauza Delty Pawia, 2566

— Aż się prosi, żeby zapalić — powiedziała Volyova. Musiała sobie przypomnieć, gdzie ostatnio włożyła fajki. Wreszcie znalazła je w rzadko używanej kieszeni kurtki lotniczej. Nie śpieszyła się jednak ani z otwarciem paczki, ani z wyciągnięciem pogiętej pożółkłej tutki. Gdy wreszcie była gotowa, zaciągnęła się niespiesznie, dała opaść napięciu — jakby wzbite w górę pierze powoli osiadało na ziemi.

— Statek go zabił — stwierdziła. Patrzyła na resztki Hegaziego, ale usiłowała nie myśleć o tym, co widzi. — Tylko tak się to da wyjaśnić.

— Zabił go? — Khouri nadal kierowała lufę karabinu plazmowego na szczątki Triumwira, unoszące się u jej stóp w oślizłym szlamie, jakby ciągle się obawiała, że odruchowo mogą się połączyć w całość. — Według ciebie to nie był wypadek?

— Nie, to nie był wypadek. Wiem, że Hegazi był w zmowie z Sajakim, a więc z Sylveste'em. A jednak Złodziej Słońca go zabił. To zastanawiające.

— Właśnie.

Khouri prawdopodobnie już sobie wiele rzeczy przemyślała, a jednak Volyova postanowiła to zwerbalizować.

— Sylveste zniknął. Jest w drodze na Cerbera, a ponieważ nie udało mi się uszkodzić broni, prawie nic go nie może powstrzymać przed dostaniem się do środka. Rozumiesz? To znaczy, że Złodziej Słońca zwyciężył. Wszystko osiągnął. Reszta to tylko kwestia czasu i zachowania status quo. Co zagraża tym planom?

— My — odparła Khouri z wahaniem, jak inteligentny uczeń, który chce zrobić wrażenie na nauczycielu, ale tak, by nie spowodować szyderstw kolegów z klasy.

— Więcej. Nie tylko ja i ty mu zagrażamy, nawet jeśli włączymy do tego Pascale. Z punktu widzenia Złodzieja Hegazi stanowił zagrożenie, tylko z tego powodu, że był człowiekiem. — Snuła wyłącznie domysły, ale wydawały się jej przekonujące. — Dla czegoś takiego jak Złodziej Słońca ludzka lojalność to rzecz niestała, nieokreślona, nawet niezrozumiała. Zmienił Hegaziego, a przynajmniej tych, którym Hegazi był wierny. Ale czy rozumiał, jakim prawom ta lojalność podlega? Wątpię. Hegazi stanowił element, który okazał się użyteczny, a mógłby zawieść w przyszłości. — Poczuła lodowaty spokój, rozpamiętując możliwość własnej zguby; rzadko się

o nią aż tak blisko ocierała. — Musiał więc umrzeć. A teraz, gdy cel został niemal osiągnięty, Złodziej Słońca zechce to samo zrobić z nami.

— Gdyby chciał nas zabić…

— Już by to zrobił? Niewykluczone, że próbował. Całe rejony statku znalazły się poza centralnym sterowaniem, a to oznacza, że możliwości Złodzieja Słońca są ograniczone. Zawładnął ciałem, które jest już częściowo sparaliżowane, częściowo dotknięte trądem.

— Bardzo poetycki opis, ale jakie to ma dla nas znaczenie?

Volyova zapaliła drugiego papierosa; z pierwszym żegnała się bardzo pieczołowicie.

— Będzie usiłował nas zabić, ale trudno przewidzieć w jaki sposób. Nie może zdekompresować całego statku, gdyż nie istnieją sposoby przekazania odpowiednich, umożliwiających to komend. Nawet ja, gdybym chciała to zrobić, musiałabym otworzyć wszystkie śluzy, a w tym celu należałoby unieruchomić tysiące elektromechanicznych zabezpieczeń. Złodziej prawdopodobnie miałby duże trudności z zalaniem obszaru większego niż śluza. Jestem jednak pewna, że on już coś wymyśli.

Nagle, nie zastanawiając się, ujęła rękami działo i skierowała lufę w stronę ciemnego zalanego korytarza prowadzącego do śluzy.

— Co tam jest?

— Nic — odparła Volyova. — Boję się. Nawet bardzo. Masz jakiś pomysł?

Khouri miała pomysł.

— Znajdźmy Pascale. Nie zna statku tak dobrze jak my. A jeśli zrobi się tu rzeczywiście gorąco…

Volyova zgniotła peta lufą działa.

— Masz rację. Powinnyśmy trzymać się razem. I będziemy się trzymały. Gdy tylko…

Coś z hałasem wyłoniło się z ciemności i przystanęło dziesięć metrów od nich.

Volyova błyskawicznie wycelowała, ale nie strzeliła. Instynktownie wyczuła, że ta rzecz nie przyszła, by je zabić — przynajmniej nie w tej chwili. Był to jeden z serwitorów, jakie wykorzystywał Sylveste podczas przerwanej operacji kapitana. Jednostka ta nie była zbyt rozwinięta technicznie. Serwitor był sterowany głównie przez statek, a nie przez własny mózg.

Spojrzenie wypukłych oczu utkwiło w obu kobietach.

— Nie jest uzbrojony — powiedziała Volyova bardzo cicho, ale zaraz uświadomiła sobie, że nie ma sensu mówić szeptem. — Chyba posłano go na przeszpiegi. Jesteśmy teraz w takim miejscu, którego statek nie widzi. To jedna z jego ślepych plamek.

Czujniki serwitora lekko się zakołysały, jakby precyzowały swoją

pozycję, po czym maszyna cofnęła się w mrok.

Khouri strzeliła.

— Po co? — spytała Volyova, gdy ucichły odgłosy wstrząsu, a blask ginącej maszyny przestał razić w oczy. — To, co serwitor zobaczył, zostało przekazane do statku. Zastrzelenie go mijało się z celem.

— Nie podobał mi się sposób, w jaki na nas patrzył — wyjaśniła Khouri. Zmarszczyła czoło. — A poza tym mamy o jednego mniej. Nie musimy się już nim przejmować.

— Akurat — odparła Volyova. — A zważywszy, w jakim tempie statek potrafi wytworzyć taką prostą dronę, za dziesięć lub dwadzieścia sekund pojawi się następna.

Khouri spojrzała na nią tak, jakby usłyszała abstrakcyjny dowcip. Ale Volyova mówiła poważnie. To, co właśnie zauważyła, znacznie bardziej ją zmroziło niż widok wchodzącego serwitora. Przecież logicznie myśląc, należało się spodziewać, że statek użyje dron do zbierania danych z czujników; logiczne również było to, że wyposaży maszyny, by dokonały zabójstwa pozostałej załogi i pasażerów. Wcześniej czy później sama musiałaby wziąć takie rozwiązanie pod uwagę. Ale nie to. To, co wysunęło się ze szlamu: przez chwilę świdrowało ją czarnymi oczkami, po czym odwróciło się do niej ogonem i odpłynęło w ciemność.

Przecież statek steruje szczurami-woźnymi, uzmysłowiła sobie Volyova.

Gdy wróciła mu świadomość — a przez chwilę Sylveste nie mógł sobie przypomieć, kiedy go opuściła — był otoczony widownią rozmazanych gwiazd. Wykonywały skomplikowane tańce i gdyby już nie miał mdłości, to na pewno sam ten widok by go do nich doprowadził. Co ja tu robię? Dlaczego czuję się tak dziwnie, jakby każdą komórkę ciała wypchano mi watą? — pytał sam siebie. Bo jestem w skafandrze. Specjalnym skafandrze, identycznym jak ten, w którym zabrano mnie i Pascale z Resurgamu. Skafander zmusił go, by wypełnił swe płuca płynem, a nie powietrzem.

— Co się dzieje? — subwokalizował w taki sposób, żeby skafander mógł go zrozumieć za pośrednictwem wbudowanej w hełm sondy ośrodka mowy.

— Odwracam się — informował skafander. — Inwersja napędowa względem środka.

— Do diabła, gdzie jesteśmy? — Szperanie w pamięci nadał było uciążliwe. Zdawało mu się, że szuka końca splątanej liny. Nie miał pojęcia, w którym miejscu zacząć.

— Ponad milion kilometrów od statku. Trochę więcej jest do Cerbera.

— Całą drogę przelecieliśmy w… — Przerwał. — Zaraz, nie mam

pojęcia, jak długo to trwało.

— Wylecieliśmy siedemdziesiąt cztery minuty temu. — Nieco ponad godzinę, pomyślał Sylveste. Ale nawet gdyby skafander powiedział mu, że wszystko trwało jeden dzień, przyjąłby to bez zastrzeżeń. — Średnie przyśpieszenie wynosiło dziesięć g. Triumwir Sajaki kazał mi lecieć jak najszybciej.

Teraz Sylveste przypomniał sobie, jak Sajaki skontaktował się z nim w nocy i jak pomknął do skafandrów. Pamiętał, że zostawił wiadomość dla Pascale, ale nie pamiętał jej treści. Tylko na ten jeden luksus sobie pozwolił. Ale nawet gdyby miał kilka dni na przygotowania, niewiele by zmienił. Nie potrzebował dodatkowej dokumentacji ani urządzeń nagrywających, gdyż miał dostęp do zasobów bibliotecznych i zintegrowanych czujników skafandra. Wiedział, że skafandry są uzbrojone, zdolne do autonomicznej obrony przeciw takim systemom ataku, jaki przeżywał teraz przyczółek Volyovej. Potrafiły również wyprodukować naukowe zestawy do analizy oraz stworzyć w sobie schowki do przechowywania próbek. Poza tym były równie niezależne jak statki kosmiczne. Nagle uświadomił sobie, że źle na to patrzy: skafander to w istocie statek kosmiczny, bardzo elastyczny i wszechstronny statek kosmiczny z przestrzenią dla jednej osoby, który mógł się stać promem w atmosferze i w razie konieczności potrafił wędrować po powierzchni planety. Racjonalnie patrząc, to najlepszy środek transportu do wnętrza Cerbera.

— Cieszę się, że spałem podczas przyśpieszania — powiedział Sylveste.

— Nie miałeś wyboru — odparł skafander, okazując zupełny brak zainteresowania. — Świadomość została wyłączona. Przygotuj się teraz, proszę, do fazy hamowania. Gdy znów się rozbudzisz, dotrzemy w pobliże naszego celu.

Sylveste zaczynał formułować w głowie pytanie: dlaczego Sajaki jeszcze się nie ukazał, mimo zapewnień, że będzie mu towarzyszył? Nim jednak skonkretyzował myśli w taki sposób, by sonda mogła je odcyfrować, skafander znów go uśpił. Sylveste nie miał żadnych snów.

Khouri poszła poszukać Pascale, a Volyova wróciła na mostek. Obawiała się jechać windą, ale na szczęście musiała pokonać mniej niż dwadzieścia poziomów w górę. Taki wysiłek fizyczny dało się znieść, a droga była dość bezpieczna: statek nie mógł posłać na kJatkę schodową ani dron, ani latających maszyn, które poruszały się zwykłymi korytarzami na nadprzewodzących polach magnetycznych. Mimo to Volyova trzymała działo w pogotowiu, omiatając nim obszar przed sobą, gdy nieskończenie wiele razy obracała się, wchodząc po kręconych schodach, i od czasu do czasu przystawała, biorąc oddech i nasłuchując odgłosów z tyłu i z góry.

Podczas wspinaczki analizowała sposoby, w jaki statek mógł ją zabić. Interesujące intelektualnie zadanie, testujące znajomość statku w aspektach, których przedtem w ogóle nie brała pod uwagę. Na wiele rzeczy patrzyła z nowego punktu widzenia. Kiedyś — nie tak dawno — sama była w takim położeniu, w jakim statek był teraz. Chciała zabić Nagornego, a przynajmniej zapobiec zagrożeniu z jego strony; praktycznie było to to samo. W końcu go zabiła, ponieważ on pierwszy usiłował ją zabić. Teraz jednak jej uwagę zaprzątnęło to, jak przebiegała egzekucja. Zabiła Nagornego, tak gwałtownie przyśpieszając i opóźniając statek, że mężczyzna żywcem został rozgnieciony. Wcześniej czy później — a Volyova nie widziała żadnego istotnego powodu, dlaczego by to miało nie nastąpić — statek sam wpadnie na podobny pomysł. A wtedy lepiej być poza nim.

Bez przeszkód dotarła na mostek, ale nadal obserwowała każdy cień, w obawie, czy to nie skradająca się drona albo — gorzej — szczur. Nie wiedziała, co szczury mogłyby jej zrobić, ale wolała tego nie sprawdzać.

Mostek był pusty i jak wówczas, gdy go opuszczała, nosił ślady zniszczeń dokonanych przez Khouri. Na podłodze obszernej sali widniały ślady krwi Sajakiego. Displej holograficzny nadal się świecił, przekazywał dane o stanie przyczółka na Cerberze. Przez chwilę Volyova musiała śledzić informacje o broni, którą stworzyła i która teraz nie poddawała się antybiotycznej ofensywie obcego świata. I choć Volyova czuła dumę z tego powodu, pragnęła jednak porażki przyczółka, by Sylveste nie mógł wejść do wnętrza planety. Zakładając, że jeszcze tam nie dotarł.

— Po co przyszłaś? — usłyszała czyjś głos.

Odwróciła się błyskawicznie. Zobaczyła postać patrzącą na nią z półokrągłej galerii mostka. Nie rozpoznała osoby — widziała tylko okrytego płaszczem mężczyznę z założonymi rękami i o zapadłej twarzy. Strzeliła do niego, ale postać nie zniknęła, choć kule przez nią przeszły, a smugi jonów unosiły się w powietrzu jak chorągiewki.

Obok pierwszej pojawiła się druga postać, inaczej ubrana.

— Twój okres najmu wygaś! — usłyszała głos w najstarszym wariancie norte. Volyova z takim opóźnieniem przetworzyła to zdanie, że nie od razu dotarło do niej znaczenie.

— Musisz zrozumieć, Triumwirze, że ta domena nie należy już do ciebie — powiedziała inna postać, która pojawiła się po drugiej stronie sali. Była ubrana w niesamowicie zabytkowy skafander z widocznymi żebrami systemu chłodzącego i przyczepionymi pudełkami sprzętu. Mówiła najstarszą znaną Volyovej odmianą rosyjskiego.

— Co chcesz tu osiągnąć? — spytała pierwsza postać, choć ta druga też mówiła do Volyovej, a tuż obok pojawiła się kolejna.

Postacie z przeszłości agresywnie otoczyły Volyovą ze wszystkich stron.

— To oburzające…

Ale głos już rozmywał się w głosie innej osoby stojącej z prawej strony Volyovej.

— …brak upoważnienia, Triumwirze. Muszę ci powiedzieć…

— …poważnie przekroczyłaś zakres władzy i musisz poddać…

— …gorzko rozczarowany, Ilia, i uprzejmie nalegam, by…

— …odwołać… uprawnienia…

— …absolutnie nieakceptowalne…

Wrzasnęła, gdy te bezładne zdania stały się bezsłownym rykiem chóru umarłych, całkowicie wypełniającego salę — z każdej strony napierało na Volyovą mnóstwo twarzy z przeszłości; ich usta poruszały się, jakby każda z postaci uważała, że tylko ona mówi i tylko ona jest słuchana z największą uwagą. Jakby się do Volyovej modliły, jakby uważały ją za wszechwiedzącą. Modliły się i równocześnie żaliły, początkowo narzekały, rozczarowane, ale z każdą sekundą coraz więcej było w tym nienawiści i pogardy, jakby nie tylko ich zawiodła, ale również popełniła straszne okrucieństwo; nawet nie dało się tego opisać. Mówiły o nim tylko wykrzywione niesmakiem usta i oczy oskarżające o niegodziwość.

Uniosła działo. Miała wielką, nieopanowaną ochotę, by wpakować w duchy cały magazynek. Oczywiście nie mogła ich zabić, ale mogła poważnie uszkodzić ich układy projekcyjne. Musiała jednak oszczędzać amunicje, gdyż zbrojchiwum było teraz niedostępne.

— Precz! — krzyknęła. — Idźcie sobie precz!

Stopniowo, pojedynczo umarli zamilkli i zniknęli. Każdy na odchodnym kręcił z rozczarowaniem głową, jakby zawstydzony, że przebywał w jej obecności. Wreszcie Volyova miała całą salę dla siebie. Dyszała chrapliwie, musiała się uspokoić. Wyjęła kolejnego papierosa i paliła powoli, przez kilka minut dając odpocząć umysłowi. Dotknęła działa, zadowolona, że nie zmarnowała magazynka dla ulotnej przyjemności rozwalenia mostka. Khouri dobrze wybrała. Po bokach działa widniał srebrno-złoty motyw chińskiego smoka.

2 displeju przemówił do niej głos.

Spojrzała prosto w twarz Złodzieja Słońca.

Był taki, jak go sobie wyobrażała po rozmowie z Pascale, która jej wyjaśniła znaczenie imienia tej istoty. Wiedziała, że taki musi być, ale było znacznie gorzej, ponieważ nie tylko widziała, jak obcy wygląda, ale również to, jak obcy wygląda dla siebie… a z umysłem Złodzieja Słońca najwyraźniej musiało dziać się coś bardzo dziwnego. Wspomniała Nagornego i teraz zrozumiała, jak doprowadzono go do szaleństwa. Nie mogła go winić, skoro musiał przez cały czas żyć z tą rzeczą w głowie, nie mając pojęcia, skąd się wzięła i co od niego chce.

Teraz Volyova współczuła zmarłemu zbrojmistrzowi. Biedaczysko. Może ona też popadłaby w psychozę, mając przed sobą taką zjawę, która wychodziła z każdego snu i z każdej myśli na jawie.

Kiedyś Złodziej Słońca mógł być Amarantinem, ale się zmienił, może celowo, przez nacisk selekcyjny inżynierii genetycznej, przekształcając siebie i swych wygnanych braci w całkowicie nowy gatunek. Zmienili swą budowę, dostosowując ją do lotów w zerowej grawitacji; wytworzyli olbrzymie skrzydła. Volyova teraz je widziała — wyłaniały się z zakrzywioną, opływową głową, teraz patrzącą w dół na Volyovą.

Głowa była czaszką. Oczodoły nie były w zasadzie puste — wydawały się wypełnione czymś nieskończenie czarnym i głębokim, tak ciemnym i bezkresnym jak powłoka Całunu — tak to sobie Volyova wyobrażała. Kości Złodzieja Słońca połyskiwały bezbarwnie.

— Mimo tego, co powiedziałam wcześniej — rzekła, gdy początkowy szok na widok stworzenia ustąpił, a przynajmniej zmniejszył się na tyle, że mogła go znieść — sądzę, że do tej pory mógłbyś znaleźć sposób, by mnie zabić. Jeśli tego chciałeś.

— Nie domyślasz się, czego chcę.

Gdy to mówił, powstawała bezsłowna, jakby wyrzeźbiona w ciszy nieobecność, tworząca znaczenie. Złożona szczęka Amarantina wcale się nie poruszała. Volyova wiedziała, że mowa nigdy nie była dla Amarantinów ważnym środkiem komunikacji. Ich społeczeństwo opierało się na przekazie wizualnym. Coś tak podstawowego na pewno się zachowało, nawet wówczas, gdy członkowie stada Złodzieja Słońca opuścili Resurgam i zaczęli się przekształcać, i to tak radykalnie, że po powrocie na planetę uznano ich za uskrzydlonych bogów.

— Wiem, czego nie chcesz — powiedziała Volyova. — Nie chcesz, by cokolwiek zatrzymało Sylveste'a w drodze do wnętrza Cerbera. Dlatego musimy teraz umrzeć, bo w jakiś sposób moglibyśmy go powstrzymać.

— Jego misja ma dla mnie wielkie znaczenie. Dla nas — dodał Złodziej Słońca po chwili. — Dla tych, którzy przeżyli.

— Przeżyli? — Volyova pomyślała, że być może nadarza się jedyna okazja, by uzyskać jakieś wyjaśnienia. — Zaraz… cóż innego to mogło być, poza wymarciem Amarantinów? Znaleźliście jakiś sposób, by nie zginąć?

— Wiesz już, gdzie wszedłem do Sylveste'a. — Było to raczej suche stwierdzenie faktu, a nie pytanie. Volyova zastanawiała się, czy Złodziej Słońca został dopuszczony do wszystkich jej rozmów.

— Najprawdopodobniej w Całunie Lascaille'a — odparła. — Takie się nasuwa sensowne wyjaśnienie… choć przyznaję, że niewiele w tym sensu.

— Tam szukaliśmy schronienia przez dziewięćset dziewięćdziesiąt

tysięcy lat.

Zbieżność zbyt duża, by była przypadkowa.

— Od kiedy życie skończyło się na Resurgamie?

— Tak. Całuny to nasza konstrukcja. Ostatnie rozpaczliwe przedsięwzięcie naszego stada, gdy ci, którzy zostali na powierzchni, spłonęli.

— Nie rozumiem. Lascaille powiedział, a Sylveste sam się przekonał…

— Nie pokazano im prawdy. Lascaille'owi pokazano fikcję… zamiast naszej tożsamości podstawiono tożsamość znacznie starszej, całkowicie odmiennej kultury. Nie ujawniono mu prawdziwego celu istnienia Całunu. Zademonstrowano kłamstwo, by zwabić innych.

Teraz Volyova zrozumiała, jak to miało funkcjonować. Lascaille'owi powiedziano, że Całuny to repozytoria niebezpiecznych technik, których ludzkość po cichu pożądała, takich jak sposoby podróży z prędkością nadświetlną. Gdy Lascaille ujawnił to Sylveste'owi, ten tylko nabrał większej ochoty, by wniknąć w Całun. Udało mu się uzyskać poparcie całej społeczności yellowstońskich Demarchistów — wszak oszałamiająca nagroda czekała pierwszą grupkę tych, którzy mieliby uzyskać dostęp do tajemnic.

— Ale jeśli to wszystko kłamstwo, to jaka była prawdziwa funkcja Całunu? — spytała Volyova.

— Triumwirze Volyova, zbudowaliśmy go, by się wewnątrz ukryć. — Najwyraźniej z nią igrał, rad, że jest zdezorientowana. — To były miejsca naszego azylu. Strefy zrestrukturalizowanej czasoprzestrzeni, w której mogliśmy się schować.

— Przed czym schować?

— Przed tymi, którzy przeżyli Wojnę Świtu. Którym nadano imię Inhibitorów.

Skinęła głową. Wielu rzeczy nie rozumiała, ale jedno teraz było dla niej jasne: opowieść Khouri, jej relacja z zapamiętanych strzępków dziwnego snu, jakim ją uraczono w centrali uzbrojenia, zawierała część prawdy. Khouri wszystkiego nie pamiętała, nie wszystko przekazała Volyovej we właściwym porządku, ale to dlatego, że Khouri starała się zrozumieć coś zbyt wielkiego, zbyt obcego — apokaliptycznego — by jej umysł potrafił to łatwo przyjąć. Teraz Volyovej odsłonięto część tego samego obrazu, ale z dziwnej, odmiennej perspektywy.

Mademoiselle opowiedziała Khouri o Wojnie Świtu. Nie chciała, by Sylveste zwyciężył. A Złodziej Słońca pragnął tego zwycięstwa.

— O co tu chodzi? — spytała Volyova. — Rozumiem, co robisz: chcesz mnie zatrzymać, opóźnić, ponieważ wiesz, że zrobię wszystko, by usłyszeć odpowiedzi. W pewnym stopniu masz rację. Muszę wiedzieć. Wszystko.

Złodziej Słońca czekał w milczeniu. Potem odpowiedział na wszystkie pytania, jakie mu zadała.

Gdy skończyli rozmowę, Volyova doszła do wniosku, że może z pożytkiem wykorzystać jeden nabój z magazynka. Strzeliła w displej. Wielka szklana kula rozprysła się na miliard lodowych odłamków, a twarz Złodzieja Słońca sczezła w eksplozji.

Khouri i Pascale poszły do ambulatorium okrężną drogą. Unikały wind i wszystkich dobrze utrzymanych korytarzy, którymi drony mogiy łatwo się przemieszczać. Cały czas trzymały karabiny w pogotowiu; wolały strzelać do wszelkich podejrzanych obiektów, nawet jeśli później miałoby się okazać, że to tylko cień albo niepokojący kształt narosłej korozji na ścianie lub grodzi.

— Czy jakoś cię uprzedził, że zamierza tak szybko opuścić statek? — pytała Khouri.

— Nie. W zasadzie domyślałam się, że w pewnym momencie będzie próbował to zrobić, ale usiłowałam go odwieść od tego zamiaru.

— Co teraz czujesz?

— A co mam ci powiedzieć? Był moim mężem. Kochaliśmy się. — Wydawało się, że Pascale się osuwa. Khouri ją podparła. Pascale wycierała łzy, tarła oczy, aż poczerwieniały. — Nienawidzę go za to, co zrobił. I nie rozumiem go. Mimo to nadal go kocham. Cały czas mi się wydaje… że może już zginął. To przecież nie jest wykluczone. A nawet jeśli nie zginął, nie ma gwarancji, że kiedyś go jeszcze zobaczę.

— Tam, gdzie Sylveste leci, nie jest najbezpieczniej — stwierdziła Khouri. Ale czy Cerber jest bardziej niebezpieczny od tego statku? — pomyślała Khouri.

— Wiem o tym. Przypuszczam, że on nawet nie zdaje sobie sprawy, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł… my też.

— A jednak twój mąż nie jest pierwszym lepszym. To Sylveste. — I Khouri zwróciła uwagę Pascale na to, że życie Sylveste'a to pasmo szczęśliwych trafów i byłoby dziwne, gdyby fortuna go teraz opuściła, kiedy w zasięgu ręki ma to, do czego zawsze dążył. — To przebiegły drań i ma wielkie szansę, że znajdzie wyjście.

Pascale nieco się uspokoiła.

Wtedy Khouri poinformowała ją, że Hegazi umarł i że statek najwyraźniej usiłuje zamordować tych, którzy jeszcze pozostali przy życiu.

— Sajakiego nie może tu być — powiedziała Pascale. — Nie może go tu być, prawda? Dan by nie wiedział, jak znaleźć drogę na Cerbera. Potrzebował kogoś z was do pomocy.

— Tak również myśli Volyova.

— Więc dlaczego tu jesteśmy?

— Chyba Ilia nie ufa własnym opiniom.

Khouri pchnęła drzwi prowadzące do ambulatorium z częściowo zalanego korytarzyka. Przy okazji odkopnęła na bok szczura-woźnego. W ambulatorium stało się coś strasznego, Khouri natychmiast to wyczuła.

— Pascale, coś złego się tu wydarzyło.

— Co mam robić? Kryć cię? — Pascale przygotowała karabin niskoenergetyczny, ale nie sprawiała wrażenia osoby, która potrafi się nim posługiwać.

— Tak, kryj mnie — odparła Khouri. — Dobry pomysł.

Weszła do ambulatorium, z wysuniętą lufą karabinu plazmowego.

Pokój wyczul jej obecność i zapalił światła. Khouri już tu przedtem była, odwiedzała ranną Volyovą, więc znała rozkład pomieszczenia.

Spojrzała na łóżko, gdzie spodziewała się zobaczyć Sajakiego. Nad łóżkiem wisiał skomplikowany zestaw serwomechanicznych instrumentów medycznych, na zawieszeniach kardanowych i na przegubach. Wychodziły z jednego centralnego miejsca i przypominały zmutowaną stalową rękę o zbyt wielu palcach zakończonych pazurami.

Każdy centymetr kwadratowy metalu pokrywała krew zgęstniała jak wosk.

— Pascale, chyba…

Ale Pascale już zobaczyła, co jest na leżance pod aparaturą — to coś mogło być przedtem Sajakim. Każdy centymetr kwadratowy łóżka barwiła czerwień. Trudno było powiedzieć, gdzie kończy się Sajaki, a zaczynają jego zmasakrowane szczątki. Ten widok przypominał Khouri kapitana, ale tu, zamiast srebrzystej narośli, wylewał się bezkształtny szkarłat, jakby to były wariacje na ten sam temat, z tym że artysta wybrał materiał cielisty i krwawy. Połówki tego samego patologicznego dyptyku.

Wydęta klatka piersiowa Triumwira wynosiła się ponad leżankę, jakby przez ciało nadal biegł stymulujący prąd. Pierś była pusta, posoka wypełniała głęboką wyrwę biegnącą od mostka do brzucha, jakby straszna stalowa dłoń chwyciła z góry i szarpnęła przez pół korpusu. Może właśnie tak to się odbyło. Podczas snu Sajakiego. By sprawdzić swą hipotezę, Khouri spojrzała na niego uważnie, usiłując odgadnąć wyraz twarzy pod czerwoną zasłoną.

Nie, Triumwir Sajaki z pewnością był rozbudzony.

Khouri poczuła, że Pascale jest tuż obok niej.

— Nie zapominaj, że widziałam już śmierć — rzekła. — Byłam świadkiem, jak zabito mego ojca.

— A ja nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam.

— Chociaż masz rację… niczego podobnego przedtem nie widziałam.

Klatka piersiowa Sajakiego eksplodowała. Coś z niej wystrzeliło, ukryte początkowo w fontannie krwi, i wylądowało na okrwawionej podłodze, po czym pośpiesznie umknęło, ciągnąc za sobą ruchliwy robaczy ogon. Potem jeszcze trzy szczury wysunęły pyszczki z Sajakiego; wąchały powietrze, czarnymi oczkami patrzyły na Khouri i Pascale. Wygramoliły się z krateru rozprutej klatki piersiowej, skoczyły na podłogę, czmychnęły za pierwszym szczurem i zniknęły w ciemnych zakamarkach pokoju.

— Wynośmy się stąd — powiedziała Khouri. Wtem stalowa ręka drgnęła, błyskawicznie wyciągnęła się ku Khouri i dwa szponiaste palce, zakończone diamentem, tak szybko ją trafiły, że zdążyła tylko krzyknąć. Schwyciły ją za kurtkę, którą rozerwały. Khouri z całych sił rzuciła się do tyłu.

Udało jej się wykręcić, ale ręka zdążyła capnąć karabin i wyszarpnęła go z brutalną siłą. Khouri padła na zapaćkaną podłogę. Kurtka poplamiła się krwią Sajakiego, ale Khouri widziała też jaśniejszą krew — ta pochodziła z jej własnych ran.

Maszyna chirurgiczna podniosła karabin i zademonstrowała go kobietom, jakby chwaląc się zdobytym trofeum. Dwa zwinne manipulatory przesunęły się, badały przyciski karabinu, z fascynacją gładziły skórzany futerał. Powoli, powolutku manipulatory kierowały broń na Khouri.

Pascale podniosła swój karabin i wypaliła promieniem w zespół instrumentów; umazane krwią metalowe odłamki poleciały na szczątki Sajakiego. Karabin plazmowy spadł poczerniały, plując dymem; niebieskawe iskry wyskakiwały z rozbitej obudowy.

Khouri wstała, nie zwracając uwagi na maź, która ją oblepiała.

Jej zniszczony karabin plazmowy wściekle furkotał, sypiąc gwałtownie iskrami.

— Za chwilę wybuchnie — rzekła Khouri. — Musimy stąd uciekać.

Odwróciły się do drzwi i teraz miały sekundę, by rozpoznać to, co blokowało im wyjście. Całe ich tysiące stały potrójną warstwą w statkowym szlamie, żadne indywiduum nie dbało o własne życie, gdyż działało dla wspólnego dobra bezrozumnej masy. Z tyłu z korytarza nacierały dalsze setki, tysiące szczurów. Wielkie fala przypływu napierająca na drzwi ambulatorium, gotowa wtargnąć głodnym tsunami.

Khouri wyjęła jedyną broń, jaka jej została: mały, nieefektywny miotacz igieł, który nosiła przy sobie, gdyż pozwalał na precyzyjne działanie. Zaczęła strzykać w ścianę szczurów, a równocześnie Pascale omiatała ich promieniowcem, niewiele bardziej stosownym do tego celu. Trafione szczury eksplodowały i paliły się, ale pojawiały się nowe i już pierwsze szeregi wpełzały do ambulatorium.

W korytarzu rozeszła się jasność, potem usłyszały serię trzasków następujących tak szybko po sobie, że zlewały się w jeden potężny ryk. Hałas i światło nadciągały. Szczury leciały w powietrzu, pchane wybuchem. Fetor gotowanych gryzoni przytłaczał, był gorszy nawet od odoru panującego poprzednio w ambulatorium. Stopniowo fala szczurów przerzedziła się i opadła.

W drzwiach stanęła Volyova z działem plującym ogniem. Lufa miała barwę gorącej lawy. W głębi pokoju zniszczona broń złowieszczo zamilkła.

— Czas iść — rzekła Volyova.

Podbiegły do niej, depcząc po martwych szczurach i niedobitkach, które szukały schronienia. Khouri poczuła uderzenie w plecy. Dmuchnął wiatr tak gorący, że równego żaru nigdy nie doświadczyła. Straciła kontakt z podłogą i przez chwilę leciała w powietrzu.

TRZYDZIEŚCI DWA

W pobliżu Cerbera, 2566

Tym razem przemieszczenie trwało krócej, ale nigdy jeszcze nie był w tak dziwnym miejscu jak to, w którym się teraz znajdował.

— Schodzimy do przyczółka Cerbera — poinformował go skafander głosem przyjemnie uprzejmym, bez doniosłości, jakby cel podróży był czymś zupełnie naturalnym. Na szybie hełmu przesuwały się obrazy, ale oczy Sylveste'a nie potrafiły się odpowiednio skupić, więc polecił skafandrowi, by przekazywał mu dane bezpośrednio do mózgu. Teraz widział znacznie lepiej. Planeta była olbrzymia, wypełniała pół nieba; imitacja struktury powierzchni geologicznej z zawiłymi liniami barwy lila sprawiała, że planeta wydawała mu się teraz bardziej niż przedtem pomarszczona, pofałdowana jak mózg. Niewiele tu docierało naturalnego światła, jedynie bliźniacze bladoczerwonawe sygnały Hadesa i znacznie dalej położonej Delty Pawia. Skafander przetwarzał obraz, przesuwając bliskie podczerwieni fotony w zakres światła widzialnego.

Ponad horyzont wystawał jakiś obiekt, który Sylveste'owi ukazywał się w zieleni.

— Przyczółek — powiedział Sylveste głównie po to, by usłyszeć ludzki głos. — Widzę go.

Był maleńki; wyglądał jak czubek drzazgi szpecącej kamienny posąg Boga. Cerber miał średnicę dwóch tysięcy kilometrów — przyczółek zaledwie cztery kilometry długości, a przecież większa jego część wbiła się pod skorupę. I właśnie fakt, że wyglądał jak kruszynka w porównaniu z planetą, najlepiej świadczył o umiejętnościach Volyovej. Przyczółek, choć mały, to jednak tkwił jak cierń w ciele Cerbera. Nawet z tej odległości Sylveste widział, że skorupa wokół przyczółka jest poważnie zraniona, naprężenia przekroczyły założone tolerancje i w promieniu kilku kilometrów zniknął naturalistyczny kamuflaż. Planeta wróciła do swego pierwotnego — jak przypuszczał Sylveste — wyglądu: sześciokątnej sieci, która na obrzeżu ginęła w skale.

Za kilka minut mieli być nad otwartym jak gardziel końcem stożka. Sylveste, choć nadal zanurzony w ciekłym powietrzu skafandra, czuł, jak grawitacja szarpie mu wnętrzności. Była dość słaba — ćwierć ziemskiej — ale upadek z wysokości, na jakiej się teraz znajdował, skończyłby się śmiertelnie, gdyby nie skafander.

Teraz coś nareszcie weszło w przestrzeń bezpośrednio obok

Sylveste'a. Przywołał powiększenie widoku i zobaczył jasno migoczący na tle nocnych ciemności skafander, dokładnie taki sam jak jego własny. Poruszał się przed nim, ale po tej samej trajektorii, i zmierzał do owalnego wlotu przyczółka. Dwa kęsy unoszącego się morskiego pokarmu, które za chwilę zostaną wessane w olbrzymi lej, połknięte i strawione we wnętrzu Cerbera, pomyślał Sylveste.

Nie ma już odwrotu.

Trzy kobiety biegły korytarzem zasłanym zdechłymi szczurami oraz poczerniałymi, sztywnymi skorupami — to też mogły być przedtem szczury, ale lepiej im się było nie przyglądać. Kobiety miały jeden duży karabin, jedną broń, potrafiącą unicestwić wrogie serwitory wysłane przez statek. Miały również małe pistolety, które użyte fachowo — i przy sporej dozie szczęścia — mogłyby wykonać to samo zadanie.

Od czasu do czasu podłoga usuwała im się spod nóg.

— Co to takiego? — spytała Khouri zaniepokojona. Kulała, potłuczona po eksplozji w ambulatorium.

— Złodziej Słońca eksperymentuje — wyjaśniła Volyova. Łapała oddech. Ból ją palił, wszystkie rany — pamiątki z Resurgamu — które się zagoiły, omal się teraz nie odnowiły. — Dotychczas atakował nas łagodniej, posyłał roboty i szczury. Ale wie, że jeśli zrozumie działanie napędu, jeśli nauczy się nim sterować w granicach bezpieczeństwa, może nas zmiażdżyć, zwiększając ciąg na parę sekund. — Przebiegła kilka kroków, oddychając ze świstem. — Ja w taki sposób zabiłam Nagornego. Ale Złodziej nie zna tak dobrze statku, choć nim steruje. Próbuje stopniowo manewrować napędem, uczy się, sprawdzając, jak to działa. A gdy się nauczy…

— Czy jest tu jakieś bezpieczne miejsce? — spytała Pascale. — Gdzie maszyny i szczury nie mogłyby nas dosięgnąć?

— Jest, ale dosięgnie nas tam przyśpieszenie i zmiażdży.

— Należy opuścić statek?

Volyova przystanęła, sprawdziła korytarz i doszła do wniosku, że statek ich tu nie podsłucha.

— Nie ulegaj złudzeniom — powiedziała. — Jeśli teraz opuścimy pokład, nigdy nie znajdziemy drogi powrotnej na statek. Z drugiej strony powinnyśmy powstrzymać Sylveste'a, jeśli jest choćby najmniejsza szansa. Nawet jeśli same miałybyśmy przy tym zginąć.

— Jak możemy dotrzeć do Dana? — spytała Pascale. Najwyraźniej sądziła, że powstrzymanie męża polega na złapaniu go i przekonującej rozmowie. Volyova nie o takich środkach myślała, ale na razie postanowiła nie wyprowadzać Pascale z błędu.

— Twój mąż wziął na pewno jeden z naszych skafandrów — powiedziała. — Bransoleta informuje mnie, że wszystkie promy są nadal na statku. Poza tym prawdopodobnie Sylveste nigdy nie

pilotował promu.

— Chyba że pomógł mu Złodziej Słońca — rzekła Khouri. — Może byśmy ruszyły? Wiem, że nie mamy na myśli żadnego określonego celu, ale stojąc tu, czuję się dość kiepsko.

— Wziął skafander — stwierdziła Pascale. — To w jego stylu. Ale musiał mieć jakąś pomoc.

— Czy to możliwe, że przyjął ją od Złodzieja Słońca?

Pascale pokręciła głową.

— Co to to nie. Nawet nie wierzył w Złodzieja Słońca. Jeśliby zauważył, że ktoś go ciągnie lub popycha do czegoś… nie, nie zgodziłby się.

— Może nie miał wyboru — powiedziała Khouri. — Dobrze, załóżmy, że wziął skafander. Czy w jakiś sposób można go złapać?

— Nie wcześniej, niż dotrze do Cerbera. — Po co o tym teraz rozmyślać. Volyova wiedziała, jak szybko pokonuje się odleg — łość miliona kilometrów, o ile ktoś potrafi znieść przyśpieszenie dziesięciu g. — Dla nas zbyt ryzykowne jest użycie skafandrów, takich jakie włożył Dan. Musimy się tam dostać promem. Jest wolniejszy, ale istnieje mniej szans, że Złodziej przeniknął do układu sterowania.

— Dlaczego?

— Z powodu klaustrofobii. Promy są technicznie trzy wieki starsze od skafandrów.

— I to ma nam pomóc?

— Wierz mi, gdy masz do czynienia z obcymi pasożytami umysłów, zawsze lepiej, gdy urządzenie jest prymitywne — odparła i spokojnie, jakby stawiała kropkę, wycelowała miotaczem igieł i rozwaliła szczura, który nieopatrznie przemykał korytarzem.

— Pamiętam to miejsce — rzekła Pascale. — Przyprowadziłaś mnie tu, gdy…

Khouri otworzyła drzwi oznaczone ledwo widocznym symbolem pająka.

— Wejdź, rozgość się — powiedziała. — Módl się, żebym sobie przypomniała, jak się tym steruje.

— Gdzie mamy się spotkać z Ilią?

— Na zewnątrz. Mam nadzieję, że się uda.

Zamknęła już drzwi komory pajęczej i patrzyła teraz na brązowe i mosiężne przełączniki, w nadziei, że coś zaświta jej w głowie.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Orbita Cerbera-Hadesa, 2566

Volyova zbliżała się do kapitana. Wysunęła igłowiec.

Wiedziała, że jak najszybciej musi dotrzeć do hangaru; każde opóźnienie to dla Złodzieja Słońca dodatkowy czas na znalezienie sposobu, jak ją zabić. Jednak przedtem musiała zrobić coś nieracjonalnego, co nie miało logicznego uzasadnienia. W odrętwiającym mrozie szła schodami na poziom, gdzie leżał kapitan; miała wrażenie, że oddech zastyga jej w gardle. Szczury się w te zbyt zimne dla nich rejony nie zapuszczały; serwitory tu nie docierały w obawie przed zarazą — kapitan mógłby je wchłonąć.

Wydała do bransolety polecenie ogrzania kapitana, tak by wróciła mu świadomość.

— Słyszysz mnie, ty draniu? Jeśli tak, uważaj. Statek został przejęty.

— Nadal jesteśmy w rejonie Purchla?

— Nie… byliśmy tam jakiś czas temu.

Po kilku chwilach kapitan odrzekł:

— Powiedziałaś: przejęty? Przez kogo?

— Przez coś obcego. Ma nieprzyjemne zamiary. Większość załogi nie żyje… Sajaki, Hegazi, inni członkowie załogi, których znałeś… kilka osób zostało. I wynosimy się, póki możemy. Przypuszczam, że już nigdy nie wrócę na pokład i za chwilę zrobię coś, co zapewne wyda ci się nieco drastyczne.

Wycelowała igłowiec w potrzaskaną, zdeformowaną obudowę chłodni z kapitanem w środku.

— Zamierzam cię ogrzać, rozumiesz? Przez kilka ostatnich dziesięcioleci staraliśmy się utrzymać cię w jak najniższej temperaturze, ale okazało się to nieskuteczne, więc może taka strategia nie była odpowiednia. Teraz powinniśmy ci chyba pozwolić na przejęcie tego cholernego statku, w taki sposób, jaki uznasz za najlepszy.

— Nie sądzę…

— Nic mnie nie obchodzą twoje sądy, kapitanie. I tak to zrobię.

Zaciskała palec na spuście igłowca. Obliczała, o ile po ogrzaniu zwiększy się szybkość rozrostu kapitana. Otrzymała wynik, któremu nie całkiem dowierzała, ale przecież nigdy przedtem nie rozważali takiej opcji.

— Ilia, proszę.

— Słuchaj, svinoi — rzekła po chwili. — Nie wiem, czy to zadziała, czy nie. Ale jeśli przyznasz, że zachowałam się lojalnie w stosunku do ciebie… jeśli mnie pamiętasz… proszę cię jedynie o to, byś zrobił dla nas, co możesz.

Już miała strzelić, wpakować zawartość igłowca w chłodnię, ale jednak się zawahała.

— Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. To mianowicie, że wiem, kim, do diabła, jesteś, a raczej kim się stałeś.

Teraz zdała sobie sprawę, że usta ma suche. I że traci czas. Musiała jednak kontynuować.

— Razem z Sajakim odbyliście podróż do Żonglerów Wzorców, prawda? Wiem o tym, załoga często to komentowała… sam Sajaki też. Nikt jednak nie mówił, co tam się stało, co Żonglerzy wam dwóm zrobili. Wiem, wiem, znam plotki, tylko tyle. Wymyślone przez Sajakiego, by mnie zmylić.

— Nic się tam nie stało.

— Przeciwnie. Wtedy, przed laty, zabiłeś Sajakiego.

Odpowiedział z rozbawieniem, jakby źle ją usłyszał.

— Ja zabiłem Sajakiego?

— Skłoniłeś Żonglerów, by to zrobili, by wymazali mu z głowy jego własne wzorce neuronowe i zastąpili je twoimi. Stałeś się Sajakim.

Teraz musiała złapać dech, choć niemal skończyła.

— Jedno istnienie ci nie wystarczało i może wtedy czułeś, że to ciało nie przetrwa zbyt długo — tyle było wokół wirusów. Skolonizowałeś więc swego adiutanta, a Żonglerzy zrobili to, o co ich prosiłeś, bo są istotami tak obcymi, że nie byli w stanie zrozumieć pojęcia „morderstwo”. Ale przecież to prawda?

— Nie…

— Zamknij się. Dlatego Sajaki nigdy nie chciał, byś powrócił do zdrowia, bo on był tobą i nie potrzebował leczenia. I Sajaki zdołał zniweczyć moje antidotum, ponieważ posiadał twoją wiedzę. Za to powinnam cię skazać na śmierć, svinoi… tylko że ty już umarłeś, bo resztki Sajakiego zdobią ambulatorium.

— Sajaki nie żyje? — spytał, jakby w ogóle nie dotarła do niego wiadomość o śmierci członków załogi.

— Czy to dla ciebie sprawiedliwość? Jesteś teraz sam. Zdany na siebie. Możesz jedynie bronić swego istnienia przed Złodziejem Słońca, rosnąc, pozwalając, by zaraza cię opanowała.

— Nie… proszę.

— Kapitanie, czy zabiłeś Sajakiego?

— To było… tak dawno temu… — Po tonie jego głosu Volyova wyczuła, że jednak nie jest to całkowite zaprzeczenie. Wpakowała w chłodnię pociski igłowca. Obserwowała, jak zamierają ostatnie

wskaźniki na obudowie, i poczuła, że chłód nieco maleje, a lód — nadtopiony — zaczyna błyszczeć.

— Idę już — powiedziała. — Chciałam tylko dotrzeć do prawdy. Powinnam ci życzyć szczęścia, kapitanie.

I ruszyła biegiem, obawiając się tego, co może dziać się za jej plecami.

Skafander Sajakiego cały czas irytująco wyprzedzał Sylveste'a, gdy zaczynali opuszczać się w lej przyczółka. Jeszcze parę minut temu zanurzony stożek wydawał się maleńki — teraz Sylveste widział jedynie strome szare ściany, zasłaniające horyzont ze wszystkich stron. Od czasu do czasu przyczółek drżał — toczył bitwę z systemem obronnym skorupy Cerbera; Sylveste wiedział, że przyczółek nie chroni go całkowicie, Sylveste nie mógł na to liczyć. Jeśli przyczółek przegra, w ciągu kilku godzin zostanie strawiony, rana w skorupie zamknie się, odcinając drogę ucieczki.

— Należy uzupełnić masę odrzutu — powiedział skafander.

— Co?

Sajaki przemówił po raz pierwszy, od kiedy opuścili statek.

— Dan, lecąc tutaj, zużyliśmy bardzo dużo masy. Musimy ją uzupełnić przed wejściem na wrogi teren.

— W jaki sposób?

— Rozejrzyj się. Wokół jest mnóstwo masy reakcyjnej. Tylko czeka na wykorzystanie.

Oczywiście nic nie stało na przeszkodzie, by czerpali z zasobów przyczółka. Sylveste przyznał rację; nic nie robił, gdy Sajaki przejął sterowanie jego skafandrem. Jedna ze stromych, zakrzywionych ścian zbliżała się. Sylveste widział gęste ornamenty ekstruzji i przypadkowych skupisk maszyn. Ogrom ściany przytłaczał — przypominała wygiętą tamę, której krańce gdzieś się łączą. Gdzieś w tej ścianie tkwią ciała Alicji i innych buntowników, pomyślał Sylveste.

Ciążenie wystarczało, by wywołać u Sylveste'a silne zawroty głowy; pogarszał je jeszcze widok zwężającego się przyczółka, który prowadził w dół niczym nieskończenie głęboki szyb. Prawie kilometr dalej skafander Sajakiego — gwiazdokształtny punkcik — zetknął się z przeciwległą stromą ścianą. Kilka chwil później Sylveste dotarł do wąskiej półki, wystającej niecały metr ze ściany. Wylądował miękko, po czym złapał równowagę, ale już, już się przechylał i omal nie padł w tył, w nicość.

— Co mam robić?

— Nic — odparł Sajaki. — Twój skafander dokładnie wie, co robić. Proponuję, byś zaczął mu ufać, twoje życie od tego zależy.

— To są słowa pociechy?

— Myślisz, że pocieszanie cię jest w tym momencie najwłaściwsze? Wkrótce wejdziesz do bardzo obcego środowiska,

żaden człowiek nie był w takich warunkach. Sądzę, że pociechy potrzeba ci akurat najmniej.

Sylveste zobaczył, jak z piersi skafandra wysuwa się trąba i dotyka ściany przyczółka. Po paru sekundach zaczęła pulsować, wybrzuszenia przesuwały się wzdłuż trąby w stronę skafandra.

— Obrzydliwe — powiedział Sylveste.

— Trawi ciężkie pierwiastki, które pobiera z przyczółka — wyjaśnił Sajaki. — Przyczółek oddaje je dobrowolnie, bo rozpoznał, że skafander jest przyjacielski.

— A jeśli zabraknie nam mocy wewnątrz Cerbera?

— Kiedy w twoim skafandrze w ogóle pojawi się problem braku mocy, od dawna będziesz martwy. Ale skafander musi uzupełniać masę odrzutową do dysz. Ma całą potrzebną energię, ale by przyśpieszać, musi wyrzucać materię.

— Niezbyt mi się podoba słowo „martwy".

— Możesz zawrócić, jeszcze nie jest za późno.

Chce mnie wybadać, pomyślał Sylveste. Przez chwilę rozważał to racjonalnie, ale tylko przez chwilę. Musiał przyznać, że się boi bardziej niż kiedykolwiek w życiu, bardziej niż przy Całunie Lascaille'a. Ale teraz, podobnie jak wówczas, wiedział, że jedynym sposobem pokonania strachu jest kontynuowanie planów, konfrontacja z tym, co ten strach wywołuje. Gdy skafander skończył tankowanie paliwa, Sylveste musiał zebrać wszystkie siły psychiczne, by zeskoczyć z półki i opuścić się w otchłań przyczółka.

Zanurzali się coraz niżej, opadali przez długie sekundy, od czasu do czasu korygowali ruch krótkimi zmianami ciągu. Sylveste mógł teraz samodzielnie sterować skafandrem w pewnym zakresie; Sajaki mu na to pozwolił, powoli zmniejszał dominację autonomicznych systemów skafandra i w końcu Sylveste przejął znaczną część zadań kontrolnych, choć przejścia do tej nowej sytuacji prawie nie zauważył. Opuszczali się teraz z prędkością trzydziestu metrów na sekundę, ale wydawało się, że pędzą coraz szybciej, gdyż stożkowaty przyczółek się zwężał, jego ściany zbliżały się do siebie. Teraz drugi skafander leciał zaledwie kilkaset metrów od Sylveste'a, ale ponieważ za jego szybą Sylveste nie widział twarzy Sajakiego, nie miał wrażenia, że towarzyszy mu inna ludzka istota. Nadal czuł się przeraźliwie samotny. To uzasadnione odczucie, pomyślał. Prawdopodobnie żadne rozumne stworzenie nie znalazło się tak blisko Cerbera od ostatniej bytności Amarantinów. Jakie duchy gniły tutaj przez ostatni tysiąc wieków?

— Zbliżamy się do końcowego odcinka rury wejściowej — powiedział Sajaki.

Stożek zwęził się, miał teraz średnicę zaledwie trzydziestu metrów; nurkował pionowo w nieskończoną ciemność. Skafander

Sylveste'a sam przesunął się ku centrum czeluści. Skafander Sajakiego został nieco z tyłu.

— Tobie należy się pierwszeństwo — powiedział Sajaki. — Długo na to czekałeś.

Znaleźli się w szybie. Ściany wyczuły ich obecność, zapaliło się czerwone ukryte światło. Spadali pionowo z wielką prędkością, Sylveste czuł straszne zawroty głowy, miał wrażenie, że jest wtryskiwany przez strzykawkę. Wspominał, jak Calvin pokazał mu przejście endoskopu przez ciało jednego ze swych pacjentów: starożytne narzędzie chirurgiczne z okiem kamery na końcu zwiniętej rurki pędziło w arterii. Wspomniał nocny lot do Cuvier, po aresztowaniu na wykopaliskach, gdy pędził przez kaniony ku swej politycznej nemezis. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek w życiu miał taki okres, gdy był pewien, co znajduje się na końcu za tymi umykającymi ścianami.

Szyb zniknął. Opadali przez pustkę.

Volyova dotarła do hangaru, zatrzymując się przy jednym z okien obserwacyjnych, by sprawdzić, czy promy są na miejscu i czy Złodziej Słońca nie manipuluje danymi przekazywanymi przez bransoletę. Transatmosferyczne, plazmoskrzydłe statki czekały w schronach zamocowane jak rząd strzał w arsenale łucznika. Volyova mogła teraz uruchomić jeden z nich, korzystając z bransolety, ale prawdopodobnie zwróciłoby to uwagę Złodzieja. W tej chwili nic jej nie groziło, gdyż dotychczas nie weszła do części statku penetrowanych przez zmysły Złodzieja. Na to przynajmniej liczyła.

Nie mogła tak po prostu wsiąść do któregoś z promów. Zwykłe drogi dostępu wymagały wejścia w takie rejony statku, do których nie śmiałaby się zapuszczać. Tam swobodnie poruszały się serwitory, a szczury-woźni miały biochemiczną łączność ze Złodziejem. Dysponowała teraz jedną bronią: igłowcem. Karabin zostawiła Khouri i choć nie wątpiła w jej profesjonalizm, samymi umiejętnościami i determinacją nie dałoby się osiągnąć zbyt wiele, zwłaszcza że statek miał dość czasu, by wytworzyć uzbrojone drony.

Volyova doszła do komory śluzy — ta śluza nie prowadziła w kosmos, ale dawała dostęp do pozbawionego powietrza hangaru. Komora śluzy była pokryta po kolana mazią, oświetlenie i ogrzewanie nie działały. Dobrze. Złodziej Słońca nie będzie mógł prowadzić zdalnych obserwacji, nie zorientuje się nawet, że Volyova tu jest. Otworzyła szafkę. Co za ulga: lekki skafander nadal znajdował się w środku, nie wydawał się uszkodzony przez szlam. Skafander był mniejszy od tego, w którym wyleciał Sylveste; był również mniej inteligentny, nie wyposażony ani w serwosystemy, ani w zintegrowany napęd. Przed włożeniem skafandra Volyova wyrecytowała do bransolety szereg słów — wcześniej wielokrotnie je

powtarzała — a potem ustawiła bransoletę tak, by ta reagowała na polecenia głosowe z komunikatora Volyovej, a nie na komendy odbierane przez czujniki akustyczne bransolety. Następnie musiała zapiąć plecak z silnikiem rakietowym — przedtem przez chwilę intensywnie wpatrywała się w kontrolki plecaka, jakby wiedza o tym, jak nim sterować, miała się wydobyć z jej pamięci samą siłą woli. Doszła do wniosku, że podstawowe procedury przypomni sobie, gdy tylko będą jej potrzebne. Starannie schowała igłowiec do zewnętrznego pasa sprzętowego skafandra. Spokojnie opuściła pomieszczenie i wleciała do hangaru, ustawiając ciąg na stały, mały poziom, by nie opaść na dno komory. Nigdzie na statku nie panował stan nieważkości, gdyż statek nie orbitował wokół Cerbera, ale utrzymywał się sztucznie na stałej pozycji w przestrzeni, wykorzystując maleńką część mocy swych silników.

Volyova wybrała dla siebie prom — sferyczną „Melancholię Odjazdu". Daleko, pod jedną ze ścian komory, widziała dwa serwitory w kolorze butelkowej zieleni, które wysunęły się z zaczepów i bokiem zaczęły ku niej sunąć. Były to wolnoloty, sferyczne urządzenia o wysuwanych pazurach, wyposażone w sprzęt tnący, wykorzystywane do naprawy promów. Najwidoczniej w hangarze Volyova weszła w zasięg obszaru percepcyjnego Złodzieja Słońca. Cóż, nic nie mogła na to poradzić, a igłowiec wzięła nie po to, by prowadzić subtelne negocjacje z bezświadomymi maszynami. Strzeliła, w każdy serwitor musiała trafić więcej niż raz, by zniszczyć kluczowe układy.

Obie maszyny — trafione — zaczęły opadać w dół hangaru, ciągnąc za sobą smugi dymu.

Przycisnęła kontrolki plecaka, błagając, by szybciej ją popychał. „Melancholia" rosła w oczach, Volyova widziała już małe znaki ostrzegawcze i informacje techniczne na kadłubie — większość z nich w przestarzałych językach.

Zza promu wyłoniła się kolejny drona. Ta była większa od poprzednich dwóch maszyn, na jej elipsoidalnej obudowie barwy ochry tkwiły — złożone teraz — manipulatory i czujniki.

Drona celowała czymś w Volyovą.

Poraziła ją zielona jasność, oczy chciały wyskoczyć z oczodołów. Maszyna zaatakowała ją laserem. Volyova zaklęła — skafander zdążył stać się nieprzezroczysty, ale teraz Volyova praktycznie nic nie widziała.

— Złodzieju Słońca — odezwała się, zakładając, że ją słyszy. — Popełniasz poważny błąd.

— Nie sądzę.

— Robisz postępy — powiedziała. — Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłeś nieco sztywny. Co się stało? Dostałeś się do translatorów języka naturalnego?

— Im więcej czasu spędzam wśród was, tym lepiej was poznaję.

Skafander usuwał swą nieprzezroczystość.

— Przynajmniej teraz idzie ci lepiej niż z Nagornym.

— Nie zamierzałem przysporzyć mu koszmarów. — Głos Złodzieja Słońca był tą samą nieobecnością co poprzednio, jakby słyszało się szept na tle białego szumu zakłóceń.

— Nie wątpię. — Cmoknęła. — Chyba nie chcesz mnie zabić. Może innych, ale nie mnie. Jeszcze nie teraz. Ponieważ przyczółek może nadal potrzebować mojej wiedzy.

— To już przeszłość — odparł Złodziej Słońca. — Sylveste wszedł do Cerbera.

Niedobra wiadomość. Choć racjonalnie myśląc, od kilku godzin wiedziała, że sprawa właśnie tak się przedstawia.

— Zatem jest inny powód — powiedziała. — Dodatkowy powód, by zostawić przyczółek otwarty. Nie chodzi ci o to, by Sylveste miał drogę powrotną, ale jeśli przyczółek ulegnie zniszczeniu, nie dowiesz się, czy Sylveste przeniknął głębiej w Cerbera. Musisz przecież wiedzieć, jak daleko dotarł i czy osiąga to, co chciałeś.

Brak odpowiedzi uznała za milczące przyznanie, że nie minęła się z prawdą. Może obcy nie nauczył się jeszcze wszystkich trików i podstępów, sztuki najprawdopodobniej typowo ludzkiej i dla niego nowej.

— Pozwól mi wziąć prom — powiedziała.

— Statek o tej konfiguracji jest za duży, by wejść do Cerbera, nawet jeśli zamierzasz dotrzeć do Sylveste'a.

Czyżby rzeczywiście uważał, że sama o tym wcześniej nie pomyślała? Przez chwilę współczuła Złodziejowi, że posiada tak wyjątkowo złe narzędzia analizy działania ludzkiego umysłu. Dość dobrze szło mu na jednym poziomie: gdy rozstawiał przynęty strachu i nagrody; to działało na emocje. Jego sposób rozumowania nie był wadliwy — przeceniał tylko znaczenie tych uczuć w ludzkich motywacjach. Sądził chyba, że wykazanie, iż planowana przez Volyovą misja ma charakter samobójczy, odwiedzie ją od zamiarów i przekabaci na jego stronę. Ty głupi, żałosny potworze, pomyślała.

— Powiem ci jedno słowo. — Przesunęła się w stronę śluzy, prowokując dronę. A potem wymówiła to słowo — przedtem wyrecytowała wstępne wersy, niezbędne, by samo słowo zadziałało. Nigdy nie przewidywała, że użyje tego słowa w takim kontekście. Dostatecznym zaskoczeniem było to, że już kiedyś musiała go użyć; rzecz tak zadziwiająca jak fakt, że w ogóle je pamiętała. Volyova doszła do wniosku, że dawno minął czas zaufania do przewidywań.

Słowo brzmiało „paraliż".

W ciekawy sposób podziałało na serwitor — nie próbował jej przeszkodzić, gdy dotarła do śluzy i ulokowała się w „Melancholii".

Unosił się bez celu przez kilka sekund, po czym pognał pod ścianę, pozbawiony nagle kontaktu ze statkiem, zdany teraz na ograniczony repertuar swych autonomicznch funkcji. Z samym serwitorem nic się nie stało, gdyż wykonanie komendy „paraliż" wpływało tylko na systemy statku. Ale do jednych z pierwszych systemów, jakie się psuły, należała radiowo-optyczna sieć przekazująca komendy, służąca wszystkim dronom. Tylko drony autonomiczne nadal działały bez przeszkód — a te maszyny nigdy nie znalazły się pod władaniem Złodzieja Słońca. Teraz tysiące nadzorowanych dron na całym statku podążało do terminali, za pomocą których mogły się bezpośrednio podłączyć do systemu sterowania. Nawet szczury były zdezorientowane, gdyż rozstrojeniu uległy systemy rozprowadzające aerozole z instrukcjami biochemicznymi. Uwolnione od bezwzględnej kontroli maszynowej gryzonie wracały do naturalnych zachowań, charakterystycznych dla ich dzikich przodków.

Volyova zamknęła śluzę i z przyjemnością zobaczyła, jak prom wyczuł jej obecność i uruchamia przygotowania do wylotu. Przecisnęła się do kabiny; już świeciły się tam wskaźniki nawigacyjne, które zaczynały tworzyć jej ulubiony interfejs — powierzchnie płynnie się zmieniały, dążąc do idealnej konfiguracji.

Teraz musiała się tylko stąd wydostać.

— Poczułaś to? — spytała Khouri. Siedziała w luksusowej, metalowo-pluszowej komorze pajęczej. — Cały statek zadrżał, jakby to było trzęsienie ziemi.

— Myślisz, że to Ilia?

— Powiedziała, że mamy się oddzielić, jak tylko otrzymamy sygnał. I będzie dla nas oczywisty jak diabli. I chyba był oczywisty, no nie?

Wiedziała, że jeśli będzie zwlekać, zwątpi w świadectwo własnych zmysłów, zacznie się zastanawiać, czy w ogóle odczuła wstrząs, i zrobi się za późno. Volyova jedno zaznaczyła wyjątkowo wyraźnie: po odebraniu sygnału Khouri musi działać szybko, gdyż czasu zostanie niewiele.

Więc odbiła od statku.

Przekręciła dwie mosiężne dźwignie do oporu, nie w taki sposób, jak robiła to Volyova, ale z nadzieją, że takie drastyczne, przypadkowe i prawdpodobnie głupie działanie zaowocuje czymś pożądanym, na przykład odddzieleniem się komory pajęczej od kadłuba, a głównie na tym jej teraz zależało.

Komora pajęcza oddzieliła się od statku.

— Kilka najbliższych sekund zdecyduje, czy przeżyjemy — powiedziała Khouri. Przy nagłym przejściu do stanu swobodnego spadania żołądek jej się skręcał. — Jeśli to rzeczywiście Volyova wysłała sygnał, bezpiecznie będzie opuścić kadłub. Ale jeśli nie, zaraz

znajdziemy się w zasięgu broni statkowych.

Khouri obserwowała oddalający się statek, po chwili musiała mrużyć oczy przed oślepiającym blaskiem silnków Hybrydowców, które ledwo pracowały, mimo to świeciły jasno jak słońce. Można było zasunąć żaluzje okien, ale Khouri nie zapamiętała, jak się to robi.

— Dlaczego nas natychmiast nie zestrzeli?

— Zbyt duże ryzyko, że sam by się uszkodził. Ilia powiedziała, że te ograniczenia są wbudowane hardware'owo i Złodziej Słońca nie ma na nie wpływu. Musi się z nimi pogodzić. Właśnie wchodzimy w obszar działania broni.

— Według ciebie, co to był za sygnał? — spytała Pascale. Najwyraźniej chciała teraz podtrzymać rozmowę.

— To program — odparła Khouri. — Schowany głęboko w statku, gdzie Złodziej nigdy go nie znajdzie. Podłączony do tysiąca obwodów na statku. Gdy Volyova go uruchomiła — jeśli go uruchomiła — wyłączył jednocześnie tysiące systemów. Jedno wielkie bum! Sądzę, że właśnie stąd ten wstrząs.

— A bronie zostały unieruchomione?

— Nie… w zasadzie nie. Niektóre czujniki i może niektóre z systemów naprowadzania, ale centrala uzbrojenia nie jest uszkodzona. Tyle pamiętam. Reszta statku jest tak poharatana, że Złodziejowi Słońca zajmie to trochę czasu, nim się pozbiera, nim skoordynuje swoje poszczególne części i odzyska sprawność. Wtedy może znowu zacząć strzelać.

— Ale bronie za chwilę mogą się ustawić?

— Dlatego musimy się pośpieszyć.

— Ciągle rozmawiamy. Czy to znaczy, że…

— Właśnie. — Khouri uśmiechnęła się przesadnie. — Chyba prawidłowo zinterpretowałam sygnał i myślę, że jesteśmy bezpieczne… przynajmniej na razie.

Pascale głośno westchnęła.

— Co teraz?

— Musimy znaleźć Ilie.

— To nie powinno być trudne. Powiedziała, że nic nie musimy robić, po prostu czekać na ten sygnał. A ona zaraz… — Khouri zamilkła. Spojrzała na Światłowiec, który wisiał nad nimi jak lewitująca katedralna wieża. Coś tu nie grało.

Coś zakłócało jego symetrię.

Coś się z niego wydostawało na zewnątrz.

Zczęło się od małego nacięcia, jakby kurczę dziobem przebijało skorupę jajka. Pojawiło się białe światło, potem nastąpiła seria eksplozji. Odłamki rozerwanej powłoki rozleciały się wokół, ale zaraz zostały pochwycone ręką grawitacji i odsłoniły się uszkodzenia kadłuba. W statku ujawniła się mała dziura. Mała, ale ponieważ sam

statek był ogromny, miała zapewne grubo ponad pięćdziesiąt metrów średnicy.

Przez tę szczelinę, którą Volyova sama otwarła, wystrzelił w kosmos jej prom, chwilę unosił się przy wielkim kadłubie statku, potem się obrócił i zanurkował w kierunku komory pajęczej.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Orbita Cerbera-Hadesa, 2566

Volyova przeprowadziła skomplikowaną procedurę, bezpiecznie sprowadzając komorę pajęczą w zacisze „Melancholii". Operacja wymagała więcej wprawy, niż się pozornie wydawało, nie dlatego, że komora była zbyt duża, ale dlatego, że majtające się wsporniki komory nie chciały się złożyć i uniemożliwiały zamknięcie drzwi ładowni. W końcu — po minucie od rozpoczęcia operacji — Volyova wysłała oddział serwitorów, by siłą podgięły pajęcze nogi. Dla zewnętrznego obserwatora — wprawdzie nie było takiego, jeśli nie liczyć niemrawego, półsparaliżowanego Światłowca — cała procedura musiała przypominać upychanie owada do puzderka.

Wreszcie Volyova mogła zamknąć drzwi i zasłonić widok ostatniego zwężającego się prostokąta, wypełnionego wirującym polem gwiezdnym. Zapaliły się światła wewnętrzne i z szybkim wyciem gwałtownie napłynęło powietrze, a hałas przekazała metalowa powłoka komory pajęczej. Znów pojawiły się serwitory, szybko zamocowały komorę, by nie zdryfowała, a po minucie ukazała się Volyova bez skafandra.

— Idźcie za mną! — krzyknęła. Głos jej dźwięczał. — Im szybciej uciekniemy z zasięgu broni, tym lepiej.

— Jaki dokładnie jest zasięg broni? — spytała Khouri.

— Nie wiem.

— Dosięgnęłaś go swoim programem — powiedziała Khouri, gdy we trójkę wspinały się do kabiny promu. — Dobra robota Odczułyśmy to tutaj, cholernie potężne zamknięcie systemu.

— Chyba uszkodziłam Złodzieja — odparła Volyova. — Po incydencie z bronią kazamatową zainstalowałam z powrotem „Paraliż" z kilkoma dodatkowymi przerwaniami. Tym razem paraliż zadziałał głębiej, sięgnął pod skórę. Żałuję, że nie zainstalowałam urządzeń niszczących wokół silników Hybrydowców. Wówczas mogłybyśmy podpalić statek i uciekać.

— To by chyba utrudniło powrót?

— Prawdopodobnie. Ale to byłby koniec Złodzieja Słońca. — Po zastanowieniu dodała: — A nawet więcej: bez statku przyczółek zacząłby przegrywać, bo nie otrzymywałby aktualizowanych danych z wojchiwum. A my byśmy wygrały.

— Czy to najbardziej optymistyczny wariant, jaki ci się nasuwa?

Volyova nie odpowiedziała.

Dotarły na pokład załogi. Khouri z przyjemnością zobaczyła, że wnętrze jest nowoczesne, białe i sterylne jak gabinet dentystyczny.

— Posłuchaj — Volyova spojrzała na Pascale — nie wiem, jak głęboko zanurzył się przyczółek, ale jeśli teraz przegra — a właśnie tego chcemy — nie będzie to zbyt korzystne dla twojego męża.

— Zakładając, że już tam dotarł.

— Chyba możemy to założyć.

— Z drugiej strony, jeśli Sylveste jest już wewnątrz, dopuszczenie do tego, by przyczółek przegrał, niczego nie zmieni, a tylko uniemożliwi nam dotarcie do Sylveste'a — powiedziała Khouri. Po chwili dodała: — A przecież zamierzamy to zrobić, prawda? Przynajmniej musimy spróbować.

— Ktoś musi. — Volyova wpięła się w fotel i wyciągnęła palce do archaicznej, dotykowej tablicy rozdzielczej, której wygląd sama zasymulowała. — Sugeruję — namawiam — żebyście wybrały sobie miejsce do siedzenia. Błyskawicznie, bardzo, bardzo się oddalimy od Światłowca.

Nim skończyła mówić, silniki już były gotowe, wyły, a ściany, podłoga i sufit — przed chwilą zupełnie nieokreślone — stały się bardzo konkretną rzeczywistością.

Gdy szyb zniknął i gdy opadali przez pustkę, wrażenie, że pionowa prędkość nagle znika, było tak wielkie, że Sylveste czuł, jak jego ciało napina się w oczekiwaniu na wyobrażone naprężenie. Jednak było to tylko złudzenie — nadal spadali, teraz szybciej niż dotychczas, ale punkty odniesienia znajdowały się tak daleko, że prawie zniknęło wrażenie ruchu.

Był wewnątrz Cerbera.

— No i co? — odezwał się Calvin. Sylveste'owi wydawało się, że słyszy go po raz pierwszy od wielu dni. — To wszystko, czego się spodziewałeś?

— To jeszcze nic, zaledwie wstęp — odparł Sylveste.

A przecież znajdował się w najdziwniejszej sztucznej konstrukcji, jaką widział w życiu, w najbardziej osobliwym miejscu. Nad nim zakrzywiała się skorupa: dach otaczający całą planetę, przekłuty wąskim końcem przyczółka. Przestrzeń rozświetlała słaba wewnętrzna luminescencja, najprawdopodobniej wytwarzana przez olbrzymie węże leżące w skomplikowanych zwojach na podłożu. Wielkie pnie drzew jak podpory sięgały do sufitu, poskręcane, organiczne. Teraz, gdy widok poprawił się w porównaniu z obrazami przekazywanymi przez sondy, Sylveste'owi wydawało się, że podpory wychodzą z sufitu, a nie rosną z dołu do góry. Ich korzenie wtapiały się w podłoże. Firmament wyglądał mniej żywo, bardziej krystalicznie. W przebłysku intuicji Dan zobaczył, że podłoże jest starsze niż sufit, że sklepienie skonstruowano wokół planety, gdy podłoże zostało już ukończone.

Miał wrażenie, że te dwie warstwy pochodzą z różnych okresów rozwoju amarantinskiej nauki.

— Kontroluj spadanie — powiedział Sajaki. — Nie powinniśmy zbyt szybko uderzyć w dno. Nie powinniśmy również zawędrować w jakiś system obronny, którego przyczółek nie zdołał unieszkodliwić.

— Sądzisz, że nadal działają tu wrogie siły?

— Może nie na tym poziomie — odparł Triumwir. — Ale niżej możemy się na nie natknąć. Choć te systemy obronne, nieużywane przez ostatni milion lat, są prawdopodobnie dość… — szukał odpowiedniego słowa — zardzewiałe.

— Z drugiej strony może nie powinniśmy na to liczyć.

— No właśnie.

Zwiększył się ciąg skafandra, a wraz z tym wrażenie grawitacji. Zaledwie ćwierć g, ale sklepienie w górze nadal wydawało się przerażająco wielkie. Kilometrowej grubości powloką oddzielała Sylveste'a od otwartej przestrzeni; musiałby się z powrotem przedrzeć przez kilometrową skorupę, gdyby chciał opuścić to miejsce. Natomiast w dole miał tysiąc kilometrów samej planety, ale nie wiedział, jak głęboko musi się w nią wryć, by znaleźć to, czego szukał. Miał nadzieję, że niezbyt głęboko. Pięć dni, jakie sobie wyznaczył na podróż tam i z powrotem, niebezpiecznie zbliżało się do końca. Jeśli spojrzeć na to z zewnątrz, łatwo było zaakceptować podane przez Volyovą równania zysków i strat i uwierzyć, że odzwierciedlają rzeczywistość. Tutaj, gdy siły wyznaczane przez te równania krystalizowały się w formie olbrzymich groźnych struktur, Sylveste stracił zaufanie do walorów prognostycznych takich równań.

— Cholernie się boisz — powiedział Calvin.

— Potrafisz teraz odczytać moje emocje?

— Nie. Twoje emocje powinny odzwierciedlać moje własne. Ty i ja myślimy bardzo podobnie. Zwłaszcza obecnie. — Calvin zamilkł na chwilę. — Nie waham się przyznać, że bardzo, bardzo się boję. Prawdopodobnie czuję większy strach, niż ma prawo odczuwać taki kawałek software'u. Czy to nie głębokie, Dan?

— Zachowaj swoją głębię na później. Jestem pewien, że nadarzy się odpowiednia okazja.

— Wyobrażam sobie, że czujesz się mały i nieważny — rzekł Sajaki, jakby podsłuchiwał rozmowę. — To uzasadnione uczucie. Jesteś nieważny. W porównaniu z wielkością tego miejsca. Czy gdybyś tworzył to miejsce, zbudowałbyś je w innym duchu?

Zbliżało się ku nim podłoże usłane geometrycznym gruzem. Zaćwierkał alarm zbliżeniowy skafandra, sygnalizując bliskość gruntu. Odległość wynosiła teraz nieco poniżej kilometra, ale wydawało się, że wystarczy sięgnąć ręką, by go dotknąć. Skafander wokół Sylveste'a zaczął się przekształcać, dostosowywać do operacji na powierzchni.

Sto metrów. Opadali na płaskawą kryształową skałę, prawdopodobnie odłamek sklepienia, który runął tu z wielkiej wysokości. Miał rozmiary sali balowej. Sylveste widział odbity w marmurowej powierzchni oślepiający blask silników rakietowych swego skafandra.

— Odetnij ciąg pięć sekund przed zetknięciem z gruntem — polecił Sajaki. — Nie chcemy przecież, by żar spowodował reakcję systemów obronnych.

— Oczywiście, że nie — odparł Sylveste.

Przypuszczał, że skafander ochroni go przed skutkami upadku, choć musiał zebrać całą siłę woli, by zastosować się do instrukcji Sajakiego i przejść do swobodnego spadania pięć sekund przed tym, jak stopy miały dotknąć kryształu. Skafander nadął się lekko, wysunął amortyzowane pancerne płyty. Wzrosła gęstość żelopowietrza i na chwilę Sylveste niemal stracił przytomność. Jednak zderzenie z powierzchnią było tak łagodne, że niemal nieodczuwalne.

Zamrugał i uświadomił sobie, że padł na plecy. Wspaniale, bardzo godna pozycja, pomyślał. Wtedy skafander wyprostował się i postawił go na nogi.

Sylveste stał w Cerberze.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Wnętrze Cerbera, 2567

— Ile to trwało?

— Jesteśmy w drodze jeden dzień. — Głos Sajakiego brzmiał słabo, daleko, choć jego skafander znajdował się zaledwie kilkadziesiąt metrów od Sylveste'a. — Mamy mnóstwo czasu, nie martw się.

— Wierzę ci — odparł Sylveste. — Przynajmniej częściowo. Co do pozostałej części, nie jestem taki pewien.

— Ta druga część to mogę być ja — stwierdził Calvin spokojnie. — Właśnie, nie wierzę, że mamy mnóstwo czasu. Możliwe, ale nie powinniśmy na to liczyć. Tak mało przecież wiemy.

— Jeśli to ma nas podbudować…

— Nie.

— W takim razie zamknij się, aż będziesz miał coś konstruktywnego do powiedzenia.

Znajdowali się teraz parę kilometrów w głębi drugiej warstwy Cerbera — niezły postęp, według pewnych kryteriów, gdyż pokonali większą odległość niż wysokość najwyższych gór na Ziemi — ale nadal poruszali się zbyt wolno. W tym tempie nigdy nie zdążą się wydostać, nawet jeśli dotrą do zamierzonego celu. Przyczółek już wcześniej z pewnością ulegnie niezmordowanym energiom systemów obronnych skorupy i zostanie strawiony i wypluty w przestrzeń jak niepotrzebna pestka.

Druga warstwa — warstwa skał, na której wiły się węże i w którą wrastały korzeniami drzewa podpierające sklepienie — miała krystaliczną topografię, wyraźnie odmienną od zewnętrznych struktur o nibyorganicznym wyglądzie. Schodząc niżej, musieli kluczyć w wąskich szczelinach między gęsto upakowanymi formami krystalicznymi niczym mrówki wędrujące między cegłami muru. Posuwali się powoli i wkrótce wyczerpały się zapasy masy odrzutowej skafandrów, gdyż ruch w dół musiał być stale korygowany przez silniki rakietowe. Sylveste zasugerował, by użyli chwytaków z włókna elementarnego — skafander mógł je wytwarzać w miarę potrzeb lub po prostu je wysuwać; Sylveste'a nie interesowały szczegóły, ale Sajaki przekonał go, że nie należy tego robić. Wprawdzie nie zużywaliby masy do silników rakietowych, lecz równocześnie znacznie by to spowolniło całą wyprawę, a mieli jeszcze przed sobą setki kilometrów. Ponadto musieliby ograniczyć się do ruchu ściśle pionowego, w ten

sposób staliby się łatwym celem ewentualnych kontrataków. Zatem przez większość drogi lecieli i tylko od czasu do czasu zatrzymywali się, by pobrać małe ilości materii. Na razie Cerber nie protestował przeciwko takim aktom wampiryzmu, a kryształy zawierały wystarczające ilości ciężkich pierwiastków śladowych, by zasilić zbiorniki silników.

— Zachowuje się tak, jakby nie wiedział, że tu jesteśmy — powiedział Sylveste.

— Może nie wie — odparł Calvin. — W historii Cerbera, jeśli coś nawet przenikało aż tak głęboko, to z pewnością zdarzało się to bardzo rzadko. Układy zbudowano po to, by wykrywać intruzów i bronić przed nimi. Nieużywane, mogły więc ulec atrofii. O ile w ogóle kiedykolwiek istniały.

— Mam dziwne wrażenie, że postanowiłeś mnie pocieszyć.

— Jest to przecież w twoim najlepszym interesie — odparł Calvin. Sylveste wyobraził sobie, jak Calvin się uśmiecha, choć symulacja nie zawierała modułu wizualnego. — W każdym razie wierzę w to, co ci powiedziałem. Uważam, że im niżej schodzimy, tym mniejsze prawopodobieństwo, że zostaniemy rozpoznani jako nieproszeni goście. Podobnie jest w ludzkim ciele: receptory bólu najgęściej są rozmieszczone na skórze.

Sylveste przypomniał sobie, jak dostał skurczu żołądka, gdy wypił za dużo zimnej wody podczas wędrówki z Chasm City. Zastanawiał się, czy jest ziarnko prawdy w tym, co przed chwilą powiedział Calvin. W każdym razie bez wątpienia było to krzepiące. Ale czy głębiej panuje półsen? Czy potężne systemy obronne skorupy osłabły, ponieważ to, co leży pod nią, nie działa tak, jak chcieli Amarantinowie? Czy Cerber to solidnie zamknięta i wypolerowana na wysoki połysk skrzynia skarbów zawierająca jedynie zardzewiały złom?

Takie rozważania nie miały sensu. Jeśli to coś znaczyło, jeśli ostatnie pięćdziesiąt lat jego życia (może nawet więcej) nie było jedynie złudą i obsesją, musi tu być coś wartego zachodu. Nie potrafił wyartykułować tego wrażenia, ale miał niezbitą pewność, jak nigdy dotąd.

Minął jeszcze jeden dzień — schodzili, niekiedy Sylveste zapadał w sen, skafander budził go tylko wtedy, gdy pojawiało się coś wartego uwagi lub parametry otoczenia przekroczyły zadane granice i skafander dochodził do wniosku, że lepiej, by człowiek widział to osobiście. Sylveste nie wiedział, czy Sajaki w ogóle sypia. Ten mężczyzna miał dziwną fizjologię: krew pełna medmaszyn, cały czas oczyszczana; skonfigurowany przez Żonglerów umysł potrafił wytrzymać bez regularnych godzin normalnego snu. Na łatwiejszej drodze opuszczali się z maksymalną prędkością kilometra na minutę;

zdarzało się to, gdy natykali się na głęboką przepaść. Powrót będzie się oczywiście odbywał szybciej, ponieważ skafandry zapamiętają przebytą drogę — o ile nie zmieni się wewnętrzna struktura Cerbera. Zdarzało się, że zszedłszy kilka kilometrów w dół, znajdowali się w ślepej uliczce lub w szybie zbyt wąskim, by się przezeń przecisnąć. Wracali wówczas do poprzedniego rozstaju i próbowali innej drogi. Przemieszczali się metodą prób i błędów — sensory skafandrów wyczuwały trasę najwyżej kilkaset metrów naprzód, gdyż drogę blokowały masywne krystaliczne struktury. Jednak sunęli powoli przed siebie, skąpani mdławym emitowanym przez kryształy, turkusowo-zielonkawym światłem.

Krajobraz stopniowo się zmieniał, leżały tu odłamki wielokilometrowej szerokości, bierne i nieruchome jak lodowce. Kryształy łączyły się ze sobą, ale istniały jednak między nimi łukowato sklepione przestrzenie i zawrotne rozpadliny, co sprawiało wrażenie, że wszystko swobodnie płynie, jakby cicho przecząc polu grawitacyjnemu tego świata. Co to takiego? — zastanawiał się Sylveste. Martwa materia — dosłownie, krystaliczna — czy coś bardziej dziwnego? Czy stanowiły część jakiegoś wszechplanetarnego mechanizmu, zbyt wielkiego, by go dostrzec lub by go sobie wyobrazić? Jeśli były maszynami, musiały wyko — rzystywać jakiś nieokreślony stan rzeczywistości kwantowej, gdzie pojęcia ciepła i energii rozmywały się w niepewności. Były zimne jak lód — pomierzyły to czujniki termiczne skafandra — a jednak Sylveste miał wrażenie, że za ich półprzeźroczystymi ścianami ma miejsce prawie niezauważalny ruch, jakby tykał mechanizm zegara, widziany za osłoną z przezroczystego plastiku. Poprosił skafander, by zbadał to swymi czujnikami, ale otrzymał wyniki nie dające się jednoznacznie zinterpretować.

Po czterdziestogodzinnej wędrówce dokonali znaczącego odkrycia. Kryształowa struktura stała się cieńsza w sferze przejściowej zaledwie kilometrowej grubości i odsłoniły się szyby szersze i głębsze od tych, które dotychczas widzieli. Celowość całego projektu bardziej rzucała się w oczy. Szyby miały dwa kilometry szerokości i każdy z dziesięciu zbadanych przez nich szybów opadał ku zbieżnej nicości przez dwieście kilometrów. Ściany szybów, emitujące takie samo nieco mdłe światło jak kryształy, drżały również tym samym podskórnym ruchem, co sugerowało, że stanowią część tych samych mechanizmów, choć spełniają zupełnie inne funkcje. Sylveste wiedział coś o technice budowy wielkich piramid egipskich — pełno w nich było sztolni i szybów, umożliwiających robotnikom wycofanie się po zaplombownaiu grobowców wewnętrznych. Może tutaj też zastosowano podobne rozwiązanie albo może szyby służyły do odprowadzania ciepła z machin teraz unieruchomionych.

Szczęśliwe odkrycie znacznie przyśpieszało drogę w dół, choć wykorzystanie szybów wiązało się z ryzykiem. Wędrowcom, uwięzionym między ścianami szybów, w razie ataku pozostawały tylko dwa kierunki ucieczki. Z drugiej strony, gdyby wyprawa nadal się przedłużała, po upadku przyczółka zostaliby na zawsze uwięzieni w Cerberze. Marny los; podjęli więc ryzyko podróży szybami.

Nie mogli opadać jak przedtem, gdyż pionowe odcinki drogi wynosiły najwyżej kilometr; teraz szyby były bardzo głębokie, pojawiły się więc nowe nieprzewidziane problemy. Coś tajemniczego spychało ich na bok, musieli więc impulsowo korygować ciąg, by nie dać się cisnąć o pędzące ku nim mdławozielone przepastne ściany. To oczywiście siły Coriolisa, te same pozorne siły, które na obracającej się planecie zamieniały wiatry w cyklony. Tutaj siły Coriolisa przeciwstawiały się idealnie pionowemu spadkowi, ponieważ Cerber rotował, więc Sylveste i Sajaki musieli tracić nadmierny moment kątowy pędu, pojawiający się podczas ruchu ku jądru planety. Mimo to, w porównaniu z poprzednim powolnym opadaniem, poruszali się dość szybko.

Opadli sto kilometrów, gdy rozpoczął się atak.

— Rusza się — powiedziała Volyova.

Dziesięć godzin minęło od chwili, gdy opuściły Światłowiec. Volyova była wyczerpana, mimo że od czasu do czasu ucinała sobie sobie drzemkę — wiedziała przecież, że wkrótce musi być w pełni sił. Niewiele to jednak pomogło. Potrzebowała dłuższych okresów nieświadomości, by usunąć psychiczne i umysłowe napięcie ostatnich dni. Teraz jednak była zupełnie rozbudzona, jakby jej ciało, na granicy wyczerpania, doczołgało się do spokojnego rezerwuaru zapasowej energii. Bez wątpienia nie wystarczy jej na długo, a gdy się to tymczasowe źródło zużyje, Volyova będzie musiała zapłacić jeszcze większą cenę. Teraz jednak była zadowolona, że przynajmniej przejściowo jest przytomna i sprawna.

— Co się rusza? — spytała Khouri.

Volyova skinieniem głowy wskazała rozjarzoną białą konsolę w kształcie podkowy i okna odczytów, które tam wywołała.

— A cóż by, jeśli nie ten cholerny statek?

— O co chodzi? — Pascale ziewnęła; właśnie się zbudziła.

— Chodzi o to, że mamy kłopoty — odparła Volyova. Jej palce tańczyły na klawiaturze. Wywoływała dodatkowe odczyty instrumentów, choć w zasadzie nie potrzebowała potwierdzenia. Złe wieści same się potwierdzały. — Oznacza to dwie rzeczy, obie nie niosą nic dobrego. Światlowiec znów się ruszył. Złodziej Słońca musiał zrestartować główne systemy, które unieruchomiłam „paraliżem”.

— Te dziesięć godzin się przydało… dotarłyśmy dość daleko. — Pascale skinęła na displej pokazujący położenie promu, który pokonał

ponad jedną trzecią odległości do Cerbera.

— A ta druga rzecz? — spytała Khouri.

— Z tego wynika, że Złodziej Słońca musiał zdobyć wystarczające doświadczenie, by sterować napędem. Poprzednio tylko ostrożnie próbował, bojąc się uszkodzić statek.

— Jakie wnioski?

Volyova wskazała wskaźniki pozycyjne.

— Załóżmy, że teraz ma całkowitą kontrolę nad napędem i wie, w jakim zakresie można nim sterować. Obecny tor statku jest ustawiony na przecięcie naszej trajektorii. Złodziej Słońca usiłuje nas przechwycić, zanim dotrzemy do Dana czy nawet do przyczółka. Z tej odległości jesteśmy dla niego zbyt małym obiektem — promień z broni promieniowych byłby zbyt rozproszony, a wszelkie pociski subrelatywistyczne potrafimy przechytrzyć, lecąc po trasie generowanej losowo. Ale i tak wkrótce znajdziemy się w zasięgu efektywnego działania broni.

— A ile to potrwa? — Pascale zmarszczyła czoło. To nie jest najsympatyczniejsza mina Pascale, pomyślała Volyova, ale nie okazała po sobie, że jej się to nie podoba. — Chyba już na starcie uzyskałyśmy znaczną przewagę?

— Owszem, ale teraz nic nie powstrzyma Złodzieja Słońca: zwiększy ciąg Swiatłowca do kilkudziesięciu g, a my takiego przyśpieszenia nie osiągniemy, bo zostałaby z nas papka. Dla niego to żaden problem. Na pokładzie nie ma już żywych istot, które nie biegałyby na czterech nogach, nie piszczały i nie paskudziły, gdy do nich strzelisz.

— Poza kapitanem — przypomniała Khouri. — Choć jego chyba nie bierze się pod uwagę.

— Spytałam, jak długo — powiedziała Pascale.

— Jeśli dopisze nam szczęście, dotrzemy właśnie do Cerbera — odparła Volyova. — Nie zostanie nam zbyt wiele czasu, by się rozejrzeć i zastanowić. Będziemy musiały dostać się do środka — i to dość głęboko — by uniknąć statkowych broni. — Gdzieś, z wnętrza, wydobyła urywany śmiech. — Okazuje się, że twój mąż cały czas robił, co trzeba. Może jest w tej chwili w znacznie bezpieczniejszej sytuacji niż my. Przynajmniej na razie.

Na ścianach szybu pojawiły się wzory: niektóre fragmenty kryształu zaświeciły intensywniej. Wzory były bardzo wielkie i początkowo Sylveste nie rozpoznał, że to hieroglify Amarantinów. Nawet nie z powodu ich wielkości, ale dlatego, że zostały przedstawione w nieznany mu sposób, jakby to był zupełnie inny język. W przebłysku intuicji zorientował się, że to język używany przez Wypędzonych, stado, które poszło za Złodziejem Słońca na wygnanie, a w końcu ruszyło do gwiazd. Dziesiątki tysięcy lat dzieliły

to pismo od inskrypcji, które przedtem widywał. Tym bardziej to cud, że teraz mógł wyłowić z tych napisów jakiś sens.

— Co nam przekazują? — spytał Calvin.

— Że nie jesteśmy tu — łagodnie mówiąc — mile widziani — odparł Sylveste, nieco zdziwioony, że te litery coś dla niego znaczą.

Sajaki musiał odebrać tę subwokalizację.

— A dokładnie co? — spytał.

— Mówią, że zbudowali ten poziom — wyjaśnił Sylveste. — Wytworzyli go.

— W końcu okazuje się, że miałeś rację — stwierdził Calvin. — To miejsce to rzeczywiście dzieło Amarantinów.

— W innych okolicznościach należałoby to uczcić toastem — odparł Sylveste od niechcenia, pochłonięty tym, co czytał, myślami, które nagle pojawiały mu się w głowie. Już niejednokrotnie przedtem przeżywał coś podobnego, gdy tłumaczył pismo Amarantinów, ale nigdy nie przebiegało to tak płynnie, z takim uczuciem całkowitej pewności. Wciągało to — i przerażało.

— Proszę, kontynuuj — powiedział Sajaki.

— Już mówiłem: to ostrzeżenie. Że nie powinniśmy iść dalej.

— To prawdopodobnie oznacza, że jesteśmy blisko tego, po co przyszliśmy.

Sylveste również tak sądził, choć nie potrafiłby tego uzasadnić.

— Ostrzeżenie mówi, że na niższym poziomie znajduje się coś, czego nie powinniśmy oglądać.

— Oglądać? Tak to dosłownie sformułowano?

— Sajaki, Amarantinowie myślą w sposób bardzo wizualny. Nie chcą, byśmy znaleźli się w pobliżu tego czegoś.

— Zatem musisz przyznać, że to coś jest wartościowe.

— A jeśli to rzeczywiście ostrzeżenie? — zasugerował Całym. — Nie groźba, ale szczera prośba, by trzymać się z daleka. Czy z kontekstu wynika, że można to tak zrozumieć?

— Być może… gdyby to był standardowy napis amarantinski. — Sylveste nie dodał, że odcyfrował przesłanie w sposób sugerowany przez Calvina, nie potrafiłby tego jednak racjonalnie uzasadnić. Taka interpretacja go jednak nie odstraszyła. Zaczął się zastanawiać, co skłoniło Amarantinów do przekazania takiego komunikatu. Jakie zło się tam kryło, by należało je zamykać w kopii planety i bronić najbardziej przerażającymi środkami znanymi cywilizacji? Dlaczego nie można było tego po prostu zniszczyć? Jakiego potwora stworzyli?

A może znaleźli?

Idea zaskoczyła w pustą lukę w jego rozumowaniu i doskonale pasowała, jakby tam było jej miejsce. Coś znaleźli: stado Złodzieja Słońca. Daleko na skraju układu coś znaleźli.

Próbował uporać się z tym wnioskiem, gdy wtem najbliższy znak

oddzielił się od ściany, zostawiając puste wcięcie w miejscu, gdzie był przed chwilą. Inne znaki również odrywały się od szybu — całe słowa, zdania — i wielkie jak domy z gadzią cierpliwością krążyły wokół Sylveste'a i Sajakiego. Unosiły się swobodnie, podtrzymywane przez jakiś mechanizm niewidoczny dla systemów obronnych skafandra. Nie ujawniały się żadne fluktuacje, ani grawitacyjne, ani magnetyczne. Przez chwilę zaskoczony Sylveste myślał o obcym, napędzającym to widowisko mechanizmie, ale nagle się zorientował, że stoi za tym niewątpliwa logika. Co miało więcej sensu niż zakaz, który — przekroczony — sam się egzekwował?

Nagle skończył się czas na luźne rozważania.

— Systemy obronne skafandra na automatykę — polecił Sajaki. Podniósł głos zaledwie odrobinę powyżej swego rutynowego spokojnego tonu. — Sądzę, że te przedmioty chcą nas zmiażdżyć.

Nie musiał tego mówić.

Dryfujące słowa otoczyły ich sferycznie i niespiesznie tworzyły coraz ciaśniejsze spirale. Skafander odciął Sylveste'owi wizję, zasłaniając jego oczy przed niszczącymi siatkówkę oślepiającymi impulsami plazmy. Sterowanie ręczne zostało czasowo odłączone — skafander zupełnie nie potrzebował pomocy człowieka, próbującego się sprawić lepiej od niego. Mimo zasłon, w polu widzenia Sylveste'a rozbłysły fajerwerki, zjawiska fotonowe włączały układy oczu, wiedział, że tuż za powłoką skafandra muszą operować żrące wielorakie radiacje. Odczuwał szarpanie, pchnięcia w górę i w dół (tak mu się przynajmniej wydawało) tak silne, że przechodził przez okresy utraty i powrotu przytomności, jak pociąg przejeżdżający w górach przez system krótkich tuneli. Przypuszczał, że skafander atakuje i ucieka, a z każdym przyśpieszeniem i z każdym spadkiem prędkości doznaje niepowodzenia.

W końcu Sylveste pogrążył się w głębokim i długim stanie bezprzytomności.

Volyova zwiększyła ciąg „Melancholii", dobijając niemal do czterech g stałego przyśpieszenia. Od czasu do czasu następowały przypadkowe szarpnięcia, zaprogramowane dla dodatkowego efektu, na wypadek gdyby Światłowiec wystrzeliwał jakieś pociski.

Pasażerki niechronione skafandrami czy specjalnymi kaftanami więcej nie mogłyby znieść, a odczuwały to bardzo nieprzyjemnie — zwłaszcza Pascale, mniej od Khouri nawykła do takich podróży. Nie mogły wstawać z foteli, ruchy rąk miały bardzo ograniczone, mogły jednak mówić — choć dość kiepsko — i nawet przeprowadziły niemal zborną rozmowę.

— Rozmawiałaś z nim? — spytała Khouri. — Ze Złodziejem Słońca. Domyśliłam się z wyrazu twojej twarzy, gdy ratowałaś nas przed szczurami w ambulatorium. Nie mylę się?

Głos Volyovej był zdławiony, jakby właśnie powoli ją duszono.

— Jeśli miałam wątpliwości co do twojej opowieści, to w chwili, gdy spojrzałam mu w twarz, wszystkie zniknęły. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że patrzę na obcego. Zrozumiałam częściowo, co musiał przeżywać Borys Nagorny.

— Czyli to, co doprowadziło go do szaleństwa?

— Uwierz mi, gdybym miała w głowie to samo, co on, cierpiałabym tak samo. Martwi mnie jednak to, że część Borysa mogła zepsuć Złodzieja Słońca.

— A według ciebie, jak ja się czuję? — spytała Khouri. — Ta rzecz siedzi w moim mózgu.

— Nie, nie siedzi.

Volyova pokręciła głową — był to gest prawie beztroski, zważywszy na przyśpieszenie czterech g.

— Przez chwilę był w twojej głowie. Wystarczyło mu czasu na zmiażdżenie resztek Mademoiselle. Ale potem zniknął.

— Kiedy?

— Gdy Sajaki cię sondował. Uważam, że to moja wina. Nie powinnam mu nawet pozwolić na włączenie sondy. — Jak na osobę poczuwającą się do winy, powiedziała to tonem całkowicie pozbawionym skruchy. Może według niej już samo przyznanie się wystarczało. — Gdy Sajaki przeglądał twoje wzorce neuronowe, Złodziej Słońca wbudował się w nie i dotarł do sondy w postaci zakodowanych danych. Stamtąd jednym susem mógł wejść do statkowych układów.

Rozmyślały nad tym w ciszy.

— Dopuszczenie, by Sajaki zapuścił sondę, nie było twoim najmądrzejszym posunięciem — stwierdziła Khouri po chwili.

— Przyznaję ci rację — odparła Volyova, jakby ta myśl dopiero teraz przyszła jej do głowy.

Gdy odzyskał przytomność — upłynęło kilkadziesiąt sekund, a może kilkadziesiąt minut — zobaczył, że zasłony pola widzenia zostały usunięte, a on swobodnie spada we wnętrzu szybu. Spojrzał w górę i dostrzegł resztki promieniowania pobitewnego, choć od tamtego miejsca dzieliła go odległość kilometrów. Widział ospowate, poranione uderzeniami energii ściany szybu. Niektóre słowa ciągle dryfowały, inne — poharatane — straciły sens i jakby rozpoznawszy, że ich ostrzeżenie zostało beznadziejnie zniekształcone, przestały działać jako broń. Sylveste obserwował, jak wracają do swych nisz, niczym posępne kruki wracające do gniazd.

Coś mu tu jednak nie pasowało.

Gdzie jest Sajaki?

— Do diabła, co się stało? — odezwał się z nadzieją, że skafander prawidłowo zinterpretuje jego pytanie. — Gdzie on sie podziewa?

— Odbyła sie walka z autonomicznym układem obronnym — informował skafander, jakby mówił o porannej pogodzie.

— Dziękuję, zauważyłem, ale gdzie jest Sajaki?

— Jego skafander doznał poważnych uszkodzeń podczas akcji ucieczki. Zakodowane sygnały telemetryczne wskazują na rozległe i być może nienaprawialne uszkodzenia głównej i zapasowej jednostki napędowej.

— Pytałem, gdzie on jest.

— Jego skafander nie był w stanie zmniejszyć szybkości spadania ani przeciwdziałać siłom Coriolisa, spychającym go na ściany szybu. Impulsy telemetryczne wskazują, że Sajaki znajduje się piętnaście kilometrów niżej i nadal spada, z Dopplerowskim poniebieszczeniem względem twojej pozycji jednej dziesiątej kilometra na sekundę, które rośnie.

— Nadal spada?

— Najprawdopodobniej. Z powodu awarii jednostek ciągu oraz niemożliwości zastosowania przy obecnej prędkości lin hamujących z włókna elementarnego, nadal będzie spadał, aż dalszą drogę zagrodzi mu koniec szybu.

— Mówisz, że zginie?

— Uwzględniając przewidywaną prędkość końcową, przeżycie jest wykluczone dla wszelkich modeli, jeśli nie liczyć najbardziej skrajnych wartości oddalonych.

— Jedna szansa na milion — powiedział Calvin.

Sylveste przekręcił się tak, że mógł spoglądać pionowo w dół szybu. Piętnaście kilometrów, więcej niż siedmiokrotna odległość między dźwiękochłonnymi ścianami szybu. Patrzył i patrzył, cały czas spadał… i nagle wydało mu się, że parę razy zauważył błysk gdzieś daleko na skraju pola widzenia. Czy ten błysk to iskry powstające wskutek tarcia skafandra Sajakiego o ściany? — zastanawiał się. Nie był pewien, czy w ogóle cokolwiek zobaczył, ale błyski słabły, aż zanikły, i Sylveste widział tylko jednolite ściany szybu.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Orbita Cerbera-Hadesa, 2567

— Dowiedziałaś się czegoś, Złodziej Słońca coś ci powiedział. Dlatego z taką determinacją chcesz powstrzymać Sylveste'a — zwróciła się Pascale do Volyovej, która poczuła się pewniej, gdy prom minął punkt w połowie drogi między Cerberem a miejscem, w którym zwiększyła ciąg do czterech g. Teraz, gdy płomień silnika nie wskazywał już ścigającego ich Światłowca, ich pojazd stał się celem znacznie mniej widocznym. Wada tej sytuacji polegała oczywiście na tym, że płomień bił teraz w kierunku Cerbera i planeta mogła go uznać za przejaw wrogości. Jeśli jeszcze nie wiedziała, że ludziom, którzy do niej ostatnio przybyli, nie zależy zbytnio na jej interesie.

Jednak nie mogły nic na to poradzić.

Światłowiec utrzymywał przyśpieszenie sześciu g; odległość między nim a promem stale się zmniejszała i za pięć godzin prom miał się znaleźć w zasięgu rażenia statku. Złodziej Słońca mógł jeszcze bardziej rozpędzić statek i Volyova przypuszczała, że Złodziej bada granice możliwości silnika. Złodziejowi nie zależy specjalnie na przetrwaniu, pomyślała Volyova, ale jeśli Światłowiec zostanie zniszczony, wkrótce ten sam los spotka również przyczółek. I choć Sylveste był teraz wewnątrz planety, może obcy musi się dowiedzieć, czy cel został osiągnięty; przez dłuższy czas potrzebny był mu wyłom w skorupie, by sygnał z wnętrza mógł się wydostać do przestrzeni zewnętrznej. Volyova ani przez chwilę nie miała złudzeń, że Złodziejowi Słońca choć odrobinę zależało na bezpiecznym powrocie Sylveste'a.

— Co takiego pokazała mi Mademoiselle? — spytała Khouri. Po wielogodzinnej fazie przyśpieszania głos miała jak po ciężkim przepiciu. — To w mojej głowie, z czym nie mogłam dojść do ładu. O to ci chodzi?

— Sądzę, że nigdy się tego nie dowiemy w stu procentach — odparła Volyova. — Wiem tylko tyle, co mi pokazał. Wierzę, że to prawda, ale raczej nigdy nie uzyskamy całkowitej pewności.

— Mogłabyś mi to zreferować — zaproponowała Pascale. — Z nas trzech tylko ja nic o tym nie wiem. A potem wy dwie spierajcie się o szczegóły.

Po raz drugi albo trzeci w ciągu ostatnich paru godzin odezwała się konsola, sygnalizując, że skierowany ze Światłowca promień radaru omiótł ich od rufy. Na razie nie były to zbyt cenne dane, gdyż

opóźnienie sygnałów elektromagnetycznych między statkiem a promem ciągle wynosiło sekundy, a to wystarczało, by prom, impulsem napędu bocznego, mógł się przemieścić z namierzonej przez radar pozycji. Jednak Volyovą denerwował fakt, że Swiatłowiec ich goni i próbuje uzyskać wystarczająco dokładne dane o ich trasie, by móc otworzyć ogień. Do tego czasu mogą upłynąć godziny, ale złowrogie intencje maszyny wydawały się dość oczywiste.

— Zacznę od tego, co wiem — powiedziała Volyova, biorąc głęboki oddech. — Kiedyś galaktyka była znacznie bardziej ludna niż obecnie: miliony kultur, choć zaledwie paru większych graczy. W zasadzie wszystkie modele prognostyczne przewidywały, że obecnie tak powinna wyglądać galaktyka. Modele uwzględniające częstość występowania gwiazd typu G i planet typu ziemskiego, krążących po takich orbitach, by na ich powierzchni mogła utrzymać się woda w stanie ciekłym. — Volyova uciekała w dygresje, ale Pascale i Khouri nie protestowały. — To był zawsze największy paradoks. Na papierze wszystko wygląda znacznie prościej niż w życiu. Teoretyczne oceny rozwoju kultur posługujących się narzędziami znacznie trudniej sprecyzować, ale wadą tych ocen jest to samo: przewidują istnienie zbyt wielu kultur.

— Stąd paradoks Fermiego — wtrąciła Pascale.

— Co takiego? — spytała Khouri.

— Stara dychotomia: z jednej strony względna łatwość podróży międzygwiezdnych, zwłaszcza realizowanych przez wysłane roboty, a z drugiej zupełny brak takich przybyszów z kultur pozaziemskich. Jedyny logiczny wniosek: nie ma nikogo, kto mógłby coś takiego wysłać, nikogo w całej galaktyce.

— Ale przecież galaktyka jest olbrzymia — rzekła Khouri. — Może istnieją w niej kultury, tylko my o tym jeszcze nie wiemy?

— Nic z tego — stwierdziła Volyova z naciskiem, a Pascale skinęła głową. — Galaktyka jest wielka, ale nie aż tak, a do tego bardzo stara. Gdyby jedna kultura postanowiła wysłać sondy, wszyscy inni w galaktyce dowiedzieliby się o tym w ciągu paru milionów lat. A tak się składa, że galaktyka jest kilka tysięcy razy starsza. Oczywiście, kilka generacji gwiazd musiało żyć i umrzeć, nim pojawiła się wystarczająca ilość ciężkich elementów do budowy życia, ale nawet jeśli kultury budujące maszyny powstały raz na milion lat, miały tysiące okazji, by zdominować całą galaktykę.

— Podawano dwa wyjaśnienia tego paradoksu — wtrąciła Pascale. — Po pierwsze, oni tu są, ale my ich nigdy nie zauważyliśmy. Kilkaset lat temu taki argument był do przyjęcia, ale współcześnie nikt go nie traktuje poważnie. Przecież zmapowano każdy centymetr kwadratowy każdej asteroidy w setce układów.

— Więc może oni nigdy nie istnieli?

— Rozsądny argument. — Pascale skinęła w stronę Khouri. — Ale upadł, od kiedy lepiej poznaliśmy galaktykę, która okazała się podejrzanie sprzyjająca rozwojowi życia, przynajmniej jeśli chodzi o rzeczy najważniejsze. To, o czym wspomniała Volyova: odpowiednie typy gwiazd, odpowiedni rodzaj planet w odpowiednich miejscach. A modele biologiczne nadal przewidywały większą częstotliwość występowania życia z inteligentnymi kulturami włącznie.

— Więc modele okazały się wadliwe — powiedziała Khouri.

— Chyba jednak nie — stwierdziła Volyova. — Gdy wydostaliśmy się w kosmos, gdy opuściliśmy Pierwszy Układ, wszędzie natykaliśmy się na wymarłe kultury. Już milion lat temu żadnych z nich nie było, a niektóre zniknęły znacznie wcześniej. Świadczyły o jednym: galaktyka była w przeszłości znacznie bardziej życiodajna. Więc dlaczego teraz jest tak bezludna?

— Wojna — rzekła Khouri. Na chwilę zamilkły. Ciszę przerwała dopiero Volyova, głosem spokojnym, pełnym szacunku, jakby mówiła o czymś świętym.

— Tak, Wojna Świtu… taką nadano jej nazwę, prawda?

— To akurat pamiętam.

— Kiedy się toczyła? — spytała Pascale i przez chwilę Volyova czuła sympatię do tej kobiety, siedzącej między nimi dwiema, którym pozwolono zerknąć na coś nadzwyczajnego i które były nie tyle zainteresowane uchwyceniem całości, co chciały zbadać to, czego nie wiedziały, usunąć wzajemne wątpliwości i błędne koncepcje. Ale Pascale jeszcze nic o tym nie wiedziała.

— Miliard lat temu — wyjaśniła Khouri. Volyova jej nie przerywała. — Wszystkie te cywilizacje zostały wessane i wyplute w postaci i formie zupełnie innej od tej, jaką miały na początku. Nie rozumiemy, o co chodziło ani kto lub co dokładnie przetrwało… tyle tylko, że bardziej przypominało maszyny niż żyjące istoty, choć tak różniły się od tego, co uważamy za maszyny, jak nasze maszyny różnią się od narzędzi kamiennych. Miały jednak nazwę, czy może nadano im nazwę, szczegółów nie pamiętam. Pamiętam natomiast nazwę.

— Inhibitorzy — powiedziała Volyova.

Khouri skinęła głową.

— Zasługiwali na to.

— Dlaczego?

— Z powodu tego, co zrobili potem — wyjaśniła Khouri. — Nie podczas wojny, ale po jej zakończeniu. Jakby przystali do jakiejś religii — jakby stosowali się do jej bezwzględnego nakazu. Życie inteligentne, organiczne, wywołało Wojnę Świtu. Teraz oni byli czymś innym — można to nazwać życiem postinteligentnym. W każdym razie to im ułatwiło zadanie.

— Czyli co?

— Inhibicję. Dosłownie: zahamowali powstanie inteligentnych kultur w galaktyce, by już nigdy nie zdarzyło się nic podobnego do Wojny Świtu.

— Nie chodziło tylko o zniszczenie istniejących kultur, które mogły przeżyć wojnę. Zaczęli również zakłócać warunki środowiska, by inteligentne życie nigdy więcej się nie odrodziło. Nie stosowali inżynierii gwiazdowej — taki akt stanowiłby zbyt wielką ingerencję, stałby w sprzeczności z ich własnym rygoryzmem. Niszczyli na mniejszą skalę. Mogli to robić — bez manipulowania ewolucją pojedynczej gwiazdy, chyba że w wyjątkowych wypadkach — na przykład zmieniając orbity komet, powodując, że bombardowanie planet trwało znacznie dłużej niż przeciętnie. Prawdopodobnie życie znalazłoby sobie niszę, w której by przetrwało — głęboko pod powierzchnią planety lub przy otworach hydrotermicznych — ale nigdy nie osiągnęłoby poziomu dostatecznej złożoności. Z pewnością nie potrafiłoby zagrozić Inhibitorom.

— Powiedziałaś, że to było miliard lat temu — rzekła Pascale. — A przecież od tamtego czasu przeszliśmy całą drogę od jednokomórkowców do homo sapiens. Czy to znaczy, że wymknęliśmy się przez oka sieci?

— Tak, ponieważ sieć zaczęła się rwać — odparła Volyova.

Khouri skinęła głową.

— Po całej galaktyce Inhibitorzy rozsiali maszyny, których zadaniem było wykrywanie powstającego życia i niszczenie go. Długo wydawało się, że wszystko działa zgodnie z planem — dlatego obecnie galaktyka nie jest rojna, choć ma korzystne warunki wstępne do rozwoju życia. — Pokręciła głową. — Mówię, jakbym rzeczywiście na pewno to wiedziała.

— Może wiesz — rzekła Pascale. — W każdym razie chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia. Wszystko.

— Dobrze, dobrze. — Khouri wierciła się w fotelu akceleracyjnym; bez wątpienia usiłowała zrobić coś, co Volyova robiła od godziny — nie urazić siniaków, których się nabawiła. — Ich maszyny dobrze funkcjonowały przez kilkaset milionów lat — wyjaśniała. — Ale potem zaczęły się psuć. Działały zawodnie, nie tak skutecznie, jak powinny. Pojawiły się inteligentne kultury, które przedtem zostałyby zduszone w zarodku.

Widać było, że do Pascale coś właśnie dotarło.

— Jak Amarantinowie… — powiedziała.

— Tak jak Amarantinowie. — Wyjaśnienia podjęła teraz Volyova. — Nie była to jedyna cywilizacja, której udało się wyślizgnąć przez oka sieci, ale tak się akurat złożyło, że znajdowali się blisko nas w galaktyce, i dlatego to, co się z nimi stało, ma taki… wpływ na nas.

Może powinno być urządzenie Inhibicyjne, obserwujące Resurgam, ale albo go nigdy nie rozmieszczono, albo przestało działać na długo przedtem, nim Amarantinowie ukształtowali się jako istoty rozumne. Stworzyli więc cywilizację, a potem wydali podgatunek, potrafiący odbywać podróże kosmiczne. I przez ten cały czas nie przyciągnęli uwagi Inhibitorów.

— Złodziej Słońca.

— Tak. Zabrał ze sobą Wygnanych w kosmos, zmieniał ich biologicznie i mentalnie, aż tylko język i przodkowie łączyli ich z Amarantinami, którzy zostali w domu. Oczywiście penetrowali kosmos, sięgnęli w swój układ słoneczny, a potem na jego krańce.

— Gdzie znaleźli… — Pascale wskazała na obraz Hadesa i Cerbera. — O to chodzi?

Khouri skinęła głową i zaczęła opowiadać resztę historii.

Sylveste spadał i spadał, i niemal nie zwracał uwagi na upływ czasu. Dotarł do punktu, gdzie nad głową miał ponad dwieście kilometrów szybu, a pod stopami zaledwie parę jego kilometrów. Migające w dole światła układały się w konstelacje i przez chwilę Sylveste'owi wydało się, że zabrnął znacznie dalej, niż to możliwe, i tamte światełka to gwiazdy, a on właśnie ostatecznie opuszcza Cerbera. Wrażenie tylko przelotne, gdyż układ świateł był zbyt regularny, nieco zbyt celowy, nosił ślady rozumnej kompozycji.

Wypadł z szybu w pustkę i jak wcześniej, gdy wyprysnął z przyczółka, spadał przez wielką komorę, która jednak wydawała się znacznie większa niż przestrzeń bezpośrednio pod skorupą. Nie widział wyrastających z kryształowego podłoża sękatych pni, podtrzymujących sklepienie, i podejrzewał, że żadnych takich pni nie ma bezpośrednio za krzywizną horyzontu. A przecież poniżej znajdowała się podłoga, więc nic nie wspierało sufitu, który rozciągał się nad całą planetą-w-planecie, sufit wisiał tylko dzięki ogromnej przeciwrównowadze swego własnego grawitacyjnego zapadania albo dzięki jakiemuś innemu zjawisku, którego Sylveste nie potrafił sobie wyobrazić. W każdym razie teraz opadał ku rozgwieżdżonej podłodze, znajdującej się dziesiątki kilometrów poniżej.

Bez trudu odnalazł skafander Sajakiego. Jego własny, nadal funkcjonujący skafander robił to, co należało — ustawił się na charakterystyki spadającego towarzysza (zatem jakaś jego część musiała przeżyć), a potem pokierował opadaniem Sylveste'a. Lądowanie nastąpiło parędziesiąt metrów od miejsca upadku Sajakiego. Triumwir musiał uderzyć z dużą prędkością — to było jasne. Zresztą niewiele opcji wchodziło w grę, zważywszy na niekontrolowany spadek z dwustu kilometrów. Częściowo wrył się w metalowe podłoże, potem odbił się i padł twarzą w dół.

Sylveste nie spodziewał się, że znajdzie Sajakiego żywego, ale

zaszokował go widok rozbitych szczątków — skafander kojarzył mu się z porcelanową lalką, na której wyładowało swą wściekłość rozzłoszczone dziecko; był rozpruty, podarty, odbarwiony. Uszkodzenia powstały prawdopodobnie podczas bitwy i spadania, gdy Sajaki, spychany siłami Coriolisa, wielokrotnie uderzał o ściany szybu.

Sylveste przekręcił go na plecy, pomagając sobie wzmacniaczami własnego skafandra. Spodziewał się nieprzyjemnego widoku, ale musiał go znieść, by kontynuować wyprawę. To jakby zamknięcie w umyśle pewnego jej rozdziału. Do Sajakiego czuł głównie antypatię, złagodzoną wymuszonym, szacunkiem dla jego sprytu i ogromnego uporu, z jakim Triumwir szukał Sylveste'a przez tyle dziesięcioleci. Nie było w tym ani krzty przyjaźni, jedynie zawodowy podziw dla fachowo zrobionego przyrządu, który znakomicie wykonał swą robotę. To właśnie Sajaki, pomyślał Sylveste, dobrze naostrzone narzędzie, świetnie przystosowane do jednego, jedynego celu.

Na przedniej szybie skafandra zobaczył szeroką na kciuk szczelinę. Coś go zmusiło, by uklęknąć i zbliżyć twarz do głowy martwego Triumwira.

— Żałuję, że tak się to skończyło — powiedział. — Nie twierdzę, Yuuji, że kiedykolwiek byliśmy przyjaciółmi… Chciałem jednak, żebyś zobaczył to, co znajduje się przed nami, tak jak sam pragnąłem to zobaczyć. Myślę, że doceniłbyś to.

I wtedy się zorientował, że skafander jest próżny i że zawsze był jedynie pustą powłoką.

Oto co wiedziała Khouri.

Wygnańcy dotarli na skraj układu słonecznego tysiące lat po tym, jak wygnano ich z głównego nurtu amarantinskiej kultury. Z natury rzeczy ich postęp był powolny nie tylko dlatego, że musieli zmagać się z ograniczeniami technicznymi. Musieli też pokonać równie nieustępliwe ograniczenia własnej psychiki.

Początkowo Wygnańcy zachowywali instynkt stadny swych braci. Ewolucyjnie stali się społeczeństwem zależnym od komunikacji wizualnej. Byli zorganizowani w wielkie zbiorowości, w których jednostka liczyła się mniej od kolektywu. Pozbawiony miejsca w stadzie, pojedynczy Amarantin zapadał na pewnego rodzaju psychozę, odpowiednik deprywacji sensorycznej. Przystanie do małej grupy osobników nie zmniejszało tego koszmaru. Dlatego kultura Amarantinów była nadzwyczaj stabilna, odporna na wewnętrzne spiski i zdrady. Równocześnie oznaczało to, że z powodu swej izolacji Wygnańcy skazani byli na swoiste szaleństwo.

Pogodzili się z tym. Zmienili się, stali się kulturowymi socjopatami. W ciągu zaledwie kilkuset pokoleń przestali być stadem; podzielili się na kilkadziesiąt wyspecjalizowanych klanów, każdy ze specyficzną odmianą szaleństwa. Przynajmniej ci, co zostali w domu,

postrzegaliby to jako szaleństwo.

Zdolność funkcjonowania w mniejszej grupie umożliwiła Banitom sondowanie rejonów oddalonych od Resurgamu, poza bezpośrednim zasięgiem komunikacji, która była naturalnie ograniczona przez prędkość światła. Najbardziej psychotyczne jednostki dotarły jeszcze dalej i znalazły Hades wraz z poruszającą się wokół niego niepokojącą planetą. Do tego czasu Wygnańcy przeszli taki sam cykl dedukcji, o jakim Volyova i Pascale w skrócie opowiedziały Khouri. O ile ich sposób rozumowania był prawidłowy, galaktyka powinna być znacznie bardziej zaludniona niż jest. Wniosek: rozumowanie prawdopodobnie nie było prawidłowe. Nasłuchiwali głosów innych kultur w zakresie fal radiowych, optycznych, grawitacyjnych i neutrino, ale nic nie usłyszeli. Najwięksi poszukiwacze przygód — ktoś by powiedział „najbardziej szaleni" — zupełnie opuścili układ i nie znaleźli żadnej ważnej informacji, godnej przesłania do domu: gdzieniegdzie nieco tajemniczych ruin, a na paru wodnych planetach zagadkowe szlamowate organizmy, które mogłyby wskazywać na bardziej skomplikowaną organizację — te sprawiały wrażenie, że je tam umieszczono.

Ale to wszystko nie miało znaczenia w porównaniu z tym, co znaleźli wokół Hadesa.

Bez wątpienia obiekt był artefaktem. Został tam umieszczony przez inną cywilizację, wiele milionów lat temu. Mieli wrażenie, że czynnie zaprasza ich do poznania swych tajemnic. Postanowili go eksplorować.

I właśnie wtedy zaczęły się ich problemy.

— Znaleźli urządzenie Inhibitorów, prawda? — spytała Pascale.

— Czekało tam miliony lat — odparła Khouri. — Cały czas ewoluowali z poziomu — jak my byśmy to określili — dinozaurów lub ptaków. Przez cały czas, kiedy dążyli do inteligencji, uczyli się posługiwania narzędziami, odkrywali ogień…

— Czekało — powtórzyła Volyova. Z tyłu za nią od wielu minut pulsował czerwienią displej taktyczny, wskazując, że prom wszedł w teoretyczny zakres oddziaływania broni promieniowych Swiatłowca. Zabicie z tej odległości było trudne, lecz nie niemożliwe i nie byłoby szybkie. — Czekało, aż obiekt wyraźnie inteligentny znajdzie się w pobliżu, ale wówczas nie zaatakowało bezmyślnie i nie zniszczyło obiektu. Bo zepsułoby cały plan. Zachęcało natomiast do wniknięcia do środka, by mogły się o obiekcie jak najwięcej dowiedzieć. Skąd obiekt pochodzi, jaką włada techniką, jak rozumuje, jakie stosuje sposoby współpracy i komunikacji.

— Zbierali informacje wywiadowcze…

— Właśnie. — Glos Volyovej brzmiał żałośnie jak kościelny dzwon. — Jest cierpliwe. Ale wcześniej czy później dochodzi do

wniosku, że posiada wszystkie potrzebne informacje. I wtedy — dopiero wtedy — działa.

Teraz wszystkie trzy wiedziały mniej więcej to samo.

— I dlatego Amarantinowie wymarli — powiedziała Pascale w zadumie. — Coś zrobiło z ich słońcem, majstrowało w nim, zainicjowało rodzaj olbrzymiego wyrzutu masy koronarnej. Wystarczyło to do całkowitego starcia życia z Resurgamu i zainicjowało kilkusettysiącletni okres spadania komet.

— Zwykle Inhibitorzy nie uciekali się do tak drastycznych metod — rzekła Volyova. — W tym wypadku zbyt długo zwlekali i nie zostało czasu na zastosowanie innych środków. Ale nawet to nie wystarczyło. Wygnańcy już podróżowali w kosmosie. Należało na nich polować, w razie konieczności nawet przez dziesiątki lat świetlnych.

Znów odezwał się brzęczyk, komunikujący, że czujniki kadłuba wykryły bezpośrednie skanowanie radaru. Wkrótce drugi brzęczyk sygnalizował, że goniący ich statek zawęża zakres.

— Urządzenia Inhibitorów w pobliżu Hadesa musiały zaalarmować inne, rozmieszczone w innych miejscach urządzenia — powiedziała Khouri. Usiłowała nie zwracać uwagi na mechaniczne ostrzeżenia o nadchodzącej zagładzie. — Przekazali zebrane wiadomości, nakazując, by zwracały uwagę na Wygnańców.

— Nie chodziło o to, by siedzieć i czekać, aż się pojawią — powiedziała Volyova. — Maszyny musiały przestawić się z bierności na działania aktywne, na przykład replikować maszyny z zaprogramowanymi szablonami Wygnańców. Bez względu na to, w jaką stronę uciekali Wygnańcy, światło ich prześcigało i systemy Inhibitorów zawsze wyprzedzały ich o krok, czujne i gotowe.

— Nie mieli szans.

— Ale to nie mogło być natychmiastowe wymarcie — rzekła Pascale. — Wygnańcy mieli czas na powrót na Resurgam, czas, by co się da zachować ze starej cywilizacji. Nawet gdy już wiedzieli, że są ścigani, i że słońce właśnie niszczy ich macierzystą planetę.

— To mogło trwać dziesięć lat… albo i cały wiek. — Volyova powiedziała to w taki sposób, jakby według niej nie stanowiło to wielkiej różnicy. — Wiemy jedynie, że niektórym udało się dostać dalej niż innym.

— Ale żaden nie przeżył? — spytała Pascale.

— Niektórzy przeżyli — odparła Khouri. — W pewnym sensie.

Displej taktyczny z tyłu za Volyovą zaczął wyć.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Wnętrze Cerbera, 2567

Ostatnia powłoka była pusta.

Dotarcie tu zabrało mu trzy dni; minął dzień od kiedy znalazł pusty skafander Sajakiego na dnie trzeciej powłoki, ponad pięćset kilometrów powyżej. Gdyby się zatrzymał i zaczął za — stanawiać nad przebytymi odległościami, powoli by oszalał, więc ostrożnie odizolował te myśli. Już samo przebywanie w obcym środowisku było wystarczająco przykre, nie chciał więc do swych obaw dodawać jeszcze dawki klaustrofobii. Izolacja nie była całkiem szczelna, więc za każdą myślą czaił się dokuczliwy strach, obawa, że w każdej chwili jakieś jego działanie spowoduje katastrofalne naruszenie równowagi i olbrzymi sufit spadnie.

Przelatując przez kolejne warstwy, mijał kolejne, subtelnie różniące się od siebie fazy amarantinskiej techniki konstrukcyjnej. Przypuszczał, że chodziło tu też o odmienne fazy historii, jednak sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Gdy posuwał się w głąb, kolejne poziomy nie zmieniały się systematycznie, zgodnie ze stopniem zaawansowania; świadczyły raczej o tym, że kierowano się różnymi filozofiami, stosowano odmienne podejścia. Wydawało się, że pierwszy przybyły tu Amarantin coś znalazł (co to takiego? — Sylveste się nawet nie domyślał) i postanowił otoczyć to pancerną skorupą zdolną do samoobrony. Potem zapewne przybyła następna grupa, która uznała, że należy to wszystko zawrzeć w kuli; może sądzili, że ich własne fortyfikacje będą bezpieczniejsze. Ostatni przybysz posunął dzieło poprzedników o krok — logiczny krok: zakamuflował fortyfikacje, by nie przypominały niczego nadzwyczajnego. Rozpoznanie skali czasowej tych procesów nie było w ogóle możliwe, więc Sylveste się nad tym nie zastanawiał. Może poszczególne warstwy położono niemal jednocześnie, a może konstrukcja zajęła te wszystkie tysiąclecia, jakie upłynęły między odejściem — razem z Wygnańcami — Złodzieja Słońca a jego powrotem w roli niemal boga.

Oczywiście to, co znalazł w skafandrze Sajakiego, również go zbytnio nie pocieszało.

— Nigdy go tam nie było — stwierdził Calvin, wpasowując się w myśli Sylveste'a. Sądziłeś, że jest w skafandrze, ale skafander był pusty. Nic dziwnego, że nie dopuścił cię zbyt blisko.

— Nikczemny drań!

— Też tak uważam. Ale przecież w tym wypadku to nie Sajaki był

draniem?

Sylveste rozpaczliwie próbował znaleźć rozsądne wyjaśnienie tego paradoksu. Bezskutecznie.

— Jeśli to nie Sajaki… — Teraz przypomniał sobie, że przed opuszczeniem statku w zasadzie nie widział Triumwira. Sajaki wywołał go z ambulatorium, ale Sylveste nie miał dowodów, że to rzeczywiście Sajaki.

— Zrozum, coś sterowało skafandrem, nim się rozbił. — Całym stosował swój ulubiony trik: w trudnej sytuacji wypowiadał się z absurdalnym spokojem. Nie przejawiał jednak zwykłej brawury. — Uważam, że istnieje tylko jeden logiczny winowajca.

— Złodziej Słońca. — Sylveste sprawdzał, jak odrażająco brzmi ta hipoteza. Brzmiała nieprzyjemnie, jak oczekiwał. — To on, prawda? Khouri cały czas miała słuszność.

— Uważam, że na tym etapie byłoby z naszej strony głupotą odrzucenie tej ewentualności. Mam kontynuować?

— Nie — odparł Sylveste. — Nie teraz. Niech to wszystko przemyślę. Potem obdarzysz mnie całą swą ojcowską mądrością.

— A co tu jest do przemyślenia?

— To chyba oczywiste: idziemy dalej czy nie?

Decyzja nie należała do najłatwiejszych w jego życiu. Teraz wiedział, że nim manipulowano; całkowicie lub częściowo. Jak głęboka była to manipulacja? Czy wpływała na jego sposób myślenia? Czy proces myślowy został podporządkowany jednemu celowi, przez większość jego życia, od powrotu z Całunu Lascaille'a? Czy w istocie tam umarł, a na Yellowstone powróci! jako jakiś automat, działający i odczuwający jak dawny, prawdziwy Sylveste, ale w rzeczywistości naprowadzany na jeden cel, cel, który właśnie miał osiągnąć? I czy naprawdę miało to znaczenie?

Przecież niezależnie od tego, jak to dopasowywał, niezależnie od tego, jak fałszywe były to uczucia, jak irracjonalne rozumowanie, przecież tu właśnie zawsze chciał być.

Nie mógł wrócić. Jeszcze nie teraz.

Nie wcześniej, niż się dowie.

— Svinoi, szuja — powiedziała Volyova.

Pierwszy impuls grasera uderzył w dziób promu trzydzieści sekund po tym, jak zawył alarm ataku taktycznego. Ledwo wystarczyło czasu na wypuszczenie chmury ablacyjnej, która miała rozproszyć początkową energię napływających fotonów promieniowania gamma. Zanim okna pokładu promu stały się nieprzezroczyste, Volyova dostrzegła srebrny błysk, gdy pancerz promu, przeznaczony na straty, zniknął w westchnieniu wzbudzonych jonów metalu. Wstrząs miotnął kadłubem, jakby weń uderzył ładunek wybuchowy. Do lamentu przyłączyły się kolejne syreny alarmowe i

znaczna część displeju taktycznego weszła w tryb ofensywny, ukazując graficzne dane o gotowości broni.

Na próżno. Wszystko na próżno. Systemy obronne „Melancholii" były za słabe, o zbyt małym zasięgu i nie miały żadnych szans wobec ścigającego ich Światłowca. Nic dziwnego: przecież niektóre z broni „Nieskończoności" były większe od całego promu, a statek jeszcze ich nawet nie ustawił na pozycjach.

Cerber wyglądał jak szary ogrom, wypełniał jedną trzecią nieba widocznego z promu. Powinny już zwalniać, ale traciły cenne sekundy w smażalni. Nawet gdyby odparły atak, poruszałyby się z nieprzyjemnie dużą szybkością.

Dalsza część kadłuba wyparowała.

Volyova kazała mówić palcom — wklepywały zaprogramowany wzorzec ucieczki, który na pewno wyprowadzi ich z bezpośredniego ogniska ataku grazera. Jedyny problem polegał na tym, że w tej ucieczce należało podtrzymywać ciąg dziesięciu g.

Uruchomiła program i niemal natychmiast straciła przytomność.

Komora była próżna, ale nie pusta.

Sylveste przypuszczał, że miała szerokość trzystu kilometrów, jednak była to tylko jego ocena. Radar skafandra uparcie odmawiał podawania koherentnej wartości średnicy, choć Sylveste wielokrotnie kazał mu przeprowadzić pomiary. Bez wątpienia to, co znajdowało się pośrodku komory, przysparzało skafandrowi trudności. Ta rzecz — w nieco innym sensie — przysparzała również trudności samemu Sylveste'owi, przyprawiała go o ból głowy.

W istocie były tam dwie rzeczy i Sylveste nie wiedział, która z nich jest dziwniejsza. Poruszały się — a raczej jedna z nich się poruszała — po orbicie wokół drugiej. Obiekt w ruchu był jak klejnot, ale klejnot skomplikowany, zmiennny, tak że zmian jego kształtu, a nawet barwy i blasku, nie dało się opisać. Sylveste potrafił jedynie stwierdzić, że obiekt jest duży — ma chyba kilkadziesiąt kilometrów szerokości — ale skafander poproszony o potwierdzenie tej wartości, nie dawał spójnej odpowiedzi. Sylveste mógł go równie dobrze prosić o interpretację podtekstu jakiegoś haiku napisanego stylem wolnym.

Próbował powiększyć obraz, stosując opcję zoomu w swoich oczach, ale obiekt opierał się powiększeniu, a nawet stawał się mniejszy, gdy Sylveste przyglądał mu się z opcją zoomu. Coś dziwnego stało się z czasoprzestrzenią w pobliżu klejnotu.

Potem próbował zarejestrować widok migawkowy, stosując opcję swych oczu, ale to również mu się nie udało — ukazał się obraz znacznie bardziej rozmazany od tego, co Sylveste dostrzegł w czasie rzeczywistym, jakby obiekt zmieniał się szybciej, bardziej zasadniczo, w mikroskopijnej skali czasowej niż w skali sekund. Sylveste sądził przez chwilę, że udało mu się pojąć to zjawisko, ale wrażenie

zrozumienia uleciało.

A ten drugi obiekt… ten stacjonarny… był jeszcze gorszy.

Byl jak rana w rzeczywistości, jak rozcięcie, przez które wybuchało białe światło z gardzieli nieskończoności. Światło intensywne — tak intensywnego i czystego światła Sylveste w życiu nie widział ani o czymś takim nie śnił. Ludzie wracający z progu śmierci twierdzili, że podobna jasność wabiła ich do życia wiecznego. Sylveste również miał wrażenie, że światło go wabi. Powinien zostać oślepiony, ale im intensywniej wpatrywał się w jaśniejącą głębię, tym mniej go oślepiała, a tym bardziej wydawała się spokojną, bezdenną bielą.

Światło, przechodząc przez klejnot, ulegało rozszczepieniu; na ścianach komory przesuwały się wielobarwne wielkie plamy, tworząc widowisko piękne, sugestywne, czarowne.

— W tym momencie przydałoby się nieco pokory — powiedział Calvin. — Jesteś pod wrażeniem, prawda?

— Oczywiście. — Jeśli to powiedział, to nie usłyszał własnych słów, ale wydawało się, że Calvin zrozumiał.

— I to chyba wystarczy. To znaczy, teraz wiemy, co usiłowali przed nami ukryć. Coś tak dziwnego… Bóg jeden wie, co to jest…

— Może właśnie to. Bóg.

— Patrząc w to światło, niemal ci wierzę.

— I również czujesz? O to ci chodzi?

— Nie jestem pewien, co czuję. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

— Według ciebie oni to zrobili czy to znaleźli?

— Po raz pierwszy… pytasz mnie o opinię. — Sylveste'owi wydawało się, że Calvin rozmyśla, ale odpowiedź go nie zaskoczyła. — Nie zrobili tego, Dan. Amarantinowie byli mądrzy, może nawet mądrzejsi od nas, ale nigdy nie byli bogami.

— Więc ktoś inny.

— Ktoś, kogo, jak mam nadzieję, nigdy nie spotkamy.

— Zatem wstrzymaj oddech, ponieważ z tego, co wiem, właśnie mamy go spotkać.

Nieważki, skierował skafander w stronę tańczącego klejnotu i źródła intensywnego pięknego światła.

Volyova oprzytomniała na dźwięk alarmu radarowego — zatem „Nieskończoność" znowu namierza ich graserem. Operacja zakończy się za parę sekund, nawet jeśli uwzględni się to, że prom mknie po losowo generowanej trajektorii uniku. Volyova spojrzała na wskaźnik stanu powłoki promu — została zaledwie kilkumilimetrowa warstewka ochronnego metalu, warstewka na straty, i rzutniki mylących cząsteczek nie miały już co wyrzucać. Patrząc realistycznie, prom wytrzyma najwyżej dwa następne ataki grazera.

— Czy my jeszcze żyjemy? — spytała Khouri, najwyraźniej zdziwiona, że w ogóle jest zdolna do sformułowania pytania.

Jeszcze jedno uderzenie i kadłub rozszczelni się w kilkudziesięciu miejscach, o ile nie wyparuje całkowicie. Zrobiło się odczuwalnie gorąco. Ciepło pierwszych ataków zostało skutecznie rozproszone, ale ostatni z nich nie dał się tak łatwo odparować i zabójcze energie cieplne przeniknęły do wnętrza.

— Przejdźcie do komory pajęczej! — krzyknęła Volyova i w jednej chwili zdusiła ciąg, by umożliwić przemieszczanie się wewnątrz promu. — Tam izolacja pozwoli wam przetrwać kilka następnych ataków.

— Nie! — wrzasnęła Khouri. — Nie możemy! Tu przynajmniej mamy jakieś szansę.

— Ma rację — poparła ją Pascale.

— W komorze pajęczej też macie szansę — odparła Volyova. — Nawet większe. Przede wszystkim to mniejszy cel. Sądzę, że statek skieruje bronie głównie przeciw promowi. Może nawet dojdzie do wniosku, że komora pajęcza to jakieś szczątki wraku.

— A ty?

Volyova wpadła w złość:

— Wydaje ci się, Khouri, że jestem typem osoby lubiącej grać bohatera? Ja też tam przejdę, z wami czy bez was. Ale najpierw muszę zaprogramować model ruchu promu… chyba że wy potraficie to zrobić.

Khouri zawahała się — może ten pomysł nie wydał jej się tak całkiem absurdalny? Zaraz jednak wypięła się z kanapy, wycelowała kciuk w Pascale i natychmiast ruszyła, jakby od tego zależało jej życie.

Prawdopodobnie rzeczywiście zależało.

Volyova zrobiła to, co zapowiedziała: wprowadziła najbardziej niesamowity model ucieczki, jaki sobie można było wyobrazić. Nie mając nawet pewności, czy ona lub jej towarzyszki byłyby w stanie przeżyć coś takiego — szczytowe przyśpieszenia osiągały ponad piętnaście g i trwały całe sekundy. Ale czy teraz miało to istotne znaczenie? Perspektywa śmierci, gdy jest się nieprzytomną, w ciepłym, parnym odrętwieniu spowodowanym dużym przyśpieszeniem bardziej jej odpowiadała niż spłonięcie żywcem w próżni, w niewidzialnym żarze promieni gamma.

Pochwyciła hełm, który miała na głowie, gdy wchodziła do promu, i gotowa już iść za Khouri i Pascale, odliczała w myślach chwile do inicjalizacji zaprogramowanego wzorca manewrów unikowych promu.

Khouri znajdowała się w połowie drogi do komory pajęczej, gdy poczuła na twarzy falę ciepła, po czym usłyszała przerażający hałas kadłuba promu, który właśnie wyzionął ducha. Oświetlenie ładowni

zgasło — po ataku zepsuła się sieć energetyczna „Melancholii". Jednak w komorze pajęczej nadal działało zasilanie i za oknami obserwacyjnymi Khouri widziała niewiarygodnie luksusowo urządzone wnętrze.

— Wsiadaj! — krzyknęła do Pascale i choć śmiertelne paroksyzmy statku brzmiały jak hałaśliwy koncert na złom, żona Sylveste'a usłyszała polecenie Khouri i już wchodziła do komory pajęczej. Równocześnie kadłubem statku — a raczej tym, co z niego zostało — wstrząsnęła fala uderzeniowa i komora pajęcza gwałtownie uwolniła się z zaczepów, w których wcześniej zamocowały ją serwitory Volyovej.

Rozległo się upiorne wycie powietrza, uciekającego z jakiejś części statku. I nagle Khouri poczuła, że coś ją trzyma i nie pozwala posuwać się dalej. Komora pajęcza skręciła się i obróciła, nogi bezładnie młóciły powietrze. Khouri widziała teraz Pascale w oknie obserwacyjnym, ale Pascale nie mogła jej pomóc, jeszcze słabiej od Khouri orientowała się, jak sterować komorą.

Khouri obejrzała się, mając nadzieję, że ujrzy z tyłu Volyovą, która wiedziałaby, co robić, ale zobaczyła tylko pusty korytarzyk przechodni i czuła ten straszny strumień uciekającego powietrza.

— Ilia…

Głupia, głupia. Zrobiła to, czego Khouri się obawiała: została w środku wbrew temu, co obiecywała.

W resztkach światła Khouri zobaczyła, jak kadłub drży niczym pudło rezonansowe. Aż nagle huragan, odciągający ją od komory pajęczej, zelżał, równoważony przez równie silną dekompresję w połowie ładowni. Khouri spojrzała w tamtym kierunku, oczy zasnuwały jej się mgłą, zaatakowane falą zimna, a Khouri już leciała w stronę dziury, gdzie zaledwie sekundę wcześniej znajdowała się metalowa powłoka…

— Gdzie, do…

Ale w chwili, gdy otworzyła usta, już wiedziała, gdzie jest. Nie miała wątpliwości — wewnątrz komory pajęczej. Khouri było tu dobrze, ciepło, bezpiecznie i cicho. Cały świat dzielił ją od miejsca, gdzie znajdowała się, nim straciła poczucie rzeczywistości. Ręce ją bolały, bolały bardzo, ale poza tym czuła się lepiej, niż — jak sobie wyobrażała — powinna się czuć, zważywszy na to, że — jak zapamiętała — leciała w pusty kosmos z wnętrzności konającego statku…

— Udało się — powiedziała Pascale, choć w jej głosie Khouri dosłyszała niezbyt triumfalne nuty. — Nie próbuj się ruszać, jeszcze nie teraz. Dłonie masz strasznie poparzone.

— Poparzone? — Khouri leżała na jednej z pluszowych kanap stojących pod ścianami pokoju. Głowę miała opartą na miękkim

podłokietniku. — Co się stało?

— Uderzyłaś w komorę pajęczą, pociągnął cię strumień powietrza. Nie wiem, jak ci się to udało, ale wdrapałaś się na śluzę. Przez pięć czy sześć sekund oddychałaś próżnią. Metal tak szybko się wychłodził, że tam, gdzie go dotknęłaś, mróz poparzył ci ręce.

— Nic z tego nie pamiętam. — Wystarczył jednak rzut oka na dłonie, by przekonać się, że to prawda.

— Tuż po wejściu na pokład straciłaś przytomność. Nic dziwnego.

W głosie Pascale cały czas wyczuwała brak radości, jakby to wszystko, co Khouri zrobiła, było bezcelowe. I chyba ma rację, pomyślała Khouri. Najlepsze, co je teraz może spotkać to to, że, jakimś cudem wylądują komorą pajęczą na Cerberze i postarają się jak nadłużej przetrzymać ataki systemu obronnego skorupy. Będzie to co najmniej interesujące. Inna wersja: powolne czekanie, albo na to, że Swiatłowiec je odnajdzie i przejmie, albo że umrą z zimna lub uduszą się po wyczerpaniu zasobów komory. Khouri przeczesywała pamięć: co Volyova mówiła o zdolności komory do samodzielnego przetrwania?

— Allia…

— Nie zdążyła — powiedziała Pascale. — Zginęła. Widziałam, jak się to stało. W chwili, gdy dotarłaś tu na pokład, prom eksplodował.

— Myślisz, że Volyova zrobiła to z rozmysłem, byśmy miały jakąś szansę? By, jak powiedziała, komorę uznano za wrak?

— Jeśli tak, jesteśmy jej winne wdzięczność.

Khouri zdjęła kurtkę, koszulę, z powrotem włożyła kurtkę, a koszulę porwała na wąskie pasy, którymi obandażowała czarne, pokryte pęcherzami dłonie. Piekielnie ją bolały, ale poznała taki ból podczas treningów, gdy liny paliły ją w dłonie lub gdy musiała nosić ciężką broń. Zacisnęła zęby i — cały czas świadoma bólu — zepchnęła go z listy swych bezpośrednich trosk.

A ponieważ musiała się teraz na nich skoncentrować, perspektywa zanurzenia się w ból wydała jej się tym bardziej kusząca. Oparła się pokusie. Musiała przynajmniej świadomie zanalizować położenie, nawet jeśli nie potrafiła znaleźć oczywistego rozwiązania. Musiała wiedzieć, jak to się odbędzie, ponieważ z pewnością się to stanie.

— Umrzemy, prawda?

Pascale Sylveste skinęła głową.

— Ale mogę się założyć, że nie w taki sposób, jak myślisz.

— Chodzi ci o to, że nie wylądujemy na Cerberze?

— Nie, nawet gdybyśmy potrafiły tym kierować. Również nie uderzymy w powierzchnię i sądzę, że mamy za dużą prędkość, by znaleźć się na jakiejś orbicie wokół planety.

Teraz, gdy Pascale o tym wspomniała, półkula Cerbera widziana

przez okno obserwacyjne wydawała się Khouri znacznie bardziej oddalona niż przed atakiem na prom. Musiały przemknąć w pobliżu planety z szybkością zgodną ze wzorcem lotu promu, setki kilometrów na sekundę.

— Co się teraz dzieje?

— Mogę się tylko domyślać, że spadamy na Hadesa — oznajmiła Pascale. Skinęła głową, spojrzawszy w przednie okno obserwacyjne, na kropkę czerwonego światła. — Jest mniej więcej w odpowiednim kierunku.

Khouri nie potrzebowała wyjaśnienia, że Hades to gwiazda neutronowa i bliskie z nią spotkanie nie jest bezpieczne. Albo trzymasz się od niej z dala, albo zginiesz. Takie były prawa i w świecie nie istniały siły mogące temu zaprzeczyć. Rządziła grawitacja, a grawitacja nie brała pod uwagę okoliczności ani tego, że dzieje się niesprawiedliwość, ani nie wysłuchiwała próśb, by w ostatniej chwili niechętnie odwołać swoje zasady. Grawitacja miażdżyła, a w pobliżu gwiazdy neutronowej miażdżyła całkowicie; diament płynął jak woda, góra zapadała się na jedną milionową swej wysokości. Nie trzeba było nawet podlatywać bardzo blisko, by doznać działania jej miażdżących sił.

Kilkaset kilometrów w zupełności wystarczyło.

— Tak, masz rację — odparła Khouri. — Nie jest dobrze.

— Nie jest — potwierdziła Pascale. — Też doszłam do podobnego wniosku.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Wnętrze Cerbera, 2567

Sylveste nazwał to pokojem cudów.

Dość trafne określenie. Sylveste przebywa} tu niecałą godzinę — tak przynajmniej przypuszczał, choć od dawna nie zwracał uwagi na upływ czasu — i dosłownie wszystko, co widział, zasługiwało na miano cudu. Zdawał sobie sprawę, że nie wystarczy mu całego życia, by ogarnąć choćby część tego, co zawierało to miejsce, by pojąć, czym ono jest. Już kiedyś tak się czuł, gdy dostrzegł w perspektywie ogromny potencjał niepoznanej wiedzy, jeszcze nie ujętej w ramy teorii. Wiedział jednak, że tamte doznania były jedynie bladym cieniem tego, co czuł teraz.

Miał tu spędzić zaledwie kilka godzin, nim pojawi się szansa powrotu. Co mógł robić przez te kilka godzin? Racjonalnie patrząc, niewiele, ale miał skafander wyposażony w sprzęt rejestrujący oraz własne oczy, musiał więc spróbować. Historia by mu nie wybaczyła, gdyby nie zrobił przynajmniej tyle. I co ważniejsze, sam by sobie tego nie wybaczył.

Pchnął skafander do centrum komory, gdzie dostrzegł dwa obiekty: bliznę niezwykłego światła i rotujący wokół niej przedmiot przypominający klejnot. Gdy się do nich zbliżył, ściany komory zaczęły się poruszać, jakby zasysano go w obrotową ramę obiektów, jakby sama przestrzeń została wciągnięta w wir, jakby natura przestrzeni była płynna. Skafander przekazywał mu właśnie takie dane: ćwierkał szczegóły analizy zmian otoczenia. Wskaźniki kwantowe przybierały wartości z nowych, niezbadanych dziedzin. Sylveste pamiętał, że coś podobnego napotkał przy Całunie Lascaille'a. Tak jak wówczas, obecnie czuł się dość normalnie, jakby cała rzeczywistość podlegała procesowi przepisania, transliteracji, w miarę zbliżania się do klejnotu i jego promieniującego kompana.

Trwało to kilka godzin i Sylveste zaczynał wątpić, czy poprawnie ocenił średnicę komory. Ale pozorna szybkość obrotowa klejnotu nieubłaganie spadała do zera, a ściany komory obracały się z zawrotną szybkością. Sylveste wiedział, że jest już blisko, choć klejnot nie wydawał mu się większy niż przedtem, gdy Sylveste ostrzegł go po raz pierwszy. Ciągle się poruszał i Sylveste'owi przypominał dziecięcy kalejdoskop; jego zmienne symeryczne wzory, wydobywane barwnymi błyskami światła, rozprzestrzeniały się w trzech — a może więcej — wymiarach. Od czasu do czasu obiekt wyrzucał w jego stronę

ostrzegawcze iglice lub kolce — musiał robić uniki, ale odpierał ataki i w chwilach, gdy obiekt wydawał się przechodzić w fazę mniej aktywnej transformacji, nawet poddryfował bliżej. Sylveste zrozumiał, że jego życie nie zależy od starannego śledzenia wskaźników skafandra. Przeszedł już etap takich uproszczeń.

— Według ciebie, co to jest? — spytał Calvin głosem cichym, niemal zespolonym z myślami Sylveste'a. To niemal były własne myśli Sylveste'a.

— Miałem nadzieję, że zaproponujesz jakieś wyjaśnienie.

— Wybacz, jestem całkiem wyprany z genialnych intuicji. Za wiele tego, życia by nie wystarczyło.

Volyova dryfowała w kosmosie.

Nie umarła, gdy „Melancholia" wybuchła, choć nie zdążyła na czas dostać się do komory pajęczej. Zdążyła przywdziać hełm, tuż zanim statek sczezł jak skrzydło ćmy w płomieniu świecy. Gdy wylatywała z wraku, Światłowiec w nią nie celował; ignorował ją, tak jak ignorował komorę pajęczą.

Nie mogła tak po prostu umrzeć. Zdecydowanie nie było to w jej stylu. I choć wiedziała, że ma szansę bliskie zera i to, co robi, jest zupełnie pozbawione logiki, musiała przedłużyć te godziny, które jej pozostały. Zeskanowała swoje zasoby powietrza i mocy i stwierdziła, że wcale nie jest dobrze. Było bardzo źle! Pośpiesznie włożyła skafander, sądząc, że dotrze w nim przez hangar do promu, i tyle. Przedtem gdy leciała promem, nie pomyślała nawet o tym, by podłączyć go do jednego z modułów doładowujących. Dzięki temu teraz zyskałaby kilka dodatkowych dni, a tak miała przed sobą zaledwie parę godzin. Na przekór okolicznościom nie skończyła natychmiast całej sprawy. Wiedziała, że zapasy nie tak szybko się wyczerpią, gdy będzie spała, kiedy jej świadomość nie będzie potrzebna (zakładając oczywiście, że w przyszłości w ogóle kiedykolwiek jeszcze zrobi z niej użytek).

Zaprogramowała więc skafander na dryfowanie w przestrzeni i kazała się obudzić tylko wówczas, gdy pojawi się coś ciekawego, albo — co bardziej prawdopodobne — zagrażającego życiu. W tej chwili została obudzona, więc na pewno coś takiego się wydarzyło.

Spytała skafander, co się dzieje.

Udzielił informacji.

— Cholera — powiedziała Volyova.

Omiótł ją radar „Nieskończoności", ten sam, którym statek lokalizował prom tuż przed atakiem promieniami gamma. Sygnał radaru był silny — oznaczało to, że statek znajduje się w jej bezpośrednim sąsiedztwie, oddalony najwyżej o kilkadziesiąt tysięcy kilometrów. To jak splunąć — bez trudu namierzy tak duży cel, jakim teraz była Volyova, bezbronna, nieruchoma i wyrazista.

Miała nadzieję, że statek okaże tyle przyzwoitości, by szybko z nią skończyć. Istniało przecież bardzo duże prawdopodobieństwo, że to ona sama skonstruowała broń, którą statek teraz zaatakuje.

Nie po raz pierwszy przeklinała własną wynalazczość.

Volyova uaktywniła nakładkę lornety skafandra i zaczęła przeglądać niebo w rejonie, skąd wysłano promień radaru. Początkowo widziała tylko czerń i gwiazdy, potem dostrzegła statek mały jak węgielek, ale zbliżający się z każdą sekundą.

— To nie dzieło Amarantinów, prawda? Zgadzamy się co do tego.

— Chodzi ci o ten klejnot?

— Nazwij go jak chcesz. I nie oni stworzyli to światło.

— Nie, to też nie ich robota. — Sylveste uświadomił sobie teraz, że czuje głęboką wdzięczność za obecność Calvina, choć to obecność iluzoryczna i złudna. — Nie wiemy, co to jest i co wiąże te rzeczy ze sobą, ale wiemy, że Amarantinowie to znaleźli.

— Myślę, że masz rację.

— Może nawet dokładnie nie rozumieli, co znaleźli. Ale z jakiegoś powodu musieli to zamknąć, ukryć przed resztą świata.

— Zazdrość?

— Może. Ale jak wyjaśnić ostrzeżenie, które nam przekazano, gdy tu zmierzaliśmy. Może zamknęli to, bo chcieli wyświadczyć przysługę reszcie Stworzenia, bo nie mogli tego zniszczyć ani przenieść w inne miejsce.

Sylveste zastanawiał się przez chwilę.

— Ten, kto to pierwotnie umieścił tu, wokół gwiazdy neutronowej, na pewno chciał, by te obiekty przyciągnęły czyjąś uwagę. Co o tym sądzisz?

— Przynęta?

— Gwiazdy neutronowe są dość powszechne, ale jednak egzotyczne, zwłaszcza dla kultury, która niedawno osiągnęła umiejętność lotów międzygwiezdnych. Z całą pewnością Amarantinów przyciągnęłaby tu zwykła ciekawość.

— Nie oni ostatni, prawda?

— Chyba nie. — Sylveste odetchnął. — Sądzisz, że powinniśmy wracać, dopóki możemy?

— Racjonalnie patrząc: tak. Czy taka odpowiedź ci wystarcza?

Podlecieli bliżej.

— Najpierw steruj w stronę światła — powiedział Calvin po minucie. — Chcę je bliżej obejrzeć. Choć to może głupio brzmi, ale wydaje się dziwniejsze od tego drugiego obiektu. Jeśli już mam umierać, obejrzawszy coś z bliska, to jest to tamto światło.

— Ja też tak uważam — odparł Sylveste. Już realizował sugestię CaMna, jakby zamiar pojawił się z jego woli. Calvin miał rację: dziwność światła miała w sobie coś głębszego, starszego. Sylveste nie

potrafił określić tego słowami, a nawet odpowiednio zdiagnozować, ale teraz było to jasne, słuszne. Powinni iść do światła.

Było srebrzyste w teksturze, diamentowa rana w strukturze rzeczywistości, intensywna i spokojna. Gdy się do niej zbliżali, krążący klejnot jakby się skurczył. Gładka perłowa promienność otoczyła skafander. Sylveste czuł, że światło powinno razić w oczy, ale niczego takiego nie doznał, miał jedynie wrażenie ciepła i powolnie rosnącego poznania. Stopniowo stracił widok reszty komnaty i klejnotu, aż wydało mu się, że otacza go zamieć srebra i bieli. Nie czuł niebezpieczeństwa, zagrożenia, jedynie rezygnację — a była to rezygnacja radosna, przepełniona immanencja. Powoli, w magiczny sposób, skafander stawał się przezroczysty, srebrna światłość wdzierała się do środka, dotarła do skóry, przepychała głębiej, do ciała i kości.

Nie tego oczekiwał.

Potem, gdy wróciła mu świadomość — albo gdy do niej zstąpił, bo wydawało się, że podczas tego interludium znajdował się gdzieś ponad nią — czuł tylko zrozumienie.

Znów był w komorze, w pewnej odległości od białego światła, nadal w rotującej strukturze klejnotu.

Wiedział.

— No, to dopiero była wyprawa — odezwał się Calvin. W ciszy jego głos wydał się niespodziewany i nie na miejscu, jak nagły ryk trąby.

— Czułeś to wszystko?

— Mógłbym to określić tak: była to najbardziej niesamowita rzecz, jaką przeżyłem. Czy to ci coś wyjaśnia?

Owszem, wyjaśniało. Nie trzeba było drążyć tego dalej, utwierdzać się w przekonaniu, że Calvin wszystko współodczuwał lub że przez chwilę ich myśli — i nie tylko myśli — zlały się i razem płynęły z trylionem innych. I że on doskonale rozumiał, co się stało, ponieważ w chwili wspólnej mądrości padły odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Zostaliśmy przeczytani, prawda? Światło to urządzenie skanujące, maszyna pobierająca informacje. — Myśl wydała się sensowna, nim ją wypowiedział, ale gdy słowa zabrzmiały, poczuł, że źle się wyraził, język nie dość giętki umniejszył to, o czym Sylveste mówił, jego zbyt ubogie słownictwo nie potrafiło oddać jego przeżyć. To, co pojął, zdawało się ulatywać jak sen, którego magiczne cechy znikają tuż po przebudzeniu. Musiał to jednak powiedzieć, by zwerbalizować swe odczucia. Niech przynajmniej skafander zarejestruje w pamięci te słowa dla potomności. — Przez chwilę wydawało mi się, że zmieniamy się w informację, a równocześnie jesteśmy połączeni ze wszystkimi informacjami zebranymi

kiedykolwiek, ze wszystkimi myślami kiedykolwiek sformułowanymi, a przynajmniej pochwyconymi przez światło.

— Tak samo to czułem — powiedział Calvin.

Sylveste zastanawiał się, czy Calvina również dosięga ta sama amnezja. Powolny zanik wiedzy.

— Byliśmy w Hadesie? — Sylveste czuł, jak jego myśli tłoczą się przed bramą sformułowania, żądne wokalizacji, nim zupełnie wyparują. — To wcale nie jest gwiazda neutronowa. Może kiedyś nią była, ale teraz nie jest. Została przetransformowana, zmieniona w…

— W komputer — dopowiedział Calvin. — To Hades. Komputer zrobiony z materii nuklearnej. Materia gwiazdy oddana na obróbkę i magazynowanie infomacji. A światło to wejście do niego, do matrycy obliczeniowej. Przez chwilę wydawało mi się, że jesteśmy wewnątrz.

Ale było to znacznie bardziej dziwne.

Kiedyś gwiazda o masie trzydziestu ziemskich słońc osiągnęła kres życia nuklearnych przemian. Po kilku milionach lat rozrzutnego wydatkowania energii. Gwiazda eksplodowała jako supernowa i w samym swym centrum olbrzymie ciśnienie grawitacyjne zduszało kawał materii w jego własnym promieniu Schwarzschilda, aż powstała czarna dziura. Ten obiekt tak się nazywa, gdyż nic, nawet światło nie może uciec z rejonu o tym krytycznym promieniu. Materia i światło mogą tylko wpadać do czarnej dziury, zwiększając jej masę i siłę przyciągania. Błędny krąg.

Powstała kultura potrafiąca wykorzystać takie obiekty. Jej reprezentanci znali techniki przekształcające czarne dziury w coś znacznie bardziej egzotycznego, paradoksalnego. Najpierw czekali, aż świat stanie się znacznie starszy niż był wówczas, gdy czarna dziura się uformowała, aż dominująca populacja gwiazd będzie się składała z bardzo starych czerwonych karłów, gwiazd niewystarczająco masywnych, by wszcząć syntezę jądrową. Potem zagonili kilkanaście takich karłów w dysk akrecyjny wokół czarnej dziury i powoli żywili czarną dziurę, spuszczając deszcz materii gwiazdowej w połykający światło horyzont zdarzeń.

Tyle Sylveste rozumiał, albo przynajmniej potrafił stworzyć sam dla siebie pozory, że rozumie. Jednak dalszą część — zasadniczą — trudniej było pojąć, przypominała wewnętrznie sprzeczną zagadkę flozoficzną. Sylveste rozumiał, że gdy cząsteczki znalazły się w horyzoncie zdarzeń, nadal spadały po konkretnych trajektoriach, konkretnych orbitach, które wrzucały je wokół jądra o nieskończonej gęstości, będącego osobliwością serca czarnej dziury. Na tych trajektoriach czas i przestrzeń mieszały się ze sobą, aż nie można ich było należycie odseparować. I co najważniejsze istniał zbiór, wiązka trajektorii w której całkowicie zmieniały się miejscami, trajektoria w przestrzeni stawała się trajektorią w czasie. I jeden podzbiór tej wiązki

umożliwiał materii przebycie drogi w przeszłość, we wcześniejszy okres historii czarnej dziury.

— Dostaję się do tekstów z dwudziestego wieku — powiedział cicho Calvin. Najwyraźniej śledził myśli Sylveste'a. — To zjawisko było znane, nawet je przewidywano. Wynikało z modeli matematycznych opisujących czarne dziury. Nikt jednak nie wiedział, jak poważnie należy to traktować.

— Ci, co stworzyli Hadesa, nie mieli takich oporów.

— Tak się wydaje.

Światło, energia, cząsteczki zjechały po tych szczególnych ścieżkach, pokonując kolejne orbity wokół osobliwości i zagrzebując się coraz głębiej w przeszłość. Nic z tego nie „ujawniło się" w świecie zewnętrznym, gdyż było ukryte za nieprzeniknioną barierą horyzontu zdarzeń, więc nie nastąpiło otwarte naruszenie przyczynowości. Zgodnie z modelami matematycznymi, do których dostał się Calvin, nie mogło być żadnego naruszenia, ponieważ te trajektorie nigdy nie wracały do świata zewnętrznego. A jednak wracały. Modele matematyczne nie uwzględniły pewnego szczególnego przypadku: maleńkie podzbiory podzbiorów podzbiorów trajektorii transportowały kwanta z powrotem do narodzin czarnej dziury, gdy zapadła się w detonacji supernowej swej rodzinnej gwiazdy.

W tamtej chwili drobne ciśnienie zewnętrzne, wywierane przez cząsteczki przybywające z przyszłości, wpłynęło na opóźnienie zapaści grawitacyjnej.

Opóźnienie niemierzalne, trwające niewiele dłużej niż najmniejsza teoretyczna część skwantowanego czasu, ale jednak zaistniało. I choć tak małe, wystarczyło, by posłać w przyszłość falę zakłócenia przyczynowości.

Zmarszczki zakłócenia przyczynowości napotkały nadciągające cząsteczki i stworzyły nieregularną sieć interferencyjną, falę stojącą rozciągającą się symetrycznie w przeszłość i przyszłość.

Nie było już całkiem jasne, czy usidlony w tej sieci zapadnięty obiekt można jeszcze nazwać czarną dziurą. Warunki początkowe zawsze były na granicy i może tego poplątania dałoby się uniknąć, gdyby obiekt pozostał nad swym promieniem grawitacyjnym, gdyby zapadł się w stabilną konfigurację dziwnych kwarków i zdegenerowanych neutronów.

Niezdecydowanie migotał między tymi dwoma stanami. To niezdecydowanie wykrystalizowało się i powstało coś unikalnego we wszechświecie — jeśli pominąć fakt, że w innym miejscu dokonano podobnych transformacji na innych czarnych dziurach i stworzono podobne przypadkowe paradoksalne twory.

Obiekt przybrał stabilną konfigurację, ale jego paradoksalna natura nie była od razu oczywista dla świata zewnętrznego.

Zewnętrznie przypominał gwiazdę neutronową, przynajmniej przez kilka pierwszych centymetrów swej skorupy. Pod nią ma — teria nuklearna została uformowana w skomplikowane układy zdolne do błyskawicznych obliczeń, w efekcie z dwóch przeciwstawnych stanów spontanicznie wyłoniła się samoorganizacja. Skorupa wrzała i przetworzyła się, zawierając informacje w teorytycznie najgęściej upakowanej materii we wszechświecie.

I myślała.

Poniżej skorupa łączyła się gładko z migającą burzą nierozwiązanych możliwości, gdy wnętrze zapadłego obiektu tańczyło do muzyki bezprzyczynowości. Gdy skorupa uruchamiała nieskończoną ilość symulacji, obliczeń, jądro spinało przyszłość z przeszłością, umożliwiając łatwy przepływ informacji między nimi. W efekcie skorupa stała się jednym z elementów niezwykle wydajnego procesora równoległego, przy czym pozostałe elementy układu procesorów były przyszłymi i przeszłymi wersjami samych siebie.

I wiedziało.

Wiedziało, że choć posiada olbrzymią siłę obliczeniową rozciągniętą na eony, stanowi część czegoś znacznie większego.

I miało imię.

Sylveste musiał dać umysłowi chwilę odpoczynku. Bezmiar informacji powoli się kurczył, pozostawiając za sobą resztki dźwięków, jakby ostatnie echa najwspanialszej symfonii, jaką kiedykolwiek zagrano. Przez moment miał wątpliwości, czy wiele z tego zapamięta. W jego głowie po prostu brakowało miejsca. Ale jakoś dziwnie nie czuł najmniejszego żalu, że mu to umyka. Przez tych kilka chwil cudownie smakował nadludzką wiedzę, ale było jej zbyt wiele dla jednego człowieka. Lepiej żyć dalej, niosąc wspomnienia pamięci, niż boleśnie nieść wielki ciężar poznania.

Nie stworzono go, by myślał jak bóg.

Upłynęło wiele minut — sprawdził zegar skafandra i tylko nieco się zdziwił, gdy zobaczył, że stracił kilka godzin, o ile poprzednio poprawnie odczytał czas. Jeszcze zdążę wyjść, pomyślał, zdążę wydostać się na powierzchnię, nim zamknie się przyczółek.

Spojrzał na klejnot, ciągle tajemniczy. Stale się obracał, Sylveste odczuwał jego mamiące przyciąganie. Miał wrażenie, że teraz więcej o nim wie, że czas spędzony w iluminatorze do układu Hadesa czegoś go nauczył, ale przez chwilę wspomnienia były zbyt silnie zintegrowane z innymi doświadczeniami, które zebrał, i nie mógł ich poddać świadomemu badaniu.

Wiedział jedynie, że ma jakieś przeczucie, którego przedtem nie doznawał.

Jednak ruszył w kierunku klejnotu.

Męczące czerwone oko Hadesa znacznie się teraz powiększyło, ale

gwiazda neutronowa w sercu tego płonącego punktu cały czas była tylko iskierką. Miała zaledwie kilkadziesiąt kilometrów średnicy. Umrą, nim znajdą się na tyle blisko, by ją dokładniej zobaczyć; zostaną rozerwane na strzępy przez olbrzymi gradient sił grawitacyjnych.

— Uważam, że powinnam ci powiedzieć — rzekła Pascale Sylveste. — Sądzę, że to nie nastąpi szybko… to co się z nami stanie. Chyba że będziemy miały wielkie szczęście.

Khouri starała się nie okazać irytacji, słysząc ton wyższości, jakim Pascale to powiedziała. Przyznawała po cichu, że Pascale miała wszelkie powody do takiej postawy.

— Skąd wiesz aż tyle? Nie jesteś przecież astrofizykiem.

— Nie, ale pamiętam, jak Dan mówił mi, że siły pływowe nie dopuściłyby do dużego zbliżenia sond, które chciałby tam wysłać.

— Mówisz tak, jakby on już nie żył.

— Przypuszczam, że nie zginął — odparła Pascale. — Mógł nawet przeżyć. Ale nam to się nie uda. Cóż, to wychodzi na jedno.

— Ciągle kochasz tego drania?

— On też mnie kochał. Wiem, dowodzą tego jego czyny, to, co robił. Postronni tego nie dostrzegali, wydawał się tak zdeterminowany i ludziom z zewnątrz trudno to było dostrzec. Ale zależało mu na mnie. Nikt nigdy się nie dowie, jak bardzo.

— Może ludzie nie ocenią go tak surowo, gdy dowiedzą się, jak nim manipulowano.

— Sądzisz, że ktoś się o tym dowie? Khouri, tylko my to wiemy. Reszta świata uzna go za opętanego jedną ideą. Nie rozumieją, że musiał wykorzystywać ludzi, bo nie miał innego wyjścia. Bo coś znacznie potężniejszego od nas pchało go naprzód.

Khouri skinęła głową.

— Kiedyś chciałam go zabić… tylko dlatego, że w ten sposób wróciłabym do Fazila. Nie żywiłam do niego nienawiści. W zasadzie nie mogę powiedzieć, że go nie lubiłam. Podziwiałam każdego, kto potrafił obnosić się ze swą wyższością, jakby miał do tego przyrodzone prawo. Ludziom się to przeważnie nie udaje, ale on to robił po królewsku. Nie była to już arogancja, lecz coś zupełnie innego: Coś godnego podziwu.

Pascale wolała tego nie komentować, ale Khouri wyczuwała, że Pascale się z nią częściowo zgadza. Może nie była jeszcze gotowa, by oznajmić to głośno. Że kochała Sylveste'a, ponieważ był zarozumiałym draniem i okazywał taką pewność siebie, że aż stało się to zaletą, jak chodzenie w worku pokutnym.

— Posłuchaj — powiedziała w końcu Khouri. — Mam pomysł. Gdy zaczną nas szarpać te pływy, czy chcesz być w pełni świadoma, czy raczej częściowo zabezpieczona?

— Co masz na myśli?

— Ilia zawsze mi mówiła, że komorę pajęczą zbudowano jako miejsce, z którego miano pokazywać zewnętrze statku specjalnym klientom, chciano na nich wywrzeć wrażenie, by skłonni byli podpisać kontrakt. Więc gdzieś tu na pokładzie powinien być barek. Prawdopodobnie nieźle zaopatrzony, jeśli przez kilka ostatnich wieków nie wysuszono butelek. A może nawet jest automatycznie uzupełniany. Wiesz, co mam na myśli?

Pascale nic nie mówiła, a w tym czasie grawitacyjny ściek Hadesa podpełzł bliżej. W końcu, gdy Khouri już przypuszczała, że Pascale postanowiła nie dosłyszać jej propozycji, ta uwolniła się z fotela i ruszyła na rufę, w stronę niezbadanego królestwa z pluszu i mosiądzu.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Wnętrze Cerbera, komora ostatnia, 2567

Klejnot świecił teraz wyraźnie niebieskawo, jakby bliskość Sylveste'a uspokoiła jego spektralne transformacje, spowodowała ich czasową bierność. Sylveste ciągle miał wrażenie, że nie należy się tam zbliżać, ale obecnie jego własna ciekawość i poczucie predestynacji pchały go naprzód. Może coś pochodziło z podstawowych części jego mózgu: potrzeba konfrontacji z niebezpieczeństwem i ujarzmienia go. Był to instynkt, który kazał dotknąć płomienia, skulić się od bólu i od mądrości, która z bólem przychodziła.

Klejnot rozwinął się przed nim, przechodząc geometryczne transformacje; Sylveste nie poświęcił im zbyt wiele uwagi, obawiając się, że gdyby je zrozumiał, jego umysł rozwarłby się wzdłuż podobnych linii uskoku.

— Jesteś pewien, że to rozsądne? — spytał Calvin. Jego wypowiedź stanowiła naturalną część wewnętrznego dialogu Sylveste'a.

— Teraz za późno na powrót — odparł głos.

Głos nie należał ani do Sylveste'a, ani do Calvina. Sylveste miał jednak wrażenie, że go zna, że głos od dawna w nim rezydował, był tylko niemy.

— Czy to Złodziej Słońca?

— Cały czas z nami był — powiedział Calvin. — Byłeś, prawda?

— Dłużej niż sądzisz, Dan. Od twojego powrotu z Całunu Lascaille'a.

— A więc Khouri mówiła całkowitą prawdę — rzekł, wiedząc, że tak faktycznie jest. Nawet jeśli pusty skafander Sajakiego go nie przekonał, to oświecenie, jakiego doznał w białym świetle, ucięło wszystkie wątpliwości.

— Czego ode mnie chcesz?

— Żebyś wszedł do klejnotu — jak go nazywasz. — Głos istoty, jedyny, jaki słyszał, seplenił, budził nawet strach. — Nie masz się czego obawiać. Nie doznasz krzywdy, nic ci nie przeszkodzi w opuszczeniu tego obiektu.

— 1 ty to mówisz?

— Ale to prawda.

— A przyczółek?

— Nadal działa i będzie działał, dopóki nie opuścisz Cerbera.

— Skąd można wiedzieć — odezwał się Calvin — czy to, co on…

to… mówi, jest prawdą? Oszukiwał nas na każdym kroku i stosował podstępy, aby tylko sprowadzić cię w to miejsce. Dlaczego nagle miałby mówić prawdę?

— Pbnieważ to nie ma znaczenia — odparł Złodziej Słońca. — Teraz, kiedy dotarłeś tak daleko, twoje własne pragnienia nie grają już żadnej roli.

Sylveste poczuł, jak skafander ruszył naprzód prosto w otwarty klejnot, w migoczący korytarz o rżniętych jak brylant ściankach, biegnący w głąb konstrukcji.

— Co… — zaczął Calvin.

— Nic nie robię — rzekł Sylveste. — Ten drań musiał przejąć sterowanie moim skafandrem.

— Brzmi rozsądnie. Przecież sterował Sajakim. Wolał sobie posiedzieć z tyłu i całą pracę zwalić na ciebie. Leniwy drań.

— Nie sądzę, żeby akurat w tej chwili nasze obelgi wiele go obchodziły — stwierdził Sylveste.

— Masz lepszy pomysł?

— W zasadzie…

Całkowicie otaczał go teraz korytarz — świecący tchawiczy tunel, który skręcał i obracał się, aż Sylveste'owi wydało się, że nie mogą już w dalszym ciągu przebywać wewnątrz klejnotu. Ale przecież, mówił sobie, nigdy nie oszacowałem jego prawdziwych wymiarów: klejnot mógł mieć równie dobrze kilkaset metrów, jak i kilkadziesiąt kilometrów; jego zmienny kształt nie pozwalał na dokładną ocenę i może nawet nie istniała konkretna odpowiedź, tak jak niemożliwe jest podanie objętości trzywymiarowego fraktala.

— Mówiłeś coś?

— Mówiłem… — Sylveste zamilkł na chwilę. — Złodzieju Słońca, słuchasz mnie?

— Jak zawsze.

— Nie rozumiem, po co tu przybyłem. Jeśli potrafiłeś ożywić skafander Sajakiego i cały czas miałeś kontrolę nad moim skafandrem, dlaczego w ogóle musiałem tu przylecieć osobiście? Jeśli wewnątrz jest coś, na czym ci zależy, coś, co chciałbyś wydostać, mogłeś to zrobić, nie sprowadzając mnie tutaj.

— Urządzenie reaguje tylko na życie organiczne. Pusty skafander zostałby uznany za istotę maszynową.

— Ten… obiekt… jest urządzeniem?

— To urządzenie Inhibitorów.

Przez chwilę — ale tylko przez chwilę — te słowa nic dla Sylveste'a nie znaczyły. Potem niejasno powiązał je z tym, co zapamiętał, gdy był pod wpływem białego światła, przy wejściu do matrycy Hadesa. Z kolei te wspomnienia połączyły się z innymi, a te z następnymi w niekończący się warkocz skojarzeń.

I Sylveste coś zrozumiał.

Wiedział, że nie powinien iść dalej, że gdy dotrze do wewnętrznego obszaru klejnotu — do urządzenia Inhibitorów, jak go poinformowano — sytuacja stanie się bardzo, bardzo zła. Choć trudno było sobie wyobrazić gorszą sytuację od obecnej.

— Nie możemy kontynuować wyprawy — stwierdził Calvin. — Teraz zrozumiałem, co to jest.

— Ja też. Nieco za późno.

Urządzenie pozostawili tu Inhibitorzy. Umieścili je na orbicie wokół Hadesa, przy połyskującym białym portalu, starszym nawet od Inhibitorów. Nie przejmowali się tym, że niezbyt dokładnie rozumieli jego działanie, ani nie mieli żadnych wskazówek, kto go tu wcześniej umieścił, w pobliżu gwiazdy neutronowej, która zgodnie z zagadkowymi oznakami, których nie zbadali, nie była taka, jak powinna. Ale jeśli pominąć zagadkowe pochodzenie tego obiektu, doskonale odpowiadał on ich planom. Ich własne urządzenia miały na celu wabienie istot rozumnych, a umieszczenie ich w pobliżu obiektu tak tajemniczego gwarantowało napływ gości. Strategia sprawdzona w całej galaktyce: umieszczanie urządzeń Inhibitorów w pobliżu interesujących obiektów astrofizycznych lub przy ruinach wymarłych kultur. Chodziło tylko o przyciągnięcie uwagi.

I Amarantinowie przybyli, i zaczęli tu majstrować, i ujawnili się urządzeniu. Zbadało ich dokładniej i poznało ich słabości.

I starło ich ze świata, wszystkich z wyjątkiem garstki potomków Wygnańców, którzy znaleźli dwa sposoby na uniknięcie bezwzględnych drapieżczych Inhibitorów. Niektórzy wykorzystali sam portal, odwzorowali się w układ skorupy, gdzie żyli jako symulacje, zachowane w nieprzenikalnym bursztynie materii nuklearnej zaprzęgniętej do obliczeń.

Nie można tego nazwać życiem, pomyślał Sylveste, ale przynajmniej coś się z nich zachowało.

Druga grupa znalazła inną drogę ucieczki przed Inhibitorami. Ich sposób był równie drastyczny, równie nieodwracalny…

— Stali się Całunnikami, prawda? — To powiedział Calvin… a może sam Sylveste wypowiedział swe myśli tak, jak czasami to robił w chwilach wielkiej koncentracji? Nie potrafił tego odróżnić i niezbyt go to obchodziło. — Zdarzyło się to w ostatnich dniach, gdy Resurgam już przestał istnieć i większość Amarantinów w kosmosie została wytropiona i zniszczona. Jeden odłam wszedł do macierzy Hadesa, drugi poznał techniki manipulacji czasoprzestrzenią, prawdopodobnie studiując transformacje w pobliżu portalu. Znaleźli wyjście z sytuacji, sposób na osłonę przed broniami Inhibitorów. Potrafili owinąć się czasoprzestrzenią, skoagulować ją i zestalić, aż utworzyła nieprzenikalną skorupę. A oni wycofali się do wnętrza tych skorup i

szczelnie zamknęli się na wieczność.

— To przynajmniej lepsze niż śmierć.

Przez chwilę wszystko wyklarowało się Sylveste'owi w głowie. Ci za Całunami czekali i czekali, prawie nic nie wiedząc o świecie zewnętrznym, prawie nie mogąc się z nim kmunikować, tak bezpieczne były mury, którymi się otoczyli.

I czekali.

Nawet zamknięci, wiedzieli, że rozlokowane przez Inhibitorów systemy powoli się rozpadają, tracą zdolność duszenia społeczności inteligentnych. Uwięzieni w bańce czasoprzestrzeni czekali długo, ale po milionie lat zaczęli się zastanawiać, czy niebezpieczeństwo się zmniejszyło…

Nie mogli tak po prostu rozmontować Całunu i rozejrzeć się; byłoby to zbyt ryzykowne, zwłaszcza że maszyny Inhibitorów były uosobieniem cierpliwości. Ich pozorna bierność mogła oznaczać podstęp, przynętę, by ze skorup wywabić Amarantinów — którzy teraz stali się Całunnikami — w otwartą przestrzeń, gdzie z łatwością można by ich zniszczyć, kończąc milionletnie usuwanie ich gatunku.

Jednak z czasem przybyli inni.

Może ta część kosmosu miała jakąś cechę faworyzującą ewolucję kręgowców, a może to tylko przypadek, ale u nowych zdobywców kosmosu — ludzi — Całunnicy dostrzegli cień istot, jakimi sami kiedyś byli. Podobną psychozę: dążenie do samotności i towarzystwa innych jednocześnie; potrzebę kojącego życia w społeczeństwie i otwartych połaci przestrzeni międzygwiezdnej; sprzeczność, która pchała ich naprzód, w kosmos.

Najpierw natknął się na nich Philip Lascaille, przy Całunie, który teraz nosi jego imię.

Umęczona czasoprzestrzeń wokół Całunu rozdarła jego umysł, skręciła go i przeorganizowała w niedołężną karykaturę tego, czym był poprzednio, ale karykaturę wyposażoną w ładunek błyskotliwości, w wiedzę potrzebną innemu człowiekowi, by dostać się do nich znacznie bliżej… i w kłamstwo, które miało tę osobę skłonić do wyruszenia na wyprawę.

Tuż przed śmiercią Lascaille przekazał to wszystko Danowi Sylveste'owi.

Idź do Żonglerów, powiedział.

Ponieważ Amarantinowie kiedyś ich odwiedzili, wbudowali swe wzorce neuronowe w ocean Żonglerów. Te wzorce ustabilizowały czasoprzestrzeń, umożliwiając głębszą penetrację coraz grubszych fałd, bez obawy, że przez naprężenia zostanie się rozerwanym na strzępy. W ten właśnie sposób Sylveste, przyjąwszy transformaty Żonglerów, mógł pomknąć w głębiny samego Całunu.

Wrócił żywy.

Lecz zmieniony.

Coś wróciło razem z nim, coś, co samo siebie nazwało Złodziejem Słońca, choć Sylveste wiedział, że to tylko nazwa mityczna, że o istocie, która w nim żyła od dawna, lepiej jest myśleć jako o zagregowanej sztucznej osobowości wplecionej w skorupę Całunu, umieszczonej tam przez tych, którzy znajdowali się wewnątrz i chcieli, by Sylveste działał jako ich emisariusz, chcieli rozciągnąć swe wpływy poza zasłonę nieprzekraczalnej czasoprzestrzeni.

Jeśli spojrzeć na to z perspektywy, chcieli od niego rzeczy bardzo prostej.

Udaj się na Resurgam, gdzie spoczywają kości ich cielesnych przodków.

Znajdź urządzenie Inhibitorów.

Doprowadź do takiej sytuacji, by — jeśli urządzenie nadal będzie działać — zostało ono zaktywizowane i by rozpoznało Sylveste'a jako przedstawiciela nowo powstałej inteligentnej kultury.

Jeśli Inhibitorzy nadal gdzieś istnieją, ludzkość zostanie wyznaczona na następną ofiarę rzezi.

Jeśli nie, Całunnicy bezpiecznie wyłonią się na zewnątrz.

Teraz otaczające go niebieskawe światło wydało się niewypowiedzianie złe. Sylveste wiedział, że wchodząc tu, zrobił za wiele — wykazał dość inteligencji, by przekonać urządzenie Inhibitorów, że należy on do rasy zasługującej na wytępienie.

Nie znosił Amarantinów za to, czym się stali. Nie znosił siebie za to, że tak dużą część życia poświęcił studiom nad nimi. Ale cóż mógł teraz na to poradzić? Za późno, by się rozmyślić.

Tunel stał się szerszy i teraz Sylveste znalazł się — wcale nie sterując świadomie skafandrem — w fasetkowatej komorze skąpanej w tym samym trupim, niebieskim blasku. W komorze pełno było dziwnych wiszących kształtów, przypominających Sylveste'owi modele wnętrza ludzkiej komórki. Wszystkie kształty — prostoliniowe — w złożony sposób połączone prostokąty, kwadraty i romboidy, tworzyły wiszące rzeźby, których nie dało się zaliczyć do żadnego rozpoznawalnego kierunku sztuki.

— Co to jest? — Sylveste westchnął.

— Uznaj to za układankę — odparł Złodziej Słońca. — Pomysł polega na tym, że jako inteligetny badacz czujesz dziwną konieczność, by przesunąć te kształty i stworzyć geometryczne konfiguracje, implikowane przez te formy.

Zrozumiał, co Złodziej Słońca miał na myśli. Na przykład najbliższy mu zestaw. Było dla niego jasne, że kilkoma ruchami mógłby ustawić te kształty w mozaikę… takie to kuszące.

— Nie zrobię tego — odparł.

— Nie musisz. — I żeby tego dowieść, Złodziej Słońca pokierował

rękami skafandra w stronę zestawu kształtów, który znajdował się znacznie bliżej, niż się Sylveste'owi przedtem wydawało. Palce skafandra chwyciły pierwszy kawałek i bez wysiłku przesunęły go. — W innych pomieszczeniach spotkasz inne testy — stwierdził obcy. Twoje procesy myślowe zostaną poddane starannemu badaniu, później również twoja biologia. Sądzę, że ta druga procedura nie będzie specjalnie przyjemna, ale też nie zakończy się dla ciebie tragicznie. To zapobiegnie dalszym procedurom, na podstawie których można zestawić szerszy obraz wroga. — W głosie obcego pobrzmiewały niemal żartobliwe tony, jakby na tyle długo przebywał w towarzystwie człowieka, by przejąć niektóre elementy jego sposobu bycia. — Niestety, będziesz jedynym przedstawicielem rasy ludzkiej, który wejdzie do tego urządzenia. Ale okażesz się doskonałym egzemplarzem.

— W tym akurat się mylisz — oznajmił Sylveste.

— Wyjaśnij to, proszę. — W nieustępliwym, bezgłośnym stwierdzeniu Sylveste dostrzegł pierwsze ślady niepokoju.

Przez chwilę milczał.

— Calvinie, coś muszę powiedzieć — rzekł wreszcie. Nie miał pewności, dlaczego to robi ani do kogo w istocie się zwraca. — Gdy byliśmy w białym świetle, gdy wszystko nam przekazano w macierzy Hadesu, coś odkryłem, coś, o czym powinienem był wiedzieć wiele lat temu.

— O tobie?

— Tak, o mnie. — Sylveste miał ochotę zapłakać, wiedząc, że to jego ostatnia okazja, ale oczy mu na to nie pozwalały. Nigdy nie miały takiej funkcji. — Dlaczego nie mogę cię nienawidzić, chyba że zwrócę tę nienawiść przeciw sobie. O ile w ogóle kiedykolwiek cię nienawidziłem.

— To się nie udało, prawda? To, co z ciebie zrobiłem. Nie taki był plan. Ale nie mogę powiedzieć, że jestem rozczarowany osobą, którą się stałeś. — Całvin poprawił się: — Ja się stałem.

— Cieszę się, że się dowiedziałem, choćby teraz.

— Co zamierzasz zrobić?

— Już wiesz. Wszystko mamy wspólne, no nie? — Sylveste zaśmiał się. — Teraz ty również znasz moje tajemnice.

— Ach, mówisz o tej małej tajemnicy?

— Jakiej? — syknął Złodziej Słońca głosem przypominającym radiowe trzaski odległych kwazarów.

— Przypuszczam, że miałeś dostęp do moich rozmów na statku — powiedział, znowu zwracając się do obcego. — Gdy robiłem wszystko, by uważali, że blefuję.

— Blefujesz? — spytał obcy. — O jaką sprawę chodzi?

— O gorący pył w ni jich oczach — powiedział Sylveste.

Zaśmiał się, tym razem głośniej. Po czym uruchomił serię dawno odesłanych do pamięci impulsów neuronowych, które zainicjowały ciąg zdarzeń w układach jego oczu i — w końcu — w maleńkich guzkach antymaterii wbudowanych w oczy.

Rozbłysło światło bardziej czyste od wszelkiego znanego mu światła, nawet od tego, które widział w portalu prowadzącym do Hadesa.

A potem nie było już nic.

Volyova dostrzegła to pierwsza.

Czekała, aż „Nieskończoność" ją wykończy. Obserwowała wielki stożek statku, ciemny jak noc, widoczny tylko dlatego, że przesłaniał światło gwiazd. Zbliżał się do niej z ostrożnością rekina. Niewątpliwie układy zastanawiały się, jak zorganizować jej śmierć w najbardziej interesujący sposób. Tylko tak można wyjaśnić, dlaczego statek jeszcze jej nie zabił. Znajdowała się przecież w zasięgu każdej z broni. Może obecność Złodzieja Słońca na pokładzie dała statkowi nieco strasznego poczucia humoru. Statek pragnął zadać jej śmierć z sadystyczną powolnością, a ten proces zaczął się wraz z koszmarnym oczekiwaniem na to, co ma nastąpić. Wyobraźnia była teraz jej największym wrogiem, skutecznie przypominała o wszystkich statkowych urządzeniach, które mogą służyć celom Złodzieja Słońca. Systemy mogące ją godzinami gotować albo inne, które potrafią pozbawić ją członków, nie zabijając natychmiast (na przykład lasery kauteryzujące ciało) albo zmiażdżyć ją (na przykład wykorzystując oddział zewnętrznych serwitorów). Och, wspaniałe procesy umysłu. A przecież to w zasadzie ta sama płodna wyobraźnia pomogła stworzyć tyle możliwych sposobów egzekucji.

I wtedy to zobaczyła.

Błysk wydobywający się z Cerbera, szybko zaznaczający miejsce, gdzie tkwił przyczółek. Było tak, jakby przez ułamek sekundy wielkie światło zapaliło się wewnątrz planety i natychmiast zostało przyćmione.

Albo jakby nastąpiła potężna eksplozja.

Volyova obserwowała, jak wnętrzności skał i spalonej maszynerii wylatują w przestrzeń.

Khouri dopiero po chwili uznała fakt, że nie jest martwa, choć miała pewność, że umrze. Spodziewała się, że jeśli się już obudzi, to w bólu, na ostatnie w swym życiu chwile świadomości, po czym Hades rozerwie ją na strzępy, ciało i duszę obedrą monstrualne szpony pola grawitacyjnego gwiazdy neutronowej. Spodziewała się również, że się obudzi z najstraszniejszym bólem głowy od czasu, gdy Mademoiselle wywołała u niej wspomnienia Wojny Świtu. Ale tym razem byłby to ból mający źródło czysto chemiczne.

Znalazły barek w komorze pajęczej.

I do końca go opróżniły.

Jednak głowę miała boleśnie wolną od intoksykacji, czysta jak świeżo umyta szyba. Świadomość powróciła jej szybko, bez pijanego przejścia, jakby przedtem, zanim otworzyła oczy, nie było żadnego istnienia. Ale Khouri nie znajdowała się w komorze pajęczej. Gdy się teraz nad tym zastanowiła, pamiętała chwilę przebudzenia, pamiętała przerażający początek tych przypływów, wspomniała, jak z Pascale pełzły do centrum komory, by zmniejszyć napięcia różnicowe. Ale to się z pewnością nie udało. Wiedziały, że w tym momencie nie ma sposobu, żeby przeżyć, i że mogą jedynie zmniejszyć ból…

Gdzie ja jestem, do diabła?

Obudziła się z głową na twardej powierzchni, sztywnej jak beton. Gwiazdy wirowały po niebie z szaleńczą prędkością i w ich ruchu było coś dziwnego, jakby oglądało się je przez grubą soczewkę umieszczoną od horyzontu do horyzontu. Khouri stwierdziła, że może się poruszać, i z trudem wstała, omal nie przewracając się do tyłu.

Miała na sobie skafander.

A przecież nie nosiła go w komorze pajęczej. Skafandra podobnego typu używała podczas działań na powierzchni Resurgamu, taki sam Sylveste zabrał ze sobą na Cerbera. Jak to możliwe? Jeśli to sen, to jest to sen zupełnie nieznanego Khouri rodzaju, ponieważ mogła świadomie kwestionować jego sprzeczności, a jednak cała konstrukcja wokół trwała nadal.

Khouri znajdowała się na równinie o barwie stygnącego metalu, bardzo jasnej, jednak nie rażącej w oczy. Równina była płaska jak plaża po przypływie. Khouri dokładniej przyjrzała się powierzchni — zauważyła wzór, ale nie przypadkowe plamy, tylko skomplikowany regularny deseń perskiego dywanu. Między kolejnymi poziomami rysunku istniał inny, a potem jeszcze dalszy, wreszcie wzór stawał się drobniutki i prawdopodobnie nurkował w mikroskopijne domeny subatomowe i dalej w kwantowe. Wzór się przemieszczał, rozmywał w polu widzenia, zmieniał z każdą chwilą, aż Khouri poczuła dziwną słabość, więc przerzuciła uwagę na horyzont.

Wydawało się, że jest naprawdę blisko.

Zaczęła iść ku niemu. Nogi z chrzęstem zanurzyły się w niepewny grunt. Wzory się przekształcały — tam, gdzie stawiała stopy, powstawały gładkie, wygodne kamienie.

Coś się przed nią rysowało ponad bliską krzywizną horyzontu: niewysokie wyniesienie ciemniejące na tle spadającego gwiazdoskłonu. Khouri podeszła bliżej. Zauważyła jakiś ruch. Wyniesiona część obiektu przypominała wejście do metra, trzy niskie ściany otaczały schody zagłębiające się w planetę.

Ten ruch… to wynurzająca się postać. Kobieta. Wchodziła po stopniach z siłą i cierpliwością, jakby po raz pierwszy napełniała płuca

porannym powietrzem. W odróżnieniu od Khouri, nie miała na sobie skafandra. Była ubrana tak jak w chwili, gdy widziały się po raz ostatni.

Pascale Sylveste.

— Długo na ciebie czekałam — powiedziała. Głos niósł się w pozbawionej powietrza przestrzeni.

— To ty, Pascale?

— Tak — odparła, ale zaraz sprecyzowała: — W pewnym sensie. Och, to niełatwo wyjaśnić… tak długo to powtarzałam…

— Co się stało, Pascale? — Bezczelne byłoby pytanie, dlaczego Pascale nie ma na sobie skafandra, dlaczego nie jest martwa. — Co to za miejsce?

— Jeszcze się nie domyśliłaś?

— Przykro mi, że cię rozczarowuję.

Pascale uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Jesteś na Hadesie. Pamiętasz, ta gwiazda neutronowa, która nas wciągała. Otóż nie. To znaczy to nie jest gwiazda neutronowa.

— Jestem na niej?

— Owszem. Przypuszczam, że się tego nie spodziewałaś.

— Wierz mi, że nie.

— Jestem tu tak długo jak ty — oznajmiła Pascale. — Czyli zaledwie parę godzin. Ale ja spędziłam czas pod skorupą, gdzie wszystko biegnie szybciej, więc dla mnie upłynęło znacznie więcej niż parę godzin.

— O ile więcej?

— Powiedzmy kilka dziesięcioleci… choć pod pewnymi względami czas tu w zasadzie w ogóle nie mija.

Khouri skinęła głową, jakby to wszystko doskonale do siebie pasowało.

— Pascale, chyba musisz wyjaśnić…

— Świetnie. Zrobię to podczas drogi w dół.

— W dół… dokąd?

Skinęła na Khouri, by poszła ku schodom prowadzącym na wiśniową równię, jakby zapraszała gościa do domu na drinka.

— Do środka — oznajmiła Pascale. — Do matrycy.

Śmierć nie nadchodziła.

Przez następną godzinę Volyova za pomocą nakładki powiększającej skafandra obserwowała, jak przyczółek traci kształt, niczym niefachowo formowane gliniane naczynie. Stopniowo rozpuszczał się w skorupie — pożerała go, gdy w końcu przegrał bitwę z Cerberem.

Za szybko, za szybko.

To niesprawiedliwe; Volyovej bardzo to doskwierało. Może za chwilę umrze, ale nie chciała oglądać porażki swego dzieła, i to, do

diabła, porażki przedwczesnej.

W końcu, nie mogąc więcej tego znieść, zawróciła w stronę statku, skierowanego na nią jak sztylet. Rozłożyła ramiona. Nie wiedziała, czy statek potrafi zrozumieć jej przekaz głosowy.

— Chodź tu, svinoi. Wykończ mnie. Mam tego dość. Nie chcę tego oglądać. Niech już będzie po wszystkim.

W stożkowatej bocznej części kadłuba otworzyła się śluza, na krótko rozjarzona pomarańczowym światłem z wnętrza. Volyova była prawie pewna, że wyleci stamtąd jakaś okrutna broń, może coś, co pośpiesznie skonstruowała w pijanym widzie.

Zamiast tego wyłonił się prom i powoli ruszył ku niej.

Tak jak to Pascale przedstawiła, gwiazda neutronowa nie była wcale gwiazdą neutronową. Może była nią kiedyś, albo byłaby, gdyby nie wtrącił się ktoś trzeci, o kim Pascale nie chciała mówić szczegółowo. Zasadniczy sens wywodu był prosty. Ta trzecia siła zmieniła gwiazdę w olbrzymi, oszałamiająco szybki komputer, który w jakiś dziwny sposób potrafił komunikować się ze sobą samym w przyszłości i przeszłości.

— Co ja tu robię? — spytała Khouri, gdy schodziły na dół. — Lepiej spytajmy: co my tu robimy? I jakim cudem wiesz znacznie więcej ode mnie?

— Powiedziałam ci: długo przebywałam w strukturze. — Pascale przystanęła na stopniu schodów. — Posłuchaj, Khouri, nie spodoba ci się to, co ci teraz powiem. Jesteś martwa… przynajmniej na razie.

Mniej to Khouri zdziwiło, niż się spodziewała. Wiadomość była niemal do przewidzenia.

— Umarłyśmy w pływach grawitacyjnych — oznajmiła Pascale rzeczowo. — Znalazłyśmy się zbyt blisko Hadesa i pływy nas rozerwały. Nie, nie było to przyjemne, ale większość twoich wspomnień z tego wydarzenia nie została zarejestrowana, więc teraz tego nie pamiętasz.

— Zarejestrowana?

— Zgodnie ze zwykłymi prawami powinnyśmy rozlecieć się na atomy. I w pewnym sensie tak się stało. Ale informacja, która nas określała, została zachowana w przepływie grawitonów między tym, co z nas zostało, a Hadesem. Siła, która nas zabiła, również nas zarejestrowała, przesłała informację do skorupy…

— Jasne — odparła Khouri powoli, gotowa na razie przyjąć takie wyjaśnienie. — A gdy już zostałyśmy przetransmitowane do skorupy?

— Zasymulowano nas z powrotem do życia. Oczywiście obliczenia w skorupie odbywają się znacznie szybciej, niż biegnie czas rzeczywisty. Dlatego spędziłam tam kilka dekad czasu subiektywnego.

Powiedziała to tonem niemal przepraszającym.

— Nie przypominam sobie, żebym spędziła dziesięciolecia w

jakimkolwiek miejscu.

— Ponieważ nie spędziłaś. Zostałaś przywrócona do życia, ale nie chciałaś w nim pozostać. Nic z tego nie pamiętasz, ponieważ tak właśnie postanowiłaś. Nic cię tu nie trzymało.

— Ciebie natomiast coś tu trzymało?

— O, tak — odparła Pascale z zachwytem w głosie. — O, tak. Dojdziemy do tego.

Schody się skończyły w korytarzu o przezroczystym suficie, rozjaśnionym losowo umieszczonymi bajkowymi światłami. Khouri spojrzała na ściany mieniące się podobnymi obliczeniowymi rozbłyskami, jakie widziała na powierzchni. Miało się wrażenie, że to przejaw bardzo intensywnej pracy niewyobrażalnie skomplikowanego systemu procesorów.

— Czym jestem? — spytała Khouri. — Czym ty jesteś? Powiedziałaś, że nie żyję. Nie mam takiego wrażenia. I nie mam wrażenia, że jestem symulowana przez układ procesorów. Byłam na powierzchni, prawda?

— Jesteś z krwi i kości — odparła Pascale. — Umarłaś i zostałaś powtórnie stworzona. Twoje ciało zrekonstruowano z elementów chemicznych istniejących już w zewnętrznej skorupie struktury. Potem zostałaś ożywiona i przywrócono ci świadomość. Skafander, który masz na sobie, też pochodzi ze struktury.

— Czyli ktoś w skafandrze zbliżył się tak, że został zabity przez pływy?

— Nie… — powiedziała Pascale ostrożnie. — Jest inny dostęp do struktury. Znacznie prostszy… przynajmniej kiedyś był.

— Jednak powinnam być martwa. Żadna żywa istota nie przeżyje na gwieździe neutronowej. Albo w niej.

— Mówiłam ci, że to nie jest gwiazda neutronowa — rzekła Pascale. Potem wyjaśniła, jak to wszystko jest możliwe; jak struktura potrafi wytworzyć kieszeń grawitacyjną, w której można przeżyć; jak jest to realizowane przez cyrkulację, głębiej w skorupie, niesamowitych ilości zdegenerowanej materii, być może jako ubocznego produktu obliczeń, a może nie. Ale niczym soczewka rozpraszająca, przepływ kieruje grawitację daleko od Khouri, gdy tymczasem równie wściekłe siły powstrzymują ściany przed runięciem z prędkością tylko odrobinę mniejszą od prędkości światła.

— A ty?

— Ja nie jestem podobna do ciebie — odparła Pascale. — Ciało, które noszę, to tylko lalka. W tej postaci się z tobą spotkam. Zbudowane jest z tej samej materii nuklearnej co skorupa. Neutrony powiązane są dziwnymi kwarkami, więc nie rozpadam się pod działaniem swojego własnego ciśnienia kwantowego. — Dotknęła czoła. — Ale nie prowadzę żadnego myślenia. To odbywa się wokół

ciebie, w samej strukturze. Wybacz, zabrzmi to strasznie obraźliwie, ale według mnie to byłaby okropna nuda, gdybym musiała jedynie rozmawiać z tobą i nie mogła robić niczego więcej. Jak wspomniałam, nasza sprawność obliczeniowa znacznie się różni. Nie obrazisz się, mam nadzieję? To nie jest jakiś osobisty przytyk, rozumiesz?

— Nie przejmuj się — odparła Khouri. — Jestem pewna, że ja też czułabym to samo.

Korytarz rozszerzył się w dobrze wyposażony gabinet naukowy z jakiegoś okresu z ostatnich pięciu czy sześciu wieków. Dominującym kolorem był tu brąz, wiekowy brąz. Drewniane półki pod ścianami, zbrązowiałe grzbiety ustawionych rzędem starych papierowych książek, wspaniały brąz mahoniowego biurka i złocistobrązowy metal antycznych przyrządów naukowych, dla efektu umieszczonych w pobliżu biurka. Drewniane szafy podpierały ściany nie obłożone książkami. W szafach wisiały pożółkłe kości — kości obcych, które na pierwszy rzut oka można było pomylić z kośćmi dinozaurów lub wielkich, wymarłych ptaków bezlotów, o ile ktoś nie zwrócił nadmiernie uwagi na pojemność czaszki, objętość mózgu, który kiedyś w niej spoczywał.

Znajdowały się tu również egzemplarze nowocześniejszego sprzętu: urządzenia skanujące, zaawansowane technicznie przyrządy tnące, stelaże z układami do przechowywania zapisów ejdetycznych i holograficznych. W rogu biernie czekał serwitor najnowszej generacji, z głową lekko pochyloną, jak zaufany służący, który ucina sobie zasłużoną drzemkę, choć cały czas stoi.

Przez listewkowate okna na jednej ze ścian widać było jałowy zwietrzały krajobraz, płaskowyże i nietrwałe formacje skalne skąpane w czerwonawym świetle zachodzącego słońca, znikającego już za poszarpanym horyzontem.

A przy biurku — Sylveste; jakby wyrwany z pracy, wstawał, gdy weszły do pokoju.

Spojrzała mu w oczy po raz pierwszy — ludzkie oczy, osadzone w materii, która mogła wydawać się ciałem.

Przez chwilę miał taką minę, jakby był rozdrażniony tym najściem, ale zaraz rysy mu zmiękły i na twarzy pojawił się słaby uśmiech.

— Cieszę się, że znalazłaś czas, by tu wpaść — powiedział. — Mam nadzieję, że Pascale odpowiedziała ci na pytania.

— Na większość. — Khouri weszła do gabinetu, podziwiając pieczołowitość, z jaką go odtworzono. Tak dobrej symulacji Khouri nigdy nie widziała. A przecież — fakt ten robił niezwykłe wrażenie, ale i przerażał — każdy przedmiot w pokoju był wymodelowany z materii nuklearnej tak gęstej, że zwykły, najmniejszy przycisk do papieru wywierałby siłę grawitacyjną zabójczą nawet z odległości

połowy pokoju. — Ale nie wszystko — dodała. — Jak się tu dostałeś?

— Pascale wspomniała zapewne, że istnieje inna droga do tej matrycy. — Podał jej dłoń. — Znalazłem ją, to wszystko. I przeszedłem.

— A co się stało z twoją…

— Moją rzeczywistą osobą? — Teraz jego uśmiech wyrażał rozbawienie, jakby Sylveste delektował się sekretnym dowcipem, zbyt subtelnym, by przekazać go innym. — Raczej nie przeżyła. Szczerze mówiąc, w zasadzie mnie to nie obchodzi. Teraz jestem rzeczywistym sobą. Wszystkim, czym byłem zawsze.

— Co się stało z Cerberem?

— To długa historia, Khouri.

Jednak ją opowiedział. Jak podróżował do wnętrza planety; jak skafander Sajakiego okazał się pusty; jak odkrycie tego faktu tylko wzmocniło postanowienie, by iść naprzód; i co w końcu znalazł w ostatniej komnacie. Jak przeniknął do struktury i jak wtedy jego wspomnienia odbiegły od tamtej jego tożsamości. Gdy mówił Khouri, że z pewnością tamta jego tożsamość nie żyje, robił to z takim przekonaniem, że Khouri zastanawiała się, czy nie istnieje inny sposób, by się o tym przekonać. Czy nie łączyło ich aż do końca inne, mniej uchwytne powiązanie.

Khouri czuła, że istnieją sprawy, których nawet Sylveste w pełni nie rozumiał. Nie osiągnął boskości… może najwyżej przez moment, gdy kąpał się w portalu. Czy to z wyboru? Jeśli struktura go symulowała i jeśli ta struktura miała w zasadzie nieskończone możliwości obliczeniowe… jakie nałożono na niego ograniczenia, poza tymi, które sam świadomie wybrał?

Khouri dowiedziała się, że część Całunu przetrzymywała żywą Carine Lefevre, ale to nie przypadek.

— Tak jakby istniały tam dwa stronnictwa — powiedział Sylveste, bawiąc się mosiężnym mikroskopem, stojącym na biurku, przekrzywiając zwierciadło na boki, jakby chciał złapać ostatnie promienie zachodzącego słońca. — Jeden chciał mnie wykorzystać, bym zbadał, czy Inhibitorzy nadal działają i potrafią zagrozić Cahmnikom. A drugi odłam, który równie mało przejmował się ludzkością co pierwszy, był bardziej ostrożny. Ci sądzili, że istnieje lepszy sposób niż drażnienie urządzenia Inhibitorów, jeśli chce się sprawdzić, czy ono ciągle działa.

— Ale co teraz z nami? Kto w zasadzie zwyciężył? Złodziej Słońca czy Mademoiselle?

— Żadne z nich — odparł Sylveste. Odstawił mikroskop, którego aksamitny spód stuknął głucho o blat biurka. — Taka jest przynajmniej moja intuicja. Sądzę, że byliśmy — ja byłem — o krok od uruchomienia urządzenia, omal nie dostarczyłem mu bodźca, który

wystarczył do zaalarmowania pozostałych urządzeń i do wszczęcia wojny przeciw ludzkości. — Zaśmiał się. — Określenie „wojna" oznacza, że działałyby tu jakieś dwie walczące strony. Przypuszczam jednak, że wyglądałoby to zupełnie inaczej.

— Ale raczej tak daleko to nie zaszło?

— Mam nadzieję i modlę się, to wszystko. — Wzruszył ramionami. — Oczywiście mogę się mylić. Kiedyś twierdziłem, że nigdy się nie mylę, ale dostałem nauczkę.

— A Amarantinowie? A Całunnicy?

— Czas pokaże.

— 1 tylko tyle?

— Nie znam wszystkich odpowiedzi, Khouri. — Rozejrzał się po pokoju, jakby się upewniał, czy księgi są na miejscu. — Nawet tutaj.

— Trzeba iść — powiedziała nagle Pascale. Pojawiła się u boku męża ze szklanką przejrzystego płynu, chyba białej wódki. Postawiła naczynie na biurku obok wypolerowanej czaszki barwy pergaminu.

— Dokąd?

— Znów w przestrzeń, Khouri. Tego chyba chcesz. Na pewno nie chiałabyś spędzić tu reszty wieczności.

— Nie ma dokąd iść — odparła Khouri. — Powinnaś o tym wiedzieć, Pascale. Statek jest naszym wrogiem, komora pajęcza zniszczona, Ilia martwa…

— Udało jej się. Nie została zabita podczas katastrofy promu.

A więc zdołała włożyć skafander, ale co jej z tego przyszło? Khouri już miała wypytywać Pascale, gdy uświadomiła sobie, że wszystko, co od niej usłyszy, będzie prawdą, choćby brzmiało to nieprawdopodobnie, choćby ta prawda była zupełnie bezużyteczna, bez żadnego znaczenia.

— Co wy dwoje zamierzacie robić?

Sylveste sięgnął po szklankę i upił nieco wódki.

— Jeszcze się nie domyśliłaś? Tego pokoju nie stworzono dla ciebie. My go zajmujemy, z tym, że my zajmujemy jego symulowaną wersję w strukturze. I nie tylko ten pokój, ale również pozostałą część bazy. Jak zawsze, ale teraz mamy ją całą dla siebie.

— 1 to wszystko?

— Niezupełnie…

Pascale podeszła blisko do Dana, który otoczył ją ramieniem. Odwrócili się ku przesłoniętemu szczebelkami oknu, ku czerwonemu zachodowi obcego słońca, jałowemu krajobrazowi, martwej ziemi Resurgamu.

Wtem nastąpiła zmiana.

Zaczęła się na horyzoncie — ogarniająca wszystko fala przemian, sunąca ku nim z prędkością nadchodzącego dnia. Na niebie nagle pojawiły się chmury wielkie jak imperia. Teraz niebo nabrało

niebieskiej barwy, choć słońce nadal opadało w zmierzch. I krajobraz przestał być jałowy, zarósł bujną, soczystą zielenią. Khouri zobaczyła jeziora, drzewa — obce drzewa — drogi wijące się między jajowatymi domami, skupionymi w wioski, a na horyzoncie większą miejscowość wznoszącą się ku pojedynczej smukłej wieży. Patrzyła w dal oniemiała z wrażenia: cała planeta wracała do życia. Może było to złudzenie optyczne? — nigdy się tego nie dowie, ale wydawało jej się, że widzi, jak Amarantinowie suną między domami z ptasią prędkością, choć nigdy nie opuszczają podłoża, nigdy nie wzbijają się w powietrze.

— To, czym byli, przynajmniej większość z tego, zachowane jest w strukturze — powiedziała Pascale. — To nie jest rekonstrukcja archeologiczna, Khouri. To prawdziwy Resurgam i oni go teraz zamieszkują. Powołany do życia czystą siłą woli przez tych, którzy przetrwali. To cała planeta, w najdrobniejszym szczególe.

Khouri rozejrzała się po pokoju. Teraz zrozumiała.

— A wy zamierzacie ją badać?

— Nie tylko badać — odparł Sylveste, sącząc wódkę. — Również żyć na niej. Aż się nam znudzi, co jak sądzę, nie nastąpi szybko.

Potem Khouri zostawiła ich w gabinecie, by mogli podjąć rozmowy, które przerwali, by ją zabawiać.

Weszła schodami znów na powierzchnię Hadesu. Skorupa jarzyła się czerwonym światłem, prowadziła intensywne obliczenia. Khouri na tyle długo tu przebywała, by dostroić zmysły do środowiska — uświadomiła sobie, że cały czas skorupa brzęczy pod jej stopami, jakby w podziemiu pracowała olbrzymia maszyneria, co w gruncie rzeczy nie odbiegało od prawdy. To była maszyna symulacji.

Khouri pomyślała o Sylveste'em i Pascale, zaczynających nowy dzień badań bajecznego świata. Od kiedy ich opuściła, dla nich mogły upłynąć całe lata. Niewiele to znaczyło. Khouri przypuszczała, że tylko wtedy wybiorą śmierć, gdy nic już ich nie będzie fascynować. A na to się w najbliższym czasie nie zanosiło, jak powiedział Sylveste.

Khouri włączyła komunikator skafandra.

— Ilia, słyszysz mnie? Cholera. To głupie, ale oni twierdzą, że chyba żyjesz.

Usłyszała tylko trzaski. Nadzieja zniknęła. Khouri rozejrzała się po wypalonej równinie i zastanawiała się, co ma dalej robić.

Wtem:

— Khouri, to ty? Co cię napadło, żeby wciąż żyć?

Głos zachowywał się dziwnie: przyśpieszał i zwalniał, jakby Volyova była pijana, ale przeczyła temu zbyt złowieszcza regularność zmian.

— O to samo mogłabym ciebie zapytać. Ostatnie, co pamiętam, to prom płynący do góry brzuchem. Czyżbyś nadal tam była? Dryfujesz?

— Nawet lepiej — odparła Volyova. Głos wył w całym

spektrum. — Jestem na promie. Słyszysz mnie? Jestem na promie.

— W jaki…

— Statek go wysłał. „Nieskończoność”. — Volyova dyszała z podniecenia, jakby bardzo chciała podzielić się z kimś nowiną. — Sądziłam, że chce mnie zabić. Czekałam na ostateczny atak. Ale nie nadszedł, a statek wysłał po mnie prom.

— To coś dziwnego, bez sensu. Złodziej Słońca powinien przecież nadal nim sterować, próbowć nas wykończyć…

— Nie. — Głos Volyovej pobrzmiewał dziecięcą radością. — To nie dziwne… pod warunkiem, że zadziałał mój plan, a myślę, że zadziałał…

— Co zrobiłaś, Ilia?

— No… ogrzałam kapitana.

— Co takiego?

— Właśnie, i to było ostateczną próbę rozwiązania problemu. Pomyślałam, że jeśli jeden pasożyt usiłuje przejąć kontrolę nad statkiem, to najpewniejszym sposobem walki jest wypuszczenie czegoś jeszcze bardziej mocnego. — Volyova zamilkła, jakby oczekiwała, że Khouri potwierdzi tę tezę. — To się stało zaledwie dzień temu… rozumiesz, co to znaczy? Zaraza musiała przetransformować podstawową materię statku zaledwie w parę godzin! Niewiarygodna szybkość zmian: centymetry na sekundę!

— Jesteś pewna, że to mądre?

— Khouri, to prawdopodobnie najmniej rozsądna rzecz, jaką zrobiłam w życiu, ale się udało. W najgorszym razie zastąpiliśmy jednego megalomana drugim. Ale ten drugi sprawia wrażenie, że zniszczenie nas nie jest dla niego najważniejsze.

— To krok w dobrym kierunku. Gdzie teraz jesteś, Ilia? Wróciłaś już na statek?

— Jeszcze nie. Szukałam cię przez kilka ostatnich godzin. Gdzież ty jesteś, Khouri? Nie mogę namierzyć twojej pozycji.

— Lepiej, żebyś tego nie wiedziała.

— No, zobaczymy. Chcę, żebyś jak najszybciej trafiła tu na pokład. Nie zamierzam sama wracać na Światłowiec. Chyba w to nie wątpisz? Statek na pewno wygląda zupełnie inaczej, niż go pamiętamy. Czy ty… możesz do mnie dotrzeć?

— Chyba tak.

Khouri zrobiła to, co jej powiedziano, gdy chciała opuścić powierzchnie Hadesa. Niewiele z tego rozumiała, ale Pascale nalegała: taką wiadomość struktura zrozumie i spowoduje, że utworzy się banieczka pola słabej grawitacji w przestrzeni, w której Khouri może pojechać w bezpieczne miejsce.

Rozłożyła szeroko ramiona, jakby miała skrzydła. Jakby potrafiła latać.

Czerwona równina, pobłyskująca i zmienna, płynnie odsunęła się w dół.